

Banita

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

BANITA

Powieść z czasów Stefana Batorego

Panu

Aleksandrowi Krausharowi

w Warszawie.

W dowód wdzięczności mojej dla Was postanowiłem był, w Moabicie? wykonane

tłumaczenie kilku komedii Plauta Wara przesłać na pamiątkę. Widzą jednak, że z powodu trudności, jakie spotyka ich wydanie, nadto bym zwłóknął to, co serce moje jak najprędzej chce wypowiedzieć. W tych dniach boleści, którymi los sprawiedliwy kazał mi dni mojego jubileuszu opłacić, znalazłem tak mało, nie mówią przyjaciół, ale po prostu życzliwych, nieszczęście taką trwogę i popłoch posiało, tak rozproszyło wszystkich, tak mnie osamotniło, że dla Was, panie Aleksandrze, coście się nie wahali przyjść mi w pomoc radą i czynem, tym większą, gorętszą, połączoną z poszanowaniem mam wdzięczność. Niech te słowa będą jej świadectwem i wyrazem.

Opuszczenie i osierocenie bolało mnie i boli — może nie dla samego siebie — niestety, jest ono symptomem stanu ducha w narodzie, który zgnieciony klęskami stracił wszelką energią i zaparł się uczuć, które dawniej stanowiły jego charakteru okrasą. Daj Boże, aby ten symptom nie był oznaką i przepowiednią upadku, ale kresem do zwrotu w lep. szym kierunku... Lecz — dość tego.

Przyjm, kochany panie Aleksandrze, gorący uścisk ręki i wyraz wdzięczności i przyjaźni.

J. I. Kraszewski

Drezno, d. 3 maja 1884 r.

Spis treści

TOM PIERWSZY

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

TOM DRUGI

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

TOM TRZECI

I

II

III

IV

V

VII

VIII

IX

Długo, niemal do końca żywota swojego, Rzeczpospolita szlachecka stała obozem, cała, tak nasze dwory i domy, w większej części z drzewa klecone, tymczasowo i niedbale budowane były.

Wiele się na to przyczyn składało, a naprzód nawyknięcie, które najazdy i ciągła do wojny gotowość wyrobiły. Szlachcic przede wszystkim do obucha żołnierzem był, na zawołanie na koń siadać musiał, nie gnieździł się więc stale, a znaczna część kraju na najazdy wystawiona, często ze dworów w lasy i niedostępne trzęsawiska, te twierdze swe jedyne, uchodziła. Dawnym obyczajem więcej łożono na ruchomości kosztowne, które się przenosić dawały z miejsca na miejsce, niż na siedziby wytworne.

Na jednej wioszcynie szlachcic więcej się jeszcze do strzechy przywiązywał i około niej

troszczył, bo nie miał — tylko ją; wielcy zaś panowie z rezydencji do rezydencji kwoli swych interesów, upodobań i stosunków wędrowali. Zachodziły wozy i sprzęt wszelki ciągnął długim sznurem za panem albo go poprzedzał. Ławy i stoły znajdowały się wszędzie po dworach, a co potrzebnym było do przybrania, ciągnięto ze sobą. Koberce, opony, naczynie, sprzęt drobny, przenosił się z miejsca na miejsce łatwo.

Od mieszkań też nie wymagano wiele, byle dach nie zaciekał, a piece i kominy nie dymiły.

Zimą w tych grubach noc i dzień stróże drzewa dokładali, śpiąc przy nich nawet.

W XVI wieku rzadki był dwór pański, z wyjątkiem zamków na krakowskiej ziemi, który by

wygodnym i okazałym mógł się nazywać. Na lada jakim podmurowaniu lufo i bez niego na

mocnych podwalinach, z grubych kłód ułożone ściany, z wysokim dachem, najczęściej bez piętra, stanowiły pańską siedzibę, mniej więcej rozległą. O powierzchowność wcale się nie starano, aby ją ozdobną uczynić. Chorągiewka z herbem na szczycie stanowiła czasem jedyną ozdobę.

Drzewo było prawie wyłącznie używanym materiałem, już dlatego, że o nie najłatwiej było, a każdy wieśniak cieślą był i lada kto budowniczym, już dla tej wiary, że w murach, choć suchych, powietrze nigdy zdrowym być nie może.

W czasach, o których mowa, w wielu zamkach królewskich nie było podłóg i zastępowały je

tokowiska, skoble i zamki u drzwi proste, stropy z belek i tarcic układane.

Cóż dopiero po szlacheckich dworach? Gospodarz na siodle lub na dyszlu większą część

życia spędzał, a gdy do chaty powrócił, nie potrzebował żadnych wymyślnych przypraw, aby mu ona smakowała. Zbytek był w odzieży, uzbrojeniu, w jadłach i napojach, ale go w mieszkaniach nie było, dlatego nam tak mało pozostało z nich pamiątek. Lada nieostrożna iskierka obracała te gniazda w perzynę.

Obozował też pan i szlachcic niemal przez życie całe, i kaleka chyba a nieudolny starzec domu mógł pilnować. Kto nie był żołnierzem, służyć musiał jako urzędnik i z miejsca na miejsce się przenosić. Zjazdy też częste, narady, komisje, spoczywać nie dawały. Stajnia każdego czasu zaopatrzoną być musiała w konie i wozy, aby na zawołanie pana ze dworem przenieść, gdzie kazał.

I wszystko po trosze w domu do tego rodzaju życia się zastosowywało. Spiżarnia gospodyni w zapasy była zaopatrzoną zawsze, aby bez nich pan w podróż nie ruszył. Me było dworu bez

namiotu, bo i takie wycieczki się trafiały, w ciągu których na gospody i dwory wcale rachować nie było można.

Nawyknienie do tego ruchliwego życia czyniło je nie tylko znośnym, ale nawet niejeden

tęsknił za nim. Siedzącego i spokojnego żywota szlachcic nie znosił, a gospodarka mu nie starczyła ani łowy, którymi się rozerwać usiłował.

Pomimo tego ruchu na gościńcach, można powiedzieć, aż do ostatnich czasów, gospod tak

dobrze jak nie było. Służyły one tam tylko, gdzie stały osamotnione, od wsi i osad oddalone; szlachcic bowiem zajeżdżał do dworu, a duchowny do księdza. Niemal ubliżającym dla gospodarza i dziedzica było, gdy kto, nawet zupełnie nieznamy, pominąwszy dwór do gospody zaciągnął.

Po miastach i miasteczkach mnogie klasztory dawały chętną gościnę. Karczma też

przeważnie służyła dla chłopów tylko, dla łyków, dla włóczęgów, dla gawiedzi tej, która do szlacheckiego świata nie należała.

Wyjątkowo jednaką w głębi lasów, w bezludnych stronach, gdzie od wsi do wsi zbyt długo

bez spoczynku jechać było potrzeba, przemyślny Izraelita urządzał przystań dla podróżnych.

Główną jej część stanowiła szopa ogromna, przytułek w czasie słoty, a drugą, izba niemniej obszerna, gdzie się wszyscy, jak Bóg dał, mieścić musieli.

Wielkie dwory obejmowały nadciągając wszystko pod władzę swoją; mniejszy ludek godził

się u jednego stoła i pod jednym dachem. A że każdy, mniej więcej, wiozł z sobą wszystko, czego mógł potrzebować i nie spodziewał się dostać po drodze, gospoda taka nie zaopatrywała się w wymyślne zapasy dla podróżnych. Najczęściej oprócz wody nie w niej dostać nie było można.

Taką przystanią w puszczech sandomierskich, ku granicy Krakowskiego przypierających,

była znana wszystkim przeciągającym tędy karczma stara, zwana Borówką. Powierzchność jej świadczyła, że mnogie już lata, osłonięta lasami, zabezpieczona od wichrów i burzy, przetrwała.

Ściany jej z dwu stron już podpierać musiano, dach się pogarbił i porósł zielono, pomiędzy zeschniętym drzewem, próchniejącym miejscami, szczeliny czarne przepuszczały wiatery i słoty.

Stała samiuteńka jedna, żadnej nawet szopki i kleci nie mając przy sobie, a wyglądała tak czarno, smutno, pusto, jak gdyby w niej już ludzi nie było.

Potworzone nowe drogi i gościńce wygodniejsze rzadko tu już podróżnych sprowadzały;

jednakże rodzina izraelska, która od wieku zamieszkiwała w Borówce, trzymała się tego *kąta*, który dla niej stał *się* rodzinnym. Nie obawiała się ona ani napaści, ani gwałtu, bo niczym przynęcić nie mogła, będąc sama ubogą.

Jak wybladłe cienie przesuwały się, niby wpółuśpione tą ciszą i osamotnieniem, postacie kilku żółtych i chudych niewiast i wynędzniałych dzieci. Z czego żyli, było ich tajemnicą, bo zarobek od podróżnych, który się mógł nazwać jałmużną, bardzo musiał być lichy. Dawano

postójne niechętnie, a silniejsi i butniejsi od niego się uwalniali, tak że wiadra chować czasem było potrzeba, aby grosz jaki zyskać.

Tego dnia jednak wczesnej wiosny trafiła się niezwykajna rzecz. Z rana przybył tabor

podróżnych, a w kilka godzin po nim nadciągnął drugi i oba spoczywały. Za czym nadciągnął

trzeci, a pod wieczór i czwarty. Wszystkie to były pańskie i dość gromadne orszaki, które nie tylko się z sobą godziły, ale zdawały do jednej należeć rodziny. Może wypadkowe czy obmyślane

spotkanie się to skłoniło podróżnych do przedłużenia niewygodnego pobytu w gospodzie, której arendarz schować się musiał ze strachu, tak mu tu ci przybysze własnowolnie a zuchwale się urządzali.

Gdy czwarty oddział nadciągnął już pod noc, gospoda, choć dosyć obszerna, pełniuteńką już była, bo każdy z nich kilkudziesięciu liczył ludzi i niemało koczych, wozów i kolebek.

Izbę wielką zajęli czterej panowie przybyli, dla których tu stół gotowano, ławy

powyścielano, ogień rozpalono i naznoszono tyle sprzętu podróżnego, ile go stare domostwo nigdy razem nie widywało.

Panowie byli wszyscy zamożni snadź, nawykli do wygód, butni okrutnie, a służba ich nawet tak zuchwała, że gospodarz się pokazywać nie ważył. Nie pytano go też o pozwolenie i rozrządzano się w szopie i po alkierzach żydowskich nawet, jak się podobało. Staremu Żydowi ledwie szczupłą jedną pozostawiono komórkę.

Wiosna była młoda jeszcze bardzo, więc chłodna i wilgotna, bez ognia i dla strawy, i dla ogrzania się obejść nie było po- dobna; rozpalono go też w piecach, na kominach, na koniec w pośrodku szopy nawet, od którego się ona łatwo zająć mogła, lecz Żyd nie śmiał pisać słowa.

Drzewa suchego nie znalazłszy, gawiedź poradziła sobie, ścianę jedną wewnętrzną rozebrawszy w mgnieniu oka, którą na drwa porąbano.

Żydzi, przez szpary spoglądając na to gospodarstwo, ręce łamali i lamentowali po cichu,

stary może i przeklinał tych nieproszonych gości, lecz odezwać się nie śmiał. Z samego • głosu i ruchów czeladzi poznał on ludzi, z którymi nie było podobna wdawać się w rozprawy, a prosić ich, mogło jeszcze podrażnić. Modlił się tylko do Pana Boga, aby po noclegu tym, co rychlej go od załogi tej uwolnił. Nie wątpił, że tak wielcy i możni panowie na odjezdnym mu coś rzucą, aleby wolał datku się wyrzec i strachu.

Orszaki panów nie wszystkie były do siebie podobne, ani równie liczne; szczególnie jeden pomiędzy nimi liczbą, uzbrojeniem, końmi i przepychem celował. Ludzie też, z których się składał, dobrani chłop w chłopu, zdawali się wszyscy do wojaczki stworzeni i butę mieli okrutną.

Z dosłyszanych tu i owdzie wyrazów, gospodarz się dowiedział, że pomiędzy przybyłymi

był kasztelan i inni dostojnicy. Zdawało mu się też, gdy czwarty przybył pod wieczór, że na niego oczekiwano i zjazd w Borówce zmówiony był zawczasu. Dlaczego jego biedną szopę wybrano

właśnie na tę jakąś naradę, Żyd sobie wytłumaczyć nie umiał, ani się chciał domyślać. To pewna, że ani położenie jej, ani droga, przy której leżała, nie usprawiedliwiały wyboru, chyba tylko zupełne osamotnienie wśród lasów, które tu nie postrzeżonym swobodnie i bez oczu ciekawych zejść się dozwalało.

Najliczniejszy i najpokaźniejszy orszak, chociaż pan jego wiekiem nie był najstarszym, rej wodził widocznie, tak jak on sam w izbie najgłośniej przemawiał, najserdeczniej się śmiał i najsrożej huczał. Rozmowa bowiem, w serdecznych powitaniach rozpoczęta, wkrótce się niemal we wrzawliwy spór zmieniała.

Ci czterej podróżni, którzy w istocie do Borówki się zje- chali naumyślnie, aby z oczu ludzi podejrzliwych zszedłszy, swobodnie się o swych sprawach naradzali, byli to czterej z ośmiu niegdy braci Zborowskich, synów tego Marcina, o którym głośne było onych czasów podanie, iż w życiu nigdy żadnej sprawy w sądach z nikim nie miał, bo jurystów i pieniactwa nienawidził, nienawiść swą posuwając do tego stopnia, iż palestrantów, gdy ich pochwycił, „na rybnych stołach”, wedle wyrażenia Paprockiego, bijał.

Rodzina była, wiadomo, tak stara jak sama Polska, ale miała to we krwi ze wszystkimi

Jastrzębcami wspólnego, iż spokojnie darów Bożych używać nie umiała, a burzyła się i zrywała do rzeczy wielkich i trudnych, co prawie zawsze przyplącała boleśnie. I chociaż ze krwi tej i plemienia wielce rozrodzonego, bo nierzadko Jastrzębcowie miewali po szesnaścioro potomstwa, jak Marcin Zborowski, wyszło wielu mężów Rzeczypospolitej zasłużonych i dostojności wysokie

piastujących, nie dobili się nigdy oni do takiego znaczenia, jakie inne rody pozyskały. Albowiem jeśli ojcu się powiodło, syn najczęściej tracił, co on zdobył, i na stanowisku się nie utrzymał.

Z Jastrzębców, tego czasu już rozrodzonych, a mnogie nazwy noszących od imion

posiadanych, rozsypanych z Mazowsza począwszy po całym obszarze Rzeczypospolitej aż do

kresów jej, Zborowscy bodaj nie najznaczniejsze i najwybitniejsze zyskali stanowisko. Ani im majątności rozległych nie brakło, ani koligacji, które z pierwszymi domy w Rzeczypospolitej łączyły. Na animuszu też ichmościom nie zbywało, ani na męstwie, i nauki nie brakło, a wszystko psuła ta krewkość i popędliwość, dla której często jednej chwili tracili, uniósłszy się, co długimi laty się odzyskać nie dawało.

I teraz właśnie w podobnym położeniu rodzina się znalazła, od czasu onego pamiętnego zabójstwa Wapowskiego i zajścia z panem Tęczyńskim, dla którego Samuel, mimo wdzięczności dlań Henryka króla, z kraju być musiał wywołanym.

Chociaż wiele sobie z tej banicji nie czyniono, zwłaszcza od czasu ucieczki Henryka, a potem obioru Stefana Batorego, zawsze wyrok ten, wiszący mieczem damoklesowym nad głową jego, dawał prawo pierwszemu lepszemu do nastawiania na życie.

Tylko, że na Zborowskich się porwać, zwłaszcza na Samuela, nie lada człeka było potrzeba.

Po ogłoszeniu banicji, która całą rodzinę i przyjaciół jej przeciw królowi rozszalała i zburzyła, wyjechał był pan Samuel trochę za granicę i tułał się, ale pańskim obyczajem z pocztą wielką, po różnych dworach za granicą.

Wtedy, powiadano, i do Siedmiogrodu do Stefana Batorego zawędrowawszy, miał mu

pierwszy myśl poddać starania się o polską koronę i poparcie swoich znaczne zapewnić. Prawdą to było czy nie, pewna, że po wyborze Stefana, chociaż banicji z niego nie zdjęto, Samuel po kraju jawnie się nosił, jeździł, na zgromadzenia szlachty bezkarnie się stawił, a nawet, co królowi tajnym być nie mogło, na wyprawę moskiewską pod Połock z ludźmi się stawił i nikt mu nie rzekł słowa.

Rzec tedy było można, że banicja na nim przyschła i jest tylko zagojonej rany blizną. I taką by ona może w końcu się stała, gdyby niespokojny umysł Samuela i braci jego nie rozjątrzył starego bólu na nowo.

Wzrost nagły Zamojskiego, którego Zborowscy pogardliwie „Szarakiem” nazywali, chłodne przyjęcie ich przez króla i odmówienie jurgieltu i urzędów, jakich się spodziewali, Zborowskich do takich kroków popchnął, iż z Zamojskim, a przez to i z królem samym, w otwartą popadli wojnę.

Wiadomo, jak pierwsze początki panowania swego król Stefan trudne miał, które tylko z pomocą zręcznego i śmiałego Zamojskiego, a własnej energii i tęgości charakteru, potrafił zwyciężyć i im podołać.

Znaczna część województw w początkach nowego króla znać nie chciała, przy wybranym

Rakuszaninie stojąc, i dopiero zwycięstwo nad gdańszczyzanami odniesione, szczęśliwa wojna z carem moskiewskim, sejmy mimo burzliwości pokonane, śmiałość postępowania, szlachtę szemrzącą i niechętną do milczenia i powodowania się zmusiły.

Wszystko to solą w oku było Zborowskim. Jeden z nich najstarszy, Jan, kasztelan gnieźnieński, przy królu dotąd stojąc wiernie, do upokorzenia zbuntowanych gdańszczyzan wielce się przyczynił. Żądali więc i za to, i za swe zasługi przy elekcji, aby ich dostojęstwa obsypywano i obdarowywano. Oparł się temu pono Zamojski, nie żeby zazdrosnym był, ale że w nich warchołów znał i obawiał się, a chwila była, w której nie tyle buty i zuchwalstwa, co karność wielkiej potrzeba było.

Krom więc spokojniejszego Jana, reszta rodu z Samuelem i Krzysztofem na czele, coraz dobitniej i głośniej, z tym się nie kryjąc, przeciwko królowi i Zamojskiemu knuć zaczęła.

Dochodziło to przez usłużnych ludzi do uszu hetmana, a przez niego do króla, ale w początkach gardzono pogrozkami, a środków żadnych przeciwko językowi rozpuszczonemu nie przedsiębrano, bo dotąd na języku wszystko się kończyło.

Ten i ów prawił o spiskach jakichś i opowiadano, że czasu koronacji w Krakowie już Samuel rozzalony do króla strzelać chciał i ku temu namawiał.

Z Zamojskim, okrom Jana Zborowskiego, żaden z nich nie przestawał i za nieprzyjaciela rodu swojego głosili hetmana, nie szczędząc mu potwarzy. Im Zamojski więcej rósł i wyżej się podnosił, a królowi był miłszym, bo prawą jego ręką był i pierwszym sługą a przyjacielem, tym nienawiść ku niemu rosła w sercach panów Zborowskich. Stał przed nimi żelazny ten mąż jak zaporą, przez którą do majestatu dostąpić nie mogli.

Donoszono hetmanowi, co knowali i jak się odgrażali Zborowscy, szeptano im, jak wzdardliwie te pogrozki przyjmował — i obie strony coraz większej animozji przeciwko sobie nabierały. Jeden tylko Jan gnieźnieński, wiernie po stronie królewskiej stojąc, choć pragnął braci pohamować, nie zdołał.

Wojna z Moskwą właśnie pokój z Turkami i Tatarami czyniła pożądanym, gdy myśl przysłała niespokojnemu Samuelowi opuścić kraj, iść na Niż do Kozaków i próbować, ażali mu się nie uda nad nimi władzę sobie wyrobiwszy, z tą potęgą stanąć 'królowi w poprzek jego zamiarów.

Jak zawsze, był Samuel gorącym i niecierpliwym, gdy mu myśl jaka, zła czy dobra, w głowie zaświtała, tak i teraz, naprzód ludzi swych ku Niżowi sprawiwszy, aby rozpatrzyli się między onym

kozactwem, gdy mu nadzieję przyniesiono, że tam wiele uczynić było można, męstwem a

szaleństwem i twardym życiem, na które Samuel rad się ważył, począł głośno i jawnie na Niż się zbierać i ludzi ściągać.

Była to w życiu Samka chwila taka, o której on sam czuł i wiedział, że szalę na stronę

wielkiej fortuny lub zguby przeważać mogła. Za młodu wszystkiego zażywszy i nadużywszy aż do szaleństwa, poczynał gorycz czuć we wszystkim, nic mu już nie smakowało, co dla niego było dostępnym. Na sumieniu, jak ludzie powiadali, co nikomu tajnym nie było, wiele miał.

Trojga dzieci matka, żona jego, umęczona niesprawiedliwymi doniesieniami i podejrzaniem, obchodzeniem się nieludzkim przywiedziona do rozpacz i choroby, zmarła była; którą

wspominając, często łzy miewał w oczach, a jedyną córkę, jaką mu zostawiła, bardzo do niej podobną, czule kochał, choć i synom miłości nie skąpił.

Serce bo to było równie do nienawiści namiętnej, jak do miłości szalonej skłonne, którego że nigdy hamować nie próbował, ani umiał, ani teraz mógł, wiodło go ono, gdzie chciało — równie na dobre drogi, jak na manowce. W tych godzinach, gdy go ogarniał szal, a człek mu bodaj palca zakrzywił, ubić był gotów bez rozmysłu, a potem za lada usługę po królewsku nagrodzić i życie ważyć przez wdzięczność. Złym i zepsutym dotąd nie był, dopiero go gryząca przeciwko

Zamojskiemu nienawiść i złość bezsilna poczynała psować, a wpływ też brata Krzysztofa na nim się odzywał.

Nim go tu bliżej poznamy, o tym bracie najmłodszym słowo powiedzieć należy.

Zairzucano wiele Samuelowi, bo na oku był, a od zabójstwa Wapowskiego smutnej nabrał

sławy i sądzono go do wszelkiego zła skłonnym. Prawda, że pomiarkowania nie miał, że gęby nie strzymał tak samo jak ręki, że często więcej nią grzeszył niż czynem, a dwór jego i przyjaciele, sądząc, - że go wynoszą, wieszali na nim najgorsze łachmany wymysłów własnych — ale z całą szparkością i krzewkością, butą i porywcznością, Samuel szlachetnego coś w sobie zachowywał - i w pierwszej chwili zawsze ku dobremu go serce wiodło, choć potem głowa na bezdroża wpędzała.

Wielce do niego na oko podobny Krzysztof, bo i z twarzy, i z ducha, z mowy i z ruchu

Samka przypominał, daleko od niego był gorszym. Temu chciwość i ambicja godziny spokojnej nie dawały, a zawiść serce mu jadła, gdy cudze powodzenie widział, wreszcie tego był przekonania, że gdy się człek per fas et per nefas wysoko dobił, wszystko mu będzie przebaczone. Dla sukcesu gotów był też na wszystko.

Wiedzieli szczególniej bracia, że Rakuszaninowi służył wiernie i płacić sobie kazał za to, bo na grosz chciwym i łakomym był niepomierne; chodziły pogłoski niepróżne, że z carem

moskiewskim miał konszachty. Ale gdy Ościka ścięto, a ludzie się przekonali, że król Stefan i w

karmazynach chodzącej zdradzie nie folguje, uciszono te wieści, bo 'to gardłem pachniało.

Ci, co go lepiej znali i wiedzieli, co zaczął być, mówili, że "tak samo diabłu by służyć był

gotów, byle mu jurgielt i bogactwa zapewnił. Taż sama gorąca i niecierpliwa natura, która u Samuela wybuchła niepowstrzymywana, kipiała "i w Krzysztofie, ale w nim zamknięta i zduszona.

Z mowy tylko i ruchów gorączkowych poznać było można, iż się nieustannie hamować musiał, chytrą zażywając jako ten, co "kilku panom na raz służąc, nierad by się wydać ze sromotnym swym zdradzieństwem.

Jeżeli kto, to on Samuela jątrzył, a rad go był za swe na- rzędzie używać, nie dając mu tego poznać, podsuwając myśli, które za Samuelowe głosił, choć mu je narzucał. *I z tą* sprawą niżową Bóg jeden tylko wiedział, kto ją pierwszy podniósł, choć się. nią teraz Samuel jak dziecko lalką nową zabawiał i z nią nosił. Spiski też owe, trucizny i zasadzki na króla i hetmana, o których tyle mówiono, nie zrodziły się w umyśle Samuelowym, który prędzej z nieprzyjacielem wstępnym

bojem niż pokątnym knowaniem rad się był rozprawiać.

Ale Krzysztof umiał wmawiać w niego co chciał i kota, jak zażądał, wywracać tak, że bratu białe czarnym, a czarne jasnym potrafił okazać. Lekkomysłny i namiętny Samko, gdy raz

pochwylił co z ust brata a do serca wziął, jeszcze bujniej się to w nim rozrastało.

Najstarszy Jan, o którym wspominaliśmy, że mu król pokonanie gdańszczyzny zawdzięczał,

mąż był już dojrzały i uspokojonego ducha, choć też samą krew, męstwo i umysłu żywość miał co i bracia. Raz na inną wszedłszy drogę już z niej nie zbaczał, stale się wytkniętej trzymając. Co bracia jego na szarpanie się namiętne zużywali, Jan na stateczne postępowanie w jednym kierunku obracał. Był też i królowi miłym, i Zamojskiemu niepodejrzany, chociaż nie można rzec, aby bliskie pokrewieństwo z Samuelem i Krzysztofem na niego cieniu pewnego nie rzucało. Musiał się tym baczniej pilnować, tym jawniej postępować, iż każdy wątpliwy krok nieprzyjaciela rodziny Zborowskich przeciwko niemu też obrócić byli gotowi. Wiek w nim nieco krew ostudziwszy, już mu łatwiej dozwalał na wybranym trzymać się stanowisku.

Chociaż go ono w antagonizmie jawnym z braćmi stawiało, Jan nie rozbrałał się wcale z

nimi, utrzymywał stosunki i spodziewał się wpływem swoim powstrzymać, gdyby

niebezpieczeństwo groziło, ratować, gdyby w nieszczęście popadli. Rzadki bowiem naówczas przykład był, aby się rodzina, nawet rozróżniona przekonaniami, rozpadła i nieprzyjaźnie przeciwko sobie występowała. Węzeł starodawny, święty, łączył z sobą rodzeństwa, a nawet dalsze gałęzie i odrośle z jednego pnia pochodzące.

Można więc wystawić sobie, jak bolesnymi dla Jana były wieści, które u dworu i po kraju o jego braci chodziły, przypisujące im straszne zamachy przeciwko' panu i przeciw ulubieńcowi jego, hetmanowi. A im one nabierały większej dosadności, tym Jan bolał mocniej. Wreszcie pogłoska, iż

Samuel na Niż się wybiera w chwili, kiedy szło o pokój z Turcją, który łącznie lada ruch kozacki mógł zakłócić, skłoniła Jana, jako głowę rodziny, do powołania braci na zjazd i radę, bo się spodziewał powagą swą warchoła powstrzymać, a podżegacza Krzysztofa zastraszyć. Obu ich znał

nadto dobrze, aby to łatwym sądzić, niemniej próbować kazało sumienie, bo rodzinie groziła zagłada i sromota.

Niechętnie może zgodzili się bracia na ten zjazd potajemny, który inaczej jak za oczami, w puszczy,, odbyć się nie mógł, boby zaraz języki złośliwe poruszył i jako nowy spisek rzucano by go im w oczy.

Przybywał, oprócz wymienionych, i czwarty brat Andrzej, którego inaczej oznaczyć nie można, tylko jako pośredniego pomiędzy Janem a Krzysztofem.

Z młodu we Włoszech wychowany, ogłady wielkiej, dworzanin potem cesarza

Maksymiliana, czym się rad chlubił, sprzyjał po kolei przy elekcjach to książętom włoskim, to Rakuszaninowi, ale i przeciwko Batoremu osobiście nic nie miał, choć go za małego panka uważał i lekko cenił. Życie znacznie w nim namiętności przytępiło, ale dumą urosnął wysoko i umysłem się nad rodzeństwo uważał wyższym, chociaż więcej ogłady miał i pozorów, niż istotnej wyższości.

Ambicji wielkiej, i on też dotkniętym się czuł, nie piastując nic nad marszałkostwo nadworne, które ledwie za szczebel do wyższych dostojęństw uważał.

Pomiarkowania i wstrzemięźliwości słowa nauczył go pobyt za młodu na cesarskim dworze,

więc z niego myśli prawdziwej nie było łatwo dobyć inaczej, tylko naturę Zborowskich w nim budząc i drażniąc miłość własną. Wybuchał i on, bo miał tą samą krew co bracia, ale się rychlej hamował i nie puszczał sobie cugli, a nawet gdy się unosił, dworacka ogłada za daleko mu się posunąć nie dopuszczała.

Jak wszyscy oni się z sobą kochali, tak i Andrzej Samuela w wielu jego postępках

rozgrzeszał, bronił go i żarliwie stronę utrzymywał. Z Janem byli chłodno, ale szanowano w nim głowę domu. Zdanie marszałca niewiele między braćmi ważyło może, ale je szanowano i dlatego zjazd się bez niego obejść nie mógł.

II

Wielka izba gospody w Borówce, okopcona, ze ścianami, które od dymu palonych tu

wieczorami skałek miejscami czarno niemal połyskiwały, wszystkim czterem braciom służyć miała za obozowisko. W kominie i piecu palące się ognie, których czeladź pilno strzegła aby nie wygasły, oświecały ją nierównym, migocącym blaskiem.

Wzdłuż ścian, u ław i na ławach służba panów Zborowskich poskładała odzież, futra,

płaszczki, kobierce, oręż kosztowny i co z wozów zdjąć dla użycia kazano.

Cztery kupy te, każda oddzielnie, tak się od siebie różniły, jak ich panowie.

Najskromniejszą była najstarszego z nich Jana, najnieporządniej narzuconą, ale najwytworniej błyszczącą — Samuela. Ten bowiem, jak o głodzie i chłodzie wytrwać umiał, gdy było potrzeba, wesoło, czego przy wojsku dał dowód, tak czasu sposobnego niczego sobie nie żałował, a gdy ptasiego mleka *zażądał* lub co by na wagę złota nabywać trzeba, mieć musiał. Przychodziły mu fantazje takie do stroju, który raz niepomiernie bywał świetnym, *to* grubym, prostym i zaniedbanym. Z orężem też bawił się, można było powiedzieć, jako dziecko, bo mu niekiedy hiszpańskich zbroi szmelcowanych było potrzeba, za które pożyczanym groszem przepłacał, to potem wschodnie szable skupywał albo płatnerzy z Niemiec sprowadzając, wedle własnego

pomysłu kuć i szmelcować kazał. A co jednego dnia za ostatni grosz nabył, często nazajutrz, gdy go kto poprosił, oddawał, już żadnej do zdobyczy tej nie przywiązując wagi.

Takim we wszystkim był ten człowiek.

Kasztelan gnieźnieński tylko to z sobą wiozł, co niezbędnie dla wygody potrzebnym było, a na okaz nic nie miał; ale mu za to nie brakło na tym, co w niepewnej porze roku zdrowie zachować mogło.

Marszałka podróży wybór odznaczał się wytwornością skromną, lecz wszystko tam było jak najlepsze, najdroższe i wypróbowanej wartości.

Wreszcie pana Krzysztofa sakwy i *rzeczy* chyba się tym odznaczały, że w nich widoczne skąpstwo obok chęci popisu biło w oczy. Więc nie doborem, ale jaskrawością a lichotą Samuela do śmiechu pobudzały podrózne przybory pana brata, co Krzysztofa do gniewu pobudzało.

Ponieważ na pustyni nic się znaleźć, nawet chleba, nie spodziewano, każdy wiozł z sobą

zapas spiżarniany, kołaczki, baryłki z winem, każdy miał kuchnię między czeladzią i wóz dobrze nabity. Ale pan Samuel z tą butą, która go odznaczała, oświadczył zaraz, że choćby nazajutrz głodem miał umrzeć, on dziś panów braci do swojego stołu zaprasza. Okazało się, że na jego wozach 'była zwierzyna, marynowane ryby, solone i wędzone mięsa, wina i miodu pod dostatkiem.

Nawet zastawa stołowa, jak na podrózną biesiadę, za wytworną uchodzić mogła. Misy i półmiski cynowe, także talerze i dzbany kształtami pochodzenie swe niemieckie zdradzały. Do wina kubków srebrnych pozłocistych i dzbana podobnego nie brakło, a nawet obrus niejednej by gospodyni zazdrość obudził.

A gdy misy i półmiski na stół przynosić zaczęto, rozeszła się taka woń korzennych przypraw nęcąca, iż się jej oprzeć było trudno. Wspaniale tak i po pańsku występować lubiał

Samuel, ale służba świadczyła, że czasu podróży lub łowów całe dni o suchym chleba kawałku spędzał lub głód znosił tak wesoło, jak by mu zwycięstwo to nad sobą wielką sprawiało radość.

Od pierwszego powitania bracia, prócz tego co się ich rodzin i osób tyczyło, nie rozpoczęli rozmowy o tym, co ich tu sprowadzało. Chociaż wszyscy taką tylko służbę i czeladź mieli tu z sobą, której się strzec wcale nie potrzebowali, woleli za konsensem powszechnym odłożyć rozprawę do chwili, gdy dwory ich i czeladź z kolei do jadła zasięda i podchmielą sobie, aby ich zbyt nie podsłuchiwali i nie szpiegowali. Zeszło więc tak do wieczora późnego przy kubkach na

obojętniejszym gwarze o pospolitych sprawach, choć i tu o królu już i o hetmanie nie zapominano.

Na ostatek podniósł się z ławy Jan, kasztelan gnieźnieński i posiwiałą głowę musnąwszy

dłonią, okiem rzuciwszy dokoła stołu, przy którym siedzieli, ozwał się półgłosem:

— Czas do rzeczy przystąpić... Pozwaliśmy cię tu, Samku, w sprawie tego Niżu, o którym

ludzie już plotą, że się tam na przekorę królowi wybierasz. A po co go przeciwko nam drażnić, gdy i tak dosyć ma niechęci, i co imię Zborowskich nosi, już mu podejrzane. Przy tym z tego, co o Niżu wiemy, trudno nam wróżyć sukcesu. Zawichrzyć tam łatwo, a z chłopstwem lada jakim, choćby hetmaństwo nawet od niego czekało, nie przystało Zborowskim wchodzić w przymierza.

Samuel słuchał uśmiechając się i twarz mu drgać zaczynała, bo już pilno było wystrzelić

odpowiedzią. Wszelako bratu starszemu chciał się dać wygadać.

Jan prędko skończył.

— Jeżeliś myśl tę miał, na Niż do kozactwa jechać, rzuć ją z lichem, na nic się nie zdała.

— A skąd wy, panie kasztelanie, ów Niż znacie, że o nim tak prawicie, jak byście tam byli i naocznie się przekonali, że ono kozactwo do niczego? Chłopi są, mówicie? Są i chłopi, nie przeczę, ale swobodni, a swoboda to wielka mistrzyni, daje im takiego ducha, jakiego niejednemu

szlachcicowi przyszłoby im zazdrościć. Ano, nie samo tam chłopstwo na tych ostrowach i po tym stepie się zbiera; siła jest naszych braci, którzy doma sobie przykrzyli, albo od pomsty i sromoty głowę ratując, puciekali.

To pewna, że ono kozactwo odważne, sprawne i na lądzie, i na wodzie wojownicy dzielni, i tylko wodza im brak, aby z nich siłę stworzył, która nie samemu Turkowi i Tatarzynowi straszną będzie... Przy tym ich ostrowy i kamysze są taką twierdzą, że tam ich ścigać i dobywać nie może nikt; bezpieczni są. Co za dziw, że się takiemu wojsku hetmanic zachciewa. Ono to jest ciasto, z którego dobra gospodyni kołacz upiec potrafi.

— A ty tą gospodynią być myślisz? — podchwycił z litościwym niedowierzaniem

kasztelan. — Znamy się przecie i ja ci wielkich przymiotów, męstwa, rzutkości, rycerstwa zaprzeczać nie myślę, ano, na wodza abyś potrzebne kwalifikacje miał, tego i miłość braterska nie potrafi przyznać.

Samko się cały poruszył i zadrgał, jak by go smagnięto.

— Myślicie tak, boście mnie wodzem nie widzieli — zawołał — ale ja w sobie czuję to, panie bracie, że czym zechcę być, tym potrafię!

— Dużoś rzekł — odparł Jan spokojnie — a daj Boże, aby w tym choć odrobina prawdy była. Ja bym się temu cieszył, Bóg świadek. Pierwsza, czym nie potrafisz być, choćbyś chciał, to karnym i posłusznym!

Samuel rozśmiał się rozbrojony.

— Ba! — zawołał. — Na to zgoda... ano, Zborowskich we mnie krew. Jarzma ona nie cierpi.

— A o tym nie wiesz — rzekł Jan — iż kto słuchać nie umie, ten rozkazywać nie potrafi.

— Kto to powiedział? — chmurno zapytał Samuel.

— Doświadczenie wieków — dodał kasztelan.

— Może ono być rzetelnym — przerwał Samuel chmurno — ale się stosuje do pospolitych ludzi. Nie zaprzeczycie mi, że są wyjątkowi, że takim ze krwi i rodu hetmaństwo się należy, a nie posłuszeństwo. Ja w sobie czuję, że do gminu się nie liczę.

— Nikt z nas też — dodał Andrzej — nie zechce do niego należeć, i pan kasztelan też pewnie nie ostatnim się czuje.

Zamilkli wszyscy.

Rozmowa dotąd pomiędzy Samuelem a Janem zagajona nie weszła była na tor właściwy i kasztelan to zrozumiałwszy zwrócił w inną stronę.

— Mniejsza o hetmaństwo — rzekł — i o to, czym się kto czuje, nas tu sprawa wspólna

familii ściągnęła. Za tego panowania, na którym najpiękniejsze pokładaliśmy nadzieje, stoimy z każdym dniem coraz gorzej. Nie mówię tego o sobie, bo się trzymam, jako mogę, aby i was w potrzebie ratować, ale wy wszyscy poszliście takimi drogami, które do zguby wiedą.

Samuel i Krzysztof spojrzeli na siebie i porozumieli się wzrokiem. Chciał mówić Samuel, lecz postrzegłszy, iż Krzysztof do odpowiedzi się gotuje, zamilkł, oczy zwracając na niego.

— A kto nas na te drogi wpędził?! — zawołał Krzysztof. — Nie dobra wola, a konieczność, prześladowano nas, prześladują, co za dziw, że na wszelki sposób bronić się usiłujemy.

Wyrazy te wymówiwszy tonem umiarkowanym, w którym pewien przymus i

powstrzymywanie się czuć było, nagle pan podczaszy rzucił się, jak by ciężar z ramion jakiś strząsnąć chciał, wlepił oczy w kasztelana i począł, głos podnosząc:

— Co my tu z sobą, pomiędzy braćmi, w ciemną babkę grać będziemy! Ja się za język kąsać

nie myślę i wolę od razu z serca zrzucić, co na nim mam. Pomiędzy nami, kasztelanie, choć bracią jesteśmy, przepaść się otworzyła. Wy, tego wilka siedmiogrodzkiego, tego przekłętego Węgra, który na zgubę naszą na tron się wdrapał, wenerujecie i słuchacie, wy do jego rady należycie, wam wszystko dobre, co on czyni albo służka jego hetman; a my, myśmy ich nieprzyjaciele, wrogi zdeklarowane i z tym się przed wami taić nie myślimy.

Jan ten wybuch, choć twarz mu się krwią oblała, przyjął z powagą wielką, nie sierzając się, gdy w Krzysztofie już paliło się i kipiało.

— Mówicie: my, panie podczaszy — odparł zimno. — Któż to z wami, azaliście wszyscy tego przekonania?

Samuel pierwszy butnie krzyknął:

—Ja z Krzysztofem trzymam! Wrogi to nasze są, mało tego, wrogi są wolności naszej i Rzeczypospolitej, okiełznać nas chcą i w kajdany zakuć!

Andrzej, który oczy miał spuszczone i namyślać się zdawał, dodał z kolei:

— Prawdę mówi! Temu zaprzeczyć niepodobna, że oni prawa i przywileje nasze łamią i depcą. Co im sejm? Co im uchwały? Baliśmy się Rakuszanina, cesarza, że na nasze swobody czyhać miał, a gorzej się stało, żeśmy to małe i ubogie książątko wzięli, bo ten z pomocą hetmana wprost do *absolutum dominium* kroczy. Toć to jawne. A jakże my to znosić mamy? Albośmy to jedni? Spójrzycie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej i posłuchajcie. Jeden jest głos: jeżeli król pożyje a potrwa, wiekowe nasze *libertates* przepadną. Do tego wszystko jawnie zmierza!

Kasztelan się zmarszczył, głową potrząsał.

— Mam ja też oczy — rzekł. — Prawa tej Rzeczypospolitej a nasze tak mi są drogie, jak i

wam, tego zaś, co mu zadajecie, nie widzę. Groził bunt gdańszczan, za którymi by poszło Pomorze, siedział nam już na karku car moskiewski, co miał czynić król, dla warcholącej szlachty dać nam

przepaść? Musiał przebojem iść, aby Rzeczpospolitą ocalić, i ocalił ją, i jego orężowi Pan Bóg pobłogosławił; a gdzież są te swobody, które wam odjęto?

Krzysztof ledwie mu dał dokończyć, rozпалиł się okrutnie.

— Wyście, panie bracie, już ich, nie naszym! — krzyknął. — Ślepi jesteście dobrowolnie,

trudno wam oczy otworzyć. Niebawem rzeczy dzieją się u nas! Ścięto Ościka, na innych się odgrają, że im też na gardło staną. Pospolite ruszenie zwołują samowolnie, pobory dawać zmuszają, a już im dawnego żołnierza, co przez tyle wieków bronił i zasłaniał, nie dosyć, zaciągi robią z prostego chłopstwa, cudzoziemców jurgielami zwabiają, piechoty jakieś wystawiają.

Na nieprzyjaciela to potrzebne, mówią, przeciwko twierdzom jego, a co innego myślą.

Żołnierz obcy, gdy siła go będzie, na nas się obróci i szlachtę zdusi. Jako żywo go nie przeciw Moskwie zbierają, ale przeciwko nam! I my to cierpieć mamy, nie myśląc zawczasu o obronie? Cha!

Cha! — rozśmiał się podczaszy.

— Wymysły są i potwarze — odezwał się kasztelan. — Ja z wami o tym rozprawiać nawet nie myślę, bo nie widzę niebezpieczeństwa, a patrzę na tryumfy. Połock odebrany...

Chciał mówić dalej, ale mu Krzysztof nie dopuścił.

— Tak samo jak wam z nami, tak nam z panem kasztelanem spierać się trudno, bośmy dwu

obozów ludzie, a one nieprzejednane są. Wasz pan wrogiem jest naszym i my się z tym nie taimy, że przeciwko niemu cokolwiek możemy czynić, przedsiębrać, cokolwiek na jego szkodę zgotować potrafimy, nie omieszkamy!

Samuel potwierdził żywo.

— Jam tejże wiary, co i Krzysztof — zawołał — a mam może ku temu jeszcze więcej niż on

pobudki. Któż to pierwszy temu wilkowi, gdy siedział w swej jamie, myśl tę poddał, że się o tron polski kusić może, i ku niemu obrócił ludzi? Skorzystał z tego, Bóg zapłać mi nie powiedziawszy.

— A gdybyśmy byli Rakuszanina się trzymali i na tron go podnieśli — wtrącił Krzysztof —

dopiero byście widzieli, jak by nasza rodzina urosła. My byśmy teraz i hetmańską buławę, i krakowską pieczęć mieli, nie licząc pieniędzy i starostw. My byśmy tu rej wiedli, jak nam z dawna należy.

Andrzej głowę skłonił.

— To pewna — rzekł — że on nam żadnych nie przyniósł korzyści. Hetmanów u nas takich

siła, pieniędzy nie dał, bo ich sam nie ma, a zapożyczać się musi, przymierza i siły żadnej nie dał nam.

Samuel się złośliwie uśmiechnął.

— Ano, uczynił nam to dobrodziejstwo wielkie, że starą królową, której nikt nie chciał, zaślubił. I to mu się policzyć powinno, bo żona nie do zazdrości i nic mu po niej.

— W miejsce jej znajdzie sobie w Grodnie dziewczkę — rzekł Krzysztof — a siła takich na dworze ma, co mu ją przywiodą, tak jak nieboszczykowi Zygmuntowi prowadzili, aż te czarownice i lubownice życie z niego wyssały.

Kasztelan z pogardą głowę odwrócił, nie chcąc nawet odpowiadać, więc Krzysztof, coraz bardziej poruszony, mówił dalej:

— Jeżeli wy nas, panie kasztelanie, nawrócić myślicie na wiarę waszą, kortezańską, mylicie się srodze. Nie pójdziemy za wami, ale przeciwko wam, a wszystko, co na Wilcze Zęby potrafimy, czynić nie omieszkamy.

Spokojnie się podniósł z siedzenia Jan i przez okno, niedaleko będące, na ciemną noc spojrzął, jak by dnia szukał, mówiąc:

— Ja tu z wami nie mam już co czynić, a buntowniczych mów waszych słuchać mi grzeszne

Czyńcie, co się wam upodobą, kiedy was do rozumu i statku przywieść nie można, a będzie-li z tego srom i nieszczęście, nie moja wina, umyvam ręce. A nie myślcie, że wy z waszymi pokątnymi kontraktami i spiskami coś zdołacie. Mają na was oko, chodzą za wami i koło was ludzie, żadnego nie uczynicie kroku, aby o nim nie doniesiono, bo Zamojski wie dobrze, co o nim i o królu trzymacie. Więc to wam zapowiadam głośno i wyraźnie, naprawić się nie chcecie, ja z wami nie trzymam. Boleje serce braterskie, ale Bóg świadek, gdym uczynił, co powinność nakazywała, dla miłości waszej dalej nie pójdę.

— Nie chodzi tu o samą miłość naszą, panie bracie — począł na nowo Krzysztof — ale o naszą Rzeczpospolitą całą, którą oni na jakieś carstwo, na turecki regiment chcą przerobić, na co my, choćby gardła przyszło dać, nie pozwolimy.

— Gardła dać łącno — rzekł kasztelan, wzdychając — dał je Ościk... Nie pofolgują i panom Zborowskim, gdy się okaże, iż podczaszy do cara listy posyła.

Krzysztof się zarumienił i milczał.

— Małość było z cesarzem knować i Rakuszaninowi służyć — ciągnął dalej kasztelan — z

Moskwą też wchodzisz w traktowania...

— Nieprawda! — bąknął podczaszy — bo żadnych jeszcze umów nie było, a do kogo się zgłaszają koronowani, przecież milczeniem ich zbyć nie może.

Kasztelan ręką rzucił, jak by dzisiejszy spór za próżny uważał.

— I Rakuszanina, i cara moskiewskiego bym wołał — mówił dalej podczaszy — niżeli tego Cygana, który nam nie przyniósł nic, krom pięści.

— Zdałać by się i ona na warcholów — zamruczał Jan — lecz co to o tym z wami rozprawiać. Dajmy sobie pokój! Dla mnie, co król czyni, dobrym jest i zbawiennym, dla was zgubnym! Przybyłem na zawołanie, jak mi powinność krwi nakazywała, bom starszy w rodzie i głową waszą, ale słowa moje jako groch na ścianę, marnować ich nie myślę.

To mówiąc i już trochę zniecierpliwiony wstał, w ręce klaskając na czeladź.

Ta, chociaż w pobliżu była, ale właśnie biesiadowała i choć kasztelan po kilkakroć powtarzał niecierpliwe klaskanie w dłonie, nikt nie nadchodził. Dopiero w chwili uciszenia usłyszał ktoś i wbiegł z czeladzi pana Samuela wyrostek.

— Wołaj mi Kubełkę mojego! — odezwał się kasztelan. Milczeli wszyscy, gdy się zjawił stary sługa.

— Jak świt mi konie gotować — rzekł Jan do stojącego u progu — napoić i karmić zaraz, abym nie czekał. Wracamy pilno!

I ucichł.

Po odejściu sługi trwało jeszcze czas jakiś milczenie, ale z ruchów pana Samuela i

Krzysztofa widać było, że na siłę się powstrzymywali od sporu ze starszym bratem, który obu rękami sparłszy się na stole zadumał, oczu nawet na nich nie zwracając długo.

Dopiero po tym milczącym, przeciągniętym przestanku, kasztelan się do Andrzeja zatopionego w sobie obrócił.

— Ani Samuela krwi gorącej, której impet już przyplącił —

rzekł poważnie — ani młodemu podczaszego rzucaniu się bez rozwagi nie dziwuję się, ale

wy też z nimi trzymać myślicie?

Pan Andrzej usta podniósł i zwrócił się ku kasztelanowi.

— Wy to wszystko — rzekł — na karb krewkości kładziecie, a nie widzicie tego, że oni nie jedni są przeciwko królowi i hetmanowi. Mało rzeknę, gdy połowę Rzeczypospolitej do naszego obozu zaliczę. Milczy wielu, bo im strach zamyka usta, ale myślą tak jak my, a pośliznęłyby się jeno stopa Węgrowi, dopiero byście posłuchali, co o nim trzyma szlachta i jak go kocha. Tyran jest, samowola, ciemiężnik. Nie okiełznał nas jeszcze, bo czasu nie miał, ano, poczekajcie mało, ani nie spostrzeżecie, jak popadniemy w niewolę. Kajdany nam kują jawnie, a my tego widzieć nie

chcemy. Wskazywał pan Krzysztof na owe piechoty cudzoziemskie i chłopstwo zaciągane do

wojska, nie przeciw komu tylko na zgubę naszą. Dlatego na nowe pułki pieniędzy nie żałują, bo one przeciw swobodzie naszej stają. Wybiję godzina, rozpędzą radę i sejm i za łeb nas pochwycą. Jakże my się nie mamy bronić i wszelkich środków zażywać, aby ta wolność, na którą wieki pracowały, dla dzieci się naszych uchwala!

— Wolność, ale nie swawola — podchwycił kasztelan. — Jakże my przeciwko naszym

nieprzyjaciołom obronić się po-

trafimy, gdy w domu posłuszeństwa i ładu nie zrobimy.

— Tożeśmy wieki tak przetrwali! — zawołał Andrzej.

— I Połock stracili, który w rękach Moskwy przez siedemnaście lat zostawał, i pokoju nie mieli nigdy na granicach, a Tatarom się opłacać przyszło, a z Wołochy nic poradzić nie umieliśmy.

Ale to jest król i pan, który poprzysiągłszy *integritatem* Rzeczypospolitej i rekuperację, chce swojej przysiędze uczynić zadość.

Andrzej się rozśmiał, głową potrząsając.

— Jużci Sygoniuszowemu uczniowi a padewskiemu rektorowi na argumentach nie

zbraknie, aby się oczyścić — rzekł szydersko — ale to blichtr jest, a despotyzm jawny nam grozi,

— Dlatego też — wybuchnął gwałtownie Krzysztof — co w naszej mocy jest, czynić

będziemy, aby się i pana, i sługi pozbyć! Wszystko nam dobre, bo o Rzeczpospolitą idzie.

Zbrodniarzy na nią sidła zastawujących, wolno tak zgładzić w obronie praw naszych, jak pospolitego złoczyńcę.

Kasztelan, słuchając, obie ręce podniósł ku niebu, jak by je na świadectwo wzywał, ale nie

odpowiedziawszy nic, dłońmi sobie uszy zatknął, aby dalej nie słuchał, co Krzysztofa nie powstrzymało, który ciągnął dalej.

— Nie o Samuela banicję ani o sponiewieranie rodziny naszej mścić się będziemy, boby to prywatą było, choć i ta człowiekowi krewkiemu wybaczona, ale niewoli cierpieć nie chcemy i nie możemy.

— A któż was stróżami swobód uczynił i polecił wam pilność nad nimi? — zapytał

kasztelan. — Są na to senatorowie i rada, są sejmy...

— A gdy senatorowie ujęci lub zastraszeni, rada milczy, sejmy na próżno rekryminują, bo ich cale słuchać nie chcą, więc każdy pojedynczy człek, miłujący kraj, powinien go ratować —

rzekł Samuel.

— Samku! — z pewnym szyderstwem przerwał kasztelan. — Samku! nie ubieraj się ty za

instygatora przeciw drugim, gdy sam na sobie tyle masz, że nie wiem, jak to dźwigasz. Wielkie słowa, ale prywatą z nich patrzy, choć się jej zapieracie.

— Ja się jej zapierać nie będę — począł Krzysztof. — Królem się on zowie, choć nie wiem, czy tego imienia godzien, ale ja go człowiekiem tylko widzę przeciwko sobie i nieprzyjacielem.

Trafiałem do niego różnymi drogami, znać nas nie chce, odpycha, więc ja to mam zjeść i strawić, a upokorzyć się? Nigdy w świecie! Wypowiedział mnie wojnę, nam wojnę, będzie ją miał.

— Na proch i miazgę was zgniecicie! — zawołał kasztelan, którego głos przybrał żalną

intonację. — O, bracia moi najmilejsi! — dodał — skruszyć się dajcie i opamiętać, proszę was.

Dusza moja przeczuwa klęski straszne i sromotę dla rodu naszego wielką, którą upór nierozumny ściągnąć może.

Dajcie mi się ubłagać, uprosić, bo nie narzucam wam woli mej, choć głową jestem, ale

proszę i suplikuję, zaniechajcie tych odgrózek, tych knozań i wyzywania, albowiem klęskę wywołacie. *Vana sine viribus ira*, a gdzież siły wasze? Ani wy, ani my wszyscy, gdybyśmy naszych powinowatych Jordanów, Stadnickich, Tarnowskich, Ossolińskich pościągali, gdyby oni wszyscy z nami iść chcieli — a nie pójdą — nie uczynim mu nic, zgniecicie nas. Nie pracujcie na własną zgubę!

Błagającym tonem, niemal płaczliwie, a z powagą rodzicielską, łamiąc ręce mówił

kasztelan, ale na żadnym z braci wrażenia nie uczynił. Samuel nieznacznie się uśmiechał, Krzysztof miotał niecierpliwie, Andrzej siedział zimny i wcale nie poruszony.

Poczekawszy chwilę, a widząc, że się tu już niczego spodziewać nie może, westchnął stary, sparł na rękę i zmienionym tonem spytał Samuela:

— A dzieci twoje kędy są? Wiedzą one o tym, że się ty kozackiemu motłochowi w ręce dobrowolnie rzucasz, że na kresy idziesz bez siły, jaka tam potrzebna, gdzie lada kupa z Budziaku wybiegła o wolność, i o gardło, i o całe mienie cię może przyprawić, bo, uchwaj Boże, niewoli — bez okupu nie puszcza. Cóż na to synowie twoi, co twoja ulubiona Anusia?

Zmarszczył się nagle, zmitrężony wielce tym pytaniem Samuel.

— Ja się dzieci nie zwykłem radzić, gdy mam co poczynać — rzekł dumnie — boć więcej rozumu nade mnie nie mają.

— Ale ich miłość ku wam natchnęłaby radą dobrą — rzekł kasztelan. — Chcesz je więc przed czasem sierotami uczynić?

Ruszył ramiony pan Samuel.

— Tej ja aprehensji na Niż się wybierając wcale nie mam — odparł — ginąć nie myślę, ale się salwować. Cóż jeśli Kozaków ujmę i pod buławę swą zaprzęę. Natenczas i król, i

Rzeczpospolita pokłonić mi się będą musieli, bo im pod bokiem siadłszy, albo dokuczyć, lub usłużyć potrafię. W kraju mnie znać nie chcą, miejsca tu dla Samuela nie ma, poszukać go więc musi, choćby między tymi zbiegami, którym głowa i wódz potrzebny. A nie myślcie, aby

kozactwem tym pogardzać się godziło; wiem, że go siła jest po ostrowach na Dnieprze, a czajki ich, gdy je trzcina obszyją, na morze wybiegają i Turkom dojadają, i łupy zagarniają wielkie, a w skarbcu u nich może więcej złota i srebra, niż w naszym koronnym, który pożyczkami zasilać się musi. Jeżeli myślcie, że ja pozyskanie sobie onego kozackiego hetmaństwa mam za rzecz małą a lekką, mylicie się. Wiem dobrze, iż nie zdobędę władzy nad nimi nie przymarłszy głodem i nie folgując ich grubym obyczajom, alem się na to z góry ważył. Kasztelan słuchał cierpliwie.

— Bóg z tobą — rzekł — chcesz na Niż, choć powrócisz z niczym, a daj Boże z życiem

tylko, wola twoja. W tym jeszcze tak wielkiego grzechu nie będzie, samowola tylko i buta szlachecka... Ano, przynajmniej spisków, konszachtów i owych knowań pokątnych, o które was obwiniają, zaniechajcie. Ciągłe na was donoszą, że to truciznę gotujecie, to zasadzki układacie, to się z nieprzyjacioły znosicie. Skończy się na tym, że jedna kropla przepełni naczynie, i, Samku, ty albo Krzychnik (tak w rodzinie zwano Krzysztofa) nałożycie głowę.

Podczaszy się rozśmiał.

— Ja swej bronić będę — rzekł — a gdy mi tu za gorąco będzie, do cesarza zjadę, w którego służbę jestem wpisany, lub choćby do moskiewskiego.

— Cóż, z szalonymi rozprawa! — westchnął powstając z ławy kasztelan. — Jan tu już niepotrzebny, swoje spełniłem.

W oknie wczesny brzask dnia wiosennego sinym światłem się zwiastował, ale pora się obiecywała wilgotna i słotna. Niebo było obłokami zaciągnięte.

Znużony czuwaniem kasztelan sobie kazał zagrzać winnej polewki, a Samuel nowy dzban małmazji postawiwszy na stół, sobie i braciom, krom Jana, ponapełniał kubki i wesoło pił po cichu zdrowie przyszłego pana hetmana niżowego. Stuknęli nimi, aż zabrzękły, i pan Samuel swój duszkiem wypiwszy, natychmiast go na nowo napełnił.

Kasztelan już całkiem był zajęty swym wyborem w drogę, nie na pogrózkę tylko objawiwszy postanowienie odjechania od braci. Widział on, że tu już nic nie pocznie, a sprzeciwiając się im, podrażni tylko. W milczeniu naprędce polewkę wypiwszy, gdy stary sługa się zjawił u progu, oponczę lekkim futerkiem podbitą podać sobie *kazał*.

Bracia patrzyli na tę ucieczkę obojętnie, ani się go wstrzymywać starali. Owszem pana

Samuela wesołość rosła, bo się swobodniejszym czuł, gdy starszy brat z rozumem i rozwagą swą odjechał. Żegnali się milcząco, ledwie sobie ręce podawszy. Dopiero przeprowadzający do progu Samko uczył się wzruszonym, gdy już Jan, którego nawykł był jak ojca szanować, miał wynijść.

Rzucił się go ścisnąć serdecznie, ale za późno.

Kasztelan przyjął tę czułość zimno, nałożył kołpak na głowę i w chwilę potem kotcze jego, konie, i wozy, i on sam już ciągnęli drogą ku Krakowu.

Trzej bracia pozostali sami na Borówce.

III

Gdy owego mentora nie stało, zaraz jakby wiatr inny powiał po trzech młodszych, wielki kamień spadł im z piersi. Samuel, który żegnając w progu kasztelana powieki miał zwilżone, otarł je rażno, bo u niego płacz i śmiech chodziły łącno w parze, i naprzód kubek wychyliwszy głos podniósł:

— Niech zdrów jedzie stary, który się już do tych dzieł nie zdał, gdzie potrzeba żywszego animuszu.

Wiek ma prawa swoje, myśmy, chwalić Boga, jeszcze inni, toteż swobodnie się teraz naradzić, nic nie zakrywając, możemy.

Nie tylko on, ale i pan Andrzej, który wprzód wzrok trzymał spuszczone, a mówił niewiele, spojrział śmielej. Krzychnik wstał i pasa rozwiązał.

— Na kasztelana — rzekł — ja tyle tylko rachuję, że gdybyśmy popadli w matnię, bronić

nas będzie i nie opuści, choć z nami nie był... A do roboty ciemnej on się nie zdał. My zaś teraz innej jak ciemną podejmować nie możemy, bo nam jasną zasieczono. Złowrogo prorokuje Jan, ale on z innej strony na to patrzy i tego co my nie widzi. Kręci się tam, kędy około króla i hetmana posłuszni sami słudzy, a my widzimy i słyszymy, co się po obszarze tej Rzeczypospolitej dzieje.

Płacz i zgrzytanie zębów! Żaden z królów się na to nie ważył, co ten goły pan o wilczych zębach.

Ano, nie byłby on taki, gdyby nie szarak, gdyby nie pan Zamojski. Ja spełna nie wiem, kto z nich panuje i czy Zamojski hetmani u Batorego, czy Batory u Zamojskiego! Bez niego on by kroku nie stąpił. Gdyby dziś się udało Zamojskiego zgładzić, jutro by albo Batory do Siedmiogrodu uchodzić musiał, albo innym być i tak nam skakać, jako my mu zaśpiewamy.

— Święta prawda — potwierdził Andrzej — ale na hetmana się porwać trudno, bo wszędzie swoich ma i szczęście mu sprzyja, a na męstwie i chytrłości nie zbywa.

— Choć trudno, przecie się ich pozbyć musimy, *periculum in mora* — zawołał Krzysztof —

ano, to nas w chłopcy obróca! Co tu szeroko wykladać, widzicie sami. Te pułki chłopskie i cudzoziemskie, niech co chcą gadają, że im piechota potrzebna, a szlachcic z konia zsiadłszy do niczego, te pułki na nas są wymierzone, nimi, gdy wskażą, mogą i sejm rozpędzić.

— Nie ważą się! — zamruczał Andrzej.

— Odwaga im rośnie z naszą głupią pokorą — ciągnął dalej Krzychnik. — Dziś się nie

ważą może, a za jutro ja nie (Tęczę. Zważcież, co czynili po moskiewskich wyprawach, aby despekt starej szlachcie wyrządzili. Posłuchajcie pana Bartosza Paprockiego, gdy liczyć zacznie, ile oni tam na poczekaniu nowej szlachty nakreowali z lada drukarzy i puszkarzy, mieszczaństwa i gminu. W zawody król swoim herbem, Zamojski połowicą swego obdarzał, a to wszystko dlatego, aby z tych łyków sobie wiernych sług pomnożyli. Mają oni prawo do tego czy nie, nie pytają, tak jak i w innych sprawach, król i hetman okrom swej woli mało kogo do rady przypuszczają. Czym to pachnie, to my wiemy, ale nie my też jedni — mamy takich dość, co z nami trzymają.

— Po całym kraju malkontentów siła — dodał Andrzej — temu zaprzeczyć nie można, ale

trwogę taką rzucili Ościkiem na ludzi, a hetman tak głośno zapowiedział, że nikogo szcędzić nie myślą, iż teraz ci, co najwięcej ich nienawidzą, najpodlejsz milczą.

— Bo się nie mają do kogo przyłączyć, a sami słabymi się czują — odezwał się Samuel. —

Ja na Niż, bo to już u mnie postanowione, a Krzychnikowi przypada w domu motać i gotować.

— Jakby było z kim — westchnął podczaszy — jam nie od tego. Choć jeszcze nie wiem

sam na czyją 'korzyść i stronę się przechylę i działać będę, ale to pewna, że spać się nie położę. Na cesarskim dworze jakom miał związki, tak je zachowam, z moskiewskim począłem znowy, ale przez posły wilk nie tyje... Pisma posyłać niebezpiecznie, ludzi nie wiedzieć, skąd wziąć, i do Moskwy się boję gorzej może niż do Turka. Sprawa nie łatwa. Teraz jeszcze to widmo Ościka stańło na granicy i odstrasza.

— Czyż dlatego opuścić ręce? — począł Andrzej.

W czasie tej rozmowy, żywo prowadzonej, Samuel, którego już poważniejsza jej treść nudzić poczynała, siadł nad kubkiem, pił i nucił sobie jakąś piosenkę. Znużonym był.

Krzysztof dopiero ożywiać się poczynał.

— Ja jestem dobrej myśli — mówił dalej. — Gdy nie dziś, to jutro, dobra nasza! Choćby

panowanie trwało jaki czas, a juści je i skrócić można (tu odkaszlnął znacząco), nic po nim nie pozostanie. Cudu tego nie dokaże Batory, aby potomka po sobie zostawił — to darmo. Po nim Kakuszanin gotowy i nauczony rozumu, a my z nim. Królowa jejmość, choćby króla przeżyła, wpływu takiego, jak za elekcji Henryka mieć nie będzie. Doczekała się tego, że ją wybrano i na tronie osadzono, a co po tym? Gdy nie panowała, więcej władzy i znaczenia miała niż teraz, a wiem o tym, że ją pan Zamojski pozbawił wpływu na męża i nie cierpi go. Można się domyśleć, że siostrzeńca będzie się starała prowadzić na tron, ale się to nie uda, a gdyby się powiodło, Zamojski już przy nim tak się rządzić nie będzie, jak za Batorego. Prze- ' strzegą młokosa, pierwsza ciotka, aby się za czuprynę wziąć nie dał. Wszystko to więc przemijające i przyszłość — nasza! —

dokończył Krzychnik.

— Albo, albo — ze sceptycyzmu odrobiną wtrącił Andrzej. — Jeśli się ten stan długo

przeciągnie, łatwo rachuby twoje chybić mogą. Oni z każdym dniem siły nabierają, a szlachta słabnie. Albo to wy nie znacie panów braci naszych, którym byle się dać wykrzyczeć, będą potem głosowali i na pobór, i na pospolite ruszenie. Pod koniec zmiękną, gdy im do bigosu i do piwa będzie pilno, albo do jejmościnej pierzyny.

Rozśmiał się Samko.

— Dość by już tego — przerwał — ano by coś weselszego przystało.

— Nie pora — rzekł Krzychnik. — Obradźmy naprzód to, z czymesmy się tu ściągnęli.

Wierzymy wszyscy, iż albo króla, albo pana hetmana pozbyć się potrzeba, lub obu połem.

Andrzej głową, a Samuel głosem potwierdził wniosek.

— Samko na Niż ciągnie, wy, bracie Andrzeju, do tegoście nie sposobni, na mnie więc

spada wszystko. Nie wymawiam się, ani wyrzekam, choć nie wiem, jak się do tego wezmę, przy tym jednym stojąc, abyście mi, popadnę-li w biedę, w pomoc przyszli i nie opuszczali.

Ruszył się marszałek z gotowością oświadczając.

— Bądźże pewien, że pójdziemy z tobą! — zawołał. — Nie opuścimy cię! Więcej powiem, że Jan, choć nam sojusz wypowiedział, a i ten się od rodziny nie odłączy, więc bądź spokojny.

— Mnie znasz — dorzucił Samko. — Jam twój, a rozumu, choć go siła nie mam, mienia, jakie pozostało, i zdrowia nie będę skąpił. Czyń tylko, co można, abyśmy się panowania tego zbyli.

— Mówiliście — rzekł po pewnym wahaniu Andrzej, który się do Krzysztofa przysunął — że z tego panowania nic nie pozostanie, bo jużci potomstwa się spodziewać śmiesznym by było, ale oni też mądrzy są. Zamojskiemu władza zasmakowała, kto wie, jakie po mózgu myśli mu się zwijają. Niedaleko od tronu stoi, może mu się zda, że na osierocony wdrapać się potrafi!

Samuel i Krzychnik razem zakrzyknęli:

— Niedoczekanie szaraka!

— Posłuchajcie ino, jak się on do tego bierze — ciągnął dalej Andrzej po cichu. —

Tajemnicą to jest jeszcze dla wszystkich, alem ja tego nie wymyślił, wierzcie mi. Ma synowicę Batory. Hetmanowi dawno pierwsza żona umarła, to pewna, że się myśl narodziła, jeszcze go zbliżyć do tronu, dając mu królewską jakby córę przybraną. Co wy na to?

Samuel i Krzysztof zarówno zdumieni spoglądali po sobie, niedowierzająco słuchali, ale wiadomość ta nie uczyniła na nich zbyt wielkiego wrażenia, bo ją za zmyśloną mieli.

— Baśń ktoś splótł — rzekł Krzysztof. — Gdzie to słyszana rzecz, aby król poddanego tak z sobą spoufalał, ośmielał i łączył?

— I mnie się zda, że to przyjaciele szaraka wymyślili! — zawołał Samko. — U nas o synowicy królewskiej nikt dotąd nie słyszał. Zamojski sam tej myśli by się powziąć nie ważył, a król...

— Król nim żyje tylko! — rzekł Krzychnik. — Bez niego kroku nie stąpi, bez rady jego

papieru nie podpisze, kraju nie zna, ludzi nie rozumie, więc ślepy, chłopcu, co go prowadzi, gotów ostatek dać, aby go do przepaści nie ciągnął. Gdy się tak małżeństwem zwiążą, łącno potem przyjdzie hetmanowi, buławę rzuciwszy, po *sceptrum* sięgnąć!

Na długą chwilę wszyscy zamilkli. To, o czym mówił Andrzej, nikomu jeszcze wiadomym nie było. Zaledwie w głowie króla myśl się ta zrodziła, której podobno pierwszym twórcą był zmarły brat, co sobie wielce upodobał hetmana. Tak dziwnie i nowo to brzmiało, tak zdawało nieprawdopodobnym, a grożącym, iż nawet Samuel, nie lubiący rozmyślać, czas jakiś siedział, zatopiwszy się w sobie.

— Proszę was, abyście o tym nie głosili — odezwał się Andrzej po przestanku. — Wieść to jest, która łącno hetmanowi u ludzi większy jeszcze mir wyjednać może, więc nie nam z nią chodzić i wybębnić.

— Tym bardziej — dodał Samko — że ja jej nie wierzę jeszcze, a gdy uwierzyć będę musiał...

Rzucił się niecierpliwie na siedzeniu, wypił nalane wino, napełnił kubki.

— Spocznijmy bo i niech nam głowy odejdą — zawołał — zażyjmy wczasu! Co u licha, wędzić się tak ciągle tym czarnym dymem złych myśli nie można. Mam z sobą Wojtaszka .

Chcecie, zawołamy go, aby na lutni nam zagrał i pieśń jaką zaśpiewał? Kto Wojtaszka nie słyszał i nie zna, nie może powiedzieć, aby prawego cytarzystę i śpiewaka znał, bo jemu równego nie ma!

— Jam ci się na dworze u księcia Ferrary i po innych włoskich dosyć ich nasłuchał — odparł prawie obojętnie Andrzej. — Nie ciekawym tak dalece.

— A ja też u cesarza, który we wszystkich się kunsztach kocha, nie mało ich spotykał, nie sądzę, aby twój domorosły Wojtaszek tamtym dorównał.

Obraził się Samuel.

— Nie domorosły jest — począł gorąco — bo to obieżyświat i choć młody, dużo widział, a dziwowano mu się za granicą. Jadł bestia chleb nie z jednego pieca, począwszy od P. Marii w Krakowie i księży Bernardynów, kędy już mu habit nadziano, ale go niedługo nosił. Wychwalać go nie będę z innych zalet, bo łotra kawał jest i szubienicy wart, ale gra i śpiewa jak anioł.

Chociaż epizod ten z Wojtaszkiem, nagle obok najpoważniejszej materii do myślenia

dającej wtrącony, mógł braci zdziwić, kto znał Samka fantazję, nie zdumiał się temu wcale. Tak samo nieraz, gdy wszyscy traktowaniem najważniejszych spraw zajęci bywali, Samuel konia przez okno zoba- czywszy, dla niego wszystko porzucił, długo nigdy nad niczym wytrwać nie umiejąc.

— Mnie teraz twój Wojtaszek nie w porę, nawet ciekawości nie budzi — przerwał

Krzychnik. — Co mi tam! Batorówna mi w głowę zajechała.

Z upartym Samkiem ciężko się sprzeczać było. Nie zważając na Krzychnika, począł na głos

wielki wołać swego lutnisty. Ten się może spodziewał, iż pan bez niego i bez pochwalenia się nim nie obejdzie. Był więc pogotowiu. Obaj bracia podnieśli ciekawy wzrok, gdy wchodził.

Mężczyzna był lat może trzydziestu, wielce urodziwy, a snadź urodą swą chełpliwy,

blondyn, z włosami długimi, puszczoneymi w puklach na ramiona i stroju włoską modą. Na twarzy dosyć pięknej, ale bladej i zmęczonej, duma jakaś, zarozumiałość, pogarda ludzi i miłość własna nadto się wyraziście malowały. Choć pokornie się panu skłonił, bo z Samkiem żartować nie było zdrowo, ani mu stanąć okoniem, widać było, iż go to poniżenie chwilowe kosztowało wiele. Lutnię, której nigdy nie rzucał i teraz miał na ręku.

Skinął coś poszepnąwszy cicho Samek i dodał głośniejsz:

— Zaśpiewaj co wesołego, bośmy się zachmurzyli, jak to brzydkie niebo dzisiejszego

poranku, a pochwal się, że ani księcia Ferrary, ani cesarskim lutnistom nie dasz się wyprzedzić.

Wojtaszek, nic nie mówiąc, tuż przy drzwiach na ławie miejsce zajmawszy, lutnię podstrajac zaczął, palcami przebiegł po jej strunach, na pana spojrział, który mu głową dał znak, i zanucił.

Grał na lutni, towarzysząc sobie ze sprawnością tak wielką, iż poniekąd by kunsztem tym

głosowi swemu krzywdę mógł uczynić, gdyby w istocie nie był czysty, silny a wprawny tak, iż od razu po nim mistrza poznać było. W tej karczmie pustej ten śliczny dźwięk dziwnie się rozchodził i sprzeczał z lichą gospodą, która go nie była warta.

I pan Andrzej, i Krzychnik w istocie melodią głosu zachwyceni zostali, bo się nic

podobnego nie spodziewali, ale i piosenka, która wesołą być miała, treścią ich swą zajęła. Była ona żalem opuszczonej małżonki, szydersko wymyślonym, tak aby Anny Jagiellonki dołą smutną

malował. Usiłowała ona niby powstrzymywać męża przy sobie, który najróżniejsze zmyślał

potrzeby, aby się od pieścizot jej uwolnić. Więc jechał na łowy, potem na wojnę, znów na radę, na nabożeństwo, a w jednej strofie zwrotka skargę nieszczęśliwej królowej parodiowała, w drugiej

obawę małżonka, aby nie był zmuszony ze starą czarownicą pozostać. Paskwillusz to był

niegodziwy, który nie tyle kunsztem i poezją, co wielką złośliwością i grabiaństwem, osłoniętym niby, się odznaczał. Wywołał on śmiech wielki Krzychnika, półuśmieszek Andrzeja i kubek wina od Samuela. Ale zaledwie się skończył, Samek drugiej pieśni zażądał.

Lutnista, nim mu ją podyktował, sam począł, a jaką miał myśl wybierając ją, on tylko

wiedział; ale zaledwie się ona odezwała, nagła zmiana powlokła lice pana grubym smutkiem.

Zmarszczył czoło, spuścił głowę, a nie miał odwagi zakazać lutniście, aby śpiewać się nie ważył dalej.

Wojtaszka posądzić było można prawie o chęć jakiejś zemsty nad własnym panem.

Zagadkowa to była piosenka, niby wesoła, hulaszczą, rozpasaną, a rozpacz z niej i ból tryskał taki, że się płakać chciało słuchając, choć każda zwrotka do kielicha i do szału wołała.

Po Krzychniku nawet dreszcze poszły jakieś i z litością spojrzął na Samka, który się wił z bólu, słuchając. Zrozumieć w niej wiele aluzji było trudno, równie jak zuchwalstwa śpiewaka, który nią swojego pana częstował.

Samuel porwał się nareszcie z siedzenia i zakrzyknął:

— Dość, precz!

Lutnista nie dał sobie powtarzać rozkazu, urwał nagle i zniknął za drzwiami. Można go było posądzić, iż piosenkę wybrał umyślnie, aby prędzej był odprawiony.

Po wyjściu jego długo Samuel pozostał przybity. Wrażliwa jego natura nie dawała mu się uspokoić.

— Lutnisty ci powinszować — odezwał się marszałek. —

Słyszałem wielu i przedziwnych, alem lepszego i we Włoszech, gdzie o głos piękny nietrudno, nie spotkał. Tylko sobie pieśni dobiera nieszczególnie wesołych.

— Na przekorę mnie — rzekł mruczając gniewnie Samek. — Trzymam go siłą, mocą rad by się na swobody wyrwać, więc mi doskwiera jako może, choć go złotem obsypuję. Mściwy i zły jest.

Wie on, że na dwór się dostawszy gdzieś, lepiej by niż u mnie opływał, i ja to wiem, ale puścić mi go żal. Są chwile w życiu, że się pieśni potrzebuje jak chleba i powietrza. Wojtaszka tego pilnować muszę i wiem, że w końcu mi się wydrze, ale póki mogę... Zbój ten i pieśni sam układa — mówił

dalej. — W domu, co jest niewiast, wszystkie za nim giną, i to nie miła rzecz, bo ich i jego pilnować potrzeba...

— A co ci po pieśni! — odparł pogardliwie Krzychnik. — Czasem jej posłuchać, toć jeszcze, ale się za nią ubiegać, gonić i dla niej trzymać nieznośnego *człeka*, na to chyba Samka potrzeba.

— Tak! — potwierdził Samuel. — Znam to do siebie. Słabości mam niemeńskich wiele, dziwactw, od młodości panujących nade mną nie zliczyć. Dziś już, gdy za nie krwią i łzami dużo płacił, pozbyć się trudno. Trują one życie, ale pod czas je osładzają. A potem, jam taki człek, że gdy na mnie przyjdzie godzina, chwytą mnie jakaś siła nieczysta i rzuca mną, by szalonym. Naówczas ja sobą nie władam, zabijam choćby swoich, we krwi się pławię, gotówem palić i mordować, choć wiem, że jutro płakać na to będę.

Westchnął.

— Choroba to czy nałóg? — mówił dalej. — Ludzie prawią, że gdy nieboszczka matka ze mną chodziła, zadano jej coś takiego, żeby szalonego męża na świat wydała. A nic by nie było, gdybym szalonym ciągle był i tego do siebie nie znał, ale ja wiem, co czynię, a wstrzymać się ani myśleć, bom nie duż.

Jak gdyby ta pieśń Wojtaszka, za którą tęsknił i braci nią chciał częstować, całkiem umysł chmurą zawlokła, zmieniło mu się usposobienie i z ochoczego stał się posępny a prawie sierdzisty.

Co widząc bracia, że go znali, nie przeciwili mu się, milczeli, dawali żółć tę i gorycz z siebie rzucić.

Patrzył tedy na te drzwi, którymi się Wojtaszek wymknął i już jakby o wszystkim innym zapomniawszy, tylko o nim i o sobie coraz coś pomrukiwał, zwracając się do Krzychnika, który lepiej od Andrzeja był w jego naturę wtajemniczony. Wskazał na drzwi, pochylając się ku bratu.

— Zobaczycie, zobaczycie tego Wojtaszka, ja mówię wam, na tym się skończy, że albo on mnie, albo ja jego o gardło przyprawię. Za wiele on rzeczy o mnie wie, ba, wszystko, myśli moje z gniazda wykręca, tajemnice mi spod serca dobywa, a ja jego czasami jak psa nienawidzę, czasem jak własne dziecko miłuję. Wiem, że zły człowiek jest, że sposobności tylko czeka, aby mnie zdradził, a zbyć się go nie mogę.

Twarz Samuela gorączkowo się mieniła i mówił coraz żywiej, trzęsąc się niespokojny.

— Mam siedem zabójstw na duszy mojej, a tych, których z naprawy mej ludzie dokonali, i

siedemdziesiąt siedem liczyć mało... Mogę więc ósmego wziąć, niewiele zaciąży. Zabiłem Trepkę, w las go wywiódłszy, dlatego, że sprawę mą z nieboszczką żoną podpatrzył, a wołał o pomstę, iż ją niesprawiedliwie zabiłem... Czemuż bym i Wojtaszka, który więcej wie, nie miał uśmiercić?

Zwrócił się z tym pytaniem do Krzychnika, który namarszczywszy się, odparł:

— W takich razach o radę nie pytają nikogo. Co mi do Wojtaszka! Pilniej się nam innego zbyć, a nie wyrostka, któremu nikt wiary nie da.

Pan Samuel, już myślami snadź daleko pobiegłszy, mówił na wpół do siebie:

— Trepka mnie we śnie prześladowuje. Przychodzi niemal co noc i odgraża się: „Zabiłeś ty mnie potajemnie, ciebie zamordują publicznie i sromotnie!” Za duszę żony modłę się, zakupiłem mszy siła, a i ta mi pokoju nie daje. Tej mi same- mu żal, bo niewinną była, a przez zdrajcę Turczyna i tę niewiastę, gorszą od żmii, zginęła. Wojtaszek to wszystko wie i moją mękę zna, a nią się napawa, jak by miód pił. Candian na mnie też jako na szaleńca i gwałtownika skarży za niedźwiedzia, dominikanie za tego, com go wywałaszyć kazał, ale mu się to należało, bo dla nabożeństwam go trzymał w domu, a on mi dziewczęta jejmościne psował. Com się nie miał pomścić?

Wstał mówiąc to, nalał sobie wina znowu, raz i drugi, pijąc już sam, ani Krzychnika, ani marszałka nie prosząc, bo się zupełnie zapomniał.

Wtem dzień się już dobry robić zaczął, czeladź spała, a im na sen się nie zbierało. Siedzieli wszyscy. Andrzej opowiadać zaczął, że głodny był. Skoczył więc pan Samuel budzić swoich, aby podawali co prędzej takie jadlo, jakie pod ręką się znalazło i wina siła. Ochotę bowiem miał do picia niepomierną.

Kto by go pod ten czas widział, a nie znał tak jak bracia go znali, musiałby za szalonego mieć, bo raz sam do siebie mówił, śmiał się, to w głos narzekał, to się odgrażał, a ludzie i sprawy przeszłe i terażniejsze mieszały się w tej nieporządnej mowie, że połapać ich związku było niepodobna.

Ano Krzychnik wiedział, że u pana Samuela chandra taka była przechodzącą i mijała. Gdy

mu co do głębi poruszyło sumienie, wówczas stawał się prawie szalonym. Tu naraz wszystkie dawne sprawki widok Wojtaszka wywołał, musiał z nimi walkę stoczyć. Wtem Krzychnik,

pomyślawszy, zapytał:

— Tego Wojtaszka, skądżeś go to ułowił? Co zacz? Z twarzy i postawy szlachecko

wygląda, a z kunsztu i tej służby, inaczej. Cóżes ty go na swą biedę wychował? Czy przyjąłeś już odkarmionego?

Zwrócił się p. Samuel.

— Wojtaszka? — rzekł. — Sam diabeł nie wie, skąd się on wziął, a co dziwniejsza i on też swojej *originem* nie wie. Tak jest na pewno. Pamięta tyle, że chłopięciem bardzo małym u Panny Marii w Krakowie w szkole pod ławą na worku słomy sypiał, że go tam bito i za uszy targano, że się uczył i rósł. Potem jednego dnia, gdy go różgami wysiekli, na cmentarzu z dziewczyną nadybawszy, uszedł od Panny Marii do Bernardynów i tam habit wdział. Głos miał piękny i w głowie rozgarnięto, ale sierota a bękart pewno, roił od dzieciństwa i po dziś dzień, że mu wszelkie wielkości należą, że musi być rodu dostojnego, że rodziców znajdzie i kiedyś siądzie wysoko. Tego mu z głowy nie wyjąć. Widzieliście go? Pojrzawszy zda się królestwa dziedzic, tak się z sobą nosi i chodzi.

— Puściłbyś go! — rzekł Krzychnik.

— Nie mogę, choćbym chciał — odparł Samuel. — Naprzód pod ten czas on nadto wie, a potem, jak mi go zbraknie, oszaleję. Mnie i on, i pieśń jego potrzebna.

Wtem, gdy powoli zimne i ciepłe półmiski przynosić zaczęto, a pan Andrzej, który na stole sparty drzemał, ocknął się, Samuel zaś już dobrze podchmielony coraz się głośniejsz i raźniej poruszał, a Krzychnik do niego dostrajał, począł marszałek, wskazując na okna:

— Czasuśmy dosyć nadaremno stracili, boć nie po tośmy się zwołali, aby Samko się przed nami spowiadał, raz że bez spowiedzi my go dość znamy, wtóre, że choć my go rozgrzeszmy, co mu to pomoże? Zatem byłbym tej myśli, iż wrócić trzeba do tego Niżu, albo i do naszej wojny przeciw królowi i „Czarnej Radzie”.

Samuel siadł za stół.

— Niechaj moje przepada — rzekł. — Mówmy o wspólnych sprawach.

— Więc o Niżu? — zapytał Andrzej. — Wiesz, że się na cię krzywią, i że znowu uniwersały na cię słać gotowi, jako przed kilku laty, gdy cię na granicy poczuli i starostom imać kazali; niedobra to więc rzecz ich nadaremnie drażnić, gdy przystałoby raczej wprost się rozprawić i skończyć.

— Gdyby można, jam gotów — odparł Samuel. — Kuli bym nie pożałował, a wiecie, że wróblom nią głowy ucinam...

Ano, gdzie się ruszę, naprzód o mnie wiedzą już i czyhają, dostęp trudny, kroki moje śledzą.

Dlatego lepiej, gdy ich zmylę i na Niż albo Wołoszczyznę zbiegę, kędy krok w krok za mną chodzić nie mogą, a wrócić potrafię tak, aby o mnie nie wiedzieli. Jest też co na Niżu poczynać...

— Tego my nie widzimy — odparł Andrzej — a zda się nam, gdyby tam miód podbierano,

już by się pasiecznicy znaleźli. O Niżu mówią, że nieład tam wielki, a włóczęgowie ze świata całego i rozbójstwo. Takiego narodu za łeb pochwycić, albo go w karby wprawić, nie Samuela na to potrzeba.

Śmiał się Samek.

— Właśnie może tylko ja ich uchodzę, bom pod czas taki, jak i oni. Macie zaś wiedzieć,

żem słał do nich raz i drugi z podarkami, jak się patrzy, z obietnicami, co wdzięcznie przyjęli. Jacy oni są, to są, a rozumieją, że gdy wodza dostaną, dopiero znaczenia nabędą. Zaś prosty chłop im nie starczy. Zrobię co na Niżu czy nie, na dwoje o tym wrócono, ano próbować wolno, rozpatrzyć się niegrzeszno, życie nawet ważyć nie kosztuje mnie, bom je i tak już zmarnował. Zawładnę

Niżowcami, naówczas i król i „Czarna Rada” będą musieli ze mną się układać, bo im zarówno zła, jak dobrego przyczynić mogę. Przy czym uda się li co z Wołochem, i to nie złe, zwącham się z carzykiem tatarskim, nie gardzę tym. Mnie o zdobycie siły jakiejś idzie, a skąd ją wezmę — furda!

Byłem miał!

— Ja to wiem — przerwał Krzychnik — że ciebie nie powstrzymać, gdy ci się czego

zachce; jedź więc na Niż, choć tu byś był potrzebniejszym. Na jakiegokolwiek porozumienie z tym królem i tym jego sługą liczyć nie można; na nożeśmy poszli, więc nam wszystko musi być dobre, co drogę oczyści. Czy kula w Niepołomskiej puszczy, czy trucizna w napoju zadana, czy zasadzka i śmierć w polu...

Andrzej słuchał, nie okazując najmniejszego poruszenia, nie sprzeciwiał się. Samuel dodał:

— Albo-li żyw z Niżu powrócę, to wam w pomoc stanę, Mb zginę, to wam dorósłszy

Aleksander służyć będzie. Dziś u mnie jedno kozactwo w głowie, wy tymczasem wypatrujcie, rozsluchujcie się i gotujcie.

— A siła ich z tobą na Niż ciągnie, boć tam samotrzeć albo i w dziesiątek iść trudno? —

zapytał Krzychnik.

— Szlachciców, chudego pacholstwa, ale animuszu niemałego, mam już osiemdziesięciu

przeszło — rzekł Samuel. — Mało, ale na moje sakwy, które ich żywić i poić muszą, i tego za wiele. Hajduków mało nie drugie tyle z czeladzią muszą przy sobie mieć, koni też okrom tych co pod nami pójdą, bodaj tabun cały pędzić muszą. Bez podarków, z gołymi rękami ani do Kozaków, ni do Tatarów nosa nie ma co pokazywać i na to pójdzie grosza niemało, ale choćby co z wiosek zastawić przyszło, pójdę! pójdę!

Żaden z braci już go nie myślał wstrzymywać, bo im ten upór i to przekonanie twarde, iż się tam coś da zrobić, wydawał się jakby przecuciem przeznaczenia. Samuelowi zaś śmiało się hetmaństwo

kozacze, w niedostatku innego, bo od razu by mu dało taką wagę, z którą się liczyć doma było nieodzownie potrzeba.

Do pół dnia trwały narady z braćmi, ale już przed nocą, zjadłszy i wypiwszy, co z sobą mieli, poczęli się panowie Zborowscy w drogę wybierać. Przy czym Samuel na odjeźdym do pijatyki tak obu zmuszał i sam tak okrutnie chlał, że gdy na konie siadać przyszło, wszystkich ich służba na siodła podsadzać musiała, okrom tylko Samuela. Temu wprawdzie wino szaleństwo sprawiało, język i ręce rozwiązywało, ale sił nie odejmowało.

Krzychnikowi poleciwszy dzieci swe i domy, Samuel wprost stąd pociągnął do dóbr swoich, w których małymi oddziałami rozłożone były werbunki szlachty, która się z nim na Niż do kozactwa iść ofiarowała.

I w parę tygodni potem wieść się rozeszła po Rzeczpospolitej, iż banita Zborowski, zropaczywszy o sobie, na Niż do kozactwa zbiegł i hetmanic mu się spodziewa. Drudzy zaś głosili, jak by zawczasu okrzyknięty był ich wodzem i przeciwko Turkom na przekorę królowi ciągnął.

IV

Był pod ten czas w Krakowie Krzysztof Zborowski, gdy Samuel, wyciągnąwszy w przeszło sto koni na Niż, długo bardzo żadnej o sobie wiadomości nie dawał nawet braciom. Tym, które ich ze strony dochodziły, wiary dawać było trudno.

Oddalenie się z kraju banity, który około siebie najwięcej wr *zawy* podnosił, zawsze i najbardziej oczy zwracał, choć od Zborowskich oko hetmana odciągnęło, bo się mniej zuchwałego kroku od Krzysztofa obawiał, nie poprawiło sprawy ich u króla i hetmana. Wiedziano, co trzymać o całym rodzie tym z wyjątkiem Jana, który choć braci zawsze bronił przed hetmanem, nie podzielał ich niechęci i do pokątnych ich robót się nie mieszał. Andrzej też tak stał, że na siebie oczów nie ściągał, ale mu nie wierzono. Zamojski wiedział, co o nim trzymać.

Krzysztof udawać miłość do króla i jednać się na pozór z Zamojskim ani myślał, ni się starał; rozumiał to, iż mu nie zawierzą, a całą ufność swą pokładał w Rakuszaninie, bo choć mówiono, że carowi moskiewskiemu wierność nie tylko przyobiecał, ale poprzysiągł, choć z nim nie zrywał, niewiele pono na niego rachował, a po ścięciu Ościka strach go ogarnął, zwłaszcza gdy w papierach jego Zborowskich listy lub wzmiankę o nich znaleziono. Nie było tam dowodu zdrady, nie czyniono przeciwko nim nic, lecz ostrożność kazała zaniechać stosunków, które korzyści żadnych nie przedstawiały na teraz.

Kręcił się więc pan Krzysztof po kraju, malkontentów jak on sam dla cesarza na przyszłość przy sobie skupiając, to na wsi, to w Krakowie, to za granicą bawiać, znikając i ukazując się niespodzianie, gdy dnia Jednego znać mu dano, iż wyprzedzający pana Samuela od boku jego szlachcic Zarwaniec zjawił się w Krakowie i podczaszego szukał. Łatwo go też mógł znaleźć, bo Zborowscy, ilu ich było, gdy w Krakowie mieszkali, nie gdzie indziej, jak w *swoim* domu na Franciszkańskiej ulicy.

Dwór był stary, a dla rodziny licznej przez ojca Marcina jeszcze rozbudowany tak, że i

niemało gości, i dwory, i ludzi mógł pomieścić. Zajmował oparkanioną przestrzeń bardzo znaczną, w której bodaj czas jakiś napaści się nawet było można opierać, tak był dobrze obwarowany. Stu ludzi i koni łącznie mogło tu znaleźć pomieszczenie, a tabor wozów w ogromnym rozłożył się dziedzińcu.

Wytworności nie było żadnej, bo, jakżeśmy mówili, przywoził z sobą każdy co

najpotrzebniejsze sprzęty, ale izby szły rzędem, jedna w drugą ogromne, jasne, w których za stół

można było ludu posadzić głów dosyć. Mieli tu każdego czasu Zborowscy, jak inni panowie po miejskich dworach, i szopy siana pełne, i szpichrz z owsem, i piece na chleby, i loch na piwo.

Pan Krzysztof zajmował przedniejszą część dworu i tu swoich przyjaciół a posły z różnych stron przyjmował pod czas dniami lub nocą. Czynny był bardzo, choć nierad a tego, co się święciło.

Tajemnica owa, którą marszałek przywiózł do Borówki, iż Batorównę król miał dać

Zamojskiemu, już dla nikogo sekretem nie była. Noszono się z nią sarkając, a ona zazdrość, którą łaska króla dla hetmana dawniej budziła, urosła teraz do najwyższej miary.

Nienawidzili niechętni króla, ale stokroć więcej hetmana, że zmiędzy szlachty wyszedłszy małym, dorósł tak wysoko, iż u tronu stał. Przypisywano mu bowiem zamachy w przyszłości na koronę, która po Batorym bez dynastii zostać miała. Wprawdzie wiek i zdrowie Batorego wszystkie te widoki na daleki plan odsuwały, lecz zawczasu już obawiano się. Nikt więcej nad Zborowskich, bo ci wiedzieli, że przednać się będzie niepodobna i zaufanie pozyskać.

Gdy mu o Zarwańcu, którego znał dobrze, oznajmiono, niecierpliwie się począł podczaszy,

iż do niego pierwszego się nie zgłosił, aliści i on sam stawił się.

Samuelowy był to sługa, nawet na oko od pana coś przejąwszy, jak się to zawsze dzieje.

Zuchwały, krzykliwy, zbój do korda prędko, toteż od niego na twarzy i głowie liczne miał

upominki, siłacz okrutny, do wypitej i wybitej, ale i do głodu, i wszelakiego przemęczenia jedyny.

Zarwaniec przez Samuela był w ważnych razach używany, gdy albo o tajemnicę szło, lub o

pieniądze. Temu oboje powierzyć było można śmiało.

I tym też razem Zarwaniec od Niżu przybył dla przywiezienia grosza, o p. Krzysztofie nie wiedział i dlatego naprzód gdzie indziej się zwrócił, bo mu pilno było z sukursem dla pana.

Wszystko to w niewielu słowach opowiedziawszy Zarwaniec, gdy go Krzysztof na ławę zaprosił, aby siadł i spoczął, dopomniął się też o posiłek.

— Niech to wszystko — rzekł — w. miłość nie dziwi, że się tu nie stawiał zrazu, że teraz sam się strawy i napoju napraszam, ale bo ja z piekła powracam; w głowie mi jeszcze szumi, a w żołądku ckli od tego głodu, któryśmy z panem żołądziami, grzyby i suchymi jagodami musieli tumanić.

Rękami obiema podniesionymi nad głową plasnął.

— Sto lat żyw będę, to tego nie zapomnę — mówił dalej. — Czasu całej tej wyprawy nie odstąpiłem na krok od pana, dzieliłem z nim wszystko.

— Mówże — przerwał Krzysztof — bom i ja niemało ciekaw.

Zarwaniec głowę podniósł.

— Niech miłość wasza nie myśli, że to się tak da w dwu słowach zamknąć, będzie tego' na jeden albo i na dwa wieczory, z czego pan mój sławę wprawdzie może mieć wielką, ale korzyści najmniejszej, a co nas to kosztowało, mieszek wie i Pan Bóg. Dlatego też przodem skoczyć musiał, aby co grosza ułowić, inaczej nas Zborów nie zobaczy. Wszelako Bogu dziękować, żeśmy z życiem wyszli, bo nie jeden raz się zdało, że tam na kresach przyjdzie ginąć marnie.

— Toć już Samkowa wina własna — odezwał się pan Krzysztof. — Niech powie, czyśmy mu nie odradzali wszyscy, nie odwodzili... Nie pomogły perswazje.

Ruszył ramionami Zarwaniec.

— Tyle korzyści naszej, że teraz tego Niżu nikt lepiej nie zna od nas — dodał.

Podano jedzenie i piwo Zarwańcowi, który się chciwie przysiadł do obojga, po trosze o panu Samuelu mówiąc, jako cudem zdrowo wyszedł z tego ognia i imprezy swej nie żałował.

Na wieczór tedy, gdy i marszałek Andrzej się obiecywał, zamówiono Zarwańca, aby się z powieścią o Niżu stawił. Gotów był, to sobie wymawiając, aby oprócz panów braci nikogo więcej nie było.

— Z panem moim — dodał — jam go świadom, ostrożność zachować potrzeba. Ja po swojemu rzecz opowiem, jakem ją widział, a któż wie, czy to się spodoba jemu? Więc bym nierad,

aby rozgłaszano, co on może inaczej zechce tłumaczyć. Jam prosty człek, com widział, powiem.

Zawczasu tego wieczora marszałek się stawił i pan Krzysztof nie ruszał krokiem z domu.

Zarwaniec też czekał na nich, wysypiając się, bo powiadał, iż tyle nocy bezsennych spędził, że teraz o każdej porze głowę pochyliwszy gotów kamiennym snem się odżywiać. Wstał za to rzeźwy i krzepki, a gdy mu dla odwilżenia gardła nie żałowano, relację tej nieszczęśliwej wyprawy na Niż tak rozpoczął.

— Wszyscyśmy się z tej imprezy pańskiej siła nie spodziewali, a rychlej obawiali jej, choć nie można powiedzieć, aby ona całkiem na los szczęścia przedsięwzięta była. Słał pan nasz do kozactwa z listy i podarkami nie jeden, ale wiele razy; a odpowiedzi mu przynoszono zachęcające i zapraszające, że hetmana pod czas nie mieli Kozacy i że możnego a mężnego pana, byle im

poprzysiągł, chętnie by na czoło postawili. Ano, że przez posły wilk nie tyje, po raz trzeci nie było już co słać, trzeba było samemu jechać. Jakaśmy się wybrali, panowie najlepiej wiecie. We sto przeszło koni, z których siedemdziesiąt szlachty, ruszyliśmy się w najlepszy czas do Kaniowa. A tej części podróży nie ma co opisywać, gdyż pospolitym trybem się odbyła, krom tego, że ze szlachty niektórzy, języka dostawszy, ułękli się i nocami nam pierzchnęli, na których miejsce innych trudno było w tych krajach dostać.

Przodem zaś wyprawiony był nasz Zuzula, z dawna panu służący Rusin, który już raz na

Niż jeździł i z Kozakami się znał, tak że gdyśmy do miasteczka tego dosyć opustoszonego przybyli, w którym jedna stara bardzo, murowana cerkiew czyni je do miasta podobnym, jużśmy tu Zuzulę z powrotem i posły kozackie zastali.

Niech mi to Pan Bóg odpuści, gdy powiem, że owo kozactwo, które jako dzikie i proste

chłopstwo ciągle opowiadano, całem inaczej znalazł, niż się spodziewałem. Albom ja źle widział, lub drudzy się mylili. Prości wprawdzie ludzie i obyczaj grubego, to prawda, ale chytróści takiej w pokłonach i obejściu, że oglądzonemu naszemu człowiekowi trudno im sprostać. A tak się umieją szczerymi, otworzystymi czynić, tak dobrymi się ukazują, iż człowiek wcale się na baczości od nich nie ma, za co potem przyplaca, cośmy stokroć doświadczyli.

Więc i ci pierwsi, których zastaliśmy w Kaniowie z Zuzulą, tak do kolan przypadali

naszemu panu, a tak się radowali mu i zapraszali, żeśmy sądzili, jakoby na gody i do gotowego ruszamy. P. Samuel wielce ochotny był, więc hojny, wesół i to tylko powtarzał: „Niechże baczą ci, co mi tu niefortunę przepowiadali”.

Tu z tymi posły zdawało się, że się cała rzecz ubiła i skończyła. Opowiadali Kozacy, że ich pograniczny starosta dla króla chciał pozyskać i wielkie rzeczy obiecował, ale oni się Wilczych Zębów obawiali, o których już wiedzieli, że gdy się na kim zawrą, to go nie puszcza, i woleli Zborowskiego mieć nad sobą, który by ich swobody nie ukrócił. Więc pił p. Samuel na zabój, pili i oni, a sadzał posły podle siebie do stołu, a podarkami ich obsypywał. Ci zaś w imieniu swych sotni i

gromad przysięgali. Rzecz zdawała się skończona. Przy czym pilno do siebie jegomości

zapraszali, aby co najrychlej przybywać raczył. Opatrzywszy ich jak najlepiej, odprawiono stąd przodem, a myśmy w najlepszej myśli ciągnęli do Czerkas.

Ano, tu powiedzieć muszę, o czym z nas nikt nie wiedział, aż dopókiśmy nie stanęli w

Czerkasach, że oprócz tego, iż z kozactwem się zmawiał pan nasz, miał i drugą imprezę napiętą, tak aby ta tamtą zasłaniała. Okazało się, że ze starostą pogranicznym, którego imienia wyznać nie chciał, znowę też miał, że ten na niego podle Czerkas w kilkaset ludzi czekać się obiecał, aby razem szli na Putywl, zamek moskiewski.

Krzysztof wybuchnął podziwieniem wielkim.

— Gdybym ciebie nie znał, że tego z palca wyssać nie mogłeś, nie wierzyłbym ci. Do

kozactwa jechał, aby je królowi odciągnąć, a ze starostą królewskim w pomoc przeciwko moskiewskiemu razem się wybierał. Jakże to tu pogodzić?

— Godźcie, jako chcecie — odparł Zarwaniec. — Ja też niespełna rozumiem, tyle pewna, że

starosty owego i wojska jego, i obietnic aniśmy śladu, ni znaku, ni o nim wieści nie znaleźli. Tak tedy nad rzeką Pskłą postawszy i spoczawszy, gdyśmy nadaremnie czekali, a Kozacy naglili, aby do nich jechał, ciągnęliśmy nad rzekę Samarę, gdzieśmy po raz pierwszy około dwóchset Kozaków spotkali, od których czołobitnością wielką byliśmy przyjęci, co nam nadal wielkiej dodało otuchy, chociaż kozactwo to nie było rycerskim i prawdziwym, ale ci, co ich wodnymi Kozaki zowią, którzy ustawicznie łowią ryby, na rozmaitego zwierza po ostrowach dla skór polują i wszelkim gospodarstwem, a po trosze i handlem się zajmują. Obyczaj i tu zastaliśmy prosty, ale dostatek znaczny. U których Kozaków powiadają, w kublach od mazi i dziegiu czerwone złote i talary się chowają. Oni sami dla siebie nie potrzebują wiele, bo życie prowadzą chłopskie, ale skarby te na powszechny pożytek obracają i na to swe rycerstwo, które ich broni i osłania. Tu więc, kto by na ryby łakomy był, mógł się najeść do syta, gdyż najpiękniejsze po niczemu, a obfitość po jeziorach ich taka, że czasem dla ciasnoty zdychają i zarażają powietrze. Na zwierzu też wszelakim nie zbywa, które głównie dla skór Kozacy łowią i biją.

Dotąd jeszcze wszystko nam szło jak z płatka, kłaniali się i pokłony bili, choć czasem człek wejrzenie spode łba spotkawszy, aż mrowiem czuł, że mu przeszło, ale milczeli i jeszcze się akomodowali. Nic zmiennego nie było, a pan nasz coraz animuszu większego nabywał i z tych, co mu nie dowierzali, śmiał się.

Od rybnych Kozaków do rycerskich, na wyspę, na której niby stołeczny ich grodek miał

być, inaczej jak przez rzekę *sią* przeprawiając, dostać się nie było można. Ani na czółnach zbywało, ale rzeka osobliwa i niedostępna w tych miejscach, którą potrzeba znać, aby ją bezpiecznie przebyć.

Wznoszą się bowiem na znacznej przestrzeni jej skały, jedne większe, drugie mniejsze, niektóre

ponad wodą, inne nieco nią osłonięte, a tak całe koryto przecinające, że nieznamy człek ani wplaw, ani czołnem nie przepłynię tych progów, których tam niemało jest. Każdy z nich ma nazwisko i różni się jeden od drugiego, wszystkie przecie zawadą są dla żeglujących. Dodawszy po brzegach niezmiernie wysoko wyrosłe trzciny, niby lasy, a moc ptastwa wodnego, możecie sobie wystawić, jako ten kraj wygląda. Twierdz Kozacy nie potrzebują i wiedzą o tym. Łatwiej się tu obronić, niż wysledzić i schwytać.

Prowadzili nas tedy między dwa te progi na uroczysko, które oni Jawołżanem zowią, dla przeprawy, a myśmy jeszcze i ich przysięgami uspokojeni tak bezpiecznie szli, jak byśmy doma byli. Tu tedy pierwszy wypadł znak, iż z kozactwem daleko było do końca. Zobaczywszy hajduków zbrojnych kupę niemałą, nasz orszak znaczny, kozactwo, które się tu już zbiegło w kilkaset ludzi, z dała się trzymało i zaraześmy postrzegli, że się nieprzyjaźnie mają. Była chwila jak by się napaść i bitwę stoczyć gotowali; posłano Zuzulę dla rozmowy i porozumienia i rzecz się wyjaśniła.

Nieświadomi tego, co starszyzna ich z p. Samuelem zmówiła, Kozacy wzięli zbrojny nasz oddział za królewskie wojsko, które ich do posłuszeństwa i posługi chce zmusić... A że oni tam swą swobodę nad wszystko sobie cenią, gotowi byli stać w jej obronie. Ledwie się udało dwu z nich na rozmowę ściągnąć. Tym p. Samuel rzekł z prosta, że nie jest żadnym królewskim sługą, ale go ich własna starszyzna wybrała i wezwała, że na jej żądanie przybywa i nie ma innego zamiaru, tylko im być ojcem i towarzyszem, a obrońcą. Czyśmy ich przekonali, czy uwierzyli nam, czy nie, ale zmiarkowali też, iż z tą garścią, sami się oddając w ich ręce, niebezpieczni im być nie możemy.

Jakoś się tedy udobruchali, a p. Samuel po rusińsku do nich gorącym słowem przemówiwszy, jak to on umie, częstując i obdarzając, jakoś niechętnych rozbroił, ale to nam mogło już okazać, że do końca było daleko, a kozactwo wcale tak łatwowiernym i do pozyskania lekkim nie było, jak się nam w Kaniowie zdało. Po rozhovorach tedy zgodzili się nam osiemdziesiąt ludzi dać dla przeprawy przez progi, bez których my jak w matni byśmy tu zostali.

Ciągnęliśmy tedy stąd ku miejscu na przeprawę oznaczonemu, pomijając zameczek

Chortycę, który tam był niegdyś kniaź Wiśniowiecki postawił. Tu gdy o zamkach mowa będzie, aby sobie ichmoście nie wyobrażali, iż to murowane a mocne grody są. Dodać muszę, iż wszystko tam z drzewa, z gliny, z ziemi, a rzadko co z kamienia. Przeciwno Tatarom, którzy tam zabiegają, bośmy sami ich strażę widzieli, i lada wał starczy. Tu już i z Kozaki, i od tych Tatarów niemałe trudności poczęliśmy widzieć i czuć przed sobą. Ci, którzy sobie wyobrażali, że do gotowego idziemy, a niebezpieczeństw żadnych nie zaznamy, znacznie poszkapieli, tak że nam ze szlachty nocami znowu po kilku uchodzić zaczęło. Na to rady innej jak pilność nie było, a p. Samuel zapowiedział głośno, że kto się z nim iść ofiarował, musi dotrzeć do końca, a gdyby uchodzić chciał i pochwycony został, jako zbiega w łeb kula nie minie, co trochę ich pohamowało.

W Chortycy noclegował p. Samuel, a choć postu nie było, i on, i ludzie przez cały ten czas jeno rybami żyć musieli, bo tych wszędzie było podostatkiem, i szczuka łokciowa nie żadną osobliwością, mięsa zaś nie było dostać. Więc kucharz pański Michał biadał i radował się razem, różnie je

przyprawując. Chleb też podpłomykami przyszło zastępować.

Szło tedy dalej na pozór po myśli, bo nam już blisko obiecywali owo hetmaństwo, buławę i obwołanie pana naszego, a zdanie mu władzy nad sobą. Myśmy w to wierzyli święcie, a i p. Samuel wszystko za dobre przyjmował, co obiecywali, choć się później okazało, że nas w pole wywiedli.

Dlaczego? Bogu wiadomo. Albo się podarków więcej z nas wyzyskać spodziewali, albo mieli jakieś rachuby swoje, dosyć, że tam szczerości za grosz nie było, choć my wierzyliśmy im całe.

Już tedy ino sam obrzęd do dopełnienia zostawał, jako mu buławę pierzastą zdawać mieli, a to na Ostrowie Tomaszowskim, kędy nas ciągnęli, dokonać się miało. Jest ostrów ten, czyli insuła, pośrodku szeroko rozlanej rzeki położony, dosyć spory, cały niemal gęsto lasem i krzakami porosły, a w pośrodku się podnoszący okrągło, tak że czasu wiosny, gdy woda wszystkie prawie ostrowy te pokrywa, na Tomaszowskim zawsze cośkolwiek suchego lądu pozostaje. Nieprzyjacielowi się tu nie łatwo dostać można, bo na czółnach, dla skał, tylko tamtejsi, co je znają, pokierować się mogą, a obcych siła poginęło, próżno się tu dostać pragnąc.

Przybywszy na miejsce, zastaliśmy już kozactwo w pogotowiu na przyjęcie nasze,

świętecznie poubierane i uzbrojone, ze starszyzną na czele. Panie Boże odpuść, mnie się to zaraz w początku wydało, jakobyśmy mięsopustną komedię grali, a na to wyszło, iż nieszczerze z nami postępowali. P. Samuel się im z kozacka też przystroił, ale w złotogłów i jak na hetmana przystało.

Ze strony tego chłopstwa orator wystąpił z tymi, którzy ową buławę na poduszce szkarłatnej nieśli z poszanowaniem wielkim, choć kawał to kija był, mało co srebrną blaszką okuty i piórami kilku nastrzępiony. Orator tedy submisję czynił w imieniu gromady bardzo gładką a wiele obiecującą i zamknął ją tym, że „my siebie z wiernymi chęciami naszymi i posłuszeństwem wszelakim zaraz się przy tej buławie oddawamy, życząc ci tego, abyś nam długo rozkazywał, skądbyś sobie, nam, i ojczyźnie miłej, i potomstwu swemu nieśmiertelną. sławę otrzymał.”

Na co p. Samuel bardzo gorącym słowem a serdecznym odpowiadał im, poręczając, iż oną

buławę przyjmuje jeno z tą nadzieją, że nią rycerskiemu narodowi do zwycięstw i chwały będzie przewodził.

Po czym między Kozaki do nas wybranymi a nami komitywa się na pozór jak najlepsza

przy kubkach zawiązała, że się ściskano i całowano. Ale już przy tej biesiedzie tu i owdzie prysnęło przeciwko Lachom coś, co nam uszy niemiłe drasnęło, bo samiśmy się Lachy czując, nie mogli tego słuchać bez ucisku, jak wszyscy na onych panów polskich, co na kresach mieli ziemie i majątności, bardzo narzekali i nieprzyjacielsko się względem nich odgrzali, już nas za swoich uważając, albowi też próbując. I pan Samuel też, choć przeciwko szlachcie i panom urazę miał niejedną i ujmować się za panów braci nie myślał, zasepił się widząc, że tu, co tylko Lachem trąciło, śmierdziało im.

Więc trzeba i nam było chyba skórę zmienić, aby się z tym narodem zbratać.

A gdyśmy się w onej gromadzie kozactwa rozpatrzyli bliżej, okazało się, że choć większa może ich część rodzonymi Kozakami była i na tej ziemi wyrosła, dużo też takich, co z Polski od nas, z Wołoszy i innych ziem salwowali się, gardła chroniąc, a tu już do kozactwa przystając, których obyczaj i język przejęli. Więc niejednen z tych, co na głos po rusińsku wywoływał i śpiewał, a i włosy miał na ich sposób wygolone, gdy się z nami znalazł sam na sam, na uboczu, a wiedział, że go nie podpatrzą i nie podsłuchają, nagle do nas z mazurską poczynął i ścisnął, i łzy mu z oczów ciekły, a o naszą miłą Polskę pytał, jak by mu matką była. Takieśmy tu znaleźli niemało ze zdumieniem naszym, ale ci właśnie od nas stronili, i tylko gdy podchmielili, z tym się wydawali, jaka w nich krew płynęła.

Mnie tedy zaraz drugiego dnia nadarzył się niejaki Prochor, którego ja za prawego Kozaka wziął, a fizys mi jego przypadła do smaku. Stronił on ode mnie w początku, dopóki się nie ośmielił, aż gdyśmy razem sobie podpili, odprowadziwszy mnie na stronę dopiero po polsku zagadał. I przyznał mi się, że pruskim szlachcicem był, choć nazwiska wyjawić nie chciał, który dla zabójstwa ojczyma zbiec musiał na Niż. Tak jakoś do mnie przystał, że drugiego dnia byliśmy z sobą, jak byśmy od dzieciństwa się znali. Ten mnie tedy zakławszy, iż go nie wydam i nie okażę w żadnym razie, rzekł:

— Miejcie się na baczności. Buławęć panu Samuelowi dano, ale z kozactwem ostrożnym

być trzeba, bo oni się niełatwo komu zdadzą i zawierzą, a na p. Zborowskiego oko mają. Prawda, że się im z miny i odwagi swej podobał, ale zawsze on dla nich Lach, a co Lach, to wróg. Kłaniają mu się do czasu, a przy lada nieporozumieniu, waszą garść, gdy nieopatrzną będzie, mogą wydusić, a nikt ich o to rachunku nie spyta.

Na pierwszy tedy męstwa popis p. Samuel sobie ten Putywł moskiewski wybrał, o którym

słyszał, że łącno go zająć i zdobyć było... ale Kozacy sami z nim ochoty wielkiej iść nie mieli i ociągali się, a ów starosta, który razem z nami obiecywał się iść, nie dawał o sobie wiadomości i odszukać go nawet nie mogliśmy. Więc się tu z jego strony albo zdrada, lub lekkomyślność okazywała. Tymczasem gdyśmy stali nadaremno wyczekując na to, co przyjść nie miało, Kozacy, jak ten Prochor przepowiadał, nie dowierzający ze wszech stron, po trzeźwemu i pijanemu

zachodzili, badając, co p. Samuel myślał dalej, gdyby się z Putywła dał Pan Bóg szczęśliwie powrócić.

A tu dodać muszę, o czym albo panom jako braci wiadomość dał p. Samuel, albo dla

krótkości czasu zaniedbał może, iż podczas gdy się z Kozakami układał przez posły, za- równo też do carayka perekopskiego słał z listy i od niego miał odpisy i przyrzeczenia wielkie sojuszu i przyjaźni przeciwko Wołochom i wspólnego iścia... A jako to rozumne było i polityczne, tego ja zachwalać nie potrzebuję. Tylko że Tatarzynowi, równie jako Kozakom zbyt łącno wiarę dawał, sądząc sobie, iż naród to zbyt prosty, gruby i do wszelakiego przebierania w maskary niezdolny, choć jak jedni, tak drudzy [nie] gorzej Włochów umieli komedię grać i w pole wywodzić,

czegośmy dopiero na własnej skórze doświadczywszy, nauczyli się nierychło. Kozakom tedy owe

konszachty z carzykiem nie były wstrętne, i owszem nalegali, aby zaraz posły wyprawiać,

dopominając się dotrzymania słowa i pułku na pomoc, a nawet ofiarowali jeńca tatarskiego, murze, którego byli pochwycili, posłom zdać, aby tą ofiarą carzyka skłonić ku powolności.

Zaraz p. Samuel ludzi wybrał, do których się i Bielecki, co z nami był, niegdyś komornik króla Stefana, przyłączył. Rozumie się, iż z gołymi rękami poselstwo nie mogło być odprawione, ale p. Samuel co tylko miał naówczas, do ostatniej bodaj koszuli gotów był dla swej imprezy poświęcić, o której wiele tuszył. Naprzód o to szło, aby z Tatary umowę uczynić twardą i od wszelkiej zawarować się zdrady. Chciał p. Samuel sam to czynić, na nikogo się nie zdając i żądał

wyznaczenia miejsca gdzie by ze starszyzną tatarską w dziesięcioro koni tylko mógł zjechać i tam obradować a układać. Z czym posły jechały, a Bieleckiego omal tam nie zatrzymali, dowiedziawszy się, że królewskim sługą był, ale Kozacy im to odradzili i cało uszedł nazad. Stało się, jak p.

Samuel żądał, iż uroczysko, ich językiem *Karaithebe* czyli Czarne Wody wskazali, aby tam zjazd się odprawił.

P. Samuel wielce uradowany, a do zbytku już szczęściu swemu ufający, nie wątpił, że mu

wszystko i nadal popłynie tak gładko. Suplikowałem go, Prochorowe mając na pamięci przestrogi, aby spełna ani Kozakom, ani Tatarom wiary nie dawał i zawsze się oglądał, jak by w złym razie wycofać się

to mógł bez szwanku. Ale za to śmiech tylko i łajanie odniósł w zysku, za oną moją babską podejrzliwość i nieufność, gdy tu wszystko się po myśli i szczerze stało. I zmilczeć musiałem.

Szliśmy tedy na ono uroczysko, kędy i tatarskie posły w słowie się stawili, a co dziwniej, z upominkami i z listy od carzyka. Przyprawdzili z sobą koni pięknych i czysto przybranych dwanaście, między którymi prawie cudne były, przy tym szat złotogłowych, jakich dla posłów i w Moskwie zażywają, trzy. Z tych jedną, najprzedniejszą, zaraz na siebie wdziać musiał, aby carzyka dar uczcić. Mieli i tłumacza z sobą, który ich bełkotanie, niezrozumiałe nam, po rusińsku wykladał.

Witał go carzyk sercem niby wielkim, szczególnie z tego się ciesząc, że kozacką swawolę i zuchwalstwo pohamuje, a ład zaprowadzi. Carzyk zaś tak serdecznie się względem pana naszego oświadczał, że go jako syna swego był gotów w opiekę wziąć i we wszystkim mu pomagać, byle spokojnie nad Dnieprem stał i czekał, aż razem pójść będą mogli. Przy czym obiecany pułk potwierdzał, niedługo mając go słać.

Nie mnie sądzić, jako tam sobie pan Samuel poczynał i czy nie pobłądził, zawsze do zbytku ufając. Więc gdy na chorągiew ową wołoską czekać mu kazano, a on się niecierpliwił, aby czas darmo nie upływał i Kozacy na rozmysły nie brali, domagał się tylko od carzyka, aby mu dla przewodu hetmana swego dał przeciw Moskwie, która litewskie kraje wycieczkami trapiła. Gdym o tym posłyszał, miałem odwagę sam na sam spytać pana, dlaczego królowi Stefanowi chce

przeciwko Moskwie pomagać, gdy król przeciw nam takim wrogiem? Na co mi tyle tylko rzekł:

„Pilnij swojego nosa, wiem, co i dlaczego czynię”.

Tedy zamilkł. Umowa ciągle przez posły dalej szła o hetmana, o wyprawę, i już się nam zdawało, że jako żywo lada dzień z tego „kosza”, jak go Kozacy zowią, wyruszymy na Moskwę. Ale napisanym było, iż tu wielkie owe nadzieje i ufanie pana Samuelowe zawiedzione zostaną.

V

Staliśmy na tym ostrowiu, wczasu zażywając wspólnie z Kozaki, których obyczaje i tryb

życia poznawaliśmy. Siła by o tym mówić, a wiele rzeczy nie do wiary by się zdało, jako to naród razem swobodę swą miłujący, a karność tak srogą wywierający nad swymi, że wspomnieć strach, bo u nich nieposłusznego na pal wbić, gdy gromada winnym okrzyknie, niczym jest. Własności też w koszu osobnej nikt z nich nie ma, jako u nas w klasztorze, ale skarb wspólny i stół wspólny, i spichrze, z których każdy bierze, co mu potrzeba, ale też do nich wszelki łup wojenny oddawać muszą. A że ludzie prości są, więc im niewiele potrzeba i w kotłach jedzenie na każdy dzień kucharz ich warzy, zwołują się do niego, piją i jedzą gromadą. Kobiet tam nie widać wcale, które tylko rybni owi, poza koszem Kozacy mieć mogą, inni zaś jako mnichy tu żyją, choć o czystość nie dbają wcale i czasu wojny wszelkiego gwałtu sobie pozwalają, ale mają tę wiarę, że gdyby jedna niewiasta pomiędzy nich weszła, z nią razem waśń i niepokój, i rozterki by rycerskiego ducha im odjęły. W czym, że rozumni są, zaprzeczyć trudno.

Rzekłem, żeśmy tu wczasu zażywali, boć robić nie było co, krom że się dla rozrywki na

ptastwo wodne lub na ryby z sakiem szło, ale ze strawą musieliśmy ich grubemu obyczajowi być posłuszni i z kotła razem z nimi się żywić. W czym pan hetman przykład dawał, ale łącno mu to przychodziło, bo Michał po kryjomu zawsze dla niego albo szczukę po żydowsku, lub kawał mięsa przypiekł i podsunął. Myśmy zaś kaszą i polewkami ich, a zielem różnym, mięsem solonym a słoniną kontentować się musieli. Siła piliśmy, ale też lada co, kwas i ich tam napoje nieosobliwe.

Wtem, gdy my tu lada godzina czekamy hetmana od carzyka, aby z nami szedł na Moskwę,

przychodzi zamiast niego poseł, iż się rzecz inaczej obróciła, albowiem wielki carz turecki do Persji się wybierał, z którym ów tatarski carzyk jechać był przyrzekł i musiał. Za czym i pana naszego wzywał, aby z nim też do Persji się wybierał. Wielce się p. Samuel tym posłem zafrasował i omal nie w pasją wpadł, nie wiedząc, co czynić. A jako naturą jego zawsze jest i było, że długo czekać i trwać nie umie, a w ogień się rzucić gotów, gdy mu krew zakipi, tedy mocnom go widział myślami utrapionym i niepewnym.

Posła tatarskiego zrazu odpuścił tak jak z niczym, aliści nocą się inaczej rozmyśliwszy, wysłał za nim pogoń i kazał go nazad strwożonego do siebie przywieść. Uszom moim wie* rzyć nie chciałem, gdy posłowi rzekł, iż gotów jest carzykowi do Persji towarzyszyć, byle mu poprzysiągł

carzyk, iż za żywot jego i bezpieczeństwo ręczy wszędzie, aby go gdzie nie struto lub nie zabito, jak

to u Turków łącno przychodzi. Żądał, aby z tą przysięgą mu carzyk przysłał mustalika swego i przedniej szych murzów kilku, którzy by imieniem jego uroczyście to wedle obrzędu ich

zaprzysięgli (przy czym oni wodę leją). Dał posłom na to tydzień czasu pan i miejsce dla przysięgi wyznaczone zostało, z czego widzieliśmy posły uradowane wielce. Pan Samuel też, animuszu sobie dodając, dobrej myśli był, z tej Persji i dalekiej podróży u boku cara tureckiego wiele sobie obiecując, czemuśmy się dziwowali, a on naszą prostotę wyśmiewał.

W tym miejscu opowiadania, gdy Zarwaniec nieco spoczął, chcąc sobie gardło odwilżyć, rzekł pan Krzychnik do brata:

— Zawsze ten sam Samuel, jako był, że mu się najszaleńsza impreza uśmiecha, choć w niej gardło waży, bez żadnej dla siebie korzyści. Więc tu ledwie Kozaki sobie mało co ujawszy, już carzyka perekopskiego i cara tureckiego chciał w sak złowić... na pogańską ich przysięgę, która worka sieczki nie warta, życie ważąc.

— Myśmy też, słudzy jego, nie co innego myśleli— rzekł Zarwaniec wasy ocierając — ale odezwać się z tym żaden nie śmiał, boby i po łbie mógł oberwać; A widzieliśmy pana naszego po odprawieniu posłów z tą odpowiedzią tak dobrej myśli i ochoczego, jak by cudu dokazał.

Ano, sam jeden ruszyć nie chciał i nie mógł, potrzebował k'temu wojska kozackiego, a nas też wszystkich brał z sobą, jako się samo z siebie rozumieć ma, o czym dotąd ani Kozacy, ani my nie byliśmy zawiadomieni. Kozacka siła największa była na drugim ostrowie, który się zowie Czertomelik, a jest całe rozległy i otaczają go dokoła niezliczone mniejsze, różnej wielkości wysepki, jedne suche i skaliste, drugie gniłe i w moczarach a trzcinach całe, między którymi Kozakiem trzeba być, aby czółnem trafić, gdy dla owych trzcin świata nie widać. Na wiosnę wszystkie one ostrowy bywają zalane, tak że tylko większym cokolwiek czuba widać, a stał im za twierdzą najlepszą ten labirynt, nieprzystępny dla tych, co się tu nie rodzili lub życia nie strawili.

W małej gromadce płynął więc pan nasz na ten Czertomelik do starszyny i do ludu

swojego, jak przystało hetmanowi, ufając władzy swej, że rozkazania jego usłuchać muszą. Bo od czegoż dzierzył buławę! Tu, gdyśmy na ląd wysiedli, zaraz się kozactwo obwołało i dokoła zebrało na posłuchanie słowa pańskiego. I czynił do nich rzecz swą pan nasz bardzo gładko i foremnie, przedstawiając z tego korzyści, gdyby sobie ujął carza i carzyka. Już podczas gdy mówił, można było dostrzec, jak się lica Kozakom zmieniły i zmarszczyły, a niektórzy, nie czekając, aby dokończył, zaczęli w głos przeciw niemu krzyknąć, że ich na zgubę chce prowadzić.

Co się potem stało, jak zawrzało, zakipiało, jak się on naród podzielił, z którego przy nas i naszym panu mało co pozostało, tego ja i opowiedzieć nie potrafię, bom Panu Bogu ducha polecał, sądząc, że oto nam tam wszystkim ostatnia wybiła godzina. Kupka nas niewielka stała przeciwko wzburzonej gromadzie, a z kozactwa, choć niektórzy z początku przy panu pozostali i gotowość do posłuszeństwa okazowali, coraz się ich liczba pomniejszała, tak że ono było patrzeć, a ot sami będziemy na to

wzburzone pospólstwo. I owo poszanowanie, okazywane panu jako hetmanowi,

naraz się w zuchwałstwo zmieniło takie, iż nam pięściami pod nos przychodzili się odgrażać, a niektórzy doraźnym sądem jako zdrajcę hetmana chcieli już brać i wedle obyczaju swojego suknię, jak wór szczelno opasawszy, piasku w nią dla ciężaru nadziać i z tym w rzekę rzucić.

Najedliśmy się strachu niemało, bo co pana czekało, to i sługi; ale pana onego trzeba było podczas widzieć, jako pięknym był, iżem go w życiu nie widział wspanialszym. Strachu, by najmniejszego, nie okazał, ale majestat i potęgę jakąś, taką straszną, iż ono chłopstwo w oczy mu spojrzeć nie śmiało. W bok się ujął, a usta mu drgały uśmiechem. Patrzałem na to, gdy Bielecki się do niego zbliżył i szepnął: — A co teraz? Szabli dobywszy do czółen się przebojem wyrąbywać?

— Milcz! — odparł p. Samuel. — Moja godzina jeszcze nie wybiła, ja tu i szabli nie dobywając radę sobie dam.

Tedy patrzym, a gdzie nie opodal najszałeńsza stała gromada kozactwa, co nam pięściami

ciągle się odgrażali, on sam jeden krokiem mierzonym i poważnym wprost szedł na nich. Patrzyłem się na to, jak widząc go tak spokojnie ku sobie idącego, powoli się uciszali, aż gdy o kroków parę przystanął, z tej wrzawy cisza nastąpiła, jak mak siał.

Począł tedy mówić do nich wielce łagodnie i dobrotliwie ich hamując, ale z taką siłą jakąś, że im jak by zawiązał gęby. Jeden i drugi poczęli się po łbach skrobać, po sobie spoglądać, łokciami się trącać, mrugać i burza naraz ustała. Coś się śmielszy jeden odezwał odpowiadając panu, ale p.

Samuel wysłuchawszy go, znowu mówić począł. Gromada tedy powoli jako chmura groźna

rozpływać się poczęła, rozłazić, i przy panu tylko w końcu kilku spokojniejszych pozostało, którym zlecił, aby zburzone umysły starali się uspokoić, a wszystko pójdzie dobrze.

Aniśmy się dla tego strachu, jak Bielecki chciał, zaraz z Czertomelika wynieśli, choć czółna pogotowiu były. Rzekł nam p. Samuel: „Myśleliby, że od nich uciekam, a ja nawet posądzonym być nie chcę, abym obawę miał, której w życiu nie doznałem, bo sobie moją cześć rycerską więcej ważę niż żywot marny”.

Kazał tedy namiocik rozbić, który zawsze przy sobie miał i na nocleg się tu gotować.

Nazajutrz do dnia sprawie nie koniec, burza się zerwała znowu, a nie mniejsza od wczorajszej, której pan Samuel dał przeciągać bokami, sam się nie nadržając, czekając cierpliwie, ażby oni do niego przyszli. Przez ten zaś czas jak się okazywał wesołym i bezpiecznym, ledwo kto uwierzy, co go tam nie widział. Bo że tu życie nasze wisiało na włosku, nie ma wątpliwości i od Prochoram to później miał, że jego i nas wszystkich topić chcieli, a na Lachów, zdrajców, okrutnie wymyślali, ale ku niemu się nikt nie ważył.

Znałem ci ja go mężnym i zuchwałym od dzieciństwa — mówił dalej Zarwaniec — ale

takim, jak się tu nam okazał, nie widziałem go nigdy. Jasne miał oblicze i uśmiechające się usta, a postawę przedziwnie pańską i swobodną, jak by wśród senatorów na radzie w zamku zasiadał.

Chłopstwo też ono wzrokiem raził, że mu do oczów spojrzeć nie śmiało.

A było tego nie dzień jeden, ani dwa, ale niedzielę całą z nimi musieliśmy przeżyć, spierając się, mitygując i skromiąc. Koniec końcem starszego wezwał do siebie, przy czym byłem, i rzekł

mu: „Swobody waszej kozaczey wcale wam ja ukrócać nie myślę. Zechce ze mną który iść,

wdzięcznie przyjmę. Kto się oprze, gwałtu mu nie zadam: może pozostać. Zatem- straż aby była wyprawiona na uroczysko, kędy mustalik z murzami dla przysięgi zmówiony”.

Na tym stanęło i spokój był przywrócony. Ano, co się dalej przygodziło, w tym już wola

Boska była i osobliwe Opatrzności zrządzenie. Na ono miejsce mustalikowi wyznaczone, na czas zmówiony, mimo chęci p. Samuel przybyć nie mógł, bo w tym labiryncie wysp i wysepek my z naszymi wioślarzami, choć cokolwiek obeznani byliśmy z miejscowością, skorośmy się zabłąkali.

Stąd czasu zwłoka. P. Samuel podążyć nie mogąc posłał Kozaków, mustalika prosząc, ażeby

cokolwiek się przymknął bliżej. Poganin zaś, jako sam w sercu zdradę miał, tak się jej snadź od nas obawiał i sam ruszyć z umówionego miejsca nie chciał, kilkuset tylko murzów swoich

wyprawiwszy po hetmana. Ci opowiadali, że mustalik z wielką wcale okazałością, w tysiiąc koni, z wielkim orszakiem, z darami bogatymi, z wozami, z wielbłądy, z namiotami, z jezdnyimi i pieszymi oczekiwał na hetmana.

Murzowie, przybywszy z pokorą i czołobitnością, poczęli modlić a prosić, po nogach niemal całując go, aby do mustalika jechał, który go niecierpliwie z wdzięcznym sercem oczekuje.

Postanowione tedy już było, żeśmy ruszyć mieli, ale wojska niżowego bez przykazów i bez

naznaczenia im starsziny, a bez zastrzeżenia, aby się ono spokojnie zachowywało, pokoju nie zakłócając, nie mógł pan Samuel pozostawić. Trzeba było na to trzy dni, aby po starszyny posłać i z nią się rozmówić. Rzekł tedy murzom: „Postójcie mało, sami to rozumiecie, że wszystkiego kozactwa z sobą do Persji nie biorę, trzeba więc pozostałemu przykazać srogo, aby ordzie pokój dała”.

Tu muskając wąsa Zarwaniec, gdy dalej miał ciągnąć, dodał spojrzawszy na braci, którzy go z ciekawością wielką słuchali:

— Co powiem, będzie się może ich miłościom trochę dziwnym wydawało, a nie cale do prawdy podobnym, ale rychło ujrzycie p. Samuela, który słowa moje potwierdzi.

— Mów, cóż tedy tak nie do wiary być może, gdy o Samka idzie? — rozśmiał się

Krzychnik.

— Poczęła się z murzami sprawa zaprawdę dziwna — ciągnął dalej Zarwaniec — bo

nadzwyczaj gorąco i napastliwie nalegali, aby z nimi koniecznie, i to nie zwlekając jechał, a z drugiej strony kozacka starszyzna, na bok wzięwszy hetmana, objawiła mu, że oni Tatarom tym i carzykowi ich, i mustalikowi całę nie wierzą, a zdradę w tym wietrzą, iż inaczej nie jest, tylko sprawa napięta, aby jego ludzi i Kozaków w niewolę wziąć i zgubić. Zaklinali go więc, aby uchowaj Boże nie jechał.

Zdało się zaś p. Samuelowi, że Kozacy zrazu wyprawie tej byli przeciwni i dlatego strachy na Lachy wymyślają, albowiem takiej jawnej zdrady nie mógł nigdy przypuścić.

Więc z jednej strony murzowie wołają: „Zmiłuj się, jedź, tam na ciebie jednego jak na syna rodzanego carz czeka, sto tysięcy ludzi stoi, dłużej trwać nie może, bo i trawy, i paszą wszelką wyjedli i czas mieli obrachowany”. Więc na trzy dni pozwolić nie chcieli, ale wołali: „Jedź zaraz, jedź!...” Do kolan przypadali ciągle, a złote góry obiecywali.

Co tu czynić? Kozacy ręce łamią i proszą: „Jeżeli wam życie i zdrowie miłe, sami się dobrą wolą w ręce poganom nie oddawajcie. Zguba jawna. Dostyc w ich kosę oczy popatrzeć, a jak się sobie uśmiechają radzi, że zdradę knują”.

Drudzy zaś powiadali, iż niektórzy Kozacy, co w niewoli u Tatarów bywali, a język ich rozumieli, pochwyтали takie wyrazy, jak by na zdradę wszystko wymierzone i obrachowane było.

Myśmy p. Samuelowi w oczy patrząc widzieli, że choć się maluczko wahał, ale serca sobie dodawał i miał postanowienie jechać. Tedy murzowi ani nawet do wieczora nie chcieli czekać, a zaraz na koń. Przeszedł się po placu między nami zadumany pan i nagle krzyknął: „Dawaj konia!”

Murzowie się z pośpiechem rzucili zaraz i w mgnieniu oka rumaka mu okulbaczonego, gotowego, tylko siadaj, przyprowadzili. Zdało się tedy, że tak Bóg chciał i sądził.

Był koń, jak bym na niego jeszcze patrzył, pleśniawy, zbudowany krzepki, z okiem wysadzonym na łeb, z chrapami czerwonymi, niecierpliw, że w miejscu ustać nie mógł, a kopał nogami i ogonem ze złości zwijał. Tedy p. Samuel, choć wasza miłość wiecie, jak na koniu jeździ i że mu najdzikszy nie straszny, spojrzawszy na tego rzekł: „A stępią on chadza?”

Murza, który przy nim stał, odparł: „Bystry jest”.

Rzucili się zaraz innego mu szukać, bo powiedział, że bardzo znużonym się czuje i chce sobie na siodle odpocząć. Tymczasem on, już tylko na konia siadać, szablę przypasaną, sahajdak miał na sobie, począł zadumany się przechadzać, oczekując. Patrzyliśmy na niego z żalem i trwogą, bo

widać było, że w nim dwoje grało jeszcze.

Michał kucharz, koło namiotu stojący płakał i gdy się zbliżył ku niemu, rzecze: „Paneczku mój, już ja cię pono oglądać nie będę, kiedy się sam na ich ręce zdajesz. Jest szczuka dobra, na poczekaniu gotowa będzie, najedz się choć na drogę”.

Aż pan stanął, a że w istocie przez cały dzień czasu nie miał co do gęby włożyć, zapachła mu szczuka i rzekł: „Dawajże prędko!”

I szedł do namiotu jeść, a tu mu drugiego konia już przyprowadzili. Znowu się kęs zwlokło.

Miał tedy na koń siadać już, aż przy starszyźnie kozackiej, za jej naprawą, zażądał od murzów przysięgi na bezpieczeństwo. Ci zaś wymówili się, iż przykazania nie mieli i ręczyć nie było ich rzeczą. Kozacy to usłyszawszy, już nie patrząc na nic, prawie gwałtem pochwycili p. Samuela między siebie, niosąc na rękach do czółen i siadłszy do nich z samopałów ognia dawać zaczęli.

Murzowie się tego przelekli i odbiegli trochę, ale zaraz też do czółen się wzięli i już sądząc, że go prowadzą z sobą, odbili od brzegu, przodem spiesząc, aby o nim oznajmili. Kozactwo zaś go puścić nie chciało, a że na pożegnanie dużo pili, wzięła się na wpół w czółnach, wpół na brzegu taka ochota wielka, iż pan Samuel o wszystkim zabył, z uciechą na nią patrząc. Młodzież skoki takie i tańce przysiadane wyprawiać, inni na kobzach grać, inni strzelać i hukać poczęli radośnie, aż się ziemia trzęsła. Było co patrzeć na ich skoki, bo naród ten gibki jest i wyłamany tak, że mu we dwoje się zgąć, w kłębek zwinąć, głowę między nogi włożyć — niczym.

Wśród tej zabawy noc zaszła i straż kozacka powróciła od granicy tatarskiej. Ci z sobą

przewodzili kilkunastu człowieka, których trudno było zrazu poznać, co za jedni, tak wynędznieni, w łachmanach się przywlekli. Gdyśmy się zbliżyli, buchnęła z nich radość, że nam się płakać chciało, bo to byli wszystko polscy jeńcy, zbiegli od Tatarów, którzy w tej ucieczce prawe męczeństwo cierpieli, a tu *salus* ujrawszy na kolana padali, ziemię całowali, a mało nie szaleli z radości.

Dopiero starszy jeden, który głowę jakby trupią miał z wychudzenia, gdy mu p. Samuela pokazano, podniósł ręce do góry: „Pan Bóg — zawołał — niech będzie błogosławiony, że nas tu zawczasu przywiódł, abyśmy wielkiemu zapobiegli nieszczęściu. Tamci Tatarowie pętle wiążąc na was niecierpliwie czekają. Hetmana niewola i okup postanowiona była, a z ludzi, którzy by z nim przyszli, ani jeden nie miał powrócić, ani żyw być, bo dla nich już pale gotowano.”

Posłyszawszy to pan nasz, że nie mógł wątpić, iż prawdę mu powiadali, bo za nich własna

ich nędza świadczyła, rozsierzdził się strasznie. Zaraz tedy do koni swych postanowił jechać, ludzi co najlepszych zebrać i za carzykiem ciągnąć z tyłu, aby go zniemacka zarywać. Jechaliśmy w czterdzieści głów wybranych o mil siedem, kędy stado się pasło, ale bardzo nieszczęśliwie, bo tam od robactwa jakiegoś i ludzie, i koniska bardzo puchły i zdychały. Gdyśmy do koni przybyli, okazało się po oględzinach, że i dwu całych zdrowych nie było. Tedy Kozacy dla słabości koni tych jęli mu odradzać bardzo, powiadając, że zanim osłabłe szkapy przepławim, zemdlone popadają, i nie było co z takim stworzeniem w paszczę Tatarom leżć; co naszemu panu bardzo przeciwnym było, gdyż

sierdżistości swej i zemście kwoli chciał koniecznie uczynić, a gdy co postanowił, wiadomo, że go przeprzeć trudno.

Dla koni się więc przewlekło, a tymczasem znowu języka dostaliśmy od straży kresowych z

przekopy, że murzów tych, którzy po p. Samuela jeździli, srodze wszystkich pokarał, dlaczego nie zezwolili na przysięgę i na wszystko, co chciał, byleby mu go przyprowadzili. Ci też powiadali, że gdy murzowie wrócili, zastali tam posła perskiego u carzyka, który po to przybył, aby go co rychlej naglił do ciągnięcia. A z taką butą nalegali na carzyka, że mu losem jego brata Adligeraja grozili, który zabit był, mówiąc: „będzieszli zwłóczył i ciebie to potka”. Upierał się jeszcze carzyk na p.

Samuela czekać, zwabić się go spodziewając, bo okupu wielkiego żadnym był, ale Pers mu ociągać się nie dał i tak dziesięć tysięcy na straży od kozactwa zostawiwszy, ciągnąć mu- siał do cara tureckiego, a z nim do Persa. Na samym od-jezdnym, ponieważ cale nie wiedział o tym, iż się jego zdrada wydała, przysłał jeszcze do p. Samuela posły, aby pokój zawarty z nim strzymał wiernie, napominając, za co obiecywał i dań na Kozaki, i chorągiew na Wołochów, jakby tylko z Persji powrócił. A tak posłów tych odprawiono, nie dając nic poznać, a p. Samuel, gdy się naraz ujrzał bez żadnej imprezy przed sobą, począł być wielce markotnym.

Znacie wasza miłość naturę jego, że zawsze coś przed sobą mieć musi, czym by się parał, a zabraknie mu, uchowaj Boże, tedy jak niedźwiedź własnej łapy ssać nie będzie, ale musi sobie wyszukać, co by mu myśl zaprzątnęło. Widzieliśmy go przez dni parę chodzącego, jakby z *krzyża* zdjętego i palce gryzącego ze złości. Przy czym kilku oberwało, co mu się pod czas nawinęli.

Chybiła Moskwa, że na nią iść nie było można, do Persji też nie szedł, a stać na Niżu i kaszę jeść z Kozaki, nie jego rzecz była. Na Wołochy się zaś gotował jeszcze w Złoczowie będąc i na nich z Tatarami i Kozakami paść myślał, o czym oni byli uwiadomieni.

Hospodar, choć może napaści tej nie bardzo się lękał, ale mu ona zawsze wypaść musiała ze szkodą. Nakazał więc do p. Samuela w ten sposób: „Zostaw ty mnie w pokoju, masz co lepszego do czynienia, na grodkach moskiewskich pogranicznych lepiej się obłowisz niż u mnie, a snadniej ci z nie przygotowanymi będzie niż ze mną, który wiem i czekam. Więc jeśli mnie w pokoju zostawisz, dam ci pięćset koni na Moskwę.”

Na którą propozycję p. Samuel do czasu żadnej nie dał odpowiedzi, ale teraz mu ona

przyszła na pamięć. Bieleckiego tedy do hospodara wyprawił zaraz, dając mu cztery niedziele czasu na przysłanie posłów dla znowy, do której gotów był przystąpić. Otóż nam te cztery niedziele za dziesięć stały, jak to się mówi po prostu, w gardle kością, że panu Samuelowi wszelkiej już cierpliwości i wytrwania brakło. Kozacy się poczęli na gwałt rwać, aby Tatarów zarywać, co by im łatwo teraz i bezkarnie przyszło, bo carzyka nie było, sił nie mieli, a wioski tatarskie tuż ku granicy się przysunęły. Smieszno rzec, jak by się wieś z miejsca na miejsce przenosiła, ale u Tatarów nie inaczej jest, tylko chaty na kołach z wojłoków mają, a w nich wszelki sprzęt i niewiasty, i dzieci.

Dokuczy im co, albo paszę wyjedzą, lub wody powysychają, zaprzęgają do tych chat i ruszają, gdzie im się podoba. O których powiadają, że naturę już nawet taką mają z wiekuistego

nawyknienia, iż w jednym miejscu, a w nieruchomym domu wytrwać nie zdołają.

O tych tedy wsiach, przy których zazwyczaj i stada koni, i łupy ich są, i jeńców przy nich trzymają, zasłyszawszy Kozacy, rwali się na nich napadać. Zaś p. Samuelowi nie po myśli to było, a musiał dobrze rozważyć, aby na niego nie rzucono, że nieprzyjaciela uspokojonego przeciwko Rzeczypospolitej drażnił czasu wojny z Moskwą. Z innych też względów nie zdało mu się swawoli kozackiej i samowoli folgować. Więc cośmy z nimi za sprawy czasu tych czterech tygodni

przebywali, ani opowiedzieć, ni zliczyć. Musiał pan nasz starszyznę sobie dobrymi słowy a ciągłymi podarkami ujmować, bo z nimi bez datku nic nie zrobić. Patrzyliśmy na to z bólem serca, jak mitygując ich i nie mogąc zjednać, co dzień, cośmy z sobą najlepszego mieli, pomiędzy nich rozdawał. Poszło tak, co było ochędożnej i pięknej broni, rynsztunku wszelakiego, szat, futer, na ostatek pieniędzy do ostatniego niemal grosza. I bywało zdaje się, że starszyzna już uspokojona, przekonana, a mołojcy ,upojone i cicho, czekamy posłów od Wołoszy.

Wtem przybieży od granicy język, jako wioski tatarskie prawie bezbronne, a łupu w nich

siła, albo teraz, albo nigdy na Tatarów iść, których jak baranów zabrać można. Zawichrzy się znów wszystko, lecą pod namiot pana z krzykiem wielkim, żeby ich prowadził, że nie od tego hetmanem jest, aby ich hamował, ale aby im przodował, że przez niego szkodę ponoszą wielką.

A tu się jemu więcej oglądać przychodziło na Rzeczpospolitą, choć króla nie cierpiał i nie cierpi, aby nieprzyjaciele nie powiedali, że na nią Turków i Tatarów zemstę ściągał. Więc znowu w prośby i zakłęcia i znowu starszyznę ujmować, choć po kilka dni sobie pokoju kupując. My tymczasem w tej beczynności, na lada jakim chlebie, często głodem przymierając, jakeśmy się mieli, Bogu i nam wiadomo. Znowu tedy z nudów tych ledwieśmy babom krosien nie zazdrościli, bo się ryby łowić i na ptactwo polować sprzykrzyło. Ludzie nasi wraz z Kozakami po całych dniach pili, nie mając co czynić. My zaś wszyscy, jakośmy przycierpieli, to nic, ale kto pana Samuela, co on za męki doznał — wyrozumie! Bo nieraz się hamować musiał, do czego nie nawykł, a nieraz zuchwałe kozactwo mu niemal do oczów skakało, iż życie wisiało na włosku. Podpił który, a miał

na wątrobie co, szedł wprost, czapki nie zdejmując, pod namiot, siadał sobie za pan brat przy tym, którego oni batkiem, czyli ojcem, zwali i bluzgał mu w oczy, co ślina do ust przyniosła.

Uprzątnęliśmy jednego, dopoiwszy tak, aby go na rękach z namiotu precz wynieść było można, nalazł się drugi, a najgorsza była starszyzna, która skosztowawszy podarków, coraz na nowe wyciągała, których nie było już z czego brać... Sepety nasze i wozy stały opróżnione, koniśmy pozbyli...

Tymczasem tych posłów wołoskich cztery tygodnie oczekiwanych ani widu, ani słychu,

dalej i drugie cztery głucho... Można się było najcierpliwszemu wściec, co dopiero takiemu jak nasz p. Samuel, który nigdy czekać nie umiał. Wiądl nam w oczach, ale mu wstyd było i żal porzucić tę imprezę nic nie dokazawszy, choć myśmy go na gwałt do domu z powrotem namawiali.

Westchnął i popił Zarwaniec, a panowie Zborowscy spocząć mu nieco dali, choć końca byli

ciekawi, acz się dobrego spodziewać nie mogli. Krzychnik pierwszy biadać zaczął:

— Było mu tam głową nieść bez korzyści pomiędzy to kozactwo, gdy tu tyle jest do

czynienia. Kosztem tych trudów a zabiegów byłby w moim ręku więcej dokazał, a może cały naród by mu za to był wdzięcznym. Gorzej Tatarzyna nęka nas tu *Nigrum Ccmcilium* ze swym carzykiem na czele. Na tego mu wyprawę było czynić, nie na Niż i dniewrowe ostrowy!

To mówiąc splunął podczaszy, a marszałek, który wiedział, że przy Zarwańcu wszystko mówić mógł, co chciał i myślał, odezwał się:

— Słuchaj, Krzychnik, niech ci raz prawdę powiem. Ty żar chcesz wygrzebywać

Samuelowymi rękami, a czemu sam nie poczynasz? Jam do tego nie zdatny ani się rwę, choć sercem i duszą z wami jestem; ty zaś, co się tak niecierpliwisz, czemu nie robisz nic?

— Bom tak, jako i miłość wasza, do roboty onej nie zdatny — odparł Krzychnik. —

Wymyśleć i wskazać, co czynić, moja rzecz, a gdzie by na koń sięść i z szablą drogę po nocach zabiegać i zasadzać się trzeba, jam do niczego. Każdy człek się do czego innego rodzi, p. Samuel rzutki jest i gdy w dobrych rękach — nieoceniony. Własną głową tak chodzi, jak ono to na Niż, a za wskazaniem moim, on by nas wszystkich z tej niewoli batorowskiej wyzwolił. Jeżeli powróci, nie może inaczej być, ja go wezmę w swe ręce... Zobaczycie!

Pokłonił się słuchając Zarwaniec i rzekł cicho:

— Ino, proszę miłości waszej, pana Samuela wziąć, a uczynić go komu posłusznym, to jest

sztuka, której bodaj nawet pan podczaszy nie dokaże. Naprzód, że już za stary jest, aby swobody, do której dobrze nawykł, pozbyć się chciał, a potem krew ma gorącą, więc choćby się i poddał, w tym poddaństwie nie strzyma.

Rozśmiał się podczaszy.

— Ale on go ani czuć, ani znać nie będzie — rzekł — myśli toż samo co ja, pójdziemy ręka w rękę... Zgodzi się ze mną, tyle tylko, że ja mu drogi wskażę i ułatwię. Ja bym mu wszystkich tatarskich carzyków i gospodarów wołoskich z głowy wybił, kiedy my tu nad sobą mamy taką żelazną rękę, że tchnąć nie możemy. Daj Boże, aby co rychlej przybywał. — Tak ci będzie — dodał

Zarwaniec — byłem grosza dostał, pospieszy tu pewnie.

— Niechby choć przed weselem w czas stanął, boby się może, zaskoczywszy pana młodego,

udało nie dopuścić do kobierca...

Wtem zwrócił się do Zarwańca:

— No mów, a kończ, coście to tam jeszcze na Niżu dokazywali, z czym się chwalić myślisz.

— Niewiele z tego chwały — rzekł Zarwaniec — bo biedy więcej było niż chluby. Myśmy z tego próżnowania, jako i pan nasz gotowi byli na wszystko.

Puścił się tedy p. Samuel dla rozrywki, jako i dla lepszego poznania tego kraju i rzeki, po Dnieprze, po ostrowach, opatrując brzegi, rozpytując ludzi o ich saletry, sole i wszelką kupią, i płody. Wtem, gdy na rzece był, spotkał tych, co po sól jechali na brzeg morski, która tam latem osycha, jako mąka leżąc na ziemi i bierze jej każdy, kto chce, ile mu się podoba, nie pytając, bo to bezpańska jest rzecz. Ludzie ci, sól wiozący, powiedzieli mu, że nie opodal na morzu galery widzieli, które na Dniepr płynęły.

Natychmiast wyprawił pan nasz straż *ad ostium maris*, kędy Dniepr w morze wpada, aby języka dostać i w istocie straż galery dwie na Dniepr wchodzące na swe oczy widziała, a przy nich lądem Tatarów tysięcy, jak oni liczyli, z dziesiątek szło, chcąc w ciasnym miejscu z Kozaki się rozprawić. Tego panu hetmanowi było potrzeba, który gwałtem bitwy pożądał, więc ludzi

zebrawszy zasadził się tak, aby z galer ludzie wysiadłszy, gdzie na ciasnym ostrowiu przydybał i tam je wszystkie wybił do nogi. Ale nie wiedział o tym, że nie wszystka to moc tatarska była, ale tylko przez sędziaka wysłana kupka dla języka, którzy Kozaków zoczywszy, ani się potykać myśląc, natychmiast tył podali. Gdyby nie to, że się cokolwiek przypóźnił, pewnie by z nich żaden nie uszedł, ale ponieważ próżny żal.

Więc wracaliśmy znowu do Siczy i znowu na Wołochyśmy się gotowali, bo tak ścierpieć

nie chciał w próżnowaniu, gdy już posłów nadaremno się było spodziewać. Gdy ciągniemy tak —

co godzina to nowina: na pierwszym noclegu potykamy znowu z jasyru tatarskiego zbiegłych, których tu niemal każdego dnia było można znaleźć, bo się salwowali niebożątka, jako kto mógł i umiał, a niejeden wolał z głodu w stepie umrzeć lub w śniegu zmarznąć, niżeli w tatarskich pętach.

Więc byle się okoliczność nadarzyła do ucieczki, biegli więźniowie, a co ich życiem przypłacało, któż to policzy? Nawet kości po nich nie zostało na tych pustkowiach. Gdyśmy jeńców rozpytywać poczęli, wszyscy jednozgodnie mówili nam: na Tatarów idźcie, teraz czas albo nigdy, bo tam na nich padła jakaś trwoga wielka, iż sama carzowa nawet do lasów uciekła.

Kozakom tego tylko potrzeba było i posłyszawszy zerwali się gwałtem wielkim, aby zaraz

ić nie mieszkając. Próżno pan Samuel chciał ich od tego odwodzić, a miarkować, aby na Polskę pomsty onego czasu nie naprowadzili, gdy wojna moskiewska nad nią wisała. Siła czasu upłynęła, nim ich jakoś przywiódł do upamiętania, a polityki w tym wielkiej zażywając posłał do carzowej z pięknymi słowy, aby trwogi nadaremnej pozbyła i bezpiecznie w pokoju mieszkała, gdyż jej jako syn,

dawną z ojcem umowę o pokój chce święcie dotrzymać. Co zaś to kosztowało biedy i mozołu, długo by opowiadać. Dostyc, że odprawiwszy szczęśliwie posły, sam do Wołoch się uparcie gotował, bo srodze obrażony był, iż mu nawet nie odpowiedzieli, lekko go waząc sobie.

Ano, jakom rzekł, każdy tu dzień inny wiatr wiał i nami miotał. Kiedy my na Wołoszę się gotujemy, przynoszą wieść, że Tatarzy są na zamku Hasłanhorodku, tym samym, o który się był kniaź Różyński kusił, kędy mizernie zginął, prochy podłożywszy, którymi sam się w powietrze wysadził. Szliśmy tedy spieszo bardzo na Hasłanhorodek, a Tatarzy o nas posłyszawszy uskoczyli precz z obawy. Nie wiodło się nam zrazu i tak już do końca.

Był z nami pod ten czas Kozak, którego oni tam wszyscy w nadzwyczajnej mieli estymie i Znachorem go zwali, iż umiał zamawiać strzelby i kule tak, że wojsku, z którym on był, szkodzić nie miały. Inne też czarnoksięskie sztuki wyprawiał, którymi sobie takie poszanowanie pozyskał, że mu się wszystko kłaniało. O czym hetman albo nie wiedział, lub sobie to lekcewazył.

Do Tatarów, gdy już odciągali, posłał p. Samuel tłumacza, zapraszając ich na rozmowę, przy czym kilku Kozakom zasadzić się kazał dla bezpieczeństwa, aby Tatarzy się na niego nie porwali. Pomiędzy którymi Znachor był.

Ten Tatarów zobaczywszy strzymać nie mógł i wystrzelił do nich, a że hetman im za bezpieczeństwo ręczył, więc wpadł w pasję taką, iż się na Kozaka rzucił sam, chcąc go ubić, ale inni poskoczyli, obronili go i nie dali. Tu dopiero widzieć było potrzeba i p. Samuela i Kozaków onych srogą zaciętość z obu stron z takim impetem, żeśmy sądzili, iż żyw z tego nie wyjdzie. Jak się tam innemu kozactwu udało p. Samuela pohamować a Znachora przy życiu zachować, nie wiem spełna, bom dla ciżby, jaka się zwała ku nim, nic widzieć nie mógł i hetmana dopiero zobaczył, gdy jak z łaźni z rąk ich się wyrwał, przeklinając dzień ten i godzinę, gdy na Niż mu się zachciało.

Aliści za późno było żałować teraz...

Na pociechę tylko z Wołochy się wrzekomo składało, że u Probitego ku Bohu zjechać się zmówili, choć p. Samuel mało im ufał i nadziei miał, ażeby na nich co wymógł.

Gdy się tedy z Kozaki, za pomocą niektórych hetmanowi skłonnejszych, uspokoiło do czasu, choć już do nich, a oni do niego serce bardzo tracili, przysłali Tatarowie z podzięką, że się za nich ujął i pokój chciał utrzymać, za co wywdzięczając ofiarowali mu wraz z ludźmi stacją i wszelkie opatrzenie, jeżeliby tu chciał spoczywać, przy czym by i carzyków poznał, bo się ofiarowali przybyć ku niemu. Za co hetman podziękował im, bo mu do Probitego pilno było, zbywszy ich: „Na ten czas nie potrzebuję nic”.

Więc spod Hasłanhorodka jechaliśmy do Witołdowej Łaźni, gdzie się pamięć onego

wielkiego "wojownika nie tylko uchowała, ale budynki i piece okazywano jakby z tych czasów, gdy on tu stał, a w łaźni się parzył. Drudzy zaś mówili, że nie *łaźnia* to była, ale komora, kędy kupce parzył. Skąd pospiesznie ku ujściu Dnieprowemu szliśmy dalej, a dziesięciu ludzi przodem szła do Probitego ku Bohu dla Wołochów, aby jeśli się cośkolwiek opóźni, onych tam zatrzymali.

Tymczasem owi wysłańcy trafili po drodze na wałęsających się Turków i pojмали ich trzynastu, ale że pohańcom pomoc przybiegała, uszli z nimi pospiesznie ku Bohu i aż do Probi- tego ich dostawili. My zaś dzień spoczywaliśmy na tym noclegu, skąd straż była posłana, bo Kozacy czółna trzcinaą obszywali, gdyż na morze były za małe. Tuśmy się stojąc, a o zwierzu na wyspach nieodległych słysząc, puścili na łowy.

Wtem słyszemy huk w dali, ale rozeznąć było trudno, czy z *dział ognia*, dawano, czy grzmot się *rozlegał*, bo w tej stronie na niebiosach chmury stały. Kozacy świadomi powiadali jedni, że na przekopie ognia dawano, drudzy zaś twierdzili, że grzmiało i łyskało. Więc nie dorozumiewając się Turków, płynęliśmy na morze pełne, bo ci, co ku Bohu szli, o nich nam znać nie dali. Cicho i bez zaczepki przekop minęliśmy, Tatarom pokój dając. Kiedy potem patrzym, na morzu jakby zamek znaczny albo budowanie się ukazało, a mrok padał, więc rozeznąć było trudno, co przeciw sobie mamy. I tak na noc przyszliśmy. Dopiero gdy dzień zaczęło, okazały się tureckie galery z ludem wojennym mnogim, że już mylić się nie było można.

A panu Samuelowi zaraz serce urosło i aż mu oczy zapłonęły. Więc się do Kozaków

obrócił: „A co, panowie mołojcy! Szczęście nam samo się w ręce podaje; przy pomocy Bożej, może być i sława, i korzyść niemała!”

Przy czym na galery wskazał, ale Kozacy, choć zawsze ochotni, głowami potrząsali. „Tu by nam — rzekli mu —

o tym myśleć, jak co najprędzej uchodzić, bo siła nie na naszą garść, zgnetliby nas pewno.

Mierzyć się z nimi ani próbować...”

A naszemu panu okrutny żal był okazję potkania się stracić, ale sam wreszcie widział, że szczerze mu radzą, i że nie pozostało nic, jeno uchodzić co chyżej. Do Bohu siedem mil było, ucieczka przed galerami trudna, a zguba pewna. Co najgorsza, że Kozacy z tymi czółnami ani się chcieli mierzyć przeciw galerom i stał się niepokój wielki, wołanie, czym i hetmanowi serca odjęli.

„Uciekać!” — wołali — „Uchodzić!” — i czółna zwracali. Panu Samuelowi zaś, gdy już ratunku w ucieczce nie widział, zdało się po rycersku dostać placu i życie ważyć, począł więc na nich krzyczeć: „Niech was, mołojcy, nie obchodzi lik pogan, myśmy ludzie chrześcijańscy, Pana Boga prawdziwego słudzy. On nam wszechmocnością swą pomagać będzie i sił doda... Idźmy śmiało, a z pomocą Bożą i tej ich armacie, i im, bluźniercom niewiernym, rady damy... Zwyciężym ich!...”

Tymczasem czółna już i my na nich uchodziliśmy, a p. Samuel stojąc wciąż mitygował,

zaklinał, aby sobie sromu nie czynili, a raczej się zwrócili mężnie i do bitwy gotowali. Aż tu przedniejsza galera, na której ich tam starszy był, wysforowała się naprzód goniąc nas, nimby inne ruszyły i krzyki ich: „Ałłach! Ałłach!” z dala nas dochodziły. Kozacy z czołnami do brzegu już przybiwszy, wysiadać i pierzchać chcieli, ale srom ich oświadczył na ono wołanie hetmańskie. Siedli do czołen na powrót. P. Samuel wielce tym uradowany, chwalił im to, zwycięstwo obiecując, bo mu się wielce bitwę stoczyć pragnęło, że życie dla niej ważyć był gotowy.

Galera owa ich hetmańska coraz się ku nam przybliżała, która była ze wszystkich największa i najpiękniejsza, a sunęła tak, żeśmy nie tylko ich bębny, surmy słyszeli i okrzyki, ale zielone chorągwie powiewające nad nimi widzieli. P. Samuel z Kozaki stał śmieje, to im zaręczywszy, że skoro z jedną tylko galerą mieć będą do czynienia, przemóc ich dzielnością swą potrafią. Stał cały jak w ogniu, trzęsąc się z niecierpliwości p. Samuel i postrzegłszy, że sternik jego czołna słabnie i źle kieruje, o mało w miejscu nie ubił, że mu go z rąk ledwie wyrwano.

Turcy się tej garstce śmiałej dziwując, już zaprawdę gotowali osaczyć i wszystkich pojmać jako w sieci, bo wielką przewagę mieli, gdy galera na piasku im utknęła — ani ruszyć. Tam gdzie czołna kozackie płynęły swobodnie, oni jak przykuci siedli. Począł p. Samuel wołać, aby reszta spóźnionych przybywała, wielkim animuszem swym rzucić się na nich zamierzając. Ale Kozacy się nie wazyli i zamiast ku galerze, do brzegu sterowali — ani było ich zmusić. P. Samuel na próżno ręce łamał, prosił i zaklinał.

Wtem Turcy obaczywszy, iż im uchodzimy, z dział ognia dawać zaczęli. Kula jedna tak nieszczęśliwie padła, że sternika, który tuż przy panu stał, trafiła, a ten podle niego Kozaka, sobą padając, w morze wyrzucił, którego ledwie wyratowano. Kozactwo zaś, które zrazu chęć dobrą okazywało i na które hetman najwięcej rachował, do brzegu przybijając poczęło się mieć do ucieczki. Próżne było rozpaczliwe hetmańskie wołanie, aby drugim strachu nie wraźali i sromu sobie nie czynili — gdy kule tureckie coraz w czołna trafiały i dziurawiły je, tak że zatykać było trzeba, aby ich woda nie zalała. Wziął się zamęt wielki, a pan nasz, o wszystkim zapomniawszy wrzał tylko tym, jak by się bił i zabijał. Turcy widząc, że na morzu nic nie uczynią, poczęli na ląd wysiadać, Kozacy też wszyscy niemal wylądowawszy na brzeg, około hetmana się skupili.

Bitwa strzelbą się rozpoczęła gorąca, na którąm patrzył, bo przy nim byłem. Kule ku nam wszystkim wymierzone jak grad dokoła padały. Co zobaczywszy Kozacy chcieli go na wzgórze uprowadzić, albo kupę tę, co go otaczała, rozproszyć, bo za cel służyła. Hetman chłopca, który przy nim ze strzelbą stał, ledwie popchnął od siebie, gdy kula go ugodziła i na w pół rozcięła, tylko że mu rusznicę mógł pochwycić. W tym zgiełku mało co widzieć a jeszcze mniej rozpoznać było można.

Tyłem na oczach miał, że p. Samuela baczyłem ciągle się naprzód rwącego, ognia dającego, a cudem Bożym, choć gęsto go ostrzeliwano, żadna kula nie ugodziła.

Wtem między Turki okazało się, co zaś nie wiem, jakby bałwan jakiś we srebrnej zbroi, do którego

zmierzywszy p. Samuel raz i drugi ognia dał, aż się z niego blachy posypały. Chorągiew też jedna się zachwiała i padła, po czym lament usłyszeliśmy i wołanie przeraźliwe: „Ałłach! Ałłach!”, co Kozacy rozumieli, jak by oni sprawę swą za straconą mieli. Wnet też i im męstwa przybyło, gdy się obaczyli, że nie tak Turcy straszni, a od kul ich ten był ratunek, iż tam właśnie dzikie świny doły ogromne poryły, w których jak za szanćami kryć się było można. Pan nasz, jako strzelec doskonały, cudów prawie dokazywał, na cośmy patrzyli, gdy rzędem siedzących na ławie galery Turków ze śmigownicy wszystkich jednym strzałem raził i położył.

Wtem Turcy dwie galerze wyprawili ku Bohowi, aby Tatarów tam przewożyły, którzy by

Kozakom tył zabrać mogli i znowu się stała trwoga, a kozactwo do ucieczki się zabierało. Tylko pan nasz i nas kupka sercaśmy nie stracili. Zgromił pan uchodzących sromem wielkim, że ich świat ma za rycerzy, jakim równych nie ma, a oni tchórzem podszyci — i trochę ich powstrzymał, ale też Turcy zamieszanie u nas postrzegłszy, otuchy nabrali i na ład wysiadać poczęli, działa z galer na nas wymierzywszy. Hetman przeciwko wysiadającym sam się ze swymi ludźmi ruszył, gdzie

mężnie się potykali, choć nas było nie więcej kilkudziesięciu, a Turków przybywało. Jakoś to znowu Kozaków zachęciło, iż się zwrócili za naszymi.

Wtem dano znać hetmanowi, że Tatarzy biegną Turkom na pomoc od brzegu i rzucił się do

strzelby, ale popłoch był próżny, bo nie Tatarzy, ale naszych reszta pospieszała na pomoc, co męstwa dodało. Dosyć, że i nasi, i Kozacy parli Turków, z wielką rwąc się gorącością. Padło tam na placu Turków dosyć, przy czym pono i sędziak ich, alias hetman, padł, tak że wpływ do swych galer uchodzić zaczęli.

Nad tym płaczące chłopię Kozacy napadłszy na sztuki rozsiekali.

Na tym tedy koniec był, bo gonić Turków nie przystało, więc szliśmy z Kozaki wraz ładem

dla spoczynku w miejscu bezpiecznym, gdy nadbieżał Kozak dając znać, że Tatarów kupa

nadciągała. Tych p. Samuel chciał fortem pożyć, aby ich pewniej zniszczył, miał bowiem z sobą nie wiem po co przygotowaną turecką chorągiew, którą wystawić w górę kazał, aby Tatarzy

Turków zwycięzcami sądzą i śmiało następowali, a Kozacy wtedy z tyłu mieli ich zająć, gdy my czoło im stawilibyśmy. Kozakom też się to spodobało, a że z nich wielu języka tureckiego znało cokolwiek, więc naśladując ich wołanie, jeszcze ich bardziej przynęcili. Byłoby może się powiodło, ale drugie kozactwo za prędko ku nim skoczyło, czym Tatarowie spłoszeni tył podali. Tych w pogoni cokolwiek nabito, a gdy trupy obdzierano, powrócili Tatarowie i Kozacy ich dobrze odparli.

Tymczasem z galer strzelano i było tego niepokoju i miotania się dobrze na godzinę w noc.

Wreszcie trzeba było do czołen wrócić i o sobie myśleć, aż gdy do nich przyszedł pan

hetman z Kozakami, znalazł mało nie wszystkie zniszczone, z których ledwie całych osiem zostało.

W te trocha Kozaków siadło, ale gdy wiatr wstał, zaniósł ich na brzeg tatarski i wszyscy się do niewoli dostali. Rannych, co było, na jeden czółen położywszy, który miał wedle brzegu płynąć, szedł p. hetman pieszo, a za nim wciąż pogoń tatarska, która się coraz powiększała, czym Kozacy mocno się trwożyć poczęli, tylko nasz pan serca nie tracił. I jako to jemu własna rzecz jest, im w większym był niebezpieczeństwie, tym się stawał weselszy i śmielszy. Począł ich tedy napominać rycerskim słowem o śmierci chwalebnej, choć nie wiem, czy tam pod ten czas słowo mogło wiele, choć im obiecywał, że byle śmiało szli, pewnie zwycięsko wyjdą.

Ale drugie okoliczności smętne serce odejmowały, bo głód morzył i żywności żadnej nie było, a ranni na czółnie, nie mogąc dla piasku się wygrzebać z tego miejsca, wołali, aby ich dobito, żeby się nie męczyli nadaremnie. To się stało dopiero drugiego dnia na rzece Bohu. Półtora dnia naówczas, prócz wody, nic w gębie nie mieliśmy, a gdzie który liści narwał — żuł lub korzonków próbował, a drudzy żołądki. Kupą się trzymając ciągnęliśmy od Bohu ku Inugułowi, a tu niektórzy Kozacy się znaleźli, co byli pouciekali, i przy nich żywności trochę lada jakiej, ale ta jak najprzedniejsza smakowała marcepany. Nad Ingułem konieśmy zastali wprzód tam posłane, ano, i koniom, i ludziom, nam wszystkim w tych polach dzikich i pustych głodna śmierć groziła. I cośmy tatarskiej strzały uszli i jasyru — widzieliśmy, że przyjdzie w męczarniach ginąć...

Co było w czółnach, wszystko Turcy popsowali i z wodą poszło, a przy sobie mało co kto miał i tego nie stało. Zwierza zaś ubić albo ptastwa nie nadarzyło się, więc konie wszystkie rozdał między Kozaki, ano tych niewiele było, a wojska wszystkiego z półtrzecia tysiąca, gdy się razem zebrałi. Nie wiedzieć co poczynać już było, ale hetman głowy nie tracił, kilkunastu ludzi lepszych wybrawszy z nimi jechał do Probitego uroczyska ku Wołochom, a że rybaków kilku tureckich pochwycić się udało, od tych o straży wołoskiej dostaliśmy języka na Martwej Wodzie.

Za czym do Martwej Wody, gdzie nikogośmy nie zastali, tylko świeże stanowisko, doły od ognia i barłogi. Było już nas tylko jedenaście człowieka, a Wołochów tam stało osiemdziesiąt, ale dla żywności byłby p. hetman na nich napadł. Tymczasem nic, szukaliśmy dalej wiatru w polu, jako powiadają, a Kozacy z głodu puchli i zdychali. P. hetman też tak nic nie jadł krom żołądki, jak i drudzy. Nocy już tu nie stojąc pociągnęliśmy do Kremenczuka. Tu znowu żywej duszy, ni chleba, ni żadnej rzeczy...

Wróciliśmy do Probitego uroczyska. Patrzym, na ścianie węglem napisanie świeże: „Jeżeli tu kto przybędzie z wojska hetmańskiego, powiedzcie o nas na Krzywym uroczysku...” Duch dopiero w nas wstąpił, jechaliśmy jakby zmartwych- wstali, a tuśmy przyboczną straż pańską znaleźli, o której myśleliśmy, że ją Turek pochwycił. Dopiero ryb nałowili nam i nagotowali a napiekli, i ludziom trochę sił powróciło. Ano tu, jeszcze szpary nam nie zaszły, już się na Wołochów gotował, zasłyszawszy, że ich poblizu półtorasta było, tak żadnym był wojowania, ale Wołochowie zawczasu tył podali. Zarwaniec mówił ciągle, gdy pan Krzychnik szeroko a głośno ziewnął.

— Czyż jeszcze nie koniec — spytał — waszych spraw ukraińnych i niżowych, bo ja ich

mam dosyć, a sądzę, że i p. marszałek nie żądny więcej.

Zarwaniec węża pogładził.

— Jako przykażecie — rzekł — mnie się zdało, że juści p. Samuela męstwo nie obojętne

braci... My stamtąd do Soroki ść mieliśmy, a obróciliśmy drogę inaczej, bośmy z Braclawia się żywności spodziewali, a nędza taka była dla głodu, że Kozacy kości, kopyta, rogi w ziemi zagrzebane z dawna i pogniłe dobywali, jedli i od nich umierali.

— Tośmy słyszeli — przerwał Krzychnik — ano powiedzcie, jakże się to skończyło i kędy hetmaństwo z buławą poszło? Bo powiadacie, że Samko powraca.

— W drodze jest pewnie — dodał nieco zmitrężony Zarwaniec. — Co się tknie hetmaństwa

i Mżu, jam prosty człek, jakem szedł za panem, nie wiedząc, po co, tak wróciłem nie "wiedząc, dlaczego.

Poruszył ramionami.

— Dać Bóg, przybędzie pan Samuel, to on lepiej wytłumaczy, wszystko, tę swą podróż. Ja

tyle wiem, że dalibóg między Kozaki pamięć o nim zostanie, iż takiego nigdy nie widzieli.

— Pewnie — zaśmiał się Krzysztof — pewnie, męstwa mu nie odjąć, ale po co się to

wszystko zdało. Na Moskwę chciał, na Tatarów się rzucił, Wołochom się odgrażał, Kozaków

zmitręzył, a w końcu nie dotrwał nigdzie i wszystko straciwszy powraca z tym jednym łupem, że rozumu się nauczył może.

— Gdybyż! — westchnął marszałek. Zarwaniec się obraził.

— Proszę o przebaczenie miłości waszych — rzekł — panu naszemu rozumu nikt odmówić nie *może*...

I skłonił się sztywnie, a czoło mu się pofałdowało.

— Ja mu go też nie odmawiam — odezwał się Andrzej. — Ma rozum dla drugich, a dla

siebie go nie używa. Po co było na Niż? Chyba, aby stracić i koni, i ludzi, i pieniędzy siła, a powrócić z kijkiem miasto buławy... Po co było na Niż?

Zarwaniec stał i coś mruczał pod nosem, lecz jawnym było, że mu się pana bronić chciało i język okrutnie świerzbiał.

— A! miłościwi panowie — rzekł — kto by w tym człowieku siedział, a było mu jak jemu

markotno, a chodziłyby za nim wszędy widma i mary, nie dziwiłby się Niżowi, a choćby i gorszej alternatywie.

Wtem Krzychnik się zzymnął.

— O jakich widmach i marach prawisz, człowiecze? — zakrzyknął.

Zarwaniec, jak by mu usta na kłódkę zamknął, ani słowa... Powtórzył to pytanie raz i drugi, nic z niego nie dobył.

— Cóż milczysz? Wszakżeśmy sami! — rzekł podczaszy.

— Nie mnie stawać w pańskiej obronie przeciwko bratu — odparł Zarwaniec — ino tyle powiem, że jego tą miarą nie trzeba mierzyć, co pospolitego człowieka.

I westchnął.

Zmiarkowali ichmościowie, że pytać się nie godziło, a przynajmniej nie o wszystko; a

Krzychnik pomyślawszy, cicho szepnął:

— Wojtaszek gdzie?

To imię Wojtaszka na Zarwańcu zdawało się czynić bardzo nieprzyjemne wrażenie, aż się wzdrygnął. Skrzywił się mocno, ręką machnął, splunął.

— Bogdajbyśmy go byli nie oglądali! — rzekł. — To zgaga i nieszczęście nasze, ten

człowiek, bo pana nienawidzi, wszystkie tajemnice wie i gotów je sprzedać, a pan go dla pieśni lubi i boi się, i sam nie wie, czy go ubić, czy go głaskać, bo wypuścić w świat nie można.

Zmarszczył się mocno pan podczaszy.

— Wojtaszka nam pod niebytność pana jak oka we łbie pilnować kazano — mówił dalej

Zarwaniec — a to bestia zuchwała i wszeteczna. Nikomu nie daruje w domu, wyśmiewa wszystkich, szpieguje wszystko...

Niecierpliwie podczaszy przerwał mówiącemu chrząkaniem i oburącz mu ukazał na gardło, po czym dodał:

— I po wszystkim!

— Płakać po nim będzie! — ruszył ramionami Zarwaniec. Chwila milczenia nastąpiła.

— Dostałeś pieniędzy? — spytał podczaszy.

— Mało wiele — odparł stary sługa. — Jam się u miłości waszej spodziewał pożywić.

— U mnie?! — krzyknął p. Krzysztof. — A toś mi dobry! Ja pieniędzy nie daję nikomu;

biorę od każdego, co daje, a dla Samuela, dla tego dziurawego worka bezdennego, ja bym miał mój grosz krwawy dać!

Ruszył ramionami raz i drugi, a patrzącemu na się Zarwańcowi milcząco wskazał pana

Andrzeja. Ten też siedział, jak by nie słyszał czy nie rozumiał.

— Panie marszałku — począł sługa.

— Jeżeli się z tym do mnie zwracasz — rzekł, podnosząc głowę, p. Andrzej — toś i tu

chybił. Krzychnik nie chce dać, a ja nie mogę, bo nie mam. Mnie się zda, że albo do Włodkowej, albo do dzieci z tym potrzeba... Choć jam pewny, że nim ty z pieniędzmi przybędziesz, Samko już ich sobie dostanie.

— A powiedzcie mu, niechaj do nas pośpiesza — dodał Krzychnik — bo mnie jest

potrzebny i całej rodzinie. Ma głowę nadaremnie ważyć, niechże krwi swej usłuży. On jeden albo nikt tę gadzinę Zamojskiego zdusić może. Naówczas dla króla aptekarzów i pigułek szukać nie będziemy potrzebowali, bo gdy hetmana nie stanie, król bez rąk się uczuje i nie ruszy. Ino Samko niech pośpiesza, bo się na we- sele gotują, a lepiej by go przed tym sprzątnąć, aby nie tryumfował.

Gdyby nie ten wasz Niż — mówił dalej Krzychnik — już by pewnie było wszystko skończone.

Stary Zarwaniec słuchając, jakoś nie bardzo to brał do serca; nie spodobało mu się, iż

podczaszy, sam w kąt się chowając, Samuela chciał na chyż wystawić i jego rękami żar grzebać, aby swoich nie poparzył. Zmilczał więc. Oburzało go to, iż pieniędzy dać nie chciał, a życie wziąć był gotów.

— Naszemu panu po tej imprezie spoczynek należy — odezwał się.

— Komu? jemu? On nie spoczywa nigdy! Nie damy mu roboty, to sam znowu drugi Niż

wymyśli, a to jeszcze łaska Boża, że go jak przed kilku laty i teraz uniwersałami nie gonili, chwytac nie kazali i banicji nie przypominali.

— Tać dawno przyschła — rzekł Zarwaniec. — Wiadoma rzecz, iż pan nasz chodził z

wojskiem na Moskwę, nie mówili mu nic, po sejmikach i zjazdach się okazywał, więc obawy o to nie ma.

Andrzej głową strząsnął.

— Temu by zbyt nie ufać — rzekł. — Banicja nie zniesiona, kiedy zechcą, ją odnowią, bo ona nigdy waloru nie traci, aż prawnie odwołaną zostanie.

— Zapomnieli o niej wszyscy po trosze — rzekł Krzychnik. — Samuel się też zbyt na oczy nawijać nie potrzebuje. Ja mój plan mam, byłem jego dostał.

Pochwyił Zarwaniec za czapkę, która na ławie leżała i szepnął, co więcej panu mu powiedzieć zleca.

— Nic krom tego, ażeby skoro przybywał, bo i mnie, i nam tak potrzebny jest, jak nigdy nie był. Nie baw, pospieszaj, a gdy Samko powróci, znać mi dajcie, abyśmy się zjechali.

Skłonił się Zarwaniec i wyszedł.

VII

Było to na krakowskim zamku pod niebytność królewską, gdzie sama tylko Anna królowa pod ten czas mieszkała, a dokoła niej spokój wielki panował, bo się wszelkie życie na dworze króla i we dworcu hetmana skupiało. Na zamku więc pusto było i smutno. Tu mała tylko garstka przyjaciół i domowników królowej przesuwała się cicho i skromnie.

Nie te to już były czasy, gdy Anna Jagiellonka, po śmierci brata czoło stawiać senatorom, elekcję gotując, krzątała się i na posługi miała możnych ludzi. Teraz ona, królową zostawszy, w istocie panią być przestała. Dawano jej i opatrowano potrzeby, nie zbywało na niczym, ale wpływu najmniejszego uzyskać nie mogła.

Małżeństwo z Batorym było tylko pozornym, aby jako mąż i król mógł panować, ją wyzuwszy ze wszelkiej władzy. Nie komu to ona przypisywała, tylko Zamojskiemu, a bolało ją mocno to wydziedziczenie. Kanclerz grzeczny i zimny, krew królewską i dostojęństwo szanował, ale o tym, co się władzy i rządu tyczyło, ani mówić dawał. Sadziła królowa kwiatki, suszyć kazała zioła do apteczki, myślała o grobach dla matki i brata, wychowywała sieroty, pilno korespondowała ze Szwecją i tam się oczy jej zwracały i jej nadzieje; tam był ten, którego za syna sobie przybrała — Zygmunt, któremu ona wszelkimi sposobami zapewnić chciała po Batorym następstwo. Nie mając kogo kochać, do tego dziecięcia dorastającego przywiązała się zaocznie, z całą namiętnością sieroctwa swojego. Choć w ten sposób matką być chciała.

Król na królewskim zamku gościem bywał, albo w Grodnie dla łowów, albo na granicach

dla wojny mieszkając. W Krakowie było mu dla królowej ciasno i markotno, bo ta starsza daleko od niego niewiasta przypominała mu, że ją dla korony poślubił. I rumienił się wojak, a potargiwał

brodę, chociaż tu był w swym żywiole, bo wojnę miał i ład do zaprowadzania, i człowieka, który myśli jego zgadywał, a cudownie je spełniał.

Tym człowiekiem był Jan Zamojski, którego głową i rozumem wszystko stało, bo Batory

kraju nie znał, z ludźmi nie wiedziałby, jak się obchodzić i bez niego może jak Henryk, byłby tron porzucił, na którym mu spokojnie usiedzieć nie dawano.

Z rana dnia tego ów zamek cichy nagle się zaludnił, hetman i kanclerz przybył z Knyszyna, a skoro się o tym wieść rozeszła, popłynęły strumienie ludzi ku niemu, bo to drugi król był, a choć go niechętni głową „Czarnej Rady” zwali i gorzej, wszystkich oczy były na niego obrócone.

Z górnych okien fraucymer skromny królowej pani patrzył na wozy, które na zamek

zachodziły, bo hetman się tu mieścił, aby być królowi na zawołanie pod bokiem.

W sile wieku był naówczas ten mąż, który wodze Rzeczypospolitej trzymał w swym ręku,

postawy wspaniałej i pięknej, lica męskiego, na którym rozum i stateczność jakby wypiętnowane były. Na hetmana i kanclerza nic mu nie brakło, bo i wymowę, i postać, i obyczaj miał senatorski, a mimo dobroci serca więcej w nim stałość i hart niż miękkość jakąś widać było. Me będąc z powołania rycerzem, gdyż więcej piórem niż szablą, i głową niż ręką pracował, hetmanić umiał i buława mu tak przystała, jak by się z nią urodził.

Kochali go otaczający, ale więcej jeszcze szanowali i obawiali się, bo wiedzieli, że

nieubłagany był, gdy ze słabościami ludzkimi miał do czynienia, i choć im przebaczył niekiedy, nigdy ich niewinnymi nie poczytywał. Skaził się kto w jego oczach, trudno już było tę skazę zmazać — pamiętał ją zawsze. Ze dworu i wozów poznać było człowieka: ludzie karności wielkiej, milczący, przybór pański, ale nie wystawny, przepychu nigdzie, świecideł żadnych.

Nie ruszyliby się może tak ludzie na wiadomość o przybyciu króla, jak na wieść, że kanclerz przyjechał. O niego się opierało wszystko.

Ledwie wszedł do swych komnat, do których mu przyboczny jego Heidenstein

towarzyszył, gdy z miasta na koniu nadbiegł mężczyzna średnich lat, ogorzały, krępy, twarzy rycerskiej, ruchów żołnierskich, skromnie odziany... A tak pędził, aby stanąć co rychlej, że gdy już u progu komnat był, pot z czoła długo ocierać musiał i dyszał, bo mu w piersiach tchu brakło.

Wreszcie, wypocząwszy nieco, za klamkę ujął, a w przedsieni znajdująca się służba zaraz mu drzwi do hetmańskiej izby otworzyła.

Zamojski siedział za stołem wypoczywając, a gdy wchodzącego zobaczył, ręką mu skinął uprzejmie i uśmiechnął się.

— Ażaliś się ty mnie spodziewał? — zapytał.

— Choć nie wiedząc ani dnia, ani godziny — odparł rotmistrz piechoty Mroczek, ulubiony i zaufany sługa hetmana.

— Maszli co nowego? — zapytał hetman.

— Siła rzeczy jest — rzekł rotmistrz — ale wszystko odgrzewane.

— Cóż Zborowscy robią? — zapytał Zamojski, trochę się marszcząc.

— To co zawsze, spiskują! — odparł Mroczek. — A mnie się widzi, nie przestaną, aż po łbie który z nich oberwie.

— Myślę, że groźby dosyć będzie — odezwał się hetman. — Podczaszy najgorszym jest, ale odwagi nie ma. Burczeń będzie i poduszczać drugich, sam nic nie pocznie.

— Na to ma Samuela — odezwał się Mroczek.

— Ten na Niżu z Kozaki — dodał hetman.

— Jako żywo, powrócił — śmiejąc się począł rotmistrz. — Cuda tedy powiadają, jako tam

dokazywał, jak hetmanił, jak buławę dzierżał, z Kozaki, Wołoszą, Tatarami, Turkami, Moskwą się potykał i zbywszy mienia, a mało i nie życia, goły powrócił. — Zamojski słuchał roztargniony.

— Gdzież jest?

— Pewnie w której z majątności swych odpoczywa, bo z banicji oni sobie nic nie czynią, powiadając, że dawno została zabyta, a gdy on w wojsku króla nie powoływany wojował, więc i wszędzie swobodnie obracać się może.

Hetman nie rzekł nic, a Mroczek poczekawszy mało i głos zniżywszy dodał:

— Dałby Bóg, aby to próżne były przechwałki, ano wieści chodzą, iż albo królowi truciznę, albo miłości waszej napaść i śmierć gotują, bo sierdzą się okrutnie.

— Strzec byś się winien, Mroczek, lada babskich plotek powtarzać. Nie od dziś dnia oni o tej trutce gadają, ale się na to ważyć nie mogą.

— Tak by się zdało — westchnął rotmistrz — gdybyśmy i ludzi, i okoliczności nie

wiedzieli, w których o *venenum* starali się i o zadanie go królowi.

Kanclerz w szerokie dłonie uderzył.

— Boże wieczny — zawołał — czego ci ludzie chcą od króla! Lepszego nigdy nie mieli i

nie będą, ale to nieszczęście, że mu przypadło one stajnie Augiaszowe czyścić, a nie ma zjadliwszej rzeczy jako brud. Raz go przecie z tej Rzeczypospolitej wymieść potrzeba lub ona zginie... Czas był na to. Cugli warchołom nie nałożywszy, roznieśliby wszystko marnie.

Zamilkli nieco, a Mroczek, poczekawszy, czy hetman sam nie pocznie, dodał:

— Teraz to ono szczęśliwe wesele miłości waszej, na nowo poburzyło zazdrosnych i

niechętnych. Na bacności się mieć potrzeba. Ludu się zbierze tłum wielki, nieznajomych, cudzoziemców, dopilnować będzie trudno, a czasu takiego obchodu dozór trudny. Właśnie się i dla króla JM., i dla miłości waszej tej chwili obawiam najwięcej.

— Podwoicie czujność waszą, kochany Mroczku — odparł hetman dosyć obojętnie — a

będzieli potrzeba zuchwałym naukę dać — nie omieszkamy. Jednakże bym nierad na wiarę pustych pogłosek ludzi się imać, którzy językiem mielą dużo, ale uczynić nic ani mogą, ani się będą ważyć.

— I ja bym tak trzymał — rzekł Mroczek markotnie — boć pan gnieźniński nie pocznie

nic.

— Ten jest nasz! — wtrącił hetman.

— Pan marszałek co myśli, Bóg wie, ale pozornie praw względem króla i miłości waszej

chce się okazywać, a pan podczaszy Krzysztof, z nich wszystkich najgorszy, drugich poduszcząć gotów, sam szyi ważyć nie będzie. Więc nic by nie groziło, gdyby Samuel nie powrócił...

— Temu — uśmiechnął się wzgardliwie pan hetman — inne sprawy w głowie. Za

podwikami biegać, z dobrymi towarzyszami pić, żarty i intermedia wyprawiać lada z kim, zabawiać się i szaleć, bohatera męznego grać, aby mu przyklaskiwano — to jego rzecz. Stare dziecko jest.

— Ano właśnie za narzędzie w ręku podczaszego niebezpieczne — rzekł Mroczek — bo mu

Krzysztof w mówi, co zechce, popchnie, a gdy niebezpieczeństwo ukaże i wyzwie, na pewno p.

Samuel tam poleci, aby się nieustraszonym okazał.

— Więc gdyby nam bruździł — przerwał hetman, którego Zborowscy widocznie już nudzili

— mamy na niego banicją zawsze, na łasce jest... a w ręce się nasze dostawszy...

Zamojski nie dokończył i smutnie głowę opuścił.

— Nie o mnie samego idzie — dodał z powagą. — Ja się przy pomocy Bożej nie lękam ich

pogróżek i zasadzek, ale takim ludziom, jak Samuel, którzy nic nie szanują, dla których prawa nie ma i hamulca, trzeba okazać, że się nie folguje złemu i bezkarnie szaleć nie dopuści. Będzieli potrzebny przykład, choćby krwawy! ha...!

I hetman zamilkł, obejrzał się, a natychmiast potem Mrocza o inne sprawy, wojska się tyczące, badać zaczął.

Mroczek pomiędzy sługami hetmana niewielkie i niewybitne miejsce zajmował. Na pozór

był tylko rotmistrzem nowej piechoty, więc żołnierzem, ale oprócz tego służył bystrymi oczyma i przebiegłością, a niemniej wypróbowaną odwagą. Mało ludzi się w nim domyślało tej bystrości i ochoty postrzegania, więc przed nim nie ukrywano się, i Mroczek widzieć a nasłuchać się mógł

wiele, o czym hetmanowi natychmiast donosił. Byli i inni na tych posługach, bo się bez nich obejść nie było można, gdy spiskować, zmawiać się i zasadzać na króla i hetmana poczęto.

Ukaranie Ościka trochę pohamowało zuchwałych, ale też rozjątrzyło. Zbrodnia była jawna, połapane pisma o niej świadczyły — kara też domierzona słuszną, ale okrutną się wydawała.

Mówiła ona, że nikogo nie oszczędzą.

Tej żelaznej ręki króla i Zamojskiego obawiano się i pozbyć chciano, bo do bezsilnej

wszyscy byli nawykli. Spodziewali się Zborowscy pomocników *znaleźć* w licznych malkontentach, których ostrość rządów Batorego zniechęcała i przeciw tak zwanemu despotyzmowi jego oburzała.

Musiano mieć oko na pokątne roboty, które niebezpieczniej - szymi były niż publiczne

występowania szlachty na sejmach, które wiele wrzawy, ale żadnego nie wywierały skutku.

Zdawszy panu swemu sprawę z tego, co widział i słyszał, Mroczek powrócił z zamku na

miasto. Nie spowiadał się on przed Zamojskim z tego, czego niespełna był pewnym, choć go wieści różne dochodziły. Zewsząd bowiem zdawało się to potwierdzać, iż dla króla truciznę, a na kanclerza napad zbrojny gotowano. I to nie było tajnym, że Zborowscy najczynniejsi byli, a Krzysztof niespokojnie się krzątał w tej nadziei, że śmierć króla nową elekcję sprowadzi, która Kakuszanina na tron wyniesie, a z nim i Zborowskich na widownię wydzwignie.

Czuwał jako mógł Mroczek, wywiadując się, a choć nie o wszystkim hetmana uwiadamił

— wszędzie zaglądał, aby sprawdzić, co go dochodziło. Tak tedy i owo szeptanie o truciznie dla

króla, którą Zborowscy gotować mieli, nie uszło baczości Mrocza, acz mu się ona bardzo niepewną wydawała. Więc śledząc, skąd by ją mogli wziąć, Mroczek doszedł po cienkiej nitce do kłębka, bo mu z cicha i ostrożnie ukazano aptekę na rogu Grodzkiej ulicy, do zamku idąc, o której powiadano, iż tam wszystkiego, nawet i trucizny dobrze płacąc, dostać było można.

Inaczej tego sprawdzić nie mogąc, rotmistrz musiał sposobnych do tego użyć ludzi i

właśnie, z zamku powróciwszy, na niejakiego Jana Dzierzka czekał, który mu w tym miał być pomocą. Mroczek sam nadto znanym był, ażeby na siebie oczy ścierał, posłużyć się więc kimś musiał.

Dzierzek do tej szlachty należał zubożałej, która w posłudze panów kawałka chleba szukać musiała. Rycersko naprzód służywał, ale pod Połockiem rażony okulał, tak że o kiju chodzić musiał

i na koń mu już siąść było ciężko, musiał więc gdzie indziej sobie chleba szukać. Znał go Mroczek z wyprawy i dla wielkiej usłużności lubił, a i z tego, iż języka na dziadowski bicz nie rozpuszczał i umiał go za zębami trzymać.

Z zamku do gospody swej na miasto powróciwszy, na Grodzką ulicę, już przed bramą na

ławie siedzącego zastał Dzierzka, który choć z pomocą kija, rzeško się porwał, ukłonem witając rotmistrza. Mały, pulchny, okrągły, rumiany, śmiejącej się twarzy, Dzierzek pokorny był i wielce posłuszny. Swoim rozumem tam tylko się posługiwał, gdzie mu cudzego nie starczyło, idąc zawsze za rozkazami i wskazówką. Miał więc z niego dobrego pomocnika Mroczek, a zaufać mu mógł, bo milczeć umiał.

Razem z nim weszli do izby, którą rotmistrz w gospodzie u mieszczanina zajmował,

skromnie się trzymając, bo więcej nie miał nad jedną niewielką komnatkę, w której i

kosztowniejsze rzędy, i ryszturnek swój trzymał.

— Wracasz w. miłość od p. hetmana, Boże mu daj wszystko dobre! — odezwał się

śmiejącej twarzy okulawiały szlachcic. — Mieć więc będziemy weselisko, które pewnie

królewskim dorówna, jakich my za naszego życia nie widywali. Sposobią się do niego wszyscy, jak by najokazalej wystąpić.

— Wszyscy! — odparł Mroczek siadając i pot ocierając z czoła — ano nie wrogi nasze?

— Wrog! — zawołał Dzierzek. — Toć ich chyba ze świecą szukać!...

— Ja ich i po dniu widzę, a nawet bez świecy o zmroku — westchnął rotmistrz — choć się

kryją.

— Jeśli się kryją, toby ich odkryć należało — dodał Dzierżek spoglądając ku Mroczkowi, jak by się ku temu ofiarował.

— Pomożecie? — wtrącił rotmistrz.

— Miły Jezu! — wesoło a pospiesznie zawołał Dzierżek. — Dopiero bym szczęśliwym był, gdybym mógł!

Powstał nieco Mroczek, chwila upłynęła, nim, głos znizywszy, mówić począł:

— Gadanie jest i niepróżne — rzekł — że Zborowscy na króla truciznę gotują. Nie chciałoby się wierzyć, gdyby ze złymi ludźmi i najgorsza rzecz nie była prawdopodobną.

Dzierżek milczący ręce załamał.

— Niechże Bóg strzeże! — zawołał.

— A wiesz waćpan przysłowie, że Pan Bóg strzeże strzeżonego, więc myśmy króla strzec powinni.

— Choćby życie dać! — gorąco podchwycił Dzierżek. — Gdyby tylko możność...

— Wszystko to dotąd — ciągnął dalej Mroczek — gadaniny są, ale je należy zbadać, czy w nich jakie ziarno prawdy nie siedzi. Że zadać by chcieli, temu ja wierzę, a że lada babskiego ziela ku temu nie użyją, to pewna, i że u nas gdzie indziej jak w aptece tego nie dostać, to ja rozumiem. Z aptek zaś, które tu w Krakowie znam, jedna mi się tylko zdaje taką, że w niej za pieniądze wszystko dadzą.

Mroczek przestał mówić, a Dzierżek, zmarszczywszy czoło rękę wyciągnął i ku rogowi ulicy Grodzkiej wskazał.

— Myślicie u Fontanusa? — szepnął głową potwierdzając.

— A juści — rzekł Mroczek — ale co o nim mówią, potwarzą być może. Wypróbować by go potrzeba, nim na niego baczność zwrócimy.

Tu Dzierżek poważniej nastroił twarz, rzecz się stawiała tak, iż mogła daleko prowadzić.

Czekał, co przyjdzie. Mroczek też ociągał się z mówieniem, bo i jemu sprawa wydawała się niełatwą, aby niewinnego człowieka nie narazić i siebie. Nużby ów sprzedajny Fontanus zdradził i

ukazał, że u niego żądano trucizny?

Ów Fontanus, człek obcy był, pono Niemiec, ale z dawna w Krakowie osiadły. Mówił

złamanym językiem, ale już w ziemię tę wrosnął i za tubylca się uważał. Nigdy go ludzie starsi pamiętali, iż z małym węzełkiem do Krakowa przybył, maściami jakimiś i kroplami handlując, a sławiąc swą znajomość wielką ziół lekarskich. Oficyny naówczas nie miał z czego założyć, ani na nią przywileju potrzebnego otrzymać nie mógł. Tymczasem, gdy po ulicach chodząc, swe

medykamenta cudowne sprzedawał, udało mu się chorego kanonika kapituły krakowskiej, od

doktorów opuszczonego, jakimś napojem do zdrowia przywrócić. Ten go biskupowi krakowskiemu zalecił, a z łaski jego przyrzeczono Fontanusowi przywilej na ową oficynę sapnitis. Przeciągnęło się to, bo wędrowny farmaceuta pieniędzy nie miał potrzebnych dla zaopatrzenia apteki, i dopiero wspólnika znalazłszy, bogatego mieszczanina, na rogu Grodzkiej ulicy najął kilka izb przybędą ów, i w nich swe alembiki i słoje rozstawiać począł. Zrazu się to bardzo mizernie okazywało, ale chudy ów, z długą szyją, z przeciągniętą twarzą, z ruchami jakimiś konwulsyjnymi i jakby

mimowolnymi Niemiec, miał szczęście.

Mieszczanin wspólnik zmarł mu, przy czym się okazało, że Fontanus mu już nic winien nie

był, choć familia inaczej dowodziła. Zaraz po śmierci jego oficyna Fontanusa inny pozór przybrała.

Wywieszono znak, a w pierwszej izbie pokazało się urządziła apteka, z mnóstwem słoików, flasz, szklenie, na których piękne napisy stały po łacinie: Syrupus, Decoctum, Bolus, Electuarium, Confectio itp.

Nie była pod owe czasy apteka tym, czym dzisiaj, pod rozkazami tylko doktora rozdającym

lekarstwa składem medykamentów. Miał każdy aptekarz swe sekreta, a był po troszę sam lekarzem i wiadomym było powszechnie, iż w dziesięćkroć tyle zarabiał, co najlepszy z doktorów.

Ingrediencje bowiem, jakich naówczas zażywano do leków, nie były tak proste, jak dzisiaj.

Osobliwych potrzebowano, które z daleka sprowadzać i wielkim kosztem nabywać musiano. Rogi zwierząt, tłuszcz innych, kości itp., nieodzownie się znajdować musiały, a niedźwiedzia tłustość wcale naówczas miała inaczej skutkować niż zajęcza. Potrzebowano i rogów jednorożca, i kamieni, które z dala przychodzić musiały, i zmielonych na proch kosztownych utworów, i ziemi, która tylko w pewnych krajach się znajdowała. Natura wówczas pierwszym aptekarzem była i wyrabiała

gotowe lekarstwa, których ludzie wedle tradycji używali.

W to wszystko się zasposobić nie było łatwo. A i oczy też ludzkie w takiej aptece olśnić było potrzeba, aby się wydawała skarbnicą. Zwykle więc, oprócz naczyń z gotowymi lekarstwami, wypchane ptaki, rogi różne, skóry, stworzenia osobliwe przyozdabiały taką oficynę. A im ona pokaźniejszą była, tym ją doskonalszą mniemano.

Schodzili się tu i doktorowie pod czas, i pacjenci, którym aptekarz z własnych sekretów

drogie leki sprzedawał. Cena ich całkiem od fantazji jego zależała, że zaś drogie się zawsze lepszym wydaje, w dwojakim interesie swym aptekarze cenę podnosili. Któż by miał wiarę w lekarstwo tanie i proste?

Fontanus już podówczas przyszedł do tego, że jego oficynie na niczym najwykwintniejszym

nie zbywało. Ze wszystkich części świata miał zioła, kamienie, driakwie i balsamy. Prawda, że one na wagę złota sprzedawał, ale też skutkowały jak żadne, bo do nich przywiązana wiara siłę im nadawała.

Słyszał Fontanus i zazdrość obudzał. Chociaż mu się tak szczęściło, iż oprócz apteki, dla której sobie kamienicę, w pierw najmowaną, kupił, posiadał dwie inne, a grunta i place za miastem

— żył 'bardzo skromnie i nie ożenił się nawet, chudy, zawiedły, z policzkami zapadłymi, z włosami jasnymi, które płasko i posłuszenie na wyłysiałej czaszce mu się układały, w stroju czarnym, poważnym, w ogromnych okularach, których nigdy nie zrzucał, kręcił się pilno, z jednym

wyrostkiem do pomocy i stróżem radę sobie dając, choć roboty miał dużo. We dnie ani na chwilę się nie mógł oddalić z apteki, bo miał nieustannie gości, nocami, powiadano, że na alembikach i różnych przyrządach ekstrakty wyciągał, których sam dozierał. A nie było rzeczy, której by u niego dostać nie można, bo i kosmetyki, i przysmaki przyprawiał, bielidło i róż. Mówiono nawet, że i takie rzeczy sprzedawał, za które baby pod pręgierzem stawiano, że czarnoksięską sztukę znał i trucizny przyprawiał. Nigdy jednak nic stąd na jaw nie wyszło.

Oprócz tych, którym apteka jego solą w oku była, bo ci go szalbierzem nazywali i

dowodzili, że często zafarbowaną wodę za kosztowny lek sprzedawał, nie miał Fontanus

nieprzyjaciół. Ostentacyjnie ubogich nie tylko leczył, ale i karmił, pauprom garnuszki ich bez szemrania napełniał, a doktorów wszystkich chwalił i mędrkami nazywał. Oficyna też na rogu Grodzkiej ulicy, choćby w niej chorych i kupujących brakło, zawsze prawie gości miewała.

Schodzili się tu doktorowie i znajomi mieszczanie na gawędę i na pokrzepienie, bo Fontanus wzmacniające napoje, bardzo przedziwne, jak nikt robić umiał.

Dzierżek, gdy z nie zgojoną jeszcze całkiem nogą spod Połocka się dostał do Krakowa, z

porady przyjaciół u Fontanusa szukał gojących środków, dostał je u niego i zdawało mu się, że jemu zawdzięczał zupełne uzdrowienie, choć kulawym pozostał. Znał więc pan Jan onego Fontanusa i tym się zaraz pochwalił.

— Jam o tym wiedział, że go znasz — rzekł Mroczek — i na tym fundamencie chciałem,

abyś popróbował człowieka a wybadał go, azali za wielkie bodaj pieniądze truciznę sprzedaje, bo tak o nim twierdzą ludzie.

Dzierżek się poskrobał po głowie.

— Prawdę rzekłszy — odezwał się — choćby człowiek złej myśli nie miał, w czyich bądź oczach, choćby na krótki czas za truciciela uchodzić, nie miła rzecz, ale...

— Gdy tym tylko sposobem życie komu ocalić można? — podchwycił Mroczek.

— Ja też się nie wymawiam od posługi — rzekł Dzierżek — ino proszę, gdyby mnie

Fontanus wskazał, a na męki brać chciano, pamiętajcie, abyście sługę waszego bronili.

— O to się nie obawiajcie — podchwycił rotmistrz żywo. — Służycie nie mnie, ale królowi i kanclerzowi, a ci swe sługi opuszczają nie zwykli.

Zadumał się Dzierżek.

— Ba! — rzekł po chwili. — Fontanus kuty jest, trudna z nim rada, niełatwo z niego dobyć słowa, ale próbować będę.

Na tym się narada skończyła i Dzierżek wkrótce potem wyszedł, a tegoż wieczora do apteki podążył. Godzina mu się ta najlepszą zdawała, bo się mało kogo spotkać tu spodziewał, choć dwu jeszcze lekarzy siedziało i o formułach przeciwko pituitam rozprawiało.

Tych po przywitaniu, w kącie zasiadłszy, cierpliwie słuchał kulawy rycerz, aż nareszcie wyszli i sam na sam pozostał z Fontamisem, który spoza okularów dawno go badał, wiedząc pewnie, że nie bez interesu przychodził. Dzierżkowi wykrztusić truciznę, którą na języku miał, niezmiernie było trudno. Twarz mu się rumieńcem zalewała, gdy o niej pomyślał. Fontanus rozmownym nie był, i tylko krzątając się, słoje i flaszki porządkując i ustawiając, skąpymi odpowiadał słowy.

Począł Dzierżek od tego, iż się zaczął unosić nad tym bogactwem, jakie w oficynie widział, i jak tu wszystkiego, co by człowiek zamyślał, pewnie dostać było można. Z tej okazji, licząc różne potrzeby, na truciznie utknął.

Trzeba było Fontanusa widzieć, który słój trzymając w ręku, właśnie stał naprzeciw mówiącego, jak nań spojrział. Dzierżkowi zdało się, że mu wnętrzości wyjmuje tym wzrokiem.

Nastąpiło milczenie.

— Trucizny! — szepnął Fontanus z dziwnym ust wykrzywieniem. — Tej właściwie w

aptece nie znaleźć, ale wszelkie lekarstwo źle użyte stad się nią może. Dlatego profanom nimi

rozporządzać się nie godzi.

— Ale są przecież trucizny? — zapytał Dzierzek. — I ludzie ich nieraz na złe zażywają.

Fontanus się nieco zamyślił nad odpowiedzią.

— Pewnie, że są — rzekł — ale są i antidota przeciw nim.

— A od was też nikt nigdy jednego lub drugiego nie żądał? — zapytał Dzierzek.

Długa wychudzona twarz Fontanusa skrzywiła się uśmiechem, ramionami poruszył.

— Ciekawi jesteście — odparł zimno. — Sądzicież, żebym ja truciznę komu wydał?

Dzierzek się zawahał, uczył się niezręcznym i że za daleko zaszedł, ale cofnąć się było

trudno, a dalej iść też niełatwo. — Co ja wiem? — odparł. — Słyszałem tylko od tych, co we Włoszech bywali, że tam trucizny osobliwe najlepiej przyprawiać umieją i one sprzedają, bo sobie rozumują: „Cóż to do mnie należy? Jać nie zadaję? Winien, kto jej używa... A że więcej niż na wagę złota się sprzedają takie ingrediencje...”

— Na wagę złota? — odparł Fontanus. — A toćby się nie opłaciło je wyciągać, bo lekkie są!

To mówiąc, gdy się rozmowa przeciągała, Fontanus na zegar wiszący spojrzął i rzekł, że na półzegarzu godzina późna była. Musiał więc Dzierzek wstać, nic nie dowiedziawszy się, ale to miał w zysku, iż sprawę swą zagał.

Gdy drugi raz w kilka dni potem Dzierzek do apteki przyszedł, musiał zmyśleć, że na żołądek cierpiał i wywaru jakiegoś z ziół gorzkich się napić, aby swe odwiedziny usprawiedliwić.

Lekarstwo zaś, że zaszkodzić nie mogło, o tym był wedle teorii własnej najmocniej przekonany.

Czas sobie wybrał znowu taki, aby nie zastał nikogo i mógł się rozmówić swobodnie, ale spostrzegł zaraz, że Fontanus baczne na niego miał oko i już czegoś się domyślał. Trudno mu więc przyszło bardzo nawiązać rozmowę, ale aptekarz sam jakby dawał do zrozumienia, że nie w ciemę jest bity, occasione poprzedniej rozmowy o truciznach mówić zaczął.

Dzierzek, jakby na uczynku schwytny, zmieszał się znacznie.

Fontanus tym razem, szczerze czy podstępnie otworzyst'szym był i rozpoczynawszy o truciznie, teorię swą wypowiedział, nie kryjąc się z nią.

— Człowiek kupcem jest — rzekł do niego. — Gdy w Sukiennicach noże i brzytwy

sprzedają, nie pytają kupujących, co czynić z nimi będą i czy komu nie poderzną gardła. Tak samo z trucizną, o której wiedzieć trudno, czy nią psa czy człowieka zgładzić kto ma...

Poruszył ramionami.

— Ale się to mało kiedy trafiać musi, aby od was żądano jej? — zapytał Dzierżek.

Fontanus wpatrzył się w niego bacznie, pomilczał trochę, podumał, a potem rzekł:

— Mów bo mi jasno, czego ty chcesz, bo drugi dzień objeżdżasz mnie, jak zwierzę w kniei, nie śmiejąc rzec, o co chodzi. Chcesz ty trucizny? Tyś nie do niej człowiek.

I rozśmiał się.

— Ja, uchowaj Boże! — odparł Dzierżek — nie potrzebuję jej, alem ciekawy, gdyby potrzeba była, czy bym jej mógł dostać...

— Za pieniądze? — odparł cicho Fontanus. — Starzy już jesteście dosyć, aby wiedzieć, że

za pieniądz wszystkiego dostanie i tego, co żywi i co morzy. Trucizna jedna drugiej nie równa, masz to znać, bo są takie, co powoli człowieka rok i więcej męcząc do grobu prowadzą, i inne, co jak piorun ubijają. Za nieboszczyka króla Zygmunta, nim stąd królowa Bona precz do Bari

odjechała, nikt od trucizny bezpiecznym nie był, teraz nikt o tym nie myśli.

Dzierżek słuchał z uwagą.

— Więc — skonkludował — gdyby potrzeba była... Fontanus zza stołu, za którym stał, począł wychodzić i nie patrząc na Dzierżka piosenkę jakąś nucił pod nosem, której wyrazy luźne zdawały się oznaczać, że u niego w kramie wszystkiego dostanie. Nie odpowiedział więcej nic.

Z tym też Dzierżek powrócił do rotmistrza i doniósł mu, że aptekarz się nawet nie bardzo z tym taił, iż truciznami frymarczył.

— Dobrze i to wiedzieć! — mruknął Mroczek.

VIII

Na Franciszkańskiej ulicy, w domu Zborowskich, choć całe miasto żywiej się niż kiedy poruszało, tej wiosny tak było pusto i cicho, jako nigdy.

Kasztelan gnieźnieński, choć tu zajeżdzać prawo miał, nigdy gospodą nie stawał, bo z

braćmi, choć się kochali, nie jedno myślał, a ani on ich, ani oni jego nawracać nie kusili się

nadaremnie.

Andrzej tylko i Krzysztof, rzadki gość, domostwo zajmowali, podczas gdy w Krakowie

bywali, a niekiedy siostrzany ich lub siostrzenice, bo familia liczna była i rozrodzona, więc Stadniccy, Włodkowie, Ossolińscy i Chodkiewicz.

Już w pierwszych dniach maja, choć wesele hetmana dopiero miało w czerwcu nastąpić,

poruszało się w Krakowie i gotowało wszystko na festyny niebywałe, jakich miasto dawno, dawno, bo od pierwszego małżeństwa Zygmunta Augusta, nie widziało.

Choćby był Zamojski się na królewski przepych dla synowicy króla, którą miał poślubić, nie zmagął może, ale i król chciał okazałości dla pani młodej i dla Węgrów swych, i szlachta a urzędnicy polscy pragnęli pokazać obcym, że u nich i było z czego i było z czym wystąpić.

Wielu z panów, z Niemiec i z Włoch nie wahało się sprowadzać kuchmistrzów kosztem

wielkim, aby tak wystąpić, iżby się ludzie dziwić musieli. Zawczasu już *mirabilia* oznajmywano...

ale im, z jednej strony, świetniej się zapowiadały gody, tym z drugiej, nieprzyjaciele króla i hetmana okrutniejszą zazdrością i gniewem pałali, szczególnie przeciwko Zamojskiemu, iż się śmiał do majestatu przybliżać i kumać z nim, przez co wyrastał ponad bracią, a jak tytuły nienawistne były równości szlacheckiej, tak i wszelkie wywyższenie i odznaczenie, krom

senatorskiego dostojenstwa, burze wzniecało.

Nie był Zamojski przeciwko temu, ażeby zazdrości i złości zamknąć usta i niechęci

złagodzić; jego przyjaciele zbliżali się do niechętnych i obiecywali im łaski królewskie dla przejednania — ale im więcej się starano godzić i głaskać, tym właśnie sierzdzili się mocniej niechętni.

Pomiędzy nimi rej wodzili Zborowscy, powszechnie to wiadomym było, krom Jana, który

trochę na uboczu się trzymając, ani koło króla nie zabiegał zbytnio, ani się do braci garnął.

Rachował jednak na niego hetman i król, acz z pewnym niedowierzaniem spoglądając.

Dom panów Zborowskich na ulicy Franciszkańskiej, który już znamy, sam jeden może w

mieście stał, jakby w nim nikogo nie było. Ale to czyniono umyślnie. Wiedzieli Zborowscy, że na ich każdy krok oczy są zwrócone, że im wiary nie dają, nie myśleli się więc nastęrczać, a nie chcieli oczów ściągać na siebie. Ale myliłby się, kto z tej niemej powierzchowności i pozamykanych od ulicy okiennic wnosząc sądziłby, iż w domostwie nie ma nikogo.

Tak tu się żywo obracano, jak i gdzie indziej, tylko nie chciano, aby o tym świat wiedział.

Me było dnia, aby jakiś poseł ze Zborowa lub z innych rezydencji panów braci nie zajechał, języka nie dostał lub rozkazu nie przyniósł, ale się to w ciszy i kącie odbywało.

Podczaszy czynniejszym był niż kiedykolwiek, a o Samuelu po powrocie z Niżu, różnie rozpowiadano. Nigdy on spokojnie usiedzieć nie mógł. Tu mu jednak do Krakowa jechać i pokazywać się powszechnie odradzano, a i on sam się wahał. Niejeden raz *go już* przestrzeżono, że hetman się odgrażał banicję przypomnieć.

Z własnej historii wiedzieli Zborowscy, że banitę ubić nawet bezkarnie było wolno, bo ojciec ich, Marcin, tak nieszczęśliwego męża Halszki z Ostroga, kniazia Sanguszkę, ścigał i zabił.

Krzysztof też, choć na sobie nie miał żadnego dekretu, od czasu gdy o nim wzmiankę w papierach ściętego Ościka znaleziono, nie czuł się całkiem bezpiecznym i nierad ukazywał.

Jeden tylko Andrzej nie lękał się, bo na sobie jawnego nic nie miał, choć tak był jak bracia dla króla i Zamojskiego usposobiony.

Od powrotu z Niżu Samuela, marszałek i podczaszy nie widzieli się z sobą; pierwszy z nich w początkach maja do Krakowa przybył, ale się prawie nie ukazywał. Wiezorami tylko do swoich przyjaciół chadzał i z ludźmi się widywał. W mieście o nim tak jak nie wiedziano.

Chciało się panu Andrzejowi, choćby wcale nie występował na weselu, widzieć je i ze zjazdu korzystać, aby z wielu się widzieć i rozmówić, ale wahał się jeszcze.

O Krzysztofie nic słyhać nie było, bo ten za sobą drogę i tropy starannie zacierał.

Zdziwił się więc pan Andrzej, gdy jednego wieczora od Zbarażskich, żony swej krewnych, powróciwszy, w domu przy Franciszkańskiej ulicy, zamiast ścian niemych, brata Krzychnika zastał.

Chociaż między rodzeństwem miłości szczególnej nie było, jednakże wszyscy oni mieli rodzaj przywiązania do siebie i radzi się zawsze widywali. Krzychnik nawet z gorącością wielką pana marszałka uścisnął.

— Gdzieżeś ty bywał i co się z tobą działo?! — zawołał Andrzej. — Znikasz wszystkim z oczów i kryjesz się nadto z sobą, dlatego cię też może posądzają o knowania.

Podczaszy się rozśmiał, powtarzając:

— Posądzają! Mają słusność, bo ja knowam, a to mnie tylko boli, że dotąd na próżno. Na

Samuelam rachował, iż go teraz ujmę w ręce i nim pokieruję, ale jeszcze się nie wyburzył.

— Widziałeś go? — spytał marszałek.

— Nie raz i nie dwa — rzekł Krzychnik. — Umyślniem do niego jechał, z nim wędrował, bo on na miejscu nie utrwa. Myślałem, że go sobie pozyskam... ale mi się ladaco z rąk wymyka. Siedli sam na sam bracia i tu już tajemnic dla siebie nie mieli.

— Wiem, że teraz z okazji wesela — rzekł Krzysztof —

coś bym dla siebie wytargował, zaprzedawszy się im duszą i ciałem, ale nie chcę. I dodał nagle:

— Truciznę królowi zadać, gdyby było można, nie od rzeczy by było... Włosi powiadają, że ze zwierzem jego jad ginie, ale nam łatwiej się uporać z kanclerzem i na tegośmy z Samuelem dekret wydali.

— Co? Czasu wesela? — zapytał Andrzej.

— Ba, gdyby i tak nawet zręczność się nadarzyła, my się nie zawahamy.

— Wy? — podchwycił marszałek.

— To jest... ja radą i głową, a Samuel ręką — odpowiedział Krzychnik. — Nie sądzę

jednak, aby czasu wesela się nam to powieść mogło, hetman jest otoczony, strzeżony, ludzi swoich i obcych za gęsto, ale dziś czy jutro go to nie minie... Właśnie mu się damy ubezpieczyć cicho siedząc, a Samuel znaku życia nie dając, aby go tym pewniej w danej godzinie wziąć.

Wtem Krzychnik ręce załamał.

— Ale z Samuelem — dodał — im bliżej się go zna i więcej żyje, tym jawniejsza, że to człek nieokiełznany i że nigdy dziś nie można powiedzieć, co jutro pocnie.

Kocha i nienawidzi pod humor... i zabija też, gdy się najmniej tego spodziewać. Na utemperowanie się tego człowieka nic już liczyć nie można.

Sądziłem, że od Kozaków powróci, wiele biedy *zażywszy*, rozumniejszym! Gdzie zaś!

Zuchwalszym się stał jeszcze.

Sądziłem, że po zabójstwie Trepki, po zabójstwie Kalinowskiego, którego żona dotąd

przeciwno niemu instyguje, po onej głośnej awanturze z dominikany, za którą go wyklinano, na ostatek po onym Candianie, który go w druku osmarował, poskromi się. Gdzie tam! Im głośniejsze jego sprawy, tym on temu więcej rad.

Andrzej przerwał: — Mówisz o tych sprawach pana Samuelowych, o których i ja słyszałem, ale ja tak prawie jak nieświadom ich, a wielu nie wierzę. Nie sąż to potwarze?

— Ho! ho! — zawołał Krzychnik. — Potwarze? Powiem ci jedno, że to co na Samuela rozgłaszają, jeszcze nie dochodzi daleko do tego, co dokazał, chodząc po świecie. Człowiek bowiem jest osobliwy, równie gdy kocha, jak gdy nienawidzi; u niego wszystko z ekscysem.

Małego nic nie rozumie.

Jakże być może, abyś ty o tych sprawach Samuelowych nie wiedział? — dodał podczaszy.

— Juści wiem — rzekł marszałek — ale z odgłosu. Przy niczym nie byłem, a on mi się nie spowiadał.

— To go nie znasz! — zawołał Krzychnik. — Jam go wiele praktykował! Jam na tych przygód siłą oczyma własnymi patrzył, począwszy od żony.

Znałeś tę dobrą, łagodną i miłą panią, bo z tego domu wyszła, co i twoja. Miłował ją Samuel do szaleństwa, ale trwało to do narodzin Aleksandra. Wtedy na dziecko dużo spłynęło tej miłości, a żona że chorzeć mu zaczęła, począł się za innymi oglądać.

— On bo bez podwiki nigdy żyć nie mógł — szepnął Andrzej.

— Otóż co się stało — ciągnął dalej podczaszy. — Nie jedną, ale może dziesiątek różnych na dworze chował, na co żona patrzeć musiała. A że ludzie to w panu widzieli, sami też naśladować go poczęli... więc, co się tam u nich działo, o tym rozpowiadać trudno.

Pod ten to czas dominikanów napytał, z którymi się potem tak obszedł, jako wiesz... Już od tej pory, żaden tam ksiądz w domu nie powstał.

Biedna żona we łzach się rozplýwała, z czego on sobie żartował. Rzadko w domu siedział, a przyjechał, to z gromadą na pijaństwo i swawolę, że się zamykać musiała.

Jednego razu na Wołoszczyznę jadąc, nie wiem już gdzie, jakiegoś Turka i Turczynkę napytał. Tak ich zwano, ale mnie się widzi, że wcale Turkiem nie był ten człek, ale chyba Grekiem.

Niewiasta się żoną jego nazywała, a była dziwnie piękną. Widziałem ją, czarne miała oczy i włosy, a

ciało jak mleko, ale kobieta była prosta i grubych obyczajów. Jak onego Turka z żoną dostał, aby ich do siebie do domu przywieść, to jemu wiedzieć.

Turek go ów wrzekomy darł ze skóry, a żona też, ale mu nie mówił nic za to, że sobie z nią żył. Sypał im garściami pieniądze, darowywał srebra, kupował klejnoty. Wreszcie Turek mu żonę sprzedać się ofiarował i pono cena była umówiona, a Samuel miał ją wziąć i trzymać w drugim majątku ze dworem i okazałością, jak by żoną jego była...

Wiedziała o tym prawa żona, ale ani pytać, ani mówić nie śmiała, byłby ją ubił... Mało też widywał. Turczynka zaś, choć jej ona wcale nie zawadzała, koniecznie zgubić chciała, pewnie w nadziei, że się z nią ożeni. Poczęły się plotki na panią Samuelową.

Był pod ten czas na jego dworze chłopak, szlachcic, pokrewny nam, z ubogich Stadnickich, którego Samuel swego czasu bardzo lubił, ale potem pogniwawszy się, patrzeć na niego nie chciał.

Ten przez litość nad Samuelową służył jej, a że sama z dziećmi była, pod czas z nią do stołu siadał. Na tego oczywiście Turczynka się nasadziła, że kochankiem jest jejmości, co jako żywo fałszem było. Ktoś doniósł, że raz śniadając z jejmością, gdy ona masło znalazła starym i precz za okno wyrzuciła, Stadnicki też to samo uczynił. Poszło tedy od tego masła...

Samuel z furią do żony wpadł, wyrzucając jej, że mu się sprzeniewierzyła. Przerazona padła mu do nóg, na krzyżu Pańskim gotowa przysiąc, że między nimi wcale nic nie było.

Ano, pijanym był i wściekłym, i żonę począwszy bić, gdy się na łóżko rzuciła, ledwie żywą odszedł. Od tej pory chorzała już, chorzała, aż zmarła...

Razem poprzysiągł, że Stadnickiego zgładzić musi, co młody Trepka słyszał. Stało się, że wkrótce potem w istocie Stadnicki zniknął, o którym mówiono, że do rodziny powrócił, a drudzy, palce na ustach kładąc milczeli.

Trepka się gdzieś nieostrożnie wygadał, iż wie, co się z nim stało.

Doniesiono o tym Samuelowi. Nie dał bynajmniej poznać po sobie... W kilka dni potem na łowy się wybrał w lasy i Trepkę z sobą wziął, który więcej nie powrócił.

O tym też, co się z nim stało, nikt nie wiedział; mówiono, że go dzik rozdarł, a potem nocą wilcy poszarпали i zjedli, tak że kości nawet po nim nie zostało.

Andrzej, słuchając, usta wykrzywił.

— Krwawe dzieje — rzekł — ale ja im spełna wiary nie daję. Wy to wiecie najlepiej, że będzieli kto gwałtownikiem, złożą nań w dziesięcioro tyle, niż uczynił.

Krzychnik nic nie rzekł.

— Wszystko to nic — dodał pomilczawszy — ale gdy żona zmarła, dopiero dla niej czułość

się wzięła taka, jaka nigdy może za życia nie bywała. U trupa krzyżem leżał płacząc, pogrzeb sprawił królewski i zamknął się na czas jakiś, jak by melancholii dostał.

Dopiero go z niej Anusia, córeczka, która podobną jest do nieboszczki, a on kocha ją bardzo, pieścotami swymi wyprowadziła.

Jeszcze dziś, gdy żonę wspomina, często mu w oczach łzy się zakręca. Taki on we wszystkim jest. Sam na siebie powiada głośno, że żonę zabił.

Do innych zabójstw się nie przyznaje, a Trepki imienia nawet wspomnieć nie wolne.

Wojtaszka widziałeś i znasz?

— Był ci z nim w Borówce — rzekł Andrzej.

— Z tym chłopcem historia albo się smutno skończy, lub nie wiem jak, bo to żmija jest,

którą on przeciw sobie żywi i pielęgnuje. Skąd go wziął, co za jeden, nie dojdiesz. Czarnoksiężnik, powiadają, w co nie wierzę, ale głosem go czaruje. Gdy czasem mu śpiewać zacznie, to się Samuel łzami zalewa, a pieniądze garściami mu sypie.

Chłopiec zaś jawnie i nie kryjąc się nienawidzi go, pogardza nim, odgraża się, a w domu tak się nosi, jak by rodzonym dzieckiem był. Aleksandrem pomiata, a Anusi dokucza, podły

plebejusz, zalecając się do niej jawnie.

Skarżono go nieraz Samuelowi, bił go czasami, sadzał na chleb i wodę, a potem niemal o

przebaczenie prosił. Zrozumieże go, jeśliś mądry. Lutniście tego dawno ze dworu przez psy wyszczuć należało, a on go głaszcze i tak stoi o to, aby nie stracił, jak by największego strzegł

skarbu. Wojtaszek się z tym nie kryje nawet, iż nim gardzi. Ludzie mi mówili, co słyszeli, jak obiecywał panu Samuelowi miecz katowski, dodając, że nań zasłużył.

— Niespełna rozumu — przerwał Andrzej. — Sądz, jako chcesz, na krew składając wiele,

bo my wiemy, jak się nam hamować trudno. Mm rozum przestał kierować. Broniliśmy go po

zabójstwie Wapowskiego, bronimy i teraz, bronić będziemy, ano, on nam ciężarem więcej niż pomocą.

— Ja nie rozpaczam, że go przecież zaprzęczę i orać nim będę — odparł Krzychnik. —

Jedyna się zręczność nastrecza zużytkowania go przeciw Zamojskiemu.

— Wspomniałeś o Candianie — odezwał się marszałek. — Co to z nim było, wiesz?

Słyszę, iż książkę wydrukował, wyzywającą go i czerniącą.

— Jam jej nie czytał, ale są tacy, co mieli w rękę, bo ją bibliopole przywieźli i sprzedawali, a bodaj do dziś dnia potajemnie, po trzy grosze, w świat puszcza ją.

Sprawa z Włochem poczęła się, można powiedzieć, z niczego. Przybywszy do Polski i tu

bawiąc, Candian włościaninowi, sołtysowi, z majątności Samuela pieniędzy pożyczył, a potem po nie sam przybył. Wytoczyło się to przed trybunał pański i Kurek długu nie zaprzeczał, ale twierdził, że zapłacić go czym nie miał.

Tymczasem Samuelowi dobrze się z Włochem było zabawiać, więc go do dworu wziął, do

stołu sadzał, karmił, poił i był mu jak najlepszym. Ten go za to opowiadaniem bawił, a że Samuel rad w języku włoskim się popisywać, bardzo go miał miłym i chciał w domu zatrzymać.

Tymczasem Włoch się już wrywał, mając handel czy zajęcie; ale z Samuelem od wielkiej miłości do gniewu włos tylko...

Włoch się rwał jechać, Samuel nie chciał puszczać, a już mu twarz krwią i oczy zachodziły, co u niego znakiem, że sobą nie włada.

— Naokoło mór straszny, ludzie jak muchy padają, gdzie ty pojedziesz? Po co? Siedź tu, kiedy ci dobrze!

Wpół dobrą wolą, wpół siłą strzymał Włocha, ale co on go zabawiał *zraza.*, to teraz Samuel, drwiąc z niego, gości swoich nim traktował. Wyśmiewano go nielitościwie, płątając nieznośne sztuki, aby Włocha do wściekłości rozdrażnić.

Samuelowy sługa, niejaki Ruski, nasadzony był na Candiana, a wiedząc, że mu to ujdzie

bezkarnie, dojadł Włochowi, szczególnie przy gościach. Gości zaś żadnego dnia nie brakło.

Wreście Candian już chodził struty i gdyby nie rzeczy, które z sobą miał, pieszo by był gotów uciekać.

Jednego dnia, gdy Ruski w czasie obiadu Włocha prześladował i słowem dotknął, uniósł się Candian i w twarz go uderzył.

Wszyscy byli naówczas dobrze sobie podpili, w izbie się stał rozruch wielki, poczęli się rwać do szabel i byłoby przyszło do krwi rozlewu, gdyby obcy ludzie nie wdali się i na pozór ich nie pogodzili. Od tej pory jednak Samuel, puścić nie chcąc Włocha, razem z Ruskim na wszelki sposób znęcał się nad nim.

Był naówczas u Samka, stary niedźwiedź, który wolno po dziedzińcach się przechadzał i

miał budę swoją, a czasem za igraszkę i postrach służył. Przyszło do tego, że raz Candiana wziąć *kazał*, obnażyć, miodem osmarować i na niego niedźwiedzia puścić, wprzód przez psy rozdrażnionego. Jakim sposobem Włoszysko z tego wyszło, podrapane, ale z życiem, przydusiwszy starego niedźwiedzia, nie wiem. Natychmiast więc po traktamencie chciał precz jechać, ale mu u wozu koła pozdejmowano, rzeczy zamknięto, potem jego samego do lochu wsadzono, z którego nierychło się wydobyć potrafił.

Candian go w piśmie wyzwał na rękę, na sąd Boży do walki, ale Samuel śmiał się i po dziś dzień się na tym skończyło.

Mato ci tego?

Andrzej podniósł oczy w górę.

— Jakże ty chcesz takim pokierować człowiekiem? — zapytał.

— Najłatwiej, gdy go tam poprowadzę, gdzie on sam rad iść — rzekł podczaszy. —

Nienawidzi Zamojskiego...

— Tak — odparł marszałek — ale przebiegłości i pomiarkowania potrzeba, aby się z nim spotkać i to tak, aby kanclerz przeważnej siły przy sobie nie miał a napaści się nie spodziewał.

Samuel ani czasu, ani miejsca wybierać nie potrafi, rzuci się po szalonemu i zginie.

— A jam od czego?! — zawołał Krzychnik. — Wszystko mu zgotować potrzeba i dać, tylko rąb... Naówczas żadna mu się siła nie oprze.

— Wolałbym wszelką inną imprezę — przerwał Andrzej — niż taką, do której nam Samko potrzebny. Najlepiej przygotowane popsuc potrafi.

Potrząsnął głową pan Krzysztof.

— Ledwiem go zakłębem wielkim od tego odwiódł, aby na wesele do Krakowa nie jechał, bom się go tu obawiał.

— Gotów by go był kanclerz ująć kazać, bo o nas dobrze wie, jak mu życzymy, a jego dobrze zna.

— Jam się nie tyle tego obawiał — dodał Krzysztof — jak jego szaleństwa. Wyrwałby się

nam z ręk, gdyby mu się głowa zakręciła.

Wstał marszałek.

— Dobrze mówisz, Krzychnik, że nas zna... Wiem to od Jana, iż przemawiał za nami, prosząc... Mnie na tym marszałkostwie trzymają na śmiech, gdy mi się dawno co innego należy.

— Ze mną gorzej, bo cale znać nie chcą! — zawołał Krzysztof.

— Za Rakuszanina cię teraz, jeżeli nie za cara sługę mają — dodał marszałek.

— Myślę, że za ostatniego chyba — rzekł Krzychnik — ale mi obojętne oboje. Ja już nic z

nimi nie spodziewam się dokazać, więc pozbyć się ich, to jedyna myśl moja, a przede wszystkim Zamojskiego, bo ten tu osią, na której się ich roboty obracają.

— Teraz mu, jako królewiatku, buta urośnie! — wtrącił Andrzej i począł z innej beczki.

— Krakowaście nie widzieli teraz — dodał. — Zawczasu się już gotują na obrzęd taki, aby o nim ludzie pamiętali. Krocie to kosztować będzie, gdy na wojnę pieniędzy nie ma.

Batorówna jeszcze w tym miesiącu od granicy przybywa w orszaku znacznym, naprzeciwno której Andrzej Opaliński wyjeżdża.

Ze Spieglerowej kamienicy królestwo ichmość na owe sztuki, które się na Rynku odbywać mają, patrzeć będą. Siła szlachty do turniejów stanie, a cudzoziemców i ciekawego tłumu Kraków chyba nie pomieści. Zaleją nas.

— Toć by dla rozumnego człeka najlepsza była pora coś przedsięwziąć — rzekł Krzychnik

— bo diabła zjedzą, jeśli się upilnują i wszystkich znać będą. Ani król, ani hetman, niebezpieczeństwa żadnego przeczuwać nie będą.

Andrzej obejrzał się z przestachem i dał mu znak, aby milczał, a podczaszy też go usłuchał.

— Nie teraz, to później, puszcę na niego Samka, jak Samko puszczał niedźwiedzia na tego Włocha.

— Ano, patrz — odezwał się marszałek — aby jak Włoch niedźwiedziowi, on mu się nie wyrwał, bo naówczas biada nam!

— Samko gorzej niedźwiedzia — rzekł Krzychnik — tegom pewny... do pierwszego

spotkania.

Za czym zamilkli oba, bo służba wieczerzę przyniosła, a z nią razem miejskie plotki, na

które szczególnie podczaszy był łakomym. Opowiadano, co się na zamku, co po mieście działo i jak wszyscy, od biskupa począwszy, dwory swe, służbę, czeladź, wozy i konie, na nowo stroili, złocili, odświeżali, aby się z nimi popisali.

Starszym ludziom wszystko to mocno wesele Zygmunta Augusta z pierwszą jego żoną, o

którym dotąd pamiętano w Krakowie, przypominało. Na wszystkich ustach było to porównanie, które w nieprzyjaciółach Zamojskiego do najwyższego stopnia rozjątrzenie budziło.

— Teraz dopiero — mówili — podniesie głowę synowczyk królewski, że do niego przystąpić nie będzie można szlachcicowi, choć on sam z biednego szaraka wyszedł.

— Butę jego przykrócić potrzeba — powiadali drudzy — inaczej oni we dwu z królem wszystką szlachtę w chłopów obrócą i sami się tu bez nas rządzić będą.

Krzysztof, gdy to słyszał mówiących w poufnym kole, dodawał na swój młyn wodę prowadząc:

— *Propter absolutum dominium* obawialiście się Rakuszanina, a ten by się nigdy na wolności naszej tak nie ważył jako oni i byłby nam siłę z sobą przyniósł przeciwko Turkom i Moskwie, gdy teraz on ich na nas poduszczać i wspomagać będzie, co się wprędce okaże.

Ciekawy, niespokojny, potrzebujący ciągle jakiegoś zajęcia, które całe się wszakże na

zręcznie rzucanych słowach, zagrzewaniach i podbudzaniu drugich ograniczało, p. Krzysztof, nigdzie się nie ukazując prawie, pozostał w Krakowie. Wiedział on, że hetmanowi i królowi na nieprzyjaciółach nie zbywało, chodził więc i sznurkował, azali co przedsiębrać nie myśleli.

Pan Andrzej przeciwnie, choć się na występ żaden przy weselu nie gotował, jawnie po

Krakowie chodził, okazywał się i chciał przez to dowieść, że nic złego nie zamierzał, ani się obawiał o siebie i ukrywać myślał.

Gdy go drudzy zapytywali, czyli Zborowscy też obok innych nie myślą królowi i hetmanowi

zalecić się tym, ażeby albo w turnieju czasu wesela, lub w maszkarach i popisach udział wzięli, odpowiadał marszałek:

— Dobrze to drugim czynić, co mają z czego, bo im król jurgieltu i starostw nie skąpi.

Gdybyśmy Knyszyn mieli albo choć co mniejszego... Ano, zubożeliśmy i tak na usługach

Rzeczypospolitej, kasztelan Gdańsk królowi przywrócił, a co mu z tego przyszło? Będziemy się onym cudom przypatrywali ochotnie, dziwili i w ręce klaskali, ale my się do nich nie przyczynimy.

Marszałek i na zamek, i do królowej chadzał, choć nigdzie miru wielkiego nie miał,

wystrzegano go się i nie dowierzano. Choć więc przy królowej Annie było wielu, co do króla i Zamojskiego za nią żal mieli, nikt z panem Andrzejem się nie chciał wiązać ani mu z tym

wydawać.

Krzysztof we dnie tak jak nie pokazywał się wcale i urzędownie z bytnością swą w mieście nie występował. Do tych, z którymi znajomym był dawniej, wieczorami chodził lub w takich godzinach, aby się u nich nie spotykał z innymi. Wymykał się z Franciszkańskiej ulicy o mroku, nie postrzeżony, i albo sam, lub z jednym sługą po mieście błądził. Ale miał tu swoich, co mu do domu przynosili wiadomości i cokolwiek po mieście chodziło.

Szły stąd od niego mnogie listy do Samuela, które na to były przeznaczone, aby upokorzenie rodziny okazywały i do zemsty pobudzały. Znał podczaszy brata, iż jak płomienny ogień prędko gorzał i gwałtownie, ale krótko, więc i nienawiść do hetmana potrzeba było podsycać nieustannie, aby nie zagasła.

Miał w tym pomoc pan Krzysztof wielką w siostrzenicy ulubionej p. Samuela, Włódkowej,

tuż pod Krakowem w Piekarach mieszkającej, która z gorączką niewieścią podzielała wszystkie ich uczucia i myśli.

Różnie tam o tej wielkiej przyjaźni p. Samuela dla onej siostrzenicy mówiono, posądzając jego i ją, bo się jejmość młoda, przystojna, żywa, ruchawa, czynna, wcale nie ukrywała, że wuja jako bohatera wielbiła i równego mu drugiego nie znała na świecie.

Gdzie p. Andrzej i Krzychnik sami się obawiali iść, mówić a działać, tam Włódkowę

posyłali, która gotowa była na wszystko dla ukochanego Samuela. Aż nadto może daleko posuwała się jejmość, bo jej dom jawnym był zbiegowiskiem nieprzyjaciół hetmana i króla i stąd na nich wszystkie baśnie i potwarze płynęły, tu się zbierali spiskujący.

Andrzej mniej się tu okazywał, bo ten zawsze jeszcze wyobrażał sobie, iż na dwu stołkach wysiedzi i za takiego, jak bracia, nieprzyjaciela zdeklarowanego liczonemu nie będzie. W tym się mylił, bo jego i politykę, jaką zachowywał, znano dobrze. Krzysztof nie mający nic do stracenia, niemal co dzień do Piekar jeździł i tam woził, co pochwycił na bruku, a nawzajem dostawał języka o Samuelu, który i wrzekomo, i na oko, aby ludzi zwieść — choć nikt w to nie wierzył — do Włoch się wybierał, skąd już wcale powracać nie miał, jeżeliby się w Polsce rzeczy nie zmieniły.

Rozgłaszał to i p. Krzysztof ostentacyjnie, aby pokryć przygotowania, które ciągle

czyniono, nawet czasu tych weselnych przyborów. W Krakowie jednak przekonał się rychło podczaszy, że na teraz nic ani myśleć było przedsiębrać.

Szczęście pana hetmana, powodzenie królewskie w sprawie z Moskwą, w której po raz pierwszy od dawna Batory silniejszym się okazał i groźnym, jak z jednej strony nieprzyjaciół budziło, tak z drugiej wielu nawracało, bo widzieli, że bezsilne ich pokuszenia przeciwko rozumowi i szczęściu Zamojskiego nic nie zdołają.

Drażniło go to niepomiernie, iż wielu z tych, co dawniej na wilcze zęby wykrzykiwali i odgrażali się, a *Nigrum Concilium* Zamojskiego w błocie tarzali — teraz z pohamowaniem o jednym, z postrachem o drugim, z ostrożnością wielką o nich obu się odzywali.

Na pomocników czynnych widział, iż mało mógł rachować, samym im z Samuelem o sobie myśleć było potrzeba.

Brata tego na chyż wystawić i popchnąć bynajmniej się nie wahał podczaszy, miał go bowiem za straconego i tak, a chciał zużytkować, siebie o ile możności oszczędzając. Słał więc listy przez Włódkowę, ogień podkładając ciągle, a choć na teraz nic jeszcze przedsiębrać nie było można — po we- selu znajdował chwilę bardzo dogodną, bo hetman się musiał ubezpieczyć i mniej być ostrożnym, po tylu dowodach, że miał przyjaciół licznych w całej Rzeczypospolitej.

Tak stały rzeczy w domu przy Franciszkańskiej ulicy, gdy jednego wieczora, bólu zębów napytawszy przy wiosennej wilgoci, podczaszy zaszedł do Fontanusa lekarstwa nań szukać...

IX

Gdy Fontanus, jeszcze króbkę na plecach z olejkami nosząc, to po ziemi krakowskiej, to po Rusi, to po miastach się błąkał, wietrząc, gdzie by mu się osiedlić było najkorzystniej i najłatwiej, zaszedł raz i do Zborowa.

Gościł tam natenczas i Samuel, był i Krzysztof. Niemiec im zrazu służył za zabawkę, bo radzi się każdym nowym człowiekiem zabawiali. Zachorzał jeden z nich, a nim fizyka z Krakowa sprowadzono, Fontanus się ofiarował z febry tej uleczyć, co mu się w istocie udało. Wpadł więc w łaski, a później, gdy w Krakowie osiadł, Zborowscy o nim nie zapominali ani on o nich.

Starał się osiedlony już tu Fontanus, aby przy królu miejsce aptekarza pozyskać, ale

Zamojski nastręczył Włocha, niejakiego Arycho Caborto, który go ubiegł, czego Fontanus

zapomnieć i przebaczyć nie mógł. Przyczyniło się do niechęci i to, że Włoch, który więcej może umiał, Fontanusa za nieuka i szalbierza ogłaszał, utrzymując, że wodę zafarbowaną zamiast eliksirów, a prostą glinę miasto bolusów sprzedaje.

Ostrożny bardzo Fontanus nigdy się żadnym słówkiem nie wydał z tym, co w sobie nosił, ale przeciw królowi i Zamojskiemu żal miał wielki... To uczucie go do Zborowskich zbliżało.

Spostrzegłszy pana Krzysztofa, którego z dawna nie widział, ucieszył się tym otwarciem aptekarz, iż nikogo świadkiem nie miał.

Natychmiast więc zęby podczaszemu opatrzywszy i płukanie dla niego przygotowując, począł z nim poufną rozmowę.

Krzysztof wiedział, iż się go wystrzegać nie potrzebuje.

— A co? — rzekł, siadając koło stołu, na którym Fontanus lekarstwo gotował — a co?

Zborowscy tedy doczekali tego, że nic w Rzeczypospolitej nie znaczą! Poszliśmy na dno...

Fontanus spojrział zza okularów.

— Mnie się zda — rzekł — że wy jeszcze zwycięsko na wierzch wypłyniecie...

— Trudno — odparł podczaszcy.

— Boją się was — szepnął aptekarz — to najlepszy dowód, że siłę macie. Człowiek słucha różnych gadanin, chwytą różne wieści, bo ja tu jak na rozstaju siedzę, kędy wielu przyjeżdża, a powiem wam, że was wcale jeszcze nie lekceważą...

— Skądże wniosek? — spytał podczaszcy.

Fontanus chciał się przypochlebić Zborowskiemu i nie wahał swego własnego utworu baśni podać na stół. Przyszło mu na myśl, że się Dzierżek o truciznę dowiadywał. Z tego łatwo było coś stworzyć.

— Miejcie się na baczności — dodał — Samuela i was, gdy inaczej nie będą mogli, nie omieszkają się starać zgładzić wszelkim sposobem, choćby trucizną. Pana Samuela, choć gwałtowny jest, może się nie tyle lękają, co was. Wiedzą, że głowa i rozum rodziny, to wy...

Panu Krzysztofowi oczy się zaiskrzyły. Pochlebiali mu to z jednej strony, z drugiej niepokój ogarnął, bo o swe życie i bezpieczeństwo bardzo był troskliwym.

— Fontanus! — zawołał przysuwając się — wy coś wiecie... Mów mi otwarcie. Szcześnie, że mnie tu ból zęba sprowadził, inaczej bym o niczym nie wiedział.

Zmiarkował aptekarz, iż nazbyt pewno twierdzić o rzeczy pochwyconej nie wiedzieć skąd niebezpiecznym było, i chciał się nieco wycofać.

— Nic ja nie wiem — rzekł. — Przede mną z niczym by się nie zwierzyli, ale się dużo domyślać można z oznak pewnych...

— Zatem praw mi, czego i na jakim fundamencie się domyślasz! — począł podczaszy. — Począłeś, to kończ... ja cię już nie puszczę, aż się dowiem, co sądzisz...

Fontanus, choć w oficynie nikogo nie było, wysunął się z za stołu, zajrzał do drugiej izby, chłopca stamtąd do alembików wyprawił i dopiero, powróciwszy, mówić zaczął.

— Jak się wam zda, panie podczaszy, ma kanclerz większego i jawniejszego w tej Rzeczypospolitej nieprzyjaciela nad Zborowskich?

Zadumał się nieco Krzysztof.

— Nieprzyjaciół ma wielu — rzekł — ale my na oku i na wierzchu.

— No i co Zborowscy znaczą, to świat wie... z nimi się nikt nie może mierzyć — mówił

dalej Fontanus. — Więc kiedy Zamojski się trucizną chce pozbywać ze świata, to pewnie nie kogo innego, jak podczaszego albo Samuela.

Krzysztof, który wcale mężnym nie był i zdradę wszędzie wietrzył, a obawiał się wszystkiego, poskoczył z siedzenia, a krew mu uderzyła do głowy. Nie mógł zrazu mówić, tak go to do głębi poruszyło. W gardle mu zaschło, jak gdyby już ową trucizną wspomnianą połykał.

— Skądże wiesz, co kanclerz zamierza? — wybełkotał niewyraźnie.

— Proszę was, bacząc na to, że naprzód ja pewności żadnej nie mam, ażeby ta trucizna dla was przeznaczoną była, choć zdaje mi się, że ona komu innemu pewno się nie gotuje, ino wam... po wtóre bądźcie pewni, iż ode mnie oni nie dostaną za wagę złota nic innego, chyba *Electuarium* niewinne. W tym ich oszukać — nie będę miał na sumieniu, a gdyby mi to wyrzucać potem mieli, alboż nie ma antidotów? A przeciw tym ja nic nie mogę.

Zamyślił się ponuro podczaszy.

— Któryż to sługa kanclerza? — zapytał.

— Człek mały — odparł lekceważąco Fontanus — ale on posługuje panu Mroczkowi, rotmistrzowi, który u kanclerza wiele waży i znaczy. Że z naprawy jego to uczynił, to pewna.

— A dla mnie też i to pewna — dodał żywo podczaszy — że nie dla kogo innego truczkę tę zgotowali, tylko dla mnie. Przeciwno Samuelowi oni inny oręż mają, a nieprzyjaciół nad nas większych nie widzę. Zlitujże się, Fontanus, -jakoś powiedział, uczyn. Myśl twoja dobra i poczciwa.

Truciznę sprzedać należy, aby jej gdzie indziej nie szukali, ja zaś ostrożnym będę na wszelki wypadek.

— A jeśli się po nią nie zgłoszą? — spytał Fontanus. Podczaszy się zamyślił, pot mu powoli występował na czoło.

—Zalałeś mi sadła za skórę! — zawołał, padając na krzesło. — Już się teraz niepokojowi o życie obronić nie będę mógł i gotówem im z oczów zjechać do cesarza, bo tam przynajmniej od trucizny ich będę bezpiecznym. Ale tu Samuela zostawić samego, bez porady i kierunku, znaczy: i jego, i naszą sprawę narazić na zgubę. Porwie się niezręcznie i odda im w ręce. Ja nad nim czuwać muszę, a bez niego...

Cały w myślach zatopiony Krzysztof nie dokończył, głowa mu zwisła na piersi, dumał.

Fontanus rad był, że się z tym wygadał, na wszelki wypadek na nowo sobie zyskiwał Zborowskich, u których zawsze się mógł pożywić.

Nie było potem końca pytaniom i badaniom p. Krzysztofa, który zamiast powziąć wątpliwość co do powieści aptekarza, coraz się mocniej w tym utwierdzał, iż nie dla kogo innego przeznaczono truciznę, tylko dla niego.

Musiał mu więc najuroczyściej zapewnić Fontanus, że uczyni, jak obmyślił, i że natychmiast o spełnieniu obietnicy da znać panu Krzysztofowi do Piekar przez Włódkową.

Rozmowa ta przeciągnęła się bardzo długo, tak że gdy podczaszy powrócił do domu na Franciszkańskiej ulicy, zastał już marszałka w łóżku, w głębokim śnie pogrążonego.

Nie chciał jednak czekać jutra z oznajmieniem mu, co przynosił, i zbudzić kazał wyrostkowi, który spał w progu.

Zamiast wszakże wiernie powtórzyć bratu, co posłyszał od Fontanusa i co się bardzo wątpliwym przedstawiało, wcale inaczej rzecz malował, niemal pewnie truciznę, jako dla siebie przeznaczoną, przedstawiając i wielkie niebezpieczeństwo, na jakie był narażony.

Andrzej znał brata, a rzeczy tak gorąco nie brał do serca. Zawiązał się więc spór pomiędzy nimi, który trwał niemal do rana.

Nazajutrz najpilniejszym się zdało podczaszemu wybrać z tym do Piekar, do Włodkowej, choć Andrzej odradzał, aby na babskie języki plotka nie poszła i przedwcześnie się nie rozgłosiła. Panu Krzysztofowi jednak niepodobna było podróży tej odradzić. Uparł się przy swoim i już chciał siadać na wóz, gdy niespodzianie ukazały się w ulicy dobrze znane karę woźniki pana gnieźnieńskiego i zwykły jego tabor podróżny. Ten, gdy przybywał, wypadało zaniechać jazdy, a z nim, jako starszym, się naradzić.

Choć to może nie na rękę było podczaszemu, który ze starszym bratem wcale się nie godził, bo nigdy go do swych posług, tak jako chciał, zaprząć nie mógł, musiał kazać koniom swoim do stajni. Wyszli oba z marszałkiem naprzeciw starszemu z rewerencją i wprowadzili go do dworu.

Jan, dosyć jasnego oblicza, wcale się tak jak oni frasobliwym nie okazywał, owszem wesoło zagadnął ich i kazał się ludziom rozgaszczać, oznajmując braciom, iż przybył umyślnie, aby mówić z kanclerzem.

Tedy Krzysztof zakrzyknął:

— Z tym już mówić nie ma co! Obrusy między nami rozerżnięte na wieki!

Gnieźnieński ramiony ruszał.

— Coś nowego?

Krzychnik, który już ledwie utrzymać się mógł, gorąco sprawę trucizny zagaił, a Jan jej z namarszczonym czołem słucał. W czasie opowiadania najmniejszej nie dał oznaki ani zdziwienia, ni oburzenia, raczej niedowierzania.

Im Krzychnik gwałtowniej nastawał i dowodził, tym on zimniej badał, pytania zadawał i przekonywał, że z muchy zrobiono wielbłąda i głupią mowę małego człowieka na ramiona kanclerzowi narzucono.

Podczaszy, który w to, co mówił, wierzył święcie, podrażniony był i gniewny, lecz z panem gnieźnieńskim nie szło tak łatwo jak z marszałkiem. Zganił porywczość i nakazał milczenie.

— Ani się waż tego w świat puszczać, co głupota i złość ludzka wymyśliły, bo mnie mieć będziesz przeciwko sobie. Właśnie by mi to wszystkie moje zabiegi dla dobra waszego

skrzyżowało. Darmo tu nie przyjechałem, wiem, że kanclerz jest, widzieć się z nim będę. Chcę dla was i dla Samuela *occasione* wesela coś uzyskać i do zgody doprowadzić.

Nie przystało nam, Zborowskiemu, stać przeciwko temu, który Rzeczpospolitą włada i

zwycięsko ją broni, a przeciwko temu, który wkrótce jego synowcem się stanie. Na buncie i spiskach nie wygramy nic. Wiem, że kanclerz pod ten czas łagodniejszego jest usposobienia. Chcę z tego korzystać.

Andrzej nie oponował.

— Próbujcie — rzekł — ale ja wam z góry prorokuję, że nas do łaski przypuszczając, chyba psim swędem zbyć będą chcieli, ja zaś się tym i lada jaką jałmużną zbyć nie dam.

— Zaprawdę panie bracie — rzekł Jan — ryby to przed niewodem. Ja wam spodziewam się drogę do Zamojskiego otworzyć, a wy sami swoją sprawę przed niego i króla wnosić będziecie.

— Co do mnie — odezwał się Krzychnik — nie wierzę w to, ażeby *mnie* nawet *ad*

audiendum verbum J.K. Mości dopuścili. Ano, chcecie, probujcie. Ja się też lada łachmanem nie dam zbyć.

A wszystko to — dodał — marne psowanie czasu. Kanclerz was gładkimi słowy uchodzi,

a z nami postąpi zdradziecko... W zgodę między wilkiem a owcami ja nie wierzę. Oni krwie naszej pragną i nie zaspokoją się, aż się jej napiją.

Pogniewał się pan gnieźnieński i naganił gadanie, jednakże, skutkiem perswazji jego, nieco się Krzychnik ukołysać dał i obiecał czekać.

Zaraz po południu posłał Jan na zamek, u kanclerza o audiencję osobną prosić, a tę mu

nazajutrz wyznaczono.

Jechał tedy skromnie, jak zwykle, z małym dworem. Zaraz w sieniach go Heidenstein witał

uprzejmie i do pana wprowadził. Zamojskiego znalazł jakby odmłodzonym, w usposobieniu ducha nader łagodnym i uprzejmym.

Zwycięzcę Gdańszczan powitał serdecznie i cieszył się, że go ogląda, a o sprawach

wojennych mowę zagaił, szczególnie o piechocie nowej, którą z włościan królewskich wybierano, a król chciał rodziny żołnierzy od wszelkich powinności, opłat i ciężarów uwolnić, dając im darmo trzymać grunta, jakie mieli. W ten sposób lud do służby wojskowej, której nigdy nie znał, miał się zachęcić.

Postrzegł jednak łatwo hetman, że Zborowski roztargniony, myślami był gdzie indziej i dorozumiewając się, że go tu może co innego sprowadziło, rozmowę na tor ogólnych spraw wprowadził.

Kasztelan, z tego korzystając, zaraz rodziny swej sprawę na stół wyprowadził, ukazując, że bracią jego niesłusznie posądzano i odsuwano od wszystkiego, że łącznie ją król trochę dobroci mógł sobie pozyskać, a oni by mu się przydali.

Bronił szczególnie marszałka, iż zupełnie zaniedbany był, choć chętnie służyć gotowy; uniewinnił Krzysztofa, iż go o zdrady, o zmywy jakieś pomawiali nieprzyjaciele; na ostatek i za Samuelem prosił, aby z niego banicję zdjęto, bo jak w ukropie był kąpany, tak czasu wojny żołnierzem być mógł nieocenionym.

Kanclerz w ogóle nie okazał się niechętnym, owszem z pewnym rozrzewnieniem rzekł:

— Wierzaj mi, panie kasztelanie, jam dziś nad zasługi szczęśliwy, więc i drugim bym, gdyby było w mej mocy, nieba rad przychylił. Wierzaj mi, że uczynię, co w mej mocy.

Co się tknie pana marszałka, ja mu u króla posłuchanie wyrobię. Wiem, że jurgieltu sobie życzy, i że król na moją prośbę mu go wyznaczy, ale skarb nasz chudy jest, szafować nie ma czym, a wojna za pasem. Króla pomawiają o skąpstwo; nie jest on skąpy, lecz nawykł do małego, a u nas też na wielkie nie trafił. Zda mi się wszakże, iż dla pana Andrzeja coś uczynić potrafimy.

Dobierzemy chwilę dobrą... jam z serca pomoc gotów.

Daleko trudniej będzie z panem Krzysztofem, przeciwko któremu złe są oznaki jego niechęci. Sprzyja on cesarzowi, pisze się wszędy „radą cesarską”, nie kryje z tym, że króla nie lubi... Król mu też płaci tąż monetą i trudno, aby w nawrócenie nagłe mógł uwierzyć.

Pomimo to ja i podczasem posłuchanie wyrobię, niech się tłumaczy, a okaże, iż jest niewinnie oszkalowany. Zgody i pokoju w tej Rzeczypospolitej nam nade wszystko potrzeba, abyśmy siły wspólnymi ją, wycieńczoną i zboląłą, podźwignęli.

Samuel niepotrzebnie na Niż się puszczał, jak by coś przeciw króla zamierzał. Król był tym rozjątrzony, ale nie stało się nic, powrócił, niechże spokojnie siedzi, a postaramy się, aby z niego zmył ten dekret...

Że w tym siła trudności będzie, przewiduję, bo nie jednego pana Wapowskiego ma na sumieniu, dosyć innych skarży się na jego gwałty, mężów i kobiet. Nie może się uśmierzyć, choć wiek by był po temu.

Ja mu, dopóki banicja zniesioną nie będzie, nie zyczę się pokazywać w mojej jurysdykcji

bobym rygoru zażyć nie chciał, a musiałbym spełnić moją powinność... Przeciw dekretowi

Henrykowemu niech się stara, ja pomogę, ale musi siedzieć spokojnie, *a* chcieli dowodzić, niech na kresy rusza, gdzie wojna nierychło się skończy.

Znalazłszy kanclerza tak życzliwie usposobionym, nie- zmiernie się uradował pan

gnieźniński. Ze łzami w oczach począł mówić o rodzinie, która w Rzeczypospolitej liczyła się do pierwszych, a dziś na dawnym stanowisku utrzymać się nie mogła. Biadał i narzekał, przy czym go kanclerz pocieszał tym, że wiele familii podnosiło się, rosło, ubożało i potem do dawnej przychodziło świetności.

Tak z pół albo więcej godziny pogwarzywszy, gdy ks. biskupa krakowskiego oznajmiono,

że przybywał, kasztelan pożegnał go i wyszedł. Jechał do braci z jak najlepszą myślą, z czołem wypogodzonym, a wszedł nucąc wesoło. Oba na niego oczekiwali. Zdał im sprawę z poselstwa, ale obu było za mało tego, co przyniósł. Ponieważ Zamojski tylko posłuchanie u króla wyrobić obiecywał i ich własne żądania popierać, ani marszałek, ani podczaszy nie czuli się w obowiązku iść mu podziękować.

— Zaczekamy skutku — odparł marszałek — a będzieli za co, pokłonię się, darmo nie mogę, boby to wyszło na żebranię.

— Ja też przed Zamojskim się oczyszczać nie będę — rzekł Krzychnik — upokorzyłbym się nadaremnie. Przed królem, co innego, nie będę się wstydał, musimy czekać. Pan Zamojski rad by, widzę, przed weselem wszystkich rozbroić, aby je swobodnie mógł obchodzić. Juści, kto ma szczęście się żenić z synowicą króla swojego, wiele dla drugich uczynić może, gdy Pan Bóg mu daje to, czego nikomu pono nie wyświadczył. Dlatego jednak baczny być na każdy ich ruch i krok nie zawadzi.

Ponieważ dla przyrzeczonej audiencji oddalać się im nie wypadało, a król na łowy do

Niepołomic pojechał i dopiero na samo wesele powrócić obiecywał, o czym różne złośliwe

chodziły interpretacje, do których i pana Branickiego starostę mieszano, gdy dwaj Zborowscy nie mieli co w Krakowie robić, zmówili się do Piekar.

Dom ten siostrzenicy ich, wdowy, wesoły był, zawsze pełen gości, otwarty, a sama pani

jeszcze wdzięczną twarzą i humorem przywabiała młodzież, tak że często i ze skrzyp- karni ją najeżdżano. A że Samuel rad tu bywał i przesiadywał, a pani Włodkowa gorąco go broniła,

posądzano ich o ściślejsze może, niż były, stosunki. To pewna, że gdy do Piekar przybył, trudno go

stąd było wyciągnąć, a poczynął tu sobie jak w domu własnym...

Dwór był drewniany, na podmurowaniu, obszerny dosyć, ale tyle razy dobudowywany,

poprawiany, rozszerzany, że na zewnątrz nieforemnie wyglądał. Katowało go to tylko, że drzewy, krzewami i kwiatkami dokoła był obrosły.

Lecz, żal się Boże było ogrodu i dziedzińca, gdzie tylu gości co dzień najeżdżało. Naprzód na podwórzu ludzie, konie i psy zostawiały po sobie tak wyraziste ślady, iż tu stróż raz w tydzień uprzatający je, nigdy nie mogli ich całkowicie zatrzeć. Zgartywano kupy śmiecia pod stajnię, gdzie kury z folwarku przybywały grzebać i pożywiać się.

Nie o wiele lepiej było z drugiej strony w ogrodzie, kędy goście czasem poobiednie godziny spędzali, niewiele się troszcząc o czystość i porządek. Ale to wszystko wegetacją bujną pobudzało, i krzewy a lipy bardzo się szeroko rozrastały. Sama gospośia na ogród nie miała czasu, gdyż albo zabawianiem gości swych, lub troską o przyjęcie zajęta bywała, przy czym dodać należy, iż śpiew a skoki lubiła bardzo, tańcom się oprzeć nie mogła. Dzieci też niedorosłych parka potrzebowała czujności.

Prawda, że oprócz gospodyni, fraucymer był nadzwyczaj liczny, co także dom dla

młodzieży przyjemnym czyniło, bo szlacheckich dziewcząt ubogich, zawsze kilka dorastających, ładnych i świeżych na dworze się znalazło. Gdy muzyka zagrała, one też szły do tańca i bywało ochoczo a wesoło jak mała gdzie, a kilkoro panienek za mąż wydała pani Włódkowa. Choć kilku im też nie poszczęściło się.

Na kuchni w Piekarach dzień i noc ogień nie schodził, warzyło się i piekło nieustannie, a nastarczyć było trudno, bo ci goście niespodziani, których u nas zwano „panami zza morza”, mało którego dnia się nie stawili, a bywało ich pod czas cał nieoczekiwanych i pięciu, i więcej.

Pan Samuel nigdy samotrzeć nie przybywał, ale w pokaźnej komitywie.

Życie tu płynęło bardzo swobodnie i wesoło, a choć grosza na nie wychodziło sporo, miała pani Włódkowa i po mężu majątności, i z siebie posag, nie potrzebowała skąpić bardzo.

Marszałek i podczaszy jadąc tu nie oznajmywali się zawczasu siostrzenicy, wiedzieli, że się dla nich miejsce znajdzie, a rada im będzie.

Z dala już w podwórzu konie i ludzie skupieni oznajmiali im, że gości zastaną; ale gościem, którego się tu wcale widzieć nie spodziewali (o nim się dopiero wszedłszy dowiedzieli) był Samuel.

Stęsknił się on za Włódkowa i dnia wczorajszego przybył swe wyprawy niżowe jej opowiadać.

Gdy im szepnęła, że on tu jest, namarszczył się nieco marszałek, bo słyszał świeżo, iż

kanclerz przestrzegał, aby jego jurysdykcji unikać. Zawsze z tą banicją rzecz była niebezpieczna, a choć Zamojski teraz lepsze okazywał usposobienie, oni mu nie dowierzali.

Ale Samko wyszedł przeciwko nim z tak bohaterską postawą, tak pewien siebie, a tak

rozochocony już, że mu nic mówić nie chcieli...

Nie było ludzi, których by się strzec potrzebowali, zaraz więc pan Andrzej zagaił o panu Janie i o jego bytności u kanclerza, powtarzając to, co z sobą przyniósł.

Zzymnął się Samuel.

— Ho! ho! — rzekł — do zgody rękę wyciąga! do zgody! Cóż to ma znaczyć? Nowa zdrada

chyba! Jeżeli który z panów braci ma ochotę im się kłaniać, nie wyjmując króla, wolna wola. Ja, nie... Mamy z Zamojskim i Batorym za długie lata rachunek nie skończony, a bodaj się z niego nam, nie im, należy... Musieliby się dobrze opłacić, abym ja im rękę podał. U"mnie jedno na myśli: albo pomsta, lub z kraju precz jadę, kędy oczy poniosą...

Żaden z dwu braci nie brał tak gorąco sprawy, poczęli go mitygować, ale się nie dał.

— Waszmość oba zobaczycie — rzekł — że do mnie po- wróćcie, bo oni was oszukają. Ja

przy swym stoję: króla sprzątnąć, a Zamojskiego ubić. Wówczas będzie wszystko skończone i Zborowscy cześć swoją odzyskają, a miejsca, które im należą, nie jakieś tam liche urzędy, z których kilku koni wyżywić trudno, a wstydu się najeść może do syta cała rodzina. Pał ich diabli z ich zgodą! Ja im się nawet z gardłem prosić nie będę...

Tak się rozpoczęła rozprawa, przy której piękna a żwawa Włodkowa, jako zawsze

Samuelowi potakiwała, tak i teraz stronę jego utrzymywała. I ona się na zgodę żadną i na branie jałmużny nie zgadzała. Podziałało to tak na nieco zaledwie uspokojonego Krzychnika, iż i on przeszedł na ich stronę. Za czym języka już wstrzymać nie mógł i o truciźnie. a o Fontanusie historię im opowiedział.

Tu dopiero powstał rumor niesłychany... Samuel święcie wierzył w to wszystko, co

Krzychnik przynosił, a to mu służyło do poparcia własnych przekonań. Andrzej milczał i jak zawsze był ostrożny, nie zapędzał się za daleko.

— Macie najlepszy dowód ich dobrych dla nas chęci — wołał Samko — w tym, że mnie się

każe mieć na bacności, abym w jego jurysdykcję nie ważył się. Więc cóż? Wziąłby mnie jako banitę, jak nieboszczyk ojciec Sanguszkę, i łeb ściał? Niedoczekanie jego. Gdy wiem, co mnie czeka, wolę ja mu to samo zgotować... przy czym ani banicji, ani dekretu nie potrzebuję. *Wyzwą* go na rękę i zarąbię.

Naówczas cała Rzeczpospolita spod jarzma tego uwolniona podziękuje mi, bo mało co, a

oni ją chłopską swą piechotą zawojują, a nam wszelkie swobody odejmą. Rozumieją to wszyscy,

choć nikt mówić nie śmie, ale się gęby otworzą, gdy ich nie stanie. — Wtem zwrócił się do Krzychnika:

— Wy chcecie do niego iść i o łaski się starać, probujcie, ale pamiętajcie, że was to spotka, co Ponętowskiego, cześnika łeczyckiego, na sejmie, który gdy szedł do ucałowania ręki

królewskiej, ręki mu się dać wzbronił i kołpaka przed nim nie uchylił, bo go znał sobie niechętnym.

Ja się na to narażać nie myślę.

Krzychnik zmilczał.

— Ja bym się o pocałunek nie upominał — rzekł pan Andrzej — byle mi ta ręka lepszy

jurgielt wyznaczyła. Kochać go za to nie jestem obowiązany, bo to grosz nie jego, ale ze skarbu Rzeczypospolitej. A tak mi się on należy dobrze, jak i drugim. Na swoich Węgrów, ptaszników, sokolników, koniuszych, ba, psiarzy, na lutnistów, na wszelką gawiedź obcą ma pieniądz zawsze, dla nas go nie ma...

Królowej skąpią i trzymają jak na łasce, dawszy jej mazowieckie piaski i lasy, ale na wesele dla siostrzenicy, dla Bekieszów i nie wiem tam jak zowiących się Węgrów, jest zawsze

podostatkiem. Skarb wyniszczyli zupełnie, a co się z tymi skrzyniami stało, które Zygmunt August klejnotami nabite zostawił, dziś już nikt nie wie.

Tak szły narzekania jedno za drugimi, a w końcu każdego ustępu Samuel do tego powracał,

iż poty dobrze nie będzie, dopóki się od Węgra z wilczymi zębami i od kozlich rogów nie

oswobodzą.

— Niech panuje cesarz rakuski, niech car moskiewski, aby nie ten Węgier. Damy sobie z

tamtymi radę, bośmy już wiele przebyli, tylko tego nie bywało, aby szlachcic króla opanował i pod jego imieniem rządził. Chłopi powiadają, że nie ma gorszego pana jak z muzyka, a ja mówię, nie ma gorszego króla jak ze swoich i to z tych, o których wczoraj świat nie wiedział.. *Homo novus* najgorsza rzecz, bo ten nic nie szanuje! — Krzychnik okrutnie gorąco potakiwał bratu.

— Dajmy Andrzejowi szczęścia u króla probować, zobaczymy, co on wskóra. I tak nam

działać nie pora. Na wesele damy im pokój, a po przenosinach zagramy do nowego tańca...

Samuelowi serce rosło.

— Zdajcie wszystko na mnie — wołał — ja was i kraj wyzwolę!

Kończyło się zawsze na tym *delenda Carthago* ... Zamojskiego się pozbyć. Na to on się ofiarował.

Tymczasem Włodkowa, która już o wszystkim wiedziała, bo jej tu co dzień coś ktoś

przywoził, liczyła jak z rejestru tych, co się pierwszego dnia w turnieju potykać mieli, i te wszystkie, jak je zwano wówczas „kunszty”, którymi się popisywać mieli przyjaciele kanclerza, począwszy od Miko' łaja Zebrzydowskiego, Stanisława Mińskiego, Joachima Ocieskiego.

Wszystko już ona spenetrowała, nawet jak *Cupido* miał być ubrany i kto „Czas” miał reprezentować.

Śmiano się z tego, że po uroczystościach "weselnych Zamojski nie miał dokąd przenosić uczynić, tylko do pożyczanej sali na zamku, bo dworu własnego w Krakowie nie posiadał.

Tak przy bardzo dobrej myśli zwlokło się do wieczora, zwłaszcza gdy ten i ów z sąsiadów

przybył jeszcze, a każdy coś łakomej nowin gosposi przywoził, która najbardziej o to się frasowała, aby w rynku mogła mieć okno, naprzeciwko Spieglerowej kamienicy, aby wszystko widziała i nic jej oka nie uszło.

Marszałek jej przyrzekał się starać o to, lecz niełatwe było zadanie, bo mieszczan

wszystkich okna, drzwi i bramy zawczasu były pozamawiane. Rachowała tylko na to Włodkowa, że komu się uśmiechnie, gotów gwałt popełnić, a miejsce uczynić dla niej.

Późno w nocy wrócili ichmość z Piekar na Franciszkańską ulicę, ale kasztelana zastali

jeszcze nad listami, które ekspediował. Ten im oznajmił, że kanclerza po wtóre u ks.

Myszkowskiego widział i znalazł go dla siebie bardzo dobrze usposobionym. Z królem mówić w interesie rodziny jeszcze raz przyrzekł i swoje *bona officia* ofiarował.

Andrzej i Krzysztof spoglądali po sobie, ostatni jednak uśmiechał się niedowierzająco i nie chcąc drażnić, nie oponował, ale był pewnym, że dla niego i pana Samuela król łaskawym być nie zechce.

— Ja zaś trzymam — odparł pan gnieźnieński — że kwoli tej uroczystości, której pragnął,

łagodzić zechce i jednać wszystkich, z czego i my skorzystamy.

TOM DRUGI

I

Na łąkach nadwiślanych ranną godziną dnia wiosennego tego roku widać było

kilkudziesięciu jezdnych, rozsypanych, a raczej rozstawionych po różnych miejscach, jak by się łowy jakieś przygotowywały.

Łacno było poznać w nich możnych panów i z postawy, a twarzy, i po rynsztunku

wytwornym, który pomimo piękności swej nie bił w oczy. Konie też, na których panowie i słudzy siedzieli, odznaczały się równie maścią jak budową, a psy, które się przy myśliwych kręciły, sokoły i białozory które trzymali na rękach, także pięknnością i doborem, a starannym utrzymaniem uderzały. Toteż ludek przechodzący opodal stawał ciekawy i długo się przypatrywał temu

orszakowi, w którym łatwo się najdostojniejszego z panów, bo króla J. Mci domyślał.

On też to był w istocie, który z nowymi ptaki, świeżo unoszonymi i nadesłanymi próbował, azali się nie uda nacieszyć ich igrzyski.

Dzień był jak rzadko u nas się trafia na wiosnę, bo gdy zima chybi, a to się zdarza często, wiosna też kwasi się długo, nim zwycięży — tym zaś razem przysłała jakaś wesoła i piękna, tak że choć po kilka dni cieszyć się sobą dawała.

Słoneczko weszło jasne i grzało, już nawet przypiekając, rośliny się po deszczach, które przeszły, pod ożywym ciepłem tym rozwijały z pośpiechem zdumiewającym. Co wczoraj jeszcze stało w pączkach, dziś młode, zielone, jaskrawe listki wystawiało ku słońcu, żółte łotocie pootwierały się gromadnie i jak złote opony na łąkach leżały.

Wierzby już się całe poubierały w nowe sukienki, niektóre brzoźki na pół pączki zrzuciły, trawy zieleniały barwą świeżości, wiosny i nadziei; w powietrzu tysiące zbudzonych stworzeń wiło się i latało, jak upojonych powietrzem wonnym i czarem tej pory, zwiastunki żywota. Gdzieś zza łoż daleko odzywała się fujarka pastuszka i bydełko ryczało, podnosząc głowy a smakując młodą paszę.

Całość tego obrazu, z niebem, po którym przepływały białe bawełniane chmurki, z

wezbranymi jeszcze wodami rzeki, w których się blask dnia odbijał, była jakby harmonijną pieśnią na cześć tego, co jest wiekuistym życiem.

Nawet smutnym i biednym ludziom, dla których wiosna nie przynosiła nic oprócz

wspomnień głodnej zimy, weselej było na świecie szczęściem cudzym. Człowiek, gdy się czasem zapomni, samolubem być przestaje.

Na ślicznym koniu wschodnim, którego grzywa spływała jedwabną falą po karku, żującym

niecierpliwie misterne wędzidło, stał mężczyzna lat średnich i z dala stąd patrzył oczyma dziwnie smętnymi na zamek krakowski.

Wśród tutejszej ludności uderzała jego wschodnia jakaś, cudzoziemska fizjognomia,

oliwkowa nieco cera, włos czarny, oczy ciemne, ogniste i wyraz twarzy poważny, rycerski, zadumany. Nie był właściwie pięknym; wiek mu już zdjął z lica urok młodości, a piętna życia i pracy położył na niej, ale z rysów tych mówiła dusza, pełna jeszcze nie zużytej siły, choć może dla szczęścia rozczarowana.

Stworzony do rozkazywania, żołnierz, zdawał się w tej chwili dumać, co mu rycerstwo jego, trud i walki przynieść miały, bo szczęścia się nie spodziewał. W tym wejrzeniu nie było

plączliwych wyrzutów losom, ale pytanie przeznaczenia — ku czemu ono wiodło, jaki cel miało?

Ubrany w ciemną suknię, obszywaną sznurami, na pętlice spiętą, przepasany pasem

skórzanym, nabijanym srebrem, stał tak, jedną ręką w bok się ujawszy, a obok niego, także na koniu stojący, młodszy, jeszcze ciemniejszej płci mężczyzna patrzył nań, szanując milczenie, nie śmiejąc go przerywać.

Tym mężczyzną był Stefan Batory, a towarzyszem Węgier Cobar, którego z sobą do usług

swoich przywiózł, szlachcic siedmiogrodzki, wielki pana swojego wielbiciel a gorliwy sługa, dzielny *żołnierz* i dowódzca. Z Węgrami swoimi, gdy czasem tęskno mu na duszy było, król ten, który dostojność swą umiał nosić wysoko, do dawnej wracał poufałości. Serce mu się otwierało.

I tego dnia był w usposobieniu posępnym, może właśnie dla wesołości wiosennej, która go otaczała. Są tajemnicze ruchy ludzkiego ducha, niekiedy wesele rozbudza smutek i przeciwnie.

Rozpacz straszliwie być może wesołą.

Dokoła widać było z sokoły, białożorami, małymi kobuzami, krzeczotami, znaczną część

dworu łowieckiego króla, i niektóre z jego legawych ulubionych i chartów. Stali na koniach porządek utrzymujący sokolnicy starsi, dwu Niemców, Polak — Łukasz Biedrzycki, z dala

poważny pan łowczy — Jan Krzyżtoporski i wielu innych.

Łowy rozpoczęte bardzo rano niezbyt się powodziły, ale król przed chwilą śmiał się z tego i wcale mu to nie zachmurzyło czoła, dopiero teraz, gdy na zamek spojrział, smutek jakiś powlókł mu rysy.

Cobar odgadywał myśli jego, ale pytać nie śmiał. I wszyscy stali tak, oczekując rozkazów, gdy król, jakby rozbudzony obrócił się i skinął na Krzyżtoporskiego, w kilku słowach dając mu swobodę pokierowania łowami po swej myśli. Sam on chciał też jechać z Cobarem albo za nimi, gdyby się im powiodło natrafić na ptactwo jakie, lub użyć jeszcze świeżego powietrza.

I zwrócił się do Cobara z uśmiechem pańskim.

— Widzisz, chłopcze — rzekł do niego królewskim tonem — nie wiedzieć skąd i dlaczego

przypomniały mi się kraje nasze, życie przeszłe i zrobiło mi się smutno. Nigdy nie byłem szczęśliwym... pono nim nigdy nie będę, żal zmarnowanego życia, ale tak chciało przeznaczenie, dola moja...

— A, miłościwy panie! — z zapałem ozwał się sługa — czyż może być większe szczęście,

jak być wybranym od narodu i od pierwszego kroku laury zbierać zwycięskie. Wszyscy się zdumiewają wyprawom waszym, bo takich nie pamiętają od Witoldowych czasów.

— Prawda — rzekł król gorzko — czuję też ich wdzięczność! Cobar, tyś nigdy pewno nie

postał na sejmie i nie był zmuszonym, jak ja, mizernemu szlachetce, natrzęsającemu ci się w oczy, wymawiającemu ci swoich kilka groszy poboru, odpowiadać dłonią na szabli, a łzami na oczach i zagryzionymi do krwi wargami. Oni wdzięczni! Połowa ich w łyżce wody by mnie utopiła. Im potrzeba króla, co by jak Zygmunt August płakał i szukał pociechy w rozpuście. Ich wdzięczność!

Znam ją! Posłuchaj tylko, alboś i słyssał może: gotują mi truciznę za mój trud i poświęcenie dla nich! Co ja tu zyskałem na tej koronie? Tytuł królewski? Nic więcej! Każdy grosz mi wymawiają, gdy ja swojego dla nich dokładam.

A! gdyby nie Jan — dodał król — uczyniłbym może jak Henryk i uciekł od nich do

Siedmiogrodu. Westchnął.

— Za późno! Związali mnie tu i ślubem, i przysięgą, i tym wreszcie, że im pokazać chcę,

jak nimi rządzić potrzeba. Kiedyś może wspomną i pożałują. Żelaznej ręki dla nich, do ugięcia tych karków krnąbrnych...

Oczy mu zaświeciły dziko.

— Stanie-li życia na wszystko? — dodał. — Wiele, wiele do zrobienia!

Rzucił król okiem dokoła i znowu powlokło mu się oblicze chmurą.

— Miłościwy panie — odezwał się Cobar — jeżeli są niewdzięczni, gdzież ich nie ma?

Taka już natura ludzka, że człowiekowi dobrodziejstwo ciąży, bo go upokarza, ale są też i wierni, i przywiązani do króla.

— Niewielu — odparł Stefan. — Naród to zresztą serdeczny, rad kochający, ale mimo

męstwa swego płochy i dziecinny. Wytrwałości nie ma w niczym, zabawę przenosi nad pracę, życia nie waży wiele i trzeba mu dobrej nieszczęścia szkoły, aby się na mężów statecznych wyrobił.

Życie w chwili zapału dać, majątność poświęcić, zdrowie ważyć, to u nich niczym; ale gdy długo a cierpliwie choćby pierze skubać przyszło, żaden nie wytrwa. Krew w nich kipi, fantazja

nieokiełznana, a rozum tylko dla drugich mają. No — dodał król z uśmiechem — na wymowie im też nie zbywa, lecz gdy się na słowa wyczerpią, do czynu ochoty i siły nie mają.

Spochmurniał król znowu.

— A kraj taki rozległy pustyniami na pół leży — mówił dalej. — Tatarom się podarkami

okupywać trzeba, gdy ich dawno odeprzeć z Dzikich Pól należało. Teraz na granicy kozactwo się mnoży, będą z tego drugie Ta tary albo i gorzej, bo ich Moskwa łatwo sobie pozyszcze. Do czynienia jest dość! Ale czym, ale kim? Jeden Zamojski za wszystkich nie starczy, a drugiego takiego jak on nie znaleźć.

— A! miłościwy panie — wesoło rzekł Cobar, usiłując pana rozchmurzyć — tak się to pod

czas czarno wydaje wszystko, ale co roku jednak lepiej tu i ładu więcej. Oni sami to przyznają, a ci, co niechętnymi byli, nawracają się...

— Kto? Gdzie? Nie nawróciłem ani jednego — przerwał król. — Spójrzyjże na tych

Zborowskich. To najzjadlejsze wrogi moje, a od nich wszystkiego się spodziewać można,

począwszy od postrzału na łowach aż do trucizny na półmisku. Próżno temu zbójowi, Samuelowi, banicję jego, płazem puszczam, próżno zdrajcy podczaszem bezkarnie dają z cesarzem się

zmawiać, a trzeciego na marszałkostwie przy sobie cierpię, nie potrafiłem ich przejednać.

— Słyszałem jednak, że pan hetman ich uchodził — rzekł Cobar — i spodziewa się, gdy W.

Kr. Mość posmarujesz ich, że i ci się ukorzą.

Król się odwrócił żywo.

— Kto? Zborowscy? — zawołał. — Ty ludzi nie znasz! Samuel głowy nie ma, a Krzysztof

— tylko głowę bez serca i sumienia. O Andrzeju nie wiedzieć co twierdzić, bo w maszkarze całe życie chodzi. Jeden Jan z nich coś wart, bo go rycerska służba szlachetniejszym uczyniła. Gdyby się nawet chcieli zbliżyć do mnie, ja do nich nie chcę. Samuel banitą jest, dopuścić go do siebie nie mogę, a podczaszym się brzydzę, bo na wskroś w nim zdrada i ciecze z niego na wsze strony...

Tego nic nie poprawi, zdradzi mnie dla cesarza, zdradzi cesarza dla moskiewskiego cara, a tego dla Wołoszyna i Turka, aby dostał zapłatę, a pochwyci ją, to zmarnuje. Znać łotra nie chcę...

— Zda mi się, że pan hetman za nim wstawiać się będzie — szepnął Cobar.

— Choćby on i Gryzelda nawet prosiła — dodał król — z nim do czynienia mieć nie chcę.

Zowie się i pisze „Radą cesarską”, niech na radę do cesarza jedzie i lepiej tu nie powraca.

Mówiąc to król jechał powoli, konia na cuglach wstrzymując, a oczyma biegając po okolicy.

Ptactwa małego krążyło w powietrzu mnóstwo, ale takiego, na które by sokoły puścić było warto, nigdzie nawet bystre oko Biedrzyckiego dostrzec nie umiało. Sokoły i białożory, kapturkami

przyodziane, dzwonkami czasem potrząsając, siedziały smętne na rękawicach pacholków, którzy je wieźli.

Psy legawe wietrzyły po ziemi jakoś obojętnie, jak by się nie spodziały nic znaleźć. Charty ziewały, służba nawet znużoną się wydawała.

Wtem, opodal nieco na niebie jasnym, z rozpostartymi szeroko skrzydłami, jakby na

miejscu w powietrzu stojący nieruchomo ukazał się ptak duży, w którym jastrzębia starego łącno rozpoznać było można.

Z sokoły na sokoły, jastrzębie, kobuzy, kanie i inne drapieżne ptactwo rzadko kto polował, bo to łowy były, co mogły siłą kosztować. Noszone ptaki łowcze drogie były, a w tej walce z dzikimi często kaleczały albo nawet i w śmierć być mogły ubite. Rzadko więc bardzo i mało kto dla bardzo ciekawej i zajmującej walki chciał drogie swe ptaki *wazyć*. Nawet na czaple polując, często one, przeszyte ich ostrym dzióbem, na który się same w zapale wojowniczym rzucały, przepadały, a w walce z jastrzębiami i orły niekiedy też rycerz przyswojony nie dotrzymał swobodnemu i dzikiemu.

Król, którego ptaki ulubione mu były, a niemało kosztowały, rad oszczędzał je i nigdy

prawie na drapieżników nie puszczał. Co mu się tego dnia stało, iż ujrzawszy jastrzębia, jakby urągającego mu się, stojącego w powietrzu, gdy myśliwi coraz się ku niemu zbliżali, on to jeden wiedział. Skinął na Biedrzyckiego, który pędem nadbiegł do króla.

Stefan milcząc wskazał mu palcem jastrzębia, ale pan Łukasz oczom nie wierzył i rzekł po łacinie:

— *Accipiter.*

Król z prawie całym dworem swym po łacinie rozmawiać musiał.

— Widzę — rzekł w tym języku — i myślę, że nasz duży kosacz dałby mu radę.

— Zaprawdę! — zawołał Biedrzycki. — Ale za to ręczyć nie można, aby się i z niego pierze nie posypało, bo dziki bronić się nie omieszka.

— A myślicie, iż kosacz się na niego rzuci? — zapytał Stefan, zatrzymując konia.

— Byle go zoczył — odparł pan Łukasz — lecz szkoda ptaka.

Król pomyślał. Jakaś fantazja pańska przebiegła po głowie jego, dał znak, aby kosaczowi

kapturek zdjęto. Podbiegł na skinienie Szmalder, Niemiec niedawno sprowadzony, który się rad był popisać przed królem.

Domyślali się wszyscy, że ciekawy pojedynek odbyć się ma między dwoma zapaśnikami.

Ogromny jastrząb, ciągle jeszcze nie myśląc uchodzić, to powolnym ruchem skrzydeł podnosił się nieco ku górze, to majestatycznie spływał od niechcenia ku ziemi. Ludzie i konie wcale się go obchodzić nie zdawały. Bystrymi oczyma wypatrywał skrytych gdzieś na roli ofiar swych, na które miał się rzucić jak piorun z obłoków.

Tymczasem gotowano się na niego kosacza wypuścić. Sokół to był już doświadczony i

jeden z najprzedniejszych, nie raz ranny i wyleczony, silny a śmiały. Na niego rachować było można, iż się nie ulęknie, z placu nie ujdzie, ani się da pożyć.

Wszystkich oczy zwróciły się ku Szmalderowi, który z kosaczem na rękawicy, jeszcze mu

nie zdejmując kapturka kłusował, zbliżając się ku miejscu, gdzie jastrząb nad łąką się kołysał. '

Dopiero gdy dobre miejsce obrał Niemiec i ustawił się tak, aby sokół mógł natychmiast

ujrzeć nieprzyjaciela, odsłonił mu skórzany kapturek. Kosacz strzepnął głową dumną i skrzydłami, czując, że go wyzywają, podniósł krwawe oczy i gdy Szmalder nogi mu z pęt rozwiązywał, już się do lotu zrywać zaczął. Przeciwnik jego wciąż jeszcze stanowiska nie opuszczał.

Wtem stary kosacz, rozstawiwszy skrzydła szeroko, szybkim od razu lotem na prost się

puścił na nieprzyjaciela, który go jeszcze widzieć się nie zdawał.

Sokół był niedaleko od niego, gdy widząc, że nań zmierza, jastrząb zwinął się i nieco ku górze wzbiwszy, zdawał chcieć rozeznąć, czy wyzywający wart był przyjąć zaczepkę.

Tymczasem wprawny i doświadczony kosacz, zbliżywszy się ku jastrzębiowi, toczyć zaczął

dokoła, wybierając stronę, od której się ma rzucić na niego.

Tu już wyraźniej zaznaczyło się obu ich w przyszłej walce stanowisko. Dziki jastrząb nie wyzywał do niej, ale i uchodzić nie myślał, kosacz zaś z zajądłością znużonego długim

spoczynkiem zapaśnika coraz szybciej' otaczał go, kołując i jak by zabawiając się obrotami, do których go zmuszał.

Krótki ten przeciąg czasu starczył, aby w obu krew zagrała, pierze się najeżyło i ochota do boju urosła. Jastrząb snadź nie spodział się, aby kto nań mógł ważyć, ale walkę, do której był

wyzwany, przyjmował.

Kosacz zdawał zabawiać niespodzianką, jaką mu sprawił, i coraz ciaśniejszym kręgiem

opasując go, ociągał się z rzuceniem na nieprzyjaciela.

Widzowie patrzyli z zajęciem wielkim, król się uśmiechał nawet, a sokolnicy drżeli, tak ich przyszłe

starcie to gorąco obchodziło. Wszyscy w nim byli, z sokolnictwem całym, interesowani. O

cześć i sławę chodziło.

Kosacz na koniec, gdy się nieprzyjaciel najmniej spodziewał może, na kark mu się rzucił i szpony w pierzu jego zatopił. Ale trwało to zaledwie krótką chwilę, dziki mu się wysliznął i dziób z dzióbem stanęli, skrzydły ogromnie robiąc, naprzeciw siebie.

Pióra się już sypały... Po kilkakroć dziki jastrząb wymknął się spod dzioba i sam spróbował

paść na kosacza; zawsze go stary sokół skarcił, zręcznie mu się wyslizgując i korzystając z obrotu, aby go ranić.

Widocznym było, że mimo męstwa mniejszego wzrostem dzikiego ptaka, ulegnąć on musi,

acz kosaczowi niełatwo przychodziło zwycięstwo.

Zmusił go spuścić się ku ziemi, ale dziki natychmiast porwał się znowu do góry i ponowiło się to kilkakroć. Jastrząb, już znużony, zdawał się chcieć ponad łąką uchodzić ku rzece, gdy sokół

jeszcze raz całą siłą na niego uderzył i oba razem znikli w trawach, ponad którymi tylko ich skrzydła szamocące się widać było, a wkrótce potem podniosła się głowa i zakrwawiony dziób kosacza, który darł pierze z żywego jeszcze, ale już bezsilnego przeciwnika. Chciał dobiec na miejsce Szmaldy, aby zapobiec niepotrzebnemu męczeniu się drogiego sokoła, ale koń jego *ugrzązł* w moczarach i *on* sam, wyskoczywszy z siodła, pieszo się, berło unosząc nad głową, musiał

puścić dla odzyskania zwycięzcy.

W ciągu tej walki, oczy wszystkich tak były wlepione stale w bojujących z sobą wrogów, iż nikt na chwilę oderwać ich nie *mógł* od nich. Sokolnicy uśmiechali się z radości, król na siodle oparty cieszył się widocznie tryumfem swojego wychowanka. Cobar też, więcej może dla pana niż dla siebie, zabawiał się tym, iż panu rozrywkę sprawić się udało.

Z kosaczem na rękę, któremu zaraz kawał krwawego mięsa poddał, jego opiekun niemile

grzęznąć w błocie powracał do swoich. Król skinął, aby mu kosacza przyniósł, który po opatrzeniu okazał się też rannym i pierza dosyć utracił, ale butno wyglądał i czerwonymi oczyma wodził

dokoła, jak by nowego wroga szukał.

Gdy się to działo na łące, nie postrzegł ani król, ani ci co z nim byli, iż kanclerz się konno zbliżył ku miejscu temu i gdy Stefan sokołem się zabawiał, stanął za nim czekając, aż swych łowczych odprawi. Król teraz dopiero postrzegł Zamojskiego i jak zawsze mu rad był, tak i teraz twarz rozjaśnioną zwrócił ku niemu. Szczęśliwy wypadek walki przyczynił się też może do

rozjaśnienia czoła i rozproszenia czarnych myśli.

W gromadzie łowców towarzyszących królowi naturalnie gorące się zawiązały rozmowy o pojedynku, którego byli świadkami. Podziwiano zręczność kosacza, ale i ubity jastrząb, którego czeladź oglądała, wskazując jak strasznie był zamordowany, męstwem swym na pośmiertne zasłużył pochwały. Tak szczęśliwe łowy dnia tego pamiętnymi stać się miały długo, rzadko widywanym onym pojedynkiem dwóch drapieżnych.

Król dał znak Krzyżtoporskiemu, iż go wraz z jego komendą odpuszcza, sam zaś z Zamojskim i Cobarem, który nieco w tyle z dwoma przybocznymi Węgrymi pozostał, brzegiem rzeki stępią począł się zwracać ku Krakowu.

Zamojski miał twarz nowożeńca szczęśliwego, a choć nie pierwociny mu były ślubować, bo dwie już żony wprzód był utracił, szczęście jego terazniejsze równać się dawnemu nie mogło.

Podnosiło go ono aż do tronu, a to powodzenie w życiu, które winien był wielkim swym przymiotom, ale i szczęściu zarazem wielkiemu, budziło w jego duszy jakieś wdzięczne uczucie i pragnienie, aby świat cały z nim razem również był szczęśliwy. Nigdy też może poważnego kanclerza nie widywał Stefan tak wesołym i usposobionym łagodnie.

Wszczęła się rozmowa o łowach naprzód, ale wnet bieżące sprawy, których siła każdego dnia nadchodziło, zmusiły kanclerza o czym innym zagaić.

Łudzono się jeszcze tym, że się uda Possewinowi dla Rzymu pozyskać cara moskiewskiego, chociaż Zamojski najmniej temu ufał.

Zakon tymczasem jezuicki zyskiwał na znaczeniu i zaufaniu u króla, któremu dysydenci za złe mieli, że go zdawał się szczególną otaczać opieką. Stefan w nim widział, oprócz wojowników, którzy starali się zachwianą jedność Kościoła przywrócić, czynnych propagatorów światła i dla szkół ich wszędzie, gdzie mógł, osadzał, bo szkół i oświaty brakło, a nikt naówczas przewidzieć nie mógł, jaki ona w rękach zakonu kierunek przybierze.

Z mnogich Batorego czynów widzimy dowodnie, że fanatyzmowi nie hołdował, że dla protestantów był wyrozumiałym i nigdy ich prześladowaniem nie nękał, ale interesa katolickiego Kościoła, na którego łonie Polska urosła, i Zamojskiemu, i królowi najdroższymi być musiały.

Jedność też wiary w państwie, jako dźwignia zgody i spójności, nie mogła być im obojętną.

Właśnie o zgodzie i pojednaniu ze wszystkimi zagaił jadąc Zamojski, i naturalnie o

Zborowskich królowi wspomniał.

Zmarszczył się Batory, bo naleganie to dokuczliwym mu było.

— Rad bym w tym dniu wesela — rzekł Zamojski — i moich, i miłości waszej nieprzyjaciół rozbroić i przejednać. Zdaje mi się, że Zborowscy są skłonni do nawrócenia się i poprawy.

— A wy, Janie mój — przerwał król — wierzycie w poprawę tych, co do siwego włosa zdradą żyć nawykli? Ja w poprawę takich ludzi nie wierzę. Przyczaić się oni mogą, przemienić — nigdy; a my dla kilku Zborowskich niechętnych nie zginiemy.

— Tak, N. Panie — odparł kanclerz — lecz za nimi kilku wlecze się ogon niezliczonych warcholów, którzy na nich patrzą i za nimi idą. Jana gnieźnieńskiego mamy z sobą i nigdy nie było powodu ani wątpić o nim, ani go podejrzawać. Andrzeja, o ile znam, dobrodziejstw i jurgieltem kupić można... a mnie się uda, że zubożały a zniechęcony do cesarza Krzysztof, także by się dał ująć.

— Krzysztofa ani tykać nie chcę! — zawołał król. — Mówicie, że zubożały jest... A cóż zrobił z okupem?

— Z jakim? — zapytał kanclerz.

— Znacie przecież tę historię, którą tu mnie opowiadano, bo głośną jest. Wszak ci się starał

Krzysztof o siostrę hospodara wołoskiego, który mu jej dać nie chciał, a potem, niszcząc się na gospodarze, pochwycił go zdradą w niewolę i poty, więzionego na zamku Zborowscy go trzymali, aż znaczny bardzo okup z niego wzięli, równający się posagowi odmówionej gospodarówniej.

Rozśmiał się król.

— A! stare to są dzieje! — rzekł Zamojski. — U Zborowskich pieniądze topnieją prędko. Od

tej pory już mieli czas i wołoską sumę strawić, i od cesarza wymóc, co tylko mogli..., i od moskiewskiego dostać zadatek, a z tego wszystkiego nie pozostało śladu. Jeszcze się coś trzyma przy Andrzeju, jeszcze po matce dzieci Samuela dobra mają, choć zadłużone, a Krzysztof pono nie ma nic, tylko to, co u kogo wyłudzi. Cesarz mu pewno, jurgiel płaci, nie darmo się jego radą nazywa, ale to nie starczy. Chciwy jest i rozrzutny.

— Sameś rzekł — odparł żywo Batory. — Z takiego człowieka pożytek wątpliwy, a woru

dziurawego nie napchać. Więc gdybyśmy z nim nawet zgodę mogli pozyskać, nie warta ona tego, co będzie kosztowała. Zdradzi nas temu, kto da więcej.

— Oko na niego mieć będziemy, a bracia nam pomogą — dodał Zamojski. — Czasu wojny

i Samuel by się nam przydał, żołnierz mężny, choć warchoł nieunoszony, ale i takich czasem potrzeba...

Król mocno głową rzucał słuchając.

— Daj ty mi pokój ze Zborowskimi — rzekł. — Samuela ja znam, bo u mnie gościem był i służył mi czas jakiś, ale od tej pory rozparał się, słyszę, więcej jeszcze...

— Do Andrzeja, choć i jemu, i całej tej krwi nie wierzę, chętniej się zbliżę, dam mu coś; z innymi nie nalegaj!

Kanclerz na chwilę milczał.

— Uczynicie, miłość wasza, wedle życzenia i woli, ale ja nie przestanę wstawiać się za

nimi, abym sobie do wyrzucenia nie miał, iż zaniedbałem środek jaki ku przejednaniu. Nam zgody potrzeba... Nieprzyjacioły otoczeni, dobrze, abyśmy ich choć we wnętrznościach naszych nie żywili.

Westchnął Batory i jechali, coraz się zbliżając, ku miastu powoli. Niespieszno było snadź

królowi na zamek, gdyż stosunki z Anną Jagiellonką zmuszały go do ciągłego kłamstwa, którym się brzydził. Miłości zmyślać, a nawet poufałości większej się wzdragał. Przykład zaś poszanowania i zgody dać czuł się obowiązany, tym bardziej że już złe języki szukały jakichś pozorów do potwarzy i palcem wytykały osoby.

Anna też Jagiellonka, niemal oziębłością męża obrażona, wcale się o pozyskanie serca jego nie starała. Od pierwszej chwili jawnym było, iż to małżeństwo, dla korony związane, pozornym tylko związkiem pozostać miało. Królowę opatrzone osobno, płacono jej oprócz tego pensję, miała dobra znaczne, dwór oddzielny, ludzi swych i przyjaciół, a król tak rzadko z nią razem mieszkiwał, iż się nawet nieczęsto widywali. Na zamku gdy gościł, stół nawet miał osobny. Po polsku z Batorym rozmówić się nie mogła, łacinę, choć rozumiała, tak biegłą jak matka jej, Bona, w niej nie była. Mówili więc z sobą najczęściej po włosku.

Na dworze też języków różnych można się było nasłuchać. Król po węgiersku ze swymi

Węgrami, po łacinie z Polakami, po włosku z żoną rozmawiał, a niekiedy i po niemiecku z

przybyłymi mówić musiał. Francuszczyzna przebijała się tu i owdzie, wśród służby i język ruski dawał się słyszeć, szczególnie gdy król był na Litwie.

Polskiego języka trzeba było szukać po dworach pańskich, jak u pana Zamojskiego, który

Kochanowskiego miał przyjacielem, a książki polskie rad czytywał. Uprawiało go też

duchowieństwo na kazalnicach i w wydawanych zbiorach kazań, a po dworach szlacheckich krążyły małe książeczki, które łazarze w świat puszczały, ku uciechu pospolitego człowieka.

Król sam, choć drukarzom przywileje dawał, wyszlachcał ich, kunsztmistrzów wspomagał i sprowadzał nawet, ani lite_raturą, ani sztuką zabawiać się wielce nie miał czasu. Jego rzeczą była wojna i jej rynsztunek, a szczególnie organizacja sił nowych, które niezależnymi od fantazji szlachty chciał uczynić.

I to właśnie oburzało ją przeciwko niemu, a najgroźniejszym się jej wydawało.

Chłop z królewszczyzn z rusznicą i szablicą — zagrażać się już zdawał porządkowi społecznemu, a szlachtą też o przywilej obrony kraju i przelewania krwi dla niego była zazdrosną.

Czulą ona, że gdy to prawo wyłączone utraci, razem z nim i prawo bytu jej a odrębności zostanie wątpliwym. A że król oprócz tego mieszczan i kunsztmistrzów gromadnie uszlachcał, napływ ten nowych żywiołów strach i gniew obudzał.

Zamojski i król wiedzieli, co czynili, a nie mogło być nic dotkliwszym dla starych

Jastrzębczyków Zborowskich, gdy im do ich herbu wkupił się kędyś mieszczanin, jak wówczas powiadano, za kilka beczek piwa albo mały datek.

Król, jakby na przekorę, wielu uszlachconym własnego herbu dawał to zęby, to skrzydło.

Zamojski też swych trzech włóczni nie szczędził, to dwie, to jedną, to hełm swój dając nobilitowanym.

Zanosilo się na zupełny przewrót dotychczasowego stanu rzeczy i nie jedni Zborowscy obawiali się go, ale cała szlachta w nowym wojsku i nowo uszlachconych nieprzyjaciół widziała.

Obojętniejszą wiodąc rozmowę kanclerz na zamek razem z królem powracał, gdzie już łowcy i sokolnicy, z koni zsiadając, na miejsca swe psy, konie i ptaki odprowadzali.

Na progu komnat uparty Zamojski jeszcze Zborowskich przypomniął.

— Marszałek niech przyjdzie, przyjmę go — odparł Batory — o innych mi nie mówcie, znać ich nie chcę.

Z tym król do swych izb się zawrócił, ale kanclerz nie utracił nadziei i po cichu sobie obiecywał, że dla Krzysztofa posłuchanie wyjedna.

II

Oznajmić kazał kanclerz marszałkowi, że król J.Mć. na zamku przyjmie go w rannej godzinie, lecz razem dał mu znać, że rad by z nim wprzód mówić i że tego była potrzeba.

Pomimo mnogich zajęć Zamojski umiał o wszystkim pamiętać, a istotnie uczucie szczęścia, jakim był przejęty, podwajało siły jego, tak że i sprawom bieżącym, i przygotowaniom weselnym mógł podołać.

Gdy wiadomość ta nadeszła na Franciszkańską ulicę, na Janie uczyniła wrażenie dobre, rad był jej, ale sobie zbyt wiele nie obiecywał.

W Krzychniku i marszałku powołanie pierwszego zrodziło przesadzone nadzieje.

Tłumaczyli to sobie jako znak, że się ich obawiano i rozbroić usiłowano. Andrzej namyślał się już, jak wysoko ma się ocenić.

Krzychnik, o którym tymczasowo mowy nie było, wnosił tylko z tego, że naprzód chciano łatwiejszego z bratem dokonać, a z pomocą jego do p. podczaszego „Rady cesarskiej” przystąpić.

—Głupim byś był — rzekł porywczo — gdybyś stanąwszy przed królem sprzedał nas za miskę soczewicy. Oczywista rzecz, że król i Zamojski są zmuszeni raz nas zagodzić, bo się równie jak nas i Samuela obawiają; zdamy się im, na szyderstwo zasłużymy...

Pan Andrzej nie mówił nic, ale myślał tak samo. Chciał wyciągnąć jak najwięcej.

Kasztelan gnieźnieński, lepiej znający położenie, mówił zimno:

— Nie żądajcie nadto, bo nie dostaniecie nic. Pocznijcie od małego, zasłużycie się potem, zyszczycie więcej. Trzeba naprzód za grzechy nasze odpokutować.

Szydził z tego Krzychnik.

— Gdybyśmy was słuchali — rzekł — niedaleko byśmy zaszli. Zostawcie to nam.

O naznaczonej godzinie marszałek na zamek jechał. Przyjął go kanclerz, w którego przedpokoju i kupców, i roztrucharzy, i cudzoziemców, i petentów różnych co niemiara czekało.

Czas tu był drogi.

Zobaczywszy marszałka podszedł ku niemu Zamojski, uprzejmie go witając.

— Wyrobiłem wam posłuchanie u króla J.Mci — rzekł — lecz chcę przestrzec, że mi to nie

przyszło łatwo i że król długo urazy pamięta. Na początek nie wymagajcie wiele, życzę i radzę.

Pan Andrzej stał wielce napuszony.

— Wedle mej miary — rzekł — ja wcale wymagającym nie będę, alem na łaskę długo czekał, długo jej bez przyczyny był pozbawiony, czyżbym o zaległości się nie miał upomnieć?

Zamojski zdumioną twarz okazał. P. Andrzej mówił dalej:

— Gdyby nawet który ze Zborowskich zgrzeszył przeciw królowi J. Mości, przecie nie ja, a rodzina cała za jednego ze swych członków odpowiadać nie może. Gdzieżby była sprawiedliwość!

— Panie marszałku — przerwał Zamojski — uderzcie się w piersi, czy wy też sobie nic do wyrzucenia nie macie?

Poruszył ramionami Zborowski.

— Przeciwno królowi nie czyniłem nic — rzekł.

Zamojski, do którego się już wszystkimi drzwiami dobijano, dodał zimniej też samą przestrozę i gościa grzecznie odprowadził aż do antykamery.

W pokojach, które król zajmował, także było dosyć ludno, ale tu tryb powszedni się nie zmieniał. Nie było najmniejszej okazałości, Węgrowie i Polacy poubierani skromnie, bo i pan się nie stroił, żadnej wytworności w komnatach. W znacznej części stał tu jeszcze sprzęt z czasów Zygmunta Starego i Augusta, nowego nic nie przybyło. Na ścianach malowania i opony daleko jeszcze były starsze, bo sięgały niektóre czasów Kazimierza Jagiellończyka.

Stefan Batory nie przywiózł z sobą — tylko to, co do obozu bierał, nie potrzebował więcej.

Majestat jego w nim był cały i nie potrzebował żadnego pożyczanego blasku. Owszem, ta prostota nadawała mu jakąś pewność siebie, której by przepych nie przyniósł.

Dwór też nie składał się z gąb nadaremnych. Liczyli się do niego i muzycy wprawdzie, i czasem kunsztmistrz jaki, Włoch, który dla kogoś konterfekt króla malował albo z kolorowego wosku lepił, zaglądali nawet magicy i astrologowie, ale darmozjadów, trefnisiów i pasożytów nie było.

Nawet przyjmując posłów obcych, na których nie zbywało nigdy, bo szczególnie ci, co przyjeżdżali od wschodu, na poselstwach zarabiając, na podarki licząc, lubili tłumnie i często przybywać pod lada pozorem, Batory się nie wysadzał na kosztowne stroje — dwór też musiał iść za nim. Czasami kontrast jaskrawo poprzyodziejanych w szkarłaty senatorów, a ciemno i

niepokąźnie ubranego króla, był bardzo rażący, ale na korzyść jego wychodził.

Gdy marszałka oznajmywano, wysuwał się właśnie od króla Franciszek, Włoch, rysownik,

który mu do Połocka towarzyszył i rysunki swe potem wydał, otrzymawszy przywilej na nie, aby się ich nikt nie ważył przerabiać.

Leżały one jeszcze na stole, a Stefan się uważnie przypatrywał im, bo w wojskowych

planach i widokach miał upodobanie i znajomość ich wielką, gdy Zborowski się pokazał na progu, i na pół dumnie, półpokornie króla pozdrowił, do ręki nie śmiejąc, do kolan nie chcąc... Wiedział, że król pochlebców nie znosił i nazbyt się uniżonym okazać nie życzył.

Batory, plany odsunawszy, powoli się zbliżył do niego;

twarz wypogodzona, spokojna, nie zdradzała jednak szczególnie łaskawego usposobienia.

— Dawnośmy nie widzieli was, panie marszałku — zagał król.

— Wiedziałem — począł p. Andrzej — że W.Kr.Mość przeciwko rodzinie naszej jest niechętnie usposobioną, nie chciałem narażać siebie ani przykrości czynić.

Król cokolwiek pomyślał.

— Nazywacie to usposobieniem niechętnym — rzekł — ale ono nie przyszło bez przyczyny... owszem był czas, gdym Zborowskim sprzyjał i miał ich za przyjaciół. Samuel siedział u mnie.

— Toż zaprawdę nie wiem, dlaczegośmy stracili miłość królewską — odparł Andrzej. — Ja się nie czuję winnym.

Batory wejrzał na niego, spotkały się ich oczy, a szczerze, otwarte spojrzenie króla sięgnęło tak głęboko w duszę Andrzeja, iż pomimo całej mocy nad sobą, jak schwycony na uczynku, zmieszał się.

— Nie sądźcie, abym się ja słowy dał oplatać i uwierzył lada zapewnieniu — rzekł król. —

Jam tu gospodarz, mówiłem wam zrazu, że malowanym nie chcę być i nie będę, a więc wiem, co się dzieje, co się mówi, zamierza, knuje i co sądźcie tajemnym.

Nie było mi skrytym, co wasz brat, podczaszy, na dworze cesarskim i w interesie cesarza

poczynał, ani to, żeście wy ostrożnie z nim trzymali, ani że Samuel głosił się moim wrogiem,

nazywając mnie niewdzięcznym.

— Jam nigdy nic nie poczynał — rzekł marszałek — do robót brata mojego nie mieszałem

się, ale dla samego powstrzymania go, nie mogłem go porzucić. Dziś zaś i mój brat dla cesarza nie czyni nic, bo tu interesów cesarskich nie ma.

— Tak, próbował też moskiewskiego księcia i jest z nim w listowaniu, to wiem — odparł

Batory.

Marszałek gorąco obstał za bratem.

— Mógł wielki książę posyłać z listy do niego, bo tego mu zabronić niepodobna, a

odpowiedzieć nie grzech — zawo-
łał — ale tam też ani brat, ani ja nie mamy do czynienia nic, boć to jawny nieprzyjaciół Rzeczypospolitej.

— Zostawcie to mnie — po chwili odezwał się król — co mam o tym trzymać. Do was ja

wielkiego żalu nie mam. Jeżeli serca do mnie nie macie, przynajmniej jawnie przeciw mnie nie stajecie. Mówił mi kanclerz, iż życzyliście mieć posłuchanie, że macie żądania. Chętnie słucham.

Marszałek głowę nieco schylił i zaraz ją podniósł, pańską przyjmując postawę. Zanosilo się na długą mowę.

— Miłościwy panie — rzekł — nasza rodzina, wam może nie znane jest, jakie stanowisko

zajmowała, ale cały świat wie, żeśmy się do *primates regni* liczyli, żeśmy pierwsze krzesła zasiadali i buławę dzierżyli, a dziś, za tego panowania, ostatni niemal jesteśmy. Krzywda się nam dzieje okrutna, bolesna.

— Któż winien? — odparł król. — Przecie kasztelan gnieźnieński, istotnie zasłużony,

uskarżać się nie może, buławę dostał, a i wyżej sięgnie, gdy da Bóg życie. Wyście z dala stali.

Podczaszy gorsze jeszcze zajął stanowisko, Samuel banitą, cóż można było dla was uczynić?

Krew i ród dobrą są rzeczą, ale dla krwi i rodu nie rozdają się urzędy, tylko dla zasług i zdolności. Ja dużo ludzi szlachcicami czynię, ale widzę ich wielu, co nimi będąc, nie zasługują, aby starą tarczę nosili. Cóż chcecie, abym dla was zrobił?

— Ja za sobą tylko mówię — wtrącił marszałek. — Rodzina nasza, zubożała znacznie na

posługach Rzeczypospolitej, ma prawo do grosza publicznego. Jać też W. Kr. Mci służę, a to, co biorę za usługi, na utrzymanie czeladzi mi nie starczy. Dlatego mi się na dworze pokazać trudno.

— O jurgielł wam idzie — przerwał niemal pogardliwie król.

P. Andrzej się skłonił.

— Zajrzyjcie do skarbu, zobaczcie rachunki; są lata, że ja z moich pieniędzy dokładani — mówił Batory. — Tego wam nie wyrzucam, czynię to chętnie, Bóg świadek, lecz wy mnie wyrzucacie to, czego ja nie biorę. O ile stanie grosza, chętnie wam naznaczę.

Chwilę pomyślał król i spytał:

— Ileż, panie marszałku? P. Andrzej z dumą rzekł:

— Cztery tysiące florenów nie starczy. Król się cofnął i rozśmiał.

— Cztery tysiące? — powtórzył, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że usługi marszałka wcale takiej dotacji nie były warte. — Cztery tysiące...

Zmieszany nieco stał Zborowski.

— Dałbym wam choć i cztery — zawołał Batory — ale wierzcie mi, że ich w skarbie nie mam, i że nie mogę tej przysługi uczynić. Zobaczcie podskarbiego, mówcie z nim, tajemnic nie ma, okaże wam, co w skrzyniach leży. Lecz nie chcę was odprawiać z niczym, marszałku, na dwa tysiące się zmogę, a od was w zamian nie wymagam nic, oprócz żebyście mnie potwarzami nie okrywali.

Zborowski tym datkiem, krakowskim targiem połowy, był mocno obrażony. Poczerwieniał, pobladł, zabełkotał coś, ale się lękał i tego postradać; skłonił się w milczeniu nie wysilając na podziękowanie.

Batory, który też więcej z niego nic wyciągnąć się nie spodziewał, a czytał mu z twarzy, że go nie zaspokoił, cofnął się ku stołowi. Nastąpiło milczenie, które oznaczało, że sprawa załatwioną została. Król jeszcze jednak słów kilka chciał dorzucić i zwrócił się do stojącego.

— Macie zapewne wpływy na najmłodszych braci — rzekł — wstrzymujcie ich od niebacząnych kroków, ja wiedzieć muszę wszystko, a nic przebaczyć nie mogę. Me o mnie chodzi, gdy przeciwko mnie spiskujecie, ale o Rzeczpospolitę, której ja wodze w ręku trzymam. Ci co na woźnicę rzucają się, wóz podają w niebezpieczeństwo.

Wtem na antykamerze zaszumiało... nadchodziło duchowieństwo. Marszałek mruczając prędko się cofnął.

Chociaż z urzędu na zamku powinien był być jak w domu, nie sprawiając od dawna

obowiązków, Zborowski niemal był obcym.

Ci, co bliżej króla stali, odsuwali się od niego, wiedząc, iż Zborowscy podejrzani byli i zachowania tu nie mieli.

Nikt więc wychodzącego nie zatrzymał, rozstępowali mu się i koso spoglądali na niego, ale z dumą i pańską postawą powoli przeciągnął w dziedziniec. Tu koń jego stał i ludzie, ale siąść nie chciał, poszedł pieszo. Całe to posłuchanie, wyrazy królewskie, które sobie powtarzał, surowość Batorego oburzały go, omylone nadzieje upokarzały. Wychodził z zamku daleko zaciętszym

wrogiem, niż przyszedł. Dwa tysiące jurgieltu zdawały mu się jakby na szyderstwo rzuconymi.

Szedł tak pieszo aż na Franciszkańską ulicę, a gdy blady i milczący ukazał się w progu

mieszkania podczaszego, który właśnie pisaniem był jakimś zajęty, podniósłszy oczy Krzysztof już wiedział, że posłuchanie u króla wypaść musiało nieszczęśliwie.

— Od króla wracasz?

— Jeżeli on wart tego nazwiska! — zawołał własne Krzychnika słowa powtarzając

marszałek. — Wracam z posłuchania najmiłościwiej mi danego, z którego nic nie przynoszę oprócz sromu na czole. Myślisz, że się jego usposobienie zmieniło, że łaskawszym jest dla nas?

Przyjął mnie, aby mi gorzkie czynić wyrzuty, dostało się i wam, dostało rodzinie. Prosiłem go o jurgielt — cóż myślisz? Żądałem cztery, dać raczył dwa, jak jałmużny!

Krzychnik się skrzywił.

— O! mnie on tak nie kupi! — zawołał.

— Ale on cię nawet targować nie myśli, a jak sędzę — i widzieć nie chce.

Podczaszy wása pokręcił.

— Tak? — rzekł — dobrze o tym wiedzieć. *Clara pacta!* ja to lubię...

Andrzej padł na siedzenie. Gniewu w sobie stłumić jeszcze nie mógł.

— Cóż myślisz! Łagodził? Przejednywał? — zawołał. — Nie, groził i przestrzegał.

Oznajmił mi, że o wszystkim wie, a nic nie przebaczy.

— Tak więc stoimy z łaski Jana i kanclerza — przerwał Krzysztof — tak stoimy, należy o

sobie myśleć, a na J. Kr. Mość nie rachować. Mali ludzie, jakimi nas chcą uczynić, często wielkim dojeść mogą. Zobaczymy, co z tego urośnie!

Oba tak wykrzyknikami podsycali w sobie gniewy, ale Krzysztof był przekonany z tego, co od brata słyszał, że Andrzej był winien wszystkiemu, nie umiał się postawić, niezręcznie odpowiadał, spłaszony nadto. Podczaszy był tej myśli, że gdyby on z królem się widział, inaczej by poprowadził i do czego innego doszedł traktując.

Wojna i spiski, choć były od dawna jego żywiołem, już mu się naprzykrzyły, wolałby był jakiś *modus vivendi* znaleźć i łatwiejsze życie. Nie miał Samuelowego zamiłowania w awanturach i wybrykach.

Zmilkzał więc w końcu, mówiąc sobie w duchu, że byle się nastęczyła zręczność, gotów stawić się sam królowi.

Gdyby i to do niczego nie doprowadziło — ha! naówczas pozostawało tylko Zamojskiego i króla starać się zgładzić. On sam czynnym być ani myślał, miał banitę w rękę, a lepszego narzędzia nie mógł *żądać*.

Jurgielt tedyznaczony marszałkowi, co miał burzę zażegnać, nienawiść tylko rozzarzył i rozdmuchał.

Przez cały ten dzień kasztelana gnieźnieńskiego w domu nie było i nie widzieli go bracia, aż wieczorem, gdy od Tarnowskich powrócił.

Wiedział już o tym, że Andrzej miał u króla posłuchanie i że dwa tysiące jurgieltu otrzymał.

Cieszył się i chciał mu powinszować, gdy marszałek usta mu zamknął tym:

— Gdyby królem nie był, byłbym mu przypomniął, iż czas był, gdy Zborowscy swoim marszałkom po dwa tysiące jurgieltu dawali.

— Ale to inne były czasy — rzekł kasztelan — i może dlatego my dziś brać musimy mało co, żeśmy niegdyś wiele i za wiele dawali!

Chciał się skarżyć Andrzej, ale mu Krzychnik nie dał mówić i przystąpił do kasztelana.

— No — rzekł — ja się od króla i na zawinięcie palca nie spodziewani nic, ale byłoby źle, gdybym ja jeden go nie widział i był wyłączonym. Staraj się, kasztelanie, przez kanclerza, abym mógł z królem mówić. O nic go prosić nie będę, ale gdy mnie nie dopuści, powiedzą ludzie:

„Patrzajcie, ten zdrajcą jest, niegodnym pańskiego oblicza”. Może przecie mówić ze mną, ja go oddechem nie zabiję.

Gnieźniński zadumał się.

— Chcesz — rzekł — pójdę do kanclerza, poproszę, wiem, że nie odmówi i króla prosić będzie, ale co z tego wyniknie?

— To moja rzecz! — przerwał Krzychnik. — Ja wiem, co czynię. On mnie już z banitą Samuelem na równi stawia... ja chcę i za sobą, i za nim mówić, bo choćby nikt się nie ważył, ja Samuela nie opuszczę.

— Pójdę z tym do kanclerza — zakończył kasztelan.

Znowu tedy na zamek musiał, bo dla rodziny służył chętnie.

Zamojski wielce znużonym był, ale na wszystko i wszystkim starczyć musiał, a z panem kasztelanem i hetmanem, a w dodatku Zborowskim, przez posły nie można było czynić.

— Ślą mnie bracia — odezwał się kasztelan, wprost przystępując do rzeczy. — Andrzeja król przyjąć raczył, gwałtem się tego domaga Krzysztof.

— Ba! — odparł Zamojski — jam już próbował... ciężko będzie króla przełamać. Wie i jest przekonany, że podczaszy nieprzyjacielem jego.

Westchnął słysząc to kasztelan.

— Krzysztof własnym jest pono przede wszystkim nieprzyjacielem! Król by go trochę łaskawości sobie pozyskał.

— Żądacie tego po mnie — podchwycił Zamojski — ani mogę, ani chcę odmawiać, ale się lękam, że nic nie uczynię.

— Chciejcie, a uczynicie.

Zamilczał kanclerz. Po krótkiej rozmowie, po otrzymanym przyrzeczeniu uroczystym, odjechał kasztelan.

Można sobie wyobrazić, co się działo na Franciszkańskiej ulicy przy tym temperamencie, który całą rodzinę znamionował, gorączce i niecierpliwości ich, a dumie podrażnionej.

Każdego dnia, każdej godziny niemal oczekiwano posłańca od kanclerza, powołującego na

audiencję. Tymczasem tydzień cały upłynął, a wiadomość nie nadeszła żadna.

Stało się to, co Zamojski przewidywał. Gdy zagaił o tym, iż się podczaszy doprasza rozmowy, król zzymnął się i syknął.

— Daj mi z nim pokój! — zawołał. — Kłamstwem mnie nie weźmie; niech sobie nie pochlebia, nie mam go za tak niebezpiecznego, abym miał drogo kupować.

Jest „Radą cesarza”, niechże się tym kontentuje. Jam przeciwko Rakuszaninowi mały królik, więc co ja dla niego znaczę? Me chcę go widzieć.

Zamojski prosił jeszcze.

Batory się oparł silnie.

— Nie chcę go!

— Podrażnicie go więcej.

— Niech się wścieka! — rzekł król. — Porwie się, a uczyni co, na czym bym go mógł pochwycić, nie przebaczę. Nie chcę go, nie mów mi o nim.

Ponieważ król tego dnia był w złym humorze, bo mu ulubiony koń jego ubył, nie nalegał kanclerz, odkładając do sposobniejszej chwili, ale gdy w parę dni znowu chciał spróbować przemówić za Krzysztofem, Batory się pogniewał i oburzył.

— Ten człowiek nikczemnym jest! — zawołał. — Wie, że go nie znoszę, że go znam, że nim pogardzam, i ciśnie się do mnie. Uwolń mnie od niego, nie mów mi o nim! Stanowczo i ostatecznie powiadam, zdrajcy tego na oczy widzieć nie chcę i nie będę. Niech wie, powiedzcie mu to otwarcie, ja się z moimi uczuciami nie taję. Podły jest, gardzę nim.

Po danej w ten sposób odprawie, kanclerz, który króla znał, wiedział dobrze, że powracać z prośbą nie ma po co.

Batory nie zapominał nigdy, a zdania o ludziach raz powziętego nie zmieniał. Ofiary, jakie czuł, że uczynił dla Polski, niewdzięczność czyniły dla niego nieprzebaczoną.

Zamojski nie mając o czym już oznajmić kasztelanowi, nie spieszył ze złą wiadomością, owszem ją zwlekał.

Na ostatek kipiący już niepokojem podczaszy wytrzymać nie mógł i brata uprosił, aby się

widział z kanclerzem, a przyniósł mu odpowiedź, jakąkolwiek by ona była, nic nie tając.

— Mój kochany Krzychniku — rzekł powracający wieczorem Jan — żal mi cię. Zamojski

czynił, co tylko mógł, i na tym się skończyło, iż króla pogniewał. Widzieć cię nie chce i przypuścić nie może. Powiada wprost, iż zna w tobie nieprzyjaciela i zdrajcę, za takiego cię ma, radzi ci się na baczości mieć, a mówić z tobą ani cię słuchać nie chce.

Pobladł podczaszy, gdy mu tę odprawę przyniósł brat, chwilę stał niemy, ale nie było już co rozmyślać. Pozostawało jedno, do cesarza jechać, kraj opuścić i tam pozostać lub do Moskwy się wynosić.

Ani jednego, ani drugiego sobie nie życzył Krzysztof, na domowych śmieciskach jeszcze się czuł najbezpieczniejszym, pomimo groźb króla; tu mu też czynnym być najłatwiej było, a

spodziewał się, że z pomocą Samuela i Andrzeja, na którego też rachował, coś dokáže.

Me miał wyboru środków — pozostawało mu starać się pozbyć Batorego, zasiąść na życie

Zamojskiego, a przynajmniej ostatniego sprzątnąć.

Samo przeznaczenie rzucało go na tę niebezpieczną drogę spisków i zasadzek, na której

żaden nigdy Polak nie bywał, bo ani charakter, ani temperament sposobnymi ich do tego nie czyniły. Tajemnicy utrzymać żaden z nich nie mógł, wszyscy się niewiastom zwierzali, a nim do czego przyszło, mówiono tyle, iż gniew i siła ze słowy uchodziła.

Podczaszy może od innych był przebieglejszym, łatwiej zmilczał, chętniej skłamał, ale i w nim kipiała krew, czasami i on siebie nie był pewien.

Gdy się potem rozeszli panowie bracia, wielce rozżalony Krzychnik długo po izbie chodził, jedząc się myślami.

„Bóg mi świadek — mówił w duchu — może bym do tego nie doszedł, gdyby król sam

mnie nie popchnął. *Alea jacta est!* Musimy się bronić, a jego pozbyć jak szkodliwej bestii... ich obu! Samuel jako ja ich nienawidzi, będzie ze mną, Andrzej, jeśli nie ręką, to głową dopomoże, znajdą się i inni" sprzymierzeńcy..."

Nazajutrz, gdy po tej nocy męczeńskiej wystąpił podczaszy, już po nim poznać nie było

można, co przecierpiał, ani co w sobie krył. Wesoły przybrał humor i tyle tylko, że ze wszystkiego, co się króla i hetmana" tknęło, nielitościwie szydził.

Kasztelan gnieźnieński dał się na to wziąć i pochwalał zimną krew i rezygnację.

Sądząc, że jeszcze Samka zostanie w Piekarach, nazajutrz pobiegł tam zaraz Krzysztof, ale go już nie

było. Został tylko smutną po nim Włodkowę, która teraz ciągle o bohaterskich czynach wuja na Nizu wszystkim rozpowiadała.

Tymczasem Samuel gdzieś już za nową podwiką gonił i razem szalał, nad dziećmi się rozpadał, pieśni słuchając płakał, pił, bił, a pod czas o pokucie mówił i mnichem chciał zostać.

Jednego dnia rozpusta się go trzymała, drugiego rozpacz nim owładała. Od grobu żony

jechał na polowanie z sokoły, na hulankę do miasta, a potem do domu do córeczki Anusi i do Wojtaszka, który go męczył, któremu śmiercią groził, aby nazajutrz obsypywać podarkami.

Dostawszy języka, gdzie mniej więcej Samuela przyłapać się mógł spodziewać, wrócił z

Piekar do Krakowa podczaszy. Zbliżało się owo sławne hetmańskie wesele z Batorówną, o której powiadano, że ją wkrótce na granicy przyjmować miał z paniami polskimi Opaliński. P. Krzysztof chciał czasu godów być w mieście, patrzeć na nie i gdyby się dało, korzystać z ogromnego zbiegowiska, aby sobie wyszukać sprzymierzeńców.

Wśród tego zamętu przygotowań weselnych, łatwiej było niż kiedy nie postrzeżonemu się przeciskać, wśliznąć, podsłuchać i ludzi wynaleźć.

Pozostawał też kasztelan i marszałek. Oba oni nie należeli do czynnych i mających tu

występować panów, ale widzami być sobie życzyli, Jan, aby dowiódł kanclerzowi poszanowania, Andrzej, aby coś może skorzystał, a w razie niepowodzenia jakiego i zawodu, cieszyć się nimi.

Krzysztofa plan był bardzo prosty i taki, jakiśmy wyżej skreślili. Nie wahał się nawet przez pewnego posłańca czarno na białym wyłuszczyć go Samuelowi.

Mimo całej przebiegłości swej, gorączką powodowany, w liście do Samuela, wynurzywszy

żale swe i skargi, otwarcie mu oznajmywał, że odtąd o to dwoje starać się im należało: króla zgładzić trucizną, a kanclerza w zasadzce gdzieś ubić. Trudno uwierzyć, iż mógł nieopatrznie rzeczy te na papier zdać, z człowiekiem niepewnym w świat posyłać, i zdrady się nie obawiając, sam na siebie kuć miecz. Tak jednak było. Gniew mu odejmował rozum, zapominał się i szalał

Samuelowym sposobem.

Wiedział dobrze o tym, iż Samko przyjmie ohotnie wezwanie i rad będzie spółce do tej roboty.

W kilka dni potem wieczorem Krzysztof znowu odwiedził Fontanusa. Zjazd wielki do

miasta obiecywał i aptekarzowi odbył znaczny, zaopatrzył się też obficie w elektuaria, driakwie,

konfekcje, wyciągi i różne tajemnicze eliksiry.

Apteka nawet "wyglądała odświeżona, pomalowana na nowo, naczyniami ozdobnymi zastawiona, tak że ku sobie nęciła.

Fontanus przywitał do kolan się mu kłaniając. Krzysztof jeżeli nie miał dobrego humoru, to go w potrzebie doskonale przybierał.

— A co, stary trucicielu rodzaju ludzkiego? — powitał go. — Ile żeś wenenów i toksyków sprzedał pod ten czas? Sądzę, że ich teraz najwięcej ludzie potrzebować będą?

— Dotąd nie mam odbytu na ten drogi towar — odparł Fontanus — ludzie radzi by czasem zadać, ale cudzymi rękami, a takich rąk usłużnych napytać niełatwo.

— Wiesz co? — rzekł podczaszy. — Ja sądzą, że o te ręce łatwiej niż o samą truciznę. Mów mi prawdę, dostać jej u was?... Co? Gdybym ja potrzebował?

Zmieszał się Fontanus i niedowierzająco mu w oczy zajrzał.

— Probujecie mnie — rzekł.

— Nie — odpowiedział Krzysztof. — Są w życiu ludzkim takie wypadki, gdy lepsza trucizna i śmierć niż srom. Rozumiesz mnie?

— Trafia się to — powoli wycedził Niemiec — lecz zawsze to drażliwa i straszna rzecz. Wy tego nie potrzebujecie, dlaczego mnie badacie?

— Dlatego, iż mogę istotnie potrzebować! — zawołał podczaszy. — Ale ja ci się nie dam zwieść i jeśli dobrym złotem zapłacę, dobrą też mieć chcę truciznę, której bodaj na psie spróbuję, niżeli wezmę.

Spojrzeli sobie w oczy, Fontanusowi w ustach zaschło ze strachu. Mówić nie mógł, mrugnął tylko i palec położył na ustach.

Milczeli oba chwilę. Podczaszy dobył sakwę spod poły, wysunął z niej dwa świecące, ogromne portugaly i położył je przed Fontanusem.

— To zadatek — rzekł cicho — ażebyś pewnym był, że ja nie żartuję ani cię w pole wywodzić nie myślę. Widzisz, że pomocy twej potrzebować będę, a milczenia jestem pewny, bo...

dla siebie samego zdobywać je musisz... Powinna być taka — dodał — aby piorunem zabiła, a śladu nie zostawiła po sobie. Rozumiesz?

Wstał z krzesła, Fontanus patrzył zadumany na portugały i nie ruszył ich, choć się już za podczaszym drzwi zamknęły.

III

Samuel pod ten czas, czując się banitą, albo ciągle po kraju krążył, rzadko dwie z rzędu noce w jednym miejscu spędzając, albo około Zborowa, kędy miał czaty porozstawiane i ludzi sobie oddanych, w lesie, w naumyślnie zbudowanym tam domostwie przesiadywał.

Był to jego kąt ulubiony, a ludzie zwali go Białym Kamieniem może dlatego, iż dwór stał na podmurowaniu, które jasno od ściemniałego odbijało drzewa.

Fantazja Samuelowa dogodziła sobie, gdy tę kryjówkę wśród lasów wznosił, o której oprócz jego ludzi mało kto wiedział nawet. Na małym wzgórk, nad rzeczulką biegnącą parowem,

wznosiło się to domostwo cale obszerne, bo izb różnych z alkierzami i komorami liczyło przeszło dziesiątek. Dokoła, na wypadek napaści, aby się nie tak łatwo do dworu dostać było, opasywał go częstokół dębowy, wysoki, mocny i ziemią z jednej strony umocowany.

Oprócz tego opowiadano, iż spośródka domu, pod którym były lochy murowane, tajemne drzwi prowadziły wąskim korytarzem w głąb ziemi, tak iż popod rzeczulką, przeszedłszy, dozwalał, jak w starych zamkach tak zwane wycieczki, wydobyć się nie postrzeżonemu.

W Białym Kamieniu, gdy pana Samuela nie było, a trwało to niekiedy czas dłuższy, bo niespokojnemu Zborowskiemu nawykniecie i temperament długo w jednym miejscu trwać nie dopuszczały, była zawsze jakaś załoga miejscowa, aby w razie niespodzianego przybycia wszystko na swe przyjęcie znalazł pogotowiu.

I nagle ta pustka, w której kilku starych niedołęgów ziewało, zmieniała się we wrzawliwie przepełniony dworzec, w którym ludzi i konie zaledwie można było pomieścić.

Samko nawykł był nie tylko na Niż, ale po Rusi i gdziekolwiek się obrócił jeździć tłumnie, hajduków i czeladzi wiodąc z sobą zwykle głów trzydzieści i więcej. Oprócz tego towarzyszyli mu przyboczni jego przyjaciele i słudzy, rezydenci, urzędnicy. Ciągnął czasem z sobą gości, prowadził psy, wieziono sokoły, z którymi po drodze polował, szły wozy ze spiżarnią, a niektóre z bronią i z namiotami. Nie pytano po drodze, czyje były łąki i pola, a nawet i stogi; gdy zapotrzebował, czego pan Samuel, brał jak ze swego. Trafiało się, że tak samo, nie pytając zajmował dwory i plebanie. Znano go nadto, aby mu się kto probował opierać. Kobiety naówczas najwięcej uciekały, a i nie każdy z mężczyzn dotrzymał placu, bo Samuel i jego ludzie słynęli jako gwałtownicy.

Zadrzeć się z nim nie było bezpiecznie, bo niczym dlań bywało zabić, powiesić, a na

odjeżdżnym ogień kazać podłożyć. Gdy był dobrej myśli, a trafił na ubogiego szlachcica, sam go w domu własnym przyjmował, z opierającymi się nie czynił wielkiego zachodu.

Majątności rodziny Zborowskich i spokrewnionych z nimi Spytków, Stadnickich,

Opalińskich nie tylko nie oszczędzał w tych pochodach pan Samuel, ale je prznosił nad obce, bo w nich choć cień jakiegoś prawa miał za sobą.

Dwór jego zmieniał się często, a do niego i po niewoli czasem przyłączać się musieli ludzie, którzy go zabawiali lub których trwoga i utrapienie jego bawiło. Ciągnął tak z sobą niekiedy księży, szlachtę, z miast pozabieraną muzykę, grajków, różnego rodzaju trefnisiów, a tak jak zabierał gwałtem, kto mu się podobał, rzucał potem, gdy mu się sprzykrzył, wpośród gościńca.

. W Białym Kamieniu zwało się, że spoczywał, ale tu czas trawił na łowach, na słuchaniu

Wojtaszka i na zabawianiu się z dziećmi, których dwoje (miał troje tylko), syna Aleksandra i córkę Anusię, szczególnie lubił.

Anusia w dzieciństwie zdawała się nieszczęśliwą przypominać matkę Spytkównę, ale rosnąc

przy boku ojca zmieniała się i stała nadzwyczaj podobną do ojca. Miała wykapaną naturę jego i temperament, a nawet wypięknione rysy na pierwszy rzut oka dawały w niej poznać córkę

Samuelową.

Po śmierci matki zdana na sługi, bo krewnym jej powierzyć nie chciał, Anusia wyrosła

pieszczona, dzika, samowolna, a im więcej dokazywała, tym ojciec bardziej się do niej

przywiązywał i cieszył. Nabrała więc zawczasu obyczaju na wpół męskiego, jeździła konno, strzelała z łuku, który dla niej umyślnie robić kazano, nosiła sama i unaszała ptaki łowieckie, otaczała się psami, chadzała nawet po męsku, co ojca wielce zabawiało. Ale przychodziły na nią potem chwile jakichś niewieścich zachcianek, naówczas trefić sobie kazała włosy, wdziewała suknie kosztowne, stroiła się, zasiadała do krosien, uczyła pieśni i nim dorosła, już grała rolę pani.

Tak gwałtownego temperamentu jak ojciec, nie umiała się w niczym poskromić, a p. Samuel

znajdował to w niej uwielbienia godnym. Zresztą cokolwiek zrobiła Anusia, dobrym było.

Nieraz powiadał, iż żałuje bardzo, że się ona chłopcem nie urodziła, bo Aleksander, którego kochał także, syn starszy, wielce się różnił od ojca i siostry.

Młodzian był stateczny, poważny, rycerskiego, ale szlachetnego ducha, i nie dający się

skusić przykładem do samowoli. Zwał go ojciec babą, chociaż miał dowody mnogie, że

Aleksandrowi wcale na męstwie i energii nie zbywało.

Anusia nie mogła zawsze ojcu towarzyszyć w jego wycieczkach, ale w Białym Kamieniu zawsze z nim bywała i tu go nie opuszczała.

Brał z sobą zwykle i Wojtaszka, a znajdował tu ulubienicę, prostą dziewczkę ze wsi wziętą, która naprzód była w usługach Anusi i wiekiem z nią rówieśnicą. Nie dbając o to, że córka patrzeć na to będzie, wziął ją potem pan Samuel, oddzielił, posadził osobno, zaczął się nią opiekować, obdarzać, zawrócił jej głowę i zrobił z niej dziwadło, które go tym więcej bawiło i tym mu było ulubieńsze, im mniej do pospolitych ludzi było podobne. Zamarzyło się tej Motrunce, wybranej przez Samuela, że pan się z nią ożenić będzie musiał, nabrała więc dumy i obchodziła z ludźmi jak pani.

Anusia śmiała się z niej w początku, a potem zniechęciła. Motrunka była prostą i wcale nie odznaczającą się żadnymi osobliwymi darami dziewczyną. Po całych dniach siedziała przed zwierciadłem, ubierała i rozbierała, a że miała do posług dziewcząt kilka, z nimi odgrywała rolę pani. Piękną była w istocie i ta piękność jej, nawet nie rozjaśniona iskierką rozumu, uderzała swą regularnością i wdziękiem. Motruna, usiłując się uczynić piękniejszą jeszcze, psuła raczej niż podnosiła wdzięk, jakim ją obdarzyła natura.

Samuel, choć w początku się do niej namiętnie przywiązał, później kosztem jej się zabawiał już i niekiedy niemiłosiernie nad nią znęcał. Bawiły go nawet łzy, gdy bywał znudzony.

W jednym dworze, pod tym samym dachem, tygodniami i miesiącami siedząc, Motrunka i

Anusia prowadziły z sobą wojnę. Córce naturalnie ojciec dawał pierwszeństwo, lecz niekiedy i Motruna swe dni miała szczęśliwe.

Do dworu pana Samuela, oprócz tych dwu kobiet i ich liczego fraucymeru, należała

niejaka Żabikowska, średnich lat kobieta, niegdyś za młodu ulubienica pana, teraz sługa córki i zarządzająca domem, baba ogromnego wzrostu, teraz już z małym wąsikiem na wardze, niegdyś piękna, śmiała, wyszczekana, chciwa i przewrotna. Tej obowiązkiem było służyć Anusi, której ona cierpieć nie mogła.

Wojna więc niewieścia była tu nieustającą, w której Anna zawsze dotąd górę brała.

Piękność jej z dojrzwaniem coraz się stawała świetniejszą, ale razem i charakter samowolniejszym co dzień się objawiał.

Gdy pan Samuel na Niż się wybierał, Anusia na to pozwolić nie chciała, potem upierała się jechać z nim przebrana po męsku, tak że okłamawszy ją, uciekać od niej musiał, czego mu długo darować nie mogła.

Z wybitniejszych osób, otaczających Samuela, wymienić jeszcze należy Boksickiego, który

gdyby na politowanie ' zasługiwał, męczennikiem by go nazwać można było. Lecz

najprzewrotniejszy z ludzi, korzystający z pana, wyłudzający z niego pochlebstwa i najpodlejszymi posługami, co tylko zedrzeć mógł, Boksicki był po prostu łotrem o twardej skórze.

Trafiało się, że go Samuel zbił na gorzkie jabłko, ale się nie mogąc obejść bez niego, potem musiał sam smarować i plastry mu złote przykładać. Miał za to w Boksickim posługacza, oprawcę, narzędzie, do czego tylko chciał go użyć. Człek był zręczny, pilny, wytrzymały, a bez sumienia.

Aby takiemu jak Samko służyć, potrzeba było w istocie żelaznego człowieka.

Miał to do siebie Zborowski, że swych ludzi znał na wylot i dobrze wiedział, jak dalece podłym był Boksicki, ale go takim mieć chciał, bo mu to było dogodne.

Na ostatek w gromadzie, która teraz ciągnęła z nim, miał jeszcze Samko i księdza, a raczej braciszka w sukni zakonnej św. Franciszka, Włocha Zapatellego. Tego szczególnie sobie upodobał

dlatego, że jąkał się i szeplenił, a mówił po włosku. Zborowski zaś do języka tego miał słabość i czasami się odkazywał, że zupełnie Polskę porzuci a do Włoch się wyniesie.

Zapatelli grał tu niewłaściwą swej sukni rolę trefnisia, z którego się wyśmiewano i znęcano nad nim. Zabranym gwałtem gdzieś po drodze, pojony, karmiony Włoch się wyrwać nie mógł i

oswobodzić. Znosił los swój od roku blisko z rezygnacją, bo dwa razy nadaremnie się próbował wysliznąć, a za każdym razem pochwycony, wyszturgany, musiał za karę siedzieć w czabance o chlebie i wodzie.

Taki był skład dworu pana Samuela, gdy tymi czasy na wiosnę do Białego Kamienia dla

spoczynku zawitał. Syn Aleksander wymówił mu się i we Lwowie pozostał, co ojcu było na rękę, bo czasem poważniejszego Oleczka albo się musiał wstydzić, lub z nim kłócić.

Panowała więc Anusia w jednym, a Motrunka w drugim dwora końcu. Wojtaszek na obu.

Tego się tu obawiali wszyscy, nie wyjmując nawet Anusi, do której z zuchwalstwem

niesłychanym lutnista śmiał się zalecać, chociaż łajała go, pluła mu w oczy i patrzeć na niego nie chciała. Wojtaszek śmiał się:

— E! e! przyjdzie czas, że i Wojtaszek dla panny dobry będzie!

Tak samo zalecał się pańskiej kochance Motrunce, ale tu miał więcej szczęścia, bo ta się w nim potajemnie kochała, choć z niej sobie potem drwił niemiłosiernie.

Szydził on zarówno z Samuela, czasem w żywe oczy, choć to groźnym się stać mogło i

nieraz pokaleczony i skrwawiony mu się z rąk wyrwał, ale wkrótce potem Samuel litował się nad nim, sam go opatrywał i wszystko puszczał w zapomnienie. Miał nad nim jakąś niezrozumiałą dla nikogo przewagę.

Nikogo tu nie szanował, nikogo nie szczenił, nikomu się nie pocziwiec nie kłaniał, a

poczynał sobie z zuchwalstwem, na które by się żadne z dzieci nie ważyło. Nie obawiał się ani oskarżenia, ani gniewu pana, bo go publicznie prawie zbójem nazywał.

Nikt nad Wojtaszka lepiej nie znał wszystkich Zborowskiego przestępstw, gwałtów,

mordów i szaleństw, i nikt o nich ochotniej głośno nie rozpowiadał. Po dworze chodził, jak by tu sam panem był, z samowolą nie ukróconą niczym, bo i do papierów, i do pieniędzy Samuela sięgał

bezkarnie.

i nic mu się nigdy nie stało-

Zwali go też ludzie czarnoksiężnikiem i wierzyli w to, że jakiegoś inkluza miał, który życia jego strzegł, bo powinien je być stokroć stracić, co dzień się narażając Samuelowi.

W Białym Kamieniu rozpoczęło się życie zwykle tym trybem, który się nie dawał określić,

bo co dzień się odmieniał. Jednego dnia łowy, drugiego śpiwy, to biesiadowanie, to pisanie listów, to zamykanie się z Motrunką, to słuchanie córki i służba u niej zajmowały p. Samuela.

Były też godziny Zapattellego, dopóki jākajło i włoszczyzna się nie sprzykrzyły, czasem

opanowywał go Boksicki, niekiedy po całych dniach strzelał i wróblom urywał głowy kulami lub strzałami, to znowu spędzano ludzi i urządzano wielkie łowy z sieciami, które się tym kończyły, że napędzonę zwierza nożami i oszczepami dobijano.

Wszystko to nie starczyło niespokojnemu temu umysłowi, który czasem szukał

roztargnienia w żalach po żonie i osamotnieniu żalobnym.

W takim właśnie usposobieniu drugi już dzień Samko leżał na skórkach, które jego łoże

stanowiły, zamknięty pod strażą Boksickiego, któremu nikogo, nawet córki do siebie nie kazał

dopuszczać, gdy wystrojony jak gach, z utrefionymi włosami do progu się wolnym krokiem

przysunął Wojtaszek.

— Słuchaj ty — zwrócił się do leżącego tuż na ziemi we drzwiach Boksickiego — puszczaj

mnie do niego.

— Nie wolno!

— Co to, nie wolno! Mnie? — odparł lutnista. — Gdzieżeś ty słyszał, aby mnie było nie wolno wniknąć, kędy ja zechcę?

— Pan zakazał nawet panny puszczać — rzekł mruczając stróż.

— Ale nie mnie.

— Nie ma wyjątku, idź sobie! Wojtaszek leżącego nogą kopnął.

— Słuchajże, ty bałwanie jakiś, otwieraj mi drzwi, bo ja ci każę!

— Ja od was rozkazów nie mam do odbierania — odparł Boksicki. — Idź precz!

Z pogardą spojrział na niego lutnista i gniewnie nogami go począł tłuc.

— Otwieraj!

Powstała wrzawa. Wtem ze wnętrza izby, w której leżał pan Samuel, głos się dał słyszeć:

— Kto tu śmie? Boksieki, precz z tym!

— To ja! — wrzasnął Wojtaszek.

— Precz! — zawołał głos groźny Samuela.

— Precz? — podchwycił Wojtaszek. — A ze mną i listy Krzychnika pójdą też precz?

Rozśmiał się na całe gardło, bo już z wnętrza głos potężny wołał:

— Otwierać!

Boksicki się zerwał, opończę narzucając na siebie i kosymi oczyma mierząc Wojtaszka.

W izbie, w której leżał już drugi dzień Samuel, było prawie zupełnie ciemno, pomimo

wiosennego dnia jasnego. Okiennice stały pozamykane. Na podłodze nasłane siano, pokryte

niedźwiedzimi skórami, służyło za łoże. Na nim w koszuli jednej, z obnażoną piersią włosom okrytą, z rękami pod głowę podłożonymi spoczywał Samuel.

Powolnym krokiem, listy już pootwierane trzymając w ręku, zbliżył się ku niemu

Wojtaszek.

Bystre oko leżącego dostrzegło, że naruszone były pieczęcie.

— Jaks ty śmiał listy moje czytać?! — zawołał zrywając się Samko.

— A dlaczego nie miał ich otworzyć, kiedy prędzej czy później przecież by się one przede mną nie ukryły!

Wojtaszek odpowiadał wcale nie zatrwożony, a wzrok, jakim pana mierzył, takie wyrażał

lekceważenie, jak by on tu był panem, nie sługą. Samuel zgrzytnął zębami, ale nie odpowiedział

nic. Podniósł się powoli, wskazując, aby mu okiennice otworzono. Wojtaszek, który najmniejszej posługi sam nigdy nie spełnił, obrócił się ku progowi i zawołał Boksickiego:

— Otwórz okiennice!

Tymczasem w Zborowskim już niecierpliwość górę wzięła i nie czekając, aż sam listy

przeczyta, zawołał:

— Co on tam pisze?

— Ho! ho! — odparł zawsze szydersko Wojtaszek — pisze takie rzeczy, z których żaden rozumny człowiek papierowi się nie zwierza.

— Kto? — zapytał Sarnko.

— Kto? a to domysleć się łatwo — rzekł lutnista. — Marszałek nadto ma rozumu i

przebiegłości, aby to, co chce zrobić, naprzód oznajmywał i pomógł tym, co mu zechcą

przeszkodzić; kasztelan do was nie pisuje, jeden jest Krzychnik, co się nie boi, bo ma cesarza za sobą, a o wasze zdrowie pono niewiele stoi.

Otworzyły się w tej chwili okiennice, Samuel wyrwał listy z ręki lutnisty i namarszczony, siedząc na łożu, czytać je zaczął. Wojtaszek stał, oczyma badając twarz swego pana, na której, jak w wodzie obłoki, wszystkie wrażenia się dobitnie malowały. Czytał je jak z karty, a nie odchodził, bo ciekawym był końca.

Samuel czytał i odczytywał. Ściągał brwi, zakasywał wargi, gniew po nim przechodził jak

prąd gorący, ale wnet się to mieniło i list raczej ucieszył Samuela, niż zmartwił, choć o najgorszym usposobieniu króla donosił i o środkach, jakie nieodzownie przedsiębrać było potrzeba.

Właśnie ta ostateczność i nadzieja, że będzie czynnym, że się porwać zostanie zmuszony do zuchwałego i krwawego czynu, radowała tak Zborowskiego. Nudził się już tą swoją, jak ją nazywał, bezczynnością. Ani Motrunka, ani Anusia, ani Boksicki i Wojtaszek, ani mnich Włoch, ani łowy i konie nasycić go nie mogły.

Raz zakosztowawszy krwi i doznawszy tego wrażenia, jakie ona wywiera na tym, kto się nią zmazał, był p. Samuel niemal chciwym nowego jej przelewu. Krzychnik w tym liście, którego już powiernikiem był Wojtaszek, bez ogródki mówił o truciźnie na „Wilcze Zęby” i o napaści na „szaraka”, na głowę *Nigri Concilii*.

Przygotowanie do napadu tego, samo dokonanie go, nikomu innemu przypaść nie mogło, tylko Samuelowi. Czuł się do tego powołanym i to mu się uśmiechało. Z Wapowskim siedem czy osiem żywotów ludzkich miał już na sobie.

Cóż mu znaczyło podjąć jeszcze jedno wielkie dzieło, które go chwałą okryć miało, a wedle jego pojęcia, naród wyzwolić. Radowała się jego dusza.

W tej chwili ów ciężki, dojmujący smutek, który go do łoża przygniatał, wszystkie powszednie zabawki, znikły przed oczów; miał przed sobą znenawidzonego kanclerza postać, z którym się pragnął rozprawić. Nie powątpiewał ani na chwilę, że z walki, choćby nierównej, wyjdzie zwycięzcą.

Równymi nogami porwał się z łoża, aż Wojtaszek, stojący zbyt blisko, cofnąć się nieco przed nim musiał.

Usta jego mimowolnie po cichu wyszemraiy jeden wyraz:

— Zbójca!

P. Samuelowi przed chwilą namarszczona twarz się śmiała. Spojrzał w okno.

— Cóż to! — zawołał — blisko południe! Słyszysz, idź powiedz, aby mi tu Michał natychmiast dawał obiad. Jestem głodny.

— Boksicki — powtórzył nie ruszając się z miejsca Wojtaszek — idź do kuchni! Jam nie do tego.

Ten, który mozolnie ciasną właśnie opończę wciągał na ręce, zamruczał coś, jak by chciał na Wojtaszka zdać poselstwo, ale lutnista powtórzył dumnie:

— Słyszałeś rozkaz pański, nogi za pas! Leżałeś dosyć. Mruczając musiał być posłusznym

Boksicki, a Wojtaszek w bok się wzięwszy po izbie przechadzać zaczął, nie chciał odejść, aby z oczów Samuela nie stracić.

Zborowski oblewał się wodą i odziewał pospiesznie, ale w rozmowę, której lutnista życzył

sobie może, nie wdał się z nim. Słów zresztą nie było potrzeba, aby czytać, co myślał. Radość, nadzieja jakaś błyskały mu z oczów.

W chwilę potem róg myśliwski, wedle miejscowego zwyczaju, dawał znać, że Michał

pospieszył z obiadem i p. Samuel przyodziały lekko już szedł do izby jadalnej, w której się wszyscy gromadzili. Jedna Motrunka nie miała się tu prawa pokazywać.

Zborowski nie byłby tak dalece może poszanował córki, aby ulubienicy zakazał

przychodzić, ale Anusia oświadczyła, że u jednego stołu z chłopką siedzieć nie będzie, a chłopka nie tylko u stołu siedzieć, ale przy nim pierwsze miejsce mieć chciała — i straciła prawo do niego.

Boksicki, Zapatelli — mały, zażywny, tłusty i brudny braciszek w trepkach i habicie, lada jakim powozem przepasanym, kilku szlachty, starsi urzędnicy dworu, na ostatek Żabikowska, wystrojona śmiesznie, już dokoła wielkiego stołu oczekiwali. Szlachta dobywała zawczasu łyżki zza pasa i ocierała je rękawami, czeladź parujące wносиła misy, z których korzennych przypraw wyziwy buchały. Zapatelli wedle zwyczaju zabierał się odmawiać *Benedidte*, choć nikt na nie ani zważał, ni czekał, gdy wpadł Samuel.

Anna stała w drugim końcu izby, wystrojona dnia tego, z twarzyczką rozkwitłą dzikiej różyczki, a zobaczywszy ojca namiętnie się mu rzuciła na szyję.

— A! przecież! — zawołała głośno. — Ja nie lubię, gdy ty mi się zamykasz na pokutę. Ja i tak nie zawsze ciebie, mam, każdej mi godziny żal, a ludzie albo jakieś smutki mi je odbierają. No!

dobrej myśli mi wracasz? — spytała.

Twarz sama jej odpowiadała, ojciec był uśmiechnięty, rozpromieniony.

— Miałem listy od Krzychnika — odparł, podnosząc córkę do ust swoich — rad im jestem!

— Cóż ci tak dobrego donoszą? — spytała Anusia.

— Krzychnik raz przecie rozumnie pisze — rozśmiał się Samuel. — Teraz my z nim pójdziemy ręka w rękę.

Anusia spojrzała mu w twarz, lecz siadano już do stołu, i Samuel umyślnie przerwał z nią dalszą rozmowę. Wszyscy teraz biesiadnicy z oczyma zwróconymi na gospodarza, gotowali się go czymś zabawiać. Borowski donosił o sokołach, drugi mówił o wilczycy z małymi, na którą w gnieździe najść było potrzeba, aby szczenięta zabrać żywcem.

Wojtaszek siedział także u stołu, umieściwszy się tak, aby na Anusie mógł patrzeć. Ojca się wcale nie wystrzeżał. Anna unikała jego wejrzenia, a ile razy je spotkała, odwracała się z niewysłowioną pogardą.

Wojtaszek mimo to nie tracił fantazji, owszem — coraz się chciał nią głośniejsze popisywać i wtrącał zuchwale do rozmowy. Zaczęto wyszydzać Zapatellego, któremu sąsiedzi najlepsze kaski nie tylko z półmiska stojącego przed nim, ale prawie z ust wrywali. Włoch czerwieniał z gniewu, jękał się tym więcej i bezsilną tą sierdystością wszystkich do śmiechu pobudzał. Przychodziło niemal do utarczek na łyżki i pięści, co zdawało się tak zwyczajnym, że niczyjej nawet nie zwracało uwagi. Wojtaszek tylko jeden się mar- szczył, bo mu to do mieszania się w rozmowę przeszkadzało.

Samuel tymczasem, nie mogąc nic nigdy długo w sobie utrzymać, już w głowie osnuwając zamiar zaskoczenia kędyś Zamojskiego, plan cały układał. Ludzi mu dzielnych było potrzeba. Miał kilku, na których mógł rachować, innym mniej ufał.

— Boksicki — odezwał się — ludzi będę potrzebował! Szukaj mi takich, co by się ani śmierci ponieść, ani ją zadać nie obawiali, prawych rycerzy.

— Idziecie na wojnę? — zapytał Boksicki. Wojtaszek się rozśmiał.

— Jakiś ty głupi — rzekł — albo to nie wojna, gdy się w lesie napadnie podróżnego?

Zmarszczył się pan Samuel.

— Czyż my dość ludzi nie mamy? — odparł sługa. — Zawczasu robić zaciągi i żywić je — mówił Boksicki — a tacy co tęgo się biją, okrutnie też jedzą i piją.

Śmiał się Zborowski.

— Postaramy się dla nich o kaszę, daj tylko! — zawołał.

— Wielu? — zapytał sługa.

— Wielu? — począł podpierając się na łokciu Samuel. — Liczę tych, na których rachować mogę... mamyż ich aby trzydziestu?

— Tylko niech się Boksicki do ich liczby nie wciągnie — wtrącił Wojtaszek — bo on już stąpił się jak nóż na skórcie od chleba.

Nikt lutniście nie odpowiadał, ani zważał na niego, co jeszcze do śmielszego odzywiania się go pobudzało.

— Trzydzieści orzechów wziąć, żeby ani jednego świstuna w nich nie było — podchwycił lutnista — to sztuka!

Samuel krzyknął, pięścią bijąc w stół:

— Milczeć!

Wojtaszkowi krew trysnęła do głowy, bo Anusia spojrzała na niego i uderzyła w dłoń.

— Patrzcie — krzyknął lutnista — że jak mnie śpiewać poprosicie, ja też milczeć będę!

— Oh! oh! — odciął się Boksicki — już ja podejmę się z was dobyć głosu...

Ledwie tych słów domówił, gdy Wojtaszek się zerwał i wymierzył mu potężny policzek.

Boksicki się pochwycił z ławy do szabli, zrobił się huczek i zamieszanie, Wojtaszek stał w bok się wzięwszy i wyzywał. Zborowski wołał, aby się uciszyli, ale obity skakał do oczów lutniście, a inni, co także go nie lubili, pomagali.

Ksiądz Włoch, z którego się Wojtaszek naśmiewał, skrobał mu marchewkę na palcu. Już,

już tylko co nie było widać, jak się do bójki wezmą, w której lutnista sam jeden miał być przeciw wszystkim.

Widząc to i nie czekając, Wojtaszek się nieco ku drzwiom cofnął wewnętrznym. Wtem te

się otworzyły i słuchająca pod nimi Motrunka wpadła jak opętana, chwytając za rękę Wojtaszka, chcąc go uprowadzić z sobą. Zborowski rozjątrzony tym, na nią na głos wołał:

— Precz, ty łajdaczko...!

Anusia nie chcąc być świadkiem sceny wybiegła drugimi drzwiami.

Wtem ogromnym głosem odezwał się Samuel:

— Boksicki, nic mu nie czynić, ja cię pomszczę. Wziąć go i za drzwi wyrzucić, choćby i z tą dziewczką razem. Dobrana para.

Lutnista, który pokumaniem go z chłopką srodze się czuł obrażonym, cofnął się od niej, a Motrunka, z krzykiem sobie oczy zasłaniając, uciekła.

Boksicki zaś, skinąwszy na swoich, przemagającą siłą naparł na Wojtaszka, który nie czekając, aż go wyrzucą, wyrwał się i uciekł sam precz.

Zborowskiego ten wypadek rozgniewał, choć nie był u niego w domu żadną rzadkością, bo

się rzadko obiad u niego kończył inaczej, jak bójką i hałasem, siadł zły, sam nie wiedząc, do kogo się za to czepiać.

Chwilę pomyślawszy, kazał biec zobaczyć, co się z lutnistą stało, a gdyby go znaleziono, zamknąć w

izbie gościnnej i straż postawić.

Wybiegli natychmiast dworzanie i czeladzi kilku, a tymczasem Zapatelli orzechy gryząc, śmiał się z Wojtaszka, przedrwiwał, bo już był sobie trochę podchmielił.

Anusia nie powróciła.

Zborowski ze swoim Boksickim najspokojniej w świecie na nowo rozpoczął o ludziach mu potrzebnych się naradzać, gdy dworzanie, jeden z tych co za Wojtaszkiem wyszli, powrócił z oznajmieniem, iż lutnista prosto ze dworu wpadłszy do stajni, konia okulbaczył i jak stał, dosiadłszy go, uszedł.

Zborowski nakazał pogoń, aby go, bodaj związanego nazad przywieziono, ale ludzie sami się gonić domyślili.

Niespokojnym zaczynał być. Obejrzał się za listami Krzychnika, czy ich z sobą Wojtaszek nie zabrał, ale się okazało, że ich nie tknął.

Nie po raz to pierwszy uchodził lutnista, zawsze jednak powracał. Rachował na to pan

Samuel, że go tutejsze miłośki nazad sprowadzą i szepnął, aby pilnowano Motrunki, która w swojej izbie, leżąc na ziemi z płaczu się zachodziła.

Samuel do córki szedł, którą zastał poruszoną i gniewnie się przechadzającą po swoim mieszkaniu.

Zobaczywszy ojca, Anusia brwi namarszczyła i obróciła się ku niemu.

— Uszedł! — rzekł Samuel.

— A tyś gonić kazał — odparła. — Ja bym go stąd wysmagać i wyświecić kazała... Tyś

słaby dla tego łotra jednego, który nad tobą więcej mocy ma, niż ty nad nim. Siedziałby on u mnie w zawarcu o chlebie i wodzie, ażeby się ukorzył, a to mu rogi urosły, że ani ciebie, ani mnie i nikogo tu nie szanuje.

Zborowski stał milczący.

— Potrzebny mi jest! — rzekł krótko. — Ty tego rozumieć nie możesz, a więc milcz i nie jątrz mnie.

Nadto rzeczy wie... a nas nienawidzi.

Anusia biegła po izbie.

— Innym, straszniejszym dawałeś rady, jego tylko oszczędzasz! — krzyknęła. —

Uzuchwalił się tak, że do mnie śmie się przybliżyć! Rozumiesz ty to?! Ten podrzutek z kupy śmiecia do mnie, do twojej córki, do córki. Spytkównej Jordanównej?!

— Czekaj mało — odparł chmurno Samuel — i na niego przyjdzie pora stanąć do porachunku, ja mu wszystko zaliczę...

— Ale on ci ujść może! — krzyknęła Anusia. — Ja nie będę spokojną, aż go w dybach ujrzę!

Potem z pogardą, kilka kroków ustąpiwszy, rzuciła ojcu:

— I to nic, że on cię jawnie zdradza, tę twoją ulubioną rozmówawszy...

— Anusiu — przerwał Samuel — tyś o niej wiedzieć i znać nie powinna.

Rozśmiało się dziewczę.

— Sameś się starał, abym na to patrzyła, wzięłeś ci ją ode mnie, posadziłeś przy mnie, pozwoliłeś temu brudowi mieszkać ze mną pod jednym dachem!

Zborowski słuchając, gdy to wywoływała z zapalem, zbliżył się i pocałował ją w czoło.

— Anuska! — zawołał. — Wiedziałem, że takiego złota jak ty, żaden się brud nie ima. Dość tego, i nie czyn mi wyrzutów... Oprócz ciebie nikt mi nie jest drogi. Nie dbam o nich.

Córka popatrzyła nań.

— Tyś zmienny jak chorągiewka — rzekła i wnet dorzuciła:

— Uciekł. A, gdyby kark skręcił...!

— Nie byłoby komu śpiewać pieśni wieczornych — westchnął Samuel. — On dla głosu tego i kunsztu żyć wart, ale to chwast, co pachnie, a truciznę ma w sobie.

Otworzył drzwi niespokojnie i zawołał Boksickiego, czy Wojtaszka nie dognano.

— Gdzie go tam dopędzić! — odparł sługa. — Wziął naj- lepszego konia ze stajni i pół godziny ma przed sobą; gdyby nie uszedł, nie wart by nigdy na konia sięść.

— Więc śledzić mi ślij, dokąd się udał — zawołał Samuel — bo nam piwa srogiego nawarzy.

— Dawno to temu piwowarowi łeb trzeba było uciąć — odparł Boksicki — a trafiało się do tego zręczności dosyć, ale go zawsze pieśń salwowała. Bodajby zaniemiał!

Anna, słuchając milcząca, coraz się stawała smutniejszą, a pan Samuel, choć usiłował zapomnieć o tym, że mu Wojtaszek uszedł, uspokoić się nie mógł.

„Dydka bym za to nie dał — mówił w duchu — że pójdzie do kanclerza i wszystko mu wyśpiewa”.

IV

Nadeszły nareście owe dni godów weselnych, którymi cała Polska zabrzmiała, bo z dawna już, od wjazdu Henrykowego, podobnych okazałości, takiego zjazdu do Krakowa cudzoziemskich panów, ciekawych, możnych, duchowieństwa, szlachty nie było. Miasto, zamek, przedmieścia przepełnione były.

W końcu maja przyjął Gryzeldę Batorównę na granicy polskiej wysłany naprzeciwko niej Andrzej Opaliński, właśnie tak, jak by przyszlą w niej witano królowę, a prowadzono ją też do Krakowa w takiej komitywie, orszaku, oddając jej wszędzie cześć, jak gdyby koronowaną być miała.

Wydawał się wielu naówczas Zamojski jako przyszły kandydat do korony i byłby nim może, gdyby sprawa ze Zborowskimi szyków mu nie pomieszała.

Skupiali się około tego wybrańca fortuny najznakomitsi i rodziny najstarsze; owi krakowscy *primates*, którzy od wieków tu przewagę mieli, przyjmowali go za swojego. Z Tarnowskimi i z panami z Tęczyna stał jako najlepiej. Od Zborowskich i obozu przeciwników odpadało wszystko i jak to po ludzku się zawsze dzieje, słabych opuszczali nawet ci, co im wierność byli powinni. Siła zawsze ma w sobie moc przyciągającą.

Doświadczali tego teraz panowie Zborowscy, gdy usiłując się zbliżyć do tych, co im niedawno jeszcze potakiwali, znajdowali ich zimnych, milczących, zmienionych i jakby przerobionych na innych ludzi.

Wszystko się od podejrzanych o jakieś knowania odsuwało i zapierało wszelkiego współnictwa z nimi.

Marszałek Andrzej jeszcze, którego za przejednanego uważano, znajdował ludzi, co się obok niego publicznie stanąć ośmielali, ale podczasy, o którym się wieść rozeszła, iż go król ani widzieć, ani z nim chciał mówić — chodził jak zapowietrzony, nigdzie się nie mogąc ukazać.

Co się w nim działo i jaki gniew a pragnienie zemsty w duszy nosił, o tym jeden może wiedział Samuel, którego on częstymi a nieostrożnymi nawiedzał listami, nie wyjeżdżając z Krakowa, choć wcale już tu co robić nie miał. Poił się tą zółcią, aby później ją wylać. Na nieszczęście swe to, na co patrzył, znajdował tak pomyślnym dla Batorego i Zamojskiego, iż przy - najgorętszej chęci znalezienia czegoś na pociechę swoją, nic wyszukać nie mógł.

Wieczorem późno dni poprzedzających ślubowiny schodzili się wszyscy na Franciszkańskiej ulicy, gdzie Jan opowiadał, co w bliższym hetmana kółku widział i słyszał, Andrzej, co między swymi pokrewnymi żony pochwytał, a Krzysztof to, co między gawiedzią nieprzyjazną królowi i hetmanowi krążyło.

W istocie gawiedzią się to nazwać godziło, bo w miarę jak szczęście Batoremu i Zamojskiemu służyło, nieprzyjaciele ich z wyższych warstw znikali i nieprzyjaźń na dno społeczne schodziła.

Krążyły i przekąsy, i plotki, i małe paskwilusy, bo na tych nigdy i nigdzie nie zbywa, ale to było tak liche, tak niepozorne, a po bakalarsku sklecone, że tylko gawiedzi, co smaku w gębie nie miała, podobać się mogło.

Drobna szlachta, która rada była popisać się ze znaczeniem swych głosów, zawsze na despotyzm i gwałcenie swobód narzekała, ale zwycięstwa na granicy, pokój od nieprzyjaciela, przeciwko niej mówiły.

Zamojski zresztą, dla rozbrojenia niechętnych, właśnie pod tę porę czynił, co mógł, a powodziło mu się. Nieprzejednanym, jak Krzysztof, pozostawało niewielu.

Podczasy niezmiernie był czynnym. Działanie to jego jednak poza pewne ciasne kółko nie mogło się rozszerzyć. Oprócz Samuela, kilku Spytków uboższych i młodszych a niedoświadczonych Stadnickich, ze znaczniejszych zaś — prócz bogatego pana z Górki,

Wielkopolanina, Chodkiewicza, jednego Ossolińskiego — nie miał za sobą nikogo. I z tymi zaś, jak z Ossolińskim, wojewodą sandomirskim, otwarcie rozmówić się nie mógł, bo żaden z tych

niechętnych Stefanowi, zazdroszczących Zamojskiemu, tak daleko jak on się nie posuwał; nikt ani pomyślał o gwałtownym wyzwoleniu się, ani buntu myślał podnosić.

Krzysztof zaś już o niczym nie myślał, tylko o zdradzie, bo w niej jedno widział zbawienie.

Kto wie, czyby był nawet po kryjomu do Moskwy się nie udał, gdyby nie wiedział, że oko na niego miano. Milczał więc i czekał.

Samuel tymczasem, daleko gorętszy i mniej ostrożny, dawniej jeszcze zasłyszawszy o przejeździe pana Olbrachta Łaskiego, wojewody sieradzkiego, którego miał w podejrzeniu, że królowi chętnym być nie może, w kilka koni skoczył był na przełaj, aby się z nim zetknąć i rozmówić. Nie bez przyczyny może niespokojnego umysłu i ambicji wielkiej wojewodę posądzano o knowania jakiegoś, a że to do Samuela doszło, chciał korzystać i z sobą a Krzysztofem go związać.

Ale mu się to nie powiodło. Rozważniejszym daleko był pan Łaski, a choć wiele gotów *wazyć*, na ślepo nigdy nie chodził.

Samuel z warcholstwa mu był znanym, jak i wszyscy niemal Zborowscy, znał ich i z tego, że języka utrzymać nie umieli, ostrożnym więc być postanowił.

Z Krzysztofem razem znajdowali się na cesarskim dworze i obu im poseł moskiewski listy w. kniazia doręczył, a ta była różnica w ich przyjęciu przez obu (o czym Samuel nie wiedział), że Krzysztof list swój wzięwszy, czytał *go* i odpowiedź nań dał, Łaski zaś narzędzie sobie z niego uczynił, aby u króla zaufanie pozyskać.

List więc odebrawszy, nie otwierał go i z pieczęcią nie naruszoną królowi Batoremu go doręczył.

Samuel znał widać wojewodę sieradzkiego z rozgłosu imienia tylko i powieści, jakie o nim chodziły. Spotkawszy się więc z nim, zuchwale, jak był zwykł, począł go namawiać do przymierza i zdrady.

Łaski przed lekkomyślnym warchołem nie myślał się spowiadać z tego, co w sobie nosił.

Przyjął go bardzo zimno i począł od tego, że mu historię onego listu moskiewskiego opowiedział.

— Widzisz — rzekł w końcu — że ze mną o tym nie masz co mówić, bo ja się czuję mocen

w cnocie i wierze swej, czuję się krwią polską * cnotliwą; nie przychodziło to na żadnego Polaka, aby przeciwko panu swojemu knował, a tym więcej mnie tego czynić nie przystoi.

Więcej wmości powiem — dokończył Łaski — że oto tej rozmowy z wami królowi nie zataję, ale ją panu mojemu powtórzę.

Samuel, gdyby może gdzie indziej i z kim innym to zaszło, porwałby się przeciwko
zuchwałemu, na Łaskiego nie śmiał.

Rozśmiał się pogardliwie.

— Jeżeli chcesz wydać mnie — rzekł — czyń jak się zda, ja się tego, jako żywo, zaprę.

Na tym skończyła się próba niefortunna.

Teraz, po krótkim pobycie w Białym Kamieniu, niespokojny Samko wyruszył, nie wiadomo
za znikłym Wojtaszkiem czy też ludzi ściągając, i traf chciał, aby się z Łaskim, jadącym do Krakowa,
zjechał w gospodzie.

Nie zapomniał sobie danej mu odprawy i owej obietnicy, że królowi miał donieść o
rozmowie, a był pewien prawie, że Łaski, pogroziwszy, słowa nie dotrzyma.

Gdy się więc we wrotach gospody zeszli i pozdrowili: „Czołem! czołem!”, zawołał drwiąco Samuel:

— A co, mości wojewodo, umalowaliście mnie z łaski swej przed królem J. Mością?

Na co Łaski poważnie odparł:

— Ja marnych słów nie lubię, a com rzekł, strzymuję zawsze; królowim rozmowę powtórzył
i chciałem, aby was pozwać kazał, abym w oczy wam świadectwo to złożył.

— A król na to? — zapytał Zborowski.

— Król odparł: „Non est opus”. To są jego słowa — rzekł Łaski: „Znam nadto panów
Zborowskich, abym mógł o tym wątpić. Dziwiłbym się, gdyby inaczej myśleli”.

— Ho! ho! — rozśmiał się Samuel. — Nie wierzę.

— Nie kłamię nigdy — dodał Łaski. Zborowski odstąpił krok i zapytał:

— A cóż wam dał za to?

— Nic mi za to nie dał, bom nie dlatego powiedział mu, aby mi co za to miał dawać, ale z
powinności mej, jako poddany i wojewoda.

Samuelowi zrobiło się przykro, ale butno ramionami strząsnął.

— Będąli mnie badać, zaprę się jako żywo. Na co Łaski zimno odparł:

— Pan Bóg nas sprawiedliwie nie tylko z czynów, ale i ze słów sądzić będzie.

Poszło to mimo uszów Zborowskiemu i zamruczał tylko:

— Nie wierzę, abyś to miał mówić.

Łaski nie chciał dłuższej prowadzić rozmowy i cofnął się do gospody, kończąc ją słowy:

— Wierz lub nie — wolno ci!

Do tego p. Samuel wielkiej nie przywiązywał wagi, ale jako o wszystkim Krzychnikowi donosił, tak i rozmowę swą mu w liście posłał, bo Łaski do Krakowa jechał i łącno było podczaszemu, po starej z nim znajomości na cesarskim dworze, stosunek jakiś na nowo zawiązać.

Znalazł jednak pana wojewodę dumnym, zimnym i zamkniętym, jak wszystkich, do których się zbliżał teraz, i nie myślał, jak Samuel, podawać mu serca swojego na półmisku.

Polityk, gdy tego widział potrzebę, wojewoda nie myślał ani podczaszego za Samuela czynić odpowiedzialnym, ani o tym zajściu mu wspominać, lecz gdy się Krzychnik coś kwaśno o królu odezwał, rzekł mu:

— Nie tajna to, że ichmość wszyscyście króla i kanclerza przeciwnikami... ale przeciwko wody płynąć trudno.

— Ano, z wodą też nie każdemu po myśli — rzekł podczaszy.

— Więc cóż? — zapytał Łaski.

Nadto był przebiegłym Krzysztof, aby jak Samuel się miał zdradzić, rzekł więc:

— Juści można, do brzegu się przytuliwszy, ani z wodą, ni przeciw niej nie płynąć, a w miejscu pozostać.

— To już trupem pachnie! — zawołał Łaski. Podczaszy, który o rozmowie jego z bratem wiedział i o jej skutkach, chciał naprawić, co porywczosć Samka popsowała, i odezwał się:

— Nie wiążcie mnie tylko do pary z gorąco kąpanym Samuelem, o którym wiem, żeście uprzedzeni źle, ale u Samka więcej słów i hałasu niż roboty, a gorszym się daleko czyni, niż jest.

— Dałby Bóg i jemu, i innym opamiętanie — dodał Łaski — bo przeciwko panu temu iść,

który nas podniósł i ze słabych uczynił mocnymi, grzech to wielki. Miły on komu czy nie, a poszanować go trzeba i uczcić.

— Rękę ma żelazną! — westchnął Krzysztof.

— Inną by też nic z nami i z nieprzyjacioły nie uczynił — rzekł Łaski, który rozmowę rad był dokończyć.

Tak jak z panem Łaskim i z innymi podczaszy, gdy zagał a zagrał z tej nuty, która brzmiała opozycyjnie, zaraz mu usta zamykano, nic już odpowiadać, ale nawet słuchać nie chcąc.

W smutnym cale położeniu się znajdował, ale postanowiwszy dotrwać, aby dobrze

położenie zbadać, doczekał wreszcie podczaszy, iż miał z kim spiskować. Ponieważ czasu wesela i zabaw ludzie się zwykle łatwiej wynurzają z tym, co myślą, a języka na uwięzi trzymać nie zwykli, i z cesarskiego dworu, który zawsze na Polskę miał oczy zwrócone, i od Moskwy przybyli ludzie nieznaczeni, z poleceniem, aby języka dostali.

A że na Moskwę i wszystko, co stamtąd szło, oczy pilno były zwrócone, musiał się w. książ

posłużyć tymi Rusinami, którzy mu po Ościku tam pozostali. Tym zlecono, aby też ze Zborowskimi się zwąchali.

Zdziwił się nieco podczaszy, gdy mu jednego ranka oznajmiono, iż się z nim ktoś na

osobności widzieć życzył; ale od tak dawna on ludzi szukał, a jego nikt prawie, iż gościowi rad był niepomierne.

Z pierwszego wejrzenia, gdy na próg wchodził, Krzysztof w przybyszu poznał Rusina lub

Litwina, bo i suknię miał krojem więcej do moskiewskiego zbliżonym uszytą, i w mowie śpiewnej pochodzenie zdradził.

Skłopotany począł od tego, iż się jako Worczeńko, panów Chodkiewiczów sługa i domu ich

przyjaciel, na kresach osiadły prezentował, przybyły na wesele dla ciekawości, a że tu nikogo znanego sobie nie miał, Zborowscy zaś w koligacji byli z Chodkiewiczami...

Przedmowa ta, dosyć niezręcznie sklejona, panu Krzysztofowi doskonale była zrozumiała, domyślał się, z kim miał do czynienia, i gościa na ławie posadził.

Worczeńko miał się za bardzo przebiegłego dlatego, że z prostymi zawsze ludźmi miał do czynienia, a tu wpadł na takiego, co myśli czytał, nim one w głowie powstały.

— Toście wy nam tu gościem bardzo pożądanym — odezwał się Krzysztof. — A co tam moskiewski myśli?

Zagadnięty w ten sposób Worczeńko języka w gębie zapomniał zrazu, oczyma trwożliwie potoczył dokoła.

— Albo ją wiem, co u niego w myśli! — odparł przelękły.

— Prędzejże wy z bliska, niż my z dala posłyszemy — odparł podczaszy. — Chce on w istocie zgody? Prawdali to, że do papieża posłał, aby się o wierze rozmówić, z Kościołem połączyć i z nami sojusz zawrzeć?

Worczeńko zmilczał. Na tak kategoryczne zapytania sam nie wiedział, jak mu odpowiadać wypadło.

Siedzieli czas jakiś, wzajem się oczyma badając, aż wreszcie ów poseł się ośmielił i szepnął cicho:

— Mnie się do was zgłosić kazano:

— Kto?

— No, znajomy wasz... co listy nosił — szepnął Rusin — i co — (tu się pochylił mu do ucha) o przysiędze wie...

Wspomnienie przysięgi nieprzyjemnie dotknęło Krzysztofa. Prawdą bowiem było, iż ją złożył w. kniaziowi moskiewskiemu, że mu służyć będzie, ale się teraz obawiał, aby ją głową nie przyszło opłacać. Położył palec na ustach, a potem rękę podał Worczeńce.

— Cyt, bo ściany uszy mają — rzekł. — Z czymście przyjechali?

— Pytajcie po co? — odparł Rusin. — Nie przywiozłem ja nic, ale dostać języka pragnę. Co tu o pokoju trzymają?

— Gotują się do wojny! — zawołał podczaszy. — Działa leją, ludzi zbroją, król sam puszkarzy pilnuje. Nie wiem, czy się spodziewają sojusz zawrzeć, ale to pewna, że wojna ich nie weźmie śpiących.

Worczeńce twarz się wydłużyła i pobladła.

— A toć przecie w. książ do Rzymu posłał i z księżmi papieskimi radził, i radzi... Czegoż oni chcą? Czy i to ich nie uspiło?

— Nie wiem, czy wierzą, ażeby z mąki tej chleb był — zawołał podczaszy — bo co ja,

wcale się nie spodziewam, aby w. książ się papieżowi miał pokłonić! Posłał od siebie i przyj- mie posła, a co mu szkodzi się rozprawiać o kalendarzu i *Credo*... ale z tego nie będzie nic.

Worczeńko, nie śmiejąc mówić, dał znak potakujący.

— Nu! — zawołał — nam się zdało, że oni się na to wezmą, czego się im bardzo chce i że

uwierzą, iż w. książ też tego pragnie; a jemu papież nie w głowie... tylko czas by chciał zyskać, bo nas wojna wycieńczyła i nowych do niej przygotowań potrzeba. Chytrego mnicha posłali — dodał

— ale w. książ mądrzejszy od niego.

Pokiwał głową Worczeńko.

— Nu — rzekł — chytre i to są stworzenia, kiedy się na ten lep wziąć nie dały!

I zadumał się ponuro.

— Rachowali my, że tu trochę sobie odpoczną i o wojnie myśleć nie będą... tośmy się omylili.

— Omyliliście się, bo nie znacie człowieka — mówił podczaszy. — U nas nie król, ale

żołnierz na tronie. A co by on robił, gdyby nie wojował! Zawrze z wami sojusz, to pójdzie na Wołocha albo na Turka, ale oręza z ręki nie puści. Dopóki on na tronie, wasz w. książ spokoju mieć nie będzie, choćby nie wiem, co obiecywał.

Tu się obejrzał podczaszy.

— Ale my, my się go pozbyć musimy, bo on równie nam groźny, jak sąsiadom. U nas pod nim niewola... a my jej nie znosimy.

Rusin milcząco słuchał.

— Aby prędzej — rzekł — pozbądźcie się go. Gdyby i pomoc wam przyszło...

Podczaszy ramionami strzasnął.

— Ciężko z nim co poradzić — rzekł. — Wiecie, co się z Ościkiem stało; na mnie też oko mają, choć nic nie wiedzą... Ja muszę być ostrożnym. O mnie już jemu doniesiono.

Strwożył się Worczeńko.

— A cóż ze mną będzie?! — zawołał. — Mnie przykazano czasu wesela tu pozostać, wszystko widzieć, słuchać i zapamiętać.

— Łatwiej to wam, niż mnie przyjdzie — odparł podczaszy — bo was tu nikt nie zna i za wami chodzić nie będą. Jest gości siła, 'kto ich tam ma rozpatrywać. Wyście bezpieczni.

Na tym skończyła się pierwsza część ich rozmowy. Dowiedział się Krzysztof o gospodzie posłańca, dał mu instrukcje i przestrogi, nie taił, że mu rad, ale razem wyraził zdumienie, iż go z gołymi rękami przysłano.

Worczeńko w istocie kłął się, bijąc w piersi, że sam ledwie miał o czym przeżyć.

Naznaczywszy mu godziny, w których bezpiecznie, nie widziany mógł się na

Franciszkańskiej ulicy znajdować, podczaszy go odprawił, rozmyślając, jaką by z tego mógł

korzyść wyciągnąć. Chciałby się był zaraz pochwalić panu Andrzejowi tymi stosunkami, lecz po rozmyśle, do czasu zmilczał. Kasztelanowi zaś zwierzać się wcale nie zamierzał.

Kilka dni upłynęło i podczaszy począł już snuć coś i budować na onym tajemnym pośle w.

kniazia. Wesele było za pasem, ludzi tłok coraz większy. Obracać się też łatwiej było, bo wśród tłumu niknął pojedynczy człowiek i uwagi na siebie nie zwracał.

Uspokoił się nawet podczaszy co do Worczeńki, iż go tu nikt nie dojrzy i nie posądzi o to, z czym przyjechał.

Wtem jednego wieczora wpadł pan Andrzej, poruszony mocno, tak że o zwykłym pomiarkowaniu i udanym spokoju zapomniał.

— Skaranie Boże! — zawołał do podczaszego. — Wyście z Samuelem popędliwością

waszą naciągnęli na nas wszystkich podejrzenie, tak że teraz i niesłusznie już nam na barki kładą, co nie wiedzą, gdzie pomieścić.

— Cóż wam, panie marszałku — odparł zimno Krzychnik — co jam znowu winien?

— Nie wiem już kto, ale mnie na zamku młody Stadnicki przestrzegł, iż na nasz dom

kanclerz ma oko, bo do niego szpiegi moskiewskie chodzą!

Załamał ręce marszałek — a Krzysztof zbladł i usta wykrzywił.

— Skądże to mają? — wybąknął.

— Albo ja wiem — począł pan Andrzej. — Dostyc, że mnie przestrzeżono. Wy lepiej wiecie, czy mają do posądenia fundament.

Wyparł się podczaszy.

— O Bożym świecie nie wiem! Gdy nie mogą mnie cesarzem, to w. kniazem obarczają, dostyc, że już chyba, aby darmo nie cierpieć, gwałtem spiskować przyjdzie. Ma człek być prześladowany, niechaj że wie za co...

I przerwał rozmowę.

Nazajutrz rano bardzo już Krzychnika. w domu nie było, a - że na mszę nie zwykł był

chodzić, dziwił się marszałek, iż tak wcześniej z domu wybiegł. Podczaszy zaś chciał Worczeńce dać przestrożę i zakazać, aby jego noga więcej nie powstała na Franciszkańskiej ulicy.

Tak się w niczym Zborowskim nie powodziło, a ta sieć, którą byli obmatani, z ręki Mrocza się wysnuwała. Wierny sługa kanclerza raz na trop wpadłszy, już go nie stracił sprzed siebie.

Miał podczaszy pacholika niedawno przyjętego, który o każdym jego kroku donosił. Przez

niego o Rusinie dowiedział się Mroczek i poty około niego toczył, aż doszedł, z czym, od kogo i po co tu przyjechał.

Częste odwiedziny u Fontanusa także Mroczkowi były podejrzane. Wiedział, że Zborowscy

na wszystko są gotowi, a że na kulawego Dzierżka się nie bardzo mógł spuścić, sam jednego wieczora udał się do apteki.

Zachodziło tam ludzi dostyc, to kropli wzmacniających, to napoju krzepiącego, to różnych

lekarstw żądając od aptekarza. Mroczek, choć zdrów jak wół, musiał parę razy się czegoś napić, lecz po staroświecku rozumował sobie: „zdrowym to ma być, za cóż by miało mnie zdrowemu być szkodliwym?”

Jednego dnia przemknął mu się tu podczaszy, ale nieznajomego postrzegłszy, natychmiast zniknął.

Mroczek nieznanym był Fontanusowi, z dala go tymczasem starał się poznać... i w końcu,

pozostawszy z nim sam na sam, zagaił rozmowę od tego, że się go o przywilej na aptekę zapytał.

Fontanus wziął to zrazu za prostą ciekawość i zbył go ogólnikiem.

— Ale bo, widzicie — rzekł Mroczek — czasy takie nastały, że wszędzie porządek kanclerz chce czynić, nie ostaną się i apteki bez dozoru.

— Słyszeliście o tym? — spytał Fontanus.

— Co w. mości taić mam, jam żołnierz i sługa kanclerza — rzekł rotmistrz — mam zrzeczność słyszeć, co się tam mówi i projektuje.

Nie tajna i to rzecz, że źli ludzie na żywot i zdrowie króla JMci czyhają, a mogą własnym to przypłacić, bo jest na nich czujne oko. Do tych ludzi należy pan podczaszy Zborowski, który tu u w. mości często siadywa...

Fontanusowi, gdy słuchał, nogi tak osłabły i dygotać poczęły, że się o stół oprzeć musiał, aby nie upaść. Sprzyjał on panu Krzysztofowi, czy się z niego korzystać spodziewał, rachował na zarobek, który mu spiski przynieść mogły, gotując się je wyzyskać ostrożnie; wszystko to w jednej chwili prysnęło i rozwiało się, niebezpieczeństwo *groziło* poważne i nie do lekceważenia. Niemiec powiedział sobie, że powinien był stanąć po stronie silniejszego. W rzeczy samej nie obchodziło go tak bardzo, kto komu szkodę wyrządzi, byle on pozostał cały.

Należało więc otwarcie się przed panem Mroczką wypowiedzieć, bo ten przedstawiał króla, władzę, urząd i sprawiedliwość. Nie chciał szkodzić nikomu, ale najmniej samemu sobie.

Wziął się więc, ochłonawszy nieco ze strachu, dosyć zrzecznie i naprzód długo głową wahając, patrzył na Mroczkę, jak by chciał dobrze wyrozumieć, z jakiego rodzaju człowiekiem miał do czynienia, a potem rozpoczął:

— Posłuchajcie mnie, miłość wasza, a naprzód chcecie zaufać, że jak na spowiedzi prawdę wam mówić będę. Posadzacie mnie, że trucizny trzymam, ale tę lada baba dać może, silniejszą może nad tę, które ja znam. W fabrykowanie *venenów* ja się nie bawię, bo u nas one nie płacą. Tu ubić pięścią w miejscu nie rzadka, ale się uciekać do napojów i potajemnie na życie czyjeś czyhać

— nie polska rzecz... Więc uręczam wam naprzód, że ja tym nie handluję, ale na aptekę pojrzawszy każdy myśli: „tam i życia, i śmierci za pieniądze dostać można”. Poruszył ramionami.

— Jestem pewnym — dodał — że u mnie kupować trucizny nikt nie myślał naprawdę, ale się dowiedzieć chciano, czy kto inny jej nie dostał.

Wy posadzacie Zborowskich, że oni dla króla czy hetmana jej potrzebują, a Zborowscy się

boją, aby im Krzysztofa albo Samuela nie otruto. Dlatego ze dwu stron oto nachodzicie i ciągniecie mnie, azali nie sprzedam, a ja i im powiadam, i wam, że sprzedaję...

— Jako — zakrzyknął Mroczek — więc co myślicie?!

— Myślę lada jakiego ziela za gruby pieniądz dostarczyć — rzekł Fontanus — aby gdzie indziej nie szukali, a zła ono nikomu nie zrobi.

Uśmiechnął się aptekarz.

— Przychodził do mnie, o truciznę dowiadując się, wasz człek — dodał — bo kulawy do

waszych należeć musi, badał mnie podczaszy Zborowski, ale nikt nikogo truć nie myśli, tylko się sam obawia być otrutym.

Mówię wam prawdę — rzekł odetchnąwszy — śledźcie, to się o tym przekonacie.

Mroczek słuchał rozważając i zdawała mu się mowa rozumną.

— Ano — dołożył Fontanus, okulary poprawiając — nie ja jeden tu aptekę mam. Chcecieli mi zawierzyć, ten co truć zamyśli, w publicznej oficynie szukać nie będzie środków po temu...

przywiezie sobie z Włoch, dostanie z Niemiec albo i od bab z Rusi, kędy czarownice i trucicielki mają być pospolite.

Panom zaś Zborowskim — rzekł w końcu, czując się w obowiązku wystąpienia w ich obronie — panom Zborowskim nie przypisujcie myśli zdradliwego podsuwania napoju.

Powinniście ich znać, z nich każdy ubić może bardzo. łatwo, gdy w pasję wpadnie, szczególnie Samuel, ale się podkradać i podstępnie życia zbawiać, to nie jest ich rzecz. Podczaszy się o własne boi i utrzymuje, że kanclerz jego chce zgładzić trucizną.

Porwał się Mroczek gniewnie.

— Milczże! — krzyknął. — Kanclerz, pan mój, we Włoszech, prawda, bywał, i mieszkał, i zna włoski obyczaj, ale go nie przejął i z odkrytą przyłbicą walczy, a po kryjomu nic nie czyni... posądzać go o to nawet grzechem jest.

— Ja też tego nie czynię, ale drudzy! — zawołał Fontanus.

— A ci, z siebie sądząc, tego się dopuszczają — odparł Mroczek.

Uspokoił się z wolna Fontanus, a po rozmyśle i rotmistrz także ostygł.

— Nie jest mi źle w Krakowie — rzekł po chwili aptekarz — nie skarżę się, ale mamli być posądzanym, a na męki ciągniętym, wolę zwinąć moją oficynę, i na Szląsko się wynieść albo do Pragi.

— Czego ja ci pod czas nie życzę — dodał Mroczek — boby rzeczono, żeś się czuł winnym i zbiegł przed pomstą. Siedz w miejscu, a złego nie czyn.

Fontanus się skłonił.

— Bądźcie pewni — dodał — że tu nie o zadanie trucizny chodzi, ale o jej obawę...

Wstał rotmistrz i zaleciwszy milczenie aptekarzowi, precz odszedł uspokojony. Sam pozostawszy Fontanus, dopiero począł rozmyślać, co miał czynić i po czyjej stać stronie; uchodzić, czy pozostać. Zdawało mu się wszakże, iż z Mroczkim dosyć otwarcie postąpiwszy, mógł bez obawy w miejscu siedzieć.

Właśnie mu też znaczny się obiecywał zarobek, bo przed weselem ieszcze do tuteiszych lekarzy, do Oczka, do

Buccelli przybyła dla leczenia się siostrzenica pana hetmana Zamojskiego, Jana Dulskiego, kasztelana chełmskiego, podskarbiego koronnego małżonka, około której zdrowia, co było lekarzy najślawniejszych podówczas, Buccella, Oczko, Botrinnius, Roguski, Gosławski, wszyscy się krzatali. Zapisywano wedle formuł ówczesnych długie na łokcie recepty, a Fontanus potem jeszcze dłuższe wystawiał za nie rachunki. Nie było prawie dnia, ażeby czegoś z apteki jego nie potrzebowano, smutno więc było Kraków opuszczać.

Wesele, przy którym turnieje i mnogie guzy obiecywały pokup na plastry i balsamy, także aptekarzowi się uśmiechało. Nie było bowiem starcia, choćby nie na ostre *goniono*, żeby ktoś potłuczonym nie był i smarować się nie potrzebował, byłe go tylko koń lub zbroja własna przygniotła.

Westchnąwszy więc nad nieodłącznymi od powołania swego nieprzyjemnościami, Fontanus postanowił nie opuszczać Krakowa, nikomu trucizny nie sprzedając i nikomu nadziei otrzymania jej nie odmawiając.

Rotmistrz Mroczek, który po żołniersku spełniał swe nadzorcze obowiązki, rycersko też je pojmował i wyszedł z apteki uspokojony znacznie, wszystkie te plotki i wieści, jako ze strachu pochodzące, lekceważąc. Bądź co bądź jednak oko na Zborowskich mieć postanowił, tym bardziej że do nich co dzień prawie ktoś przybywał, a co z cesarstwa, od Niemiec i od Moskwy się

zwlekało, prędzej później ku Zborowskim się kierowało.

Krzysztof unikał wprawdzie okazywania się publicznego, siedział w domu albo z dala od

zamku krążył, ostrożnym był wielce, ale do Piekar dojeżdżał, a stamtąd Włodkowa, kędy potrzeba było, posły i posłance na cztery świata krańce rozsyłała, rada bardzo, że czynną być mogła.

Gdy się to działo w Krakowie, gońcy wyprawieni za zbiegłym Wojtaszkiem na próżno go

szukali. Znikłszy z Białego Kamienia, w Złoczowie, kędy go się domyślano, nie pokazywał się, a we Lwowie po tych kątach, w których się zwykle zaszywał, także go nie znajdowano. Obawiał się więc pan Samuel nie bez przyczyny, aby w pierwszym impecie listów, które czytał, i spisków, o których wiedział, nie poszedł dla pomsty kanclerzowi wyjawić.

Chwila jednak tej zdrady nie nadeszła jeszcze. Samuel ostygł, bo u niego żaden ogień nie trwał długo, gotów był przebaczyć i wmawiał sobie, że lutnista, też zatęskniwszy, pod strzechę powróci.

V

Dnia dwunastego czerwca wesele ono sławne odbywać się miało, ku któremu już wszystko

było w gotowości, krom małych rzeczy, które w sali na Rapsztynie, przez Zamojskiego na przenosiny zbudowanej umyślnie, obszernej bardzo, bo gości na seciny liczyć miano, jeszcze coś wieszano i przybijano. Ale na to rzemieślnicy tydzień jeszcze czasu mieli, bo tak było

postanowiono, iż król synowicy gody sprawował przez niedzielę całą, a drugą trwać miały zabawy na przenosinach u hetmana.

Dawno już takiego popisu okazałości Polska nie widziała, więc co było opon po skrzyniach i starych zbroi po dworach i oręża pięknego, szytych złotem sahajdaków, szmelcowanych hełmów i złoconych, wszystko to teraz na świat Boży wychodziło, wprzód przez ręce płatnerzy

przeszedłszy, którzy rdzę i prochy oczyszczali.

Sprowadzono też wiele z zagranicy ryszunków.

Przed wszystkim rycerstwo młode turniejami dawno nie bywałymi zabawiało się, bo te już

tylko, jako stary obyczaj rycerski, utrzymywały się, gdy wojna coraz nowe wymysły i oręż odmienny wprowadzała.

Ślub nowożeńcom dawał w kościele św. Stanisława na zamku, w obecności obojga

królestwa ks. biskup kamieniecki, Marcin Białobrzeski, z wymowy słynący, postawy wspaniałej, wesołego oblicza i łagodnego charakteru prałat.

Za czym nastąpiły długie, owego czasu niezbędne ceremonie, przy których dłuższe jeszcze

wyglaszano mowy, przy oddawaniu darów, marcepanów, wprowadzaniu i oddawaniu w łożnicy, przyjmowaniu imieniem pana młodego itp.

Andrzej Opaliński, marszałek koronny, który po Gryzeldę do granicy wyjeżdżał, oddawał ją też panu młodemu, za co ks. Piotr Myszkowski, biskup krakowski, dziękował.

Nazajutrz kasztelan sandomirski, Tarnowski, pierwszy pani młodej od męża złożył upominki, a po tych nastąpiło wręczenie innych darów kosztownych od króla, królowej, książąt, panów, rad, senatorów, przytomnych nie będących w Krakowie, a nawet od niektórych miast głównych itp.

I tu na mowach nie zbywało, bo przemawiał każdy z oddających, a wszystkim za hetmana potem dziękował kasztelan trocki Radziwiłł.

Upominki, począwszy od klejnotów do sreber, futer, tkanin drogich, naczyń pozłocistych, do sukna i rozmaitego kosztownego sprzętu, stosami zaległy u nóg pani młodej.

Wszystko to miało tak królewski i uroczy charakter, iż złośliwi ciągle przypominali wesele Zygmunta Augusta z pierwszą żoną jego, którego ceremoniał nawet do przyjętego teraz był podobnym.

Nie dziw też, że zazdrość się budziła, widząc szlachcica nagle spośródka sobie równych aż do tronu niemal podniesionego. A przyznać też musieli i niechętni hetmanowi, że tę nową świetność, którą go przyoblekało połączenie z domem królewskim, dostojnie nosić umiał.

Po raz też pierwszy od wesela króla publicznie się razem Stefan Batory obok królowej Anny pokazywał, czego uniknąć nie było można. Dwa więc dwory oddzielne, które się nie znały prawie, jeden polski królowej, drugi przeważnie węgierski króla, spotykały się tu po raz pierwszy. Oba one zbytnim nie świeciły blaskiem, a z nich jeszcze królowej prawie się odznaczał przepychem, bo jej urzędnicy i to, co ją otaczało, sadyliło się na okazanie dostatku, który, niestety, razem z Boną zniknął rozprószony.

Zamojski sam, choć pan znaczny, obok przepychu królewskiego nie byłby mógł stanąć z nim na równi, gdyby szlachta, która czuła w nim brata i reprezentanta stanu swojego, tłumnie przy nim się nie stawiała i nie otoczyła go orszakiem okazałym.

Na drugim więc tygodniu, gdy Zamojski ugaszczwał i przyjmował, wystąpiły i turnieje, i maskary, i na co tylko smak a umiejętność czasów owych zdobyć się mogły. I zaprawdę ci, co tu

przybyli, aby patrzeć, mieli się przyglądać czemu.

Turnieje naprzód, których siedem par zapowiadano, odbywały się w Rynku, gdzie

Spieglerową kamienicę dla obojga królestwa przystrojono zielenią i oponami kosztownymi. Był to już, jakżeśmy powiedzieli, zabytek czasów dawnych, pamiątka, która teraz rzadko bardzo oczom się ludzkim przedstawiała.

Starzy tylko rycerze jeszcze formy, obyczaj i prawa tych gonitw znali, a pokierować nimi mogli. Najpiękniejsze zbroje tego wieku, które były ostatnim słowem sztuki płatnerskiej, występowały na turniejach i osobny rodzaj hełmów, pancerzy, blach, tylko do turniejów

przeznaczonych, porywał oczy pięknnością swoją. Hełmy niektóre całe historię misternie trybowane, złoczone, szmelcowane okrywały, a kosztowały tysiące. Takie napierśniki a najpiękniejsze tarcze, na ten raz tylko ze skarbów podobywano, aby je potem wiekom potomnym jako sztuki przekazać pamiątkę.

W pierwszej parze do tych harców stanęli Podhorecki z domu Belinów z Pawłem Rackim, przy czym się pierwszemu dobrze kopię swą skruszyć udało, a oba wyszli bez szwanku.

Za nimi szli tuż Andrzej Grudziński z Jakubem Jankowskim z dobrzyńskiej ziemi, Junoszą, któremu Jankowski przeszył rękę tak, iż kopia przez nią sterczała.

Tedy już bez rozlewu krwi się nie obeszło, ale bez niej też prawych turniejów by nie było.

Potykali się potem Kazimierz Stefan Biberstein z Gór- skina, gdzie się pierwszemu z nich nie poszczęściło, bo mu Górski ramię prawie zgruchotał.

Mniej szkodliwe było starcie następnych: Pawła Piaskowskiego Junoszy z Mikołajem Rogozińskim, bo tylko że kopie swe pokruszyli i wyszli bez szwanku.

Dalej Miłkowski sandomierzanin, Abdank, potykał się z Kirmańskim, który o konia

Miłkowskiego kopię skruszył, a raczej o zbroję, którą on był okryty, bo i konie do tych zapasów w żelazo odziewano, a miały co dźwigać na sobie.

Potem jeszcze Krzysztof Broniewski, z domu Tarnawa, ścierał się z Janem Dobkiem i konia

mu też ubił. Na ostatek wreszcie weszli w szranki ochotnicy ostatni: Stanisław Ciemiński z Bronisławem Orchowskim, ale na tych harc mało kto patrzył, bo następować miały maskary, które największą ciekawość obudzały, więc na nie wyężona była uwaga.

Turniej ów, przy którego odprawieniu młode rycerstwo mocno obstawało, bo same

widowiska i maskary nie zdały się godności hetmańskiej odpowiadające, do różnych pobudzały refleksji.

Mimowolnie wszystkim na myśl przychodził Wapowski, po którym wdowa dotąd w

żałobie, nieutulona w żalu, prawdziwie święta matrona, chodziła. Przypomnieli się Zborowscy, co tak krwawo pierwszy dzień niemal panowania Henryka zaznaczyli. Szukano ich tu oczyma na

próżno i nie znajdowano, krom kasztelana, bo Andrzej nie występował naprzód, a Krzysztof, ciekaw oglądania, musiał się kędyś na strychu umieścić, małym i nie postrzeżonym czyniąc, aby go tam nie poznawano.

O Samuelu zaś ani mowy, ani słyhu nie było i nikt się go tutaj ani spodziewał, ani

domyślał, aby miał głowę *wazyć* dla ciekawości próżnej.

Toteż może nie dla niej, ale dla przechwałki późniejszej i dogodzenia zuchwalstwu

własnemu, Samuel potajemnie, samotrzeć, w opończy niepokażnej dobieżawszy do Piekar

wieczorem dnia jedenastego czerwca, gdy go okrzykiem przestachu przyjmowała piękna

Włodkowa, usta jej pocałunkiem zamknął.

— Cichoż ty, kuro zmokła! — zawołał. — Czego się lękasz i czemu dziwisz? Mnie tu nie

ma, ani mnie oprócz ciebie ma kto widzieć i wiedzieć o mnie.

Drżała siostrzenica, jeszcze nie mogąc przyjść do siebie, bo przez Krzychnika nastraszona, o życie się Samkowe lękała, gdyby się teraz śmiał tu okazać.

— Cóż cię tu przygnało? — zapytała, wiodąc go ku alkierzowi tak, aby żadna z kobiet

widzieć nie mogła, a chcąc ukryć od wszystkich oczu ciekawych.

— Co? — rozśmiał się Samuel. — Nie chcę, aby rzeczono, żem ze strachu na ich te jasełka

nie patrzył. A potem — dodał, siadając obok Włodkowej na ławie — zbiega szukam, który bodaj nie do Krakowa się schronił.

— Kto? — zapytała Włodkowa.

— Alboż pytać trzeba?! — zawołał: Samuel. — Ten łotr Wojtaszek, spoliczkowawszy mi

Boksickiego, konia dopadł i umknął. Lękam się go, bo jak pięknie śpiewa, tak brzydko zdradzić mnie i wydać gotów, a wszystkich moich uczynków świadom jest.

Słuchała Włodkowa, lecz wnet potem odradzać i zaklinać poczęła, aby się do Krakowa nie

ważył, gdyż wiedziała od Krzysztofa, że pomimo zbiegowiska, na każdego tam człowieka oko miano, a Samuelowi ukazanie się w Krakowie płazem by nie uszło.

Tylko że z Samkiem rozprawiać, gdy on co postanowił, było to groch ciskać na ścianę.

Słuchał, śmiał się, ale zawsze potem swoje zrobił. Udawało mu się bezkarnie dokazywać dla samego zuchwalstwa, które wszelką przechodziło miarę. I teraz więc, gdy Włodkowa go, po rękach całując usiłowała pohamować, on ją, ściskając, wesoło upewniał, że cały wyjdzie, a wesele widzieć musi. Znacznym będąc i wzrostem, i twarzą, i postawą, którą kto raz zobaczył, nie zapominał, z trudnością się mógł do Krakowa dostać nie postrzeżonym, lecz nazajutrz rano i konia zmieniwszy u Włodkowej, i suk- nie wzięwszy od jednego z jej czeladzi, przebrawszy się jako mógł najlepiej, przede dniem jeszcze dobrze wyjechawszy z Piekar, nocą stanął w Krakowie.

Tu ani myślał do braci się zgłaszać na Franciszkańską ulicę. Miał w Rynku mieszczanina

sobie oddanego, którego Pająkiem zwano, i do tego się wśliznął, aby mu chociaż okna na strychu dozwolił.

Cierpła wprawdzie Pająkowi skóra na grzbiecie, bo się nasłuchał, jak tu na Zborowskich się odgrażano i co o nich trzymano, ale Samuelowi się sprzeciwić nie było sposobu. Gwałtem i przebojem na swoim by postawił.

Na strychu więc, choć już komu innemu przyrzekł był komórkę, musiał ją dla Samka oddzielić, zalecając mu tylko, aby się nie okazywał.

— Bądź spokojnym — rzekł Zborowski — mam ja jeszcze dosyć do czynienia, abym zawczasu szyję ważył. Skryję się dobrze, ale niech ludzie nie powiadają, żem ja się, odgrózek Zamojskiego uląkłszy, na to widowisko bał przybyć.

Z onego okna na strychu wprawdzie nie całe szranki, nawet się wychyliwszy, objąć było można, zawsze jednak Zborowski mógł turniej oglądać i z harcujących się wyśmiewać.

Na myśl mu wcale nie przyszło, ażeby wśliznąwszy się do Krakowa, miał zarazem natknąć na tego zbiega, którego odzyskać pragnął.

Tymczasem stało się, że Wojtaszek, też do Krakowa się dobiwszy, tu nigdzie przytułku

znaleźć nie mogąc, pod murem zewnątrz cmentarza P. Marii, konia głodnego trzymając w rękę, noc musiał spędzić. Dopiero mu nad ranem myśl przyszła szczęśliwa do Pająka się udać, którego znał i wiedział, że mu nie odmówi pomieszczenia.

Zobaczywszy go Pająk, ani pytał, był pewien, że z panem Samuelem razem przybyć musiał,

na zapytanie więc o miejsce, na strych go zaprowadził i wepchnął tam, gdzie się Zborowski zmęczony dopiero na garść słomy pod dachem znaną rzucił. Zobaczywszy pierwszy

wchodzącego Wojtaszka, którego oczy z ciemności wschodów jeszcze ze światłem się nie oswoiły, zerwał się Samuel i nim lutnista się opatrzył, chwyciwszy go za kark, strząsnął nim i obalił na ziemię. Mm twarz pańską rozeznał, rękę jego poczuwszy, Wojtaszek domyślił się, jak wpadł tu nieszczęśliwie, i zażył fortelu, mrużąc, że sam przecie przybył, aby mu się oddać.

Jak się rozprawili starzy znajomi, to opowiedzieć trudno; chytry i przebiegły Wojtaszek, jak całe życie uwodził i co chciał czynił ze Zborowskim, tak i teraz okłamał go jak najłatwiej, przebaczenia nawet prosić nie potrzebował i stanął za nim wkrótce potem patrzeć na turnieje.

W ten sposób tylko to, co się stać miało wcześniej, przewlekło się, bo znużony, głodny,

pieszczony lutnista, który grosza przy duszy, uchodząc, nie miał, a zarobić go dotąd nie znalazł

zręczności, poddał się obojętnie Samuelowi, choć go tak samo, a może więcej niż wprzód,

nienawidził i stale miał postanowienie, zdradzając go się wyzwolić.

Było mu to nawet na rękę, że się pojednał z panem, bo się spodziewał, powróciwszy z nim

do Kamienia, listy Krzysztofa wykraść i nimi lepiej niż słowy przekonać, iż Samuel z Krzysztofem na żywot króla i hetmana zmawiali się i czyhali.

Przez cały czas turniejów Samko tak nimi był zajęty, iż prawie na Wojtaszka nie spojrzął, a lutnista układał przyszłe swe postępowanie.

Jakimi uczuciami oba względem siebie ożywieni byli, najlepiej to dowodzi, iż Wojtaszek

już tylko środki obmyślał, jak ma skrypta opanować, a Samuel rozważał w sobie, co lepszym było, czy Wojtaszka, z Motrunką gwałtem ożeniwszy, trzymać nadal przy sobie, czy go na łowach ubić jak Trepkę.

Śpiew jego był mu potrzebnym, do chłopca nawykł, miał do niego słabość, ale się go i

obawiał, i nienawidził, i prędzej czy później przeczuwał w nim pragnienie zemsty i zdradę. Gdy się to działo na strychu w Pająka domu, z kamienicy Pod Baranami, onej sławnej, o której baranach Bielski napisał satyrę, wiele mającą rozgłosu, wyciągał po murzyń- sku przebrany Mikołaj Wolski, miecznik koronny i krzepicki starosta, na wózku pozłocistym. Około niego było ośmiu trębaczów od złota i szkarłatów przyodzianych bardzo suto, jechał też rycerz we zbroi złoczonej, a na wozie o trzech kołach „Fama”, ponad którą unosił się orzeł biały. Wóz rycerz zbrojny jednym koniem pod kapą szytą powoził, a tego sam Wolski reprezentował. Oprócz „Famy”, wszyscy trębacze i rycerze czarno umalowani Murzynów z innego świata przybyłych na odgłos „Famy” wyrażali.

Początek ten dosyć się wszystkim widzom podobał i aplauzów mu nie brakło, ale tuż inne

dziwy nadciągały, tak że starosta krzepicki znikł z oczów gęstego tłumu.

Za „Famą” szedł „Elefant” ogromny, jakby żywy, chociaż wiadomym było, że w czterech nogach jego czterej wy-’ uczeni ku temu pachołkowie miejscy stali i one po kolei podnosili; na słoniu zaś tym, jako się to praktykuje tam gdzie one są do posługi wyuczone, stała wieża wspaniała, z której górnego piętra ognie puszczano.

Na koniec za nimi, na trzech żywych wielbłądziech jadący Murzyni, nieśli złotą zasłonę,

velum, i kawaler po murzyńsku strojny pstrokato jechał, a z nim czeladzi i giermków kilkanaście, wszyscy strojni.

Wtem z kamienicy Kiślinga wyjechał pan Miński Stanisław, późniejszy wojewoda łęczycki, ale w niefortunną godzinę. Wóz miał na sterach obłokiem okryty, na którym siedziały obok siebie, jak się to i na świecie dźać zwykło, „Fortuna” i „Nieszczęście”. Obłok był z bawełny bardzo misternie uczyniony, wóz zaś ciągnęli trzej orłowie, na którym siedział Jowisz i ciskał straszne łyskawice i pioruny. Ano się nie opatrzyli, że bawełna od lada iskry strasznie płonie, więc się wziął

na wozie pożar natychmiast, zapalił wóz, i ledwie nie wszystko w nim zgorzało, a sam bóg z wozu uchodzić musiał, aby nie spłonął; ale ogień, choć nie bez wielkiego trudu, ugaszono.

Wszystko się to małym czym zakończyło, ale że ludzie z każdej rzeczy prognostykony

ciągną, zaraz się gadanie wzięło, że małżeństwo nie bardzo będzie szczęśliwe i nietrwałe... Do orszaku tego należało też giermków i koni pod dekami powodnych dosyć, których okrycia nie tylko konia, ale stołu by nie zeszpeciły.

Ukazała się za tym *Porta triumphalis*, cudnie pięknie i kosztem niemałym zbudowana na kołach, których cale widać nie było. Ta się wysunęła od kamienicy Wajsowskiej i przeciągnięto ją aż za kramy nożowników, gdzie miejsce swe zajęła.

Jechał pan Mikołaj Zebrzydowski, starosta stężycki, z muzyką pięknie przystrojoną, za którą postępował *Tempus* — „Czas”, bardzo kosztownie odziany w altembasy. Przed nim zaś posuwała się bania okrągła ze złotego płótna uszyta. *Tempus*, siwy starowina, brodaty, poganiał „Dzień i Noc”, wóz ciągnęły „Godziny”, to jest dwanaście chłopiąt białych a dwanaście czarnych, z zegarkami na głowie, godziny oznaczających. Czarne w atłasach i kitajkach sukienki, białe —

gwiazdami siane.

Za „Czasem” szło posłuszne mu i, jak „Godziny”, do niego łańcuszkiem przywiązane

„Słońce i Księżyc”. Kończył pochód „Kawaler Saturnusowy”, przed którym postępowali dwaj patronowie i lokajów czterech bardzo wykwintnie ustrojonych.

Wszystko to, jako i kunszty poprzedzające, przeciągało przed królem i królową, którzy

oboje okazywali uciechę z tego widowiska, chociaż więcej ono pono dla gawiedzi, niż dla nich

uczynione było, a Anna Jagiellonka poczekawszy nieco później, bodaj ziewanie, chustynkę na ustach trzymając, pokrywała.

Książęta słuckie, królowi J.Mci chcąc zarówno, jak hetmanowi uczynić przyjemność tę, że

im Wiktorią ich świeżą na pamięć przywiedli, całą niby wyprawę w osobach i różnych

emblematach reprezentowali. Tuż za nimi jechali trębacze we zbrojach pozłocistych, a dalej stu rycerzów na koniach i piechota z pozłocistymi szefelinami po staroświecku, i wozy, na których

„Połock”, „Sokół”, „Wieliz”,

„Wielkie Łuki”, a na innych czterech wieziono skarby, skrzynie trzy, kubki niesiono, i szli dziwnie poubierani mężowie, niby jeńcy wojenni. Przy czym, żeby się ludzie nie cisnęli, wodą zaprawioną wonnościami na tłum strzykano. Tego całego tryumfu, dla wielkiej różnaitości osób, z jakich się składał, opisać jest trudno, gdyż mnogość była i więźniów, i rycerstwa, i niewiast powiązanych, i niesionych łupów, i chorągwi, i wszelakiej wojennej zdobyczy, jako to na

tryumfach rzymskich, których kolumny pamiętne dotąd stoją.

Jechał i drugi *Saturnus* na wozie, który się sam poruszał, albowi też pod okryciem schowani ludzie go posuwali, ale ich widać nie było. Szli i Szwajcarowie w zbrojach pozłocistych, których było osiemdziesiąt, za którymi wóz modry, gwiazdy złote po nim, miesiąc, słońce i *Spes* —

„Nadzieja”, którą ślicznych pięć koni białych ciągnęło. Za tymi dwunastu mężów w błękitnych atłasach, nieśli w rękach dwanaście kubków pozłocistych, każdy inny, a jeden nad drugi piękniejszy robotą. Dalej jeszcze była czeladź książęca mnoga i same książęta od złota i klejnotów świecące, a pacholąt sześcioro, też dziwnie strojne, które kopie niosły za nimi.

Można sobie było wyobrazić na to patrząc, jaka zamożność tego domu być musiała i zasoby, których tu się ledwie jakaś cząsteczka okazywała.

Ponieważ król Stefan zwać się mógł wielkim łowcem przed panem, bo myślistwo wszelakie

miał w upodobaniu, i począwszy od ptaków, psów, sieci i oszczepu do wabika, wszelkiej łowieckiej zabawce hołdował, więc mu tu Stanisław Żółkiewski, wojewoda bełzki, boginię samą łowów Dianę reprezentował bardzo foremnie, na którą patrząc, że się królowi ciemne jego uśmiechnęło oblicze, na to mnodzy patrzyli świadkowie. Cały był przyodziany w kolor leśny, zielony, a za nim szło sześć pańien i sześć mężczyzn, zielono także poubieranych, bardzo kształtnie, którzy wiedli jelenie żywe, sarny, psy różne. U kobiet, czyli nimf, włosy rozpuszczone na ramiona w puklach, iście złotem lśnić się zdawały. Wśród nich patrona w srebrnogłowej szacie, przy niej dwie niewiasty, jedna w białym atłasie, druga w szkarłatnym. Diana przed królem mało co postawszy i pokłoniwszy mu się, siadłszy na koń w dalszą drogę ciągnęła, innym miejsca ustępując.

Wszystkiemu temu nie koniec był jeszcze i przeciągnęło się to bardzo długo.

Za czym Joachim Ocieski, starosta olsztyński, wyjechał z gródka na wozie umajonym, który ciągnęło

sześć koni ze skrzydłami przyprawionymi, on sam konno po kawalersku. Na wozie

wiezion był Kopido z chłopcem, który ślicznie pieśni miłosne zawodził, a muzyka mu przygrywała osobliwa, tak że wszelki gwar dla niej ustał. Przy czym ciągle ognie sztuczne miotano.

Na ostatek, co najprzedniejsze zdaniem wielu pozostało, wiedzione przez panów Jana i

Piotra Myszkowskich, synowców rodzonych arcybiskupa, którzy ochędostwem i kunsztem nad

innymi celowali. Naprzód szła muzyka nad insze pięknie, kosztownie ubrana a chędogo, za nią czterej trębacze w żółtym z białym atłasie, za którymi ciągnęli wielorybowie dwa muszlę morską, której z oczów i nozdrzy woda wonna tryskała na ludzi, od czego jednak ustępować musiano, bo oczów nie patrzyła ani gąb. Na tej tedy muszli albo czaszy siedziała Venus w złotogłowie wielce pięknym, brunatnym, obszywanego żółtym i białym złotogłowem i na głowie takąż strój. Muszla i wieloryby przypominać miały, iż poeci greccy i rzymscy opowiadali ją, jako z piany morskiej zrodzoną. Szły obok niej osobliwie pokonterfektowane cztery niewiasty, wyrażające „Europę”,

„Afrykę”, „Azję” i ąarta pars mundi, której nazwisko niestałe jeszcze było. Każda z nich miała swe sigpna i oznaki.

Parys szedł z rękami w tyle związanymi, za którym jechali dwa patronowie w złotych

koronach pięknie ubrani, a z tych jeden niósł jabłko, złote, wdzięczną wonią napełnione, dar Jowiszowy Parysowi, z napisem: Pulchior detur.

To oddane zostało panu kanclerzowi, jako się samo z siebie rozumie, dla wręczenia jejmości.

Czeladzi było dwanaście, w żółtych, w czerwonych, w białych i modrych atłasach, cztery

konie powodne, deki na nich szyte atłasowe, błękitne, czerwone, żółte. Te wiodły białogłowy pięknie strojne w kitajkach wiśniowych.

Wszyscy szli mimo króla po razu, tylko ostatni pp. Myszkowscy dwakroć, bo było na co patrzeć i czym się zabawić.

Synowcowie tedy krakowskiego biskupa z Wenerą zakończyli reprezentację tę, przy której pro rei memoriam, srebrne medale znane z napisem: Livon, Polot, Recep rozrzucano.

Co się tam w duszy Samuelowej działo, gdy na te okazałe tryumfy, na hołdy całego narodu i najprzedniejszych rodzin patrząc o upokorzeniu swej rodziny dumał, to twarz jego zmieniona okrutnie, męczarnią wewnętrzną aż do zbytku wyrażała, a Wojtaszek, czytając w niej, radował się, bo jego nienawiść dla pana równała się tej, jaką Zborowscy poprzysięgli Zamojskiemu.

I oba ci na strychu ukryci widzowie knuli — jeden pomstę nad tryumfującym hetmanem, drugi zgubę tego, którego chleb jadł od dzieciństwa.

W tłumach mógł z tego okienka Samuel i brata kasztelana dostrzec, który pomiędzy widzami poczesne, jawne miejsce zajmował, a zdawał się zabawiać wielce tymi kunsztami, dawno tu nie widzianymi, które lud prosty „pańskimi maskary” nazywał.

Wyjąwszy ową nieszczęśliwą pogorzel z bawełnianym obłokiem, o której wprędce zapomniano, tak wszystko poszło składnie i gładko, iż w tłumach nikogo nie zduszono i nikt się nie ozwał ze skargą.

Zaś tryskanie wodą wonną wielce się gawiedzi podobało. Król też weselszy powstał po widowisku, wraz z królową nowożeńcom na zamek towarzysząc.

Pająk, jako się znał na gościnności, a Samuela gdyby ognia, obawiał, choć wiedział, że jemu tu się okazać niebezpiecznie i ze stroju mógł wnosić, że widzianym być nie chciał, nie mógł go puścić wygłodzonego bez jakiegoś traktamentu.

Na ten cel w alkierzyku odosobnionym stół wcześniej był zastawiony, miód, wino i zawieszista pieczeń, na którą zaprosił po cichu.

Nie dowierzając Wojtaszkowi, choć ten mu się jakby dobrowolnie powróoony stawiał, kazał

Zborowski iść za sobą. We trzech tedy wśliznęli się do komórki, na cześć p. Samuela dwoma żółtymi świecami woskowymi oświetlonej, i gość bez ceremonii u stołu miejsce zabrał, a

Wojtaszek też, nawykły z nim razem biesiadować, prosić się nie kazał.

Spojrzał nań tylko Samuel, ale mu nic nie rzekł.

Pająk z złożonymi w tył rękami stał na straży.

— No — zawołał p. Samuel, obracając się do niego — dopełniło się tedy, mamy jako we

Francji delfina, bo to już i ślepy dojrzy, że pana Zamojskiego prowadzą do korony, ale jakośmy ją dali niewdzięcznemu Batoremu, bo nie kto, tylko my na karki nasze wnieśli, tak nie dopuścimy, aby szarak ten nam panował. Wstyd i srom po Jagiełłach i Piastach „Wilcze Zęby” i „Kozłe Rogi”!

Niedoczekanie ich!

Pająk milczał i aż mu się zimno robiło; gdy Samuel na niego spojrzał, zobaczył tylko twarz ściągniętą i błagającą, aby poprzestał.

Rozśmiał się więc Zborowski, nalał sobie kubek i za zdrowie Pająka go wychylił.

— Tak, oto widzisz — rzekł — losów igrzysko, ten obcy człek nam tu panuje i rozkazuje, a my, ojczyce tuteszni, do których ta ziemia należy, nie zawojowani orężem, ani podbici, ale dobrowolnie w sidła się oddawszy, musimy tyranię znosić, banitami się błąkać i patrzeć, jako dobrem naszym szafują ci, co pochlebiać umieją.

Ale, Pająku miły, czas płaci, czas traci... jutro jeszcze nie koniec świata, a ci, co we flusa grywają, mówią, że gdy kilka razy są pobici, pewno im los gotuje zapłatę. Tak się i nam zda, że przyjdzie panom Zborowskim godzina szczęśliwsza, naówczas im się też ludzie kłaniać będą.

Wtem zadumawszy się nagle, gdy mu myśl jakaś przysła, zwrócił się do Wojtaszka.

— Konia masz?

— A juści bym pieszo nie chodził — odparł lutnista — choć mnie, jak jemu, dobrze się boki wciągnęły.

— Jedźże za mną i abyś mnie na krok nie odstępował — rzekł Samuel — a podle domu na

Franciszkańskiej oba konie, nie wchodząc potrzymaj, bo ja tam nie zabawię, a ciebie ani mnie nie trzeba, ażeby tam widziano.

— Tom ja już parobkiem do koni? — spytał Wojtaszek dumnie.

— Tym będziesz, czym ja ci być każę! — zawołał Samko. — Me, swojego konia wezmę, waszego dajcie komu ze dworu.

I mówiąc to się odwrócił. Zborowski miał widocznie ochotę dać mu naukę, ale się powstrzymał i rozśmiał gorzko.

— Dajże tu kurze grzędy! — zawołał. — Chodź wasze...

Przeprowadził ich na podwórze Pająk, gdzie szkapy znalazłszy napojone i niegłodne, siedli na nie, wyciągając z kamienicy w Rynek, kędy około stojącej bramy tryumfalnej siła ludzi zgromadzonych śmiało się i pieśni śpiewało.

Gromadki podpiłych wałęsały się po Rynku, a miasto tak wyglądało, jak by wcale spać nie miało dnia tego. Noc też czerwcową dziwnie była piękną, jasną i ciepłą.

W browarach i po szynkach czeladzie panów przyjezdnych nie tylko stoły obsiadały, ale

izby tak były nabite, że się już do środka dostać nikt nie mógł. Ławy, powystawiane na zewnątrz, także pozasiadano gęsto, a tu i ówdzie pieśni się odzywały.

Cała zresztą droga, wiodąca do zamku, przechadzających się i przejeżdżających była pełną, których pomijając, Samuel popędził pod dom swój i tu wywołałszy czeladź, konie oddawszy, a i Wojtaszkowego kazawszy mu odjąć dla bezpieczeństwa, sam wprost do podczaszego szedł, pewien, że go zastanie, i że on na zamku nie urzęduje.

Jakoż odgadł, siedział nad listem Krzychnik, gdy Samuel wpadł i dwaj bracia na piersi się sobie rzucili.

Ze strony przybywającego poryw ten był szczerym, bo wrażliwy i namiętny Samuel równie ścisnąć, jak bić zawsze był gotów, ze strony zaś Krzychnika rachubą ten uścisk pachniał, bo chciał sobie brata pozyskać, związać go, przyciągnąć, uczynić swym sługą. Jednego przecież chcieli oba...

— Aleś ty oszalał, Samusiu — zawołał — żeby im w ręce leźć dobrowolnie! Prędzej bym się był dziś spodziewał tu oglądać, nie wiem kogo niż ciebie.

— Widzisz, że mi na męstwie nie zbywa — odparł dumnie Samuel. — Chciałem w oczy

widzieć żywe te ich tryumfy, abym ku nim nienawiść w sobie rozżarzył i odżywił. Nasyciłem się też dobrze i nie żal mi tego.

Usiadł naprzeciw Krzychnika.

— Nocować tu nie myślę — rzekł — bądź spokojnym, koń na mnie czeka, jadę, tyłkom ciebie widzieć chciał i spytać. A co?

— Ja zaś ciebie i pytać nie potrzebuję! — rękę wyciągając zawołał Krzychnik. — My z tobą we dwu jedna dusza, jedna ręka! Podołamy i bez pomocy. Na Andrzeja rachować nie można, do gotowego przyjdzie, ale gotować nie będzie. Jan zaś ich człowiek jest, nie nasz.

Poprzysiężmyż my sobie, na śmierć i życie, że im zgubę a pomstę rodowi naszemu zgotujemy. Samuel podniósł rękę do góry.

— Przysięgam! — zawołał. — Przysięgam! Nie cofnę się!

— Ani ja, przysięgam! — krzyknął Krzychnik. Wstał zaraz Samuel.

— Do Piekar muszę jeszcze tej nocy — rzekł i w czoło go pocałował. — Z Piekar kędy się

obrócę, do Złoczowa, do Ka- mienia, do Lwowa, nie wiem, ale dam znać. Śledź ich kroki... ja kanclerzowi sprawię przynosiny!

Rozśmiał się dziko.

— Zdrów mi bywaj!

Pocałowali się raz jeszcze, Krzychnik odprowadził go do progu, dalej nie śmiejąc. Samko

wybiegł, na siodło skoczył, za Wojtaszkiem się obejrzał, cmoknął na konia i ruszyli. Noc była rajska — do Piekar.

VI

Po weselu król zaraz do Niepołomic jechał dla spoczynku, skąd się miał znów do

ulubionego udać Grodna, kędy pono pod ten czas działa lano; kanclerz zaś dla spraw różnych na zamku pozostał w Krakowie, skąd się wybierał z żoną do Knyszyna.

O Zborowskich całkiem jakoś ucichło, chociaż na rozjezdnym, król, przy zręczności, po

kilkakroć powtórzył hetmanowi, że oni wszyscy zdrajcę są, że przez nich się mnoży i utrwała opór u szlachty, że oni nienawiść sięją, a nada-li się okoliczność, surowo i bez litości przeciwko nim wystąpić potrzeba.

Krzychnik znikł z Franciszkańskiej ulicy, spiskując po kątach, a marszałek, choć dostawszy dwa tysiące jurgieltu, za przejednanego uchodził, równie zajadle w duszy przeciw królowi powstawał, jak bracia. Ta tylko była pomiędzy nimi różnica, że on milczał i malował się, a oni, ustąpiwszy, knowali i nieprzyjaciół zbierali, króla czyniąc tyranem nieznośnym.

Kasztelan gnieźnieński niczego się nie domyślał i o niczym nie wiedział.

Samuelowi nie starczyło podżeganie, przygotowywanie się i jego powszednie zabawki, więc

krążył ciągle niespokojny, zagrać nigdzie miejsca nie mogąc, a często potajemnie do

Włodkowej zajeżdżając, gdzie wesoło dni parę spędziwszy, szukał potem innych rozrywek.

To jego snucie się po kraju wszakże, na pozór niewinne, cel swój miało. Nigdy i nigdzie się nie pokazał Zborowski, żeby przeciwko królowi i Zamojskiemu nie próbował ludzi sobie jednać do kupy.

Ale mu się to teraz wcale nie powodziło. Wiedziano w kraju o tej przez Zborowskich

wypowiedzianej Batoremu wojnie i o postanowieniu jego, najsurowszego odwetu. Nikt *się* na zemstę narażać nie chciał. Surowymi słowy zbywali go ci nawet, co mieli powody do żalu i niechęć w sercu.

Szczupłą bardzo mógł około siebie zebrać gromadkę takich, jak Boksicki, nie znaczących

ludzi lub znanych warcholów. Mało czyniąc tajemnicy z tych przejażdżek, często po miejskich gospodach publicznie głos podnosząc, a obrońców króla napadając i lżąc, Zborowski więcej sobie

szkodził, niż do przyszłej jakiejś roboty przygotowywał.

Z Krzychnikiem tymczasem trwała korespondencja, listy się mnożyły, a ów przebiegły podczaszy, pod wrażeniem bezsilnego gniewu, wywnętrzał się nieopatrznie.

Nieopatrzniej jeszcze listy te pan Samuel rzucał, tak że Wojtaszek je wszystkie mógł czytać i na wąż motał. Liczone one leżały w otwartej szufladzie, lecz wszystkim *do* nich zaglądać było można.

Z Wojtaszkiem, którego w myśli to zabijał, to żenił Samuel, wreszcie koniec chciał uczynić.

Sprzykrzyła mu się, choć piękna, Motrunka, a Anusia też nalegała o pozbycie się jej u ojca.

Wojtaszka więc z nią połączyć, dać im albo ziemi kawał, albo jurgielt, śpiewaka we dworze zatrzymując, miał już mocne postanowienie.

Jednego też dnia, a było to znowu w Białym Kamieniu, przywoławszy do siebie lutnistę, oświadczył mu Samuel, że z Motrunka się miał ożenić, przy czym mu zagroził po swojemu: —

Jeżeli ci żywot miły!

Wojtaszek dumnie się rozśmiał.

— Żywot miły mi jako i wam — odparł — i Motrunka pod czas miła, ale żebym się miał żenić i nią sobie świat wiązać?

— Musisz...

— Ho! ho! — odparł Wojtaszek. — Ja musu nie znam... Jam wolny człek, tak jako i wy.

O mało za to porównanie nie porwał się do niego Samuel, ale ilekroć na Wojtaszka miał się rzucić, zawsze go coś wstrzymywało.

— Mówiłem ci raz, jeśli żywot miły — powtórzył — a ty wiesz, że ja na daremno nie obiecuję. Miejże rozum, do ślubu się gotuj! Nie było ci jej bałamucić.

— Jam jej nie bałamucił! — zawołał lutnista. — Chyba ona mnie... a temum ja nie winien.

Wojtaszek wyżej patrzy.

— Aby tylko jeszcze wyżej nie zawisł! — rozśmiał się p. Samuel. — Jeżeli ufasz, że ja ci dla twego piania życie daruję, mylisz się. Już mnie ono do łez nie pobudza, już ja nie ten, a i twój śpiew teraz brzęczenia komara nie wart.

Wojtaszek, który dumnym był tym swym głosem i kunsztem nade wszystko, rzucił się i

wyszedł z izby. Samuel mu dał iść.

Braciszek Zapatelli miał tedy ślub dawać, chociaż księdzem nie był. Na pierwsze o to

wezwanie, Włoch się śmiać począł i odpowiedział, że nie jest kapłanem, ale że pomimo to ślub dać gotów, tylko on nic wart nie będzie.

— Co, dla takiego trutnia?! — zawołał Zborowski. — Ho! ho! ślub twój jeszcze dla niego

zanadto dobry. Ja mu będę księdza lepszego szukał? Habit nosisz! Do mnie katolicki ksiądz nie pojedzie żaden.

— Pewnie, kiedy dominikanom takie wyrządzasz despekta! — zaśmiał się Zapatelli. — No!

no, mnie się widzi, że Wojtaszek do ślubu nie dostoi, a trzeba będzie go wiązać, ja mu ręce tak skrępuję, że krew tryśnie.

Włocha to bawiło, że mu ślub dawać kazano.

„Taki ślub! — myślał sobie — a! czemu nie... Musi mi przecie za niego zapłacić, a jeszcze jego pieniędzy ani koloru nie znam, ni odoru!”

Motrunka zapowiedziane ślubowiny wzięła naprawdę za pewne już i uchwalone... pyszniła

się nimi. Ale gdy o nich mówić zaczęła i nalegać na Wojtaszka, o mało jej nie wybił.

Poszła na skargę do Samuela.

— Już my go uchodzimy! — rzekł jej spokojnie. — Tylko ty mi się gotuj, ja dzień

naznaczę. Hajduków, gdy potrzeba, czterech go przyprowadzi i potrzyma, Zapatelli ręce wam zwiąże i pobłogosławi, a potem do łóżnicy... i koniec.

W Wojtaszku, z którego cały dwór się wyśmiewał, mówiąc o tym weselu i prześladowając go

Motrunka, krew się gotowała ze złości. Sprobował raz jeszcze prosić Zborowskiego.

— Dajcie mi pokój z Motruną, ja was proszę i mówię wam, dajcie mi z nią pokój. Jam czegoś lepszego wart...

— Chyba szubienicy! — zakrzyknął Samuel. — Słyszałeś! Dziewczyneś uwiódł, była poczciwą, mnieś zdradził, musisz przyplacić.

— Nie pobudzajcie mnie do szaleństwa! — rzekł lutnista. Samuel zawrzał,

nieposłuszeństwo to go we wściekłość wprowadzało, rzucił się po raz pierwszy w życiu na Wojtaszka,

pochwycił za suknię, w twarz uderzył, pod nogi cisnął i zdeptał.

Ledwie mu go służba z rąk wyrwała, boby go był w śmierć zakopał, a ludzie mieli rozkaz w podobnych wypadkach ofiarę precz odnosić, bo potem, ubiwszy, cierpiał długo. Pochwycono więc umęczonego straszliwie i ponieśli go słudzy na łóżko, gdzie wkrótce przybiegła Motrunka i już go nie odstąpiła.

Samuel ani się spytał, czy żyw. Dopiero w parę dni przypadkiem się dowiedział, że go

smarują i pielęgnują. Żał mu się go nagle zrobiło. Poszedł do niego, siadł u łóża, ale Wojtaszek oczy spluszczył i patrzeć na niego nie chciał; usta zamknął, nie odpowiadał. Cyrulik mówił, że jedno źebro miał zgruchotane, ale już się zrastało. Powoli do sił powracał, ale milczał i nie mówił

nic. Kilka razy sobie lutnię podać kazał, popatrzył na nią, wziął do rąk, i nim głos wydała, postawił.

Zdrowie wracało, mógł już na łóżku siedzieć. Motrunka ciągle była przy nim, nie odpędzał jej, ale i z nią mówić nie chciał i z nikim. Gdy w izbie nikogo nie było, wstawał ostrożnie, próbował się przechadzać, ręce wyciągał, w zwierciadle twarzy się swej przypatrywał. Powoli też, co miał

lepszych rzeczy, zbierać począł i do izby znosić, ale je chował pod łóżko.

Z dworzany i służbą jak zawsze źle był, tak i teraz pozostał. Me miał nikt nad nim litości, bo on też z nikim się dawniej nie obchodził po ludzku, a dumą zrażał każdego i szyderstwem.

Jednego dnia, gdy Samuel po łowach spoczywał, wpadła do jego izby, łamiąc ręce,

Motrunka.

— Wojtaszka nie ma! Albo się utopił, lub kto wie, co się z nim stało!

Na wołanie Zborowskiego zbiegła się służba.

Prawdą było, że Wojtaszek zniknął, ale nikt nie miał pojęcia, ani kiedy, ani jak się mógł

wymknąć. Wierzchowca znowu najlepszego w stajni zabrakło, kulbaki z rzędem, a wiele rzeczy Wojtaszkowych też w izbie się nie znalazło.

W kilka dni potem reszty nie dopalone w lesie świadczyły, że je tam, uwieść nie mogąc, zniszczył.

Motrunka zachorowała z rozpaczy, ale i pan Samuel nie był rad ani spokojny, choć

pogardliwie powtarzał, iż mu lekko było, że się pozbył nieznośnego darmożjada. Teraz nawet tęsknił już za jego śpiewem niekiedy.

Wysłani na zwiady do Złoczowa i do Lwowa ludzie tyle tylko dojść mogli, że w istocie go

widziano w mieście i na gościńcu, że nie zdawał się uchodzić ani spieszyć, lutnię dobywał i grał, i śpiewał, a ludzie mu się przysłuchiwali i zachwycali.

Tknęło coś Zborowskiego, aby listy Krzychnika przejrzał, czy są wszystkie. Zdało mu się, że żadnego nie brakowało. Odetchnął.

Do Krakowa do braci i do Piekar dał znać, aby jeżeli się gdzie Wojtaszek pokaże, łaskawie się z nim obeszli i zatrzymywali się go starali. Ale o lutniście nigdzie nie było słyhać, Tęsknił za nim i gwałtowność swą sobie wyrzucał trochę Zborowski; wreszcie po trosze

zabył. Miał zawsze nadzieję, że ten zbieg powróci.

Słuchu o nim nie było.

Zajęła też Zborowskich sprawa z Zamojskim, bo do niego się na teraz ograniczyli, tak gorąco, iż o wszystkim innym zapomnieli.

Stanowczo napad na kanclerza był uchwalony. Nie kto inny go miał dokonać, tylko Samuel ze swoimi ludźmi, gotowymi za nim w ogień i w wodę. Liczba potrzebna już się dopełniała.

Posłano do Knyszyna, wysledzić na pewno, ilu i jakich, jak zbrojnych bierał z sobą ludzi hetman, gdy na przykład z Zamchu lub Knyszyna udawał się do Krakowa.

Wysłany na zwiady Boksicki przywiózł bardzo szczegółową wiadomość, z czego się dwór składał, ile było hajduków, czeladzi, wozów, kto dowodził, kto jechał u boku Zamojskiego.

Wszystko to razem, chociaż na spokojny czas dosyć było pokaźne, nie przechodziło głów sześćdziesięciu, a Samuel tak swoim ufał, że w równej liczbie nie wahał się napaść, z tym tylko, aby na dwa oddziały była siła podzieloną i z dwu stron naskoczyła równocześnie. Lub w lesie na drodze, albo na noclegu chciano napaść hetmana, niezbyt od Krakowa blisko.

A że zbieranie ludzi, dopełnianie dworu i cały ten zachód mógł zwracać oczy i budzić

podejrzenia, puszczona była umyślnie pogłoska, którą wszędzie powtarzano, że Samuel,

sprykrzywszy sobie żywot banity w kraju, miał zamiar do Włoch na wieczne wyjechać czasy, syna dla nauk w Niemczech zostawując.

Głoszono też, że Krzychnik zapewne towarzyszyć mu będzie, widząc, że w kraju, oprócz

prześladowania, nic się już Zborowscy spodziewać nie *mogą*. Zatem oba mieli pozostać za granicą i osiąść w Malcie, jako ludzie rycerscy dla walki z niewiernymi itp.

Miała ta wieść pewne pozory prawdopodobieństwa, tak że jej nie znający bliżej

Zborowskich uwierzyć mogli. Z jednej strony tym się ubezpieczając, Samuel z drugiej jawnie ludzi ścigał, gromadę swoich, hajduków powiększał, a po gościńcach i gospodach niemal otwarcie nieprzyjaciół króla i hetmana szukał, do siebie ich ściągając. Mało też kto wierzyć chciał, ażeby Zborowscy, w kraju dając za wygrane, mieli poza granicami jego szczęśliwszych dla siebie wyczekiwać czasów.

Widywano Samuela, snującego się po gościńcach, zajeżdżającego do dworów,

przesiadującego po miejskich gospodach całymi tygodniami i nie spieszącego z wyjazdem tym do Włoch, o którym mówiono ciągle i zawsze się on odwlekał. Dla baczniejszych jawnym to było, że upatruje i wyczekuje zręczności jakiejś, aby zamiar swój rozprawienia się z kanclerzem

przeprowadzić do skutku.

Za Wojtaszkiem też kiedy niekiedy słano, śledząc, gdzie by się on znajdował i chwytano o nim wiadomości, że tam i ówdzie po dworach, śpiewając i grając zabawiał się, przenosząc z miejsca na miejsce.

Samuelowi, aczkolwiek w gotowości był i plan miał osnuty, nie tak łatwo przychodziło

doprowadzić go do spełnienia, bo zawczasu nigdy wiedzieć nie mógł, kędy się uda hetman i gdzie jak długo będzie przebywać. Czatować więc musiał, języka dostawać i ubezpieczać się, aby na zbyt przeważną siłę się nie rzucił lub w takim miejscu, gdzie pomoc rychła nadbiec mogła.

Rzeczy więc, choć obmyślane i postanowione, szły w odwłokę, a Samuelowi się to wielce przykrzyło, bo wolałby był więcej ważyć, a prędzej skończyć.

Wojtaszek zaś, zepsute chłopię, nieszczęśliwy żywot wiódł opuściwszy Samuela, który dla niego nadto był pobłażającym, potem zbyt okrutnym, ale przecież dbał o niego i coś on znaczył przy nim — był mu potrzebnym.

Gdzie indziej zaś po małych dworach lutnista obudzał chwilową ciekawość, słuchano go chętnie, podziwiano, ale nigdzie na dłuższy czas lekkiego człeka nikt nie chciał zamawiać.

Odprawiano go z małym podarkiem i trzeba było iść dalej. U panów a magnatów, którzy muzyki swoje mieli, nie zbywało i na śpiewakach, na cytrzystach itp., a nie znano się tak na muzyce, aby Wojtaszka odróżnić od innych i dać mu prym nad nimi.

Im dłużej więc trwała ta przymusowa włóczęga Wojtaszkowa, tym mocniej żałował, że porzucił pana Samuela i nie potrafił się z nim zgodzić. Do żadnej innej pracy zepsute i

rozpróżnowane chłopię nie czuło się zdolnym. Umiał wprawdzie czytać i pisać, pieśni swe dla niektórych osób kaligrafował i sprzedawał, ale wszystko to na życie, do jakiego był nawykł, nie starczyło.

Uchodząc z Kamienia, chociaż co mógł z sobą w sakwy zabrał Wojtaszek, niewiele tego

było, bo konia na długą podróż nie mógł obciążać. Tak więc lutnista markotny wielce, czas jakiś pokrążywszy po dworach, których panów znał z widzenia lub ze sławy, nigdzie stałego nie mogąc znaleźć pomieszczenia, bo, mimo biedy, wymagającym był, wysoko się cenił i żądał wiele, zawsze w końcu do Lwowa powracał, kędy w przedniejszej gospodzie u Ormianina Szeremiego

przesiadywać był zwykł. Tu maleńki alkierzyk zajmował, a dniami i wieczorami trzymał się w wielkiej wspólnej izbie gościnnej, z lutnią w ręku, pobrzękując na niej, nucąc po trosze, okazji czekając, aby go kto do śpiewu zaprosił taki, co by potem podarkiem mu się wywdzięczył.

Trafiali się tu możni przejeżdżający, bo Szeremiego gospoda była niemal jedyną,

szczególniej dla tych, co na wschód dążyli; czasem i dzień, i dwa przyjmowany, pojony, karmiony, obdarzony, Wojtaszek używał dobrego bytu, ale potem chude dni długie następowały, gdy w

gospodzie pospolicci tylko ludzie spoczywali, a lutnista za swój miły grosz musiał posilać się i pragnienie gasić. A że u Samuela z młodu do życia bardzo dostatniego był nawykły, lada czym się nie ograniczał, trzeba mu było przysmaków pańskich, wina i konfektów.

Przykrzyło mu się więc to życie na łasce losu. Ten i ów mu wprawdzie, głos jego

posłyszawszy, obiecywał polecić go któremu z panów z Tarnowa, z Melsztyna itp., ale się na próżnych obietnicach kończyło.

Na dłuższe wycieczki po kraju nie stawało Wojtaszkowi ani pieniędzy, ani wytrwałości, bo rozpieszczony był, leniwy i często z rana siadłszy z lutnią na kolanach na pościeli, brząkając i dumając, pół dnia strawił na próżno.

W godzinach, gdy przejeżdżający goście zwykli byli śniadać, lub wieczerzać u

gospodarskiego stołu w wielkiej izbie, zrzuciwszy pychę z serca, Wojtaszek przywdziewał

najlepszą swą odzież włoską modą, brał lutnię i szedł tam, z boku się przysiadając na ławie, pobrzękując a podśpiewując.

Naówczas gospodarz Szeremi, człek dobry, na zapytanie gości opowiadał, jak to był

przedziwny śpiewak i lutnista, któremu równego i na królewskim dworze było poszukać.

Zaciekawieni podróżni dowiadywali się, iż tego wędrownego muzyka za mały podarek

można było posłyszeć i poili go, karmili albo obdarzali, aby im śpiewał.

Ale się to nie każdego dnia trafiało i na gości coraz nowych potrzebując tak pracować,

Wojtaszek na swój los ciężko bolał. Więc się wymykał w świat z gospody, jeździł po dworach, a zażywszy niewczasu, powracał nazad do Szeremiego. Był tu bezpiecznym od Samuela, bo ten miał inną, własną gospodę we Lwowie.

Jakie myśli chodziły po głowie nieszczęśliwemu, łatwo zgadnąć. Rachował zawsze, że

Zborowskiego zdradzając, zyska coś za to u króla. Do wykonania jednak przystąpić nie mógł, potrzebował, aby go ktoś polecił i ułatwił mu. Na Franciszkańską ulicę, do Piekar, nie śmiał się udać i za daleko mu było. Przeciągał więc pobyt we Lwowie, o dawnym panu tu i ówdzie dostając języka.

Na ostatek na coś się już ważyć musiał, bo coraz mu gorzej być zaczynało. W początkach

konia z rzedzikiem, którego z Kamienia uprowadził, utrzymywał w gospodzie, aby zawsze go mieć, gdy wyjechać zechce; lecz okazało się, że trzymanie go na stajni w mieście niemal tyle kosztowało, co człowieka. Gdy więc bieda przycisnęła, musiał się postarać o to, aby wierzchowca zbyć, co mu przy pierwszej zręczności Szeremi ułatwił, sam na tym zarabiając.

Pozostawszy pieszo, gnuśne chłopię już się prawie z miasta dalej wybrać nie mogło i pozostało niewolnikiem przy gospodzie.

Ormianin też coraz się z nim poufalej obchodził, a mniej go szanował, gdy Wojtaszek miał

się za bardzo wielkiego człowieka. Słyszał on po świecie o tym, co głośnym było, że Ciołek u króla Aleksandra sobie głosem i lutnią łaskę pozyskał i najwyższe dostojęstwa, że Grzegorz z Sanoka nigdy śpiewem także w początku zdumiewając, do arcybiskupstwa się wznieść potrafił.

Jemu się też zdawało, że głos i kunszt do równych losów prawo mu dawały. W istocie jeden i drugi podziwiali wszyscy, ale oprócz pieśni i przygrywek nie umiał nic Wojtaszek, a dumą tak śmieszłą i przesadzoną grzeszył, że nią wszystkich zrażał.

W czasie tego pobytu u Ormianina, do którego co przedniejsi ludzie zajeżdżać byli zwykli dla słynnej kuchni jego, a szczególnie dwór i urzędnicy królewscy na Ruś posyłani, miał zręczność Wojtaszek wiele się dowiedzieć i nasłuchać. Nie zważano nań bardzo, gdy w kącie zasiadł i swobodnie rozpowiadano, co po świecie krążyło.

Sprawa Zborowskich nie jeden raz pobieżnie bywała wspomnianą, z czego się mógł

przekonać Wojtaszek, że pilne oko na nich miano, podejrzewano pilnie, poszlaki spisku chwymano, ale dowodów jawnych nie miał nikt... On zaś daleko więcej wiedział niż wszyscy i mógł łatwo naprowadzić na drogę. Lecz jak i do kogo było z tym się udać?

Osnuł już sobie, że sprzedając dawnego pana, mógł za to miejsce lutnisty otrzymać na

dworze królewskim, bo choć Batory szczególnego zamiłowania w muzyce nie miał, trzymał ją przecie wedle dawnego obyczaju i dla gości.

Z wolna Szeremi z nim rozmawiając, dowiedział się całej jego historii i o tych nadziejach, jakie żywił. Nie lubił on

Zborowskich ani chciał ich oszczędzać, ale znał ich zuchwalstwo i nieubłaganą mściwość,

ostrzegł więc Wojtaszka, aby się wprzód dobrze zabezpieczył i opiekę sobie zapewnił, nimby przeciwko Samuelowi i Krzychnikowi wystąpił.

Ormianinowi i o to szło też, aby dom jego na zemstę nie był narażony. Ale już dalej

lutnić czekać i ociągać się trudno było, postanowił przy pierwszej zręczności z niej korzystać.

Pora była, gdyż zjadłszy konia z rzedzikiem, po trosze sukien, które się zdawały zbyt cenne, Wojtaszek już coraz musiał skromniej się posilać, a często wodą gasić pragnienie. Nawykłemu do zbytków u Samuela, życie to stawało się nieznośnym.

Właśnie o tym czasie wieści groźne chodzić zaczęły były, że się Tatarowie wtargnąc na

Podole zabierali; król więc i wojsko wysyłał, i ciągle tędy od niego jeździli z rozkazami jego urzędnicy i dowódcy.

Z Tatarami bowiem, choć poselstwami kosztownymi trapili króla, które podejmować i

obdarzać musiano, nigdy pokoju być pewnym nie mógł Batory. Carzyków różnych było tylu, iż choć kilku pokój obiecywało, zawsze ich jeszcze zostało dosyć, aby zniemacka wtargnąc i w jasyr ludzi uprowadzić. Baczość na nich być musiała nieustanną.

Nie było też niemal dnia, żeby ktoś z Burakowa do wojska na kresy ku Dzikim Polom nie

spieszył lub z doniesieniem od wojsk do króla nie jechał. Szło tylko o to Wojtaszkowi, kogo wybrać miał, aby mu się zwierzył.

Wedle myśli swej, lutnista życzył Węgra, bo ci największe mieli zachowanie u króla, a

żaden z nich nie miał powodu Zborowskich oszczędzać, gdy między Polakami, choć przyjaznymi i wiernymi Batoremu, wielu się mogło znaleźć takich, co z różnych powodów na Zborowskich się porywać nie byli skłonni. Z wielu pańskimi rodzinami łączyły ich dawne koligacje, które choć dziś nie wiązały już, zawsze występować nie dozwalały krwią z sobą połączonym.

Z niecierpliwością wyczekując zręczności, Wojtaszek do- siadywał w izbie i każdego

przejeżdżającego nie tylko postawę badał, nie dość, że mu się przysłuchiwał, ale szedł do stajen orszak zobaczyć, z ludźmi pogawędzić. Wszystko to czynił tak zręcznie, od niechcienia, jak gdyby go tylko próżnowanie ku temu pobudzało.

Zaczynały już mu te czaty się przykrzyć, gdy jednego popołudnia zajechał w kilkunastu

ludzi konnych średniego wieku mężczyzna, z którego twarzy rysów łatwo było można poznać

węgierskie pochodzenie. Tylu naówczas Węgrów ciągle wjeżdżało do Polski i po niej się kręciło, że ten typ był łatwym do rozróżnienia. Narodowy strój Węgrów, ich uzbrojenie i rzędy na konie ułatwiały tę diagnozę.

Wojtaszek miał oko bystre, zaraz więc w stajni obliczywszy konie, przypatrzywszy się

ludziom, oceniwszy ich uzbrojenie, mógł się domyśleć, że jechał mąż jakiś znaczny, a zatem albo od króla wysłany, lub z królem w stosunkach będący.

Był to właśnie jakby zesłany dla niego człowiek, którego mógł życzyć sobie. Z alkierza gospodyni, przez szparę we drzwiach, lutnista mógł się temu panu przypatrzeć. Był to w istocie Węgier zamożny, wesołego oblicza, nie bardzo pańsko, więcej rycersko i jako urzędnik

wyglądający, żywy, dobrej myśli, podśpiewujący sobie, który ani na jadło, ani na napój nie żałował

i oświadczył gospodarzowi, iż choćby dalej tego dnia na Podole mógł ciągnąć, ale *znalazłszy* gospodę miłą, chce sobie u niego spocząć. Rozumie się, że Ormianin nie miał nic przeciwko temu.

Z mowy cudzoziemca łamanej, bo się polszczyzną, łaciną i niemczyzną sztukował,

zmiarkował Wojtaszek, że nie od dziś musi być w Polsce, a co za tym szło, że zapewne przybył z królem i do jego dworu wojskowego lub cywilnego należał.

Tak długo wyczekawszy się na zręczność, lirnik postanowił spróbować szczęścia. Wdział na siebie ostatnie już włoskie ubranie czyste i wytworne, wziął lutnię od niechcienia w rękę, i jak gdyby wcale o gościu nie wiedząc, wszedł śmiało do izby, gdzie na ławie miejsce zajmwszy, nogę na nogę założył i począł brzdąkać na cytrze i nucić piosenki.

Wszystko to było obrachowane doskonale. Biegał po strunach lutni, jak gdyby nie wiedząc

sam, co czyni, brzdąkając od niechcienia; śpiewał i urywał coraz nowe polskie i włoskie piosenki, ale i gra, i śpiew ów były na popis wybrane, aby dały wyobrażenie wielkie słuchaczowi o talencie grajka i śpiewaka. Szło o to, czy ten, przed którym się tak wdzięczył, miał znajomość rzeczy i w niej upodobanie. Od tego zależało wszystko.

Podróżnym, o którym mowa, był ów Cobar, co królowi na łowach towarzyszył, młody

przyboczny Stefana Węgier, razem z towarzyszem swym Zybergiem używany ciągle do poufnych posłannictw, a właśnie teraz wyprawiony na Podole do tych wojsk, które się tam przeciwko Tatarom zbierały, z rozkazami.

Szczęściem dla Wojtaszka osobliwym, Cobar nie tylko lubił muzykę, ale na niej się znał

dobrze, a był znużony, znudzony, więc na pierwszy dźwięk lutni obudził się, ożywił, a postłyszawszy urywek śpiewu, stanął zachwycony.

Chociaż Wojtaszek ze spuszczoną głową wcale się na niego patrzeć nie zdawał, najmniejszy ruch i oznaka wrażenia bacności jego nie uszły. Dodały mu one śmiałości, z powagą pewnego siebie kunsztmistrza rozsiadł się wygodnie, położył lutnię, ziewnął, wziął ją na powrót, począł strun próbować i palców, dokazywać sztuk różnych, i ciągle udając, że Cobar ani widzi, ani o nim wie, dla samego siebie począł nucić.

Mówiliśmy, jak pięknie, gdy chciał, śpiewał, jak głosem i wyrazem pieśni umiał trafiać do serca — więc tu, gdy szło o los własny, gdy potrzeba było wyrzeć wrażenie, zachwycić, ując sobie słuchacza, zażył całej swej umiejętności.

Cobar, jak przykuty w tym miejscu, gdzie go pieśń zastała, stał poruszyć się nie śmiejąc.

Wojtaszek opiewał serca swojego tęsknice w bardzo wdzięcznej kanconie, którą sam był nieosobliwie z wło- skiego przepolszczył. Wiersz był słaby, ale muzyka prześliczna, a głos i wykonanie zachwycające.

Gdy już tę strunę poruszył, zażądał drugiej popróbować; lutnię otarł, włosy utrefione poprawił i od niechcenia znowu, wesołą a swawolną jakąś piosenkę dobył z piersi.

Dwa te śpiewy stanowiły sprzeczność, różniły się od siebie nadzwyczajnie, ale to podnosiło wrażenie, jakie czyniły. Cobar, który czasem na dworze króla słyszał lutnistów tych tuzinkowych, którzy trzymani byli dla formy i dla gości, a wcale się nie mogli pochwalić, aby celowali talentami, spragniony czegoś lepszego, niesłychanie był rad trafunkowi.

Obawiając się, aby mu nie uszedł grajek i pieśniarz, z którego pomocą mógł bardzo przyjemnie wieczór przepędzić, zbliżył się do niego i pozdrowiwszy chwalić począł talent jego.

Skromnie, milcząco przyjął te pochwały Wojtaszek i śmieiej tylko popisywał się dalej, nie skąpiąc głosu ni palców. Cobar też pochwał nie skąpił, usiadł naprzeciwko i dawał znaki

nadzwyczajnego śpiewem rozradowania. Przyniósł mu wina przedniego kubek, który Wojtaszek przyjął.

Z wolna zawiązała się rozmowa.

— Takiego lutnisty tu w Polsce i ze świecą szukając nie znaleźć — odezwał się Węgier. —

Jakże to może być, abyś waćpan nie miał miejsca stałego i tak się błąkał?

— Przepraszam miłość waszą — odparł Wojtaszek — ja bo niby miejsce przy pewnym

dworze mam i tylko teraz chwilowo...

— U kogóż w. mość jesteś? Kto jest taki szczęśliwy, iż tak doskonałego pozyskał sobie lutnistę?

— Zostaję przy panu Samuelu Zborowskim — odparł wyraziście Wojtaszek.

Dosyć było Cobarowi usłyszeć to imię, aby mu muzyka i śpiewak z głowy precz poszły, a sprawa pańska zapukała do serca. Trafiała się doskonała zręczność wybadania sługi Zborowskich, właśnie pod ten czas, gdy najwięcej mówiono o ich zamiarach, o knowaniach, a podróż Samuela na Niż dała powód do pogłoski, że on się tam miał hetmanem ogłosić.

Wcale się Cobar nie spodziewał, na kogo miał trafić, a śpiewak mu się wydał doskonałym do tego, aby z niego, co zechce, wyciągnął.

Nie pokazał, ażeby go to nazwisko miało poruszyć.

— Pan Samuel? — odparł — a gdzież on się teraz znajduje... powiadano, że go tu w 'kraju nie było?

— Nie było go, ale powrócił — rzekł Wojtaszek. — Niedaleko nawet stąd jest w gościnie.

Węgier głową potrząsnął.

— Toć pewno nie darmo — rzekł — kręci się tu, bo o Tatarzech słyhać, ino ich nie widać... nikt tu teraz bezpiecznym nie jest.

Zagajona w ten sposób rozmowa, gdy od razu bez przygotowania padła na pana Samuela,

Wojtaszek nie miał czasu się rozmyśleć, co pocnie, będzieli udawał wiernego sługę, czy od razu z serca zrzuciwszy brzemię, ma się przyznać Cobarowi ze swą nienawiścią, ucieczką... i położenie mu swoje odkryć jawnie.

Węgier czekając na odpowiedź, gdy się zbliżył do lutnisty, spotkał jego oczy wlepione w siebie i taki wyraz walki na twarzy, iż łatwo mógł wnieść, że śpiewak wahał się odkryć, a miał coś do odkrycia.

Powtórzył więc zapytanie:

— Ano, mówcie śmiało, co tu pan Samuel porabia! Bo juści chyba z Tatarami nie trzyma...

Wojtaszkowi serce w piersi zakołatało. „Albo teraz, lub nigdy — rzekł w sobie — dawno

rzecz postanowiona. Nie ma co go oszczędzać, zbója tego i zdrajcę! Niech za to pokutuje, co przez całe życie broił. Mam go żałować? Albo on mnie się kiedy litował?"

VII

Wstał z ławy Wojtaszek i choć już mocne postanowienie miał, potem mu się czoło okryło, głos zadrżał w piersi, gdy mówić zaczął.

— Sługą jestem Zborowskiego — rzekł — ale i mnie już nadojadło patrzeć i słuchać, co się tam u niego i z nim dzieje. Mówicie, że z Tatarzy nie ma zmywy? A kto może za to ręczyć? On by z diabłem sojusz zawarł, żeby mu do tego pomógł, co on chce.

Cobar uszy nastawił i zbliżył się.

— A czegoż to on tak chce? — zapytał.

— Albo to wy i cały świat o tym nie wie? — zawołał uśmiechając się złośliwie Wojtaszek i zamilkł.

A po chwili zamruczał:

— Oj, knują się tam, knują i kują u pp. Zborowskich niedobre rzeczy!

Ciężko mu przychodziło tak od razu ze wszystkim się wygadać, może też obrachował, że nie zawadzi się podrożyć i począł śpiewać.

Cobar, wysłuchawszy jednej strofy piosenki, przerwał, niecierpliwy czegoś się więcej dowiedzieć.

— Jak mi Bóg miły — zawołał — żal was dla Zborowskich! Wy byście łatwo mogli doskonale miejsce znaleźć na królewskim dworze. Głos macie śliczny, a i muzykant z was niepośledni.

— Ja bo od dzieciństwa się w tym ćwiczę — rzekł Wojtaszek — alem popadł w takie ręce, że z nich się wyzwolić trudno.

Węgier coraz bardziej uradowany, nie rzucając już tej zdobyczy, nalał mu co prędzej kubek wina, przepił do niego, dobył czerwony złoty węgierski z kieszeni i wsunąwszy mu w rękę, znowu rozmowę ostrożną zawiązał o Samuelu.

Wojtaszek pił i coraz się bardziej ośmielał. Po dwu kubkach pierwszych wprędce trzeci

znalazł się pełnym, a Węgier począł mówić, próbując lutnistę.

— Ja tam nie wiem, co o Zborowskich trzymać, a szczególnie o waszym panu Samuelu. Ma

nieprzyjaciół, żgają na niego, że na króla nastaje, że mu jest wrogiem, a to wszystko przez kanclerza. Gdyby p. Samuel zamiast wojnę prowadzić z Zamojskim, udał się śmiało pod opiekę króla, przeciw niemu, lepiej by na tym wyszedł pewnie.

Spoglądał mówiąc to na Wojtaszka, który wciąż pot ocierając z czoła, wzdychając, jak by się męczył i z sobą walczył, po słówku z ust dobywał.

Wreszcie dobrawszy chwilę, gdy Cobar się zatrzymał nieco, jak by czekał na odpowiedź, coraz to wyraźniej począł się zdradzać z tym, co myślał.

— Miłościwy panie — odezwał się do Cobara — ciężka to rzecz sługą być, gdy to, co pan czyni, człękowi na sumieniu ciąży, a tu nie wiedzieć co wybierać; albo zdrajcą być, albo drugich, niewinnych na zdradę narazić.

Chciałoby mi się to z onej służby uwolnić z czystym sumieniem.

— A nie jesteś człek wolny? — spytał Węgier.

— I owszem, jestem nim — rzekł Wojtaszek — ale lat tyle wisząc przy dworze, człek się przywiązał, a dłużej na żaden tu sposób nie można trwać, bo uszy wiedną słuchać, zgroza bierze patrzeć, co tam radzą i do czego się sposobią. A! nie! nie! Bodaj z głodu mrzeć, a dłużej na tej służbie trwać nie myślę! — dokończył.

Węgrowi, gdy się tak szczęśliwie powiodło, co, prawdę rzekłszy, więcej winu obficie nalewanemu przypisywał, niż własnej zręczności w badaniu, nie chciał zaniedbać tak dziwnie pochwyconego wątku. Posadził tedy na ławie obok siebie Wojtaszka, parę pieśni mu jeszcze dał odśpiewać, raczył go ciągle węgierskim winem, i w końcu zupełnie podchmielił.

Lutnista się całkiem otworzył przed nim.

— Ja o wszystkim wiem — rzekł — na wszystko patrzyłem, słuchałem... nie miał dla mnie tajemnic p. Samuel, mogę wskazać, co oni z bratem Krzychnikiem knują... ale głowę mi za to wezmą, gdy mieć obrońcy nie będę!

— Jak to, nie będziesz miał obrońcy?! — krzyknął Cobar. — Ale ja ci słowo daję, król

weźmie na dwór, da ci miejsce u siebie, między swymi cytrzystami. Ja w tym! Włos ci z głowy nie spadnie, tylko trzeba, żebyś otwartym, był, powiedział wszystko, wskazał, aby można winowajców

ścigać, a króla od ich zbrodniczych zamachów uchronić.

Wojtaszek już dobrze podpiły, uderzył się w piersi.

— Jak Bóg miły! Powiem wszystko, odkryję! — zawołał. — Byleście się mną zaopiekowali. Dosyć już gorzkiego ich chleba jadłem.

Miał w istocie ochotę wielką wynurzać się i opowiadać zaraz, ale językiem już nie władał, bełkotał, i nie tylko śpiewać, ale mówić nie mógł. Po pijanemu zeznanie na nic by się było nie przydało, Cobar to zaraz rozważył.

Wprawdzie jechać miał nazajutrz w dalszą drogę, ale sprawa była zbyt wielkiej wagi, ażeby dla niej nie opóźnić się bodaj. Szło o życie króla, z czym się nie taił Wojtaszek. Każde słowo miało znaczenie ogromne. Musiał wybadać tego przez opatrność mu następczonego śpiewaka, dobyć z niego, co tylko wiedział.

Dokonanie, rad nierad, Węgier musiał do dnia następnego odłożyć, a tu znowu na rnyśl

przychodziło, że Wojtaszek wytrzeźwiwszy się, ulęknąć może zemsty Samuela, ująć mu z rąk, zmienić usposobienie.

Począł więc od tego, iż go ujął sobie najuroczystszym przyrzeczeniem jurgieltu, miłości króla i opieki, bezpieczeństwa na wszelki raz, byle mu, nic nie tając, odkrył, co tylko wiedział i słyszał.

— Dobrze — rzekł Wojtaszek zmęczony i napojem zwyciężony — ale miłościwy panie, po tym winie, com je wypił, chyba nie dziś myśli zbiorę i potrafię całą sprawę wyłuszczyć. Więc jutro...

— Jutro! — podchwycił niespokojny Cobar. — No, cóż robić, niechaj będzie jutro, tylko że ja tyle mam ważnych rzeczy na głowie, gotówem zapomnieć. Wiesz co...

Tu dobył pugilaresu i ołówka z kieszeni. — Mam zwyczaj zapisywać naprzód, co którego dnia jest do zrobienia; zanotuj mi tu, że jutro o Zborowskich co wiesz, masz mi wszystko porządnie opowiedzieć.

Wojtaszek się bynajmniej nie zawahał i najwyraźniej się rozpisal, że jutro o zamiarach pp.

Zborowskich przeciwko królowi szeroko i dokładnie Cobara uwiadomi.

Notatkę do kieszeni schowawszy Węgier, z miną niby obojętną, kazał słudze swojemu

odprowadzić do jego izby lutnistę, rozebrać go i położyć, a sam drżąc z niepokoju i niecierpliwości, pozostał w izbie dla przygotowania się na jutro.

Znając już po trosze ptaszka, którego przyłapał, Cobar wiedział, co miał czynić, aby rzecz do dobrego doprowadzić końca. Nie wątpił, że król i Zamojski bardzo mu za to odkrycie wdzięcznymi będą.

Ponieważ Zyberg nazajutrz czekał na towarzysza, z nim mając ciągnąć dalej, ażeby go to opóźnienie w pochodzie nie strzymało, siadł naprzód listy pisać, donosząc Zybergowi, aby dalej szedł sam w imię Boże, gdyż jemu się tu zręczność nadarzała jedyna wykrycia zamachów przeciwko królowi, której zaniechać na żaden sposób nie godziło się.

Z listem tym natychmiast gońca umyślnego wyprawił.

Przywołać potem kazał kucharza swego i zalecił mu, aby nazajutrz rano wytworne sporządził śniadanie, postarał się o małmazję, o wina, o przyprawy i wyprawił bankiet, na jaki się tylko mógł zdobyć.

Nie dosyć na tym, bojąc się, aby to śniadanie nie starczyło na dosyć długo, zwołał jeszcze gospodarza i przykazał mu z osobna, także co mógł najsmaczniejszego przyprawić, nie zważając na to, co kucharz warzyć będzie.

— Nie pytaj mnie, na co się to wszystko zdało — rzekł — rób, co każę, zapłacę, jak należy, bez targu. Wolność mi fantazję mieć jako i drugim.

Rachował na to, z czym się mu Wojtaszek po pijanemu wygadał, że był wygłodzony, zbiedzony długą włóczęgą, i że dobre jadło, dobre wino, doda mu odwagi i usta otworzy.

Cobar daleko więcej kunsztu zażywał biorąc się do lut-nisty, niż go tu było potrzeba, bo Wojtaszek i dla zemsty, i dla chęci podźwignięcia się na wszystko już był gotów i ani myślał się cofać.

Węgier, ledwie z niecierpliwości usnąwszy nieco nade dniem, rychło wstał, czekając na

Wojtaszka, który kamiennym snem po winie spał bardzo długo i nierychło, blady, zmęczony, strwożony ukazał się Cobarowi, już na niego oczekującemu w izbie u zastawionego suto stołu.

Ptasiego mleka tylko brakło.

Węgier komedię odgrywał tę, że mu nadzwyczaj było pilno, że musiał zaraz dalej ciągnąć.

Dla niepoznaki nawet część swych ludzi i wozów wyprawił niby przodem, przykazawszy im, aby w miejscu naznaczonym czekali, a sam do stołu zasiadł z Wojtaszkiem.

Zaczęło się od traktamentu własnego kucharza Węgra... i już się ten zbliżał do końca, gdy Ormianin gospodarz wszedł, żaląc się, że on też nie wiedząc o niczym, śniadanie pańskie

sporządził, że jemu prawo przysługiwało swych gości żywić.

— A! bodajcież, bodajcie! — zerwał się Węgier. — Ja czasu nie mam! Po co mi to twoje śniadanie, my go jeść nie będziemy.

Wtem jak by się rozmyślił nagle, spojrzawszy na Wojtaszka.

— Ha! pal cię diabli! — zawołał. — Kiedy już gotowe coś miał dać, przynosić każ a żywo!

Szkoda wyrzucać za okno.

— Po pieczeni palce sobie oblizywać będziecie! — rzekł Ormianin.

Na nowo tedy siedli jeść, przy czym Cobar, nie przestając, nalewał.

Wśród jedzenia i popijania zażądał pieśni Węgier; Wojtaszek począł najlepszym swym głosem nucić, że w istocie słuchać było czego.

— Warn bo nie gdzie indziej, tylko u króla na pokojach pieśni zawodzić! — wykrzyknął

zachwycony Węgier i do- bywszy mieszka kilka węgierskich dukatów na przypieczętowanie słów swoich mu ofiarował. Wojtaszkowi dusza się radowała.

— Miłościwy panie! — zawołał. — Alem ja na usługi króla gotów całym sercem... ino rozkazujcie, jam wasz...

Tymczasem o wczorajszym ani słowa, jak by Cobar zapomniał o tym i nie myślał.

— Daję wam słowo — rzekł — miejsce przy dworze z jurgieltem jak byście w ręku mieli.

Ale mnie pilno! Jechać muszę! Godzina późna! Wołać gospodarza... Dawaj rachunek, zbójco!

Rachunek tedy z Ormianinem czynić mając, sięgnął Cobar do kieszeni, pugilaresik wczorajszy dobył i począł go przeglądać.

— Ach! — zawołał nagle, ukazując Wojtaszkowi jego notatkę. — Na śmierć o tym

zapomniałem... Czytajże, coś mi to wczoraj tu napisał... he? Miałeś mi jakąś historię o Zborowskich opowiedzieć, dla króla JMci ważną?

Tego Wojtaszkowi potrzeba było, czekał tylko i trwożył się, czy Cobar nie puści sprawy w zapomnienie.

— Gotówem — odparł natychmiast — gotówem słowa dotrzymać, ale miłościwy panie, ni

mniej ni więcej, ja głowę moją ważę, bo z panem Samuelem sprawa a z szatanem lub oprawcą, wszystko jedno. Nie gubcie mnie, jeżeli nie macie mocy ani uczynić, co mi obiecujecie, ani mnie od okrutnej pomsty obronić. Widzę ja wprawdzie, że możnym jesteście, ale mało na tym; nie wiem, czy do króla przystęp macie i czy mi wyrobicie, coście przyrzekli.

— Masz na to rękę moją — odparł Cobar. — Słuszna rzecz, że się lada komu nie chcecie zwierzyć. Ja się zowie Cobar, mogliście słyszeć o mnie, bo przy osobie króla stoję, mam jego zaufanie i teraz oto z panem Zybergiem do wojska na Podole jestem wysłany.

Ufa mi pan mój, możesz i ty mnie zawierzyć! Mów śmiało, ale prawdę, ja za łaskę królewską ci ręczę, bo jak srogim jest nieprzyjaciołom swoim, tak dla wiernych umie być łaskawym.

Wojtaszek w ramię go pocałował.

— Miłościwy panie — odparł — nic wam nie zataję. Panowie Zborowscy, szczególnie dwaj, dawny pan mój Samuel i pan podczaszy Krzychnik, naposiedli się, aby króla trucizną zgładzić, a hetmanowi zasadzkę gotują, z której żyw nie wynijdzie. Każdy jego krok śledzą i wiedzą... Ale to, co ja na wiatr mówię, azali mnie małemu człeku uwierzycie, rzecz dla was wątpliwa będzie zawsze, a ja chcę pokazać czarno na białym, dowodnie, że nie darmo mówię to przeciwko nim.

— Jakim sposobem? — przerwał Cobar zdumiony.

— Listy wam wykradnę i przyniosę, które pan Krzychnik do Samuela pisywał i pisze — rzekł Wojtaszek. — W listach tych wszystko stoi... będziecie je widzieli *in originali*, gdzie i o truciznie mowa i o obmyślonej napaści.

Zdumiał się nadzwyczajnie Węgier, ale zarazem uradował.

— Jakim sposobem myślicie dostać tych listów? — zapytał.

— Będę głowę ważył — odparł Wojtaszek — bo sądzę, że przecie mnie za to nie opuścicie i nie wydadcie oprawcy. Wprost pojedę stąd, gdzie wiem, że listy są, i da-li Bóg, to je pochwycę i przywiozę.

Pot mu z czoła spływał, gdy to mówił.

— Jeśli się pan Samuel zawczasu opatrzy — dodał — zem listy skradł i pogoni za mną, wy listów pozbędziecie, a ja życia, bo jemu człowieka zabić, jak drugiemu wróbla.

— Cóż więc chcesz? — zapytał Cobar.

— Pojadę sam — odparł Wojtaszek — bo inaczej nie może być. Zastanę go, czy nie, listy

tam są. Może mnie jakich godzin kilka strzyma, ale w powrocie trzeba, abym miał o kogo się oprzeć, bo uchowaj Boże... nagna mnie...

Nie dokończył lutnista.

— Koni pięć albo sześć — rzekł Węgier, namyśliwszy się — mogą ci towarzyszyć. Dam

ludzi najlepszych, pokierujesz nimi, jako sam chcesz, ale nie baw się, bo ja też czasu nie mam, a to sprawa taka, że jej na półmiski rozkładać niezdrowo.

— Będziecie czekali we Lwowie? — zapytał Wojtaszek.

— Co robić! muszę — rzekł Cobar. — Gdy o życie króla idzie, wszystkie inne sprawy, by najpilniejsze, na bok muszą ustąpić. Jedź a powracaj...

Węgrowi się nie bardzo może chciało na Zyberga dowództwa zdawać i zamiast na wojnę iść, siedzieć beczynnemu w gospodzie, lecz rzecz była, jak naówczas mówiono, gardłowa.

Wojtaszek mało czasu miał do rozmyślenia się, wiedział z doświadczenia jedno, iż Samuel

go potrzebował, im dłużej był pozbawiony, tym więcej za nim tęsknił i do łaski zawsze, nałajawszy i nagroziwszy, przypuścić był gotów. Na to więc rachował na pewno.

Nie mógł przypuścić, aby mu w duszy czytał pragnienie zemsty i na pół już dokonaną

zdradę. Sumienie bynajmniej lutniście nie dokuczało. Wyliczał wszystkie męczarnie, jakie ponosił

od dzieciństwa, znęcania się, szyderstwa; wiedział o wszystkich zbrodniach swego pana i

wyobrażał sobie, iż go Pan Bóg za narzędzie kary wybrał sobie.

Jeśli go na chwilę litość objęła, wnet sobie przypominał, co cierpiał.

— Nie daruję — powtarzał — niech łotr i zbój ginie...! Ojciec pięknej Anusi! — śmiał się gorzko.

— A tak? A ona lepsza od niego? Ona by mnie na pal dała wbić i chodziła patrzeć, śmiejąc się, jak będę konał, alboby za żebro na haku powiesić kazała i napawała się jękiem, wołając, abym śpiewał! Znam ci ją i wiem, co się w jej sercu dzieje. Nie przebaczy mi nigdy, żem ją, nocką napadłszy, wyściskał, a obronić mi się nie mogła, a skarżyć się wstydziła.

Teraz mi w oczy pojrzeć nie śmie, gdy ja jej śmiało patrzę.

Jaszczurka! A wprzód mi tym wzrokiem wabiła i kłamała... a płakała, gdym śpiewał.

Tyle razy już Wojtaszek z panem zrywał i godził się, zбитy spod jego obcasów kutych wychodził poraniony, a potem do łask powracał. Zdawało mu się, że i teraz gdy się pokaże, ukorzy, do nóg schyli, zaśpiewa, wszystko znów pójdzie w zapomnienie.

Szło tylko o to, jak zostanie Samuela... na pijaństwie, czy na pokucie; na zgryzotach, czy szalejącego. Z dwojga wolał go przy stole i po pijanemu widzieć, niż z sumieniem się borykającego.

Nie wiedział nawet, czy był w Białym Kamieniu. Gdyby go nie zastał, mógł Boksicki lub inny który zasadzić go do czabanki.

Na pół drogi porzuciwszy swoich towarzyszków, których w małej gospodzie pod lasem umieścił, polecając im, aby konie mieli każdego czasu gotowe, i gdyby przybył, zaraz z nim dalej pędzić mogli, sam Wojtaszek pod wieczór umyślnie się opóźnił do dworu.

Pomyślał sobie, że najbezpieczniej może będzie podkraść się nie postrzeżonemu. W częstokole, który otaczał dwór, znał miejsca, gdzie koły wyjąć było łatwo i wcisnąć się do środka. Mógł więc, bo psy na niego ujadać nie ważyły się, po cichu pode dwór się wkraść, do Motruny do okna zapukać i u niej się ukryć. Ona mu usłużyć musiała, tego był pewnym.

Tak i uczynił. Konia spętanego puścił na łączce, siodło i rząd przychował w dole, o którym wiedział, że go tylko lisy znały, a sam już o gęstym zmroku znalazł się pod opasującym dwór częstokołem.

W domostwie jasno było' i gwaro, co dowodziło pana w domu, a o tej godzinie gwar znaczył, że u stołu pił i zabawiał się. Wszystko się tam naówczas około niego skupiało, mógł więc Wojtaszek próbować pójść pod okno, dobrze sobie znane, Motrunki. Tu także światełko płonęło.

Miał z nią znak dawniej umówiony, że trzy razy po dwa pukał. W okiennice więc, zbliżywszy się, zaczął wedle zwyczaju stukać.

Wewnątrz nic się długo nie odzywało. Powtórzył drugi i trzeci raz pukanie. Zaszleściło coś trwożliwie, otworzyło się okno. Błada, wynędzniała schorzałej Motrunki twarz, obwinięta rąbkiem, wyjrzała.

Wojtaszek dał znak, aby wyszła.

W chwilę potem siedzieli razem pod szopką pustą; dziewczyna zapłakana ze strachu, Wojtaszek zły i niecierpliwy. Chciał naprzód wiedzieć, co się z panem działo i czy mógł się mu na

oczy pokazać.

— Broń cię Boże, jeżeli życie miłe — odpowiedziała Motrunka — samam słyszała, gdy

niedawno jeszcze powtarzał: Siłam mu przebaczał, ano przebrał miarę. Dostanęli go, skórę z niego zedrzeć każę żywcem, końmi go dam roztargać. Jak zginie, to mi ten jego śpiew przestanie dokuczać, który mi w uszach brzmi, chodzi za mną, we dnie i w nocy nie daje mi spoczynku.

Wojtaszek się zadumał.

— Mało to on razy się tak odgrażał? — odparł. — Przeciem dotąd żyw!

Dziewczyna mu się na szyję rzuciła, błagając, aby nie próbował. Opowiadała, że teraz

Samuel po całych dniach chodził struty, sam do siebie mówiąc, pięścią w piersi się tłukąc, pod czas włosy sobie rwąc z głowy.

— Ano, przecież biesiaduje i słyhać z biesiadnej izby śmiechy i wrzawę, jak za najlepszych czasów — przerwał Wojtaszek.

— Boksicki z innymi próbują go czymś zabawić — odparła Motrunka — przebrali Włocha

księdza za kobietę i dziwy z nią dokazują, alem widziała przez drzwi, że siedzi rękami sobie twarz zasłoniwszy i ani patrzy, ani słyha. Wara teraz temu, na kogo się porwie, bo mu kości

pogruhocze.

Zadumał się Wojtaszek. Chciał właśnie nagle się ukazać w takiej chwili zatęsknienia, ale dziewczyna mu się do nóg rzuciła, prosząc, aby poczekał do jutra.

Gdzie się było przechować do rana? Wojtaszek nie miał, oprócz niej, żywej duszy sobie

przyjaznej we dworze, i wiedział, że każdy by był rad go zgubić. Nikomu więc się zwie- rzyć, nikogo o pomoc prosić nie mógł, a gdyby go kto postrzegł, był pewnym, że natychmiast wyda, dodając jeszcze, iż zasadzkę zamierzał na Samuela.

Niebezpieczeństwo było wielkie, bo i około pięknej Motrunki kręciło się dużo dworaków,

zazdroszcząc sobie i każdy jej krok podpatrując; mogli szukając jej trafić na Wojtaszka.

Noc nadchodziła, a w izbie jadalnej ciągle jeszcze też sama panowała wrzawa. Wojtaszkowi nie chodziło o to, aby się do Samuela dostał, byle mógł przekraść się do tej szuflady, w której papiery składał i gdzie się na pewno spodziewał znaleźć listy Krzychnika.

Stół, w którym ona była, stał w sypialni Samuela, nie opodal od jego łoża. Jeden był tylko sposób wykradzenia pism tych — albo pod niebytność Zborowskiego, lub gdy spał. Sen miał

Samuel twardy i rzadko go nawet światło i hałas mógł obudzić, gdy raz oczy zamknął. Lecz potrzeba było odwagi niezwyklej, aby korzystać z takiej chwili, przy czym światło było koniecznie potrzebne, bo papierów leżało dosyć, a wszystkich z sobą zabierać nie mógł Wojtaszek.

Nazajutrz, mówiła Motrunka, zapowiedziane były łowy z sieciami i do dnia wszyscy na nie mieli wyciągnąć. Czekać na to? Wojtaszkowi pilno było, bo Cobarowi ludzie i on sam wyglądali jego powrotu.

Wstał nagle lutnista, nie zważając na obejmującą go rękami i usiłującą wstrzymać dziewczynę, pomyślał małą chwilę i odepchnawszy ją, śmiałym krokiem wprost poszedł ku drzwiom jadalni, otworzył je nagle i stanął wprost naprzeciwko Samuela.

Wszyscy, którzy go spostrzegli, wiedząc o strasznym pańskim gniewie, krzyknęli ze zdziwienia i przestachu. Zborowski posłyszawszy krzyk podniósł głowę... zobaczył stojącego Wojtaszka i osłupiał.

Stół biesiadny osobliwy widok przedstawiał. Główną przy nim rolę odegrywał stary, napiły mocno, śmiejący się głupkowato Włoch — mnich przebrany za kobietę, z głową związaną namitką, na której wianuszek nałożono, łącząc z sobą dwa godła zupełnie różne: dziewczęcą wiązaną kwiatów i zamężnych niewiast zasłonę. Dokoła mnicha, który wykrzywił usta i wdzięczny się do otaczających, stała młodzież, skubiąc go, oblewając, szturgając i nie dając pokoju.

Przy stole Anusi dawno nie było. Dworzanie i czeladź, a nawet proste hajduki, zmieszani razem, jak lalką bawili się tą maszką, a śmiechy rozlegały dokoła.

Na stole opróżnionych dzbanów, powywracanych kubków, porozlewanego wina i miodu, opróżnionych mis siła stało w wielkim nieładzie.

Samuel zobaczywszy Wojtaszka, chociaż u boku ani noża, ani szabli nie miał, bo siedział rozpasany i upojony, porwał się oburącz naprzód, szukając żelaza. Wstał, zachwiał się na nogach i padł na siedzenie, gdy tymczasem dwór jego od przebranego mnicha cały się rzucił ku drzwiom na Wojtaszka i objął go kołem.

Jakiś czas oczyma mierzyli się pan i sługa. Zborowskiemu usta drgały, oczy czarne zataczały się groźnie, to na śpiewaku spoczywając, to odwracając od niego ze wstrętem. Walczył z sobą co począć ma — i na ustach błąkał się już rozkaz: „Wziąć go i w dyby zakuć!”

Ale ani Samuel sam, ani nikt nigdy nie mógł przewidzieć, co on pocnie, tak zmienne uczucia z kolei nad nim panowały, a najsilniejsze brało przewagę.

W chwili, gdy wyrzec miał: „zakuć go w dyby”, a ten wyrok byłby go rozjuszył i poprowadził dalej, aż do śmierci wyroku może, Wojtaszek się poruszył, przebił przez tłum, zaszedł z boku i tu miejsce zabrawszy, głosem śmiałym i donośnym zanucił ulubioną Samkowi pieśń, której on słuchając zawsze płakał: O, wy moje lata młode!

Zborowski pobladł i widać było, jak w nim zburzone namiętności, nagle jak podcięte, ustąpiły rozrzewnieniu. I to się przyczyniło do wrażenia, że pieśń ta dawno w nim grała, a słyszeć jej nie mógł. Jak złamany pochylił się Samuel, a ośmielony lutnista głos coraz podnosząc, strojąc go na najczulszą nutę, nie tylko pana, ale wszystkich słuchaczy oczarował.

Ci, co go niedawno rozszarpać chcieli i gotowi się byli rzucić na niego, stali wstydząc się tego, co doznawali. Spuszczone głowy widać było i ręce pozałamywane.

Zborowskiemu dwa strumienie łez rzuciły się z oczów i zaszlochał. Wszystkie wspomnienia młodości, jej nadzieje nieziszczone, zmarnowane marzenia wielkie, upadek domu, poniżenie własne, ścisnęły mu serce; o zemście nad Wojtaszkiem już ani mógł pomyśleć, zapomniał zdradę, gniew się rozlał i wypłynął ze łzami.

Lutnista śpiewał, a choć się pieśń krótka o trzech strofach skończyła, powtórzył ją jeszcze.

Tymczasem, dokoła co stało, patrzyło na tego cudotwórcę.

Zborowski nic nie mówiąc wysunął rękę do kubka nala nego, który stał przed nim, i choć drżała a napój się rozlewał, podał go Wojtaszkowi. Wymógł na sobie lutnista, że się nisko pokłonił.

Zrozumieli wszyscy, że to było przebaczenie i zgoda, a Boksicki i inni pomyśleli, że jednak niepospolitej potrzeba było odwagi, aby w ten sposób sobie wyjednać u zagniewanego przejednanie.

Gdy nareście pieśń ta przebrzmiała, Wojtaszek nie chcąc dopuścić rozbudzenia zupełnego, zaczął drugą wesołą, miał bowiem zwyczaj tak je przeplatać. Twarze smutne się wyjaśniły i w upojonej gromadzie tu i owdzie do chóru głosy się nastrajały.

Zborowski tymczasem dał znak, aby Wojtaszkowi jeść i pić zastawiono. Nie spytał się go nawet, co przez ten czas robił, gdzie był. Pogroził mu tylko i zamruczał:

— Nie próbuj ty mnie. Prawda, uchodziło ci bezkarnie, ale u mnie jeden raz dosyć, więcej już nie będzie komu się ze mnie naśmiewać.

Nikt pewnie takiego się końca nie spodziewał, a ci co mieli się już rzucić na Wojtaszka, otoczyli go dopytując i dając mu rady, opowiadając, jak pan za nim tęsknił itp.

Z wolna niektórzy się z izby wycofywać zaczęli, liczba biesiadników zmniejszała, a Włoch mnich, który w krzesle pozostał, bo się o swej sile ruszyć nie mógł, z głową zwieszoną za poręcz, z ustami otwartymi, w których czarne, popsute zęby sterczały, spał i chrapał.

Podniósł się z siedzenia swojego i p. Samuel do sypialni chcąc iść i kazał sobie rękę podać Wojtaszkowi, który go poprowadził. A jak nieraz bywało już, sam go rozebrał.

Na stole, w którym leżały listy i papiery mu potrzebne, stały świece.

Rozmarzony, drzemiący już Samuel dał się rozebrać, rzucił na pościel, potoczył oczyma po izbie, bo mu, gdy głowę na poduszkę złożył, zawróciło się w niej nagle, i wyjęknął niewyraźnie do lutnisty:

— Śpiewaj!

Wojtaszek siadł na ziemi, trochę podumał nad wyborem piosenki i natychmiast cicho, smutno, powoli nucić zaczął, właśnie jak niańka przy dziecka kolebce.

Zborowskiemu natychmiast się oczy zamknęły i zasnął.

Nikogo więcej nie było w izbie.

Możnali było zaufać snowi Samuela, nie mógł się on nagle przebudzić i otrzeźwić, jak to mu się nieraz trafiało pod silnym wrażeniem?

Wojtaszek właśnie rozmyślał nad tym. Tymczasem bardzo zręcznie głos tak mierzył, osłabiał, ażeby gdy pieśń miał dokończyć, nie dało się to prawie czuć śpiącemu.

Samuel głęboko, mocno usypiał, a lutnista siedział, to na niego, to na stół spoglądając.

Jedna chwila miała o losie Wojtaszka rozstrzygnąć — stawiał życie na kartę.

Zborowski spał. Lutnista się podniósł z ziemi po cichu, spojrzął jeszcze na niego i przystąpił

do stołu. Wiedział, gdzie papiery leżały. Stała zwykle u nieopatrnego pana szuflada otworem, popróbował ją otworzyć — na ten raz znalazł zamkniętą. Znając obyczaj wiedział, że klucz nie mógł być gdzie indziej jak w sukni, którą miał na sobie, a tylko co ją zrzucił. Poszedł więc przetrząsać kieszenie i znalazł go w istocie.

Trzask otwieranego zanika i odsuwanej szuflady nie obudził śpiącego, śmiało więc, przysunąwszy świecę, Wojtaszek rozpoczął pośpiesznie przetrząsać listy i cisnąć je za pazuchę.

W niedawno wrzawliwym domu panowała cisza, wszystko się zdawało usypiać... lutnista

pospieszał, gdy wtem szelest się dał słyszeć pode drzwiami i podniósłszy oczy, w szparze drzwi przymkniętych spostrzegł Wojtaszek dwie czarne ogniste źrenice wlepione w siebie. Pierwszą myślą jego było rzucić się-i... zamordować. Zostawując szufladę otwartą skoczył żywo, lecz drzwi popchnąwszy znalazł pod nimi — Motrunkę... Ochłonął natychmiast.

— Stój tu — rzekł — pilnuj, aby nikt panu snu nie przerywał, mnie kazał papierów szukać.

Zbywszy się w ten sposób dziewczęcia, Wojtaszek co żywiej powrócił do stołu, ręką drżącą począł znowu przebierać listy i ciągle się oglądając na śpiącego, który przez sen dyszał i stękał, dobił, się na koniec do dna.

Za suknią miał cały stos pochwyconych listów. Zasuwał żywo nazad szufladę, zamknął ją i

klucz na powrót wsunął do sukni Zborowskiego.

Rachował, że w ten sposób może się nie tak rychło dopatrzą kradzieży, aby za nim w pogoń się puścić mogli. W każdym razie czasu miał przed sobą dosyć do rana, aby na wypoczętym koniu dostać się do Cobarowych ludzi i pod ich osłoną puścić się ku Lwowu.

Zborowski się szczęściem nie przebudził, a Wojtaszek świec nawet nie pogasiwszy, bo się

lękał, aby nagła ciemność nie zbudziła śpiącego, wysunął się z sypialni.

Motrunkę zastał jeszcze w progu na straży.

— Idź spać — szepnął jej. — Ja także padam ze zmęczenia, już dłużej nie wytrwam.

Z zuchwalstwem niesłychanym, które dotychczasowe powodzenie podniosło jeszcze,

Wojtaszek wprost z sypialni pobiegł w dziedziniec, wśród ciemności łatwo znane sobie pale wyszukał, które mógł wyjąć, wysunął się z podwórca i biegiem pośpieszył do konia.

Tu pierwszy go spotkał zawód. Spętanego konia w czasie riebytności jego wilki napadły i

zduśliły. Miał tylko czas spojrzeć na leżącego, około którego kilka par oczów świecących w ciemnościach się snuło, i piechotą musiał dalej pędzić do gospody, w której ludzi Cobarowych pozostawił.

Zabrało mu to daleko więcej czasu, niż rachował, i dzień się zrobił dobry, a potem słońce do góry podniosło znacznie, nim w śmierć znużony pośpiechem i trwogą dostał się do gospody.

Tu *także* nie mógł spoczywać ani chwili, pogoń groziła. Konia od jednego z ludzi wzięwszy, puścił się natychmiast do Lwowa, nie gościńcem, bo zawsze się obawiał, że gonić go będą, ale małymi ścieżkami przedzierając ku niemu.

Pod miastem samym, na skraju lasu postrzegł w istocie pędzących na koniach, które całe okryte pianą i potem pod razami jeźdźców wysilały się, Boksickiego i kilku hajduków. Dał im się wyminąć i zaraz po nich małymi uliczkami dostał się do Ormianina gospody. Tu z siodła się zsunął na ziemię i nadchodzący spieszenie Cobar kazał go zanieść nieprzytomnego do izby, gdzie go wodą i winem w usta wlanym otrzeźwiono.

— Masz listy? — zapytał Węgier.

Wojtaszek uderzył się po piersiach śmiejąc.

VIII

Nierychło nazajutrz pan Samuel się przebudził, a i służba jego po wczorajszej uczcie

ściągała się powoli, ziewając, wielu z pozawiazywanyimi głowami i plastrami, owiniętymi rękami, bo nie każdy cało wyszedł z tej zabawy.

Rozbudzony, natychmiast sobie przypomniał Wojtaszka i rozkazał go przywołać do siebie, gdy mu ranną polewkę do łóżka przynosił ulubiony Michał.

Rozbiegła się czeladź, lecz na próżno lutnisty szukano, nikt go od wczorajszego wieczora nie widział. W dawnej izbie jego nie było nawet śladu, aby w niej nogą postął.

Wszyscy byli pewni w początku, że jak inni, napiwszy się poszedł kędyś na siano i znużony odpoczywał. Spodziewano się go zobaczyć co moment, ale czas do południa upłynął, a Wojtaszka nie było ani słychu. Leżący na łożu swym Samuel dopiero teraz spostrzegł, że na podłodze leżało kilka wyrzuconych z szuflady listów, a przez źle domkniętą w pośpiechu wyglądały papiery.

Pewnym był tego Zborowski, że nieład nie mógł być jego sprawą, tknęło go to i rzucił się zaraz do stołu. Pamiętał, że ostatni list Krzychnika leżał na wierzchu. Otworzyłszy za ledwie, już się mógł roboty domyśleć... listy były do góry nogami poprzewracane tak, że najdawniejsze leżały na wierzchu. Pobieżne spojrzenie przekonało go, że najważniejszych brakło.

Zborowski nie krzyknął, ale zaryczał z wściekłości, tak że w domu całym wszystko *zadrżało*. Pierwszy przypadł Boksicki.

Znalazł pana stojącego jeszcze u stołu i nie mogącego mówić, tak go objął gniew. Trząsł się i miotał. Wskazywał Boksickiemu papiery, ale on ruchu tego zrozumieć nie mógł.

— Bestia! zdrajca! pies ten! — rozpoczął wręście Zborowski — na koń, w pogoń, łapać...

porwał mi papiery! Schwytanego nie przywozić, powiesić na pierwszej sośnie! Trupa tylko widzieć chcę, żywego nigdy!

I padł na łoże, zachodząc się z tego gniewu.

Boksicki musiał rozpytać, ale ze Zborowskim mówić teraz było niepodobna. Gdy wspomniał Wojtaszka, porywała go wściekłość i usta mu się pianą okrywały. Co napadł i chwycił w rękę, rwał i szarpał na kawałki.

Puściła się na koniec pogoń nie jedna, bo wszyscy chcieli się zasłużyć panu, a nie było człowieka, który by Wojtaszka zgubić nie pragnął. Oprócz więc Boksickiego, który zabrał najlepszych ludzi, kto tylko mógł się wyrwać, skoczył na konia i rozbiegli się tak na wszystkie strony, że chyba cudem mógł ujść lutnista.

Znaleziono na wpół rozszarpanego konia w lesie, a niedaleko od niego siodło i rząd, po których poznano, że koń Wojtaszkowy być musiał. Spodziewano się więc go dognać, ale lutnista umiał się im wymknąć, a nóg nie żałując do Cobarowych ludzi dostał się, nim pogoń do gospody dobiegła.

Co się działo tymczasem w Białym Kamieniu, tego żaden język nie wypowie. Poniewczasie pan Samuel ręce łamał lamentując, że przebaczył i że natychmiast zdrajcy obwiesić nie kazał.

Wyrzucała mu to Anna, która z największą zajadłością przeciwko niemu instygowała. Wszystko to przychodziło poniewczasie.

Gdy ochłonawszy z pierwszego szału, Zborowski się wziął do przejrzania papierów, przekonał się łatwo, że te, które mu skradzione zostały, wszystkie jego i Krzychnika obwiniały, tak dowodziły ich zamachów na króla i kanclerza, że o celu tej kradzieży powątpiewać było niepodobna. Wszystko w ten sposób zostało zdradzone, a podczaszy mógł się spodziewać, że na mocy jego własnoręcznych pism pochwycić go każe król i sprawę mu wytoczyć.

Samuel mógł się ucieczką salwować, podczaszemu groziło niebezpieczeństwo. Nie było więc ani chwili do stracenia i natychmiast listy potrzeba było wyprawić z ostrzeżeniem, aby się wszyscy Zborowscy na baczeniu mieli.

Boksicki, drugiego dnia, powróciwszy do Kamienia, przywiózł dokładniejsze wiadomości:

dowiedział się o pobycie Wojtaszka u Ormianina, o przybyciu Cobara i o tym, że gdy Woitaszek powrócił, Węgier z nim, zamiast do wojska się udać, zawrócił do króla polującego w

Niepołomicach. Kusić się o odbicie lutnisty nie było można i na niewiele by się to przydało, bo listy miał Cobar w rękę, a te mocniej nad niego świadczyły.

Posłańcy Samuela do siostrzeńców Stadnickich, do Włodkowej, do braci przybywszy z listami, poruszyli tu, co żyło.

Z Krakowa się dowiedziano, że Cobar tam przybył z lutnistą, i że ten zaraz miejsce u króla i jurgielt otrzymał.

Spodziewał się Węgier od swojego pana wdzięczności i pochwały, jakoż oboje go nie minęło, ale Batory go przyjął całę inaczej, niż on myślał.

Wiedział już, że wyprawiony na Podole Cobar, nie dojechawszy do wojska i zdawszy co miał na Zyberga, powraca. Król, nawet dla starania i pieczołowitości o swe życie, takiego wykroczenia nie przebaczał.

Tryumfujący złożył w obronie swej listy Węgier i stawił lutnistę. Król przebiegł oczyma papiery i kazał je sobie tłumaczyć. Słuchał wyrażen dosadnych w nich zawartych obojętnie prawie, choć przeciwko niemu wymierzone były. Nareszcie, gdy się czytanie to skończyło, z którego jawnym było, że na życie Batorego czyhała trucizna, a na Zamojskiego ludzie Samuelowi i on sam, rzekł król obojętnie prawie:

— Co ty myślisz, Cobar, żeś ty mi nowinę przywiózł, o której ja nie wiedziałem? Prawda, zem dowodu nie miał w rękę, alem tak był pewnym tego, co oni knują, jak bym ich podsłuchał.

Znam tych ludzi... Gardła im niczym nie zapchać, dumy ich nasycić niepodobna... głowy z karków postracać potrzeba, dopiero od nich będziemy bezpieczni.

Z uśmiechem szyderskim, ale nie przywiązując do nich wielkiej wagi, król listy

Zborowskich ukazał Zamojskiemu, biskupowi Myszkowskiemu, Tęczyńskim.

— Cóż tu poczynać z nimi? — wołał. — Wytoczyć im sprawę! Nie będzie ich kosztowało

wyprzeć się i zaprzysiąc własnej ręki. Alboż Łaskiemu nie powiedział Samuel: „Skarż się na mnie, ja się wyprę”.

Musimy ich pochwyć na uczynku, a naówczas... Król się uśmiechnął i rzekł pogardliwie:

— *Mortuus canis non mordet* (zdechły pies nie kąsa). Gdy się to działo na zamku, po dworach panów Zborowskich, po domach z nimi skoliigaconych rozchodziła się trwo- ga.

Krzychnik najmocniej zagrożony, za ledwie otrzymał wiadomość od Samuela o tym, że listy jego były w ręku króla, w godzinę potem już go na Franciszkańskiej ulicy nie było. Zbiegł pieszo naprzód do Piekar. Tu się nie czując bezpiecznym uszedł do najmłodszego ze Stadnickich, ale i tu obawiając zdrady, w małym poczcie wiernych sług natychmiast puścił się do granicy i nie

odetchnął, aż ją przekroczywszy był na terytorium cesarskim.

Tu się pana „Rady cesarza” nikt nie śmiał tknąć.

Marszałek listami mniej był zagrożony, ale choć pisania unikał, i tylko to go obwiniać

mogło, iż Krzychnik o nim dawał świadectwo, że tak samo myśli, jak i on, wyjechał także z miasta.

Bronił się jednak otwarcie, iż o niczym złym nie wiedział. Wszyscy oni teraz pośpieszyli o ratunek do Jana, z wyjątkiem Samuela, który ani mógł, ani już chciał się oczyszczać. Banicję mając na sobie w dodatku wiedział, że mu, pochwyciwszy, nie przebaczą.

Najbardziej na sercu mściwym leżało, iż zdrajca się wymknąć zdołał. W listach do

Stadnickich młodych zaklął na krew, która w żyłach ich płynęła, aby się starali nieodzownie, per fas czy per nefas, siłą, zdradą, w jakikolwiek bądź sposób, jakimkolwiek kosztem Wojtaszka

pochwycić i jego mu dostawić.

Publicznie powtarzał Samuel z udaną krwią zimną:

— Nie będę miał spokoju, póki go nie dostanę. Pasy z niego będę darł! pasy! pasy!

Jeden ze Stadnickich, w którego żyłach istotnie żywiej. Zborowskich krew płynęła,

umyślnie z tym się udał do Krakowa, aby Wojtaszka pochwycić.

Cobar, jak był przyrzekł, wyrobił mu u króla zaraz miejsce lutnisty. Opieka pańska i

nazwisko królewskiego nadwornego sługi dawało mu wprawdzie bezpieczeństwo, zasłaniało go od Zborowskich, ale inne korzyści, jakich się tu spodziewał Wojtaszek, ominęły chciwego odznaczenia się i zbogacenia młodzika.

Miał król wprawdzie cytarzystów i śpiewaków, ale ci wię- cej dla gości i dla formy przy

dworze się czepiali i cierpieni byli, niż mu potrzebni. Sam król rzadko miał ochotę rozrywać się muzyką. Najmilszą mu była, gdy w niepołomskich lasach psy ją grały. Królowa JMość miała

swoich i osobno się jej dwór trzymał, a najczęściej oba one nie w jednym miejscu się znajdowały.

Na ostatek młody i nowy na dworze, nie znany nikomu Wojtaszek panów Zborowskich, zawczasu w starych lutnistach króla miał nieprzyjaciół. A gdy się na dworze zjawił i ze sztuką swą popisał, obudził zazdrość i niechęć ku sobie większą jeszcze.

Cobar, który go miał w swej opiece, nie zawsze przy królu stał; najczęściej go Batory wysyłał to do wojska, to z rozmaitymi poufnymi poleceniami, nie tylko w Polsce, ale i za granicę.

Naówczas Wojtaszek zostawał sam jak palec, otoczony nieprzyjaciółmi, a zyskać sobie ludzi nie umiał. Cierpiał więc na każdym kroku, wyśmiewany, popychany, wcale nie dobiwszy się tego, o czym marzył.

Wiedziano, za co miejsce otrzymał, jurgielt i opiekę; zwano go więc zdrajcą i imię to do niego przylgnęło tak, że nie inaczej między muzykami, jak nim, go mianowano.

Mógłby to był sobie wynagrodzić łatwo, po mieście chodząc i do śpiewania się zajmując przy weselach, chrzcinach, a zabawach bogatych mieszczan, ale na miasto sam się puszczać nie śmiał, bo tam łatwo było popaść w ręce panów Zborowskich, którzy jeden gwałt więcej popełnić by się nie wahali.

Musiał się więc w tych wycieczkach wystrzegać i dobrze oglądać na wszystkie strony.

Stadniccy za nim krok w krok chodzili. Sam on wiedział i czuł, że długo tu wytrwać nie potrafi i że zdrada się nie opłaciła. Do czasu jednak cierpieć musiał i milczeć.

Historia Wojtaszka stała się głośną w mieście i po kraju, ciekawych było wielu, co go widzieć i posłuchać pragnęli, ale pogardę mu okazywano, a nawet ci, co nie lubili panów Zborowskich, dla niego też wielkiej łaskowości nie mieli.

O niewiele szło, ażeby się Wojtaszek w ręce Stadnickiego, a przez niego do dawnego pana nie dostał.

Kilka miesięcy upłynęło i lutnista się nieco obył ze swym położeniem, a nawet zabezpieczył, że go Samuel nie będzie śmiał na zamku szukać i spod boku króla porwać. Zaczął więc chodzić swobodnie i sam jeden.

Stadnicki młody na to tylko czyhał, a podbudzała go do pilności Włódkowa, która szczególnie dawniej lutnistę lubiła, a teraz go nienawidziła.

Czeladź Stadnickiego, zasadziwszy się na Wojtaszka, gdy z miasta powracał z lutnią na

plecach — nucąc sobie nieopatrzny — zastąpiła mu drogę. Wąsaty, ogromny siłacz pokłonił mu się, nie puszczając go dalej. Miał z sobą w towarzystwie takich, jak sam, drabów sześciu.

— Czołem, Wojtasiu! Jak się masz! — zawołał. — Trudno cię poznać, tak na białym chlebie królewskim ciała ci przybyło.

— Daj mi pokój, nie znam cię — odparł Wojtaszek — puszczaj...

— Poczekaj mała — rzekł hajduk — a to i pamięć widać straciłeś. Jam sługa panów Stadnickich, a oni mają polecenie was, gdyby się trafiło, ująć i dostawić p. Samuelowi, boś się odchodząc zapomniał z nim pożegnać i rachunek o jurgielt pono nie skończony. Coś ci się od dawnego pana należy.

— Puszczajże! — krzyknął Wojtaszek. — Jam królewski sługa! Jak śmiesz mnie wstrzymywać?!

Wtem drab go za kołnierz pochwycił, drudzy obstąpili, ścisnęli, objęli i Wojtaszek pchany musiał iść z nimi.

Gdy się to działo prawie przed samą bramą zamkową, przechodził właśnie tamtędy

Dzierzek z dworna sługami Zamojskiego. Wszyscy oni znali Wojtaszka, który parę razy był brany na pokoje do kanclerza dla śpiewu. A że historię jego wiedzieli, łącznie się domyślili, co się święci.

Dzierzek więc nie mieszkając pobiegł na zamek do dworzan króla.

Nikogo tak dalece nie obchodził lutnista, ale bądź co bądź należał do dworu i pochwycenie go było zuchwalstwem karygodnym. Natychmiast więc Mroczek, który był pod ręką, wyprawiony został w pogoń z dziesięciu ludźmi, aby Wojtaszka odebrać, nimby go dalej pośpieszyli

uprowadzić.

Wojtaszek ze swymi przewodnikami był zaledwie w Grodzkiej ulicy, gdy Mroczek przypadł konno.

Ci, co prowadzili lutnistę, domyślając się odsieczki, chcieli się z nim skryć do kamienicy, ale nim dopadli do wrót, Mroczek już był przy nich.

— Stój, jakim prawem! To jest lutnista króla!

— Mylicie się, miłościwy panie — odparł Stadnickiego sługa — to jest wychowaniec i

lutnista panów Zborowskich. Uciekł z ich domu, pochwyciwszy, co do niego nie należało. Złodziej

jest i my go musimy dostawić dawnemu panu do porachunku.

— Nikt go wam nie schowa do kieszeni — krzyknął rotmistrz — możecie i pozywać, i

dochodzić, ale tymczasem wolnego człowieka z królewskiej służby nikt nie ma prawa samowolnie chwytać! Puszczając mi go zaraz...!

Drab chciał jeszcze próbować oporu, gdy Mroczek dał znak swoim ludziom, którzy nacisnęli tak, że musieli go stadniczczyki wypuścić.

Wojtaszek dopiero odetchnął, bo duszę już miał na ramieniu i był pewnym, że z życiem nie ujdzie. Mroczek go natychmiast między swoich wziął i na zamek odwiózł nazad.

Ta pilność około Wojtaszka i inne pogłoski niepokojące, którym towarzyszyło złowrogie

milczenie króla i Zamojskiego, Zborowskim dawały do myślenia. Nie bez przyczyny wnosili, że i hetman, i król najstraszniejsi byli, gdy patrzyli z daleka, upatrywali chwili i nawet grozić ani przestrzegać nie raczyli.

Samuel o sobie myśleć nie mógł, bo zdawało się, że nieodwołalnie był potępionym w

oczach pana. Za nim wszelkie staranie było próżne, ale Krzysztofa i Andrzeja chciano uratować, a rodzina ich dalsza nie wierzyła, ażeby tak daleko zabrnęli, by ich nie można na brzeg wyciągnąć.

Udali się do kasztelana. Andrzej pojechał do niego, bo ten był najzręczniejszy, a umiał pana gnieźnieńskiego przekonać i skłonić.

Ten stał zupełnie poza szrankami, w których się obracali tacy zwolennicy cesarscy, agenci czynni Rudolfa". Andrzej przybył do niego z uzaleniem i gotową powieścią.

— Spisek na naszą zgubę uknuto — mówił do niego. — Niegodziwy ten ulubieńczyk

Samuela, Wojtaszek, fałszywe podrobione jakieś zawiózł listy z doskonale naśladowaną ręką Krzysztofa. W listach mowa o truciźnie, o zasadzkach, o zabójstwach. Król zdrajcy muzykantowi dał miejsce u siebie w kapeli i milczy. Zamojski także... wiemy co to ma znaczyć. Poczną może od Samuela, pójdą potem, do Krzychnika, od niego do mnie, a gotowo się skończyć na was, panie kasztelanie, bo kto chce psa uderzyć, kij znajdzie.

Z początku kasztelan nie dowierzał, ale Andrzej z nadzwyczajną zręcznością pracował nad nim poty, aż go namówił i przekonał o tym, iż powinien jechać do Krakowa i raz się z królem stanowczo w sprawie rodziny rozmówić.

Kasztelan pojechał. Nie miał tu łask szczególnych, ale miał wiarę u króla i hetmana. Począł

od tego ostatniego, lecz gdy zagaił za ledwie, Zamojski przerwał mu tym, iż z królem o tym, nie z nim mówić trzeba.

— Ja w tej sprawie — dodał — nic przez się nie czynię i czynić nie będę.

Zatem wyrobił sobie posłuchanie u króla Jan, a wchodząc, już po twarzy pana poznał, że się domyślać musiał, o co chodziło.

Z całym zapalem czującego się niewinnym człowieka wniósł sprawę pokrzywdzonej i

spotwarzonej familii swojej Jan, błagając króla, aby fałszom złośliwych nieprzyjaciół Zborowskich nie dawał wiary.

Kasztelan mówił gorąco, łzy mu nawet z oczów płynęły, unosił się, ukarzał, prosił, a ile razy spojrział na twarz króla, aby zbadać wrażenie, nie znajdował na niej ani litości, ani najmniejszej oznaki złagodzenia.

Prawda, że Batory w ogóle niełatwym był do zwrotu w przekonaniach, a do przebaczenia

nieprzyjaciołom nie- skłonny wcale. Nie znano prawie przykładu, aby urazą osobistą darował.

Sprawy jego w Polsce to usposobienie podniosły jeszcze i spotęgowały. Od elekcji samej trwała z początku otwarta, potem tajona walka z cesarskimi partyzantami, którzy mieli stolicę swą we Wrocławiu, znanych dowódców, wyznaczone sumy i wciąż podkopywali powagę, znaczenie, trwałość rządów Batorego.

Na jednego Łaskiego, który padłszy królowi do nóg, nawrócił się szczerze i wiernie mu

służył, było stu Czarnkowskich, Uchańskich, Gostomskich, Tarnowskich, którzy zajmowali miejsca w senacie, a listy wysyłali do Wiednia i stali na żołdzie cesarza.

O tym wszystkim Batory był uwiadomiony, donoszono mu. Ani zwycięstwa, ani

powodzenie w polityce wewnętrznej nie mogły nawrócić tych, co nie chcieli być nawróconymi, znajdując dogodnym czerpać ze dwóch źródeł.

Batory obchodził się z tymi przeciwnikami ze wzgardą i nie miał nad nimi litości. Na łzy kasztelana popatrzawszy obojętnie, król poruszył ramionami.

— Nie wątpię — rzekł — o szczerości waszej, mówicie, co wam mówiono, ale was tak

okłamano, jak mnie oszukać chciano. Trudno się jednak łudzić, gdy dowody czarno na białym trzyma się w ręku.

— N. Panie — pochwycił kasztelan — raczcie sobie przypomnieć tego pisarza w Grodnie,

który tak rękę waszą umiał naśladować, żeście wy sami podpisu jego od własnego rozpoznać nie mogli. Alboż się nie mógł znaleźć zły człowiek, który rękę braci moich naśladował dla ich zguby?

— Czekaj chwilę, kasztelanie — odparł król — uczynię cię samego sędzią.

To mówiąc wyszedł król i mało co zabawiwszy, powrócił z wiązką papierów w rękę.

Kasztelan rzucił się na nie chciwie i przepatrując, zdrętwiał... Nie było najmniejszej wątpliwości. Pieczętki, pismo, papier, wszystko się składało na to, ażeby wszelką wątpliwość usunąć.

Zrozpaczony starzec, któremu papiery z rąk wypadły, zakrył sobie oczy i nie powiedział już ani słowa. Batory zabrał papiery i z łagodnością się odezwał:

— Widzicie, że z mej strony nie podejrzenie jest, ale pewność zupełna. Przeczytajcie listy, przekonacie się z ich treści, jak nieprzeblaganą nienawiścią pałają dla mnie Muszę więc pilnym być, czuwać i bronić się. Uniewinnić Krzysztofa i Samuela w oczach moich nic nie zdoła.

Ostrzeżcie ich, aby się z kraju wynosili, bo ja, nie dla siebie, ale dla kraju, dla jego spokoju, nieubłaganym być muszę.

Kasztelan zabolawszy okrutnie musiał odejść z niczym i tegoż dnia przybyłemu

marszałkowi oświadczył, iż Krzysztofowi nic nie pozostawało nad ucieczkę, a Samuel też, chcieli być cały, wynosić się musiał.

— Co do was — dodał — i na was ciężą podejrzenia, ale nie tak ciężkie. Możecie się oczyścić może.

Po tej ostatniej próbie kasztelan, dotknięty głęboko postępowaniem braci, chociaż ich bronił z obowiązku, zerwał prawie z nimi stosunki.

Andrzej także stanął na boku, nie poczuwając się do winy braci i chcąc wytrwać na stanowisku. Potajemnie zaś wspomagał i radził Krzysztofowi, gotów był ratować Samuela.

Zborowscy, którzy i tak trzymali z Czarnkowskim i głównymi partyzantami Kakuszan, zbliżyli się do nich, podwoili gorliwości.

O najmniejszych rzeczach, cokolwiek się działo na dworze, między senatorami, w Polsce, w Wiedniu, przez Wrocław i korespondentów był cesarz uwiadomiony. Spodziewano się tam albo Batorego śmierci, lub jakiegoś wybuchu malkontentów, na których czele mógł stanąć cesarz, który oświadczał, że nie przestanie się starać o koronę polską i że ją mieć musi.

Po nieudanej próbie pochycenia Wojtaszka, którego tylko przytomność umysłu Dzierzka i

pośpiech Mroczka ocalił, przestraszony lutnista już się na krok z zamku nie ruszał.

a i tu nie czuł się bezpiecznym. Wiedział dobrze, że po kryjomu, zręcznie go porwawszy stąd, Zborowscy by sobie winy dowieść nie dali, a znalazł, czym ich zemsta była.

Odgródka ta Samuelowa: „Będę z niego pasy darł!” nie była próżną. Kto wie, co by z nim kazał uczynić, gdyby raz miał w swoim ręku! Nauczył się teraz Wojtaszek, jak smutny los czekał zdrajcę. Pogardzano nim na zamku, zemsta czyhała poza jego murami. Nawykły i chciwy oklasków, nie miał nawet zręczności teraz pozyskania ich i chwilowego nasycenia miłości własnej.

Całymi dniami siadywać musiał na ławie w antykamerze, czekając, azali nie zawołają na pokoje.

Najczęściej nie wzywani muzycy się potem rozchodzili, ale wszyscy inni swobodni,

wysuwali się na miasto, zabawiali po browarach, zapraszani śpiewali po domach, zarabiali po trosze grosza i mogli się rozerwać. On zaś ani nosa nie śmiał wytknąć za bramę... nikt się o niego nie troszczył. Wiódł najsmutniejsze w świecie życie i w końcu musiał prosić swego opiekuna Cobarą, aby mu przyszedł w pomoc radą jaką.

Węgier, dotrzymawszy słowa, czuł się zupełnie zwolnionym z dalszych obowiązków względem Wojtaszka.

Ruszył ramionami, skrzywił ustami i pytał, czego ostatecznie jeszcze żądać może, otrzymawszy to, co *życzył*.

— Panie miłościwy — odezwał się Wojtaszek — ale ja tu umieram jak trawa w posuchę.

Nie mam do kogo zagadać, wszyscy ode mnie uciekają. Zginąć tak chyba przyjdzie, nareście człowiek i lutni, i śpiewu zapomni, bo tu nikt ani słucha, ani żąda muzyki.

— Na to ja ci nie poradzę — odparł Cobar. — Chcesz porzucić muzykę, a *zaciągnąć* się do wojska? Dobrze. Zresztą radzić nie umiem — rozśmiał się — nigdy muzykiem nie byłem.

Wojtaszek próżno się zżymał i narzekał, nic nie zyskał. Parę razy, gdy książęta niemieccy byli na zaniku, a Batory nie wiedział, jak ich przyjmować, wołano muzyki... Naówczas starzy tak manewrowali, aby nie dopuścić do głosu Wojtaszka, i tylko gdy razem śpiewali wszyscy, mógł się dać słyszeć. Naówczas, choć się wrywał i głos podnosił, umiano go zagłuszyć.

Po dawnym życiu targanym namiętnościami, gorączkowym, ale utrzymującym w ciągłym naprężeniu wszystkie władze, Wojtaszek popadł w rodzaj odrętwiałości, która go jak rdza jadła.

Do tego męczeńskiego stanu przyczyniły się tęsknice. Tęsknił nawet za tym i za tymi, których znienawidził; przypominał sobie Biały Kamień, Złoczów, Zborów i inne miejsca pobytu, zabawy, walki, strachy... Anusię gniewną, rozkochaną Motrunkę, a nawet pijane biesiady wrzaskliwe, w których Samuel tak był straszny. Żałował niemal swojego kroku, za który ukarany został nie jednym cięciem, ale powolną męczarnią.

Po kilkakroć zrywał się już, lutnię pochwyciwszy i swój mały węzełek, zbiec gdzieś do Niemiec, do Czech, bodaj do Moskwy, lecz po drodze mogli go Zborowscy porwać i powiesić na pierwszej z brzegu gałęzi.

W takich rozmyślach czas mu upływał na królewskim dworze. Mógłby był mieć jakąś rozrywkę zbliżając się do dworu królowej, ale ten się składał z kobiet po większej części podżytych lub starych, a królowa sama, jeśli nie pisała listu do Szwecji, nie doglądała apteczki i ogródka, nie modliła się, to odpoczywała w bardzo szczupłym kółku, o śpiewie i muzyce nie myśląc.

Zawczasu już, jak by przeczuwała swój stan wdowi, chodziła w czerni cała — uśmiech prawie się nigdy nie zjawiał na jej ustach.

Tak samo było z królem, zajęтым wojną, łowami, polityką swą, Węgrami zresztą, którymi się przeważnie otaczał, a nie szukając rozrywki żadnej oprócz myślistwa.

Pracowano tu wiele, a zabawa była prawie niesłychaną rzeczą — nie czuł nikt jej potrzeby.

Wyjątkowym było ono wesele z maszkarami, ale i to już teraz do wspomnień należało.

Nieco może jaśniej bywało na pokojach kanclerza i tu czasem dźwięk lutni się słyszeć dawał, ale on towarzyszył pieśni nowej Jana Kochanowskiego i musiał się posłuszny do niej nałamywać.

Nie mając, co począć, a siedząc ciągle na zamku, Wojtaszek do kościoła uczęszczał, do zakrystii zachodził i księżom usługi swe ofiarował, które były chętnie przyjęte.

Wdzięwał komeżkę, a piękny głos jego w chórze wszystkich zachwycał. Miłość własna

Wojtaszka przynajmniej cokolwiek była polechtaną. Księża, z którymi się zapoznał, nie *znając* jego przeszłości, słysząc głos, widząc chłopaka roztroptym, zaczęli go do stanu duchownego namawiać.

Ale da tego on nie miał powołania. Wychowany w domu, w którym religia poszanowana nie była, bo Samuel liczył się do nowatorów i za katolika nie uznawał, a w istocie żadnej nie miał wiary,

Wojtaszek nauczał się drwić z obrzędów, lekceważyć duchownych i myślał naówczas z innymi, również lekkomyślnymi, że stara wiara musi zginąć... Nie dał się więc pociągnąć, ale tymczasem do zakrystii tak uczęszczał, jak do kręglami, dla zabawy.

Ale i stąd go przeszłość wygnać miała. Mówiliśmy wyżej o dwóch dominikanach, nad

którymi głośnie było okrutne znęcanie się Zborowskiego, pod pozorem jakiejś na nich potwarzy, a w istocie spowodowane tym, że oni na utrzymanie żony Samuela przy wierze katolickiej wpływali.

Wojtaszek, będący naówczas nieodłącznym od swego pana, patrzył na uwięzienie dominikanów i znał ich dobrze. Oni go też pamiętać musieli jako pomocnika swego oprawcy.

Jednego razu, gdy Wojtaszek swym zwyczajem zabierał się do śpiewania w chórze i miał komeżkę przywdziewać, ujrzał wchodzącego jednego ze dwu księży, co się ledwie z rąk Zborowskiego wyrwać potrafili, ojca Czesława.

Dominikanin, zobaczywszy go, poznał od razu i zmarszczył się surowo.

— A ty co tu robisz: w miejscu poświęcanym? — zawołał patrząc na niego.

— Należę do śpiewaków królewskich — odparł Wojtaszek — cóż za dziw, że na Wawelu w kościele śpiewam?

— Ty do śpiewaków króla?! — przerwał zgorzony ojciec Czesław. — A cóż za bezbożnik

cię tu wprowadził?! A oczyściłeś się ty z tego brudu, w którym grzęzłeś po szyję razem z twoim dawnym panem?!

Wojtaszek milczał, śmieszkiem nadržając. Tymczasem księża się katedralni zbliżyli i słuchali.

— Ma śliczny głos — odezwał się kantor przechodząc.

— Ale zajrzyjcie mu do duszy! — ogień krzyknął ojciec Czesław. — Taż to z kałuży grzechu i nieprawości wydobyta zmija!

Wszyscy księża przytomni przysłuchiwali się z nadzwyczajną ciekawością.

— Ale to śpiewak króla JMci! — dodał jeden.

— Spytajcież go, czyim wprzód był — mówił ojciec Czesław — a nie tykając ręką, bo się powalacie, miotłą go za próg wyrzucicie i to miejsce, po którym chodził, ogniem wypalcie, święconą

wodą obmyjcie!

Milczeli wszyscy, dominikanin nie ustawał.

— Przecie to ulubieniec Samusia Zborowskiego, łotra, co do świętych strzelał obrazów, co księży znieważał, co Wapowskiego, świętego męża jeszcze świętszej niewiasty, ubił. To jego wychowaniec, kochanek, pieszczota...

I ksiądz ze wstrętem odwrócił się od Wojtaszka, w którego rękach komeżka drżała.

Wszyscy duchowni w zakrystii zgromadzeni, ze zgrozą i jakąś niechęcią spoglądali na śpiewaka.

Nikt mu jeszcze nie śmiał powiedzieć, aby sobie szedł precz, ale na wszystkich twarzach stał ten wyrok wypisany.

I Wojtaszek też go zrozumiał. Komeżkę rzucił natychmiast, kapelusik swój z piórem włoski porwał do ręki i słowa nie mówiąc, skłoniwszy się zaledwie księżom, wyniósł się precz z zakrystii, w której więcej nie pozostał.

Żałowano go tu dla głosu, ale niepodobna było wiedząc, kto on był i skąd pochodził,

dopuszczać do udziału w nabożeństwie. Byli tacy, co się uzalali nad losem jego i myśleli nawracać, ale Wojtaszek dumny już im nie nastęczał ku temu zrzeczności i kościół z daleka obchodził.

Znowu więc powróciły godziny długie nudów i siadywania na ławie w izbie, w której

wszelka służba zawołania oczekiwała, racząc się piwem i grubiańskimi szyderstwami. Wojtaszkowi czasem przychodziła ochota kamień sobie przywiązać do szyi i pójść do Wisły.

IX

Rok tak prawie upłynął. W położeniu pp. Zborowskich nic się nie zmieniło. Nad nimi

zawsze wisiała groźba pomsty króla, bo ten nigdy nie przebaczał. Milczenie jego i cierpliwość dowodziły tylko, że pierwszej zrzeczności czekał, aby nieprzyjaciół pognębić. Nie mogli się oczyścić, nie śmieli żądać, aby im winy dowodzono... pozostali w tym stanie niepewności i obawy, który jest ze wszystkich najnieznośniejszym.

Lecz p. Samuel, który już później kilkakroć, wraz z Krzysztofem, próbował się odzywać do Kozaków, dla uzyskania u nich hetmaństwa i dokuczenia nim królowi, z Niżu otrzymał tylko wymijające, niestateczne odpowiedzi.

Przyjmowano posyłane podarki, na listy obu ich odpisywano, nawet po polsku, ale tak ogólnymi słowy, iż z nich nic wyciągnąć nie było można.

Drugi raz na Niż się puszczać nie miał ochoty Samuel, nadto jeszcze świeże było pierwszej wyprawy

wspomnienie.

Krzysztof, który się też pono zawiódł na w. księciu moskiewskim i czekał na próżno od niego jurgieltu, gdy ten wymagał naprzód, aby on zarobił nań — nie kontent był i z cesarza, którego zwał się radą, ale mu nic poradzić nie umiał, aby prędzej osiągnąć tron polski.

Wiadomą tylko była wielka nań pożądlivość Rudolfa, który mówił i powtarzał ciągle, że musi koronę tę mieć. Utrzymywał też i teraz, po wstąpieniu na tron Batorego, całą gromadę płatnych szpiegów i pokątnych pomocników, którzy wiele obiecywali, nic nie robili, a nieustannie dopominali się pieniędzy, pod pozorem jakichś dla cesarza werbunków.

W raportach z Wrocławia opisywano na pociechę Wiednia, że Batory był żółty, chory, zmęczony, że życia długiego nie obiecywał. Z tą samą nieżyczliwością odzywano się o królowej, o którą zresztą — Rudolf otwarcie mówił — że nie dbał. Miała ona swe wyposażenie osobne i do niczego więcej praw nie mogła sobie rościć.

Gdy Zamojski i Batory pracowali niezmiernie około uporządkowania Polski, zabezpieczenia jej pokoju na granicach, zgotowania lepszej przyszłości, popod nimi robota podziemna kretów tych nie ustawała ani na chwilę.

Oczekiwano śmierci Batorego, jak gdyby ona wkrótce im zapewnioną była. Me ulega też wątpliwości, iż się ją przyspieszyć starano i że gdyby nie pilny dozór Buccelli i innych lekarzy, ostrożność Zamojskiego, obawa i nieufność, które pobudzały do strzeżenia króla, przyspieszono by mu koniec ten, którego tak pragnęli sprzedani Rakuskiemu. Zdawało się im, że pierwsze doświadczenie, jak opieszalność wiele popsuć może, zabezpieczy od powtórnego błędu i nauczy, jak tu szybko działać potrzeba.

Wszystko zresztą było w gotowości. Cały zastęp sprzymierzeńców liczył cesarz w Polsce i na Litwie; miał w W. Polsce Górkę, w Krakowie jednego z Tarnowskich, miał czynnego Uchańskiego, Gostomskiego — wojewodę rawskiego, i na pozór ogromnie czynnego, wiele obiecującego Czarnkowskiego. Partia ta, zaraz po zgonie Zygmunta Augusta sformowana, miała się czas zorganizować i ukrzepić.

Wyczekiwanie dłuższe raczej mogło osłabić i rozprząc to wojsko, niż je powiększyć i wzmocnić. Liczono już odpadki, cesarz się gniewał. Szło więc głównie o to, aby bodaj gwałtownym czynem koniec panowaniu temu położyć. Struć, zabić, byle się pozbyć! Ze wszystkich, którzy należeli do tego obozu, jedni tylko Zborowscy okazywali się najśmielsi do czynu, a z nich Samuel

najpewniejszym, iż się nie cofnie.

A zatem czas i godzinę trzeba było naznaczyć, związać się słowem uroczystym i kroczyć wprost do czynu. Samuel się na to godził, Krzysztof przystawał, Andrzej się nie sprzeciwiał.

Wszystkich znudziło i wyczerpało oczekiwanie. Samuel obesłał ich, aby zjazd postanowić gdzieś na Rusi i umowę zawrzeć twardą. W ciągu roku obawy jakiejś niespodzianki od króla osłabły.

Ponieważ on się ociągał, można go było uprzedzić.

Trzej bracia naznaczyli sobie dzień zjazdu w Złoczowie. Zdawało się im, że bezkarnie dotąd kręcąc się po kraju, jak by na nich uwagi nie zwracano wcale, mogli być zapomniani. Samuel, choć banita, zawsze w kilkadziesiąt, do stu koni, przenosił się z miejsca na miejsce, z jednego majątku do drugiego, to ku granicy, to ponad nią się snując. Opowiadano o nim raz, że się wybiera na Wołoszczyznę, to że idzie na Tatarów, to że się do Włoch wynosi, a kraj opuszcza zupełnie..

Krzysztof, nazywało się, że bawił na Morawie, gdzie miał jakieś bajeczne posiadłości, że się znajdował u cesarza i że go nie było w Polsce, ale w istocie prawie się z niej nie oddalał.

Na ostatek Andrzej nie ukrywał się z sobą, jawnie przemieszkiwał w Krakowie, stawiał się na wielu zjazdach, brał udział w naradach, tylko od dworu unikał i z kanclerzem się nierad był spotykać.

Wszyscy oni mylili się mocno, sądząc, że czy przez niedbalstwo, czy przez lekceważenie nie zwracano już na nich uwagi. Kanclerz dla samego króla, którego się głosili nieprzyjaciółmi, musiał ich pilnować, król zaś obawiał się ich więcej dla Zamojskiego.

Mroczek przez niewidzialnych swoich pomocników śledził każdy krok, wiedział o każdym poruszeniu, miał doniesienia o tym nawet, co między sobą mówili i układali.

Zjazd więc umówiony do Złoczowa także mu nie był obcym. Zabezpieczył się, aby i tam mieć kogoś, co by mu doniósł o jego skutku.

Było to w początkach kwietnia, ale wiosna, choć leniwo, już się czuć dawała i powietrze nieco ociepliło. Złoczów, położony w kotlinie, na uboczu, wśród lasów i wzgórz, w cichym kącie, zdawał się panom Zborowskim miejscem bardzo stosownym do takiego zjazdu, który by nie nastroczał się ciekawym oczom. Tu oni mogli na stary zamek sobie zajechać po cichu, nie zwracając uwagi, przesiedzieć w nim dni parę i nie postrzeżeni się rozsypać, każdy w swoją stronę.

Łatwo się domyśleć, że pierwszy, niecierpliwy Samuel przybył tu gospodarzyć i

przygotować przyjęcie dla braci. Orszak jego, wedle dawnego zwyczaju, składał się z hajduków, dworzan, czeladzi i mógł nazwać doborowym, bo i ludziom, i koniom nic zarzucić nie było można.

Próżnię, jaką po sobie zostawił Wojtaszek, wypełniał już inny młokos, Prokopek, który

wieśniacze tylko pieśni śpiewywał i z prosta grał na teorbanie, ale był ulubionym pana, -bo drżał przed nim i na twarz padał.

Mnich włoski dawniej był, pokłóciwszy się ze Zborowskim, w podartym habicie zmuszony

dwór jego opuścić, natomiast miał teraz on Żyda, którego przezwał Rabi Jehuda, śpiewającego *majufes*, jeżdżącego konno i służącego za pośmiewisko, ale obdzierającego Samuela bez miłosierdzia. Oprócz tego na wozie jechali karzeł i karlica, ubrani dziwacznie, usługujący też Samuelowi, ale tych on tylko z domu brał rzadko dla parady. Życie wiodło się jak przedtem bez zmiany. Anusia bawiła w Białym Kamieniu, a dorastający syn Aleksander, do którego więcej może teraz, niż do córki był przywiązany, rzadko miał pozwolenie towarzyszenia mu i mieszkania razem. Przez dziwny jakiś srom, nie *zyczył* sobie Samuel, aby syn ten patrzył na jego życie.

Trzymał go z dala, z nauczycielami i pod dozorem bardzo szczęśliwie dobranych przewodników, czuwających nad jego ukształceniem.

Sam on cynicznie się wyrażał czasem:

— Me chcę, aby na takiego, jak ja, wyrosnął łotra i zbója. Zobaczycie, ten sławę imienia Zborowskich podniesie, ten na bohatera wyrośnie.

I przepowiednia ta się później, choć w niedługim życiu Aleksandra ziściła. Bolał nad tym często Samuel, że go nie widział, tęsknił za nim, ale go do siebie nie powoływał. A gdy Aleksander przyjeżdżał, nie przyjmował go zwykle w Białym Kamieniu, ale gdzieś indziej i ze skromniejszym dworem. Sam on przy synu starał się być innym. Wprawdzie warcholstwa nigdy nie mógł zrzucić z siebie i pozbyć go zupełnie, ale o wiele zdawał się poważniejszym.

Aleksander miał usposobienie rycerskie, sposobił się też głównie do służby wojskowej.

I na ten zjazd nie wziął go z sobą Samuel. Trzej bracia mieli być sami, nie mając z sobą, tylko sługi swe zaufane. Jana nie powoływano nawet, tak że o zjeździe nie wiedział.

Samuel przybył z wieczora dnia jednego, nazajutrz przyjechał Krzysztof, na ostatek Andrzej nadciągnął, a pierwszym jego słowem było narzekanie, że zjazd mu się zdaje całę niepotrzebnym i zbytecznym.

— Co tu już omawiać, o czym radzić! — rzekł. — Od lat kilku wodę warzymy i tyle tylko, że jej w garnku coraz mniej.

Krzysztof nie odpowiedział nawet na to. Samuel zafrasował się o jadło i napitek, chcąc naprzód grzeszne pokarmić ciało. Miał z sobą małmazji beczułkę.

U stołu Michał, w kuchni rozpowiadając o Niżu i o jakichś sławnych kaczkach, które tam piekł (a spływał z nich olej), przygotował prawdziwą ucztę szlachecką. Zawiesisto, pieprzno, słono, korzenno przychodziły na stół misy, a odchodziły czyste. Popijano dobrze i umysły się nastroiły zgodnie a na wysoką nutę.

Drugi obrus zdejmowano, gdy Krzysztof, precz służbę rozpędziwszy, zawołał, że czasu nie tracąc radzić należało.

— Zagajaj! — odparł Samko.

— Dawno to zagajone — rzekł podczaszy — króla się trzeba co najprędzej pozbyć, a jeśli jego nie można, to hetmana. Czas tracimy czekając. Cesarz się niecierpliwi i łaje. W kraju malkontentów już jest tyle, że byle się noga powinęła, my weźmiemy górę.

Batory dla nas pracuje... wszystko robi, co może, aby go naród znieawdził. Otoczył się Węgrami, z polskich swobód szydzi i wprost im *zagraża*. Na sejmie, jeśli się odezwie to gorzkim słowem. Nikomu nie pozwoli ani krzyknąć, ani się poskarżyć. Wszyscy go mają dosyć, wszyscy widzą, że potrwa to dłużej, nasze *privilegia* podeptane zostaną, i na co my od Ludwika pracowali, za jednym zamachem w proch się obróci. Co tu znaczy człowiek, gdy chodzi o cały kraj i cały stan ten szlachecki.

— Oto już wodę warzysz — przerwał Andrzej — to stare i oklepane rzeczy!

Krzysztof, mający się za daleko rozumniejszego i przebieglejszego niż Andrzej, niecierpliwie się zzymnął.

— Dajże mi wyłuszczyć rzecz, jak ona dziś stoi! — zawołał. — Nie dosyć, że nam dojadł

ten groźny stan, dokuczył on już wszystkim niemal, ale milczą, bo się boją, a nie poczną nic, bo im też strach. My się musimy za wszystkich stawić i święcić.

Samuel potwierdził, ale tylko milczącym uderzeniem pięścią o stół, aż szyby w ołówne oprawne okien zadrżały.

— Chcieliśmy to rychlej i bezpieczniej skończyć — mówił dalej Krzysztof — dając królowi

lekarstwo... bo nieboraczysko chory, ale zawczasu się to przez Samuelową nieopatrzność wydało; teraz w podróży, krom gotowanych jajec, nic w gębę nie bierze.

— Co ty na mnie winę składasz! — krzyknął Samuel. — A z czyjegoż to listu wyszło?! Nie z mojego!

— A po cóżeś ty listy chował tak, że ten łotr, twój faworyt, wiedział, o nich, czytał i skraść mógł? Toć nie moja wina!

Samuel klnął tylko diabłami i zamilkł.

— Teraz tam kuchni, wody, ja myślę, że powietrza pilnują około króla — dodał Krzychnik

— że darmo nawet myśleć o czymś. Gdy król w Grodnie, to tam Buccella i kuchmistrz stoją przy garnkach, a w Niepołomicach — Branicka, starościanka.

— Tak — wtrącił Andrzej — i z tego powodu zmyślili na króla, że starościankę pokochał,

choć on wcale do takiego kochania się nie nadał. Tam chyba Cobar albo który z jego Węgrów za niego kocha... ale zawsze dobrze, że plotą o tych miłośkach, bo i królowej to uszu dochodzi, i ludzie z niego szydzą.

— Ale to baśń — rzekł Krzychnik — ja najlepiej wiem. Bałamuctwo... Król Branickiemu za pilność około łowów tenutę odpuścił, a ludzie to składają na starościankę. Śmiech myśleć o tym!

Ano z Wrocławia raportowali cesarzowi o romansie, bo stamtąd, co tylko mogą na króla wymyśleć, posyłają, ale nic nie robią. Słowami ręce chcą zastąpić.

Słuchali wszyscy, a Krzychnik mówił dalej:.

— Więc około króla nie ma co nam ani projektować, ani robić. Otoczony jest swoimi Węgrami, a gdy w podróży, to prowadzi za sobą taką kupę straży i ludzi...

Nie dokończył pan podcaszy.

— Inna rzecz z kanclerzem — rzekł po chwili. — Ten się czuje w domu i bezpieczeń. O

nas, choć wie, to nie dba. Jeździ do Knyszyna, z Knyszyna do Zamechu i tam, gdzie myśli miasta i grody fundować, w małym orszaku, czasem w kilku ludzi. Nic łatwiejszego, jak na noclegu w pierwospy najść i zarąbać. — Zwrócił się do Samuela.

— Toć to rzecz dawno zmówiona — odparł Samuel — ale trzeba ją na pewno poczynać,

aby burdy nie zrobić daremnej, bo nas połapią i pościnają, a on wyjdzie cały. Więc musimy wprzódy wiedzieć, nim się w podróż puści, ilu ludzi i jakich z sobą prowadzi, gdzie nocować ma, w jakim dworze, jaki tam dostęp, ilu miejscowej czeladzi. Przy nim zwykle idzie rotmistrz Mroczek, znam go

z wojny, śmiała i zajadła bestia, niegłupi, ale ja się go nie boję. O innych też, co iprzy Zamojskim są, wiem. Lud dobrany, ano nie taki, ażebym ja się go uląkł.

W tych czasach kanclerz właśnie pociągnie do Krakowa... Chciał dalej mówić, gdy podczaszy mu przerwał:

— Ano, przed czasem o tym począłeś. Stój! Pogadamy no...

— Wodę warzysz — rzekł dąsając się Andrzej. — O czym tu gadać? Postanowiono na kanclerza głowę?

— Postanowiono — zawołał Samuel ze śmiechem — to jest jam postanowił i ja idę, a Krzychnik i ty będziecie z daleka patrzeć, jak banita za was żywot i gardło stawia!

— Boś ty do tego najsprawniejszy — odezwał się Andrzej.

Samuel się pokłonił.

— A ta mi cześć za wszystko' płaci! — zawołał. — Wy oba do kancelarii jesteście, a ja do topora, wy majstry, a ja czeladnik! Tylko to trzeba też wiedzieć, że gdyby sami majstrowie byli jak wy, nigdy by do żadnej roboty nie przyszło.

Marszałek z podczaszym spojrzeli na się i nie chcąc drażnić coraz goręcej występującego Samuela, zamilkli.

— Panowie majstrowie, słucham dalej rozkazów — dodał Samuś.

Krzysztof w stół patrzył chwilę i palcami po nim grał, bo w nim się krew ruszyła. Andrzej w strop oczy wlepił.

— Więc pewno wiecie, że kanclerz jedzie do Krakowa tymi czasy i jakim szlakiem? — spytał podczaszy.

— Tak jest — odparł Samuel — a nie tylko to wiem, ale *probabiliter datum*, kiedy wyruszy i kogo z sobą będzie mieć.

Gościniec to zwykły, wiadomy, więc i popasy, i noclegi zawsze też same, bo on z drogi nie zbacza nigdy.

Ja zaś tak się gotuję, abym krok w krok za nim szedł, z boku o milę, o pół mili, a dobiorę sobie takie miejsce do najścia go, gdzie mi najwygodniej będzie. Może nawet się uda człowieka dostać, co po cichu wrota otworzy, aby dwór obstawić, nim się zbudzi, albo go i w łożu wziąć...

— Byleby się udało — szepnął Andrzej. — Wy sobie go wyobrażacie nieopatrzny i

bezpiecznym, a ja myślę inaczej. Wie on, co się wkoło niego dzieje, i ma się na ostrożności. Jeżeli nie on, to Mroczek patrzy daleko, a ma oczy ostrowidza.

Śmiał się Samuel.

— Dalibóg nie będą one lepsze od moich — rzekł — bo oni o mnie tak jak nic nie wiedzą,

chyba — że się po kraju włóczę. Ale to trwa tyle czasu, iż oni się ze mną obyli i na mnie nie zważają. Powiadają sobie: „Jedzie Samuś pić i z dobrymi towarzyszami hulać... niech tam sobie!”

Pójdę więc w ślad za nim i mam nadzieję go przydybać, nim się do Krakowa dostanie.

— Ludzi dużo masz? — zapytał Krzychnik.

— Nie pytaj wielu, ale jakich! — rzekł Samuel. — Łeb w łeb taki lud, że nie zawahają się przeciw dziesięciu stanąć jednemu. Miałem ich na Niżu. Turków była ćma, nas garść, a trzeba patrzeć było, jak się bili. Zamojski nie prowadzi i trzydziestu z sobą, licząc z woźnicami, czeladzią i pachółkami, a ja mieć będę samych dobornych moich więcej trzydziestu, krom tych, co w

odwodzie, to także nie obłamki, a i ja za kilku stanę.

Byleśmy go w ciepłym gnieździe przydybali, nie wyjdzie z niego cały. Wszystka sprawa w tym, gdzie i jak. Będę prowadził go mając na oku poty, dopóki nie nadarzy się takie miejsce.

— A jak się nie nadarzy? — zapytał Andrzej kwaśno.

— To nie może być! — zawołał Samuel. — Ja te wszystkie dwory znam, w najgorszym razie, gdy już się pod Kraków będzie podsuwał (ale ja mu tak daleko iść nie dam), wezmę go gdziekolwiek bądź.

— A dalej co? — spytał Andrzej. — Bo nam tu wszystko obrachować trzeba. Nie idzie o ciebie jednego, Samku, a o nas wszystkich. Wiedzą ludzie, że my się razem trzymamy. Więc gdy się uda, to co?

Samuel trochę się zamyślił.

— Na razie — rzekł — trzeba będzie ujść nieco, ale byle Zamojskiego nie stało, cała szlachta się na naszą i cesarską stronę obróci.

— A jakby się nie udało? — zapytał Andrzej.

Samuel porwał się zniecierpliwiony do najwyższego stopnia.

— Jakże może się nie udać?! — zawołał. — Siły obrachowane, ja idę na pewno. Udać się musi!

— Trochę cierpliwości — wtrącił marszałek. — Może się i tak złożyć, że ty nie będziesz mógł wcale nic począć. Co wówczas?

— Rzecz się opóźni tylko, ale przez to nie przepadnie — rzekł Samuel — ale ja wam zaręczam, że tym razem musimy z nim skończyć. Wodzim się z tym za długo, mnie już ręce świerzbią.

Krzychnik dumał.

— Byle kanclerza nie stało — rzekł — my z Czarnkowskim, z Chodkiewiczami na Litwie, sprawę cesarską wyprowadzimy na stół i oddziały się znajdują, które elekta będą popierały, a gdy się te zjawią, wszystek kraj odstąpi Batorego.

— Ano, wojna domowa? — odparł Andrzej. — Zła rzecz.

— Wojny nie będzie — rzekł Krzychnik. — Kto mu zostanie? Jego chłopska piechota i zaciągi cudzoziemskie. Tym gdy się lenung da lepszy i one go odstąpią.

Trochę milczeli, ale zbytniego zaufania w te swe plany nie okazywał z nich żaden. Samuel jeden najśmielszym był.

— Na czas choćby mi przyszło się gdzie schować — rzekł — długo to nie potrwa.

Wszystko jest na Zamojskim. Nie stanie jego, runie cała ta szopa na ich głowy. On ją jeden trzyma!

Znowu nastąpiło milczenie, panowie bracia spoglądali po sobie, jak by myśli swe odgadywać chcieli, ale tylko jeden Samuel miał je wypisane na czole, bo ten się z niczym nie taił.

Andrzej, choć szedł z braćmi, niezupełnie ufał, że się im uda, Krzychnik chciał narzucić Samuelowi najmniejsze nawet środki wykonania, bo w jego siłę i impet, ale nie w głowę wierzył. Teraz zaś po odkradzeniu listów, mniej niż kiedy mu ufał, znajdując, że niebacznym jest i na ludziach się nie zna.

— Cóż się stało z tym łotrem Wojtaszkiem? — zapytał Andrzej. — Król go wziął?

— A myśmy go przez Stadnickiego królowi już z rąk byli wydarli — rzekł Samuel — ale kanclerza ludzie — bodaj głową nałożył — natychmiast przyskoczyli i wychwycili. Na dworze jest.

Ci, co go widzieli, powiadają, że do siebie niepodobny, jak wędzonka wygląda.

Nie tracę nadziei — dodał — że ja go jeszcze dostanę, a dostawszy, to dopiem się ucieszę!

Usta zagryzł Samko i zamilkł nagle. Ręce, które trzymał na stole, zacisnęły mu się tak, iż krew z nich uszła.

Chwilę trwał ten gniew wewnętrzny, milczący, a pod czasy począł znowu.

— Tedy wszystko tak jak skończone, ale — obrócił się do Samuela — na wszystko w

świecie, na cześć twoją i naszą zaklinam, niechże raz będzie koniec! Nam już nikt dziś wiary nie daje. Odgrazamy się, odgrazamy, boczym, trwa to lata całe, ludzie się śmieją z nas i powiadają:

„Nie mogą nic. Pojechał Samuel na Niż, nic nie wskórał, posyłał z listami do Kozaków Krzysztof, nie zyskał też nic oprócz pięknego pokłonu. Obrócili się do cesarza, ten im już jurgiety poodejmował, bo widzi, że są do niczego. Moskiewski też się odwraca od nich. Co oni warci? Gęby szerokie, a ręce bezsilne”.

Gdy to mówił, po Samuelu przebiegały rumieńce i bladość na przemiany. Zerwał się z siedzenia.

— To znaczy — zawołał gwałtownie — iż na mnie spada wszystka wina, bo ja waszą jestem dłonią i ręką. Ale gdybyście wy mnie nie wstrzymywali, ja bym dawno porachunek skończył i z wilkiem, i z Zamojskim. Wy wszystko ważycie i mierzycie na łuty i na skrupuły, a ja nie rachuję nieprzyjaciela, tylko moje męstwo. Tego mi dotąd nie brakło. Mówicie teraz, że trzeba kończyć.

Dobrze, więc czy dogodnie będzie z tym czy nie, ja koniec zrobię. Padnie hetman albo ja.

Tu głową potrząsnął.

— Ale chyba ja nie — dodał. — On się ubezpieczył; wpadnie mi w matnię, nie opatrzywszy się.

— Kiedyż się to ma stać? — zapytał Andrzej. — Bo nam wiedzieć trzeba, gdzie być i jak się na wszelki wypadek gotować.

— Chcecie, żebym wam dzień, a może godzinę i minutę wyznaczył! — wykrzyknął Samuel.

— Samiż zważcie! To ode mnie nie zależy.

— Mniej więcej — szepnął Krzysztof.

— Bardzo szybko, najdalej w maju — odezwał się po namyśle krótkim Samuel — tak mi się zda. Wyjazd do Krakowa postanowiony, a ja już na niego po drodze czekać będę.

— Jedną on ma drogę? — badał Andrzej.

— Jedną — potwierdził Samuel. — Gdyby ją odmienił, zawczasu mi dadzą znać, bo tam mam przy nim kogoś...

Andrzej, posłyszawszy to, zadumał się.

— A on nie ma kogo swojego przy was? — zapytał.

— Me może być, moich ludzi znam wszystkich na wylot, nowego żadnego nie przyjmuję; nie boję się! — zawołał Samuel.

— No i Wojtaszkaś się nie bał — rzekł Krzychnik.

— Nieprawda, nieprawda! — niecierpliwie począł miotając się Samuel. — Obawiałem się go zawsze i śmierć jego była u mnie postanowiona, ale ten człowiek to czarnoksiężnik był i diabelskie kunszty znał. Mnie przy nim serce miękło, ludzi najnieprzyjaźniejszych sobie opanowywał, kobiety szalały za nim. Na taką siłę — mojej za mało. Szatan był wcielony!

Siedzieli czas jakiś milczący, aż Krzychnik począł badać, już nie po raz pierwszy, o listy swoje, o ile je sobie przypominał, które mianowicie zabrane zostały i znajdowały się w ręku króla, na co niechętnie i krótko odpowiadał Samuel; potem rozmowa się wszczęła o Janie, w jaki sposób bronił on Krzyznika.

— Mówią, że listy zrazu poznał, iż były moje — odezwał się Krzysztof. — Dopiero się potem rozmyślił, że też je podrobić mógł fałszerz, bo są tacy ludzie, co i pisma, i pieczęci umieją naśladować. Ja się ich zaprę.

— A kto o nie teraz pytać będzie? — odezwał się Samuel. — To rzecz już pogrzebiona; ja bym też złożył na Wojtaszka, że przez niego ci, co nas zgubić chcieli, listy fałszne podrzucili. Ale co dziś już o tym rozprawiać? Gdyby król wierzył w te papiery, a chciał z nich robić użytek, dotąd by już pewnie wypłynęły.

Jan obmył je łzami i tak się na niczym skończyło.

Andrzej, który podobno najostrożniejszym z nich był, rozpoczął o innych sprawach i z przełaju zagadnął Samuela o syna, o córkę, o Włodkowę, a na ostatek o to, jak on po kraju z taką

gromadą ludzi, ba, i wozów się przejeżdżając, te swoje wędrówki tłumaczy.

— Bo — dodał — jeżeli ty ich nie wytłumaczysz ludziom, oni je sami Bóg wie na co składać będą i paplać nie do rzeczy.

— Jam o tym myślał — odparł Samuel — ale cały świat wie, że ja do Włoch z

Krzychnikiem razem się wynoszę, bo tu nie mam co robić. Powiadam, że na Maltę nawet

dopłyniemy, aby tam jako rycerze z pogany walczyć. O tym więc wszyscy ludzie wiedzą i nikogo nie dziwi mój tabor, bo Juści Zborowski, gdy kraj opuszcza, z sakwą jedną za kulbaką wyciągnąć nie może. Bez dworu i sprzętu nie mogę być, a więc i bez broni. Na całej Rusi już się ze mną pożegnali, bom głośno zapowiedział, że nie zmieni się li u nas na lepsze, to mnie już nie zobaczą.

To mówiąc Samuel poświstywać i śmiać się zaczął.

— E, co tam długo wędrować i ważyć! — rzekł. — Wszystko już opatrzone i obmyślane, a

mnie się serce raduje, że koniec zrobię i ludziom okażę, iż nie tylko językiem, ale i ręką jeszcze nie uschłą potrafię. Kanclerz ubezpieczony... na mnie, jak się zdaje, nawet wielkiego baczenia nie dają.

Tak aż do południa czas upłynął nad ciągłym powtarzaniem wszystkiego, co napaść na

kanclerza czyniła potrzebnym. Radził Krzychnik, wtrącał się p. Andrzej, rozpytywali o ludzi, o broń. Widać było niepokój ich, a razem i pragnienie, aby się to skończyło.

Podczaszy szczególnie nalegał na to, iż cesarz wymówki czynił, nikomu już nie ufał,

pieniężne wypłaty wstrzymał i ze stu tysięcy, przeznaczonych na ten cel, połowę ledwie wydawszy, więcej już dawać nie chciał z powodu, że wielu jego dawniejszych stronników jawnie przeszło do króla Stefana.

Mówiono potem wiele o królu, a Andrzej, który najbliżej dworu stał i najlepiej wiedział, co się tam działo, nastawał na to, że nieubłaganym był, srogim, a coraz się surowszym jeszcze być obiecywał.

Powtarzano jego wyrazy, że kaganiec szlachcie nałoży, że ją szanować królów swych

nauczy, że i prawa niedorzeczne zmienić będą musieli, bo są takie, z którymi wojny prowadzić skutecznie niepodobna itd.

Tak cały ten czas w Złoczowie upłynął na wzajemnym ubezpieczaniu się i zapewnianiu, że

teraz już koniec być musi i że on szczęśliwie dla nich wypadnie.

Samuel do Złoczowa przybył z małym poczem, część jego po drodze, a Boksickiego na

żądanie dla ważnych jakichś pokapek zostawiwszy we Lwowie. Miał w nim zupełne zaufanie

Samuel i człowiek się na nie zasługiwać zdawał; ale w czasie służby jego u Zborowskiego zaszło coś, co położenie i usposobienie zmienić mogło. We Lwowie Boksicki zetknął się przed kilku miesiącami z przyrodnim bratem, którego nie widział od bardzo dawna. Ten się zwał Parżnicki.

Powitanie po latach długich było łzami obmyte.

— Gdzież ty się obracasz? — zapytał Boksicki, myśląc już brata zaciągnąć do służby

Samuela.

— Przy kanclerzu jestem — rzekł Parżnicki. — Koniuszom mnie uczynili i dobrze mi z tym jest. W podróżach mu towarzyszę..

Posłyszawszy to, Boksicki zrazu się nawet z tym wydać nie śmiał, gdzie służy, ale brata zaczął odmawiać, ażeby skąpego i surowego Zamojskiego — bo taka o nim chodziła fama — rzucił, a innego szukał miejsca. Obiecywał mu je wyrobić.

Parżnicki na to z góry odrzekł:

— Uchowaj Boże! Ja się nie ruszę. Kamień na miejscu obrasta. Albo mi to źle? Naprzód, że jurgielci nigdy nie zalega, potem że i podarki się trafiają. Prawda, że ani na obrokach, ani na stajennych przyborach człek nie zarobi, bo rygor wielki, ale też zapłata dobra i gdy człeka doświadczą, to go popychają.

A przy tym — dodał — co kanclerz, to nie żaden inny pan albo półpanek. Ten całą gębą królewski synowiec i ma przed sobą przyszłość znaczną. Kto wie, na tron go może wezmą?

Poczęli tedy we dwu po swojemu politykować, a Parżnicki się okazał daleko zręczniejszym, bo brata skonwinkował, że służba u kanclerza nie miała równej, a kto się do niej dostał, winien się pilnować, aby nie stracić miejsca.

Nie mogło też inaczej wypaść, tylko że bracia, nawzajem się ugaszczając, pod wieczór zawsze oba byli podchmieleni, serca się im otwierały i tajemnic dla siebie nie mieli. Boksicki nawet obawiając się o życie brata, wygadał mu się w końcu z tym, że na kanclerza czyhano itp.

— Ja tam oczywiście nie bardzo wiem, co się na pokojach dzieje — odparł. Parżnicki — ale ci mogę za to ręczyć, że kanclerz jest o wszystkim uwiadomiony, bo swoich ludzi wszędzie ma, i że jeżeli na niego napaść chcą, to rychlej on na was napadnie. Jam tego tak pewien, jak Pan Bóg na niebie.

Boksicki słuchając brata znacznie ostygł i począł dumać o własnej skórze. Inaczej mu się teraz

wydawała sprawa, bo, pomimo osobistego męstwa Samuela, widział, że on słabszym był i że z innymi sługami jego mógł też głowę położyć, stojąc przy nim.

Za drugim razem gdy się zesłi, Parznicki począł namawiać, aby Boksicki raczej trzymał z nim i kanclerzowi pomagał. Oburzył się na to Boksicki, ale gdy raz i drugi rozgadali się, zmiękł i jakoś spowolniał.

— Od ciebie nic innego nie będą żądali, tylko abyś nas zawiadamiał, z jaką siłą, gdzie i kiedy będzie Samuel się znajdował, a odwodził go od napaści, w której on głową może nałożyć.

Jak do tego przysłi, że się potem porozumieli i najzaufańszy sługa Samuelowy stał się narzędziem w rękę brata i posługaczem kanclerza, to tylko słabość natury ludzkiej może tłumaczyć.

Boksicki mówił sobie, że Samuela w ten sposób od zagłady zachowa.

Zmówili się więc między sobą bracia i gdy Zborowski rachował na to, że kanclerza weźmie nieopatrznie, tymczasem Zamojski o każdym jego kroku zawiadomionym być miał i bezpiecznie podróż odbywać.

Lecz nie chcąc zdradą i podstępem nic czynić, Zamojski głośno się odzywał z tym, tak aby to doszło Zborowskiego, że banicję na sobie mając, nie powinien się w jurysdykcji jego, jako starosty krakowskiego ukazywać, bo go chwyci jako banitę.

Z tej już nie nowej, bo wznowionej pogłoski, choć uszu jego dochodziła, Samuel sobie żartował.

— Niechaj Panu Bogu dziękuje, gdy sam cało ujdzie z moich rąk, a o moją banicję nie

frasuje się. Ja o niej dobrze wiem, że zwietrzała od śmierci Henryka, i że przez to samo nic nie warta, że pod Połockiem mnie widząc, z niej nie korzystano. Nie stało mi się nic dotąd, więc nic stać nie może.

Było to jego najmocniejsze przekonanie.

Gdy Zborowski w Złoczowie dni parę spędził na próżnej gadaninie i snuciu planów

przyszłości, Boksicki tymczasem z bratem się o to umawiał, aby o ile możności zapobiegać napaści i odwodzić od niej, ażby pod Kraków kanclerz się zbliżył, gdzie już ona stanie się

niepodobieństwem.

O ile gwałtownym był Samuel na razie, tak, gdy się sprawa przeciągała, nużył się nią, na ludzi ją zdawał, obojętny. Rzucić się na dziesięćkroć większą siłę był zawsze gotów, ale długo wytrwać na stanowisku natura mu nie dopuszczała. I teraz przewidzieć było można, iż w pochodzie za jadącym

kanclerzem znuży się prędko, na ludzi zda wszystko i da się im poprowadzić. Boksicki wiedział, że kłać i łajać będzie, ale w końcu ostygnie i do czego innego się zwróci.

Ponieważ podróż Zamojskiego już była na te dni oznaczoną, a nieznacznie się zbliżyć

potrzeba było do niego tak, aby krok w krok za nim postępować, nie zwracając na siebie podejrzeń, pan Samuel wprost ze Złoczowa zamierzył puścić się z całym swym orszakiem w podróż i posłał do Lwowa po tę resztę wozów i ludzi, która się przypóźniła, tak aby dnia 21 kwietnia mógł stąd wyruszyć z całą swą siłą i taborem.

TOM TRZECI

I

Kto by był mógł zajrzeć w duszę Samuela, gdy się ze Złoczowa z braćmi rozjeżdżał,

obiecując znowu wkrótce spotkać z nimi, pomimo pozornej radości, jaką przybierał, ochoczego poruszania się, pośpiechu, z jakim się miał brać do czynu, odkryłby na dnie jej gorzki i głęboki smutek.

Życiem, bojem, szalem wszelkim, nawet pogonią za nowymi wrażeniami i rozkoszami był

już tak wyczerpany, znużony, iż mu nic nie smakowało, nic go nie zajmowało goręcej. Jedne może dzieci, syn Oleś, córka Anusia, gdy z nimi był lub o nich mówił, rozbudzali go, dbał o nie... reszta go nie obchodziła.

Nieprzyjaciel (kanclerz) o tyle go drażnił, że widział w nim chętkę wyzywania, a on

słabszym być ani się przyznać do tego nie chciał. Zresztą Zamojski mu był obojętny, ale

przeszkadzał marszałkowi, nie lubił podчасzego, musiał więc być jego nieprzyjacielem.

Na to „polowanie na kanclerza” jechał z uczuciem w istocie takim, jak by z sokołami i Borowskim na ptactwo lub z Boksickim na grubego zwierza. Najstraszniejszy gniew u niego nawet w jednej potędze nie mógł trwać długo.

Po drodze zaś *larum* ogromne czyniono jawnie, głośno wołając i wywołując, że Zborowski się wynosi do Włoch a *ingratam patriam* rzuca na zawsze.

Publicznie o tym mówił on sam, jego słudzy, rodzina i czyniono umyślnie demonstracje z

przygotowaniami, aby ludzie w to uwierzyli.

Podróż też ta cała dla rozgłosu szła bardzo powolnie. Ze Złoczowa ze swym taborem

zajechał Samuel do Glinian i tu stanął na noc, a dopiero 26 kwietnia dojechał do Lwowa.

Tu czekały na niego wielkie interesa majątkowe, którym starano się nadać znaczenie i rozbębnić je... zawsze dla tego wyjazdu za granicę... *Ingrata patria* itd.

Cały kahał musiał stać w przedpokojach długo na zamku, nim się ułożono o

powołowszczyznę w browarach, a potem o spław zboża do Gdańska, na ostatek o dozór nad psy i myślistwem pańskim, które zostawiał po sobie. Przy czym wyprawiano na miasto głośno... wracali posłance... a na ulicach, kto chciał i nie chciał, wiedzieć musiał, iż Zborowski opuszcza kraj, że zmuszony jest do tego prześladowaniem, niewdzięcznością, że za jednym Zborowskim pójdą drudzy — a co pocnie potem Ruś bez Zborowskich?

Tu Oleś, syn, przyłączył się do ojca, co znaczyło wiele, bo zaraz wszystek dwór poważniał, surowość była większa; sam p. Samuel ubierał się, chodził, mówił przy nim inaczej i dbał daleko więcej, aby był ład około niego.

Dwór podróżny dosyć się złożył okazały; trzydzieści koni dworzan szlacheckich co

przedniej szych, dalej komorników, pacholąt, pacholików, czeladzi różnej też tyle, koczych wozów szło dziesięć ze skrzyniami, namiotami itp. Dwa wierzchowce wiedziono na powodzie. Oręża i strzelby dosyć było, ale mniej niż zwyczajnie, gdyż jako niby do Włoch jechać miał, więc tyle tylko zabierał, ile między ludzi rozdać mógł, nie obciążając ich zbytnio. Kosztowności, oprócz trochy futer, nie wiozł z sobą żadnych.

Co chwila słyszeć go było można powtarzającego tak, aby ludzie obcy się dowiedzieli: „Do Włoch wyjeżdżam, syna w Niemczech dla nauki zostawię. Wracać do Polski nie mam zamiaru,

chyba dlatego, abym królowi J. M. niewinność moją i domu naszego pokazał, jeśli tego zajdzie potrzeba, a gdy król ją uzna, ufam, że nieprzyjaciele domu naszego będą uskromieni, a król pańskiemu słowu swemu zadość uczyni i ze mnie ten dekret zdejmie, *auctoritate et benignitate sua regia*, uspokajając. Ale, jeżeli około uszu królewskich zagłuszą pochlebników i złych ludzi hałasy i nie uzna niewinności, tedy ja już w Polsce czynić co nie mam. Jadą do pana imion tych marszałka Andrzeja, brata i opiekuna mojego, temu dzieci i wszystko zleciwszy, co on postanowi, uczynią”.

Uważać należy, iż marszałka wymieniając jako starszego i opiekuna, o Janie, kasztelanie, wcale nie wspominał.

Gdy trzeciego dnia wyjechał ze Lwowa, w Jaworowie nocował, pożegnawszy chorego

Kamienieckiego, któremu życia już nie obiecywano, nadbiegł tu z listem od niego sługa.

Kamieniecki dogorywający chciał się z nim widzieć jeszcze, aby mu odradzać jego imprezę.

Namyśliwszy się Samuel zawrócił do Lwowa, ale z maleńkim poczem, a cały tabor swój

wyprawił z Jaworowa do Dubiecka i tam mu na siebie czekać kazał.

Powiadano, że Kamieniecki, który już na poły tylko w tym świecie był, a miał widzenia przyszłości, zaklinał go i prosił, ażeby zawrócił do domu i spokojnie siedział, nie chce-li nałożyć głowę.

Z tej przepowiedni tyle tylko, że się naśmiał Samuel, chociaż umierającego pocieszać się tym starał, że w istocie do Włoch pociągnie. Kamieniecki już w myśli jego czytał... zaklinał go znowu, słowo wymóc chciał, losem dzieci go pragnął zmiękczyć, i nic nie potrafił.

Pożegnawszy umierającego przyjaciela, tegoż dnia ruszył ze Lwowa Samuel i nocował o dwie mile od Jaworowa, gdzie go zaskoczyła ciemność.

Następnego dnia przyjechał do Jaworowa, gdzie trafił do pana Kostki na wesele czy też przenosiny, na których obywatelstwa, szlachty, zebrało się bardzo wiele. Nie zważając na to, iż go tam widzieć będą, a potem powtarzać o tej podróży i o nim, jakby naumyślnie, zawsze dla nadania jej rozgłosu, pojechał nie proszony.

Wdzięcznie czy nie, ale go przyjęto, bo właśnie za stół siadać miano, i dostało mu się miejsce obok podkomorzego Stanisławskiego.

Sąsiad na niego z podziwieniem spoglądał, jak by się zdumiewał, że go tak swobodnie obracającym, się widzi, co już p. Samuela butę podrażniło.

Poczęli z sobą mówić, ale ciągle jak by z panewek im spalało.

— Cóż tam, miłościwy panie Zborowski — odezwał się Stanisławski — nie myślisz może i do Przemyśla zajechać. Czy waszmość nie czujesz i nie wiesz, co się dokoła niego dzieje?

Wziął to do siebie p. Samuel jako przestrożę, ażeby się nie narażał, iż na niego czyhano i pochwycić go miano prawo, obraził się i odpalił:

— Jeżeli mnie w. miłość nastraszyć myślisz, tedy wiedz, proszę, żeś na nieustraszonego trafił. Czego się mam bać? Nikomu nic nie winien, z nikim też nie mam nic do czynienia. Jeśli myślicie o dekrete króla Henryka... gdybym nie miał na to zezwolenia królewskiego, nie siedziałbym tu, bo z tego siedzenia pożytku nie mam żadnego, ino żal, patrząc na to, co mnie spotyka i dom mój za wierne i wielkie posługi, którem ja i familia moja czyniła...

Gorąco to wypowiedziawszy umilkł, a Stanisławski też dyskursu o tym nie wznawiał.

Zważał jednak Samuel wśród tego wielkiego tłoku, że ten i ów koso, a wielkimi oczyma spoglądał

na niego, jak by się dziwował, iż go żywym i swobodnym widzi.

P. Kostka też pytał go potem sam, w jakiej liczbie sług tu przybył, któremu odpowiedział śmiejąc się, że samotrzeć.

Wszyscy więc, nie wyjmując gospodarza, poczęli mu wyrzuty czynić, że się nieopatrznie narażał.

— Alboli wmość nie wiesz o tym lub nie dbasz o to, że za nim wszędzie szpiegi chodzą i wypatrują, a to nie jest daremnym. Wieści słyszemy groźne, nie narażaj się.

Na to Zborowski otwarcie też odpowiedział, że się nie lęka, bo się do niczego nie poczuwa.

Było tak, że z kim mówił, każdy go tym witał i żegnał.

Zrobiło mu się nieco kwaśno, ale w duchu rzekł: „Wszystko ja to spłacę razem...”

Na ostatek pan Kostka, który mu był życzliwym, a i za gościa go u siebie szacował, spytał:

— Dokądże stąd myślicie?

— Tabor mój i ludzi-posłałem przodem do Dubiecka; tam więc muszę.

— Samotrzcę? — rzekł Kostka.

— Ano! — rozśmiał się Zborowski.

— Ja tego nie dopuszczę — odparł gospodarz — dam moich ludzi, aby przeprowadzili...

Nie może inaczej być.

Następnego dnia, gdy tu wesoło przenocował, w istocie dano mu dosyć silny przewód na miejsce do Dubiecka.

Wszystko to winno było już przestrzec Samuela, że gdy na kanclerza miał chrap i oko, na niego też kanclerz nie mniejsze.

Co krok mu niemal szpiegów Zamojskiego za nim chodzących pokazywano, ale wierzyć w nich nie chciał.

W Dubiecku siostrzeniec, pan Jędrzej Stadnicki, z którym zawsze byli serdecznie,

przyjmował go, a i ten mrucał, że na bacznosci się mieć było potrzeba, ale miał tę ufność w wuju, że on naprzód obmyślił, co czynił.

Ponieważ nie wydawano się z tym, iż zjazd był niedawno w Złoczowie i bracia o sobie wiedzieli, Zborowski tu rozpytując się, dopiero wrzekomo się dowiedział, iż marszałek Andrzej był w Sandomierzu, gdzie go doktor jakiś kapitalny wiosennym lekarstwem karmił i miał krew puszczać.

Zwykle też w początku roku oczyszczano się z zaległości, zepsutą jakoby krew odlewano, ażeby przez cały rok potem bezpiecznie pić i zajadać.

Marszałek właśnie ten rodzaj kuracji w Sandomierzu, pod dozorem lekarza, pojechał dokończyć.

Samuel, się tu dowiedziawszy lepiej o Zamojskim, a widząc, że kroki jego nadto są znaczne i głośne, zażył fortelu. Sam postanowił udać się do Sandomierza, do marszałka, a sługę swego Luzickiego, jawnie i ostentacyjnie stąd wyprawił wprost ku Krakowu, sobie ludzi zostawując niewielu.

Cel pono był ten, aby rozdzielone oddziały, jeden z przodu, drugi z tyłu, mogły razem osaczyć kanclerza.

— Jedź przeto na Tarnów do Krakowa — głośno w dziedzińcu rzekł do Luzickiego — gotuj

dla mnie gospody, aby nam tam dobrze było z Olesiem. Gdy się pożegnamy ze wszystkimi, gotuj co należy dla syna i dla mnie, ażebyśmy nie mieszkając, wyruszyli na tę włoską peregrynację...

Tymczasem ja muszę do Sandomierza, do pana marszałka, bo już bym go chyba nie widział.

Ale w Dubiecku jak go zaczęli Stadniccy i inni przyjmować, a dobra myśl się zawzięła, trudno było stąd ruszyć.

Z Dubiecka zaprosił Marcin Stadnicki do Kostowej do siebie, tam spędzili dzień; stąd

Strzyżowski" wziął do Czudca, dalej musiał do Zgłobienia, pociągnęli go jeszcze do Mielca, aż na ostatek siostrzeniec Marcin Tarnowski do Podleszan, do siebie, zaciągnął.

Wszędzie na głos nie mówiono o niczym innym, tylko o włoskiej podróży, o Włoszech, a

Samuel coraz to jakie słowo włoskie w rozmowie rzucał, śmiejąc się, jak by zawczasu do konwersacji z Włochami zaprawiał.

Dopiero teraz wyrwać się mógł do Sandomierza. Co z marszałkiem, zamknąwszy się sam na sam, mówili, tego się domyślać można z umowy, zawartej w Złoczowie, ale przy Olesiu i publicznie wyglądało wszystko inaczej.

Marszałek młodszego-brata, który się mu submitował z wolą swoją, zaklinał, aby albo do Krakowa całe nie jechał, lub w nim nie bawił, gdyż *vox publica* ufać nie każe kanclerzowi. Mogą umyślnie jaką zwadę i tumult uczynić i znowu w niej p. Samuela albo pochwycić, lub wmieszać, czy nareście posądzić i uwięzić.

Wiedzieli tu wszyscy o tym, że Zamojski będzie właśnie sędził swoje roki grodzkie krakowskie i w Stężycy miał też być.

Drudzy powiadali, że dla choroby żony miał powrócić do Knyszyna.

— Ja tam nie wiem, gdzie on jest — mówił marszałek głośno — niechaj będzie, gdzie chce.

O niego mi nie idzie, ale o waszmości...

P. Samuel dotąd znajdował jeszcze wszystko w takim porządku, w jakim mieć sobie życzył; rachunki jego pozostawały nie zmienione. Jedno się im tylko nie podobało wszystkim. Znany jako czynny sługa Zamojskiego, niegdy podstarości krakowski, Urowiecki, z mocnym oddziałem

hajduków zjawił się nagle w Sandomierzu. W mieście szumu dosyć uczyniwszy, przenocował tylko i pociągnął, jak mówiono, do kanclerza.

To zjawienie się Urowieckiego, nieco podejrzanego, nie w smak było Samuelowi, bo wedle jego informacji, Urowiecki miał być gdzie indziej.

To jego przyskoczenie do Sandomierza, właśnie gdy tu gościł Samuel, dawało trochę do myślenia, ale ktoś usłużny wytłumaczył Zborowskiemu, że Urowiecki kręcił się dla własnej sprawy i dla niej spieszył do Krakowa, mając zajście z Palczowskim, burgrabią.

Otwarcie tedy przy gościach, gdy się rozmowa toczyła o kanclerzu i o podróży, a marszałek nalegał niby na brata, aby do Krakowa nie jechał, odparł Samuel:

— Ja w Krakowie bawić się nie myślę, ale być tam muszę, bo stamtąd się dopiero we włoską drogę wybiorę. Z panem kanclerzem my mamy wszak ci pokój i ubezpieczenie. —

Powtórzył to po kilkakroć i bardzo głośno, że na ten pokój rachował i trzymać go chciał.

Jakby naumyślnie, dla tym lepszego okrycia dalszych zamysłów, trafiło się, że tegoż dnia przyszły listy od kasztelana gnieźnieńskiego, który o niczym nie wiedział, tylko o tym, co mu na dworze powiadano, aby się pozbyć jego nalegań.

Zapewniał Jan w liście swoim o przyrzeczeniu królewskim, iż mogli być spokojni do sejmiku konwokacyjnego i mieli na ten sejm czekać, gdzie król chciał rozsądzić sprawę tych plotek i listów, przyniesionych przez Wojtaszka.

Osobnym listem prosił kasztelan Samuela, aby do Włoch podróży zaniechał, o której mu Domaszewski, sługa jego wyprawiony do Gdańska, opowiadał. Marszałkowi zalecał, aby od podróży tej odwodził i niepotrzebne obawy hamował.

Marszałek w tym jednak, nawet pozornie za radą Jana nie poszedł i od podróży włoskiej nie odwodził. Uradzili tylko, gdyby na św. Jakub nie był tu już Samuel, aby mu znać dano, co się stanie z ich sprawą na konwokacji.

Wszystkie te rozmowy, sprzeczki, które po świecie iść miały, dla ludzi tylko się układały, gdyż Samuel całe czym innym był zajęty. Lecz musiał tymczasem szpiegów kanclerskich w błąd wprowadzić i o to mu chodziło.

Przy stole więc i przy dworze szeroko o tym rozmawiano, aby lepiej Kraków ominąć, z panem żupnikiem w Wieliczce się rozmówić, do Spytkowic. jechać, niedaleko miasta, gdzie by się wszystko dało ku podróży przysposobić, a bodaj w Krakowie tylko koniom wychnąć i zaraz jechać dalej, nie budząc licha...

Pan Samuel się niby upierał przy tym, aby koniecznie być w Krakowie, a tymczasem tu czekał wiadomości o kanclerzu, którego podróż postanowiona, niezupełnie tak się składała, jak przewidywano.

W Sandomierzu niewiele sprawiwszy, bo pewnego języka dostać nie mógł, a Boksicki coraz to inne, bałamutne przynosił powieści, wyjechał tymczasowo Samuel z Sandomierza do Połańca.

Wietrzono wszędzie ślady Zamojskiego, ale dzięki niewiernemu Boksickiemu nic nie można było postanowić, bo wiadomości przychodziły sprzeczne.

W istocie zaś kanclerz był naówczas w Opatowie, ale Samuel nie miał pewności, stąd zaś jechał do Szydłowa i do Wiślicy. Chociaż Boksicki motał i plątał, dowiedział się o tym Samuel, i ażeby się zbliżyć, zawrócił! do Stobnicy.

Ale tu ugrzązł, bo zdrajca Boksicki fałszywymi uwodził wiadomościami. Zawahał się

Samuel...

Słudzy i dwór marszałka, który mu tu towarzyszył, musiał go opuścić, gdyż marszałek

ukończywszy leki, na trybunał spieszyl w sprawie swej z urzędem nowego miasta Korczyna.

Nadbiegl tu sluga marszałka z listem, w którym donosil, ze czasu pobytu w Sandomierzu na pewno tam wytropiono szpiega kanclerza, który bodaj z jednym ze slug bliskich p. Samuela miał konszachty.

Był to ów Boksickiego brat, o którym mówiliśmy. Boksicki dotąd najmniejszego na sobie

nie miał podejrzania, więc ani pomyślał Samuel, żeby się to go tyczyć mogło; powiedział mu nawet o tym i zdziwił się, widząc, jak trupa bladością okryła się twarz winowajcy, który bełkotał straciwszy przytomność.

Wcale to Zborowskiego nie naprowadziło na myśl, żeby Boksicki mógł zdradzić. Szukał

tego niegodziwca gdzie indziej. Wylękły Boksicki już tylko myślał, jak siebie ratować.

Samuel straszliwie był rozjuszony tym, że mu wszystkie jego plany krzyżowano i napaść na hetmana, którą jak najprędzej chciał wykonać, zmuszony był odłożyć, a co gorzej, puścić go pod Kraków, gdzie on na pilniejszy dozór i pomoc rychlejszą mógł rachować.

Widocznym już było, że śledzono Samuela, że o nim i jego siłach doskonale wiedziano i że, mimo rozgłoszonej do Włoch podróży, domyślano się istotnych powodów tego ciągnięcia ku

Krakowu w ślad za kanclerzem, zawsze w niewielkim od niego oddaleniu.

Boksicki tak ze strachu stracił przytomność, że nie umiał ani radzić, ani tłumaczyć, ani na przyszłość coś obmyśleć.

Wypadało znowu dostać pewniejszego języka o obrotach dalszych kanclerza, ale na to w

Stobnicy siedząc, czekać nie zdało się.

Marszałek listem wskazywał swój Zborów i prosił, aby Samuel zajechawszy tam kilka dni

sobie wypoczął, nim o dalszej podróży coś postanowi.

Na zdrajcy skóra cierpła tymczasem; pod pozorem, iż potrzebuje dostać języka, wyprosił się zamiast do Zborowa niby do Opatowa, a w istocie potajemnie myślał dobiec albo do Szydłowa, lub do Wiślicy i tam się z bratem Parżnickim poradzić.

Dłużej mącić fałszywymi doniesieniami stawało się coraz trudniej, bo Samuelowi z innych źródeł o kanclerzu przychodziły wiadomości. Boksickiemu stawało się tu coraz ciasniej i duszniej. Dzięki łatwowierności albo raczej ufności, jaką Samuel miał nawet dla tych, którzy na nią nie zasługiwali, Boksicki dotąd wyszedł cało, lecz zemsta mogła być straszną i spaść jak piorun. Pomimo tych przeciwności i zawad Samuel do Zborowa przybył z dobrą myślą, wesół i pewien jeszcze swego. Zdawało mu się, że pospieszy zawsze w porę, aby choć pod samym Krakowem, bodaj w Proszowicach ułapić Zamojskiego. Na te Proszowice teraz najwięcej rachował, ale Boksickiemu postanowił zawczasu nie mówić o tym, nie żeby mu nie ufał, ale że języka długiego się lękał. Nie zdradzie, ale paplaninie przypisywał to, że mu dotąd się tak nie wiodło, że go odgadywano zawczasu i stawiono mu zawady.

Zaledwie w Zborowie stanął, gdy list za listem już gnał, donoszący, że po całej drodze, gdziekolwiek się p. Samuel zatrzymywał, popasał, gdzie przejechał, tylko szpiegów i ludzi kanclerza, jakby porozstawianych, widziano.

Marszałek ostrzegał pilno.

Gra zaczynała być nierówną i p. Samuel dopiero teraz zrozumiał, że nadto lekko brał bardzo trudne zadanie. Wszędzie go wyprzedzano.

W Zborowie sam jeden z synem pozostawszy, z którym mówić nie mógł o tym, co go zajmowało, niecierpliwił się do najwyższego stopnia, wyglądając powrotu Boksickiego.

Zdrajca zaś do brata się dostawszy, opowiedział mu, jak *rzeczy* stoją i że lada godzina może się wydać wszystko. Parżnicki natychmiast do Mrocza go zaprowadził i z tym razem wmówili w niego, ażeby nie wracał do pana.

— To się domyśli, zem winien — zawołał Boksicki — a tam jeszcze u niego mam cokolwiek mienia!

— Siedź spokojnie — rzekł Mroczek — pod ten czas, gdy jednego człeka zabraknie, dziwu nie będzie. Pomyśli, że dla niego padłeś ofiarą. My cię już nie puścimy, gotów byś się wygadać i popsuć nam a pomięszając szyki.

Tak więc Boksickiego na wpół siłą przytrzymali, nie dając mu już powracać, a Samuel dni kilka na niego próżno czekając, wpadł na tę myśl, że mu go pewnie zabito, aby prawej ręki pozbawić.

Zmęczony i już znudzony tym przeciągnięciem sprawy, którą chciał jak najprędzej doprowadzić do końca, p. Samuel się rozbudził i odżywił tą nową przeciwnością.

„Nie jeden Boksicki w świecie jest — rzekł w duchu — wezmę na jego miejsce Borowskiego.”

Borowskiego tego, wielce sprawnego, zwłaszcza do myślistwa z sokołami, które Samuel lubił bardzo, kochał, można powiedzieć, Zborowski, pieścił go, wychwalał, ale ten jak był doskonały do noszenia ptaków i do układania psów, tak się więcej do niczego nie zdał, a Zborowskieni zdawało się, że kto do tego ma talenta, musi mieć do wszystkiego.

Borowski był miękki a potakujący. Samuel go inaczej nie zwał, jak: „Borosio mój”. — A sługa pana nazywał: „Król mój i pan mój!”

Rozumie się, że i w tej sprawie dla niego tajemnic nie miał Zborowski. Gdy Boksickiego nie stało, otworzył mu się nagle:

— Ty mi go zastąpisz, Borosiu; rzuć do kaduka sokoły, a pilnuj ludzi i radźmy; trzeba spieszyć, aby drogę zabiec kanclerzowi, inaczej się nam wymknie, a raz w Krakowie, nie dostąpimy już do niego.

— Żeby my jego nie dogonili! — zawołał Borowski, z wielką gorącością i gotowością biorąc się do dzieła. — Rozkazujcie... Ludzie zaraz na koń, noc czy dzień, wszystko jedno... Padnie szkapa na drodze... bierz ją lichu! My go wyprzedzimy i gdzie rozkażecie, tam zaskoczmy.

— Ale na gwałt języka! języka! — wołał Zborowski. — Zostaliśmy bez wieści... na plotkach. My wiemy na pewno, czy w Szydło wie jest, czy w Wiślicy, gdzie noclegi... czy wprost stamtąd do Proszowic.

— Szlij po języka!

— Kogo?

Nastąpiła narada. Ochotników nie brakło. Borowski rozpoczął swą czynność z nadzwyczajną gorliwością, ale z lekkomyślnością jej równą.

Samuel szczęśliwym był, że zdał troskę na niego, a z siebie ją zrzucił. Temperamentem, nie rozumowaniem, fatalista, spuszczał się zawsze na jakiś pomyślny skład okoliczności, który go uwalniał od wczesnych zabiegów i starań, i choć w życiu nieszczególnie mu się wiodło, trzymał się

nimio woli swego obyczaju. Z pomocą więc Borosia wszystko pójść musiało pomyślnie. Jak? „Da się to widzieć — mówił sobie Samuel — po co sobie zawczasu głowę nad tym łamać”.

Szło zatem dalej tym samym porządkiem, co wprzód; Zborowski jadł, pił i spoczywał w Zborowie, oczekując pewnych wiadomości o kanclerzu; rozmawiał ze swoim Olesiem, którego rozumem i statkiem bardzo się cieszył i był dumny. Strzelał do celu, chodził do swoich sokołów, wzywał Borosia na porady, które się kończyły śmiechami, i był pewien, że kanclerz mu sam w ręce wpadnie.

Wyprawieni za językiem przez Borowskiego najsprawniejsi ze szlachty dworskiej przynieśli wiadomość, że Zamojski się znajdował w Wiślicy i że stamtąd bez pośpiechu podążał

prawdopodobnie do Proszowic. A zatem Zborowski miał ciągnąć za nim i tu gdzieś jakoś drogę mu zaskoczyć tak, aby przodem wysłany z głównym oddziałem Luzicki z jednej strony, a p. Samuel sam z drugiej, na dwór lub gospodę, w której go miano napaść, rzucili się jednocześnie. Zdawało się to tak prostym i łatwym, jak przełknięcie haustu dobrego wina.

Co do orszaku i siły, jaką miał przy sobie kanclerz, pozostawały wątpliwości, ale te

Samuel na korzyść własną z góry rozstrzygał. Posłańcy donosili, że mniej więcej mogło być z Zamojskim około stu koni, niektórzy nawet utrzymywali więcej, natomiast jeden pochlebca mówił, że się i sześćdziesiąt nie doliczył. Samuel mu to pochwalał i z nim trzymał dowodząc, że hetman nigdy zbyt wielkiej kupy z sobą nie prowadził.

Dawało tylko do myślenia, iż na czele tych ludzi byli tacy drapieżnicy znani, jak Urowiecki, Mroczek i Serny, a oprócz tego młody pokrewny kanclerza, Stanisław Żółkiewski, nie licząc pomniejszych rotmistrzów i różnych stopni wojskowych, z nim się znajdował.

Zborowski się tym łudził, że ich wszystkich miał wziąć niespodzianie i że jego pochód

nieporządny, błędny, nie dozwalał się domyślać, dokąd zmierzał, a szpiegi, co go otaczały i donosiły o nim, odgadnąć nie mogły, co zamierzał.

Słowem, szczęśliwy zawsze i z siebie rad, Samuel nie widział dotąd nic chybnym i końca się spodziewał pomyślnego.

Co chwila niemal przynoszono mu języka, który potwierdzał to, że kanclerz z wolna,

bezpiecznie posuwał się ku Proszowicom. Rozmyślano tylko, czy tu można było go zaskoczyć lub między Proszowicami a Krakowem.

Borosio godził się na wszystko, co Samuel obmyślał, a ten nie stanowił nic jeszcze

pewnego, wyczekując, jak się dalej składać będzie.

Nieopatrność Zborowskiego równała się jego męstwu; do porady nie miał nikogo, można więc już było przewidzieć, że dopuściwszy Zamojskiego do Proszowic, da mu dojechać i do Krakowa.

Jeszcze się wybierano dopiero w dalszy pochód ku Stogniewicom, skąd we czterdzieści koni projektował ostatecznie rzucić się na Proszowice Zborowski, gdy nadbiegł najpewniejszy język, człowiek, na którego i Borosio, i pan liczyli najwięcej.

Był to stary, osiwiwały na posługach rodziny, szlachcic

Drużyna, milczący zwykle i smutny zawsze, rozważny, ale z natury pesymista, który skłonny był widzieć wszystko raczej czarno niż jasno. Na niego więc można się było spuścić.

Drużyna, który orszak kanclerza na swe oczy widział i liczył po drodze z Wiślicy do

Proszowic, zaręczał, że było więcej niż sto koni i że za tym oddziałem miał postępować drugi mniejszy w tylnej straży. Jednym z nich dowodził Stanisław Żółkiewski, drugim Urowiecki, a oprócz nich najdzielniejszych było kilku rotmistrzów i uzbrojenie jak by na wyprawę przeciwko Moskwie.

Drużyna nie radził Samuelowi, chociażby nawet udało się niespodzianie zaskoczyć, rzucić się na siłę większą, czujną i mającą kilku dowódców dzielnych. Miejscowości też, według niego, nie nadawały się do napaści, a sprzyjały obronie, tak że nawet z orszakiem mniejszym oprzeć się było można, a zdobyć gospodę czy dwór trudno.

Stary sługa wzdychając powiadał, że daleko dogodniej było wprzód na drodze najść na Zamojskiego, gdy przy nim Urowieckiego jeszcze nie było.

Zamyślił się Zborowski; przykro mu było, aby wszystko spełzło na niczym jego winą, choć się do winy nie przyznawał nawet przed samym sobą.

— Co to zawczasu przesądzać — odparł markotnie Drużynie — idźmy my szybkim

krokiem wprost do Piekar, aby wyprzedzić kanclerza, a tam znajdziemy środki, dostaniemy

języka... Stadnicki ma tam czekać... Z Piekar pewnie nocą będziemy mogli się rzucić. Ja mam najlepszą nadzieję!

Co ty mi mówisz o stu ludziach! Naprzód ja w nich nie wierzę, tobie staremu się w oczach dwoi... po wtóre, co mnie i moim znaczy stu ludzi. My na Niżu, przypomnij no sobie, we

dwudziestu czy trzydziestu szliśmy na Turków tysiące i wyszli ręką obronną, a pogan natłukli.

Moich ichmość panów trzydzieści ja nie oddałbym za jego półtorasta.

Uśmiechnął się i wąsa pokręcił, - poklepał po ramieniu Drużynę.

— Jakoś to będzie! — rzekł. — Tylko teraz żywo, konie siodłać i w drogę najprostszymi ścieżynami, co prędzej do Piekar! do Piekar!...

Odprawiony stary sługa siwego wąsa pogładził odchodząc.

— A co? — zapytał go w sieni Borowski, który przy na- radzie nie był przytomnym. — A co?

— Nic — rzekł Drużyna — idziemy spieszno do Piekar... do pani Włodkowej (usta mu się skrzywiły smutnym uśmiezkiem), a tam pan nasz postanowi, co dalej.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Jak ci się zda? — spytał Borosio, który w duchu był przeciwnym całej tej imprezie. — Jak ci się zda? Co będzie?

Drużyna milczał.

— A co ma być — szepnął po długim milczeniu. — W Piekarach pani Włodkowa, piwnica dobra, kuchnia też... dziewczęta wesołe... naszemu panu jak u Boga za piecem, to i na cóż więcej...

A kanclerz sobie niechaj z Bogiem na roczki do Krakowa pospiesza!

Śmiejąc się, ruszyli ramionami.

— Tylko to bieda — dodał smutniejąc Drużyna — jeśli my jego nie weźmiemy, on nas może pochwycić, a naszemu panu... pod banicją... — Potrzęsnał głową i nie dokończył,

Głos Borowskiego już się rozlegał:

— Żywo, na koń! do Piekar! żywo... żywo!

II

Gdy Zborowski błąkał się tak odkazując i spuszczając na jakieś szczęście, którego nigdy nie miał, kanclerz tymczasem jechał zupełnie bezpieczny o siebie, nie zbaczając wcale z raz

postanowionej drogi. Orszak przy sobie z p. Stanisławem Żółkiewskim miał bardzo dostateczny i

takich ludzi, jak energiczny Urowiecki, śmiały i wytrawny Mroczek, doświadczony Serny.

Wszystko, co bracia pomiędzy sobą postanowili w Złoczowie, co marszałek potem z

Samuelem radził w Sandomierzu, dzięki gadatliwości Samuela i jego ludzi a zdradzie Boksickiego było wiadomym kanclerzowi. Śledzono każdy krok Zborowskiego, bynajmniej się go nie lękając, ale Zamojski był do najwyższego stopnia zniecierpliwiony i oburzony.

Na drodze przyłączył się do niego Drohojowski, starosta przemyski, należący do przyjaciół kanclerza. Znalazł go wprawdzie o siebie spokojnym, ale zuchwalstwem banity do najwyższego stopnia poruszonym.

O spisku na życie swe, o zamiarze napaści na drodze, środkach, jakie ku temu obmyślano,

Zamojski jak najdokładniej był oświadczony. Oburzało go i to, że rodzeni bracia, sami stojąc z daleka, popychali lekkomyślnego Samuela na zgubę, na wążenie gardła, zabezpieczywszy się, aby o spółnictwo z nim posądzeni nie byli.

O wszystkim tym wysłał był Zamojski listy do króla, pytając woli Stefana, jak miał

postąpić, czy puścić płazem ten zamach, który musiał spełznąć na niczym, czy banitę po' chwycić, ku czemu pod Krakowem, w jurysdykcji kanclerza nadawała się zrzeczność. Ale raz pochwytywszy skazanego na banicję, potrzeba było, wedle rygoru prawa, karać śmiercią.

Rozdrażnienie w kraju przeciwko królowi i Zamojskiemu z powodu surowości ich w

sprawie Ościka i w innych wielu pomniejszych wypadkach, było wielkie. Pomnażali je i

wyzyskiwali stronnicy pozostali cesarza, malkontentów mnożąc. Rakuskie talary płynęły po trosze od Szląska, w którym było gniazdo intryg, przeciwko Batoremu wymierzonych. Nie zdawało się więc Zamojskiemu politycznym, sprawą Zborowskiego rozdmuchiwać ognia, i przyczyniać sobie trudności.

W tym sensie kanclerz pisał do króla i dopraszał się jego rozkazów, których co chwila

oczekiwał. Sam on był za tym, aby dać tylko poznać Zborowskim, iż ich na wskroś znano i

wszystkie zamiary nie były tajemnicą, a sprawę zdrady ich wnieść na sejm konwokacyjny,

dozwalając ujść Samuelowi, który w istocie mógł jechać do Włoch i nie śmiałby już powrócić.

Bracia zaś jego bez tej szalonej ręki głowami przebiegłymi nic nie mogli uczynić. Marszałek by się nie ważył, a Krzychnik musiałby z obawy o gardło uchodzić także pod opiekę cesarza Rudolfa.

Wszystko się więc mogło skończyć wrażając grozę, a nie wymagając srogości, której oprócz tego potrzebowano zażywać ciągle, a kraj do niej nie był nawykły. Za Zygmunta Augusta nie znano jej

wcale, mniej jeszcze obawiano się za Henryka, teraz więc nagła surowość i nieubłagane wykonanie prawa musiało do najwyższego stopnia przeciwko królowi i hetmanowi zniechęcać.

Wiele przypisywano Węgrowi i Wilczym Zębom jego, ale też Zamojski, prawa ręka,

ulubieniec, kierownik, obwinionym był, że on podsycił tę surowość, nakłaniał do niej i był duszą wszystkiego. Szło więc Zamojskiemu o to, aby sprawa Zborowskich cała na niego nie spadła.

Na wyjeździe z Wiślicy kanclerz otrzymał odpowiedź króla. Batory o knowaniach

Zborowskich, o tajnych znoszeniach się Czarnkowskiego z cesarzem, o wszystkim, co się,

przeciwko niemu w Polsce poruszało, był jak najdokładniej zawiadomiony. Miarę tego stanu umysłów nieprzyjacielskiego obozu dawały wszelkie sejmy i zjazdy, na których przeciwko królowi, z zuchwalstwem dla Batorego niesłychanym i nieznośnym, wykrzykiwano, nie szczędząc mu

najprzykrzejszych, najboleśniejszych wyrzutów.

Był więc król w ciągłym rozdrażnieniu i gniewie na to stronnictwo, które ogień podkładało i utrzymywało, a dawne znaczenie rodziny Zborowskich stawiało ją w oczach jego na czele

malkontentów.

Śmiała na Niż wyprawa do Kozaków, którą uważał jako wymierzoną przeciwko sobie, nie

była zapomnianą Samuelowi; listy przez Wojtaszka przyniesione czyniły go jakby ogniskiem i głową spisku. Wiadomość więc z listu kanclerza o zamierzonym napadzie na niego, do

najwyższego stopnia króla rozgniewała i rozjątrzyła przeciwko wszystkim Zborowskim.

Łagodniejszy sposób pozbycia się ich, wniesiony przez Zamojskiego, nie tylko że nie zdał

się królowi właściwym, ale szkodliwym i mogącym ściągnąć na niego posądzenie o słabość i obawę. Dwojga tego nie mógł nawet cienia na sobie znieść Batory. Wołał stokroć uchodzić za okrutnika niż za tchórza.

Odpowiedź więc na list hetmana brzmiała nieubłaganą surowością. Król życzył i

rozkazywał pochwyć banitę i nie przepuścić mu. Powinien był dać głowę i na tym musiało się raz skończyć wszystko. Batory, nie znając dobrze charakteru narodu, nad którym panował, surowość tę uważał za jedyny środek skuteczny, który miał się przyczynić do zaprowadzenia ładu i porządku.

— „Niechaj bronią swobód swych, których ja ukrócać ani gwałcić nie myślę, ale ja muszę

mieć władzę, jaka mi należy... Jeśli się lękać nie będą, siebie zgubią i mnie razem, a ja winien będę, zem pobrażał. Me mogę mieć litości nad warchołami i zdrajcami jawnymi. O spisku Zborowskich własnoręczne ich listy poświadczają, wina ich dotykalna, dowodzenia nie potrzebuje. Sam kasztelan

gnieźnieński uznał, że pismo było własnoręczne jego brata. Potrzebaż więcej nad to, co stało czarno na białym: «Ów pies siła nam Zborowskim winien, ale trafim wróbla w łeb, trafię kanclerza między oczy, jedno wolę owego psa węgierskiego, króla, acz ci myślę, z lasu zasadziwszy się, ale nie może być tak las gęsty, aby nieprzyjaciel nie zobaczył, a zaś po lesie trudno uciekać; najlepiej się w drodze, w karczmie zasadzić... Jedno zaś uciekać nie wiem gdzie... do Turek źle, do Moskwy niedobrze, do Węgier diabła się godzi, najlepiej do Morawy» itd."

„Czytaj w mość wszystkie ich listy — pisał król dalej — winni są ani się oczyścić mogą.

Pan Bóg nam jednego z nich w ręce daje, powinnością waszą postąpić z nim wedle prawa, nie folgując... Powtarzam, com raz rzekł: *mortuus canis non mordet*. Nie pytajcie więc mnie, gdyż innej odpowiedzi dać nie mogę, nad odwołanie się do prawa. Padnieli głowa winowajcy, ocali może wielu, bo baczyć będą, że nie przebaczymy nikomu.

Wiem o tym, że Zborowscy są możni i znaczą, a raczej znaczyli coś w kraju, że wrzawa

będzie wielka, że przeciwko mnie i wam chwilowo burza się podniesie, lecz znasz wmość polskie piwo... niedługo to potrwa".

Pismo króla całe było w tym sensie, ażeby Samuelowi jego zuchwałego wtargnięcia w jurysdykcję starosty krakowskiego nie przebaczyć, tym bardziej, iż go Zamojski ostrzegał wielokroć, aby jej unikał, a nie zmuszał do surowości.

Przypominał teraz sam kanclerz, iż gdy po wyprawie na Wielkie Łuki król go mianował

krakowskim starostą, on wiedząc, że za jego poprzedników Samuel wywołany z Korony i Litwy, bywał bezkarnie i przemieszkiwał w Krakowie, zaraz tym głośno się dał słyszeć, że on wszelkiego prawa pilno strzec i wykonywać je będzie, a w swej jurysdykcji banity nie ścierpi na żaden sposób.

Za czym przez marszałka koronnego i poprzyjaźnionego z kasztelanem gnieźnieńskim Janem

Zborowskim przestrzegał i upominał Samuela, ażeby dopóki banicja z niego nie będzie zdjęta, nie pokazywał się ani w Krakowie, ani w jego jurysdykcji, gdyż prawu uczyni zadość i pobłażać nie będzie.

Na to kasztelan gnieźnieński miał odpowiedzieć, że o tym słyszeć nie chce, oburzył się i dodał:

— W mocy go swej nie ma, po co te groźby próżne!

Nastąpiła wyprawa pskowska, a starostę pod ten czas zastępował z ramienia kanclerza

naznaczony Płaza, starosta lubaczowski, jako *surrogator* (zastępca). Z tego korzystał Samuel i na nic nie zważając mieszkał w Krakowie, bywał nawet na zamku, czynił, co mu się podobało tak dalece zuchwale, że on i ludzie jego po ulicach strzelali. Dochodziło to Zamojskiego, ale z dala będąc nie mógł nic począć.

Gdy potem po sejmie razem z królem przyjechał do Krakowa kanclerz, nie miał też czasu

zająć się tą sprawą, bo właśnie Turek i Tatarzy zagrażali i podawszy warunki, których przyjąć nie było można, obiecywali się wtargnąć. Za czym Zamojski na gwałt ludzi musiał zbierać i na granicę biec, aby nie dopuścić najścia. Ta czujność jego zachowała kraj od wojny.

Tymczasem, korzystając z wyjazdu Zamojskiego na granicę, p. Samuel natychmiast do

Krakowa powrócił, o czym hetmanowi znać dano w drodze, ale ścierpieć to musiał, choć i dla króla rosło stąd niebezpieczeństwo, bo pamiętano, że się z p. Ciołkiem zmawiał w mieście do niego strzelać.

Pan marszałek Andrzej Zborowski, przeczuwając, iż brat był w niebezpieczeństwie,

zaprzagnął mu zapobiec i posłał z Lublina do kanclerza z prośbą, aby na niego w Rzeszowie czekał

dla widzenia się i rozmowy. Zamojski, nie mając czasu, ruszył jednak do Łącuta i tu go p. Andrzej napędził. Poczęli mówić o sprawach familii i o p. Samuelu. Prosił za nim marszałek, okazał się łagodnym kanclerz. — Szeroka Polska — rzekł — niech w moją jurysdykcję nie wjeżdża, ja go gdzie indziej szukać nie będę. — Napomniał o to marszałka, aby brata przestrzegł surowo i wzbronił mu pokazywać się w Krakowie

Marszałek przy tej zrzeczności prosił kanclerza o bona officia, aby u Tęczyńskich i pani

Wapowskiej, i u króla wyjednał zdjęcie banicji z jego brata. Obiecał Zamojski mówić o tym z Tęczyńskimi.

Później nieco, gdy kanclerz do Lwowa przybył, dowiedział się, że p. Samuel z Krakowa

także tu przyjechał i stanął na przedmieściu. Nie chcąc się ścierać z nim, posłał Zamojski z przestrogą, aby wyjeżdżał, bo go tu ścierpieć obok siebie nie może.

Nim się to stało, p. Samuel, już, przewidując, że Zamojski będzie mu czynił trudności, posłał do siebie po Kazimirskiego, szlachcica, starszego sługę kanclerza, który wprzód służywał u marszałka Zborowskiego, i powiedział mu:

— Proś w. mość kanclerza, aby mi za złe nie miał tego, iż mnie tu noc zaskoczyła i spędzić ją muszę we Lwowie, ale jutro o świtaniu jadę stąd precz.

Zamojski, do którego i Andrzej przeszedł się wstawiać, ofiarując nawet z Samuelem

przeciwko Tatarom, odparł, że przez noc tę jedne cierpieć go będzie, ale nazajutrz jechać musiał...

Co się tyczy Tatarów — rzekł dwuznacznie: „Przyjdzieli do potrzeby, będę wiedział, jak go mam użyć i jak obrócić, zachowując się *more maiorum*, .

I to pamiętnym było, że czasu wesela swego Zamojski z pp. Tęczynskimi mówił w sprawie Samuela i starał się ich do zgody nakłonić. Tymczasem przyszły listy Wojtaszkowe, a za nimi gniew królewski, którego już nic przebłagać nie mogło.

Od króla odebrawszy wyrok ten, kanclerz, chociaż był nie na co innego przygotowany, zafrasował się wielce. Pokazał go Drohojowskiemu i mówił z nim o tym.

Nie pozostawało już nic nad to, że musiał wolę królewską spełnić i gdyby Zborowski się podsunął bliżej, wiadomo w jakich zamiarach, bo Boksicki o wszystkim informował jak najdokładniej, ująć go potrzeba było. Za tym szło następstwo nieuchronne, wyrok się sam pisał na banitę — czekała go śmierć.

— Że Samuel na nią zasłużył — mówił kanclerz — to nie ulega żadnej wątpliwości.

Pominąwszy Wapowskiego, którego w pasji ubił, co jeszcze zmniejsza winę, zabójstw, gwałtów, najazdów, rabunków, przemocy nad duchownymi, więzienia ludzi niewinnych, nie policzyć. Świat cały wie o tym i dziwi się, że uszło mu wszystko bezkarnie, ale, mimo to, śmierć Samuela na króla i na mnie też będzie zemsty i nienawiści wyrokiem. Nieprzyjaciele nasi ją wyzyszczą. Drohojowski niespełna wiedział, jak w tej sprawie sądzić, ale mu się zdało z królem głosować, że tu już dobroć tylko uzuchwalała i że nią dalej nic uczynić nie było można. Dla dobra więc Rzeczypospolitej trzeba było Zborowskich poświęcić.

Zamojski potem przywołać kazał do siebie Urowieckiego i Mrocza, z których ostatni o wszystkich obrotach Samuela był najlepiej uwiadomionym i aż drżał, aby go ująć.

Ukazał im obu kanclerz list króla, użalając się na los swój, iż mu taki ciężki do spełnienia przypadał obowiązek.

— Miłościwy panie — przerwał Mroczek — nie ma co i namyślać się. Jedno z dwojga, albo my się na to nie narazimy, że oni nas napadną, i choć się obronimy, to pewna, ale godność wasza narażoną będzie w takiej walce z lada jakim wywołańcem, albo my musimy go uprzedzić, co najłatwiejsza.

— Jakże najłatwiejsza? — zapytał hetman. — Gdzie on jest?

— Do Piekar ciągnie w tej myśli, że nas w Proszowicach ze dwu stron najdzie, bo

oddziałów dwa ma, które na to są nasadzone. Zdaje mu się, że o jego obrotach nikt nie wie i pochlebia sobie, że nas w pierwospy naszedłszy, w łożu może miłość waszą rozsiekać każe. Czekać więc na to, aż się porwie, niedobra rzecz. Jest nas tu dosyć, aby i przy miłości waszej dostateczna straż pozostała, i my z p. Stanisławem Żółkiewskim i p. Urowieckim na dwór w Piekarach poszli,

gdzie go pewniej w łożu u przyjaciółki i siostrzenicy Włodkowej najdziemy, niż on nas spodziewał się w Proszowicach.

Nie podobało się to zrazu kanclerzowi i rzekł:

— Na dwór szlachecki, a do tego kobiety, wdowy, nocą nachodzić, nie nasza rzecz. Wziąć go gdziekolwiek bądź, ale mi się nie zdaje w Piekarach.

Mroczek stał przy swoim.

— Gdzie indziej nie może być — rzekł — wymknąć by się nam mógł i wyrąbać, bo to mu przyznać muszę, iż mężny jest i gdy raz do boju przyjdzie, niełatwo go imać. Żywotów ludzkich może to kosztować, a tych szkoda. W Piekarach zaś, jak ptaka w gnieździe, gołą ręką go weźmiemy.

Urowiecki natychmiast też jął za Mroczkiem mówić.

— Rotmistrz to najlepiej rozważył i obmyślił — rzekł —

niech miłość wasza zda na niego wszystko. Ja się też ofiaruję z pomocą.

Wtem z drugiej izby, do której drzwi stały na wpół otwarte, wyszedł młodzieniec, pokrewny kanclerza, p. Stanisław Żółkiewski i przystąpił z poszanowaniem, całując go w ramię.

— Ja się też dopraszam tego, abym ichmościom towarzyszył — odezwał się. — Idzie tu o

zdrowie i żywot wasz, który nam wszystkim i królowi jest najdroższy, ani się godzi go na wagę kłaść po społu z życiem banity takiego, o którego postępkach słuchając uszy więdną, a obcy ludzie zdumiewają się im pytając, jaka to jest ta Rzeczpospolita nasza, w której zbrodzeń podobny bezkarnie chodzić może długie lata, z wyrokiem nad głową, którego nikt nie śmie spełnić ino dlatego, że do rodziny możnej i znacznej należy.

— Wszystko to prawda — odezwał się kanclerz — wszystko to ja sobie mówię i wiem, a niemniej, gdy przychodzi krew ludzką przelać nie na wojnie, ale wśród pokoju, ręką katowską... wzdryga się dusza.

— Zaprawdę — odparł Żółkiewski — ani starostą, ani sędzią więc miłości waszej być nie

przystało, bo lękając się krwi przelewu dozwolicie, aby bezkarnie tacy ludzie jak Samuel przelewali krew niewinną.

— Nie czyżże mi z tego zarzutu — rzekł Zamojski — już mi nie o Samuela idzie, ale o

modus, jakim go ująć należy. Wstrętny mi jest wszelki nawet pozór gwałtu, a tego nie unikniemy, biorąc go w Piekarach.

Wtem Urowiecki, bardzo śmiały człek, dodał:

— Wasza miłość więc chyba go zachęcić pragniecie, aby ośmielony Kraków nawiedził, co on nieochybnie dokona.

— Tam go nie ścierpię! — odparł Zamojski.

— Ano Piekary są tak dobrze waszą jurysdykcją, jak i Kraków, więc gdy wiemy tam o nim

— rzekł Żółkiewski — imać go obowiązek.

' — A jeśli napadu dokonawszy — odezwał się Zamojski — co łatwo stać się może, przy

porze nocnej i nieznajomości miejsca, winowajcę nie weźmiecie, jeżeli on się wam wyśliźnie, na próżno tylko kobiety i dzieci jak zbójcy nastraszyacie. Pójdą naówczas skargi, iż go tam jako żywo nie było, a my popełniliśmy bezprawie, spokojny dwór wdowi po nocy najeżdżając. Choćby i staroście krakowskiemu, sprośna to rzecz.

— Ja zaś głową bodaj ręczyć mogę — wtrącił Mroczek — że go tam weźmiemy. Naprzód

co do samego dworu, ja go z czasów pana Włodka znam dobrze, a nie zmienił się wcale. Co się tyczy obrotów Samuelowych, wiem też najpewniej, że uradzono, pospiesznie nam zabiegając

drogę, biec do Piekar, i tam na noc będą pewnie. Czy na dzisiejszą zaraz noc uchwalono najście na Proszowice i na nas, tego ja nie wiem i twierdzić nie będę. Owszem, znając Samuela sądziłbym, że przybywszy do Włodkowej wczasu zażyje i dopiero może nazajutrz o nas pomyśli. Zatem noc tę mamy, aby zamiary jego niegodziwe zniweczyć.

Zadumał się kanclerz i siadłszy jął się list króla na nowo odczytywać, jak by się pragnął

przez to w swym postanowieniu utwierdzić.

Wszyscy, me wyjmując Stanisława Żółkiewskiego, czekali. Urowiecki tylko i Mroczek,

korzystając z chwili, młodego pana starali się namówić, aby przy kanclerzu pozostał i niepotrzebnie się z nimi na tę wyprawę nie narażał.

— Dajcie mi ichmość, proszę, pokój — rzekł Żółkiewski. — Rad będę szablą moją służyć

kanclerzowi i nie odstępuję od tego, że mi z sobą iść dopuścicie. Mała to rzecz jeden człowiek, ale pod czas i ten przydać się może.

Powstał tedy Zamojski z siedzenia wzdychając, a pomrukując: *Dura lex! Dura lex!*

Widać było, że tylko zmuszony listem króla, Zamojski na tak stanowczy krok się ważył, chociażby był chętnie raz jeszcze folgował. Ta też okoliczność się przyczyniała do decyzji, że Mroczek i Urowiecki zapewniali, jeśliby, hetman ująć nie kazał Zborowskiego, on nieochybnie napaść swą na niego dokona.

Wcale się jej nie lękając, Zamojski godność swą musiał mieć na względzie. Niemiłym mu było narazić się na starcie z takim Samuelem i na wszystkie następstwa a tłumaczenia, jakie stąd wyniknąć musiały.

Nie mógł się więc już wahać dłużej, *Dura lex* nakazywała' ująć zuchwałego człowieka, który jawnie na niego godził. Wiedziano bowiem bardzo dobrze, iż gdy hetman był w Szydłowie, Zborowski umyślnie się zbliżył do niego, do Stobnicy biegnąc, a potem do Stogniewic. Gdy zaś wszędzie się przypóźnił, zostały mu Piekary, z których na Proszowice miał się rzucić, nie obrachowawszy z czasem.

Ponieważ wedle doniesień Boksickiego, w Złoczowie najmocniej uchwalono i niemal poprzysiężono, kanclerza w jakikolwiek sposób zgładzić, gdyby się teraz nawet nie powiodło, rzecz nie była skończoną, ale gdziekolwiek bądź, przy pierwszej podanej zręczności odnowić się mogła.

Raz więc temu koniec położyć było potrzeba. Zamojski, który jeśli nie całą może doniosłość kroku, jaki miał uczynić, obrachował, znał jednak ważność jego; w chwili, gdy już miał wydać rozkazy, zawahał się, dał znak Mroczkowi, aby czekał, a sam wszedł do przyległej sypialni.

Tu przy skromnym, obozowym łóżeczku jego, na klęczniku, stał na złotej blasze malowany, starodawny obraz Matki Boskiej (druga strona wyobrażała Chrystusa na krzyżu). Hetman zwykł się był przed tym obrazem modlić, gdy miał stoczyć bitwę. I teraz czuł to dobrze, że walkę rozpoczynał nie tylko z rodziną jedną, mnogimi węzłami związaną z wielu innymi po całym kraju rozsianymi, ale ze stronnictwem, choć słabym, za to ruchawym, krzykliwym, popieranym zza granicy, wyzyskiwanym przez wszystkich nieprzyjaciół Batoiego i jego.

Było to rzucenie mu rękawicy, wypowiedzenie wojny, która i długa, i ciężką być mogła, a przypadała na ten czas właśnie, gdy zewnątrz jeszcze z w. kniazem moskiewskim końca i rozejmu nie było, a Turek groził i cesarz intrygował.

Gdyby osobiście mógł się być widzieć i rozmówić z Batorym, może by go ubłagał i walkę tę przynajmniej odroczył.

Tak sobie wystawiał Zamojski, choć w istocie żadna siła nie potrafiłaby była żelaznego, a mściwego i rozdrażnionego szlachecką butą powstrzymać króla.

Pod wrażeniem chwili tej stanowczej, która mu na długo spokój zatruć miała i przymnożyć

nieubłaganych wrogów, Zamojski ukląkł przed obrazem, złożył ręce i głowę pochylił. Modlił się tak gorąco, ale niedługo. Męstwo i otucha wstąpiły w serce. Spełniał rozkaz królewski, czuł się w sumieniu wolnym, prosił tylko Boga, aby go oświecił i dał siły.

Gdy wstał potem, miał na obliczu swe hetmańskie męstwo, które w przede dniu

najzaciętszych walk okazywał, powagę sędziego, majestat królewskiego zastępcy. Wyszedł na powrót do izby pierwszej, a Urowiecki, Mroczek i młody Żółkiewski zdziwili się zmianie, jaka w nim zaszła. Odszedł jak by pod naciskiem bólu jakiegoś, powracał chłodny i wypogodzony.

Zwrócił się zarazem do Urowieckiego i Żółkiewskiego, ale pan Stanisław, nim mówić

począł, odezwał się:

— Proszę dowództwo zdać na tych ichmość, którzy znają miejsce, ludzi i okoliczności, ja tylko rękę chętną ofiaruję.

— Wielu on tam ludzi z sobą mieć może w Piekarach? — zapytał hetman.

— Trzydziestu może — rzekł Urowiecki — bo połowa ich jest z Luzickim. Ludzie odważni, ale nie będzie komu pokierować nimi, wątpię, ażeby nawet skupili się i bronili.

— A ze swego dworu kogo ma przy sobie? — mówił dalej Zamojski.

Mroczek i Urowiecki spojrzeli po sobie i liczyli.

Byli z nim Borowski, ów sokolniczy a teraz dowódzca, Chełmski Morawa, Bałaban,

Skorowski, Rychłowski, syn Oleś i siostrzan Stadnicki — gromadka dosyć znaczna.

— Trzeba na to liczyć — rzekł Mroczek — że my, unikając samego niepotrzebnego krwi przelewu, poczekamy, aż się do snu udadzą, więc pobudzeni nie bardzo się bronić będą mogli.

Samuel, choć szablę i sahajdak ma zawsze nad łóżkiem, ale śpi twardo i gdy się obudzi, nie zaraz oprzytomnia.

— Szczędźcież, proszę, innych — odezwał się hetman — a niepotrzebnych ran i zabójstw

unikajcie. Byleście jego, a z nim papiery, które w szkatułce z sobą wozi, jak powiada Boksicki, dostali, reszty zaniechajcie. Syna nie tykać. Wszyscy to chłopię bardzo chwalą, niech się w nim dawna poczciwość Zborowskich odrodzi.

Westchnął hetman, mówiąc to — i pytał dalej:

— Wielu z sobą myślicie wziąć na tę wyprawę? Urowiecki. głosował za tym, aby dobór

uczynić, a liczbę brać nie tak znaczną i po drodze oczów na siebie nie zwracać, Mroczek, choćby o kilku więcej się zebrało, nie widział w tym złego, bo mogli drudzy Samuelowi, z Lużickim stojący nie opodał, nadbiec i o odbicie się kusić.

W istocie zmuszało to liczbę powiększyć. Urowiecki z Mroczkim mieli kierować najściem

na dwór, Żółkiewski też ofiarował się, choćby osobiście na Samuela. Była to młodociana gorliwość żołnierza, który szuka zręczności do walki, choćby nawet z takim nieprzyjacielem, jakim był

Zborowski.

— Gdy go Pan Bóg da ująć — zapytał Urowiecki — mamyż go tu przyprowadzić, czy...

— Do Krakowa na zamek — odparł hetman. — Wprawdzie żaden tu sąd i zwłoka nie

potrzebna, bo banita wpadłszy w ręce, już jest zabit, ale wolę go posadzić, poczekać. Może król zmieni postanowienie... a ma-li być śmiercią karan — cicho dodał Zamojski — niech pani

Wapowska też instyguje przeciwko niemu. Zmniejszy to srogość króla i moją, gdyż na niego, a szczególnie na mnie, zrzucą winę tej śmierci, choć Bóg świadek, kielich ten odwracałem ode mnie, pókim tylko zdołał. Ale są przeznaczone człowiekowi rzeczy, których on uniknąć nie może. Bądź

więc wola Twoja!

I pomruczawszy coś cicho, dodał kanclerz:

— Prowadźcie go wprost na zamek i osadźcie w wieży, a straż niechaj będzie pilna. Nie

szkodziłoby może, aby który ze starszych w izbie przy nim siedział. Ludzi do niego obcych dopuszczać się nie godzi.

Zresztą ja sam albo was napędzę, lub rychło tam będę.

Urowiecki z Mroczkim jeszcze w obecności hetmana poczęli rozprawiać o liczbie i

wyborze ludzi i broni, jaką z sobą brać mieli... ale w tym byli z sobą wszyscy zgodni.

— Patrzajcie tylko — dodał Zamojski — gdy się krok czyni, rozumnego człowieka dziełem

jest tak go obmyśleć, aby się powiódł i nie chybił. Gdybyście mieli wpaść, a nie wziąć go i dać mu się wymknąć, natenczas królowi, mnie i wszystkim więcej zła uczynicie niż dobrego, gdy go weźmiecie. Zważcież pewnie, aby nie uszedł.

— Że w Piekarach będzie, to nie ulega wątpliwości — zawołał Mroczek — a że my go

ułapim, to także pewna, boć dwór obstawimy, mysz z niego nie wyjdzie! Jeżeli oręza dostanie i bronić się będzie, a w tej walce legnie...

— Nie będzie ani waszą winą, ani wam za to włos spadnie z głowy — rzekł hetman. —

Nieledwie bym to wolał niż długą z nim procedurę, a i on by rycersko skończył, nie z katowskiej ręki.

Westchnął hetman.

Szli więc Urowiecki i Mroczek naradzając się, ale tak, ażeby przygotowanie do wyprawy

wieczornej wcale nie było widoczne i nikt się go nie domyślał, każdy z nich pojedynczo ludzi swych na godzinę zmówioną cicho przysposobił, tak że jedni o drugich nie wiedzieli. Oni sami wieczorem na włos nie zmienili codziennych zajęć, tak że każdy do snu poszedł i światła

pogaszono, straże zaciągnięto, wedle obyczaju.

Urowiecki, Mroczek i Stanisław Żółkiewski poubierali się i uzbroili zawczasu, a gdy

godzina wyjazdu nadeszła, cicho w dziedzińcu tylnym zgromadziwszy się, na koń siedli i tylnymi wrotami tak wyciągnęli w pole, że nikt oprócz straży o nich nie wiedział.

Hetman kazał sobie, o którejkolwiek godzinie Żółkiewski powróci, natychmiast dać znać, co się stało, i obudzić.

Noc była wiosenna, cicha, ciepła... chmurna, a ptaszki na zabój śpiewały o życiu, gdy tu śmierć się gotowała i tragedia okrutna, której skutki długo potem w kraju obrzmiewać miały.

Na dworze w Proszowicach tylko lampeczka nocna przed obrazem w sypialni hetmana

blado płonęła.

III

Wierny swemu obyczajowi, którego odmienić nie mógł, Samuel, choć mu się we wszystkim nie powiodło, a ludzie najgorzej służyli, jechał dalej, już na Piekary tylko rachując. Z Piekar wszystko się miało dokonać.

Tymczasem zabawiał się. Miał przy sobie dobrych towarzyszków kilka, rozumie się

ulubionego Borosia i sokoły, Stefana Stadnickiego i sług trochę ze psami.

Około Podolan miejsce się okazało sposobne, więc ptaki puszczano, w czym Borosio okazał się dziwnie zręcznym, że dla niego dosyć pochwał nie miał Samuel, a tak był wesół, jak nigdy.

W Podolanach zachciało mu się donieść o wszystkim Andrzejowi, który niespokojnie oczekiwał, co się stanie, a że go już szpiegami wystraszone, list napisał umyślnie taki, aby w ręce kanclerza wpadłszy, w błąd wprowadził.

Stało w tym liście:

„Pan kanclerz już ku Krakowu jedzie, jest wprzód. Ja sam z Borosiem zabawiam się sokoły koło Podolan, z którymi po staremu kugluję. U pani Włodkowej w Piekarach spać będę; nie frasuj się w. mość o mnie, boć sam żadnego niebezpieczeństwa nie widzę, ja też nikomu nic takowego nie myślę, tylko Za pace, la pace, Senior. Widziałem ci to na oko, że mnie kanclerz szpiegował, ale podobno nie żebym co takowego myślał, tylko się bardziej na mnie ogląda, jako bych ja, zem jest banit, nie miał być Zborowskim! Toć już w Krakowie nie będę, choćem Czecha posłał do Luzickiego już przed sobą; kilku do pana Żupnika wyprawię, kiedy się będziem mieli ruszać”.

Tak igrając i kuglując z sokoły, żartując z Borosiem, rozprawiając o tym, jako się na jutro gotować potrzeba, dojechali ichmość zdrowo do Piekar, gdzie na nich Włodkowa w zamku już, a z wieczera na stole oczekiwała.

Zawsze tu z jego przybycia radość bywała wielka, ale teraz podwójna, bo czuli wszyscy, że się coś wielkiego przysposabiało i było za pasem. Włodkowa, znając męstwo wuja i jego rzutkość, bynajmniej nie wątpiła, iż co on przedsięweźmie i obmyśli, to musi się szczęśliwie obrócić.

Przy stole była ochota wielka, ale na długo się nie zaciągnęło, bo wszyscy czuli się zmęczeni, a siły były potrzebne na jutro.

Słano zaraz wszystkim „łóża, gdzie i jak było można. Dla pana Samuela w izbie wielkiej, przy którym miał być Borowski i Bałaban, dla Chełmskiego Morawca w bocznej izdebce obok, na górze w komnacie mieścili się syn Oleś i pan Jędrzej Stadnicki.

Pożegnawszy Włodkową, która dopilnowała, aby każdy przy łóżku miał kubek i napój dla snu potrzebny, wedle obyczaju, szli strudzeni spać, tak że przed północą cały dwór w Piekarach, w najgłębszym śnie był pogrążony.

Samuel szczególnie, że konną jazdą znużony był, bo miał pod sobą dnia tego konia, który nogi, prawda, miał doskonałe, ale nosił tak, że mało kto na nim wytrzymał, usnął bardzo mocno.

Borowski, zawsze czujny, spał ino jednym okiem, gdyż i myśleć było o czym.

Wtem, mało co po północy, w dziedzińcu rozeznał z dala naprzód koni stąpanie, potem bieganie ludzi i chrzęst broni, którego uniknąć' niepodobna, z rusznicami zwłaszcza.

Zaledwie to uszu jego doszło, ducha stracił; wiedział już co to było. Przepowiadano im, że hetman na swą jurysdykcją ich nie puści. Nim zobaczył i wyjrzał przez okno, Borowski bosy, opończę tylko narzuciwszy, zerwał się. Otworzył szybę, aż pod ścianami ludu pełno. Stracił głowę i co miał Samuela zbudzić, a o ratunku dla niego myśleć, z izby do komory po cichu sobie drzwi otworzył... stąd na podwórko. Tu jeszcze jakoś nikogo nie było i Borowski śmignął wprost do stajen.

Mówił potem, jakoby Samuela budził, ale go się dobudzić nie mógł; zresztą sam potem wytłumaczyć nie umiał, co zrobił, płakał tylko.

Obudził się na hałas Bałaban potem i biegł do okna, a ujrawszy w dziedzińcu ludzi pełno, pospieszył do Samuela. Tego na łóżku już nie znalazł, tylko pościel pomiętą. Widać było, że broni swej szukał Zborowski, ale jej nie mógł znaleźć. Murzynków dwóch, którzy mu posługiwali, schowali ją pod kobierczyk i tam pozostała.

Później już dojść nie było można prawdy, a i sam Samuel nie pamiętał dobrze, co czynił, gdy się obudził. Murzynkowie mówili, że broń, wedle zwyczaju, złożyli w łożu u głowy; Borowski powiadał, że on to uczynił. Sahajdak wisiał ze strzałami nad łóżkiem, ale tego nie pochwycił Samuel.

Bałaban, drzwi znalazłszy otwarte, którymi przez komorę uciekł Borowski, sam też za nim podążył.

Wszystko to działo się wśród ciemności, bo noc była chmurną, a światła nigdzie po izbach.

Oblegający dom, czy dla postrachu lub mając kogo na celu, poczęli dawać ognia, tumult się już wziął wielki.

Włodkowa, która spała na górze, narzuciwszy ledwie chustę na siebie, zbiegła do swych sług na dół, gdzie wszystek jej fraucymer się znajdował, i tu znalazła Stadnickiego, który za piec się wcisnął. Ten opowiadał jej, że skoczył był zaraz do izby, w której Samuel spał, i szukał go wszędzie, ale już nie znalazł.

— Uszedł, dali Bóg, za co Jemu chwała! — dodał Stadnicki.

Złożyła ręce Włodkowa, modląc się:

— Boże miłosierny, co się to dzieje!

Zmiarkowała dobrze, co to znaczyło, ale pewni byli, że umknął.

W tym momencie Żółkiewski tylnymi drzwiami, które wyrąbać kazał, skoczył ze swoimi

ludźmi i wpadł między wystraszone białogłowy i małe dziewczęta. Zarazem drugimi drzwiami, także wyrąbanymi, wtargnął Urowiecki, a za nim Mroczek, z wrzaskiem i strzelaniem a hukiem.

Oprócz oddziału, który prowadził Urowiecki, Mroczek, przy którym był Żółkiewski, już na drodze na ochotnika, gwałtem prawie przyłączył się do nich Drohojowski z kupką Przemyślan. Ci teraz z Sernym, pozostawszy w podwórzu, dla postrachu do dworu ustawicznie strzelali.

Stał się więc sądny dzień prawdziwy: lament kobiet, wołanie żołnierzy, strzały, hukanie, groźby, łomot. W jednych izbach ciemność, w drugich pozapalane światła.

Z wielkiej gorliwości, aby im ofiara nie uszła, bo jej jeszcze nie mieli. Urowiecki i Mroczek niemal poszaleli. Pamiętali, co im hetman mówił, ujdzieli, jakie z tego następstwa będą, więc na gwałt rzucili się na tych, których znaleźli i pochwyтали, na Stadnickiego i na Chełmskiego.

— Gdzie Samuel? Dawajcie go!

Urowiecki bił nawet i groził śmiercią, tak że Chełmski i Stadnicki od zniewag i razów się obronić nie mogli.

A ciągle się rozlegało: „Gdzie Samuel?”

Z siepaczów zaś ich, którzy się po domu rozproszyli, jedni szafy rozbijali, drudzy po kątach pładrowali. Włódkowa, choć kobieta, nie straciła odwagi i krzyczała jak na zbójów:

— Jak śmiecie dom mój najeżdzać?! Toć rozbój jest, toć gwałt, to o pomstę do Boga woła, żeście mi dom okrwawili! Jestem-li co winna, odpowiem, ale gwałtu zaprzestańcie!

Ale do Urowieckiego i Mrocza mówić było jak do ściany, bo oni z tego strachu, żeby im się nie wymknął Samuel, głowy potracili.

Chcąc Stadnickiego zmusić, aby go wydał, poczęli strzelać do niego i naraz z kilkunastu rusznic dali ognia, ale chybili wszyscy, chociaż Stadnicki ogłuszony padł na ziemię.

Szaleli tak, bo Samuela dotychczas śladu ani słyhu nie mieli, a znali go, że mając czasu dosyć, pewnie im mógł ujść, gdy oni głowami ręczyli za to, że go wezmą.

Niektórzy więc puścili się na górę, gdzie syn Oleś spał, a był przy nim sługa wierny

Skorowski, który go chciał bronić i całą krwią oblany szedł, bo go porąbano.

Oleś obryzgany także, przelękły wpadł do izby białychgłów, ojca szukając. Zobaczywszy go okrwawionego, poczęły kobiety krzyczeć:

— Zabili Stadnickiego... Oleś ino żyw! Zabili Olesia! Trzeba było znać Samuela, aby

zrozumieć to, że imię syna posłyszawszy i słowo to: zabity, o własnym bezpieczeństwie zapomniał.

Gdy się obudził, a już naówczas ani Borowskiego, ani Bałabana nie było, rzucił się

bezbronny, niedobrze jeszcze oprzytomniawszy, do sionki małej, do której dotąd nikt nie zaglądał, ale z niej wyjścia nie było. Prędzej później ujęliby go byli w niej jak w saku.

A miał bezpieczną ocalenia drogę tę, którą uszli Borowski i Bałaban, bo z tamtej strony nikt ani zajrzał, aż do samego końca, drzwi były pootwierane, droga wolna do stajen. W stajni konie i pole tuż, a las.

Ale komu Bóg zginąć przeznaczył...

Posłyszawszy: „Oleś zabity!” wyskoczył Samuel wprost na ten głos, w jednej koszuli, jak się z łóżka zerwał, stanął przed nimi.

Pierwszy Urowiecki go zoczył.

— Czego chcecie? — zapytał Samuel dosyć spokojnie, chociaż wiedział już, co to znaczyło.

— Ciebie chcemy mieć! — zawołał Urowiecki. — Pójdź z nami do pana naszego kanclerza,

a teraz się z nikim nie waż mówić, bo będziesz zabit.

Zapalili zaraz świecę i ucichło, tylko płacz już kobiet słychać było.

Samuel, syna zobaczywszy, że żyw był, pomyślawszy mało, krew swoją zimną, którą tylko

w złych razach pod czas miewał, gdy już sprawa była zrozpaczona, odzyskał. Bo jak gwałtowny i impetyczny się okazywał, póki miał nadzieję, że się wyrąbie i obroni, tak w ostatniej toni lekko sobie wszystko ważył.

Radość tedy ichmościów, co tego bohaterstwa dokazali, była wielka, bo o mały włos, a

łacno by im uszedł.

Nim się tedy odział, a nim oni z końmi, ludźmi i bronią do ładu przyszli, upłynęło dosyć czasu wśród płaczu i lamentów Włodkowej, syna i Stadnickich. Tym wszystkim już nie czynili nic, obstawiwszy tylko Samuela swoimi, aby z nikim mówić nie mógł.

Ludzie pana Samuelowi i wozy jego stały noclegiem w Stogniewicach, dokąd zaraz

nadeszła wiadomość, że pana Samuela ujęto, i że jeszcze byli z nim w Piekarach, wybierając się do Krakowa.

Rychłowski, który przy wozach był, nadbiegł z ludźmi, ale nie miał już tu co czynić. Gdy już rankiem do izby, w której go trzymano, wpadł Rychłowski, Samuel go zobaczywszy z dala, odezwał się mimo

zakazu:

— Daj już pokój, Rychłowski niebożę, nie masz tu co czynić. Jedźcie do syna, służcie jemu, a szkatułę tam moją miejcie w dobrym opatrzaniu.

Na biedę szkatułę tę wspomniał, gdyż potem Urowiecki o niej zaraz kanclerzowi doniósł i posłano po nią, aby wydano, a słudzy ze strachu i nieopatrności oddali ją, jak była.

Ucichło tedy w Piekarach, chociaż żałobą je oblekło to nieszczęście, a Włodkowa, Stadnicki i syn w pierwszym momencie głowy potracili, lecz zaledwie Urowiecki, Samuela z sobą wioząc, do Krakowa ruszył, i w Piekarach myśleć poczęto o ratunku.

Zdawało się, że jeszcze drogi pozostawały i środki, aby odwrócić od Samuela karę główną, jaka mu z powodu banicji zagrażała. Stadnicki, choć zbity i na poły żywy, natychmiast siadł na koń i do Sandomierza, do marszałka Andrzeję popędził. Przybył tu może w godzinę potem, gdy list ów z Podolan pisany przyszedł. W progu zobaczywszy bladego siostrzeńca, prawie odgadł marszałek nieszczęście.

— Jędrusiu — zawołał — co się stało?!

— Gwałt wielki; na dwór w Piekarach nasłał kanclerz ze strzelaniem i przemocą siepaczy,

ledwie ja żyw uszedł, a Aleksander okrwawiony. Samuela słudzy odbiegli, głowę stracił, sam się im w ręce dał, wzięli go i do Krakowa na zamek powieźli, ani się z tym tają, że go główna kara czeka. Kanclerz z Proszowic sam ludzi wyprawiał. Wiedzieli o każdym kroku.

Marszałek z załamanymi rękami słuchał.

— Przeczuciem miał — rzekł. — Co tu czynić?

Zrazu w istocie nie wiedział nawet marszałek, co miał przedsiębrać, ale najpierwszą było rzeczą kasztelanowi dać znać, aby bronił, a Krzysztofowi, aby o sobie myślał, bo i temu z listów i papierów sąd mógł zagrażać.

Tegoż dnia biegli posłańcy do Lublina, do panów w trybunale zasiadających, którzy wymiar sprawiedliwości mieli powierzony, aby oni się ujęli za zdradliwie pochwyconym banitą, który, jak dowodził marszałek, dlatego dekret sobie mało ważył, iż go ani król, ani kanclerz nigdy nie przypominał i dawali mu w wojsku i w kraju swobodnie przebywać.

Jana listy do pokrewnych szły, do Stadnickich, do pana z Górki, do Tarnowskich, do

Spytkowej, ażeby wszelkich wpływów swych zażyli dla ocalenia chociażby żywota Samuelowi.

Obawiano się, aby kanclerz, zapobiegając wpływom, właśnie nie przyspieszył wykonania

dekretu, ale mylili się w tym, gdyż Zamojskiemu tak on był bolesną koniecznością, iżby go rad był

jak najdalej odroczyć. Spodziewał się może, przy osobistym widzeniu się z Batorym, skłonić go do łaskawości.

Jeszcze Zborowskiego nie doprowadzono do Krakowa, gdy już wieść z Piekar i Stogniewic,

z Proszowic, z szybkością błyskawicy rozbiegła się dokoła, iż Zamojski pochwycić kazał Samuela i wprowadzić na zamek do Krakowa. Ta nagła surowość względem człowieka, który przez czas tak długi swobodnie się wszędzie ukazywał publicznie, a nawet bywał w stolicy, tłumaczyła się wprawdzie dla wtajemniczonych historią Wojtaszka i pochwyconych korespondencji, które spisku na życie króla i kanclerza dowodziły, ale dla innych był to krok tylko obrachowany, aby kraj i niechętną szlachtę przejąć trwogą i okazać jej, że król nikomu pobłażać nie myśli, ani rodzinom znacznym, ani tym nawet, co mu do zdobycia korony dopomagali, bo do tych się liczyli

Zborowscy.

Już wprzód na niepomiarłą surowość Batorego, na tyranią jego podnosiły się głosy, teraz zerwała się burza, uderzono na gwałt; nieprzyjaciele nawet Zborowskich widzieli w tym porwanie się na swobody i przywileje szlachty, cóż dopiero rodzina, spokrewnieni, przyjaźni i ci, którzy stojąc po stronie cesarza wyzyskiwali, co mogli, przeciw królowi. To, co przewidywał Zamojski, ziściło się z nawiązką; w jednej chwili umysły były zaognione, krzyki i wyrzuty najgwałtowniejsze się wzniosły. Dotykały one króla, który był odpowiedzialnym za Zamojskiego, ale w daleko większym stopniu spadły na kanclerza. W nim widziano instygatora, sprawcę, winowajcę.

Nieprzyjaźń ze Zborowskimi, odgróźki Samuela, dawno były znane powszechnie; uwięzienie uważano jako pomstę osobistą. Sprawa stała się jako walka Zamojskiego ze Zborowskimi.

Od zabójstwa Wapowskiego przez szalone wybryki Samuela, postępowanie nieczyste i

niejasne jego braci, przerwienie się ich do cesarskiego obozu, Zborowscy znacznie na swym wpływie i poszanowaniu u ludzi stracili; ale zawsze, choć nadrujnowany marszałek, choć zubożały podczaszy, mieli jeszcze i majątności rozległe, i stosunki ogromne, i związki, i klientów, a szlachtę drobną, która ślepo szła z nimi.

Uwięzienie Samuela przychodziło też w samą porę dla tych, co przeciwko królowi knowali i gotowali zażartą opozycję na sejmie. Ze wszech stron zabierano się je zużytkować, dowodząc samowoli, gwałtu, nieposzanowania praw stanu uprzywilejowanego.

Przez tyle więc lat wolno było banicie ukazywać się wszędzie, nikt mu nie mówił słowa, dano się ubezpieczyć, a potem schwycono go jak w pułapkę!

Poruszenie umysłów, wywołane wiadomością o napadzie na Piekary z każdą chwilą

przybierało rozmiary groźniejsze; dodawano do opisu tego nocnego najścia na dom kobiety, wdowy bezbronnej, okrucieństwo, z jakim Urowiecki i Mroczek postąpili sobie względem niej,

małoletniego syna Samuelowego, młodego Stadnickiego i służby, strzelanie do domu, plądrowanie, wyrąbywanie drzwi, wrzaski, odgróźki itp.

W listach i opisach tej nocy powiadano:

„Toć się stało tego dnia w Piekarach, w dworze przywilejowanym pani Włodkowej, z piątku na sobotę w nocy, dwunastego dnia maja, gdy miesiąc w ognie był smokowym, w kilka dni po zaćmieniu słońca w tym roku”.

Dla szlachty było to w istocie nowe słońca zaćmienie, bo ukrócenie swobód jej... targnięcie się na jej prawa.

Miał za sobą Zamojski banicję, która nigdy przestarzeć nie może, ale dlaczegoż jej przez lat tyle nie zużytkował?

Przybycie kanclerza do Krakowa nie uprzedziło niezmiernego niepokoju, jaki uwięzienie Samuela sprawiło. Zastał tu już wszystkich swych przyjaciół zaalarmowanych, przestraszonych. Zaledwie zażegnane niechęci miały się więc rozognić znowu! Wszyscy prawie potępiali tę surowość.

Poważny, zimny, spokojny kanclerz, na pytania, na ubolewania nawet nie odpowiadał, zbywał je majestatycznym, bardzo znaczącym milczeniem. Na króla odpowiedzialności składać nie mógł... sam bronić się nie myślał, a na wszystkich twarzach czytał pytanie niespokojne: „Cóż dalej?”

Tegoż dnia nad wieczorem nadbiegł ks. biskup Myszkowski na zamek, po którego obliczu zmienionym, bladeści i poruszeniu kanclerz poznał, że i jego ta sprawa Zborowskich obchodziła mocno i trwożyła.

Nie zagadnął o niej w chwili pierwszej, pytając o podróż, o zdrowie, o króla, lecz łatwo było poznać, że to wszystko było tylko wstępem do najważniejszej rzeczy, do zapytania o Samuela, do interwencji za łagodnością i miłosierdziem.

Kanclerz i biskup nie śmieli długo dotknąć tej struny drażliwej, na ostatek Myszkowski już się powstrzymać nie mogąc, ręce złożył i zawołał:

— Kanclerzu mój, poznajesz po mnie łatwo, żem ja tu nie z samym pozdrowieniem pospieszał! Co za straszliwe wieści! Jakże się stało, że Zborowskiego Samuela ujęto?

Chłodno odparł kanclerz:

— Z mojego rozkazu! Napominałem go, aby się w mojej jurysdykcji nie śmiał ukazywać.

Na przekorę i szyderstwo przybył do Piekar, gdy o mnie wiedział w Proszowicach. Gotowano zamach na mnie, musiałem go uprzedzić.

Biskupowi łzy się toczyły po twarzy.

— A, następstwa tego kroku są nieobliczone! — zawołał. — Król i wy ucierpicie...

poruszyliście gniazdo osie!

— Wiem o tym — rzekł Zamojski — ale osy te nam w oczy lały, i kęsały, raz z nimi skończyć potrzeba.

— Skończyć? — przerwał biskup. — To dopiero początek, a koniec, koniec... nie daje się przewidzieć ani obrachować. Surowością u nas, obcemu jak Batory, nic począć nie można, łagodnością wszystko łatwo.

— Poblężaniem doszliśmy do bezprawiów! — zawołał Zamojski. — Trzeba granicę położyć temu! Czas był, musiałem. Nie cofnę się!

Biskup, nie śmiejąc pytać już, milcząco ręce załamał; domyślał się reszty. Głowa mu opadła na piersi, zdawał się modlić w duchu, aby Bóg zmiękczył serca.

Rozmowa, przzerwana chwilę, podjęta została z krwią zimną przez Zamojskiego, który z wyraźnym rozmysłem omijał króla, usuwał wszelki wpływ jego, tłumaczył sobie tylko i wszystko brał na swe barki. Biskup znał już nadto obu, aby się tym dał złudzić, wiedział, co miał trzymać.

Spodziewał się, że kanclerza nieco łagodniej usposobić potrafi, ale wkrótce przekonać się musiał, że bez namiętności, bez gniewu, chłodno Zamojski stał przy swoim, jako przy następstwie koniecznym prawa, które poszanowane i spełnione być musiało, aby wrazić narodowi znaczenie praw w ogóle, z których nikt wyłamywać się nie mógł.

Gdy po długich dość odwiedzinach powstał Myszkowski, aby pożegnać kanclerza, smutkiem oblekła się mu twarz poważna, bo wiedział już, że Zamojski nie ustąpi, że postanowienie jego jest niezłomne. Mała nadzieja zostawała na królu... lecz Batory mniej jeszcze do łagodności i ustępstw był skłonny.

Zamojski, przybywając do Krakowa, wiedział, co go tu czekało i na co się miał gotować.

Drzwi się też nie zamykały. Jedni z aplauzem przychodzili, chcąc mu się przypocholebić, co on

surowo i zmarszczony przyjmował, drudzy — a tych było daleko więcej — biegli z błaganiami, ze strachem i argumentami przekonywającymi, że łagodność była konieczną.

Nie odpowiadał ani się tłumaczył Zamojski.

Dla zmniejszenia nieco wrzawy przeciwko królowi i sobie jeden tylko środek obmyślił, aby skłonić wdowę Wapowską do instygowania przeciwko zabójcy męża.

Pamiętnym było dobrze, z jaką wytrwałością, nie pozwalając pogrzebać zwłok mężowskich,

Wapowska uparcie je na zamek do króla woziła domagając się pomsty... Od tego czasu, nie

zrzucając żaloby, święta matrona cała oddana dzieciom i pobożności, na nabożeństwach, postach i dobrych uczynkach spędzała żywot sierocy, któremu pamięć męża przyświecała.

Zdawać się więc mogło kanclerzowi, że teraz, korzystając ze zrzeczności, przysłuży się i

Wapowska do potępienia gwałtownika.

Ale była to prawdziwie święta niewiasta. Wielka jej boleść upłynęła ze łzami, miała czas ofiarować Bogu swe wdo- wieństwo, a teraz, gdy nieprzyjaciel leżał zwyciężony i pobity, nie chciała bezbronnemu zadawać ostatniego ciosu. Przebaczała mu po chrześcijańsku.

Odpowiedź jej na wezwanie Zamojskiego brzmiała, iż teraz już ona krzywdy swej

dochodzić nie będzie i pomszczenie jej Bogu oddaje.

Wszystko więc całym brzemieniem spaść miało na Zamojskiego; króla nie było w

Krakowie. Hetman postanowił pod jakimkolwiek bądź pozorem przeciągnąć wykonanie, aby raz jeszcze odwołać się do Batorego i skłonić go może do łagodności. Listy pobiegły na Litwę.

Oblany krwią rannego sługi, młody Aleksander z Piekar udał się do marszałka, który miał

być jego opiekunem. Tu zastał już Annę, która z ochmistrzynią swą przybiegła rzucić mu się do nóg, błagając, aby nie opuszczał ojca.

Anusia była od pierwszej chwili, gdy otrzymała wiadomość, w nie ustającej gorączce.

Chodziła jak nieprzytomna, powtarzając po cichu: „Wojtaszek! Zamojski!” Z namiętnością niewieścią, z gwałtownością tej krwi właściwą, która w jej żyłach płynęła, zaciskała usta, gryzła wargi, łzy się jej puszczały z oczów i wołała po cichu: „Zemsty! zemsty!”

Marszałek nie mógł uspokoić dziewczęcia. Sam przerażony, ale zimny, myślał tylko, jak

obrócić na korzyść rodziny nieszczęście, które ją spotykało.

Pytał sam siebie, czy być to mogło, aby potomek onych Zborowskich sławnych padł z ręki

kata... Przychodziło mu na myśl, niestety, że ojciec ich rodziny zabił banitę Sanguszkę... Los zdawał się na drugim pokoleniu chcieć pomścić męża Halszki z Ostroga...

Jeżeli książę ze sławnego rodu mógł paść ofiarą tego prawa, na obcej ziemi, gdzie ono już wagi nie miało — dlaczegożby oszczędzić miano Samuela, który wziętym został tam, gdzie się znajdować nie miał swobody, zwłaszcza, gdy na nim nie tylko winy jego, ale całej rodziny spisków i zamachów mścić się było można. Listy Krzysztofa świadczyły przeciwko nim wszystkim.

Mógłże Jan, kasztelan gnieźnieński, zaważyć swą wiernością i cnotą za trzech winowajców?

Marszałek starał się upewnić Anusię, że niebo i ziemię poruszają oni, aby Samuela ocalić.

— Lecz, dziecko moje — rzekł — mamy nieprzyjaciół strasznych. Król sam stoi na ich

czele, a za nim jest mściwy Zamojski, a za nimi cały tłum dworaków, zauszników, pochlebców.

Zawichrzym kraj, podburzym szlachtę, wywołamy zjazdy, podniosą się krzyki, ale czy to pomoże, czy pogorszy, nastraszy, czy rozjątrzy? Któż to wie!

Anusia — dziecko, kobieta, nie rozumiała nawet, iżby nic zrobić nie można. Cała szlachta nie tylko na Rusi, ale w Rzeczypospolitej podnieść się była powinna. Na Litwie mieli

Chodkiewiczów, w Wielkiej Polsce Górków, w Krakowskim Spytków!

Palila się jej głowa.

„Zemsty! zemsty!” — powtarzała sama do siebie.

Z Sandomierza, padłszy na ostatek do nóg marszałkowi, Anusia się kazała wieść do Piekar, do Włodkowej. Zdało się jej, że ta siostra, ta ulubiona ojcu kobieta lepiej ją zrozumie, goręcej pomóc jej potrafi niż marszałek. Dowiedziała się razem, że kasztelana nie było, że na niego długo jeszcze czekać musieli, a podczaszy uciekł już za granicę z obawy, aby na nim nie poszukiwano wyrazów listu, w których królowi uznania jego tytułu odmawiał. (*Rex, si hoc nomine dignus*).

Ta ucieczka, gdy ojca jej bronić było potrzeba, oburzała ją. „Wszyscy więc opuszczali

nieszczęśliwego? — mówiła sobie — a więc ona jedna, słaba, biedna niewiasta, dziecko, mężnie stanie w jego obronie... Pojedzie na koniec świata, zburzy, co żyje, a na ostatek pomści się za ojca!”

Imię zbrodniarza, Wojtaszka, nie schodziło z jej ust. Na dworze królewskim jest! Ale ja i tam się dostać potrafię, i tam go wyśledzę... zapłacę ludzi, znajdę zbójów... życie mu odjąć każę...

Zginąć musi...

Na próżno stara ochmistrzyni, niewiasta, co się jeszcze z domu Spytków tu dostała i umiała modlić,

chciała ją skłonić do modlitwy, do zwrócenia się ku Bogu. Anusia, inaczej wychowana przy ojcu, rachowała na siebie tylko.

Z tą gorączką przybyła do Piekar i łkając a krzycząc, rzuciła się na szyję wychodzącej naprzeciw niej Włodkowej.

Były to dwa zbliżone do siebie temperamenta. Wdowa także gorączkowała się, szalała, ale zarazem wśród nieustannego zajęcia sprawą wuja Samuela już była z nią obytą, już niemal zdała się być zobojętniała... Co dzień tylekroć powtarzała opowiadanie, iż jej spowszedniało; co dzień tyle razy tu rozprawiano o grożącej Samuelowi śmierci, że i ta już była dla niej przewidzianą... a że Włodkowa przy tym czynną być mogła, poruszała się, jeździła, pisała, krzyczała — prawie jej z tym było dobrze... Żyła w swoim żywiole.

Anusię to oburzyło niemal; ona nie mówić, ale czynną być chciała... Włodkowa nie widziała sposobu uczynienia najmniejszego kroku. Jej rzeczą było pobudzać i nie dać usnąć obrońcom. Ale z tego, co dochodziło z Krakowa, już nie miała nadziei ocalenia.

Przy pierwszym spotkaniu Anna, posłyszawszy to wszystko, prawie do rozpaczyny została przywiedziona; chciała jechać do Krakowa, domagać się widzenia z ojcem; dowiedziała się, że nikogo nie dopuszczano do niego, nikomu z nim mówić, dostąpić nie dawano.

Wszystko, co uczyniono dotąd, Annie wydawało się niedostatecznym... oskarżała stryjów, gniewała się na rodzinę. Chciała jechać od dworu do dworu po krewnych i zmuszać ich do wystąpienia.

Prawo! Anusia nie wiedziała o żadnym prawie na świecie, które by ojcu jej życie odjąć dozwalało! Słowem jednym, szal to był dziecka, ale tak gwałtowny, że go nic pohamować nie mogło.

Nazajutrz Włodkowa, zaledwie powstawszy, pobiegła do Anusi. W łóżku już jej nie było, nie było we dworze; kazała powiedzieć, że do kanclerza jedzie.

— Oczy mu wydrę! — wołała siadając do kolebki z ochmistrzynią.

Włodkowa chciała się naprzód puścić w pogoń za nią, ale goście ją najechali, a wreszcie Anusi powstrzymać żadna ludzka siła już nie zdołała...

Późno wieczorem zatoczyła się powracająca z Krakowa kolebka. Anna wysiadła z niej blada i zapłakana. Kanclerz przyjąć jej nie chciał, odprawiono od progu! Do królowej dostąpić nie mogła.

Podli ludzie uciekali od niej i nikt a nikt nie chciał być pomocą. Zabijałaby, gdyby mogła. Łzy toczyły się po twarzyczce... nie wiedziała już, co miała począć.

W Krakowie, na chwilę stanąwszy u wrót pustego domu na Franciszkańskiej ulicy, dowiedziała się tu tylko, że w nim nikogo nie było, nie spodziewano się nikogo. Kasztelan nierychło mógł przybyć.

Tu ją spotkało to, co biedne dziewczę dobiło. Stała przed wrotami, głośno lamentując i krzycząc na służbę, która stała obojętną i zimną, gdy ujrzała ulicą zbliżającego się ku sobie mnicha, w habitcie białym, w czarnym płaszczu. Z twarzy żółtej i czarnych oczów poznała w nim o.

Czesława.

Dominikanin stanął z bliska i przysłuchując się wyrzekaniom Anny, głową potrząsał, a usta drgały mu uśmiechem nielitościwie szyderskim. Zwróciła się ku niemu dziewczyna, mierząc go oczyma rozplomienionymi.

O. Czesław nie ustępował.

— A co?! — zawołał na głos, jak by stał na kazalnicy. — Przyszła na was, na ród bezbożny, pomsty Bożej godzina... Bolejecie i jęczycie... ale to mało za zbrodnie wasze. Ród wasz przepaść, imię zginać, gniazda wasze zniszczone być powinny. Nie zostanie z was śladu, a z domów waszych kamienia na kamieniu... Poleje się krew za krew, łzy za łzy... bo sprawiedliwym jest Bóg, a wszechmocna jest ręka jego, i upokorzy on mocnych i potężnych, a podniesie pokornych i uciśnionych...

To mówiąc mnich rzucił ręką, jak by pochodnię anathemy ciskał z kazalnicy, i nie słuchając krzyku omdlałej Anusi, poszedł dalej obojętny.

IV

Chociaż z zamku języka dostać było trudno, bo tam się nie mógł nikt przecisnąć, a straż była bardzo pilna, wiedziano jednak na mieście, że Samuel Zborowski miał za nieodstępnych

towarzyszów i stróżów dwóch najwierniejszych sług hetmana: rotmistrza Mrocza, który go

pojmał, i Sernego, który w Piekarach do dworu strzelał dla uczynienia popłochu. Siedzieli oni z nim razem na burgrabstwie zamkowym u Przyłęckiego, a Samuela rzadko z bocznej komory, w której był zamknięty, wypuszczano nawet do średniej izby, przestronniejszej nieco.

Dokoła burgrabstwa, ponieważ się wszystkiego obawiać mógł Zamojski, nawet

gwałtownego jakiegoś najścia na zamek, nie mniej nad kilkuset liczone szarpaczów z rusznicami i ręczną bronią.

Mroczek i Serny, żołnierze, ludzie mężni, nie gorsi od drugih, ale małego i biednego stanu, jak wszyscy im podobni, nie mogli się temu oprzeć, aby poniżonego, możnego pana, którego w rękach mieli, z którym się im, jak chcieli, wolno było obchodzić, nie upokarzali i nie znęcali się nad nim. Rzadka to rzecz, aby mały człowiek poszanował w upadku niegdyś potężniejszego od siebie.

Jest coś niepocziwego w naturze ludzkiej, że taki biedny człek niemal się czuje zwycięzcą, gdy los mu da w ręce takiego, który nad nim górował.

Mroczek też i Serny obchodzili się z tym potomkiem senatorów i wojewodów, z tym

Zborowskim, którego rodzina liczyła się do najstarszych i najpotężniejszych niegdyś w

Rzeczypospolitej, jak z pospolitym jakimś włóczęgą lub zbrodniarzem. Każde ich słowo było urągówiskiem.. Dawali mu czuć swą siłę z tą butą gminu, z tym grubiaństwem żołnierskim, które dumnego i gwałtownego Samuela musiało do rozpaczki przyprowadzać.

Ale wprędce Zborowski pojął, że dając im poznać obrazę i cierpienie, uczyniłby rozkosz...

Męczyć go właśnie chcieli, on stał się zimnym i obojętnym naumyślnie. Kosztowało go to, lecz winien był godności własnej, aby nie czuć razów, jakie mu zadawano. Znosił je z obojętnością kamienną, gdy dwaj rotmistrze umyślnie przy nim rozpoczynali rozmowy, które go mogły drażnić, patrzył gdzie indziej i zdawał się głuchy.

Nie rozbrajało to gburów. Oprócz groźby końca, który Samuel przewidywać musiał,

wiedząc, co go czeka, a nie spodziewając się litości, tymczasem prawdziwe ponosił męczeństwo.

Gdzie naówczas myśli jego błądziły... co doświadczał, tego nawet ci oprawcy odgadnąć by

nie potrafili. Siadywał na łożu, lichy wysłanym, całymi godzinami, sparty na rękę i zadumany.

Wyzywany umyślnie do rozmowy, bo Mroczek rad był coś z niego wyciągnąć, aby zanieść

hetmanowi, Zborowski albo dumnie i krótko, lub wcale nie odpowiadał. Pana w nim czuć musieli, choć zszedł na najnędnieszego z więźniów.

Rzadko o co poprosił. Nawykły w potrzebie żyć kawałkiem suchego chleba i wodą, nie

dopominał się niczego.

Z rozmów ich dowiadywał się czasem rzeczy, które go obchodziły — zawsze najgorszych i

najprzykrzejszych — ale nie dawał znaku, aby je wielce ważył. Pytać nie chciał, bo wiedział, że alboby go zbyt szyderstwem, lub odpowiedziano pogrózką. Widzieć się nie mógł z nikim. Co się działo z Olesiem, co z Anusią? Wiedział o przywiązaniu córki do siebie, znał jej nieunoszoną gwałtowność, był pewnym, że się narażała dla niego, ale co ona biedna poradzić mogła?

Marszałek miał się dziećmi zaopiekować, o tym nie wątpił Samuel, ale nim? Tego nie był

pewnym! Wreszcie on może krok jaki by uczynił, ale Krzychnik? Ten musiał ujść, domyślał się słusznie; ten aniby chciał, ani zresztą potrafił nic zrobić. Kto wie jeszcze, co z nim być miało, jeśli nie zbiegł pod opiekę cesarza?

Dzień i noc myśli, z przeszłości wysnute, wiły mu się po głowie. Tak więc kończyło się to bujne, rozhukane życie, pełne blasków i ciemności... legł w walce z kanclerzem... Wszystkie krwawe czyny, wszystkie gwałty, jakie popełnił, co tylko sobie miał do wyrzucenia, stawało przed nim... Jak widma przychodzili doń Wapowski, Trepka... cały szereg trupów, a za nimi cała ciżba sierot i wdów. Słyszał powtarzające się krzyki dawno zapomniane... ostatni jęk przebitego oszczepem na polowaniu Trepki, płacz Wapowskiej, śpiew zdrajcy Wojtaszka, nawoływanie i świst Borowskiego na sokoły!

Nic, nic już powrócić nie miało... Miecz katowski czuł na szyi, zimne dotknięcie jego, a potem?

Ze starej wiary ojców pozostały w nim ledwie szczątki... do Kościoła nie należał... zaciągnął

się do nowych szeregów... a teraz nie wiedział ani jak, ani do kogo się modlić? Poza tym życiem, u którego stał skraju, była jakaś przepaść ciemna, i nic w niej dojrzeć nie mógł. Próżnia, mroki, milczenie, nicość...

Odwracał się od tego obrazu. Wracały ziemskie przypomnienia, troska o los dzieci... a ta biedna Włodkowa, której dom zakrwawiono?

Czasem przychodziła na myśl potęga domów, z którymi Zborowscy byli połączeni. Przecież

szlachta i panowie, nawet pod panowaniem „Wilczych zębów” coś znaczyli; przecież Samuel, banita nie przestał być Zborowskim? Wszystkie ziemie powstać były powinny... cała szlachta upomnieć się o niego, zastawić się, nie dopuścić!

„Nie — myślał czasem — on się nie waży podnieść miecza na mnie; wie, że świat by

oburzył na siebie. Znają nas na dworze cesarskim... imię nasze głośnie, mamy komu przekazać zemstę! Nie, nie! Nie waży się... Puścić musi!”

Niekiedy marzyło mu się znowu, iż jego przyjaciele gwałtem go odbić mogli i byli powinni.

Na zamku nie trzymano przecież tak wielkiej załogi, dosyć było śmiałków gromadki, napadu niespodzianego... Miał dawniej przyjaciół tylu, a teraz jego sprawa była razem całej szlachty sprawą. Na króla cała Rzeczpospolita narzekała, Zamojski dokuczył, to mogła być ostatnia kropla pucharu przepełnionego.

Trzymali go długo, dzień za dniem uchodził, mogli go stracić zaraz po ujęciu, więc to znak, iż może sprawę Zborowskich na sejm podać miano. Naówczas był pewien ocalenia!

Tym się pocieszał; ale nie jeden on zwłokę za znak wahania się pomyślny dla Samuela być

sądził. Tego zdania było wielu innych. Rozumowano, że banita mógł być natychmiast po

uchwyceniu karany śmiercią, jeżeli tego nie spełniono, snadź łaskawszym chciał być kanclerz, bo się obawiał.

Lecz wszystkie te wnioski były fałszywe. Śmierć została postanowioną, ale Zamojski sam

wahał się jeszcze. Rad by był przebaczył i folgował... chciał się jeszcze do króla odwołać...

Pisać? — nie starczyło; jechać? — nie mógł, bo i sądy, i rządy na nim tu spoczywały — cóż uczynić miał? Najrozumniejszy z jego domowników, sekretarz Heidenstein, wyprawiony został

potajemnie; kazano mu co najspieszniej powracać. Heidenstein kanclerza myśli znał najlepiej, był

doń przywiązany, rozumiał go, a teraz... odczuwał i przeczuwał wszystko, co za sobą sprawa Zborowskich ciągnęła. Wartoż było nią nowe sobie trudności tworzyć na przyszłość, gdy i tak liczba ich przechodziła miarę?

Heidenstein miał w Grodnie, lub gdziekolwiek by króla mógł pochwyć, skłonić do

łagodności, prosić o powolność, żądać o ulaskawienie. Niewiele się spodziewał po tym kroku Zamojski, ale dla uspokojenia sumienia uczynić czuł się obowiązany. Heidenstein dniem i nocą pobiął ku Litwie.

W Grodnie, na starym zamku, w izbie, której by lada rada miejska nie chciała na

posiedzenia, na ławie ledwie pokrytej, otoczonego psami, wśród liczego swego węgierskiego dworu zastał Heidenstein pana z chmurnym czołem.

Witał go już tak, że się nic dobrego spodziewać nie było można,

— A co? — zapytał król po łacinie. — Dał głowę?

— Kto? — zapytał posłaniec zmieszany

— Zdrajca, co czyhał na moje życie — odparł król — Zborowski.

Zawahał się nieco Heidenstein.

— N. Panie — rzekł po namyśle — właśnie ja przybywam do was w tej sprawie!

— Ale ona jest skończona! Kanclerz wie wolę moją — odparł król — tu już do omówienia nic nie ma. Ja nie zmienię postanowienia.

— Kanclerz kazał mi jednak przedstawić jeszcze ustnie W. Kr. Mości — rzekł poseł.

— Co? że się obawia Zborowskich? wrzawy? krzyku? pomawiania o okrucieństwo!

Wszystko to są marne wymówki; ten człowiek musi głową nałożyć... dowody zdrady są jawne.

Heidenstein skłonił głowę.

— Kanclerz mi polecił — odezwał się spokojnie — przedstawić W. Kr. Mości, że tu nie idzie o Samuela Zborowskiego; malkontenci, których partia cesarska płaci, radzi będą skorzystać z wypadku, wyzyskują, kanclerza i W. Kr. Mość uczynią tyranami, podburzą kraj, sejm przyszedł uczynią nadzwyczaj niespokojnym, słowem, łaskawość tu byłaby rachubą... kanclerz za nią przemawia.

Batory, który siedział z bardzo pochmurnym obliczem, namarszczył się bardziej jeszcze, warga mu dolna zaczynała drżeć, co było znakiem gniewu i niecierpliwości.

— Zamojski żąda ode mnie rzeczy niemożliwych! — zawołał. — Ja, com raz powiedział, nie zmieniam. Słowo królewskie powinno być jedno: „tak, lub nie”. Raz wyrzeczone, jak fatum zostaje nieubłagany. Ten człowiek powinien zginąć. Prawo tego chce. Ja i kanclerz jesteśmy stróżami prawa.

Na chwilę król mówić poprzestał, umoczył usta w kubku jakiegoś napoju, który stał przed nim.

— Czytałeś ich listy? — począł zwracając się do Heidensteina. — Znasz ich sprawę. Oni mnie struć, hetmana zabić chcieli, zasadzali się na mnie z Ciołkiem w Krakowie, szukali trucizny. Zobacz, jakim imieniem mnie zowią. Dla nich ja nawet królem nie jestem!

Nie! nie! to wszystko przebaczyć, byłoby niedarowaną słabością. Niepodobieństwem jest.

Nie mogę! nie chcę! Ukarać śmiercią, ukarać! Prawo karze banitę śmiercią, nie my. To buntownik!

Jeździł na Niż Kozaków przeciwko mnie ściągając, buntował Wołoszę, brat na dworze cesarza.

Otaczają mnie szpiegami. Kto wie, czy w tej chwili przekupiony sługa nie gotuje dla mnie trucizny, a ty chcesz, ażebym ja im przebaczył. Nigdy!

Poruszony król zaczął się przechadzać żywo, a oddech jego ciężki słyhać było tylko.

Heidenstein stał smutny.

— Wszystko to prawda, N. Panie — odezwał się — ale każda rzecz ma dwie strony. Kto wie, czy wspaniałomyślne przebaczenie winy, a przynajmniej złagodzenie kary, nie byłoby na dobre.

Można go w wieży osadzić do sejmu, a sejm...

— Sejm, jeśli będzie sądził, to Krzysztofa, a nie jego — przerwał król — ten osądzony jest.

Ściąć go, tego zbrojcę, nic więcej, inaczej u was w tej Polsce nigdy nie będzie karności, ładu i siły.

Imponuje wam imię sławne, ród... ale prawo zna tylko człowieka i winowajcę.

Coraz pospiesznie] ciągnął król dalej:

— Niech mówią, co chcą na mnie, żem wilk, krwi chciwy i okrutny, żem tyran (ruszył ramionami), że nie mam litości... ale niech się boją i słuchają! Inaczej by mi nie pozostało nic, tylko zrzucić tę koronę precz, a samemu powracać do Siedmiogrodu.

— Lecz, miłościwy królu — rzekł Heidenstein — czyż taka jest waga tego człowieka i wypadku, aby na nim koniecznie przykład dawać? Hetman się wzdryga szczególnie dlatego, iż musiał go sam pochwyć; wszystko więc spadnie na jego, na osobistą niechęć i zemstę.

— I Zamojski, on, boi się gawiedzi, która będzie nań cis-kała kamieniami i błotem?! — zawołał król. — On gardzić nią powinien jak ja!

Nie, Heidenstein! — dodał Batory, zwracając się bliżej ku niemu. — Na próżno nie usiłuj mnie przekonać. Wiem, że argumentów znajdziesz siłę na klemencją, ale to cnota, której ja tu praktykować nie mogę. Żelaznej ręki potrzeba!

Beidensteinowi trudno się odezwać nawet było. Zaledwie usta otwierał, król mu przerywał.

— Ściąć go, dać go ściąć — powtórzył — a co prędzej, to lepiej! Zamojski niepotrzebnie przeciagnął, niepotrzebnie mnie pytał. Tymczasem umysły się niepokoją, wzmagają się w kraju niechęć; wyobrażają sobie może, iż coś uczynić potrafią. To ich uzuchwala. A pofolgujemy ten raz, wszystko przepadło. Nie my tu panami, tylko oni. — Westchnął poseł.

— Nie dosyć na tym — dodał król. — Ja podczaszemu Krzysztofowi nie daruję. On stanie przed sądem sejmowym. Mam listy, jest królobójca, a jeśli nie spełnił zamiaru, nie zbywało mu na chęci.

I z goryczą, z gniewem powtórzył Batory:

— Ha... Rex, si hoc nomine dignus! Byłbym w istocie niegodnym imienia króla, gdybym na krok im ustąpił. Krzysztof da głowę!

— Nie ma go w kraju, N. Panie — odezwał się poseł — jest na Morawie, w państwie cesarza i mieni się jego poddanym.

— Ale był moim — przerwał król — i odpowie za to, co tu popełnił. Nie będziemy go mieli, skazemy na banicję jak brata, a ukaże się li w krajach naszych, spotka go los Samuelowy.

Przeciwko Janowi nie mam nic — dodał — oni jego oszukiwali, on o niczym nie wiedział, ale marszałek należał do trójcy, i jeśli ujdzie, niech się ma na baczości. Uchwycęli go na uczynku, nie daruję, jak tamtym dwom.

— Niestety — odezwał się Zamojskiego posłaniec — wszyscy oni trzej należą do rodziny, połączonej z wielu domami znacznymi w Koronie i na Litwie, zjedna to nam nieprzyjaciół.

— Jawnych! — odparł Batory. — Tym lepiej, dotąd nimi byli skrycie. Owszem, niech powstaną, stawię im czoło. Kanclerz, stając u mego boku, wiedział, co go czekało i że u mnie przebaczenia nie ma. Ani tchórzem, ani słabym nie chcę być, tak! Wolę być okrutnym... a nawet w tym razie nie mam litości! nie mam... budzilibyście ją na próżno, gniew tylko się wzmoże.

Po krótkim milczeniu zafrasowany Heidenstein rzekł cicho: — Wrócę więc z niczym?.

— Z rozkazem, aby Zamojski nie zwlekał — odparł Batory. — Kocha on ten swój kraj, niechże się nie waha wypiec zjadliwej rany... inaczej on nigdy zdrowym nie będzie i zginie, rozerwany i bezsilny.

To mówiąc drżał król z gniewu, który go do szpiku kości przejmował. Chciał

Heidensteinowi wskazać, aby zaprzestał nalegań w sprawie Zborowskich, i nagle zwrócił rozmowę i pytanie na wojskowe zaciągi..Wspomniał o poselstwie tatarskim z pogardą, zapytał o nowiny z Rzymu.

Na wszystko to nikt lepiej nie mógł odpowiedzieć nad Heidensteina, który wszystkie papiery kanclerskie miał w ręku i listy czytał, bo na nie w imieniu Zamojskiego odpowiadał.

Czasem tylko dawny uczeń padewskiej *almae matris* łacinę jego nieznacznie poprawił.

Na ostatek król zapytał, czy długo zabawić tu myśli.

— Miłościwy panie, jak najkrócej pozostanę, a z próżnymi rękami choć lekko na pozór mi powracać będzie, Niestety, nie zaspokoję kanclerza.

— Nie mogę ulec! — odparł Batory. — Ci ludzie niewarci są litości. Sam kanclerz pisał

wczora, że Samuel do niezmiernej liczby zabójstw i zbrodni się przyznaje. Zasłużył na śmierć... nie ma dla niego litości.

— Kanclerz się jej domaga dla siebie — rzekł Heidenstein.

— Żal mi, że nie upadając się, nie mogę go zaspokoić — przerwał Batory, suknię na sobie targając niecierpliwie. — Jestem królem, jestem sędzią, wyobrażam sprawiedliwość na ziemi, a nie miłosierdzie. Powiedz mu, niech go da ściąć, nie chce-li mnie obrazić i rozgniewać. Jest tego potrzeba, konieczność. Niech zginie! Mówiłem i powtarzam to, tylko zdechły pies nie kąsa! Niech zdycha!

Słuchał już Heidenstein niemal przerażony tym gwałtownym wybuchem, nie śmiał się

odezwać, widział, że usiłowania jego zamiast ułagodzić, rozjątrzyły tylko króla. Spodziewać się w nim zmiany usposobienia, było to nie znać go, rachować na czyjkolwiek wpływ, złudzeniem by było. Nie widział zresztą nikogo, oprócz kilku duchownych, którym by mógł się zwierzyć, atych król zażywał do swych celów i spraw politycznych, ale *się* przez nich kierować nie dawał.

Jezuici, o których wpływie mówiono naówczas wiele, byli też w tej silnej dłoni tylko

narzędziem. Używał ich w sprawie z Moskwą, osadzał ich kolegia, dawał przywilej na akademię, ale nie widział w tym więcej nic nad pomnożenie oświaty, której potrzebę widział wielką; oni mu ją przynosili, nie pytał więcej. Sprawy wiary zostawiał sumieniu pojedynczych ludzi i kierunkowi Kościoła.

Obejrząwszy się po dworze króla i urzędnikach, jacy tu przy nim byli, Heidenstein zwątpił, aby co więcej mógł przedsięwziąć jeszcze. Chciał jednak, żegnając Batorego, uczynić jeszcze próbę i do niej się przygotował.

Król nazaczył mu dla odebrania listów do kanclerza poobiednią godzinę.

Gdy przybył, znalazł już listy gotowe, a Batorego uspokojonego znacznie. Wręczył mu je

król i kazał pozdrowić Zamojskiego:

— Powiedz mu — odezwał się — że ja tu się najlepiej zabawiam na Litwie. Zwierza jest

podostatkiem, psiarnię moją książę Lignicki zasilił nowymi ogarami, ptaki mi przysłano z Moskwy, myślistwo, dzięki moim ludziom, dosko- nałe... mogę tu na chwilą o tych troskach zapomnieć, które mnie w Krakowie jedzą!

— Miłościwy panie, dzięki za to Bogu — rzekł Heidenstein. — Hetman cieszyć się będzie,

ale uczynicie też cokolwiek dla niego. On dźwiga wszystkie brzemie na ramionach, a sprawa ta nieszczęsna przymnoży mu trosk i nieprzyjaciół.

— Wiem o tym — odparł Batory — ale ich i mnie przyczyni. Nie mogę nic... nie przebaczę!

Psów tych, co na mnie czekały lat tyle, raz trzeba zuchwalstwo ukrócić. Powiedz hetmanowi, przebaczenia dla nich nie ma i nie będzie.

Z takim poselstwem i podobnie brzmiącymi listy wrócił Heidenstein, gdy tymczasem w Krakowie, z dnia na dzień, badano powoli Samuela i ściągano wykonanie dekretu, do którego był już przygotowanym. Mroczek, Serny, Urowiecki nieustannie mu to przypominali, że zginąć musi i zginie.

Zamojski z wielkim niepokojem oczekiwał odpowiedzi króla. Przybył w końcu, z niezmiernym pośpiechem podróż odbywszy, Heidenstein, a wnijsie jego i milczące listów oddawanie mówiło już, co przywoził. Pytać nawet nie potrzebował hetman.

— Król więc — zapytał nie łamiąc pieczęci kanclerz — król więc się ubłagać nie dał.

Widzę to po was!

Zmilczał Heidenstein.

— Małom się spodziewałem — rzekł — tak, kielich potrzeba dopić aż do dna. Jest moim dobroczyńcą, słuszną więc, abym za niego dziś i w przyszłości cierpiał. Obwinia o to okrucieństwo nie króla, ale mnie, to pewna. Ja bym był postąpił może inaczej. Batory ma słusność z pewnych względów, iż się ubłagać nie daje, lecz przymnaża sobie nienawiści i walkę zajątrza. Wola Boża!

Tak więc Samuel z mojej ręki zginąć musi!

Westchnął i wziął się czytać listy.

Zwlekać teraz i przeciągać — było na próżno męczarnię skazanego i własną przedłużać, ale Samuela usposobienie zmieniło się było w ostatnich dniach. Stracił nadzieję, upadł na duchu; przychodziły godziny cynicznych, dziwnych zeznań, w których się przed tymi, których za siepaczy uważał, zwierzał ze swej przeszłości, opowiadał o szaleństwach. Wiele z tych powieści rzucało światło na wypadki, dawało poznać braci i ich usposobienia; nie można więc było przyspieszyć spełnienia kary, bo Mroczek wielu się jeszcze rzeczy dowiedzieć obiecywał.

Wyciągano go na słowo różnymi sposobami, czasami niedowierzaniem, niekiedy

szyderstwem, to znowu łagodnością. Samuel, jak gdyby już nic do stracenia nie miał, nie taił się z niczym. Dziwna obojętność nim owładła czasami, drętwiał godzinami i zdawał się na wszystko nieczułym.

W mieście tymczasem, nie mówiąc już o tym, co się po kraju działo, panował niepokój i

zdania były podzielone. Utrzymywali jedni, że nie mogą Zborowskiego ściąć i muszą mu folgować; drudzy co godzina oczekiwali wiadomości, iż wyrok został spełniony. W domu na Franciszkańskiej ulicy, tak w pierwszych dniach spokojnym, teraz pełno było i tłumnie.

Nie wahał się przybyć marszałek, który na sobie nie czuł żadnej jawnej winy, za którą by go pociągnąć było można. Siedziała Anna ze swą ochmistrzynią, przyjeżdżała Włodkowa, gromadziły się tłumy szlachty i dawnych sług domu Zborowskich, którym się zdało, że przytomnością swą na coś się przydać mogli.

Wprawdzie ruch ten i zajęcia zwracały uwagę na zamku, lecz obawiać się nie miano

powodu. Kanclerz miał przemagającą siłę zbrojną i czuwał, a Zborowscy, mimo wszelkich usiłowań i całej swej zręczności, nawet o tym, co się w izbie Samuela działo, mało co wiedzieć mogli.

Marszałkowi donoszono, co po części prawdą było, iż na duchu upadł bardzo. Anusia

całymi dniami u wrót zamkowych czasem czatowała, udawało się jej nawet za kobietami dworu królowej wcisnąć czasem na zamek i błądzić po podwórcach, ale tu ani przemówić, ani się

dowiedzieć o niczym nie mogła, a u drzwi burgrabstwa stali z halabardami żołnierze, którzy nikomu nawet bliżej przystąpić nie dawali. Okna tych izb, w których Samuel siadywał, wychodziły ku wałom, były umieszczone wysoko, a jemu się do nich zbliżyć czuwający stróżowie nie dawali.

Anusia więc rzuciwszy kilka pytań, czasem popartych datkiem, jeżeli się co dowiedziała,

było to tak nie znaczącym, iż wnosić nic nie dozwalało. Wiedziała tylko na pewno, że żył jeszcze.

Obok tej troskliwości o ojca dziewczę miało drugą dojmującą mu troskę. Poprzysięgło

zemstę Wojtaszkowi, dojść, gdzie się on znajdował, obmyśleć środki pomszczenia się, było dla niej obowiązkiem.

— Ojciec zginie przez niego — mówiła rozgniona — ten zdrajca podły musi życiem przyplącić!

Nie zwierzała się z tym nikomu, ale stara ochmistrzyni, strzegąca tylko bezpieczeństwa jej, widziała, jak uparcie szła ciągle do celu.

Kozpatrywania się jej szły na karb sprawy ojca, chociaż badała dworaków o Wojtaszka... i pytania jej natrętne nie pozostały bez skutku. Wiedziała już, iż Wojtaszek był przy dworskiej muzyce zawsze i nigdy się prawie z zamku nie oddalał, że mieszkał też i noc spędzał na zamku z innymi, a na lutni mało kiedy się popisywał, bo nie było go tu słuchać komu.

Parę razy, nie poznana, widziała go przemykającego się przez podwórza. Jeden ze sług, przed którym bardzo śpiew Wojtaszkowy chwaliła, powiedział jej, że on by mógł z nim chodzić na miasto, ale od czasu, jak go raz słudzy pana Stadnickiego pochwycili, obawiał się wyjść za bramę. — Teraz się już przecież nie ma czego obawiać — odpowiedziała słudze. — Nauczcie go, aby korzystał z tego, a gdy go zażądają na miasto, nie wahał się iść. Kto dziś będzie myślał o nim? Słowa te nie zostały stracone. Wojtaszek też sam miarkował, że był bezpieczniejszym.

Lepsze czasy dla niego nastać miały, bo byle się dał słyszeć i poznać, mieszczanie i go-szcząca w mieście szlachta chętnie by go sobie sprowadzała.

Wzięcie Samuela i gotujące się stracenie jego na Wojtaszku nie czyniło wrażenia innego, oprócz dawno upragnionej, a nareszcie doczekanej zemsty. „Przyszła na niego zła godzina — mówił — teraz ja wolniej odetchnę!” Czekał też lutnista wiadomości, że już się wszystko skończyło, z niecierpliwością złośliwą.

Wielka boleść nie przeszkadzała Anusi gotować tej zemsty, która na chwilę jej z myśli nie schodziła. Zwierzała się z tego Włódkowej. Z suchymi oczyma szeptała jej niemal za każdym widzeniem się:

— Ojca ja nie ocale, nie.. Ludzie są podli, opuścili go wszyscy. Stryjowie też krzyczą, ale nic nie robią i o sobie myślą. Marszałek powiada: „Samuela już nie ma na świecie, trzeba myśleć o Zborowskich!” Tak ja też, biedna, z Olesiem nie zdołam nic. Słudzy jego płaczą jak ja... Kanclerz ma kilkuset ludzi z półhakami na straży. Ojca ja nie ocale, ale pomszczę... a, pomszczę!

— Ty? Na kim? — pytała przestraszona Włódkowa.

— Na zdrajcy, na tym psie Wojtaszku, na tym Judaszu, który nas sprzedał kanclerzowi! —

mówiła Anusia. — Posprzedawałam moje kanaki, pierścionki, spinki, oddam do ostatniej koszuli, ale krew za krew!

Włódkowa patrzyła na nią na przemiany to ze strachem, to z politowaniem, to z niewiarą.

— Co ty pleciesz Anusiu!

— Nie plotę... wiem, co mówię — przerywało dziewczę. — On zginąć musi!

Nie brała tego bardzo za prawdę siostra, ścisła ją i uspokoić się starała, ale Anusi od myśli tej nic odwieść nie mogło, a była rodzoną córką swego ojca.

Gdy wzięła co do serca, upajała się tym do szału. Miłość ku ojcu utrzymywała ją ciągle i stale w tej myśli. Cały plan swój miała osnuty. Starzy słudzy z domu na Franciszkańskiej ulicy, opłaceni przez

nią, ofiarowali się z pomocą chętną. Wszyscy oni nienawidzili z dawna pochlebcy i faworyta Wojtaszka.

Ściągnąć go tylko było potrzeba na miasto, do jakiegoś ustronnego domu, a kilku pachołków starczyło, aby go zamordować.

Anusia mówiła o tym tak zimno, tak spokojnie, jak by szło o dopełnienie najprostszej w świecie rzeczy, i dla niej zemsta za krew ojca taką się wydawała.

Oprócz Włódkowej nie zwierzała się z tego nikomu, a sługi obsypywała pieniędzmi i rozogniała słowami i łzami. Wszyscy oni poprzysięgali, że lutnista im nie ujdzie.

Marszałek, chociaż żadnej nie miał nadziei, aby brata mógł uratować, nie przestawał jawnie starać się, budzić, pisać i prosić o pomoc, kogo tylko mógł pochwytać z bliższych rodzinie. Z jego naprawy jeździli do kanclerza z wymówkami i błaganiem: kasztelanowa Jordanowa z mnogim

dworem swych przyjaciół, Piotr Zborowski, Zbigniew Ossoliński i kilku z tej rodziny, Stadnickich, ilu ich było, z wyjątkiem Stanisława, wojewoda wileński, domagając się, aby sprawa na sejm była wniesioną, a nie z dekretu banicji rozstrzygniętą.

Kanclerz wszystkich przyjmował jednakowo, mówiąc, że nie może nic, bo to prawo samo rozkazuje, a on tylko spełnienia jego pilnować ma obowiązek. Ks. biskupowi krakowskiemu

otwarcie wyznał, że królewską też wolą było, aby winowajca zuchwał, który się i na jego życie odgrażał, dla przykładu drugim został ukarany. Łamał ręce biskup, przewidując, że król z tej surowości pożytku mieć nie będzie, lecz Zamojski więcej już uczynić nie mógł.

Takie było w ogóle usposobienie niemal całego narodu, iż Samuela, którego potępiała większość niedawno, raczej ocalonym, niż ukaranym widzieć chciano.

Surowość króla — przestraszała. Może gdyby przebaczył, wołano by przeciwko niemu za bezkarność, naganiano powolność, ale teraz ganiono bezlitosną surowość.

Przyczyniało się do tego przewidywanie burzy i rozdwojenia w narodzie.

Nieprzyjaciele nawet Samuela widzieli w nim szlachcica, męża imienia znacznego, który

jak prosty złoczyńca ginąć miał, co całemu stanowi szlacheckiemu czyniło zakałę. Nie godziło się dla potomka takiego rodu osobnego zwołać sądu i dowieść mu winy. Banicja była tylko w oczach większości pozorem, gdyż przez długie lata wcale z niej nie korzystano. Wszędzie, od dworów szlachty do browarów miejskich, w których nad kuflami piwa siedziało mieszczaństwo i

rzemieślnicy, rozprawiano o Samuelu, opowiadano jego bohaterstwa na Niżu i gwałty popełniane w domu. Kraków sam widział ich niemało. Gawiedź jedna znajdowała, że król był sprawiedliwym i nie powinien przebaczać, druga się w nim obawiała tyrana.

— A co będzie z nami, gdy mu który choć palca zakrzywi, kiedy on takiej szlachcie nie folguje?

A z kazalnicy u Dominikanów o. Czesław grzmiał i piorunował przeciwko zepsuciu obyczajów i rozpuszcieniu, ukazując, że prędzej czy później na najdumniejsze głowy spadają pioruny i najwznioślejsze dęby gruchoczą!

Malował on występnego łotra tak żywymi barwami, że każdy ze słuchaczy poznawał w nim z łatwością tego więźnia, który na zamku czekał wybicia ostatniej godziny.

V

Wlokły się te dni męczeńskie Samuelowi, stając wiekami. Niepewien jutra, trwożył się, szukając oznajmienia jego na twarzach oprawców. Ale obejście z nim Mrocza, Sernego,

Urowieckiego było tak niezmiennie jedne, że z niego się nic domyślać nie mógł, oprócz że żadnej a żadnej nie było dla niego nadziei.

Z brutalnością żołnierzy mówili mu szydersko:

— Nie durz się, Samusiu, nadaremnie! Twoja głowa musi spaść...

Zborowski przyjmował to milczeniem obojętnym na pozór, ale kilkanaście dni takiego dusznego nękania, silnego nawet jak on złamać w końcu musiało. Każdy ruch żywszy na burgrabstwie, hałas, brzęk kluczków, głośnie rozmowa Urowieckiego ze stróżami poruszały go i zdawały się zwiastować: oto przychodzą po ciebie...

Po takim strachu gwałtownym, który w sobie taić usiłował, popadał w apatię i nieczułość, wracał do swych dumań

o przeszłości. Oswajał się z tą myślą śmierci, a chciał tylko ponieść ją rycersko, nie drgnąwszy. Zawczasu przychodziły mu myśli dzikie.

Ozwał się raz do Mrocza, pokazując mu szytą chustę jedwabną, bardzo piękną, którą miał w podarunku od chana tatarskiego.

— Mroczku mój, zrób ty mi jedną łaskę, choć ja jej u waszeci nie mam. Widzisz oto tu szytą chustę, proszę ja ciebie i zaklinam, jakoś szlachcic polski: gdy mi głowę kat utnie, umocz ją we krwi mojej i oddaj synowi Aleksandrowi, niechaj ją nosi i pamięta, aby pamięć pomścił ojcowską.

Mroczek zmilczał i głową tylko poruszył.

— Słowo mi daj.

Przyciśnięty, rotmistrz wyjąknął półgębkiem przyrzeczenie.

Serny, on i Samuel, nieraz gdy siedzieli w komorze długo milczący, ziewali z nudów... więc straż pierwsza rozpoczęła rozmowę, która innego czasu tonem i formą byłaby Zborowskiego oburzała, ale teraz, skazany, musiał się równym siepaczom niemal widzieć. Oni z nim obchodzili się bez najmniejszego na przeszłość względu.

Mroczek sobie szczególnie pozwalał.

— Co ty, Samusiu, skarżyć się jeszcze będziesz albo co, że ci łeb zetną, a mało ty ich porąbał i w śmierć posiekał? He? Policz no się?

Zborowski, nie burząc się wcale, powolnie liczył na palcach. Mruczenia jego dosłyszeć nie było można, ale jak sam dla siebie wyliczał z kolei, obojętnie, nazwiska jedne po drugich. Mroczek i Serny nachylali się, aby posłyszeć... nie zważał na nich.

Ponieważ wiele z tych historii Samuelowych z rozgłosu znanych było, pytali go czasem o jedną z nich.

O Włochu, którego miodem posmarowawszy dał niedźwiedziowi na pastwę, rozповідаł im tak spokojnie, jak by za stołem z nim siedzieli w Białym Kamieniu.

— Dał szlachcicowi w ucho! — mówił — a kto go wie, czy on sam szlachcic, więc to

policzek, za który śmiercią karać trzeba, a ja mu się dałem rozprawić z niedźwiedziem, no i Włoch mojego starego tylko że nie udusił. Niedźwiedź go podrapał, a ten za gardło ścisnąwszy, tylko że nie zadławił.

Z tą samą obojętnością rozповідаł o przygodzie swej z dominikanami.

— Jeden z nich, prawda, że niewinny był — dodawał — ale łajał mnie szpetnie, a ja tego nie znoszę.

Gdy któryś z nich napomknął Trepkę, zabitego na łowach, o którego morderstwo obwiniano

Samuela, nie podniósł głowy, nie przyznał się, nie odpowiedział nic. Czoło mu się pofałdowało i łzy pociekły z oczów. Trepka przypominał mu żonę... a względem niej uznawał się winnym. Słowa już z niego dobyć nie było można.

Innych dni leżał na łóżku, odwrócony do ściany, i ani jeść, ani mówić nie chciał; czasem gdy sam na sam siedział z Mroczką, starał się coś dobyć z niego... dowiedzieć o rodzinie... o staraniach, bo nie wątpił, że czyniono je dla ocalenia mu życia, ale rotmistrz się składał

niewiadomością zupełną.

— Ja stąd krokiem się nie ruszam noc i dzień, jak widzicie — dodawał Mroczek — nic nie wiem... nie słyszę nic...

— Przez litość by też choć dzieci do mnie puścić powinni — mruczał — żeby ja jeszcze

Olesia mógł uścisnąć i tę biedną Anusię pocałować. Ona się w śmierć zapłaczę biedna...

„A co się tam dzieć musi z Włodkową!” — myślał dalej — i myśląc pocieszał się tym, że ona prędzej o nim zapomni.

Po tych wszystkich ulubionych istotach,- w których wszędzie stali na ostatku panowie

bracia... przychodził Borosio, a po nim sokoły i psy, o których los się troszczył.

— Żeby przynajmniej na dobre ręce poszły — mówił — a to zmarnieją... Moje ptaki króla

warte, tylko nie takiego jak nasz... ale to... Olesiu się teraz nie zdały, zabierze pan Andrzej i pożytku z tego mieć nie będzie...

Z dumania w dumanie, jak po zarosłych ścieżkach starego ogrodu, kroczył po

wspomnieniach swoich... uśmiechał się i płakał. Jeszcze niekiedy i krwi a zemsty mu się

zachciewało, osobliwie gdy Wojtaszka przypominał; ale po cóż się teraz było marnie jeść

pragnieniem, które ziszczyć się nie mogło?

— I przez niego mi ginąć przyszło! — mruczał.

Gdy dnia jednego przyszedł od kanclerza pisarz, badać go o listy znalezione w szkatułce, którą ludzie ze Stogniewic wydali, Samuel powziął jakąś nadzieję nowego obrotu rzeczy i zapierać się zaczął.

— Ja o niczym nie wiem! Do żadnych spisków nie należałem! — wołał. — Czyż to moją

winą, że podczaszy pisał: „*Rex, si hoc normine dignus*”. Ponieważ on jest sługą cesarskim, a nie poddanym Batorego... mógł sobie pisać, co chciał, i myśleć, co mu się żywnie podobało! Winy na

mnie za to kłaść się nie godzi; nie jam pisał... na mnie dowodu żadnego nie ma!

Kanclerza bezprzestannie oblegano, rodzina, przyjaciele; domownicy, tak że się pokazać nie mógł i w końcu zniecierpliwiony nikogo nie dopuszczał do siebie.

Natenczas pismami go zarzucać zaczęto gwałtownymi i pokoju mu nie dawano, przez

najobojętniejszych ludzi starając mu się je doręczyć. W pismach tych dowodzono, nie bez pewnej podstawy, że uwięzienie banity starczyło i że na gardle go karząc szedłby kanclerz dalej, niż prawo chciało, bo Zborowski nie był ani *infamis* ani *in recenti crimine*

captus (na gorącym uczynku). Sejm więc powinien był o dalszym jego rozstrzygać losie.

„A nie dufaszli — mówiono — zamkowi krakowskiemu, my tobie dla bezpieczeństwa i

pewności zapiszemy się i zaręczymy, jako chcesz. A nie mogli to wszystko być, prosimy, abyś tylko zaczekał i tyle nam czasu dał, abyśmy do króla J.Mci jechali, a od samego króla J.M. wyrok słyszeli”.

Wiedział bardzo dobrze Zamojski, jakiego król usposobienia był i że to wszystko już nic

pomóc nie mogło, nie przypuszczał więc nikogo do posłuchania. Na mieście powtarzano, iż wyrazić się miał z powodu tego niepokoju i poruszenia umysłów:

— Fraszki to są, a ja się na fraszki nie oglądam, bo Polacy są piwem, które kisa (burzy się) z początku, a potem za wodę stoi; ja zaś mając władzę i urząd, na nie się tylko oglądać muszę.

Mówiono, że się na jednych Zamojski odgrażał, drugim starostwa obiecywał, aby milczeli, a krewnych namawiał, aby daremnie się za Samuelem nie ujmowali. Ponieważ słudzy, jako

Borowski, Luzicki i inni, gwałtem się na burgrabstwo parli, wciskali, przekradali, kazano ich łapać i ścigać, stąd nowe na kanclerza krzyki i potwarze, iż na gardle chciał niewinnych karać.

Ile naówczas ucierpiał Zamojski, wyrazić trudno, a nie dziw też, że wiedząc o woli króla nieprzełamanej, rad był co najprędzej wyrok spełnić i koniec temu położyć.

Księdza biskupa krakowskiego, który z obowiązku chrześcijańskiego nie mógł interwencji

swej odmówić, musiał jeszcze raz przyjąć Zamojski i wysłuchać próśb i zaklęć nadaremnych.

— Ojciec mój — odparł i wzruszony razem, i zniecierpliwiony, całując ręce pasterza — nie

moja w tym wola. Ja stoję pod rozkazami króla i prawa, a oboje mnie zmuszają winowajcy nie folgować. Nie przypisujcie tego mnie, co mi tak twardym jest do spełnienia, jak Zborowskiemu będzie do poddania się.

— Ale król? król? — zapytał biskup. — Byćże może, aby się tak chciał okazać okrutnym?

— Okrutnym nie jest — rzekł Zamojski — ale mu krwi napsuto wiele, bluzgając w oczy

wyrzutami niesprawiedliwymi, a ma to przekonanie, iż dla dobra Rzeczypospolitej zuchwalstwo i warcholstwo wszelkie ukrócić potrzeba. Na Zborowskich zaś ciężą tak jawne winy, iż królowi na życie godzili, że przeciwko niemu nie ustając spiskowali. Biskup, ręce załamawszy, płakał cichymi łzami.

—Wiem, iż wy sprawcą nie jesteście — odezwał się — wiem, że gdybyście mogli,

zażylibyście powolności, bo umysły są srodze zawzięte, burza powstanie... żal mi więc was, bo to wszystko spadnie na was i nie kogo, jak Zamojskiego o tę głowę obwinia.

Kanclerz nic nie odpowiedział; był od początku na to przygotowanym. Tymczasem wnet po

biskupie, pani Spytkowa prosząc i wołając, znaczną liczbę rycerstwa zgromadziła, która koło uczyniwszy, z rozgłosem wielkim, iść chciała gromadnie do hetmana. Zapowiedziano im, że nawet do zanku przypuszczeni nie będą. Spisali więc zaraz notę... i oddali ją Piotrowi Zborowskiemu, który u hetmana wielkie zachowanie miał, ale z innymi Zborowskimi nie trzymał.

Rycerstwo, nim się znowu rozjeżdżać zaczęło, podniosło przeciwko hetmanowi krzyk

wielki, gdyż u bram zamkowych ktoś im powiadał, że tłumne najście na Wawel jako tumult i rebelię hetman trzymał i gotów był kazać łapać i więzić, którzy by się zuchwale stawili.

Z obu stron rozdrażnienie dochodziło do najwyższego stopnia, a dłużej w tym ogniu i

ukropie wytrwać było trudno i przeciąganie na nic się już nie przydało.

We czwartek przed św. Trójcą, dwudziestego czwartego maja wieczorem, Zamojski już ze

znużenia i niepokoju padając niemal, postanowił dekret kazać spełnić.

Im się dłużej ciągnęło, tym rosły gniewy i niechęci, a można się było spodziewać, że

zapaleńsze głowy rzucą się na jaki nierozważny gwałt, który krwi rozlewu daremnego przyczyną stać się może.

Samuel się tego spodziewał i choć momentami nadzieję miewał, prędko go ona opuszczała.

W początkach też widząc, że tu Urowiecki wszystkim kieruje i nad Mrocziem i Sernym

zwierzchnictwo ma, a najprędzej wiedzieć będzie, gdy co postanowionym zostanie, prosił go, ponawiając często żą. danie:

— Urowiecki, jakieś pocziw, bądźieszli wiedział, co i kiedy mi przeznaczone, nie

omieszkaj na kilka dni wprzódy dać mi znać. W podróż tę przygotować się juści muszę, bo na duszy

nie mało mam... Nie dajże mi nie przygotowanemu stawać na sąd Boży.

Urowiecki mruknął przyrzekając, ale naprawdę niewiele mógł obiecywać, bo hetman się przed nim z myślą żadną nie wywnętrzał zawczasu, tak jak i przed innymi. Zawsze w sobie zamkniętym był. Dopiero w ten czwartek wieczorem, kazawszy do siebie przywołać Urowieckiego, rzekł mu:

— Skończyć trzeba ze Zborowskim... w piątek alboli w sobotę...

Zadumał się nieco.

— Powiem ci jutro...

Tu westchnąwszy dodał hetman:

— Jak mi ciężko to ostatnie słowo rzec, Bóg świadek, ale szlachta się burzy i oblega mnie, nie dając pokoju, a każdy posłaniec od króla przynosi zapytanie, czy już głowę dał. Nie sposób go ocalić...

Urowiecki spytał ostrożnie:

— Mogę mu to oznajmić?

— Gdyby to dla duszy jego potrzebnym było — rzekł hetman — należałoby, ale nowinek chwycił, dysydemtem się głosi, księdza nie weźmie, a ma-li się darmo myślami nękać, poczekaj...

Już i duszę jego uratować będzie trudno...

Na tym stanęło.

Urowiecki milczał, ale na burgrabstwo do Przyłęckiego chodząc nosił z sobą wyrok na twarzy i mimowolnie się zdradzał, tak że Zborowski, choć nie mówił nic, przecucie już miał zbliżającego się terminu.

Dopiero w piątek — godzina była na noc — wszedł o porze, w której nie zwykł był do

Samuela przychodzić Urowiecki, a skoro w progu stanął, zerwał się, w komorze go czując

Zborowski..-. Szedł ku niemu ze spuszczoną głową Urowiecki, milczeniem mówiąc więcej, niżby mógł usta. Stanął z jakąś uroczystością przed więźniem.

— Samuelu Zborowski — rzekł poważnie — wiedzieć masz o tym, że gardło dasz... Wola jest króla JMci i naszego miłościwego pana JMości pana kanclerza, jutro co najraniej...

Mroczek i Serny stali opodal, którzy do tej godziny, choć się może domyślali czego, nie wiedzieli nic na pewno.

Zborowski się poruszył gwałtownie i niespokojnie bardzo, nie mogąc utrzymać przy tej obojętności, jaką dotąd okazywać się starał. Stał się bladym bardzo, głos mu drżał.

— Urowiecki niebożę — zawołał z wyrzutem gorzkim — miałeś mi to na kilka dni przed terminem oznajmić i przyrzekłeś, a słowa nie strzymałeś! O sumienie mi moje szło, o duszę, bom nie gotów, aby przed majestatem Bożym stanąć, a chciałem w siebie wnijść i przejednać gniew Pański.

Urowiecki mało co odpowiedział na uniewinnienie.

— Sługą jestem pana kanclerza — rzekł — ten mi teraz dopiero oznajmił i odnieść wam kazał... Nie mogłem inaczej.

Zborowski, który z łóżka się był podniósł, opadł na-nie i twarz zakrył dłońmi, a pozostał tak chwilę niemałą.

Za bujnego żywota mało o Bogu pamiętał, a ówczesne dysydentów i reformatorów

naśmiewania się ze wszelkich katolickich obrzędów, zwyczajów, i prawideł życia wciągnęły go też na tę drogę, iż Kościoła nie znał, a modlić się zapomniał. Ale z dzieciństwa mu coś pozostało na dnie duszy, co się teraz odezwało żywo. Uczuł się jakby z domu rodzicielskiego wygnanym sierotą, która nie wie, gdzie się schronić ma. Katolicki Kościół nie mógł go już przyjąć, a od nowych przyjaciół i predykantów niewiele się mógł spodziewać pociechy. Straszliwa trwoga jakaś go ogarnęła, nie ziemskiego niebezpieczeństwa, ale zagrobowego losu, jaki go miał spotkać.

Wszystkie owe szyderstwa i lekceważenia dawniejsze wydawały mu się występny, a wiara pierwsza jasno świeciła... ale między nią a nim była przepaść, którą życie wykopało. Spojrzał w nią i strwożył się mocno.

Wszyscy przytomni milczeli, bo nikt go nie śmiał pocieszać, aniby wiedział jak. Zborowski zwrócił się żebrzącym niemal głosem do Mrocza:

— A, mój miły Mroczku... przebóg, proszę cię, dla miłości Jego, nie opuszczaj ty mnie, nie odchodź ode mnie, nie śpij tę noc... Mam na sumieniu grzechów tyle, że je rozpamiętywać muszę, a sam będąc... nie potrafię...

I dodał tęskno:

— Pewna to rzecz, że na potępienie zasłużyłem, jeśli miłosierdzie Pańskie w pomoc nie

przyjdzie, ale znajdęli je u Niego?

Mroczek litością zdjęty odparł:

— Panie Samuelu, a toć wiecie, że o miłosierdziu Bożym nigdy rozpaczać nie należy. Za to jedno Bóg karać może i potępić, gdy się o Jego łasce powątpiewa.

Nic słyhać potem nie było, tylko ciężki oddech Zborowskiego, który nie wiedząc o tym

sam, pot z czoła spływający ocierał. Nie patrzył już ani na Urowieckiego, ani na Mrocza, oczy mając wlepione gdzieś, a nie widząc nic.

— Bóg mnie od rozpaczy uchowa, a ulituje się — począł cicho. — Jednak miano ze mną tak

postąpić, należało chrześcijański obyczaj zachować, a dać mi czas do skrucy. Śmierci się ja nie boję, bo wiem, że to dług przyrodzony jest, ale o duszę troskać się muszę.

Znowu nastąpiło milczenie.

W izbie tej, w której Zborowski siedział wówczas, zwłaszcza że to było pod noc, sprzęt

wszelki stał, jako pozostał po dniu, bez ładu i porządku. Na stołkach leżały odzież i pozapominane miski, na stole też napoje porozlewane, kubki powywracane, chleba szczątki, papierów kawałce.

Obejrzał się dokoła Urowiecki i rzekł do Mrocza:

— Proszę cię, niechaj, tu będzie porządniej, bo pan nasz przyjdzie.

Samuelowi twarz pobladła.

Mroczek zaś, powstawszy zaczął zaraz zmiatać, sprzątać, układać, co mu się nie zdało, w

kąt rzucać, stołki ustawiać, a jedno siedzenie naprzeciwko łoża pana Samuela przygotował, można się było domyśleć dla kogo.

Milcząco na te przygotowania patrzył Zborowski, ale oczy jego każdy ruch Mrocza

śledziły, a usta mu się ścigały i twarz, która przed chwilą chrześcijańską pokorę wyrażała, ziemskie uczucie niechęci i gniewu coraz dobitniej zaczęła zdradzać... Odezwała się duma, i żal, i niepokój...

Przychodziło mu więc oko w oko się rozprawić z tym nieprzyjacielem, który tak długo

niewidomy go ścigał; teraz zwycięzcą, mogącym się naigrawać i tryumfować... Było to nowe męczeństwo, którego się nie spodziewał. Tchnął ciężko, a nie strzymał ust.

Obrócił się do Mrocza:

— Widzę, że wszystkiego mu mało; chce mnie smażyć jeszcze, niżeli umorzy. Ale na to

ratunku innego nie ma, jak się poddać woli Bożej, która mnie w moc jego dała. Nie mam co innego do czynienia, tylko cierpieć, a Pana Boga o cierpliwość prosić, bom jej nigdy nie miał.

Widocznym było, że się straszliwie męczył; pot lał mu się z czoła, który gwałtownie ocierał, a wnet znowu występował; na miejscu usiedzieć nie mogąc, poruszał się niespokojnie, wzdychał, ale już trwoga Zamojskiego ustąpiła, a dawna o duszę wracała. Z ust mu się wyrывało wzywanie Boga o pomoc. Mroczek milcząc, dokończywszy uprzątnię, siadł opodal trochę, ale go z oka nie spuszczał, bo litość nad nim miał. Najtwardsze serce by się było poruszyło, bo naprzód jęczeć zaczął, stękać, a w końcu ryknął płaczem wielkim. Trwało to dobrze długo, nim znowu oczy jego padły na to stojące naprzeciw łoża krzesło, dla kanclerza przeznaczone, i myśl się zwróciła ku niemu.

Odezwał się do Mrocza:

— Mroczku mój, powiedz mi, ja głowę tracę zaprawdę. Kanclerz ma tu przyjść, w jego rękę jestem... Jak ja z nim być mam, co czynić? Jak mi radzisz??.

— Nie potrafię radzić — odparł rotmistrz — Bóg widzi.

— Zlituj się, wy go wszyscy lepiej znacie — rzekł Samuel — ani wiem, ani rozumiem, co pocznę. Nuż go obrażę! Nie chciałbym, a upokorzyć się i spodlić nie mogę... Co tu czynić?

Mroczek milczał, tedy gwałtownie znowu spytał:

— Mroczku mój, odezwij się choć słowo, jak ci się zda?

— Nie wiem — zamruczał rotmistrz.

Nie dosyć na tym; Zborowski, choć go tak odprawił, nalegał:

— Mroczku, co ja z nim mówić mam?

I powtórzył to razy kilka, aż Mroczek, odsuwając się nieco na stronę, rzekł:

— Już rady wszelkie skończyły się; nic nie wiem, zaprawdę, nie wiem nic.

Wtem u drzwi stąpienie słyszeć się dało; Zborowski, trwożnie się poruszywszy, podniósł głowę, snadź już kanclerza się spodziewał, ale otworzyły się one i wszedł Myśliborski, półhak trzymając w ręku.

— Panie Zborowski — rzekł — gotujcie się, JMość pan nasz miłościwy idzie.

— A cóż ja mam czynić? — zapytał Zborowski. Myśliborski, pokorny sługa, nie znalazł nic innego, tylko:

— Co? do nóg mu upaść się godzi...

Za drzwiami już gwałtowne stąpanie, szepty i żelastwa szczęk dał się słyszeć; otworzono je na oścież i w nich ukazał się Zamojski, odziany jak był dnia powszedniego, z kołpaczkiem na głowie z czaplim piórkiem, które wówczas, za królem idąc, noszono. Szablę miał u boku.

Twarcz hetmana spokój wyrażała, a majestatem sędziowskim się przyoblekła, ale uczucie ludzkie przecie, choć mało dostrzeżone, w niej drgało.

Tuż za kanclerzem, więcej dla oznaki dostojności, niż z potrzeby, cisnęło się siła ludzi, wszyscy z półhakami, jakby na nieprzyjaciela. Izba ich prawie stała się pełną.

Samuel z łoża wstał i parę kroków uczynił ku hetmanowi, tak że tuż naprzeciw niego stanął.

— Proszę miłości waszej — rzekł głosem trochę drżącym — bądźcie na mnie łaskawsi...

Zamojski rękę wyciągnął, jak by mu nie chciał się dać zbliżyć, i zamruczał tylko:

— Nic mi po tym... nie czas...

Stanął więc znowu Zborowski podle swojego łoża i czekał.

Upłynęła chwila; kanclerz, krzesło dla siebie przygotowane zobaczywszy, usiadł na nim.

Zza sukni widać było papiery, które przyniósł ze sobą, i dobył je, na stół rzucając przed Zborowskim.

— Masz, oto są listy królewskie! Czytaj je sobie; masz dać gardło!

Zborowski na listy ani spojrział i po krótkim namyśle rzekł:

— Czytać ich nie potrzebuję, czyńcie ze mną, co chcecie, wszak macie mnie w ręku...

Znowu chwila milczenia nastąpiła. Zamojski oczy spuścił i dumał, czoło mu się fałdowało.

— Mów — odezwał się powoli — o co cię będę pytał, to najpierwsza. Idziesz przed majestat Boży, już się nie masz na co oglądać na tym świecie. Gdybyś zataił to, co może szkodliwym być dla króla i Rzeczypospolitej, na sumienie to swe weźmiesz, na duszy twej zostanie.

Teraz ci już niecnota, braciszek twój, Krzychnik, nie pomoże.

Samuel zmilczał, choć chciało mu się stanąć w obronie brata, ano nie pora była. Trwało z obu stron milczenie.

— O cóż wasza miłość pytać mnie raczysz? — odezwał się Zborowski.

Kanclerz podniósł oczy.

— Jaki to do ciebie list Krzychnik pisał? Co on sobie o królu myśli? Hę? O onym trojczaku też mi powiedz.. przeplonę ja mu trójcę i samemu jemu się dostanie. Przy- stoi to senatorowi cyframi pisać do brata? Albo to nie jest podejrzane, zdradzieckie, nieprzyjacielskie pisanie? Toć każdy rozumie, że gdy się co taić chce, tam już dobrego być nie może. Ja to sobie z nim do sprawy na sejm zachowam.

Stoi w tymże liście: *Rex, si hoc nomine dignus!* a to nie cyframi, ale prostym pismem ku świadomości wszystkich.

Dalej: „Niżowcy się przydadzą”, i to niemałe ma znaczenie, boś ty do nich jeździł a podczasy twój i marszałek listami ich obsyłali, a jednaliście ich sobie. Potem te wasze zjazdy, narady, coście się od oczu ludzkich z dala, w waszym gniazdku niecnotliwym zbierali i potajemnie radzili? Cóż ty na to?

Słuchał p. Samuel, rozważając, co powiedzieć miał, bo tu już nikogo mu bronić nie potrzeba było, krom siebie samego.

— Mamże ja za *to* odpowiadać — rzekł — co kto do mnie pisał? Jam ci tego nie dyktował, anim rozumiał często, co znaczyły cyfry i słowa... nie odpisywałem mu... nikt tego nie dokaże.

Niżowce się sami do mnie napierali i jeździli wielekroć, a ja do nich raz tylko i to przeto, żem ich na usługi króla i Rzeczypospolitej ująć chciał. Nie czyniłem z tego tajemnicy. W tym winy żadnej upatrzyć się nie godzi. Służyłem panu, a nie komu innemu, a siła takich jest, których wymieniać nie chcę, co cudzym bogom służywali, a przecież ich potem nagradzano i opatrowano...

Jam nikomu nie służył.

Teraz też, kiedy na Tekinię szli Niżowce, słali do mnie, powiadając, że to była przysługa królowi JMci, ale gdym usłyszał, że to było nie w myśl królewską, nie przyłożyłem się do tego najmniejszą rzeczą, a żadna rzecz mnie od tego nie odwiodła silniej, jak właśnie ów list pana Krzysztofa.

Wreście, co się tyczy naszych zjazdów i narad, tak w izbach i komorach naszych, jako pod czas i na trawie w lesie, z czego mi grzech czynicie, Bóg to wie, iż my trzej bracia młodszy radziliśmy się tam z okazji wesela waszej miłości.

Spodziewaliśmy się przy okazji tej przyjść do łaski J. Kr. Mości, zwłaszcza żeśmy mieli obietnice miłości waszej i nie tylko słowne, ale na piśmie.

Omyliłaby zaś nadzieja łaski, radziliśmy się wyprzedać z Polski, a innego, łaskawszego

pana szukać sobie, wreście krzywd naszych się pomścić, ale godziwie i przystojnie, choćby i na miłości waszej, gdyby się okazało, że przyczyną byliście niełaski.

O królu tam ani mowy, ani wzmianki nie było najmniejszej; w myśli nam nie pozostało

przeciw niemu knować. Wreście się na tych radach nie postanowiło nic, bośmy czekali na pana

gnieźnińskiego.

Ja potem do Złoczowa jechałem i nie powracałem już do nich, bracia zaś z pogrzebu wojewodziny krakowskiej pojechali do Krakowa. Do mnie zaś pisali uspokajając, że i u króla, i wszędzie dobrze będzie, że się nie ma czego obawiać.

Co się tknie pana marszałka, brata mego, na którego wasza miłość też masz podejrzenie, jakoby co złego zamyślał, ten nikomu nic nie winien, o podejściu nieprzyjaciela nigdy nie myślał; poznacie to miłość wasza później, że prawdę mówię. Czysty jest.

Gdy to mówił Samuel, Zamojski pod czas się uśmiechał, ramiony zżymał, ręką po kolanach uderzał, dając znaki różne niecierpliwości i nieufności; przerywał kilka razy, potem zawołał głośno:

— Wszystko to marne jest i stracone, bo choć pytam was, wiem ci lepiej i mam w ręku

dowody i ludzi żywych, co świadczą! Złe czynicie, że mi taić chcecie, bo się to na nic nie zda, a Krzychnikowi nie posłuży ani marszałka oczyścicie, bo ten, gdyby inaczej myślał, z nim by nie obcował.

Przystałoby wam w tej godzinie, sprośności się tych wyrzekłszy, ze skruchą wyznać, co się przeciwko królowi zgrzeszyło. Waszego Krzychnika nic już nie uratuje, bo jawny zdrajca jest, a marszałek, choć się listy nie wydał, toż samo myśli, co ten pisze, a co wy czynić chcieliście.

Przecież nietajno nam, żeście się z Ciołkiem zmawiali do króla strzelać, żeście się niejednym raz chwalili do wróbli trafnymi strzałami i o lesie, i o gospodach myśleli, gdzie by lepiej zasiąść było, a łatwiej potem uciekać, gdyby rusznica chybiła...

Mówiąc to kanclerz coraz goręcej głos podnosił i krew mu do twarzy napływała. Samuel też słuchać nie mógł bez niecierpliwości, której dawał oznaki, aż wreście, dłużej wytrzymać nie umiając, zawołał:

— Przebóg żywy! Dajże mi miłość wasza pokój! A toż macie mnie już w rękach "waszych, czyńcie, co chcecie, więcej ze mnie nie wysmażycie. Krótki czas żywota mojego, pilniej mi z Panem Bogiem sprawę mieć niż z wami. Z ciałem już uczynicie, co zechcecie, ano duszy mej nie zabijajcie. Proszę cię o ministra.

Kanclerz głową poruszył.

— Tego na zamku noga nie postanie, bo ja go za sługę Bożego nie mam.

Samuel ramionami tylko rzucił.

— Więc wždy o kapłana, jakiego chcecie, z którym bym na końcu tego żywota mojego o

Bogu mógł mówić, a o duszy mej.

Oba byli poruszeni mocno, bo Samuelowe słowa, wyrzeczone z odwagą i mocą wielką, na kanclerza podziałały. Otarł pot z czoła... i nie żegnając, ani mówiąc nic, ku drzwiom się skierował.

Zamknęły się drzwi, nastąpiło milczenie. Samuel na łożu padł wysiłony i znękany. Zdawało się skończone wszystko, ale na tym nie było jeszcze końca.

Znowu tedy otwarły się drzwi i wszedł z papierami w rękę pisarek, który tu już niejednym raz bywał, ciągnąc inkwizycje z Samuela. Zwał się Bech, a był podręczny Heidensteina i mieli go tam za zręcznego, bo się chwalić umiał, ale krom chytryści, rozumu wiele nie miał.

Ten przystąpił do Zborowskiego.

— Maszli cokolwiek cnoty i poczciwości, Zborosiu —

rzekł, opierając się na stole podle niego — powiedz mi, o co pytać cię będę.

Wtem otworzył pismo, które Samuel mógł poznać, iż było listem Krzychnika, który

Wojtaszek wykradł, zdrajca, i oddał Cobarowi.

Począwszy je czytać Bech, coraz sobie głupim śmiechem przerywał, patrzył w oczy

Zborowskiemu i wołał:

— A co? a co?!

Ale Samuel nie odpowiadał wcale, dał mu list przeczytać cały i rzekł:

— Nic na to nie mam do powiedzenia, co w liście stoi. Mniemajcie już sobie i trzymajcie, jako chcecie.

Czekał jeszcze Bech, czy nie wymoże cokolwiek, zagadnął z listu o jedno i drugie, co znaczyć miało, bo osób, o których była mowa, nie mogli dojść, ale Zborowski nie dał z siebie dobyć słowa.

— Raz mnie już w pokoju zostawcie! — zawołał. — Kiedyż tym inkwizycjom koniec

będzie? Mieliście na nie kilkanaście dni, a teraz mi ostatnie godziny odjąć chcecie. Toć okrucieństwo nadaremne, a ja czasu do stracenia nie mam.

Widząc Bech, że nic nie dokaże, zwinął papier ze złością wielką i zawołał:

— Nie dla tego listu cię tracą, to sprawa pana Krzychnika, który na sejmie odpowiadać

będzie... jeżeli go też ułapim, a nie, to i zaocznie sądzić go dadzą. Nie dla listu was tracą; te rzeczy tu nie należą, ale z urzędu starościńskiego kanclerz nad wami moc ma. Przeto nasz JMPan

miłościwy, na nic się nie oglądając, jedno na świętobliwe sumienie swoje, skazuje cię na śmierć ściętą, jutro co najraniej, bo jesteś banit, a śmiałeś mieszkać w Koronie.

Na ten wyrok, tak ogłoszony sumaryjnie, Samuel już słowa nie rzekł, aby rozmowy nie

przedłużać i czasu nie marnować. Bech czekał, kręcił się, szedł ku drzwiom powoli, na Mrocza poglądał, na ostatek do drzwi przyszedłszy otworzył je, rzucił nimi i wyszedł.

Zostali z Mroczką sami, bo Serny się był oddalił, i ja- kiś czas trwało milczenie.

Zborowski musiał spocząć, bo indagacje te gwałtowne z takim nań padły impetem, że je wydychać musiał, choć po głowie myśli mu się wiły, na które już czasu stać nie miało, aby je wszystkie rozplatać mógł i do ładu przyprowadzić.

Widział Mroczek, jak się kilkakroć w piersi uderzył mocno i płakał, ale wstydząc się tych też skruchy, ocierał je spiesznie, a oczyma szukał Mrocza, czy on to widział lub nie. Rotmistrz zaś, litość mając, udawał, że nie widzi.

Nie mówili do siebie.

Nadszedł Serny, wąsy jeszcze ocierając po piwie, i podle Mrocza usiadł szepcząc mu coś na ucho. Czekali, co dalej pocznie, azali nie zechce spocząć, ale ku temu się nie miało. Niespokojnie na stole wszystko przewracać począł, jak by szukał czegoś... Dobył ową chustę od chana tatarskiego i położył ją tuż przy sobie.

VI

Sądził Mroczek, że póki do rana się doczekają, spocząć będzie mógł trochę, bo już kilka

nocy mało co oczy spluszczył nie usypiając, wtem Zborowski się zwrócił do niego:

— Ach, miły Mroczku mój! Widzę, że ci się spać chce, ale uczyn to dla mnie, proszę cię,

nie śpij, nie opuszczaj mnie. Tyś mi teraz księdzem, ty świadkiem i przed Bogiem, i tu na tej ziemi do wszystkiego, co czynić mam, a ja wierzę, iż będziesz pomniał na Boga i na prawdę, a na sumienie swe.

Mroczek też nie mógł mu odmówić ostatnich posług.

Wtem prosić zaczął o papier, kałamarz i pióro, które mu przyniesiono. Siadł zaraz za stół i pisał, przerywając sobie tylko westchnieniami, a niekiedy o czoło się uderzając. Więc pisał tak, a mazał, aż wszystek papier zapełnił, a było go niemało, pospołu i woli ostatniej, i żalów nad dolą swą, i słów do dzieci i rodziny.

Pisanie to przeciągnęło się czas niemały, późno prawie w noc, które dokończywszy, porwał się z siedzenia niespokojny.

— Zmiłujcie się, księdza sprowadźcie... nie można predykanta, ministra, to jakiegokolwiek bądź chrześcijańskiego kapłana, z którym bym o Bogu mówić mógł, a na śmierć się przygotować.

A Mroczek rzekł:

— Późno jest. Skąd go tu wziąć? I nie ma po niego posłać kogo.

Załamał rękę.

— Zlitujcież się! Wyrostka masz, który śpi oto w kącie; pošlij go, to mu nagrodzę; niech pierwszego, jakiego spotka, przywiedzie alboli do klasztoru którego zadzwoni.

Mroczek więc chłopca rozbudził, a ledwie można mu było to wrazić, o co szło i kędy miał

ić. Tu tedy co się potem stało, wersje krążyły różne, ale najpewniejsza ta, którą z ust samego wyrostka Mroczkowego słyszano. Ten za ledwie w ulicę wszedł ku miastu, gdy księdza w czarnym płaszczu zakapturzonego napotkał. Miał się do niego zbliżyć, aż ten sam podszedł ku niemu i rękę kładnąc na ramieniu rzecze:

— Księdza szukasz?

— A wy skąd o tym wiecie? — spytał chłopak strwożony.

— Wiem, bo mi o tym oznajmiono z góry, księdza szukasz dla onego bezbożnika, którego tracić mają jutro na zaraniu.

— Tak ci jest — rzekł chłopiec żegnając się.

— Jam ksiądz, prowadź mnie! — nakazująco dodał mnich. — Przodem idź!

I począł półgłosem pacierz odmawiać, a chłopiec szedł cały wylękły, już się wcale nie odzywając. Gdy na burgrabstwo przyszli, - mnich ciągle jeszcze kapturem miał twarz przysłoniętą i tak do izby się wsunął, w której Zborowski modlił się krzyżem leżąc.

Owo wiedzieć potrzeba, że krzyżem leżenie u dysydentów wcale się nie praktykuje i że to już znamionowało, że do dawnej wiary powracał, sam prawie o tym nie wiedząc.

Gdy mnich przy nim stanął, a Samuel z ziemi powstał, dopiero kaptur czarny zrzucił na ramiona. Twarz jego zobaczywszy, cofnął się Zborowski z krzykiem:

— Tyś jest!

A mnich stał i oczyma tylko go jakby na wylot bódl. Me mówił zrazu nic.

— Jam jest... ja! Bo sprawiedliwość Boża cuda czynić umie — rzekł mnich — jam jest,

któregoś pokrzywdził niesłusznie, wystawił na urągowisko, smagał i znęcałeś się nade mną. Jam jest, a na ciebie przyszła też godzina, że ci się urągają, smagają, znęcają i że podlejszym *się* stałeś ode mnie. Na kolana, grzeszniku zatwardziały!

Obrócił się pan Samuel bardzo pomieszany.

— Chcesz spowiedzi? Okaż skruchę, ukorz się! — mówił ksiądz.

Jeszcze tedy Zborowski nie wiedział, co pocznie, stał, a na księdza spoglądał.

— Mówmy wprzód — odezwał się. A mnich mu przerwał zaraz:

— Co? O religii kontrowersje wprowadzać chcesz, gdy dusza twoja nad przepaścią... Klękaj i grzechy twe wyznawaj, boś grzesznik wielki, gwałtownik, i zbójca, i zbrodzień, gorszy od tych, co z katowskich rąk ginęli... Znam ciebie i uczynki twe. Idziesz przed majestat Boży, obmyj się...

godziny, minuty i tchnienia policzone...

Stał jakby w niepewności Zborowski i bladł coraz... Jako był przed chwilą pokorny i

skruszony, tak owo gwałtowne wołanie księdza, równie jak wprzód nacisk hetmana, dobyło z niego opór.

Odstąpił krok.

— Toć mówić o Bogu chcę i abys mnie objaśnił — rzekł dosyć łagodnie — przyj dzieli do spowiedzi, nie wzdragam się.

Mnich zaś tej tergiwersacji znieść nie mogąc, głos podniósł:

— Duszy więc nie ocalisz, gdy diabłu na pastwę przezna- czoną jest, bo pokuty nie chcesz, bo upokorzyć się przed Bogiem i jego zastępcą na ziemi wstydasz się. Nie przede mną, ale przed Bogiem byś się spowiadał...

— Mówmy o Bogu — wtrącił Samuel — niech posłyszę.

— O Bogu do bezbożnika mówić mam — począł o. Czesław. — Tyś gorszy od

niewiernych, bo tamci Boga nie znali nigdy, a ciebie wychowała matka bogobojna i miałaś go, a zaparłeś... Sprzedałeś jak Judasz za srebrniki rozpusty, dumy i samowoli. Me ma dziś na tobie

miejsca bez makuły ani zdrowego nic, gdzie by zgnilizna nie tkwiła. Przeznaczono ci ginąć marnie, a mnie było przeznaczono jeszcze ci w przededniu zwiastować karę Bożą.

Jęknął Zborowski. Potem już, księdza nie słuchając, ani na niego patrząc, jak stał, tak jęcząc coraz głośniejsze i szlochając rzucił się na podłogę i krzyżem tak leżał.

Stała się tedy rzecz osobliwa, na którą Mroczek patrząc powiadał, że mu się robiło tak, jak by na cud jakowy patrzył.

Mnich umilkł i stał nad nim, aż posłyszawszy to jęczenie i płacz jego, przeżegnał się i

pokląkł, półgłosem rozpoczynając modlitwy. Jeden zdawał się nie wiedzieć o drugim, a to jęczenie i modlenie się razem spływało dziwnie. Zakonnikowi pot biegł po twarzy, a co była sroga i surowa, łagodnie poczęła i wyjaśniać się. Trwało to niemało czasu. Nie patrzył ani się obrócił Zborowski ku mnichowi. Miało się już na brzask, gdy Samuel, jak by usypiał, uspokajając się zaczął, ale jako żywo nie spał. Mnich klęczał nad nim, pochylił się i szeptał długo, potem rękę podniósł i żegnał, aż nareście wstał, kaptur na głowę narzucił i wyszedł. Samuel zaś znacznie uspokojony pozostał tak na ziemi do siódmej godziny rano.

Na burgrabstwie ruch się już poczynał, dzień się zrobił.

Jeszcze leżał, gdy Urowiecki z innymi oprawcami wszedł do izby, nic więcej nie rzekłszy, tylko:

— Idź!

Odział się w żupan i szedł za nim w podwórze, gdzie trzy razy klękał, składał ręce i modlił się; musieli stać i czekać.

A stąd właśnie kościół widać było. Stanął Samuel i jął prosić:

— Urowiecki, jak ci Bóg miły, do kościoła mnie puść na chwilę. Mój czy nie mój kościół,

przed się i w tym Pana Boga chwałą, tego, który jeden jest dla wszystkich. Ja też niech ostatnią chwałę Bogu oddam.

Urowieckiemu serce zmiękło.

— Mech i tak będzie — rzekł. — Idź przed się, masz czas jeszcze.

Wtem gdy ku drzwiom kroczyli, ukazał się w nich wychodzący właśnie z kościoła kanclerz.

Spostrzegłszy Samuela, za którym szli oprawcy, począł wołać nań:

— Panie Zborowski, postój proszę, odpuść mi, że cię tracę, odpuść mi!

— Nie odpuszczę!

A kanclerz nalegał powtarzając:

— Postój, odpuść mi, proszę cię... nie ja, ale prawo cię karze.

— Nie odpuszczę, już to wiedz, że nie odpuszczę! — wołał Samuel.

Stali tak przeciw sobie, a Zamojski twarz miał smutną i błagającą.

— Dla Pana Boga cię proszę, Samuelu... prze imię Jego, odpuść mi!

Samuel; który już był na próg stąpił, odwrócił się.

— Zagadłeś mnie! Odpuszczam ci, ale się świadczę Panem Bogiem i tymi, co słyszą, żem ci ja nic nie winien, bom niech ostatnią chwałę Bogu oddam.

poczciwości występował. Powoływani cię przed sąd Boży sprawiedliwy z sobą.

Kanclerz, wysłuchawszy, odszedł, a Samuel, niedaleko od proga w kościele pokłękłszy, modlił się gorąco, aż sam potem mężnie powstał i zwrócił się do drzwi.

Wiedli go tedy mimo Tatary za furtkę ku. Stradomiu, pod

Lubrankę, na ten plac, kędy od czci odsądzonych i złoczyńców pospolitych karzą, dla

większej zniewagi. Blanki i plac wszędy gęsto ludem był obsadzony, który nie dopuszczał nikogo.

Rzucili na ziemię płat sukna czerwonego i kazali mu klęknąć. A jak był nocą omdlały i w

sumieniu niespokojny, tak teraz mężnie bardzo sobie poczynał i prawie bohatersko na tę śmierć szedł i patrzył. Sam z siebie żupan ściągnął, ale że rękawy ciasne były, spoczywał troszynę i stąd na miasto spoglądał, potem wejrzał ku niebu, które było jasne i tylko się dniem rumieniło.

Aż z ust mu się wyrwało jakby w zapomnieniu:

— Hej, miły Boże, gdzież bracia moi mili, gdzie przyjaciele, gdzie słudzy, czegom ja wszystkiego miał dosyć... dziś... nic!

I stojąc tak w jednej koszuli, Mroczkowi podał ową chustkę, którą miał od cara perekopskiego.

— Mój miły Mroczku, jakoś mi przyrzekł, rozmoczze ją we krwi mojej, a daj ją synowi.

Mroczek na to niechętnie rzekł:

— Panie Zborowski, pora myśleć o czym innym.

Stał już kat, drab wielki i silny, ale drżał i oglądał się, a miecz wtem dawszy pachołkowi w rękę, jakby czegoś zabył, wszedł między ludzi, na którego miejscu oprawca pomocnik został tylko.

Tego Samuel dostrzec nie mógł i mówił do pachołka sądząc go katem: '

— Już mi i na to przyszło, że do ciebie się modlić muszę, ostatni to kres, bo o śmierć mi nie idzie... Proszę więc cię, abyś mi nie przeszkadzał, dopóki modlić się będę, dopiero gdy raz trzeci rzeknę: — Jezus — dogódź mieczem a dobrze, za co tobie z hajduki monetę odkazuję.

Gdy to rzekłszy położył głowę i modlić się zaczął, obejrzano się za katem, a tego nie było.

W samej ostatniej chwili, albo przekupiony, lub przestraszony uszedł i schronił się, a nie znaleziono go, aż później w kościele.

Leżał tedy Samuel a modlił się... i rzekł raz: „Jezus!”

Hajduki się niepokoiły, bo oprawcy nie było. Szukali go, biegali... więc tymczasowo jeden z nich za miecz wziął, bo z blanków im znaki dawano, na których kanclerz stał i pan Stanisław Żółkiewski, i innych wiele.

Zawołał drugi raz: „Jezus!” a tu kata nie było i hajduk obnażył miecz, ale mu ręce drżały.

Potem wreszcie trzeci raz rzekł: — „Jezus!”

Pachołek zaś, nie opatrzwszy się, nie podniósł miecza, aż Zborowski obejrzał się i zawołał:

— Cóż czynisz?!

Popchnięto pachołka, który z całych sił, ale niezręcznie uderzywszy w szyję, kęs piecu też zaciął.

Spadła głowa zaraz na ziemię i odskoczyła od niej trzy razy ku Urowieckiemu, który

przelektły przed nią w bok uchodzić musiał i nierychło się uspokoił, bo ludzie, patrząc na to, różnie wróżyli. Czasu tych kilkunastu dni więzienia Urowiecki sobie często bardzo ostro poczynał z nim, litości mu nie okazując jak Mroczek, który szorstki był, grubianin, ale serce miał.

Taki był koniec onej tragedii Samuelowej, jeżeli to końcem nazwać się godziło, bo

naprawdę powstałe i zrodzone z niej zamieszanie, które wstrząsnęło Rzeczpospolitą, królowi i Zamojskiemu trosk niemało przymnożywszy, dopiero się od tej godziny poczęło.

Prosta, z sosnowych desek zbita trumienka już była za- , wczasu przygotowaną, w którą

ciało, jak leżało, wrzucono zaraz i głowę też, a krew jeszcze z nich ciekła, po czym, nakrywszy ledwie, postawili ją oprawcy przy małym domku u furty, który przekupka trzymała. Nie chciano ciała

zabierać i grzebać, aby jeszcze większego nie wywoływać gniewu rodziny, która by się była o zwłoki upominała.

W mieście zrazu, zwłaszcza że godzina wczesna była, nikt nie wiedział, że tego dnia miał być tracony, choć się spodziewano tego z dnia na dzień. Ci, co słyszeli wieczora, nie wierzyli, gdyż nieraz ich gadanie zawiodło.

Zazwyczaj słudzy Samuelowi przychodzili na zamek do burgrabstwa, choć ich do pana puszczać nie chciano, przynosząc różne rzeczy, których mógł potrzebować. Przyszli więc i dnia tego pod furtę do chaty, przed którą przekupka przy kołowrotku siedziała. Był i Luzicki z nimi.

Zbliżali się już do wrót, straży chcąc pytać o pana, gdy stara ich zawołała:

— Co o pana pytać macie! — rzekła. — Stracilić go dziś na zaraniu, a oto trumna jego tam stoi i krew z niej płynie.

Krzyk i lament stał się wielki, a Borowski z Luzickim rzucili się zaraz ku trumnie i podjąwszy wieko, gdy odciętą, na wierzchu leżącą głowę ujrzeli, popadali płacząc na kolana.

Lament powstał, bo innych też ciekawych zebrała się kupka, a za tymi biegli i inni, widząc, że się ludzie gromadzą; cisnęli się ciekawi, drudzy pobiegli na Franciszkańską ulicę dać znać, aby ciało zabierano, do pani krakowskiej, która umyślnie dla sprawy Samuelowej w Krakowie mieszkała, do pana wojewody kaliskiego i do innych przyjaciół.

Można śmiało powiedzieć, że w tej godzinie przyjaciół tylko miał, bo wszyscy się na okrucieństwo oburzali. Wnet po ulicach, po rynkach rozeszła się wiadomość, że Zborowski został ścięty; nie wierzyli jedni, rozpaczali drudzy, na kanclerza bij zabij wszyscy, czemu go do sejmu nie chował. Kanclerskim ludziom ani się było można pokazać w ulicach, bo ich ścigano, oprawcami i zbójcami na nich ciskając, tak że kryć się musieli.

Zbiegowiska się zaczęły tworzyć znaczne po ulicach i rynkach, a kto, mógł biegł pod Lubrankę, żeby się na własne oczy przekonać, iż prawdą było, co mówiono.

Około trumny ludzie pani krakowskiej, marszałka i Stadnickich, stanąwszy kołem, nie dopuszczali ciekawych, a czekano na panią krakowską, która sama się ciało przeprowadzić

ofiarowała. Nadeszła też poważna pani, cała w czerni i kirze, a z nią Włódkowa od łez czerwona i jak oszalała, i Anusia, blada, a tak straszna z tego wewnątrz- nego gniewu, który nią miotał, że ludzie się do niej przybliżać nie śmieli. Ta płakać nie mogła, usta do krwi gryzła tylko.

Luzicki, Borowski, Morawa i inni wzięli oną trumienkę na ramiona i nieśli ją aż do

kamienicy wojewody kaliskiego, a przez całą drogę krew strumieniem się z niej wylewała, tak że i deski, i tragarze nią byli obluzgani. Tu, w dolnej izbie na prawo złożono ciało na łożu, obmyto, oczyszczono, ubrano przystojnie, ale musiano pozostawić do trzeciego dnia, dopóki by trumny dostatniej nie przysposobiono i smołą nie wylano.

Przez cały ten czas, choć wrota były zamknięte i nikogo nie wpuszczano krom znajomych i

przyjaciół, ciżba oblegała kamienicę, szlachta płynęła bez ustanku, a który stąd wyszedł, za kord się trzymał, jak by szukał i czekał, kogo rąbać...

Na kanclerzu pocziwej nitki nie zostało, a i królowi też nie przebaczone.

Trzeciego dnia, chociaż się to wcale nie uśmierzyło, trumnę przyniesiono, włożono w nią

zwłoki i zamknięto w niej, ale że się wiele domagało go widzieć, pozostawiono szybę naprzeciw twarzy, resztę zaś z prosta, ale uczciwie czarnym gmachtem obito.

Co się działo i pierwszego, i następnych po nim dniu na zamku i w mieście, ludzie długo

pewnie pamiętali, bo takiego zburzenia umysłów z dawna Kraków nie widział, a było generalne, począwszy od biskupiego dworu do najbiedniejszej chaty... Na zamku musiano gęsto obsadzić blanki, bo się sedycji obawiano. Do kanclerza nikt nie jechał. Za to do zwłok, do pani krakowskiej, na Franciszkańską ulicę do marszałka cisnęli się znajomi i nieznajomi z kondolencjami, a jakie tam głosy przeciw Zamojskiemu słyszeć się dawały, powtarzać trudno.

Gdy nieprzyjaciele króla i Zamojskiego chcieli dla swej sprawy coś uczynić, nie mogliby jej lepiej usłużyć nad to, co dla niej sam kanclerz przez śmierć Samuelową uczynił.

Oto ciągle powtarzane „piwo polskie” Zamojskiego, które miało rychło stać za wodę, robiło tymczasem w głowach jak w kadziach... a nie czuć było, aby się rychło wyburzyć mogło.

Chociaż panowie Zborowscy oprócz lamentów nie czynili nic, w Krakowie powstał taki

tumult, taki *murmur* (wedle wyrażenia ówczesnego) przeciwko kanclerzowi, iż go inaczej nie zwano, jak „gwałtownik praw, tyran haniebny”.

Dla szlachty krakowskiej, która Zborowskich od kilku wieków przy tronie i na krzesłach

senatorskich widywać była nawykła, Zamojski był *homo novus*. Wołano, że go król za ledwie *ex stercore paupertatis* wydzwignął. Nie pomogło wspomnienie owego wspaniałego wesela ani z królem pokrewieństwo.

Ktokolwiek nawinał się kanclerzowi na oczy, zataić mu tego nie mógł, że *indignatio* była powszechną i gwałtowną, jakiej nie pamiętano w Krakowie od ucieczki Henryka. Po gospodach i browarach występowali oratorowie, cisnęła się szlachta, czytano skrypta, miotano pogrózkami.

„Czego się my mamy spodziewać — wołano — kiedy takich rycerzy, co nas przeciwko

poganom bronili, na których męstwie Rzeczpospolita stała, katowskim mieczem ze świata gładzą!

Czeka nas tyraństwo domowe albo niewola u Turka!"

Gdy w świdnickiej piwnicy, ktoś się śmiał na to odezwać, że właśnie pan Samuel z Turkiem porozumienie miał i że pełno tego śladów zostawił w pismach i po księgach ręką własną, a podarki od tatarskich carzyków odbierał... o mało go jako kalumniatora nie rozsiekano, tak że się ucieczką salwować musiał.

Nie mogło to dla Zamojskiego tajnym być, co się dokoła działo, bo patrzył, słuchał, a i

wzrok, i słuch miał bystry, ale czynił tak, jak by o niczym nie wiedział lub go to wcale nie obchodziło. Więc listy do króla i gońca z relacją odprawiono natychmiast, a sprawy powszednie szły swym porządkiem i nieprzerwanie.

Wieczorem przyszedł do niego Urowiecki, który już od kłótni i łajania ledwie dyszał, z tym oznajmieniem, że nikt z ludzi na miasto się pokazywać nie mógł, bo ich ścigano, kamieniami rzucano, plwano; a z okien katami i oprawcami okrzykiwano.

— Tak daleko to zaszło — rzekł Urowiecki — iż na sedycję patrzy.

Zamojski spokojny i niewzruszony wysłuchał opowieści i rzekł mu tylko:

— Znajdzie się sposób na to, a nie traćcie animuszu... i nie zważać... niech się gawieź wykrzyczy!

Kazał do siebie wezwać na radę Heidensteina i Becha, choć nie oni jemu, ale on im radził i wydawał rozkazy, a to tak spokojnie i flegmatycznie, jak by mu to bynajmniej nie dolegało.

Nazajutrz Bech spróbował na miasto i w pierwszej gromadzie, gdy wykrzykiwać zaczęto o owej niewoli tureckiej, on się znowu wyrwał z argumentem, że Samuel z Turkami i Tatarami miał konszachty.

— Jeżeli tak było — krzyknął mu pod nos szlachcic, pięścią demonstrując — a toć to sejmowa sprawa, nie kanclerska! Czemużście go z pismami tymi i księgami na sejm nie schowali?

Bech na to jeszcze ofuknął:

— Boże uchowaj! Dobrze by tak było postąpić z kim innym i pewnie by się też tak uczyniło, ale nie z możnymi despoty, jak Zborowscy, z tymi inaczej potrzeba. Ujrzyście zresztą, że i na

sejm się jeszcze dosyć zostało; mamy na nich dowodów siła, okaże się wszystko.

Wtem dokoła poczęto wołać:

— Kanclerczuk! kanclerczuk! — i nacisnęli Becha, a grozili mu i szturgali, tak że się ledwie wycofał i uciec musiał.

Tegoż dnia Serny, którego poznali ludzie Zborowskich, że ten był, co przy nieboszczyku siadywał i dosyć się z nim grubiańsko, po chłopsku obchodził, ścigany i pobity, ledwie do bramy zamkowej z życiem się schronił.

Spotykało to i innych. Miasto całe pomstą wrzało... W początkach sładzy kanclerscy, nie chcąc okazać, ażeby ich to alarmowało, umyślnie tym zuchwałej sobie poczynali, strasząc ludzi Zborowskich, naciskając się na domy i szablami pobrzękując, ale się zawsze potem cofać musieli, bo mieszczanie w pomoc przychodzili Samuelowym.

Na zamku Urowiecki, z rozkazu snadź kanclerza, właśnie na przekór kazał szczególną okazywać wesołość i tryumfy wyprawiał. Na trąbach grano ustawicznie, w bębny bito, żołnierstwo na blankach stojąc pokrzykiwało i pieśni śpiewało. A tym, co mieli onieśmielić, to do ostatka zniechęcili i rozdrażnili lud.

Na ulicach wszczywały się co krok zwady. Szła gromadka kanclerskich ludzi, a napotkała którego ze zborowszczyków, zabiegali mu drogę urąganiem, wywoływaniem, ukazując na gardła, śmiejąc się, naciskając.

Tąż samą monetą potem, zborowszczycy i szlachta, i mieszczanie, czeladź nawet rzemieślnicza płacili kanclerzowskiej służbie.

W dzień Św. Trójcy kanclerz po nabożeństwie pojechał do biskupa krakowskiego. W początkach nie mówiono nic, tylko o królu i o przybyciu jego spodziewanym, a o sejmie konwokacyjnym, ale zaraz ktoś z przytomnych bryznął kanclerzowi sprawą Zborowskich w oczy dosyć nieprzystojnie. Zamojski żeby drgnął, ani mu się twarz bynajmniej nie zmieniła, począł sprawę wywodzić tak zimno, jak by szło o beczkę soli, nie o głowę.

— Jeden już zuchwałstwo swe gardłem przyplacił — rzekł — ale na tym nie dosyć!

Krzychnika Zborowskiego, podczaszego, ja tym samym prawem zaraz stracić mogę, a że się o to wszelkimi siłami starać będę, nie taję. Ten winien może więcej niż Samuel, choć zawsze zza płota strzelał... Pisma jego własnoręczne są... *flagrantes*. Marszałek też, choć niewinnym się czyni, tyle

wart, co i bracia, ale tego ja na sejm rezerwuję, z poczciwością i gardłem nie ujdzie mi.

Biskup się na to odezwał, do łagodności podbudzając, na co Zamojski rzekł:

— Długo pan nasz cierpiał i miłosiernym był, ano przebrała się miara, bo nam na głowach

koły ciosać chcą. Nie byłoby rządu, gdyby nie było sądu, a przed tym tak dobry pan Zborowski, jak najmniejszy chudzina.

Słowa te potem rozniesiono zaraz z kamery biskupiej, do których każdy jeszcze coś przyrzucił, i rozeszły się po mieście, a co za uczucia wzbudziły, łąco pojąć!

Tegoż dnia Bech i inni, Serny i Urowiecki przyszli po wtóre do kanclerza do sypialni, przekładając mu, że już na miasto wyjść i ukazać się nie śmieją, którym miał Zamojski odpowiedzieć (wedle ich wersji):

— Jam też słyszał, że tam waszmościów straszą po Rynku i boicie się! Cóż, moi mili słudzy i przyjaciele, jam wam mówił już: piwo to polskie, czekajcie mało, rychło się wyburzy. Karcić ja każdego muszę i będę, bo ja urzędowi moim, które na mnie pan włożył, zadosyć czynić jestem obowiązany, a na fraszki takie jak oni Zborowscy, nie zważam.

Ciągle to powtarzano o piwie i o fraszkach, że sobie ze Zborowskich nie czynił nic.

Urowiecki zaś po swojemu dodawał jeszcze, jakoby przez Zamojskiego wyrzeczone słowa:

— Trudniej im o trzysta złotych, niż mnie o trzykroć sto tysięcy. Ja moim sługom mam co

dać i mogę każdego z nich możliwym uczynić, czego żaden w Polsce i na Litwie nie potrafi. Ja was zastąpię we wszystkim, a stanie się któremu z was co do gardła i do majątności, ja mścić będę.

Wyście źrenicą oka mego, i w tej sprawie, i w każdej innej bronić was będę. Mam wojsko, mam pieniądze, mam państwo w ręku mym.

Że podobnego coś mógł powiedzieć, możliwe, ale że to przesadzone przez usta

Urowieckiego brzmiało inaczej, też pewna, jak niemiej, iż na dwór Zamojskiego popłoch padł, a siedzieli potem na zamku, ruszyć się nie śmiejąc, bo ich raz w raz despekty spotykały.

Zborowscy, czując poza sobą i szlachtą krakowską, i stolice całą, śmieiej szli. Przybył

do Krakowa z pocztem pokaźnym marszałek Andrzej w wigilią Bożego Ciała i przez miasto

ciągnąc w żałobie zajechał do domu na Franciszkańskiej ulicy. Wiadomym było, że po zwłoki brata przyjechał, które stąd odprowadzić miano na zamek Spytków, do familijnego grobu. Do

wyprowadzania tego nikogo nie powoływano i nie zapraszano, ale zawczasu zbiegła się szlachta gromadnie, przyjaciół, sług, dworu, klientów co niemiara. Miasto się przepełniło jak na festyn największy, na co z zamku jakim okiem patrzano, zrozumie każdy, ale nie przeszkadzał nikt zmarłemu oddać ostatnią posługę, bo Zamojski mówił:

— *De mortuis nulla est cura* (o zmarłych nie ma się co troszczyć).

Prowadzono trumnę przez ulice z żałobą wielką i konkursem ludu ogromnym, przy czym marszałek za bramami, gdy na wóz trumnę składać miano, mowę powiedział, którą spisaną puszczono w świat.

W mowie swej Andrzej wcale kanclerza nie oszczędzał, po prostu stracenie brata mordem zowiąc niczym nie usprawiedliwionym, popełnionym dla prywatnej niechęci, „jadowitemu gniewowi i waśni swej zadosyć czyniąc”.

W mowie tej Andrzej bardzo zręcznie dowodził, że banicja ta starą była prawie dziesięć lat, a dopiero teraz ją przebutwiałą spożytkowano dla prywaty.

„Blisko dziesięć lat już w Polsce Samuel był — mówił marszałek — *et non temere*, miał

pasporty króla JMci terażniejszego, miał przywileje na jurgielty, miał listy przypowiednie, bywał na pokojach u króla JMci dzisiejszego, bywał u tegoż samego nieprzyjaciela, z marszałki wszystkimi siadał, jadał i konwersował”.

Oczywista, że w mowie wszelkiego wspomnienia o listach pochwyconych, spiskach,

knowaniach i zamachach z Krzysztofem razem osnutych unikał i czystym, a przemocą uciśnionym, Samuela czynił.

Kończąc odezwę tę do szlachty krakowskiej u trumny brata, która szeroko i daleko rozejść się miała, zakończył Andrzej:

„Jako się na jednej krwi nieprawnie zajuszy, nie tuć stanie, bo słodka takim węzom krew ludzka. Jużci słyszę jawne mowy, że toż JMPanu Krzysztofowi, bratu memu uczyni, o mnie też nie wiem, co za gróźb używa, a jeśliby wygubił dom mój, wy na to przez szpary patrzeć będziecie?”

Rzuciłci już tą kostką, stanęły mu, *že na*. wasze szyje to uczyniono”.

Tak ta Zborowskich sprawa stawała się wspólną całego stanu szlacheckiego, pogwałceniem

praw... samowolą pojedynczego człowieka. W istocie nie zbywało jej na stronach ciemnych, które się wyzyskać dawały w obronie Zborowskich, a raz dostawszy się w usta tłumom, rosła na poemat i legendę, przemawiała do serc tragicznością swoją.

Samuel, dotąd słynący z zuchwalstwa i samowoli, stawał się bohaterem i męczennikiem,

opromieniała go poezja, wychodził z grobu jasnym.. Obudzał litość, przebaczano mu wszystko, podnosiły się w nim rycerskie cnoty, męstwo nieustraszone, ochota do czynów, na które nikt by się inny nie ważył. Opowiadano, jak na Niżu z Kozaki cudów dokazywał, odpisywano powieść o tym tak ułożoną, iż go w najpiękniejszym świetle wystawiała. Żyli jeszcze świadkowie, byli towarzysze.

Śpiewano o nim pieśni...

Nie mało się też przyczyniało i to do wzbudzenia litości w sercach, że dzieci osierocił, z których Anusia szczególnie się odznaczała żalem swym, publicznymi lamenty i niemal

powoływaniem do zemsty. Szła razem z Włodkową i panią krakowską za zwłokami, pałającymi oczyma wszystkich jednając sprawie ojca.

Na zamku wieczorem dnia tego odetchnęli wszyscy swobodniej, gdy rodzina, przyjaciele i

cały ten tłum szlachty odpłynął za trumną. Sądzone, iż się wkrótce rozdrażnienie uśmierzy, a Zamojski powtarzał swe „piwo”, nie rokując poruszeniu temu długiego bytu, a rachując, że przed sejmem się zatrze wspomnienie. Na ten raz jednak rachunek się mylnym okazał.

VII

Oczekując na przybycie króla, który się z Grodna do Krakowa albo raczej do Niepołomic

obiecował, bo tam rad przebywał, unikając królowej dla trudnego pożycia z nią, gdy w istocie małżeństwo politycznym tylko było związkiem — Zamojski mężnie stawił czoło całej tej wrzawie, jaką śmierć Samuela wywołała.

Przewidywał on po części, następstwa, gdy Batorego o powolność prosił i słał listy a posły, aby go do niej nakłonić. Przygotowany się też znalazł do walki, gdy król nie tyle się jej spodziewał, rachował na trwogę, a teraz widząc, że rozdrażnienie tylko wywołał, tym mocniej życzył i nakazywał najsurowsze względem Zborowskich postępowanie.

Z obu stron gotowano się do tej wojny, i Zborowskich przyjaciele zręcznie umysły nastrajac się starali rozrzucanymi pismami, które z rąk do rąk przechodziły. Kanclerz też z założonymi siedzieć nie mógł, choć te szarmyśle przedsejmowe nie po myśli mu były.

W kilka dni po wyprowadzeniu zwłok do Spytków, siedział wieczorem Zamojski z

Heidensteinem i Bechem za stołem, na którym papiery były rozrzucone, i słuchał z zimną krwią opowiadań o pogrzebie, na który patrzeć nie mógł.. Tegoż dnia goniec mu przyniósł od króla listy panów Zborowskich, Jana, kasztelana gnieźnieńskiego, i marszałka Andrzeja, i inne akta sprawy się tej tyżące. W liście swym do Zamojskiego król nastawał na to, aby im rozdrażnienie w kraju większym się okazywało, mniej mu się poddawać i folgować.

Zamojski by był chętnie wiele oznak niechęci puścił mimo uszu, nie podnosząc ich, nie

walcząc z nimi, na wiele skryptów nie odpowiadając, co było najlepszym sposobem odprawienia ich pogardą; król zaś przeciwnie — nastawał, aby nic bezkarnie nie uchodziło, bo czuł się silnym.

Nie o Zborowskich mu szło, chociaż ich też nienawidził jako osobistych wrogów, ale o całą szlachtę, której oni butę, nieokiełznaną swawolę i zuchwałstwo wcielili w siebie. Pożyć ich, było to zapowiedzieć innym, że dla wielkiego imienia, związków i znaczenia względów żadnych się mieć nie będzie.

„Prawo nie zna ludzi — pisał król — tylko uczynki... Ja też osobiście nie widzę żadnego powodu, dla którego bym folgować miał, a tysiąc pobudek, bym nieubłaganie ścigał wykroczenia”.

Listy te Batorego dawał kanclerz czytać sekretarzowi, nie dodając do nich ani słowa. One tłumaczyły najlepiej jego zachowanie się.

Bech przyniósł właśnie cały zwitek papierów, które Zamojskiemu miał ukazać. Szło o to,

czy warte były niektóre, aby przeciwko nim z kontrskryptami wystąpić. Kanclerz tej polemiki bezimiennej był nieprzyjacielem, choć obyczaj kraju czynił ją prawie nieuniknioną.

Wiedziano powszechnie, co i Zamojskiemu nie było tajnym, że nocy ostatniej Samuel,

kazawszy sobie Mroczkowi podać papieru, pisał długo i dużo zostawił wypełnionych arkuszy. Co na nich stało, nie wiedział nikt oprócz Mroczka i tych, którym papiery oddał, ale *vox publica* chciała, ażeby wiersze i żale na nich zostawił, których odpisy się natychmiast ukazały.

Przyniósł tedy Bech ów wiersz i podał go Zamojskiemu, uśmiechając się. Kanclerz w milczeniu czytać począł, ruszył ramionami i odsuwając papier, *rzeki*:

— Nie Samuelem to pachnie i nie wiem, kto by się na to dał wziąć, ale ludzie łatwowierni są, gdy im tego potrzeba. — Czytajże w.mość — obrócił się do Heidensteina — pedagog to jakiś i *poeta bullatus* na rachunek Samuela, za pieniądze marszałka tak pięknie wystylizował. Boleść w przede dniu śmierci inaczej by wołać musiała, gdyby do skandowania była zdolną. Nigdy też nie słyszał, aby hetman Niżowców muzom dworował...

— Toć pewna, że elegię tę nie on pisał — odparł Heidenstein — ale ona chodzi po świecie i serca porusza.

— Czytaj w.mość — rzekł kanclerz do Becha — który rozpoczął:

Słuchajcie, nocne cienie, bądźcie mi świadkami, I wy, nieszczęsne ściany, skarżą się przed wami; Jak świat stanął i póki bieżą lata jego, Żaden, nad mię, żałośniej nigdy nie zszedł z niego...

Za tym szło dalej, przy czym Zamojski często ramionami zzymał.

— Zdradził się pedagog — rzekł — mitologią i erudycją, której bodaj Samuś nigdy nie miał. Ów Jowisz, Fata, Tytan, Syzyfus, Cynthia...

— Na to by jednak komentarz się zdał — odparł Heidenstein — bo tu wiele rzeczy dotknięto, które inaczej brzmią rzeczywiście niż je poeta urobił.

Kanclerz wziął do ręki papier, odczytał go raz jeszcze i począł dyktować Bechowi, który notował słowa jego.

— O „ojczystej swobodzie” mówi — odezwał się kanclerz — a tej nie kosztował, bo był banitą; zowie się „synem koronnym”, a nazwiska tego godnym się nie okazał. Powiada, że „zdradną przygodą” ujęty został, co fałszem jest, bo go umyślnie w imię prawa wzięto.

Z kolei tak Zamojski przebiegł cały ów wiersz, rzucając uwagi, i dodając w końcu:

— Śmierć swą nazywa „niepożyteczną” bardziej żywot był niepożytecznym, bo więcej szkodził ludziom, zdrowia ich pozbawiając, przykrości im czyniąc, Rzeczpospolitą sobie nie ważąc, o królu mówiąc, że go za nic ma. Teraz jest śmierć pożyteczna, bo będzie drugim *in exemplum*, że zuchwałego zawsze karzą.

Heidenstein więc postanowił, czemu się Zamojski nie sprzeciwił, aby przeciw wierszowi notę na świat puścić. Wtem Bech i drugi wiersz łaciński średniowieczną formą niekształtną podsunął, którego pierwsze rymy przeczytawszy, kanclerz śmiechem parsknął i precz go odrzucił.

— Nie wiem, jaki mnich się na to zdobył! — zawołał. — Ano szkoda, że o jakie lat trzysta się opóźnił...

Wiersz ten w istocie, jakby przed wieki zlepiony, kończył się groźbami w przyszłości dla Polski:

Cernite Poloni!

Erit hoc non uni,

Post hoc vos flebitis!

Łacińskiej tej elukubracji dano pokój, śmiechem ją zbywając.

— Toć — rzekł Zamojski — panowie Zborowscy i tym się chwalą, że na Niżu o nim ruskie pieśni Kozacy śpiewają; ano chyba na nie odśpiewywać nie warto, boby temu końca nie było...

Przyszły potem na stół listy obu JM. Zborowskich do króla, w których nie tylko Andrzej, ale i Jan na

kanclerza nastawał, i z tych się król mógł przekonać, że surowość jego do coraz nowych prowadzić będzie zatargów i zmusi do coraz większych ucisków, a ścigania niemal całej rodziny.

Miał przed sobą listy te kanclerz, ale i wiele innych równie nie pocieszających dokumentów.

Za Samuela o pomstę do Boga wołano.

list kasztelana gnieźnieńskiego mógł najboleśniej dotknąć Zamojskiego. Stał on dotąd z

dale, nie mieszając się do spraw braci, którym był obcy; jak piorunem raził go wiadomość o śmierci Samuela.

W spiski, w winy braci, w zamachy na króla kasztelan nie wierzył, nie znał ich... miał je za potwarze; gwałt, czyniący zakałę rodzinie, dotknął go okrutnie.

List do króla kończył się krzykiem boleści:

„Nie przyszło to uczynić Zamojskiemu dla dobra Rzeczypospolitej —pisał kasztelan — bo

ta nie była nigdy ni w czym od niego obrażona, jeno z waśni a uporu swego przeciwko domowi naszemu, jako temu, który się zawsze o to stara i starać chce, jakoby wszystkie domy co

najcelniejsze w Polsce naprzód do niełaski Waszej Królewskiej Mości przywiódłszy, wyniszczył do gruntu, czego już dosyć widzimy na oko, a sam siebie tylko i powinne swoje wynosi aż pod obłoki, a nigdy w niczym Rzeczypospolitej i W. Kr. Mości zasłużone, którego nie tak jego godność, jako wielka łaska Waszej Król. Mości, *ex stercore erexit pauperem* (z gnoju ubogiego wyniosła).

Żal takowy w nas wiecznymi czasy uśmierzony być nie może, a życzyłbym był sobie, niż do

togo przyszło, aby była nas ziemia pierwej i potomstwa nasze pożarła, bo nie jedno my, którzyśmy zostali na świecie, ale i ci, którzy już są na łasce Bożej, by jaką wiadomość o tym mieli, i ci by równą żalność z nami mieli, do jakich dyscensji i trudności Waszą Król. Mość i wszystką

Rzeczpospolitą wiedzie; daj Boże, aby to W. Król. Mość jako we zwierciadle obaczyć raczył. Dalej i więcej żal, który się prawie z duszą łączy, nie dopuści mi pisać. Wszystko na łaskę W. Król.

Mości i rozsądek przypuszczając, ostatek się do sejmu odkłada".

Przy czytaniu listu tego kanclerzowi, gdy Bech przyszedł do miejsca, gdzie zelżywie się

wyrażał kasztelan, *ex stercore*... utknął. Spojrzał nań Zamojski i rzekł chłodno:

— Czytaj w. mość.

Wahał się jeszcze *amanuensis*, gdy Zamojski z wolna mu papier wyjął z rąk; półgłosem przeczytał: „*Ex stercore!*” a pokręcił głową i oddał mu list, aby kontynuował.

Nic sobie nie czynił z tego wyrażenia, przecież go zabolalo i kilka razy w duchu powtorzył sobie: „*Ex stercore!*”

Na królu, który sam sprawcą był, nie czynily wrażenia te listy; kanclerz cały ciężar odpowiedzialności dźwigał, jego tylko obwiniano.

Zborowscy, czynni teraz nadzwyczaj, bo im o przygotowanie umysłów do sejmu chodziło, nie tylko do króla ze skargą wystąpili, zaskarżyli kanclerza do trybunału w Lublinie, a przedstawili rzecz w ten sposób, że trybunał, acz z oględnością, postępowanie Zamojskiego naganil.

Pismo to obeszło go najwięcej. Powaga trybunału była wielka, mogli się nią zasłaniać Zborowscy. Zmilczeć też nie mógł kanclerz i odpowiedzieć musiał.

Tak mimo woli prawie wszędzie był wciągnięty, iż się tłumaczyć i odzywać został obowiązany. Milczeć by był wolał, lecz nie godziło się. Gdy w odpisach poszła mowa pana Andrzeja, miana przy wyprowadzeniu zwłok, i przeciwko tej protest zaniósł, do Lublina odpisywał, na wiersze odpowiadał, bo raz wszedłszy na tę drogę utrapioną, nie było można zawrócić.

Tak nie jeden ten wieczór, ale i dni całe, i noce czasem schodziły na sprawie Zborowskich, która miasto się przeto przygając, coraz większą jątrzyła raną.

Wszystkie żywioły nieprzyjazne przychodziły jej w pomoc, a szczególnie potajemne stronnictwo cesarskie, które się wielce radowało zawikłaniu.

Król z obojętnością pozorną, a w istocie z zaciętością nieubłaganą przeciwko Zborowskim działać polecał. Listy ich trzymał, czytał i sam dawno sprawę osądził, a to, co o niej mówił Zamojski, było tylko powtórzeniem myśli królewskiej.

Gdy się to działo w Krakowie, tymczasem marszałek jeździł, zjazdy i sejmiki nawiedzał, do szlachty przemawiał, mów swoich kopie rozpuszczał w świat, listy rozpisywał, rodzinę najdalej skupiał do wspólnego wystąpienia i na sejmik w Opatowie, prośbę podpisali w Zborowie nie tylko Jan, Andrzej, Krzysztof, ale Piotr, Krzysztof drugi młodszy i Jan Stobnicki, tłumacki, kamionacki starosta... wszędzie jedna powtarzała się groźba: *Hodie mihi, cras tibi*. Dziś nas to spotkało, jutro całą szlachtę toż samo czeka.

Szlachta do tego stopnia się już poruszyła, że na sejm chciała nie przez posłów się stawić, ale gromadnie, tak jak na elekcję, kto żyw. Odradzili to wszakże Zborowscy, aby o rebelię i najście gwałtowne ich nie oskarżono i sejmu nie odwołano, a zatem i sprawa by odroczoną została.

W pierwszej chwili po ścięciu Samuela, gdy Zamojski nie raz, ale wielokroć się dał z tym słyszeć, że ten sam los zgotował dla Krzychnika i że tym samym prawem jego bez sądu i sejmu może karać na gardle, troskliwy o siebie Krzysztof, nie czując się zupełnie czystym, natychmiast pierzchnął i na ziemi cesarskiej schronienia bezpiecznego szukał.

Czynnym był za niego Andrzej, którego on radami wspierał, listów się już wystrzegając teraz, a ustne mu śląc informacje.

Postrzegli się jednak wkrótce wszyscy, że ta ucieczka podczaszego na niekorzyść jemu i sprawie wychodziła. Mimo woli mówiono sobie: „Gdyby się w sumieniu wolnym czuł, nie obawiałby się niczego”.

Raz i drugi zagadnięto o to marszałka, który powrót brata obiecywał. Ale gdy Krzychnika namawiać przyszło, aby przyjechał, rozbiły się prośby i wymagania o najdziwaczniejsze a najrozmaitsze z jego strony wymówki. Życia dać wcale Krzysztof nie myślał, przyszłość mu się jeszcze uśmiechała.

Z panem Czarnkowskim mówiąc w te czasy, ciągle powtarzał mu:

— Długo on panować nie może... nie my, to inny mu pigułkę przyprawi. Nieprzyjaciół dosyć ma, a jednego Zamojskiego za sobą. Ten, by Salomonem był, nie starczy.

Oskarżony o intencję otrucia króla Krzysztof, zbiegłszy za granicę, o tym tylko myślał, jak by się wypłacił kanclerzowi, jego obwiniając o zamach jakiś podobny, choćby na samego siebie.

W listopadzie 1584 zrodziła się z tego historia na proszowicki sejmik wyciągnięta, ale później pokryta milczeniem.

Ciemno w niej... a rzecz się tak miała:

Krzychnik za granicą przebywający, w oczekiwaniu chwili, gdy mu brat marszałek znać da, iż choć na krótko bezpiecznie przybiec może na zjazd taki, aby się szlachcie okazać i obmyć z tchórzostwa, nagle przysłał do Andrzeja z językiem, iż pojmał szlachcica, który miał od kanclerza Zamojskiego zlecenie, aby jego, Krzysztofa, ze świata zgładził, na co nawet była mu daną trucizna.

Panu Andrzejowi, gdy wiadomość tę odebrał, tak się ona zdała nieprawdopodobną, iż wierzyć jej nie chciał. Po cóż się miał uciekać do tego środka Zamojski, gdy w ręku miał inne, dostateczne, aby się zbyć Krzychnika.

Tymczasem wiadomość tę już z ust do ust podawano, wiążąc do niej i nazwisko szlachcica, który się miał zwać Pruski.

Upłynęło czasu trochę, pchnął marszałek od siebie zaufanego czelaka, aby Krzysztofa nawiedził i sprawę tej trucizny, bliżej rozpoznawszy, wyjaśnił. Na lekko z takim oskarżeniem wystąpić nie było można.

Gdy dworzanin marszałka powrócił, tyle tylko przywiózł, iż istotnie Krzysztof trzymał uwięzionego niejakiego Pruskiego, a ten głośno, nie brany na męki i nie zmuszany wyznawał, iż naprzód tentowany był o zadanie trucizny podczaszemu, a gdy się temu nie opierał, przyrzeczono mu od kanclerza nagrodę znaczną, i sprowadziwszy go do Krakowa, Jan Dzierżek w gospodzie u Tołtynowej przygotowany jad ów oddał Pruskiemu, przy czym znajdować się miał chłopiec, Węgrzynek pana kanclerza. Listy też jakieś Zamojskiego w tej sprawie u Pruskiego znajdować się miały.

Jak się to wydało i w jaki sposób Krzysztof pochwycił Pruskiego, który dawniej u niego służywał, to się niby później dopiero okazać miało.

Tymczasem zaś pod dozorem Pruski znajdował się na dworze podczaszego i powtarzał co dzień tę swoją historię, a za nim p. Krzysztof ją opowiadał każdemu do niego przyjeżdżającemu.

Kto zaś był ów Pruski, nikt dobrze nie wiedział. Niegdyś wisiał przy dworze Krzychnika i gdy ten Wołoszyna był ułapił, co mu się potem okupywać musiał, za to, że siostry za niego dać nie chciał, Pruski przy więźniu był dozorcą. Zniknął potem z oczów wszystkim, jakoby na

Wołoszczyznę się z hospodarem udawszy, aż zjawił znowu z tą trucizną, ale bardzo biedny, odarty, z nosem krwawo zaczerwienionym od pijaństwa, złamany, przygarbiony, ochryply i na włóczkę wyglądający.

Opowiadał, iż dla wielkiej nędzy podjął się trucizny, ale go później sumienie ruszyło...

Krzysztof przez posła dawał znać bratu, że będzieli bezpiecznym na sejmik do Proszowic dnia 1 listopada 1584 przybyć, gotów z sobą przywieść Pruskiego, aby ten publiczne uczynił zeznanie.

Charaktery dwóch braci, a licząc z Janem, trzech wszystkich pozostałych, acz miały rysy wspólne, bardzo się jednak od siebie różniły.

Jan był tak szlachetnym, iż złego nie widział i nie przypuszczał, a bracia też przed nim nie wszystko, co czynili, odkrywać mogli.

Andrzej i Krzysztof, podobniejsi do siebie, stali też w pewnej od siebie odległości.

Oględniejszym daleko był marszałek, strzegąc się, aby na siebie nawet podejrzenia nie ściągnąć, nie oburzał się na to, co Krzysztof czynił, lecz obawiał się nieostrożności i fałszywego kroku. Pchnąłby on podczaszego, gdyby w tym niebezpieczeństwa nie widział dla siebie, tak samo jak niegdyś Krzychnik popychał Samuela, nim się posługując. Przebieglejszym był podczaszy, ale dla niego wszelkie środki bez wyboru dobre były, a awanturnicze usposobienie, pokrewne Samuelowi, często go za daleko prowadziło.

Nie bez przyczyny więc, znając go, krzywił się marszałek, słuchając opowiadania o Pruskim i o truciznie. Wydała mu się ona niezgrabnie zmyślona na odwet za tę truciznę, o której wzmianka była w listach Krzychnika.

Dlatego posłał na miejsce badać, co zaczął był ten Pruski i jakim sposobem podczaszy mógł

do niego przyjść. Z relacji zaś przywiezionej tyle tylko wyrozumiał, że Pruski dużo piwa pił, a napiwszy się nie do rzeczy prawił.

Ułękł się, aby z takim świadkiem i gadką nie przyjechał na sejmik do Proszowic podczaszy i list napisał odradzający, w którym mu to czuć dawał, że się rzecz bardzo podejrzaną wydaje...

Rozgniewało to do najwyższego stopnia Krzysztofa. Od- pisywać nie śmiał, bo się już na

listach i na cyfrach sparzył, ale powiedziec nakazał bratu, że on też głowę ma na karku nie dla proporcji, a na rzeczy się zna i plewy od ziarna rozróżnić umie...

Nadchodził sejmik w Proszowicach, na który miał podczaszy przybyć, aby okazać, że kanclerza i jego pogrózek o gardło się nie lęka.

Wszystko niemal, co się tu przygotowywało, nie było Zamojskiemu tajnym. Tak jak

wprzód Urowiecki krok w krok niemal za Samuelem jeździł, a Boksicki go, domownikiem będąc, zdradzał, teraz też na dworze p. Andrzeja były służki kanclerza, dojeżdżali jego ludzie i do Krzysztofa. Co się tu radziło, mówiło, gotowało, o tym wiedział Zamojski. Z sejmiku

proszowickiego wielkich się rzeczy nie obawiał ani spodziewał, ale go wiadomość o Pruskim, o truciznie, o Dzierżku do żywego poruszyła.

Nie zwykł był gniewać się nigdy ani unosić, tym razem jednak, znak krzyża świętego

uczyniwszy, skoczył jak młodzik, gdy posłyszał, że on miał truć Krzysztofa.

Było to wprost śmiesznym, ale razem oburzającym. Wiadomo, jak szlachta drobna

łatwowierna jest i chciwa plotek, zwłaszcza gdy one możnych się tyczą i mogą ich obryzgać...

Nic to nie pomagało, że baśń była niedorzeczną, tłumy w nią chętnie wierzyć mogły, a ubrano ją tak w pewne szczegóły, w nazwiska, iż miała jakąś barwę rzeczywistości.

Dzierżek jako żywo nigdy na oczy Pruskiego nie widział, ledwie go znał, a co gorzej, właśnie o tym czasie, gdy miał u Toltynowej oddawać truciznę, z polecenia hetmana w Knyszynie się znajdował.

Węgrzynka żadnego dopytać nie było można.

Spytany o Pruskiego Dzierżek powiadał, iż go nigdzie indziej nie widywał, krom za stołem w browarze albo przy kieliszku u Toltynowej, pijanego, pieśni wyśpiewującego, a gdy grosza nie miał, w najpodlejszy sposób żebrzącego w imię podupadłego szlactwa swego.

Co się tyczy przyprawiania trucizny w aptece na rogu

Grodzkiej ulicy, Dzierżek się odwoływał do Mrocza, z jakiego powodu tam śledzili i badali, czy jej dostać można.

Jakim sposobem Pruski mógł wiedzieć, że Dzierżek u Fontanusa bywał, w tym był sęk.

Wszystko to razem funta kłaków nie było warte, lecz Zamojskiego dumą obrażoną była

srodze i gniew przeciwko Krzychnikowi wzmógł się jeszcze. Poniżającym dla kanclerza było, że go śmiano nawet w ten sposób nikiemny spotwarzyć.

— Mam ci podostatkiem na podczaszego sposobów i nie potrzebuję się do takich, jakich on używa, uciekać!

To, co kanclerza chwilowo oburzało tylko, króla jąrzyło do najwyższego stopnia.

Dowiedziawszy się o potwarzy tej, krzyknął, węgierskim przekleństwem popierając swe słowa, iż mu podczaszy nie ujdzie, że go infamem i banitą uczyni, a waży się z głową ukazać, to mu ją natychmiast ściąć każe.

Przed pierwszym listopada posłał raz jeszcze marszałek do brata, aby przybywał, ale z

Pruskiego sprawą się nie popisywał, bo ona więcej złego niż korzyści przyniesie.

Stawił się na sejmik podczaszy... Na pierwszym kroku spytał go brat:

— A Pruski?

— Mam go z sobą — odparł podczaszy.

— Aleć go produkować nie myślisz?

— Czemu nie? Na sejmik go nie poprowadzę, ale kto widzieć i posłuchać zechce, owszem proszę, aby mu dał ucha... Mnie przecie o truciznę na króla obwiniono, a ja bym miał nieprzyjaciela oszczędzać?

— Któż da wiarę lada opojowi?

— Trzeźwym jest i będzie, zobaczycie... a przysięgą gotów stwierdzić, co mówi. Pan Bóg mi życie ratował, iż na niego, nie na innego popadł Dzierżek.

Zjechało szlachty wiele do Proszowic, aby Krzysztofa słuchać, bo już o nim wiedziano, że się tu okaże i mówić będzie. Wystąpił z mową gwałtowniejszą przeciw Zamojskiemu, niż wszystkie, co je poprzedziły.

Marszałek strzegł pilnie, aby słuchacze byli przysposobieni do przyjęcia jak należy...

Uspodobienie też dla Zborowskich, którzy karmili, poili i wszystko na szlachtą a moc jej zdawali, było jak najprzyjaźniejsze.

Czego w tej mowie nie było! Wyrzucał Zamojskiemu, że był szwagrem (sic) królewskim —

„niesłychana to rzecz w Polsce”, że zarazem koronę nosił, hetmanem był, żołnierzem rządził, władzę sprawował i posłuch nakazywał, a płacić mu za to musiano. Dalej mówił, że Samuela zabił

niewinnie, że jeszcze ich, Zborowskich, oskarżał o zamachy na zdrowie królewskie.

Gdy to mówił, szlachta wzdychała. Pan Krzysztof wtrącił, że wzdychać i niewiasty umieją, a trzeba było działać. Potem, gdy się zaczęło z tym wyrywać, aby na sejm jechać gromadnie, oparł się. Prosił tylko, aby wybrano posły takowe, żeby się na żadną prywatę nie oglądali.

Na ostatek z wielką ostentacją podczaszy kląkł, palce złożył i głośno wobec całej szlachty poprzysiągł:

— Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i temu jego obrazowi świętemu, że się mścić będę

krwie brata mego niewinnej do śmierci, nad nim i nad po winnymi jego... Wiem ci, że ten pan, jako szwagier królewski pociągnie wiele ludzi za sobą, ale już *pereat anima mea cum inimicis meis* (niech przepada dusza moja wraz z nieprzyjaciółmi moimi).

Nie dosyć na tym — przysięgę tę powtórzył trzeciego dnia znowu i dodał: „aż krew krwią

zapłaconą będzie".

Co to znaczyło, łatwo było zgadnąć... z Zamojskim bój o życie.

Z drugiej też strony, wiedział to dobrze Krzychnik, król zapowiadał, że nie ustąpi, dopóki infamisem i banitą nie uczyni podczaszego...

Na wszystkie strony z Proszowic miało to groźne wypowiedzenie wojny, ząb za ząb, rozejść się po kraju. Dopóty wszystko za zgodą marszałka i za wiadomością jego się działo, ale z Pruskim wcale się nie powiodło.

Szlachcic, przybywszy tu dla dania świadectwa, jak pierwszego dnia z wieczora się upił,

więcej już nie wytrzeźwił. Sił mu to dodawało do ciągłego powtarzania, jak u Toltynowej truciznę mu wręczano, której on pełną króbkę podczaszemu ze skrucną wręczył, jak Dzierżek mu złote góry obiecywał... jak on to z wielką przebiegłością schwytał i przez większą jeszcze pocziwość odkrył...

Ale za każdym prawie razem inaczej tę swą powieść układał, a gdy go kto przyparł pytaniami i zmusił do oznaczenia czasu, do tłumaczenia ściślejszego, plątał się, bełkotał, a w ostatku nie wiedzieć co prawił. Najłatwowiejszym nawet nie starczyło to. Odchodziła szlachta głowami potrząsając. Z ciekawością skupiano się koło niego, odchodzono z zawodem.

Sam Krzychnik, który rachował wiele na ten swój wymysł, spostrzegł, iż z niego żadnej

korzyści mieć nie będzie. Zanedbano więc Pruskiego, który przy piwie potem drzemał i nikt na niego nie zwracał uwagi.

Pozbyłby się go był chętnie podczaszcy, ale puścić łotra nie było bezpiecznie, bo mógł

schwycony, na mękach albo i bez nich, przyznać się do kłamstwa i wskazać, kto go do tego nakłonił. Nie obawiał się o siebie podczaszcy, bo sam tego nie czynił, ale po nici do kłębka dojść było łatwo. Musiał więc stawić straż przy Pruskim, pilnować go i nazad z sobą za granicę uprowadzić.

Wielka wrzawa około tej trucizny skończyła się na niczym, nastąpiło milczenie, a marszałek, który przewidywał niepowodzenie, gniewał się na brata.

Zagadnięty o to podczaszcy stał chwilę zadumany.

— Słuchaj no — rzekł do Andrzeja — to prawda, że z tego nic wielkiego nie wyrosło... ale ty-myślisz, że małe gadanie i takie szkalowanie nic nie znaczy?... Pluń ty na wroga... nic mu się nie stanie, ano plwociny do sukni przywrzeją i plama zostanie!

Jakoż, choć mało kto w truciznę Pruskiego wierzył, z dala ludzie mówili:

— Ba! juści by tego z palca nie wyssali, coś tam być musiało... Jeśli nie kanclerz sam, ktoś z jego dworu coś zamierzał... Coś było!

I plwociny te w istocie nawet do kart historii przywrzwały.

Przez dni kilka z mowami się popisywali, kto żyw chciał w Proszowicach, wszyscy

przeciwko gwałtownikowi, tyranii, uciskowi, na kanclerza pioruny ciskając, a na sejm takich posłów wybierając, którzy ani panu samemu, ani Zamojskiemu folgować nie mieli.

Burza ta przedsejmowa nie tylko tu, gdzie ją sami Zborowscy podniecali, ale po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej grzmiała i huczała. Na chwilę upokorzona energią króla i Zamojskiego, szlachta chwyciła pierwszą nadającą się zrzeczność, aby do dawnego powrócić zuchwalstwa i samowoli.

Zarówno Batory, jak Zamojski wiedzieli o tym i przygotowywali się do walki. Miał król za sobą zastęp ludzi znaczny, któremu nie na dobrej woli, ale na równej jego i Zamojskiego energii zbywało. Ustąpić nie myślano, owszem, walka miała ułatwić złamanie oporu i utrzymanie na przyszłość porządku.

Jako widomy znak zwycięstwa służyć miała sprawa Krzysztofa. Podstawą do niej były listy

Wojtaszka, aż nadto dostateczne do wykazania winy podczaszego. Król stał przy tym

niewzruszenie, aby z całą surowością sądzono. Zamojski nie śmiał już nawet nakłaniać do powolności.

VIII

Pod koniec stycznia 1585 roku, choćby może niejeden wolał owo ciepłe piwko z grzankami

pod piecem w domu smoktać, niż tłuc się drogami zimowymi do Warszawy, jechała szlachta dla sprawy Zborowskich, ciągnęli panowie dla niej, bo wszystkim ona stała na myśli, iako rozpoczęta wojna, w której nie wiadomo było, kto zwycięży; król ze swoją prawą ręką, owym szarakiem, „*ex stercore*” wyniesionym przez niego, czy możnowładztwo starego obyczaju. Niepokój był w umysłach wielki, bo poza Zborowskimi stała cała przeszłość, dopominająca się praw swoich, a za królem o wilczych zębach niejasna przyszłość cała w jedną garść ściśnięta.

Tymczasem może nie wszyscy to widzieli tak dobitnie, ale wszyscy czuli, że nie o jednych panów Zborowskich chodzi. Oni sami pierwsi wyrzekli złowrogie: *hodie mihi, cras tibi*, godło niegdy pod trupią głową kładzione, a dziś rzucone jako groźba całemu stanowi szlacheckiemu.

Drobna szlachta, chociażby była mogła i powinna stawać przy Zamojskim, jako przy

reprezentancie swoim, przeciw staremu możnowładztwu, nie pojmowała jasno zadania i tradycje popychały ją za Zborowskimi. Ponad wszystko raziła i oburzała królewska samowola i energia, z jaką on, do panowania powołany, chciał panować w całym tego wyrazu znaczeniu.

Z niepokojem i ciekawością, kto mógł, zdążył do Warszawy, gdzie już król i Zamojski

czekali na senatorów i posłów. Wszystko inne bladło i niknęło przy Zborowskich sprawie, którą król z senatem miał sądzić.

Już zawczasu chodziło z ust do ust to pytanie: „Jak to! król więc sam w tej sprawie zarazem ma być i aktorem, i sędzią?...”

Na zamku wkoło króla i kanclerza ponuro było i cicho. Żadnego przepychu i okazałości...

dwór skromny i niezbyt liczny, myślistwo tylko, Węgrzyny ulubione, służba pańska, wozów trochę i koni, a do rozrywki i pociągania ludzi — tak jak nic. Nigdzie uśmiechającej się twarzy i wesołego głosu, ludzie surowego oblicza, chmurni, kancelarie pełne ksiąg i papierów, czeladzie sforne; jak klasztor jakiś rycerski wyglądał ten dwór królewski.

A spojrzawszy na twarze, wyczytać było można w nich w dumę energię zbrojną, niemal

wyzywającą, i przygotowaną do rozpaczliwej walki. Nie starano się nikogo pozyskać, nikomu uśmiechać. Król mało mówił, Zamojski gdy się odzywał, zapowiadał, że żadnych ustępstw po nim się spodziewać nie należało.

Pytano o Zborowskich, którym pozwy wydać miano, a szczególnie o podczaszego,

obwinionego głównie. Czy przybędzie — nie wiedział nikt. Niemojewski, co go bronić miał, ruszał ramionami i milczał. Mruczano, azali glejt dostanie.

Marszałka i podczaszego widać nie było... Chodziły wieści jednego dnia, że przyjeżdżają, że już są na Woli, że ich Widziano w okolicy, że gospodę mają zamówioną, ale nie przybywali dotąd.

Przyjechał tylko kasztelan, który dotąd wiernie stał przy królu, a z hetmanem razem

wojował i dobrze się zasłużył, ale nie był to już ów dawny króla sługa powolny i hetmana sojusznik. Cios zadany rodzinie odepchnął go od Batorego, a daleko więcej od Zamojskiego, któremu wszystko przypisywał. Obowiązek krwi kazał mu stawać za braćmi, uniewinniać Samuela, bronić Krzysztofa, oczyszczać rodzinę. Wpółzabit, kasztelan pogrążony w sobie, zdał się powtarzać ciągle to, co w liście do króla napisał: „bogdajby nas była ziemia pożarła wprzód, nim się nam stała ta zniewaga!”

Na sąd straszny wyglądał ten sejm, gotujący się zasiadać w sklepionej sali zamkowej.

Posłowie niespokojni pytali już zawczasu, czy oni też, choć jako słuchacze, przypuszczeni zostaną, a Zamojskiego urzędnicy odpowiadali zimno:

— Jeżeli J. Królewska Mość z łaski swej przypuścić ich raczy!

Jechali posłowie z tym, aby głos ich zaważył w sądzie, choć w nim żadnego prawnego

udziału nie mieli; na miejscu znajdowali żelazny mur woli Batorego...

Senat z królem sam miał sędzić, a arbitrow nie potrzebowano. Król nie starał się sobie ujmować ani się zbliżał do nikogo, ku niemu patrzyli wszyscy. Błady był, żółty, a czar- ne oczy groźne wejrzenia rzucały i coraz to podnosił głowę dumnie, jak by gotując się do walki... Kto się spotkał z jego oczyma, wzroku tego nie wytrzymał: O sprawę nie zagadywał nikogo, krom Zamojskiego — jasną była.

Pierwszego dnia tłum się nacisnął do sali, nie bardzo pytając dozwolenia; napłynęli posłowie, wtargnąwszy niemal siłą, zalegli ławy... dla pp. senatorów dosyć miejsca zostało.

Wyszedł Batory z ręką na szabli, bo mu ona zawsze jakby przyrosła spadała na tę rękojeść żelazną; wyszedł za nim kanclerz, któremu krzesło za tronem, zgotowano — dwaj zapaśnicy przeciwko całemu tłumowi.

Obu twarze surowe, ale na kanclerza obliczu spokój wypracowany wolą potężną, u króla drganie namiętne nieopanowanego gniewu, który falami powracał.

Posłowie z dala wskazywali go sobie palcami — wydawał się im katem ich swobód... był wcieloną groźbą. Dotąd nie mieli i nie znosili pana, ten się nim czuł i stawił.

Na licach pp. senatorów; nic wyczytać nie było można; pogodnie patrzali arcybiskup i ks. biskup krakowski, świeccy panowie zdradzali niepokój.

Wśród nich tylko wyróżniał się postawą dumną i zasepioną wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wojewodowie smoleński i połocki, w których rysach grała niecierpliwość i rozdrażnienie.

Reszta ciągnęła oczyma ku królowi, szukała Zamojskiego, który w papierach przebierał, a siedział tak na pozór obojętny, jak by go sprawa wcale nie obchodziła. Malał on przy Batorym, choć go wzrostem i pięknnością męskich rysów przechodził; dawny wojewoda siedmiogrodzki, Turka hołdownik, rósł tu na straszego zapaśnika, który ponad sobą tylko Boga uznawał.

Pomimo tej groźnej króla postawy, która wrażała pewną trwozę, arbitrowie, co się nacisnęli gwałtem, a których-już wyprzeć było niełatwo, szmerem i gwarem napełniali salę.

Ile razy się głośniej one rozległy, widać było brew czarną Batorego zmarszczoną i z wymówką rzucane na kanclerza wejrzenia. Pytać się zdawał: „Po co ich tu wpuszczono?”

Zimowego słońca błady promyk się przedarł pasem od okna na salę przyciemnioną i położył

na chwilę u nóg tronu, ale wnet jak mgłą jakąś przysłonięty zniknął.

Marszałek Opaliński miał wystąpić z urzędu jako instygator, ale cichym głosem wypraszał

się od tego, składając nieumiejętnością i niewprawą. Potrzeba było jurysty na to, on nim nie był, żądał więc, aby go Rzeczycki zastąpił.

Rzecz była umówiona; król, bo on tu o wszystkim sam wyrokował ostatecznie, krótkim słowem przyzwolił.

Pozwani Zborowscy nie stawili się. Wystąpił w ich imieniu Niemojewski, mężczyzna

dorodny, pierś szeroka, czoło podniosłe, postawa trybuna, oblicze nieustraszone a groźne. Samo wejrzenie, jakim mierzył króla i Zamojskiego, dawało w nim poznać człowieka, który ani się ulęknie, ani da słowem pożyć, ani prawem złamać. Obok rycerskiego charakteru, czuć było w tym rzeczniku Zborowskich prawnika, nawykłego ze statutami obcować i znajdować w nich to zawsze, co mu było potrzebnym. Śmiałe wejrzenie nacechowane było przenikliwością; zgadywał myśli, gdy kto mówić zaczynał, i odpowiedź dawał przed pytaniem.

Król go zmierzył niespokojnym okiem. Niemojewski buty nie okazywał, ale był tak pewien siebie, jak by już wygrał sprawę.

Spierać się o glejt dla Zborowskich poczęto, inaczej stanąć nie mogli, nie byli pewni życia.

Potrzeba im było tej poręki, iż w razie nawet, gdyby ich winnymi uznano a dekretu nie przyjęli, cali się usunąć będą mogli. Za i przeciw przywodził argumenty; król od początku, co tylko na korzyść Zborowskich wypaść mogło, odtrącał. Z usposobieniem tym się nie taił, pobłażania nie obiecywał.

Wśród zabieranych głosów tłum arbitrow, zalegający głąb sali, zachował się jak na sejmiku.

Obecność króla wprędce przestała zamykać usta i budzić poszanowanie, odzywały się głosy i śmiechy. Batory marszczył się, Zamojski zrywał.

Zwrócił się ku niemu król JM. i półgłosem rzekł po łacinie:

— Jutro precz ich wymieść, gdy mi tu niepokój wnoszą z sobą.

Ale groźby tej nikt nie słyszał, a szlachta po swojemu dokazywała.

Wystąpił kasztelan gnieźnieński w obronie i po stronie braci. Postawa starego wojaka,

zbołałego, przygnębionego, zadumanego, który mówił na przemiany to płaczkliwie, to namiętnie, na wszystkich czyniła wrażenie. Słuchano go z poszanowaniem, ale cóż ważył głos miłości braterskiej, która musiała czynić go głuchym i ślepym?

Wśród wrzawy nieustającej upłynęło pierwsze posiedzenie, król w końcu nie tuił, że mu ono się naprzykrzyło. Wszedł, okazując zniecierpliwienie i gniew tłumiony. Zamojski tak zimny i poważny, jak przybył, wysunął się za nim.

Po wyjściu króla wrzawa jeszcze urosła; arbitrowie pozbierali się w gromadki, wyciągali

jedni, stawali drudzy — rozprawiali wszyscy. Król im się wydał groźnym. Oglądano się, mówiąc, mimo woli.

— Nie przebaczy Zborowskim — szeptali jedni do drugich.

Z kasztelanem gnieźnieńskim, gdy wychodził, znalazł się tylko Niemojewski, poseł

Kazimierski i nieznanomych kilka szlacheckich chudych postaci. Senatorowie znikli nie postrzeżeni.

Z wróżb dnia tego, dwudziestego ósmego stycznia, przyszłość było już można odgadywać.

Walka na próżna...

Nim się z zamku rozeszli posłowie, już im w sieniach i podwórku zapowiedziano:

— Jutro dla was drzwi król kazał zamknąć. Sprawa do was nie należy, a dziś gwar

przynieśliście z sobą, który króla JM. pogniewał i zniechęcił.

Jak strzał poraziła ta groźba posłów, którym Zborowscy wmawiali, że oni prawo mają takiej sprawie głównej nie tylko się przysłuchiwać, ale zaważyć w niej swoim: *vox populi, vox Dei*.

Butniejsi już w podwórku poczęli się miotać.

— Nie może to być... posłami jesteście, posłano nas tu, abyśmy *visu et auditu* przekonali się, jak u nas sprawiedliwość się wymierza. Oho! oho! Nie wypchną nas! Drzwi obleźymy,

pójdziemy do króla, do kanclerza... Król malowanym nie chce być, a my też posły malowanymi nie myślimy.

Ale pogrożki te były próżne. Chłodniejsi odparli:

— Do łaski króla JM. stukać trzeba, siłą drzwi nie weźmiemy, a te już dla nas zaparte.

Po mieście poniosła się sprawa ta: „Pójdąli posłowie precz czy doproszą się na arbitrow?”

O panach Zborowskich, krom Jana, nikt nic nie wiedział. Mówili jedni: „blisko są, gdy

glejty otrzymają, zjawią się i staną, bo się nie obawiają, niewinność ich *clarior sole*". Drudzy mruzcili: „nie głupi się p. podczaszy albo i marszałek sam w ręce kata oddawać, choćby glejty dostali; przez prokuratora się obronią, a nie staną".

Kasztelan gnieźnieński zagadywany milczał.

Na zamku cicho było i zamknięto. Senatorowie niektórzy odwiedzili kanclerza; przyjął ich tak milcząco, jak by nie wiedział nic.

Ponad wszystkim siał- król...

Checiał go łowczy wyciągnąć do lasu, odmówił. Innego zwierza miał na myśli.

Czasu innych sejmów ochoczo się rozrywano i odpoczywano po obradach, teraz patrzyli sobie w oczy ludzie i zdali pytać: „Co to będzie?”

Nazajutrz drzwi dla posłów stały zaparte, nie wpuszczono ich. W korytarzach i na podwórcach niepokój wielki, żal i wstyd; wybrano do króla poselstwo.

Po jakimś oporze wpuścić kazał, ale groźno zastrzegł, aby się cicho zachowywano. Jak studentom w klasie dano naukę: *Silentium!*

Dnia tego żywiej się zawzięło.

Wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wstał, nie oglądając się na majestat pański, i śmiało rzekł, że król we własnej sprawie sędzią być nie mógł, głosu nie miał... aktorem i sędzią prawo być mu nie dozwalało ogólne.

Batory zbladł słuchając, jak zazwyczaj, gdy go najmniejszym słowem dotknięto, ręką uderzył po rękojeści szabli... Królem był, prerogatywy sędziowskiej odebrać sobie nie dawał.

Sprawa była Rzeczypospolitej, nie jego własna. Zdrajcy jej grozili.

Wojewody poznańskiego nikt poprzeć nie śmiał, krom prokuratora Zborowskich, a król protestacji tej ważyć nie myślał, odpychał ją.

Wszystko się tak usuwało precz, co dalszemu przebiegowi sprawy mogło stawać na przeszkodzie i instygator począł czytanie listów Krzysztofa, które stanowiły podstawę oskarżenia...

Własne jego pismo obwinało podczaszego, ale do tego, co w nim stało, przybyły nowe winy, stare grzechy...

Podczaszy począł za życia Zygmunta już spiskować na życie ostatniego z Jagiellonów,

spiskował nieustannie, zdradzał ciągle, wziął okup od hospodara wołoskiego, u Batorego czasu bezkrólewia dostał dwa tysiące czerwonych złotych na potrzeby Rzeczypospolitej, a z nimi uszedł na dwór cesarski; spiskował ze Samuelem i Ciołkiem na życie Batorego, zmaśniał się z w. kniazem moskiewskim, służył cesarzowi...

Oskarżenie było jak kamień przywiązany do szyi Krzysztofa; nie mógł z nim już utrzymać się na wierzchu, utonąć musiał. Czymże go obronić kto mógł, kiedy własne listy świadczyły i potępiały?

Przyjaciele Zborowskich stali niemi, kasztelanowi łzy ciekły po twarzy. Cały przebieg życia Zborowskich świadczył, jak byli dla króla usposobieni i jaki duch ich ożywiał. Obrona wszelka już teraz zdała się niemożliwą; szlachta pozostała milcząca, przywalona tym oskarżeniem.

Dla wszystkich jawnym było, że odeprzeć tych świadectw nie mogli Zborowscy, chyba prawnymi wybiegi, z sądu i form jego próbując się wyłamywać.

Główny głos w obronie przypadał, oprócz jurysty, który miał statutami i prawem ogólnym szermierzyć, kasztelanowi gnieźnieńskiemu, a ten sam dawniej, gdy mu król listy ręką Krzysztofa pisane ukazywał, pytając, czy pismo jego poznaje, zmuszony był przyznać autentyczność. Cóż teraz mógł przeciwko niej powiedzieć?

Listy Krzysztofa nieopatrzne mówiły wiele, wypowiadały wszystko... Składano oprócz tego jakiś testament czy zeznania Samuela, który przed śmiercią do wszystkiego się przyznawał i spiskom z bratem nie przeczył. Lecz coś w tych Samuela skryptach być musiało osłabiającego ich znaczenie, bo niewiele o nich mówiono.

Z oskarżenia wychodził podczaszy i Samuel, jako dwaj wrogowie króla szczególnie, którzy ustawicznie na życie jego nastawali.

Ciołek i Samuel w Krakowie chcieli z ptasiej rusznicy strzelać do niego. Zborowski później szukał miejsca w lesie do zasadzki. Krzysztof sam wprawdzie nie porywał się do czynu, ale do niego podzegał.

Oprócz tego, gdy król z w. ks. moskiewskim wojnę wiódł, on się z nim zmaśniał, pisał do niego, przysięgał mu służby wierne, przesiadywał na dworze cesarza...

Na marszałku wina jawna nie ciążyła tak wyraziście, ale stosunki jego z braćmi, zjazdy i umowy w Złoczowie, po innych miejscach dowodziły, że trzymał z nimi, jedno myślał i nie odwodził ich od zamachów.

Na Janie jednym nie było skazy, nie mieszano go też wcale do sprawy braci, ale on sam dobrowolnie przy nich stawał...

Na obronę co tu wywieść było można? — Jedno — starać się zyskać na czasie. Żądano dylacji, odroczenia.

W ciągu tych rozpraw król ciągle był przytomnym. Słuchał, milczał, spoglądał groźnie.

Wielu rozpraw po polsku rozumieć nie mógł i musiano mu je tłumaczyć. Potrząsał głową obojętnie. Co tu ważyły słowa i subtelne wywody, wina leżała jak na dłoni.

Batory był swojego pewnym.

Wobec tego upokorzenia nieprzyjaciela, bezpieczeń, ani się rozpogodził, ani złagodniał.

Ilekczo żądano ulgi w formach, odmawiał... Odroczenia nie chciał dopuścić. Prędko i stanowczo musiała się rzecz rozstrzygnąć. Przy nim i Zamojskim musiało być zwycięstwo; nic nie pomagały wykręty i wybiegi prawne. Kasztelan gnieźnieński musiał jednak stanąć w obronie.

Zadanie było trudne, prawie nie do podźwignięcia. Co miał powiedzieć przeciwko własnoręcznym listom Krzysztofa? Prawda, charakter i pismo były do Krzyżniaków podobne, ale czyż pisma sfalszować i podrobić nie można? Wszak znano powszechnie Dymideckiego, który Stefana rękę tak doskonale naśladował, że jego pisma sam on od własnego rozpoznać nie mógł.

Jan dawał do zrozumienia: *is fecit cui prodest!* Dowodzić nie mógł fałszerstwa, ale je przypuszczał, bo braci znał z innej strony, bo zdrajcami ich nie uznawał; wiedział tylko, że prześladowani chcieli się oba usunąć na Maltę i kraj zupełnie opuścić.

Wszystko to niewiele zaważyć mogło obok brzemienia, jakim instygator obciążył

Zborowskich. Jan przypuszczał — listy dowodziły winy. Kasztelan tylko na Wojtaszka, którego nie ukazywano, rzucił podejrzenie, że wywłoka, który suknię duchowną zrzucił, a za lutnię dla rozpusty pochwycił, nie był zaufania godnym.

Tymczasem wszystko świadczyło przeciwko Zborowskim; znaleźli się, co podczaszego

widzieli na cesarskim dworze, gdzie z moskiewskim posłem wchodził w zмовy. O listach

moskiewskich i papiery po Ościku ściętym świadczyły także, świadczył pan Łaski. Na ostatek ciężko na marszałku i na podczaszym to nawet, że mimo glectów nie wazyli się sami stawić przed sąd.

Pytano o nich co dzień, gdzie byli. Nikt nie wiedział; o podczaszym twierdzono, że się zawczasu schronił na cesarską ziemię. Marszałek też się nie ukazał, choć daleko mniej był obwinionym i na równi z Krzysztofem potępionym być nie mógł.

Reszta sprawy już formą tylko być mogła. Król się widomie niecierpliwił; jednego dnia dla choroby na sądy nie przyszedł, inne zeszyły na długich a daremnych niewinności wywodach. Czas upływał.

Na obliczu królewskim z każdym dniem dobitniej malowało się zniecierpliwienie. Czasem nie słuchał i nie pytał, siedział wpatrzony w ziemię i drgał tylko, gdy silniejszy głos go obudził.

Tak samo Zamojski w swych papierach przebierał, mało albo *nic* się nie odzywając, nie mieszając z dobrej woli — czuł się niepotrzebnym.

Po senatorach można było już odgadnąć, za kim staną i głosować będą zmuszeni. Trzej tylko, o których mówiliśmy, z panem wojewodą poznańskim na czele, widomie ze Zborowskimi ciągnęli.

Ks. arcybiskup gnieźnieński znudzony raz Niemojewskiemu zadał, że go ad *nauseam* swymi żądaniami ekscypcyj znudził.

Paskwil łaciński na króla, który wyszedł na stół, bo i ten przypisywano Zborowskich natchnieniu, rzucił ks. arcybiskup z pogardą i jako humanista tylko to mu zadał, że łacina była licha, a wiersz niewiele wart...

Koniec było przewidzieć łatwo.

Posłowie, co tak z początku hałaśliwie się znajdowali, siedzieli i teraz jako świadkowie, lecz twarze się im powydłużały, czoła pomarszczyły... stracili wiele z pierwszej swej buty i śmiałości.

Przygniotły ich dowody, czytali też z twarzy senatorów, iż sprawę przegrają Zborowscy.

Najpobłażliwszy z sędziów nie mógł oczyścić podczaszego, tak się on sam oplatał i związał.

Na mieście, gdy się dzień skończył, szlachta nie bujała po dawnemu, nie było się czym weselić. Król zwyciężał Zborowskich — *hodie mihi, cras tibi*, brzmiało głośniejsz niż wszystko.

Wolnościom szlachty i panów przychodził koniec.

Począwszy od Zborowskich, Batory musiał iść dalej i nie dopuścić, aby mu kto stawiał opór.

Przyszłość stawiała się czarno i posępnie. Do Zamojskiego się nikt nie zbliżał, nikt go nie szukał, ale on też nikogo.

Batory nawet o ulubionych łowach zapomniał, nie dawał się w las wyciągnąć. Sokoły i psy stały pozamykane lub z dozorcami swymi wychodziły tylko na przechadzki. Warszawa była smutną, a panom posłom zaczynała stawać się niewygodną i nudną.

Po obronie kasztelana mówił instygator znowu, przyszła kolej na prokuratora, stojącego w obronie obwinionych. Niemojewski nie mógł powtórzyć za kasztelanem gnieźnieńskim, iż listy podrobione być musiały; jurysta szukał innego środka unieważnienia ich, znalazł go w

postanowieniach ogólnych prawa, które świadectwa listów zażywać i nimi się posługiwać wzbraniało.

Listy były własnością tego, do którego były pisane, nikt ich sobie przywłaszczyć i użytkować nie miał mocy. Był to jedyny, ale nader słaby argument zręcznego, ale nieszczęśliwego obrońcy.

Z gorączkową niecierpliwością wyczekiwany koniec się zbliżał — wątpić o nim nie mogli

posłowie. Z senatorów, wiadomo było, iż zaledwie może kilku za Krzysztofem głosować mogło i to na formach się opierając, nie na treści.

Gdy zapytywano ichmościów, milczeli, poruszali ramionami, a na ostatku przebąkiwali:

— Cóż przeciw oczywistości uczynić można?

Rola posłów, o których wybór tak nalegał Krzysztof, bo na nich rachował, stawała się coraz trudniejsza, a raczej schodziła na wcale nie znaczącą. Domagali się oni, aby przysłuchiwać się mogli, wpuszczono nakazując milczenie. Cóż dalej czynić mieli?

Pozostawało panom senatorom objawić zdanie, a królowi na mocy jego i własnego przekonania wydać wyrok.

Że Stefan surowo miał skarcić zdradę kraju i zamach przeciwko sobie, wiedzieli wszyscy.

Posłom nie pozostawało nic, tylko się rozmówić z panami senatorami i okazać im, że oni wraz z nimi starać się byli powinni wyrok ostateczny złagodzić, odroczyć, słowem nie potępić

podczaszego i nie zabić imienia Zborowskich.

Zgłosili się o to aż do króla JMci, dając krokiem tym uczuć, że i oni czuli się obowiązani coś czynić.

Król lekceważąco odpowiedział. Pozwolił posłom znieść się z panami senatorami, ale ażeby to żadnego charakteru urzędowego nie miało i znaczenia nie nabrało, kazał im oznajmić, że w sali obrad

gromadzić się nie dozwala. Mogą sobie w prywatnych mieszkaniach, pojedynczo mówić i naradzać się z nimi.

Odpowiedź ta miała znaczenie jasne:

— Nie mieszajcie się do tego, co do was nie należy... Możecie płakać i użalać się nad losem Zborowskich, ale ciosu od nich odwrócić nie potraficie, urzędownie zaś, na sali, mieszać się do sprawy nie macie prawa...

Posłowie odeszli odprawieni z niczym. Śmielsi z nich odzywali się butnie, ale nie mogli począć nic. Król był w swoim prawie.

— Ano — zamruczał Kazimierski — trzeba, aby prawdę usłyszał, milczeliśmy długo, w końcu mu naukę dać potrzeba.

Inni milczeli.

Po kątach, po klasztorach, refektarzach, gospodach szlachta się zbierała do swych senatorów.

— Nic więc dla Zborowskich nie uczynicie?

— Nie możemy nic!

Naciskano z jednej strony, odpierano z drugiej. O królu mówili wszyscy, że nie ustąpi.

Czegóż się więc miał spodziewać podczaszy? Co najmniej dekretu takiego, jaki ciążył na Samuelu

— wywołać go miano... Ale banicja Samuelowa nie ciągnęła za sobą *infamii*, a tu... zażartość króla i moc dowodów winy kazały się nawet ostatecznej kary, równającej głównej, spodziewać.

Ze dworu od kanclerza kto się co dowiedzieć chciał, przynosił tylko najgorsze zapowiedzie. Infamia go czekała... *Crimen laesae Majestatis*.

Spojrząwszy na oblicze Batorego ani się było można spodziewać, aby ten mąż

nieubłaganego serca mógł się ulitować. Wrogom oddawał nienawiścią najpotężniejszą, ani chciał, ni umiał się chrześcijańskim uczuciem uśmierzać.

Ostatnie dni rosło poruszenie w umysłach, a juryści mu pokarmu dostarczali dowodząc, że

stare prawa i statuty, szczególnie przywilej Aleksandra poszanowane nie były, że sprawę sądono nie obyczajem i formą zwykłą, ale samowolnie i nieprawidłowo.

Milczeli na to panowie senatorowie, więc do posłów należało zaprotestować przeciwko winowajcom na korzyść królewskiej władzy.

Podjął się tego Kazimierski.

— Słyszysz — mówili doń śmiejąc się drudzy — widziałeś już raz, jak się król JM. za kord pochwycił, powiedz mu co, a zrozumie-li, znowu się porwie za żelazo, bo ono u niego argumentem jest najpotężniejszym.

— A ja to korda u boku nie mam?! — odparł Kazimierski. — Albo to ja od tych nie idę przodków, co za Jagiełły pergaminy w izbie na szablach roznosili w przytomności majestatu?!

Dosyć było Kazimierskiemu w ten sposób bębenka podbić, aby pewno jak najgwałtowniej wystąpiły

Tymczasem odkładano ostateczne ferowanie wyroku, choć go wszyscy na czole Stefana czytali i w ponurym obliczu Zamojskiego.

Przyszło do głosowania... i stało się to, czego oczekiwano, krom trzech senatorów świeckich, wszyscy inni winnym znajdowali podczaszego, występki jego dowiedzionym.

Król coraz bardziej rozgorączkowanym zjawiał się na sali, coraz niecierpliwszym, coraz groźniejszym... Za szablę brał i ledwie go wejrzeniem Zamojski mógł zmiękczyć.

Sprawa poczęta zaraz pierwszych dni sejmowych, przeciągnęła się do jego zamknięcia — winnym uznano Krzysz- tofa... Przysięgać jeszcze musieli świadkowie. Król z rozdrażnienia zachorował. Wrzawa i protesty dokoła rosły. Wołano o zwłokę pod pozorem choroby oskarżonego; nie dopuścił jej król dlatego, że osobiście i tak nie stawał.

Zamojski przy jednym ogniu swoją też pieczę przystawiwszy, pozwał o potwarz nie dowiedzioną, jakoby przez Pruskiego truc zamierzał.

Dnia 22 lutego marszałek koronny czytał:

„Przeto tego Krzysztofa Zborowskiego król JMć poczciwości odsądzać raczy i wszystkie prerogatywy, i urzędy, i wolności, co by stanowi szlacheckiemu należały, od niego odejmuje, a bezecnym go czyni, a nie jedno jego, ale i te wszystkie, którzy mu *consilio, auxilio favore* (radą, pomocą, sprzyjaniem) pomocni byli albo w domach i majątnościach swych przechowywali, taką winą karać, *cum confiscatione omnium bonorum rnobilium et immobilium* (z zaborem wszelkiego

mienia tak ruchomego jak nieruchomego) i *nie* zaniecha król JMć dać mandatów do wszystkich starostów, aby był iman i na gardle karan; ażeby wiadomość tego wszędzie doszła każdego, przyznawa król JM. woźnego, aby publikować to po wszystkich placach wedle prawa. A iż też miał sprawę z JMP. kanclerzem o potwarz, którą ułożywszy nie dowiódł, o co dekretem JKMcI był skazan rewokować to, to jest wedle prawa o dszczekać, *in defectu* na dnie w wieży rok siedzieć, jako o głowę i tak płacić, to w dość nieuczynieniu ma go infamią skarać król JM., iż temu tedy dość nie uczyniwszy dekretowi infamii podlegał, a pod tę poenę podpadł, tego bezecnego Krzysztofa Zborowskiego znowu król JM. czci odsądza; w takiejże sprawie, takiej poenie podpadłszy i od p. Dzierzka, po trzeci raz go król JM. czci odsądza".

Po trzykroć więc infamem obwołany był Krzysztof, a wyrok na niego sroższym wypadł, niż ów doraźny na Samuela.

Nie było litości — nie było dylacji, nie pomagała choroba, nie chciano słuchać obrony.

Milczeniem grobowym przyjęto czytanie wyroku. Posłowie patrzyli po sobie.

Prawomocnym był, do Boga tylko odwołać się było można od niego.

Lecz jak by to wszystko nie nasyciło jeszcze ani króla, ani Zamojskiego, król patrzył posępnie i jeszcze bardziej wyzywająco, kanclerz milczał. Posłowie się nie odzywali dnia tego.

Sejm miał się zamknąć.

Wyrok na Zborowskich, bo choć imię Andrzeja objęte w nim nie było, stał on w nim dotknięty, wymieniony, potępiony, i nie słyszał, a nie widział, kto nie chciał — uczynił wrażenie straszne.

Kasztelan gnieźnieński nie słuchał czytania, chory leżał; pomiędzy nim, a dworem, a hetmanem stała przepaść. Zestarzały nagle, chciał zdjąć z siebie urzędy, zrzec się godności i pójść albo umierać, lub w boleści czasów lepszych szukać.

— Zborowskim koniec! — powtarzali kanclerza partyzanci — złamani są. Wie teraz szlachta, że król z siebie szydzić i lekceważyć się nie da.

Wieczorem wszedł kanclerz do króla, który samotny siedział w sypialni, jeszcze na żółć chorując zburzoną. Buccella stał przy nim, lekarstwo dawał, ale co innego radził: rozrywkę, ruch, polowanie.

Król głową potrząsał.

Na dwóch zwycięzcach tryumfu nie było widać, tak jak ani na jednej twarzy nie można było wyczytać radości z tego dekretu. Nie zaspokajał on nikogo, bo Stefan i kanclerz wiedzieli, że Zborowscy banicy będą straszniejsi może, niż gdy spiskowali w domu. W spadku po nich zostawała szlachta zburzona i zniechęcona do króla.

Przyszło nareście sejmu zamknięcie. Wystąpił Kazimierski w imieniu posłów, mówił od całego ich zgromadzenia, co przemówieniu wagę nadawało. Mówca był może nie dosyć jasny i pan siebie, aby obmyślić rzecz swoją, ale miał nieustraszoną odwagę.

W imieniu starych praw i porządku uderzał na innowacje samowolne, na nieposzanowanie tradycji; mówił otwarcie w oczy królowi, że w sprawie Zborowskich nie poszanowano praw i przywilejów; protestował głośno, gwałtownie, nie tak oratorsko i wymownie, jak gorąco i zuchwale. Oko w oko, z ręką podniesioną, nie unikając wejrzenia króla, wypowiedział jasno wielki żal, jaki miała szlachta, posłowie do pana.

Batory słuchał i bladł, drżał i na jego twarzy pofałdowanej coraz dobitniej gniew, duma się piętnowała. Wstrzymywał się.

Arcybiskup gnieźnieński, który z niego nie spuszczał oka, drżał także i zdawał się chcieć stanąć pomiędzy zapaśnikami, którzy się wyzywali wzrokiem. Ale Kazimierski był spokojny, Batory nie panował nad sobą; poseł jurystą, król się czuł żołnierzem. Pierwszy z nich nawykł do pocisków słowa, drugi na kule prędzej niż na obelgi wystawić się był gotów.

Gdy Kazimierski dokończył, porwał się król z siedzenia i wybuchnął... Oto były słowa jego, jak je świadkowie dla potomności spisali:.

„Nie jestem służalcem, ale człowiekiem wolnym z urodzenia, ani mi też wprzód, nimem w te kraje zawitał, brakło na pożywieniu i odzieży. Miłuję ja wolność waszą i takowej za wolą Boską przestrzegać będę, lecz też nigdy nie ścierpię, by moja swoboda w czymkolwiek naruszona, uszkodzona lub najmniej ubliżona została. Z waszego własnego żądania i nalegania obrany za króla waszego tutaj przybyłem, a samiście koronę na głowę moją włożyli; jestem więc królem waszym nie zmyślonym ani malowanym, ale prawdziwym i prawnym, chcę przeto rządzić i panować i nie dozwolę, aby kto nade mną panował. Jesteście stróżami waszej własnej wolności, nie chcę więc, abyście byli moimi klechami, strzeżcie zatem i brońcie waszych wolności, lecz dajcie na to pozór, aby ta wolność wasza źle użytą nie była. Rzecz godniejsza pociąga za sobą mniej godną, pęta podwójne bardziej wiążą, a każda moc z rozerwaniem wężła słabnieje.

Celem każdej Rzeczypospolitej jest pożytek ogólny i dobro narodowe, o które się usilnie staram, nie zważając na głosy złośliwe.

Panowie senatorowie! albo mi uczynicie sprawiedliwość, albo mi rozwiążcie te ręce,

któreście mi prawami waszymi związali, a ja się pomszczę mej krzywdy" .

Król kończąc tak wzruszonym był, że się chwycił do korda, nie już jak wprzód grożąc nim, ale gotów go obnażyć, co ujrzawszy Karnkowski, arcybiskup gnieźnieński i inni senatorowie przypadli, otoczyli, rzucili się przed nim na kolana, starając się wielki gniew ukoić, i król powoli ochłonął.

Walka była niedoszła, odłożona, ale pokoju się spodziewać nie mógł nikt.

Mruczając, szemrząc, na poły wylękła, na wpół obrażona szlachta szła z zamku precz, gdy

króla z wolna kanclerz i mała gromadka do jego pokojów odprowadzała.

Strwożyło się wielu, ale serce niczyje nie nakłoniło, umysł nie uspokoił; postępowanie było zbyt gwałtowne z ludźmi do niego nie nawykłymi od dawna.

Kto by był wówczas przewidzieć mógł, że ten Zamojski, co tu za królewską władzą i w jej

obronie stawał, wkrótce przeciwko następcy Stefana z tymi samymi wichrzycielami w jednym wystąpi szeregu!

Nieprędko potem owe dekryty na Zborowskich zniesione z nich zostały.

IX

Gdy się to działo, coraz podnosił głowę Wojtaszek, bo już wkrótce panów Zborowskich i

ich przyjaciół nie miało stać, a on oswobodzony od prześladowania, mógł się, jako chciał, po świecie obracać.

Tytuł lutnisty JKMcici dobrze mu się nadawał, tyle tylko niewygodnym był, iż wiązało go do miejsca i dworu. W Krakowie sięteraz na to nie skarżył, bo mu tu nikt nic nie mógł uczynić.

Nie ważyłby siężaden Stadnicki, nie myśleli o nim inni, a choćczasem spotykał Włódkowę,

nie obawiał się ani jej, ani ludzi. Cicho sięto wszystko przesuwalo. Włoski więc kapelusik z piórkiem włożywszy na głowę, której włosy trefiłstarannie, z lutnią na plecach wybierał się do miasta i po znajomych domach chętnie przyjmowany piosnki śpiewał albo wygrywał na strunach cudne rzeczy.

Dziwiono siębiegłości i wynoszono go pod niebiosa

Dziewczęta, gdy ulicami przechodził, długo za nim, uśmiechając mu się, patrzyły i

wzdychały. Śmiały byli nie ustępował przed nikim.

Gdy go rozpytywano czasami o pochodzenie, plótlbaśnie osobliwe, nie przyznając się do

habitu, który nosił, do chleba pauprów, który jadł, do zdrady, jakąna Samuelu dokonał...

którąKrzysztofa i Andrzeja na wygnanie skazał.

Tryumfowałmoże w duchu, ale pociecha i duma z odniesionego zwycięstwa zmieszana była z goryczą.

Sam nie wiedziałczemu i złego pana, którego nienawidził, i tych ludzi, jakich tam znałkoło niego, nawet głupiej Motrunki, co go tak kochała, żałował, a gdy sięczasem o tej przeszłości zadumał, siedząc na ławie w antykamerze, to mu lutnia niepostrzeżenie wyślizgała sięz ręki i padała na ziemię, a drudzy śmiali sięz niego, a on gniewała sięi burczał.

Czasem wśród pieśni cośmu sięprzypomniało, ukłuło w serce, zaciemniło oczy, głos odebrało.

W nocy we śnie zawsze tylko widywała swąprzeszłość, nigdy terażniejszości. Żyłtak, powiedziećbyło można, żywotem dwoistym: we dnie na dworze króla, w nocy na dworze

Zborowskiego. Sen go w przeszłażnowu rzucałniewolę, a w nim odnawiało się, co przeżył, i poplątane dusiło go zmorą.

Tam on nieszczęśliwym był, prawda, ale kochałi kochali go czasem, wszyscy mu byli swoi, a tu nikt nańnie zważał, był obcy wszystkim, nienawiści nawet nie obudzał, a i ta by była lepsza od tego, iż go nie widziano, nie rachowano, nie słuchano. Byłoż to życie?

Wojtaszek myślał, iż sobie jakieś nowe zrobić trzeba, lecz by je począć, gdzieś musiał jak pajak nitkę przylepić do ściany i snuć przędzę, i czatować.

Inaczej on życia nie rozumiał. Błądził tak i ziewał. Czasem znudzony szedł gdzie do gospody i kazał dawać wina, pił sam, upijał się, śpiewał, szalał, zasypiał. Wstawał potem rozbity.

Na ładnej też jego twarzyczce ten rok wydeptał przedwczesne marszczki i pomalował ją żółto. Skórę obciągnął na kościach ciaśniej, a kości stały się wydatniejsze.

Gdy się przeglądał w zwierciadelku, które zawsze przy sobie nosił (skradł je niegdyś Anusi), widział, że zestarzał, a czuł się jeszcze tak młodym.

Chciał coś począć, ale sam sobie zostawiony nie umiał. Przyszedł mu na myśl wreście

Węgier Cobar, który zawsze jeszcze był przy królu, i gdy z nim przyjechał do Krakowa, Wojtaszek

się stawił raz u niego.

Nie przypomniał go nawet z początku.

— A! toś ty jest? — rzekł.

— Tak, miłościwy panie — odparł z nogi na nogę przestępując lutnista — przyszedłem do

łaski waszej. Trwam, jak widzicie, na dworze; honor to dla mnie, że się zwę lutnistą i śpiewakiem J.Kr.Mości, ale mnie tu nikt nie potrzebuje ani słucha. Drudzy muzycy koszyki plotą i strzały strugają nie mając co czynić, mnie też nudno, a młodość uchodzi.

— Czegóż ty chcesz? — odparł Cobar posępnie. — Jurgielt ci płacą, barwę ci dają, jesz z dworskiej kuchni!

Wojtaszek się poruszył, jak by nie wiedział już jak tłumaczyć.

— Chceszli ode dworu iść precz? — zapytał Cobar. — Nikt cię nie trzyma, ale patrz, abyś tego nie żałował. Panów, co by lutnistów potrzebowali i płacili, jest niewielu. Cóż poczniesz?

Wojtaszek kapelusik miał w ręku.

— Nie wiem, co począć, ale tu z nudów i próżnowania mało człek nie kona... Trzeba w świat! Trzeba w świat!

— Ufasz widzę w to, że Zborowskich już nie ma i nikt cię nie ułapi, ale przyjaciele ich żyją, a tobie pamiętają, żeś ich na infamią dał i na wywołanie...

— Oni dziś nic nie mogą, a sami się w mysze dziury chować muszą — rzekł Wojtaszek.

— Więc ci się swobody chce? — odezwał się Cobar. — Ano, myślę, że ją łatwo JKMość

da, ale jeśli sądzisz, że wiatyk dostaniesz szczodry, mylisz się, Wojtasiu. Pan jest oszczędny, a wojny nas dużo kosztują. Mógłbyś u kanclerza co wyprosić, boś i jemu przysługę uczynił, ale on także szczodrym nie jest do zbytku.

— Popróbuję — rzekł Wojtaszek — a już miłości waszej tylko o odprawę i świadectwo dopraszać się będę.

Cobar ruszył ramionami i odprawił go do pojutra. Stawił się Wojtaszek, ale Węgier się przyznał, że zabył mówić o nim.

— Przyjdź jutro — dodał.

Przywłókł się nazajutrz, było za wcześnie, a potem Cobar i pan do Niepołomic odjechali.

Znowu więc, na ławie siedząc, ziewał Wojtaszek i czekał, a nudził się straszliwie... a zamek mu już dojadł, że na jego mury patrzeć nie mógł.

Włóczył się po ulicach... Jednego dnia spotkał o. Czesława. Mnich go poznał. Chciał mu ujść z drogi, za późno było.

— A co? zdradliwa ty zmijo! — odezwał się do niego dominikanin — a co? Jesz chleb w krwi maczany, smakuje ci? he?

Wojtaszek nic nie odpowiedział, lutnię trzymał właśnie w ręku, brzdąkał po strunach i czekał obojętnie, aż go mnich pominie.

O. Czesław patrzył ze wzgardą na lutnistę.

— Samuel choć w chwili zgonu skruszon był — rzekł — kto wie, *może* mu P[an] Bóg przebaczy, a ty?

Wojtaszek w bok spoglądał,

— Ja ci powiem, co cię czeka — rzekł ksiądz. — Ty zginiesz marnie... w tobie dusza dawno zgniła! I poszedł.

Lutnista ruszył ramionami i zamruczał: „Klecha obrzydły!”

Obejrzał się na niego. O. Czesław szedł spokojnie, ręce w rękawy pozakładawszy. Stawał czasami, witał, mówił coś i mijał przechodzących, aż wśród nich zniknął.

Jednego dnia, gdy się tak włókł Grodzką ulicą, oko w oko spotkał Borowskiego, ale nie był to ten Borosio od sokołów, którego Samuel tak lubił; zbiedniał, wydarł się i wychudł na trzaskę, a nogami włókł, bo co ciało całe straciło, wszystko do nóg mu poszło. Te były jak kłody, kijem się podpierał, co chwilę stawał i dychał.

Poznawszy Wojtaszka, jak wrósł w ziemię i stanął; na złość mu lutnista się zbliżył do niego.

— Czołem tobie, Borosiu! A co? nie stało Samusia... Dałeś go wziąć, sam drapnąwszy... cóż teraz poczniesz? Na dziady ci pod kościół, na dziady!

— Kiedy Zborowscy głowę dają, co za dziw, że Borowski na dziada zejdzie — odparł

trochę się ożywiając biedaczysko — to tylko Wojtaszkom jak kotom się dzieje. Żeby padli i z wieży, zawsze na nogi!

Wojtaszek rozdojruchał się.

— Wiesz, jam królewskim sługą, a ty?

— Ja niczym.

— Cóż robisz? Borowski nie odpowiedział.

— Jest tu was dużo takich niedobitków jak ty? — pytał Wojtaszek.

— Nie wiem nikogo.

— A na Franciszkańskiej ulicy?

— Pusto dom stoi... kto w nim ma być?

— Cóż z Olesiem się stało? — ciągnął Wojtaszek. Borowski, jak by się uląkł tego wypytywania, nagle zamilkł.

— Nie wiem — rzekł, gdy mu pytanie powtórzył. Szydersko i złośliwie zmieniła się twarz Wojtaszka.

— A z Anusią?

To zapytanie poufale, bez poszanowania córki pana, oburzyło Borowskiego i burczyć coś począł, a kij podniósłszy chciał iść dalej.

— Cóż? i gadać już ze mną nie możesz?

— A po co? — odparł Borowski.

Na całe gardło, bez przyczyny się Wojtaszek śmiać począł... i poszedł w jedną, a Borowski w drugą stronę.

Biedny stary, choć może zgrzeszył przestraczem w pierwszej chwili, odpokutował za to srodze.

Dręczyło go sumienie, pokoju nie miał. Dawali mu litościwi przytułek w domu na

Franciszkańskiej ulicy, tam się tulił, a tak żył, jak to ptactwo, które żywi Opatrzność Boża.

Widok Wojtaszka na wskroś go przejął; pytanie o Anusię przstraszyło. Powlókł się do domu.

W dziedzińcu właśnie koczki stały i niewiasty z nich wysiadały. Poznał Włodkowę i Anusię. Choroba uczyniła go bojaźliwym.

„Kto wie — rzekł sobie w duchu, stanąwszy z daleka — kto wie, po co ten złoczyńca pytał o naszą Annę? Zbój jest...”

Powolnym krokiem przysunął się do ganku. Poznała go Anusia.

I w tej rok jeden wielką uczynił odmianę. Wyrosła, zmężniała, wypiękniała, a ruchy i głos, i wejrzenie miała tak przypominające ojca, że Borowskiemu patrząc powieki nabrzmiały.

— Borosiu! — zawołała do niego. — Tyś to biedaku?

— Jam-ci, paniusiu moja, ale nie Borowski dawny, tylko już ono chłapeć, który z niego pozostał.

I począł, nogami wlokąc, iść ku niej.

Stała i spoglądała na niego zamyślona; była to okruszyna przeszłości, po której ona płakała.

Przywłókszy się oparł o słup przy ganku, zdjął czapczykę i patrzył na nią przez łzy, jak w tęczę.

— A! paniusiu, paniusiu — odezwał się — gdybyście wy wiedzieli, kogom to ja spotkał i mówił z nim?

Wzrokiem tylko wyzwała go na odpowiedź Anna.

— Złoczyńcę tego, Wojtaszka! — zawołał Borowski. — Śmiał zdrajca zbliżyć się do mnie! Śmiał mówić...

Słów mu już nie stało.

— A, gdybym siłę miał! — rzekł Borowski.

— Jest tu? — złamanym głosem drżącym spytała Anna, bledniejąc.

— U króla, na dworze.

— Mówili, że znikł, że go nigdzie dopytać nie mogli — dodała córka Samuela. — Ty mi

dobłą nowinę przynosisz, Borosiu. Jest tu? Wszak my z nim jeszcześmy nie skończyli rachunku?

I nagle uskoczyła przez próg do domu, bo więcej już mówić nie mogła, łzy ją dławily.

Gdy ciało nieboszczyka Samuela do zamku Spytków i grobów ich wieźć miano, wszyscy

stali otaczając trumnę, a marszałek Andrzej przemawiał do tłumu... Anna też w pierwszym rzędzie, oczy zapłakane tuląc, sparta na ręku starej sługi szlochała. Jedna jej ręka, zwisała bezwładnie, spoczywała na sukni żałobnej. Nagle uczuła, że jej ktoś w dłoń ciśnie węzełek, i głos szybki nieznanym posłyszała nad uchem:

— Ojciec ci to przysłał... Zmoczona była w krwi jego!

Nim Anusia, oczy odsłoniwszy, obejrzała się, aby zobaczyć, kto jej to oddawał, już opończą i żałobnym kapturem okryty mężczyzna był o kilka kroków, cisnął się precz i znikł w tłumie.

Trzymała w ręku zawiniętego coś w chustę białą, a gdy ją rozwiązała, zobaczyła ową znaną sobie jedwabną, szytą, którą Samuel miał w podarku od carzyka perekopskiego. Krzyknęła

ujrzawszy ją, bo cała sztywna była i czarna od zaschłej na niej krwi.

Z tą chustą ojciec dzieciom zemstę przekazywał. Dlaczego nie oddano jej Olesiowi? Anusia przycisnęła ją do piersi, całowała płacząc, z nią szła całą drogę za pogrzebem, nie pokazując jej bratu, z nią klęczała przy trumnie ze zwłokami, gdy ją do sklepu spuszczać miano; a wreszcie przy ołtarzu przysięgła, cisnąc ją, pomstę ojca zabójcom.

Oleś wcale o niej nie wiedział.

„Mnie ją ojciec przekazał — mówiła do siebie. — On ma inne przeznaczenie, ja tylko

zemstę za ojca. Oddam mu ją, jeśli umrę, nie spełniwszy, com powinna”.

Od tej chwili Anna nie zdjęła jej z piersi ani na chwilę, a gdy płakała po ojcu, moczyła ją łzami.

Ale dziewczynie, kobiecie, poprzysiąc łatwiej zemstę, niż jej dokonać.

Teraz, gdy jej Borowski o Wojtaszku oznajmił, chustka zapiekła ją na piersiach, poruszyła ją, jak by głos z grobów usłyszała: „Ten moim zabójcą!”

Na kimże mścić słuszniej mogła jak na nim? On był sprawcą!

Chodziła przez wieczór cała z tą myślą, powtarzając sobie: „Krew ojca woła o pomstę nad nim!”.

Nazajutrz" zerwała się rano. Szukała ludzi, mierzyła ich oczyma, wybierała, dumiała, wtem się jej nastręczył Luzicki.

— Chodź za mną! — zawołała do niego, wiodąc żywo z sobą do swej izdebki.

— Kochałeś pana? — poczęła prędko zwracając się do stojącego w progu. — Prawda?

Kochałeś go? Płaczesz po nim? Wiesz, kto go wydał i zdradził? Damyż my mu żyć i chwalić się, że pokonał Zborowskiego, nikczemnik ten, Wojtaszek? On jest tu! Szukaj sobie pomocników, wymyśl sposób, ale go zabić trzeba... tam pod Lubranką, gdzie ojca ścięto... i ciało rzucić, aby je psy rozszarpały.

Mówiła cała drżąca. Luzicki słuchał, chwytając wyrazy i powoli wyrozumiewając, czego po nim wymagała.

Anusia po kilka razy powtórzyła mu:

— Zabić go! zabić!

Stary sługa zwiesiwszy głowę dumał, nie odpowiadając jeszcze.

Anusia mówiła ciągle:

— Służy u króla na dworze, ale z zamku go łatwo wywabić można. Alboż na śmierć nie zasłużył? Czyż my tak już słabi jesteśmy, że jednego nawet nie zmożemy?

Luzicki już był przyszedł do siebie.

— Poczekajcie mało, paniusiu moja — rzekł wąsa gładząc — dajcie no mi się rozpatrzyć. Ja się nie tylko jednego, ale i dziesięciu nie złękne, ale potrzeba się tak sprawić, aby śladów na Zborowskich i ich sługach nie było. Dajcie mi czas!

Nikt się o niego nie upomni, nawet król, bo to wiadoma rzecz, zdrajcami się posługuje, ale nikt ich nie żywi i nie miłuje. Stanie się po waszej woli, ino... cicho!

Anna się zbliżyła do niego.

— Co mam pieniędzy, portugalców, maneli, kanaków resztki po matce, oddam wszystko. Ja tego nie potrzebuję, a wy ludzi zapłacić musicie. Pożyczę u Włódkowej, wezmę u Stadnickich.

Olesiowi o tym ani słowa, on wiedzieć nie powinien. On do czego innego przeznaczony, na nim przyszłe odrodzenie domu naszego.

Palec położyła na ustach, oglądając się dokoła. Luzicki mało co już słuchał, tak był tym przejęty, co na niego spadło.

Pomścić się na niecnocie Wojtaszku!

Wszyscy oni tego pragnęli, serce mu stare biło po młodemu, dłoń drgała... Ukląkłby był

przed tą Anusią, tak mu się wydała do ojca podobną, godną jego.

— W niej gorąca jego krew płynie — szeptał wychodząc. Odział się zaraz potem paradnie

Luzicki, nabity dobrze wacek wsunął do kieszeni i poszedł na miasto. Pytała o niego później Anusia, ale nikt go nie widział, a nazajutrz odjeżdżać musiała. Z rana, gdy już wozy stały, zawołano go do niej.

— Luzicki — rzekła, oddając mu worek — ja jechać muszę. Coś ty zrobił?

— Jedźcie z Bogiem, paniusiu! — odparł spokojnie sługa. — Jam jeszcze nic nie zrobił, ale ci się klnę na pamięć nieboszczyka, stanie się, jakieś rozkazała. Czas na to mieć muszę.

Zamilkł nagle i powtórzył:

— Jedźcie z Bogiem! Nawet dobrze jest, że pojedziecie, wam tu być nie potrzeba.

— Pewnym jesteś swego? — spytała.

— Albo ja, albo on — rzekł Luzicki lakonicznie — ale Pan Bóg zdrajcom nie pomaga...

Krew za krew być musi, aby pan w grobie pomszczony spoczywał!

Łzy mu płynęły z oczów, rozgorzał cały, pokląkł przed panienką, założył palec na palec i krzyknął z zapałem:

— Chyba żyw nie będę, jeśli nie zginie!

Anusia tegoż dnia wyjeżdżać musiała z Włodkową, która się wielce o jej los troszcząc, nie doczekawszy żałoby końca, męża jej szukała i koniecznie wydać chciała. Me mówiła jej o tym, ale wozila się tak z nią po domach pokrewnych, gdzie tylko o młodzieży zasłyszała. I teraz, zamiast do Piekara z powrotem, jechały za Proszowice. Miała tam młodego Tarnowskiego jakiegoś na oku.

Pod noc trzeba było stanąć w gospodzie we wsi, gdzie dworu nie było. Deszcz lał i noc

nadchodziła, a gospoda zajęta przez powozy pańskie i dwór, nie miała wolnego kąta. Ale służba tych, co pierwsi tu zajechali, zrobiła im miejsce i izbę jedną opróżniono.

Podróżną, która się okazała tak gościnną, była niemłoda już pani, jak Wiodkowa i Anusia

cała w kirze. Służba też jej i konie nawet miały odzież i kapy czarne. Posłano dowiedzieć się, komu dziękować miały, i Włodkową w ręce plasnęła słysząc: „Andrzejowa Wapowska kasztelanowa przemyska”.

Żona to była niegdyś, wdowa dziś po tym, którego Samuel zabił.

— Z nią pod jednym nocować dachem? Jej dziękować? — wołała poruszona Włodkowa.

Wtem Anusia wstała z ławy.

— Ale ja jej nie tylko za gospodę dziękować powinnam! — zawołała gorąco. — Wołał i

posyłał do niej Zamojski, aby na ojca za zabójstwo instygowała, odpowiedzieć mu kazała, że Bogu zemstę poleca, a nad uciśnionym przemocą wywierać nie chce...

Z gorączkowym pośpiechem, Anna, ani słuchając Włodkowej, wybiegła. Jak ojciec, nigdy

ona nie namyślała się długo, gdy serce się w niej poruszyło. Wstrzymać jej już nie było można.

W drugiej izbie gościnnej zastała niewiastę poważną, we wdowim czepcu, z długim

czarnym różańcem w ręku, z twarzą spokojną i łagodną, zajęta chłopczykiem, który stał przy niej.

— Kasztelanowo — zawołała Anusia od progu — przyszedłam wam dziękować, ale nie za

gospodę! Me, za miłosierdzie wasze, za wielką litość nad panem a rodzicem moim! Jestem córką Samuelową.

I płakać zaczęła.

Powstała powoli, pani Wapowska, zbliżając się ku niej z twarzą smutną a łagodną.

— Dziecię moje — rzekła — uspokój się. Nie masz mi za co dziękować... Pan Bóg mi dał

pokój ducha i możność przebaczenia wszystkim, bo to jest prawo Jego, nie krew za krew, nie ząb za ząb, ale dobrem za złe płacić.

I ja, młodszą będąc, pobłądziłam też gorącą miłością dla pana a małżonka mojego i

pragnęłam zemsty za niego. Wozilałam zwłoki do króla, nie dawałam pokoju senatorom, godziłam na życie ojca twego, ale Bóg dał mi upamiętanie a nauczył mnie, że pomsta do Niego należy nie do nas, że my się mścić nie mamy prawa, a powinniśmy przebaczyć wszystko! wszystko!

— Jak to? Wszystko? Nawet zdrajcy, który wydał na śmierć? Nawet katowi, co

zamordował? — przerwała Anusia.

— Wszystko wszystkim! — potwierdziła Wapowska. — Tak jest, dziecko moje. Pomsta

Bożą sprawą być powinna, naszą — przebaczenie. Sędzią jest Pan nasz i mścicielem... a nam On kochać kazał nawet nieprzyjacioły.

Anna, jak gdyby po raz pierwszy w życiu podobne słowa słyszała, stała zdumiona, lecz biedne jej, długo uciśnięte serce, z wolna otwierało się prawdzie.

Wapowska posadziła ją obok siebie i mówić zaczęła:

— Chrystus nam pierwszy, Zbawiciel nasz, przyniósł to prawo miłosierdzia, ten nakaz przebaczenia. Mieści się on w Jego świętej modlitwie... „i odpuść nam nasze winy...”

— Więc zemsta nie jest obowiązkiem! — podchwyciła Anusia.

— Grzechem jest — ciągnęła dalej Wapowska. — Dlatego ja, gdy mnie wezwał kanclerz, na ojcu twym wywierać jej nie chciała, nie mogła. Posłuszną byłam prawu.

Anna łzy miała na oczach, a na piersiach paliła ją chusta, krwią ojca zbroczona. Z wolna dobyła ją i rozłożyła na kolanach.

— We krwi ojca zmoczoną kazał mi oddać nieboszczyk — rzekła.

— Połóż ją u stóp ołtarza, dziecko moje — odpowiedziała kasztelanowa — i Bogu przekaz ukaranie. Twoim obowiązkiem modlić się za rodzica.

Długo tak jeszcze mówiła kasztelanowa, a Anusia czuła w sobie uspokojenie wielkie. Pokój zstępował na nią, jakiego nigdy nie doznała wprzód, i łzy jej, płynąc, ulgę przynosiły, i na sercu nie było tak ciężko.

Gdy potem, pochyliwszy się do kolan kasztelanowej, pożegnawszy ją, powróciła do

Włodkowej, ta ledwie poznać mogła swoją Anusię, tak się w niej zmieniły myśli i uczucia. Cud się stał wielki.

Włodkowa potem przyznała się jej, dokąd z nią wybrała się w drogę, co Anna obojętnie przyjęła.

— Widzicie — rzekła potrząsając grubym kirem, którym była okryta — żałoba się nie godzi z weselem... Nie myślcie o tym, a gdy można będzie, zawieźcie mnie z powrotem do Krakowa. Ze sługami ojcowskimi widzieć się potrzebuję.

Nie przyznała się siostrze, iż zemstę zdała na Luzickiego, a teraz już jej nie pragnęła — Bóg skuteczniej miał pomścić krew Samuela.

Następnych dni Włodkowa poznać dawniej namiętnej dziewczeczki nie mogła, stała się

smętną a łagodną. Pytała, czy nie chora, odpowiedziała, że owszem lepiej niż kiedy się czuje, a prosiła się do kościoła, do którego chodzić Włodkowa dawno była odwykła.

Przed ludźmi utyskiwała wdowa:

— Jaką to ja biedę mam z tym dziewczęciem, bo się jak pawi ogon mieni w oczach. Naraz złagodnieje jak baranek, to znów sroży się i wrywa jak wilczyca. Teraz na nią przypadło nabożeństwo i płacz... modli się i łyzy leje. Długo to tego będzie?

Z podziwieniem Włodkowej pobożność i łyzy trwały, z nimi powróciła do Krakowa, do którego Anusia bardzo pragnęła się dostać co najprędzej.

Przyjechały wieczorem późnym i natychmiast się Anna upomniała o Luzickiego, ale jej powiedziano, że go w Krakowie pod ten czas nie było.

Czekać więc musiała, ale co dzień słała pytać o niego i za każdym razem jej odpowiadano:

— Nie ma go jeszcze!

Włodkowa, śledząca ruch jej każdy, nie mogła nic zrozumieć.

— Co ci tak pilno Luzickiego widzieć? — zapytała.

— Stary sługa ojcowski — odparła oczy spuszczaając Anusia — rada bym go zobaczyć.

Dawałam mu zlecenia różne... nie wiem, czy je spełnił.

O Luzickiego tymczasem trudno się dowiedzieć było. Mówili znajomi, między innymi

Borowski, który zawsze się tu chronił, że nagle wyjechał i nie mówił, kiedy powróci.

Nie śmiało dziewczę zapytać się go o Wojtaszka długo... na ostatek raz wyszeptęła

nieśmiało:

— A Wojtaszka nie widziałeś?

— Nie — rzekł Borowski. — Widywałem go z Luzickim chodzącego, bo się coś bardzo z sobą pokumali, a to mi było przykro... potem Luzicki gdzieś pojechał, a o Wojtaszk : ani słyhu.

— Popytajże o niego na zamku — dodała Anusia — masz *tam* pewnie znajomych.

Powlókł się tegoż dnia Borowski i powrócił zdyszany, bo mu z nogami obrzękłymi bardzo

ciężko chodzić było. Zameldował się zaraz do panienki.

— O Wojtaszka chodziłem się dowiedzieć na zamku — rzekł kłaniając się — ale ani

muzycy jego towarzysze, ani nikt we dworze nie wie o nim, a tak mało dbają o Wojtaszka, że nawet nie dochodzą, gdzie się podział. Ostatnimi czasami śpiewał dużo na mieście i wesół był, a dobrej myśli.

Mówią, że u pana Cobara prosił, aby go ode dworu puścili, że chciał sobie gdzie indziej

szukać szczęścia. Pewnie się nie doczekawszy odpowiedzi, wziął nogi za pas i uszedł.

Ruszył ramiony Borowski.

— Nie ma się co o przecherę troszczyć... nie zginie to paskudztwo! — I splunął.

Czas upływał, a Luzickiego jak nie było, tak nie było.

Już pod zimę, gdy znowu raz z Włódkową przyjechała Anusia do Krakowa, a zapytała o

niego, powiedziano jej, że nie wrócił. Domyślano się, że do stryjecznego na Podole się wyniósł.

Wtem jednego dnia na chudym koniu, w opończy wydartej i połatanej zjawił się Luzicki, ale zarosły, z brodą siwą zapuszczoną, że go ledwie poznali.

Borowski, który stał w podwórzu, zawołał na niego:

— A toś się wyniósł! Panienska się ustawicznie o ciebie dowiadywała... co się z tobą stało.

Myśmy już tylko za waszeci na podzwonne nie dali.

— Panienska jest tu? — zapytał Luzicki.

— A jest — rzekł Borowski — odziej się i idź do niej, bo oczy za tobą wypatrzyła.

Niespokojny poszedł zaraz konia postawić Luzicki, potem się przebrał, ale ubogo, bo-mało co snadź miał, i pośpieszył do Anny.

Zobaczywszy go dziewczę z krzykiem podbiegło ku niemu:

— A, Luzicki mój! com ja się o ciebie natroskała... gdzieś ty był? co się z tobą stało? Ani słuchu o tobie... a ja miałam tak pilną do ciebie potrzebę.

Obejrzał się stary niespokojnie dokoła i ręce przyłożywszy do ust obie, stłumionym rzekł

głosem:

— Rozkaz spełniony! Anna uderzyła w ręce.

— Co mówisz?

Pochylił głowę na piersi stary i powtórzył:

— Spełniono, coście przykazali. Nie ma go... nie ma... Zaczerwieniła się i pobladła Anna.

— A! mój Boże! — zawołała, lecz dokończyć nie miała siły. Zdziwiony Luzicki postrzegł, że zamiast się uradować, zasmuciła się mocno. Sądził, że się ulękała może.

— Nikt nie wie o niczym — rzekł. — Ja nawet... nie wiem. Dostyc, że go nie ma. Jak w wodę wpadł, bo może w istocie wszedł w wodę, kto to może wiedzieć... albo go może gdzie napiętego w browarze zasiekli i precz wyrzucili, bo pił dużo... albo... wywędrował na drugi świat, sobie wiadomym tylko gościńcem. Dostyc, że ani śladu po nim. Na zamku coś w węzełkach po nim pozostało, chudoby niewiele, to, słyszę, muzykanci rozdzielili między siebie, bo się już powrotu nie spodziewają. Lutnię po nim znaleźli pono u Krzaczkowej w gospodzie na ławie. Skąd się ona tam wzięła? Kto to wiedzieć może? Ja nie wiem, ja nic nie wiem, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie.

Annie pytania na ustach zamarły, słuchała drżąca. Luzicki zamilkł, odchrząknął i raz jeszcze potwierdził:

— Dostyc, że się już po świecie włóczyć nie będzie. Nóżki całuję. — I wyszedł nagle.

Chciała go jeszcze rozpytywać Anusia następnych dni, wołała do siebie, ale więcej o niczym dowiedzieć nie mogła, prócz że Wojtaszka na świecie nie było.

Document Outline

- [Spis treści](#)
- [TOM PIERWSZY](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [TOM DRUGI](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [TOM TRZECI](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)